

**CLIVE CUSSLER**

# **ZŁOTO INKÓW**

(Przełożył: Ziemowit Andrzejewski)



## Pełnomorski statek Inków A.D. 1533 Zapomniane morze

Nadciągęli z południa wraz z porannym słońcem, a kiedy sunęli po roziskrzanej wodzie, sprawiali wrażenie migotliwych zjaw w pustynnym mirażu. Kwadratowe bawełniane żagle flotylli tratw zwisały bezwładnie pod łagodnym lazurem nieba, wiosła rytmicznie pograżały się w wodzie, chociaż ani jeden okrzyk komendy nie zburzył niesamowitej ciszy. Wysoko w górze sokół to wznosił się, to opadał, jak gdyby wiodąc sterników ku jałowej wysepce, sterczącej w samym środku śródlądowego morza. Tratwy były skonstruowane z powiązanych i podgiętych na obu końcach wiązek sitowia; sześć takich wiązek składało się na jeden kadłub, wzmocniony więźbą i kilem z bambusa. Wygięte dzioby i rufy miały kształt węży o psich pyskach, które szczyrzyły kły ku niebu, przez co mogło się zdawać, że wyją do księżyca. Na zaostrowym dziobie tratwy płynącej przodem, w fotelu przypominającym tron siedział dostojnik dowodzący flotyllą. Nosił bawełnianą tunikę, zdobną turkusowymi cekinami, i wełniany płaszcz, haftowany w wielobarwny wzór. Głowę okrywał mu pióropusz, twarz zaś - złota maska; żółtawo migotały w słońcu także jego kolczyki, masywny naszyjnik i naramienne bransolety, ba, nawet trzewiki wielmoży wykonano ze złota. Członkowie załogi, i to czyniło widok jeszcze bardziej zdumiewającym, byli wystrojeni z nie mniejszym przepychem. Z trwogą i podziwem przyglądali się tubylecy intruzom, którzy wtargnęli na ich wody. Nie podejmowali prób obrony swych terytoriów, byli bowiem prostymi myśliwymi i zbieraczami, którzy chwyтали w paści króliki, łowili ryby i wypełniali kosze zerwanymi lub wygrzebanymi z ziemi darami natury. Prymitywni, w zastanawiającym kontraście do tworzących rozległe imperia sąsiadów z południa i wschodu, żyli i umierali ani myśląc o wznoszeniu olbrzymich świątyń. Teraz jak zahipnotyzowani przyglądali się sunącemu po wodzie niewiarygodnemu bóstwu, jednomyślnie postrzegając wydarzenie jako cudowne przybycie z zaświatów wojowniczych bogów. Zagadkowi przybysze, całkowicie ignorując lud okupujący brzegi, nieznużenie wiosłowali ku celowi swej podróży; spełniali uświęconą misję, nie zwracali zatem uwagi na sprawy mało istotne - w stronę tubylców nie padło ani jedno spojrzenie. Zmierzali wprost ku stromym skalistym zboczom góry, której szczyt, wznoszący się na dwieście metrów ponad powierzchnię morza, tworzył nie zamieszkaną i prawie pozbawioną roślinności wysepkę, zwaną przez tuziemców Martwą Olbrzymką, długi bowiem i niski grzbiet wzniesienia przypominał ciało kobiety pograżonej w kamiennym śnie.

Złudzenie to zwiększała jeszcze nieziemaska aureola, skrzęsana ze skał przez

słoneczne promienie. Wnet świetlicie wystrojeni żeglarze osadzili tratwy na usianej kamykami niewielkiej plaży, przechodzącej w wąski kanion; spuścili z masztów bawełniane płachty, zdobne - co skutecznie potęgowało lęk i szacunek tubylczych gapiów - wielkimi haftami wyobrażającymi fantastyczne zwierzęta, i przystąpili do wyładunku ogromnych trzciniowych koszy oraz ceramicznych dzbanów. Przez cały dzień układali ładunek w stos potężny wprawdzie, lecz uładzony, wieczorem natomiast, kiedy słońce skrywało się za zachodnim horyzontem, utonęli w mroku, przewiercanym tylko migotliwymi płomykami. Gdy zaczął wstawać nowy dzień, okazało się, że tratwy wciąż spoczywają na brzegu jak martwe ryby, ładunek zaś leży na poprzednim miejscu. Tymczasem kamieniarze, nie szczędząc potu, z pasją zaatakowali skalisty szczyt góry mosiężnymi dłutami i łomami, i przez sześć najbliższych dni tak uporczywie kuli i oblupywali kamień, że przybrał wreszcie przeraźliwą postać skrzydlatego jaguara o węzowym łbie. Kiedy dobiegły końca ostatnie prace rzeźbiarskie i polerownicze, odnosiło się wrażenie, iż groteskowa bestia gotuje się, by dać susa ze skały, w której ją wykuto. Przez cały ten czas kosze i dzbany stopniowo znikają z plaży, aż wreszcie ani jeden nie pozostał.

Potem, gdy pewnego ranka starym już zwyczajem miejscowi ponad wodą sięgnęli wzrokiem ku wyspie, znaleźli ją pustą. Tajemniczy lud, przybyły tu z południa na tratwach, rozwiął się jak sen, a o tym, że nie był ułudą, zaświadczał potężny jaguar z węzowym łbem, który obnażał kły i szczelinami oczu omiatał wzgórze, ciągnące się aż po horyzont na brzegu śródlądowego morza.

Ciekawość rychło przemogła strach i już nazajutrz po południu czterech śmiałków z największej wsi, dodawszy sobie odwagi krzepkim miejscowym piwem, zepchnęło na wodę czółno wydłubane z jednego pnia drzewa i machając wiosłami popłynęło na wyspę. Widziano z lądu, jak dobijają do brzegu i znikają w wąskim kanionie prowadzącym w głąb góry. Do późnej nocy i przez cały następny dzień krewni i sąsiedzi oczekiwali ich powrotu - daremnie. Zaginął po nich wszelki ślad i zniknęła nawet dłubanka. Pierwotny lęk tubylców zwiokrotnił się jeszcze, kiedy nagle na małe morze spadł straszliwy sztorm, zmieniając je we wrzący kocioł. Słońce raptownie zgasło, niebo okryło się czernią, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie; owym przejmującym zgrozą ciemnościom towarzyszył świszczący wiatr, co spienił fale i dokonał spustoszeń w nabrzeżnych wioskach. Mogło się zdawać, iż żywioły toczą ze sobą wojnę, smagając przy okazji ląd, bądź też - i w tej kwestii mieszkańcy tamtejszych okolic żywili zupełną pewność - że wiedzeni przez jaguara o węzowym

łbie bogowie nieba i ciemności wywierają zemstę na pobratymcach zuchwalców, którzy poważyli się wtargnąć w ich domenę. Poszeptywano o klątwie rzuconej na intruzów.

A potem sztorm zniknął za horyzontem równie nagle, jak zza niego napłynął, wiatr zamarł zupełnie, pogrążając świat w ciszy, która wydawała się aż nienaturalna, słońce roziskrzyło powierzchnię morza równie spokojnego jak dawniej. Nadleciały mewy i jęły zataczać kręgi nad czymś, co podczas burzy fale cisnęły na wschodni brzeg. Zaciekawieni ludzie ostrożnie ruszyli w tę stronę, przystanęli niepewnie, podeszli bliżej - i wtedy zbiorowe sapnięcie wyrwało się z ich ust, pojęli bowiem, że na piasku plaży spoczywają zwłoki jednego z cudzoziemców przybyłych z południa. Miał na sobie tylko ozdobną, haftowaną tunikę; po złotej masce, pióropuszu i bransoletach nie było śladu. W przeciwieństwie do ciemnoskórych i kruczowłosych tuziemców, topielec miał jasne włosy i białą skórę, jego niewidzące oczy były błękitne. Stojąc, byłby o dobre pół głowy wyższy od najroślejszego z ludzi, którzy przyglądali mu się teraz w bezbrzeżnym zdumieniu. Dygocąc ze strachu, ostrożnie zanieśli go i złożyli do czółna, wytypowali ze swego grona dwóch najśmielszych, ci zaś dowieźli zwłoki na wyspę, spiesznie położyli je na plaży i wściekle machając wiosłami, wrócili na ląd. Długo jeszcze po śmierci najstarszych świadków niezwykłego zdarzenia grzędnący w piasku szkielet słał swe złowróźbne ostrzeżenie, by trzymać się od wyspy z daleka...

Krażyły słuchy, że skrzydlaty strażnik złotych wojowników, jaguar z węzowym łbem, pożarł wścibskich intruzów; nikt zatem nigdy nie podjął ryzyka, by stawiając nogę na wyspie narazić się na jego gniew. Wyspa zresztą roztaczała aurę tak niesamowitą, a nawet upiorną, że stała się niebawem miejscem świętym, o którym zwyczajowo mówiło się przyciszonym głosem. Kim byli odziani w złoto wojownicy i skąd przyплыnęli? Dlaczego skierowali swe tratwy w głąb śródładowego morza i co tu robili? Świadcowie pogodzili się z faktem, że nie znajdą żadnego wyjaśnienia dla tego, co ujrzeli; z niewiedzy rodzą się mity - urodziły się zatem, a nawet zdążyły okrzepnąć, zanim okolicę nawiedziło potężne trzęsienie ziemi, obracając w perzynę wszystkie pobliskie wioski. Kiedy po pięciu dniach wstrząsy wreszcie ustały, śródładowe morze zniknęło, a jedynym po nim śladem był szeroki pas muszel wzdłuż dawnej linii brzegowej. Z legend wnet przeniknęli tajemniczy intruzi do wierzeń religijnych, zyskując status bogów. Zrazu gadki o ich cudownym objawieniu i zniknięciu krążyły szeroko, potem, coraz uboższe w fakty, wracały rzadziej, aż wreszcie stały się przekazywaną z pokolenia na pokolenie częścią folkloru ludu zamieszkującego

prześladowaną przez duchy krainę, nad którą niepojęte rozumem fenomeny wiszą jak dym nad obozowym ogniskiem.

## KATAKLIZM

1 marca 1578

U zachodnich wybrzeży Peru

Kapitan Juan de Anton, posepny Kastylijczyk o starannie przyszytych czarnej brodzie i zielonych oczach, raz jeszcze spojrzął na podążający za nim zagadkowy statek i w zadumie zmarszczył czoło. „Przypadek - zapytał sam siebie - czy też zaplanowane przechwycenie?”

Na ostatnim odcinku trasy z Callao de Lima nie spodziewał się spotkań z innymi galeonami zdążającymi w stronę Panamy, gdzie ich ładunek - przeznaczone dla króla skarby - miał trafić na grzbiety mułów, które przeniosą go przez międzymorze do atlantyckich portów, skąd na pokładach innych statków wyruszy w swą docelową podróż ku składom i kufrom Sewilli.

De Anton miał wrażenie, iż w takielunku i kształcie kadłuba statku odległego jeszcze o półtorej mili dostrzega cechy właściwe jednostkom floty francuskiej... Żeglując po Morzu Karaibskim, byłby się zapewne wystrzegł podobnych spotkań, tu jednak czuł się zdecydowanie pewniej; jego podejrzliwość zmalała jeszcze bardziej, gdy dostrzegł ogromną flagę, powiewającą na rufie tamtego galeonu, dokładnie taką samą jak jego własna bandera - z czerwonym krzyżem na białym tle. Wciąż jednak odrobinę zbity z pantafelki zapytał swego zastępcę i pierwszego nawigatora, Luisa Torresa:

- No i co o nim sądzisz, Luis?

Torres, gładko wygolony Galicyjczyk, wzruszył ramionami.

- Za mały jak na galeon ze złotem. Handlarz winem, na moje oko, co z Valparaiso płynie, jak i my, ku Panamie.

- Tedy nie sądzisz, że jakimś cudem jest wrogiej bandery?

- Rzecz wykluczona. Żaden nieprzyjacielski okręt nie odważył się dotąd opłynąć Ameryki Południowej zdradzieckim labiryntem Cieśniny Magellana.

Uspokojony de Anton skinął głową.

- Skoro zatem nie obawiamy się, iż to Anglicy albo Francuzi, zróbmy zwrot i przekażmy im pozdrowienia. Torres wydał rozkaz sternikowi, który z pokładu skrzyniowego, spoglądając nad działowym, pilnował kursu i korygował go ruchami pionowego drążka połączonego długim trzonem z piórem steru. „Nuestra Señora de la Concepción”, największy i najpysniejszy z galeonów tworzących pacyficzną armadę, przechylił się na bakburtę, a kiedy zatoczywszy krąg wszedł na przeciwny do

tymczasowego kurs południowo-wschodni, rześka bryza od brzegu wypełniła jego dziewięć żagli i pchnęła pięćsetsiedemdziesięcotonową masę z przyzwoitą prędkością pięciu węzłów.

Mimo majestatycznej sylwetki i delikatnej snycerki oraz kunsztownej polichromii, zdobiącej wysoki kasztel i dziobówkę, stanowił twardy orzech do zgryzienia. Niezwykle solidnie skonstruowany i łatwy w nawigacji, był pośród jednostek oceanicznych owych czasów prawdziwym koniem pociągowym, a w razie potrzeby potrafił obnażyć zęby, aby przed najwaleczniejszymi nawet korsarzami, jakimi mogłoby go poszczuć łupieżcze państwo morskie, obronić skarby w swojej ładowni.

Na pierwszy rzut oka „Concepción” sprawiała wrażenie uzbrojonego po zęby okrętu wojennego, bliższy jednak ogląd zdradzał jej naturę statku handlowego. Wprawdzie na pokładach działowych było niemal pięćdziesiąt furt dla czterofuntowych armatek, skoro jednak Hiszpanie żywili wiarę, iż Morza Południowe są czymś w rodzaju ich prywatnej ogrodowej sadzawki, a ponadto nie zdarzyło się dotychczas, by któraś z ich jednostek została napadnięta i zdobyta przez wraży okręt, uzbrojenie galeonu „Nuestra Señora de la Concepción” sprowadzało się do dwóch zaledwie dział, co ograniczyło tonaż i pozwoliło przewozić cięższe ładunki. Kapitan de Anton zatem, przekonany, że jego statkowi nie grozi niebezpieczeństwo, przysiadł na niewielkim taborecie, obserwując przez lunetę gwałtownie przybliżającą się jednostkę. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby - chociaż ot tak, na wszelki wypadek - postawić załogę w stan gotowości.

Skąd mógł wiedzieć, skąd mógł mieć choćby niejasne przeczucie, że wykonał zwrot tylko po to, aby ruszyć na spotkanie „Złotej Łani”, dowodzonej przez niestrudzonego „psa morskiego” Anglii, kapitana Francisa Drake'a, który teraz, stojąc na pokładzie rufowym, również przyglądał się przez lunetę de Antonowi zimnym wzrokiem rekina zdążającego śladem świeżej krwi.

- Diabło to uprzejmie z jego strony, że nam wyszedł na spotkanie - mruknął Drake.

Był kędzierzawym rudzielcem o posturze kogucika bojowego, miał maleńkie oczka i ostrą brodę poniżej płowego wąsika.

- A miał jakieś inne wyjście, skorośmy od dwóch tygodni deptali mu po piętach? - zapytał retorycznie Thomas Cuttill, nawigator „Złotej Łani”.

- Tak jest, przyz wszelako wart tego, żeby się za nim pouganiać - odparł Drake.

„Złota Łania”, wyładowana po burty sztabami srebra, kosztownymi płótnami i jedwabiami, a nadto szkatułą pełną kamieni szlachetnych - łupem zdobytych, odkąd jako pierwszy angielski statek wpłynęła na Ocean Spokojny, na co najmniej tuzinie hiszpańskich galeonów - cięła fale z nieustępliwością ogara, który ściga lisa. Zwana uprzednio „Pelikanem”, była dzielnym i krzepkim okręcikiem, długim na trzydzieści jeden metrów i liczącym sto czterdzieści ton wyporności. Dobrze ciągnęła z wiatrem i znakomicie reagowała na ster, a chociaż jej kadłub i maszty miały już swoje lata, długotrwały remont w Plymouth uczynił ją zdolną sprostać rejsowi, który - jak się w końcu okazało - potrwał trzydzieści pięć miesięcy i po przebyciu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów doprowadził do opłynięcia kuli ziemskiej.

- Mamy przeciąć jej kurs i przy okazji przetrzepać trochę te hiszpańskie hieny?

- zapytał Cuttill.

Drake opuścił drugą lunetę, pokręcił głową i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zachowamy się bardziej szarmancko, jeśli strzymujemy żagle i pozdrowimy ich, jak na prawdziwych dżentelmenów przystało.

Stropiony Cuttill wlepił wzrok w zuchwałego dowódcę.

- A jeśli pierwsi otworzą ogień?

- Do czarta, mało to prawdopodobne, żeby jej kapitan odgadł, kim jesteśmy.

- Ale statek ze dwa razy większy niż nasz - zauważył Cuttill.

- Aliści, wedle tego, co nam rzekli marynarze pochyceni opodal Callao de Lima, ma na pokładzie ledwie dwa działa. Cóż to jest wobec osiemnastu armatek „Łani”?

- Ci Hiszpanie! - prychnął Cuttill. - Jeszcze gorsi z nich łgarze niż z Irlandczyków.

- Milsza hiszpańskim kapitanom uciezka aniżeli walka - przypomniał Drake swojemu zapalczywemu zastępcy.

- Czemu więc nie przygrzać im z dział i zmusić do kapitulacji?

- A po cóż ryzykować, że przy okazji pójdą na dno z całym ładunkiem? Jeśli powiesz mi swój plan, przyoszczędzimy prochu, oddając wszystko w ręce naszych krzepkich chłopców, którzy aż rwą się do walki.

Cuttill ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Myślisz brać galeon abordażem?

Drake przytaknął.

- Wedrzemy się na pokład, zanim chociaż jeden zdoła wymierzyć do nas z



muszkietu. Jeszcze tego nie wiedzą, ale żeglują w pułapkę, co ją sami na siebie zastawili. Ledwie minęła trzecia po południu, gdy „Nuestra Señora de la Concepción” ponownie wykonała zwrot i po wejściu na dawniejszy kurs północno-zachodni zrównała się ze „Złotą Łanią”, mając ją po prawej burcie. Torres wdrapał się po drabince na kasztel dziobowy i wrzasnął ponad wodą:

- Co to za statek?!!

Numa de Silva, portugalski pilot, którego Drake przeciągnął na swoją stronę po zdobyciu u wybrzeży Brazylii jego statku, odkrzyknął po hiszpańsku:

- „San Pedro De Paula” w drodze z Valparaiso!

Niewielki galeon o tej nazwie Drake zdobył mniej więcej trzy tygodnie temu. Z wyjątkiem kilku ludzi ubranych na modłę hiszpańską, cała załoga Drake'a - opancerzona, uzbrojona w piki, muszkiety, pistolety i szable - skryła się pod pokładem; bosaki abordażowe, uwiązane do mocnych lin, leżały wzdłuż nadburci, niewidoczne dla Hiszpanów, na przyczepionych do masztów pomostach bojowych przyczaili się kusznicy. Drake z obawy, że od ognia z broni palnej mogą zająć się żagle, zabronił używać muszkietów na tych stanowiskach. Zwinięto groty, aby dać kusznikom wolne pole ostrzału, i Drake zaczął wyczekiwać na odpowiedni moment do ataku. Nie przejmował się faktem, iż przeciwko niemal dwóm setkom Hiszpanów może wystawić zaledwie osiemdziesięciu jeden swoich Anglików - nie pierwszy i nie ostatni raz całkowicie ignorował przytłaczającą przewagę nieprzyjaciela, co na nieporównanie większą skalę miał potwierdzić jego znacznie późniejszy bój w kanale La Manche z Wielką Armadą.

Ze swej strony de Anton nie dostrzegł na pokładzie przyjaznego z pozoru statku żadnych oznak podejrzanej aktywności. Żeglarze, niezbyt zainteresowani wielkim galeonem, krzatali się przy swoich zajęciach, kapitan, leniwie wsparty o reling na pokładzie rufowym, powitał go salutem.

Kiedy odstęp pomiędzy statkami zmalał do trzydziestu metrów, Drake dał niedostrzegalny znak głową, na co jego najlepszy strzelec, ukryty na pokładzie działowym, zdmuchnął z muszkietu sternika „Concepción”, w tej samej chwili kusznicy, przyczajeni na pomostach bojowych, zaczęli niechybnymi bełtami zrzucać z rej hiszpańskich marynarzy.

Galeon stracił sterowność, a wówczas Drake rozkazał zestosować „Złotą Łanię” z wysoką stromą burtą hiszpańskiego statku i gdy rozległ się protestujący trzask więźby oraz poszyć, ryknął na całe gardło:

- Zdobądźcie ją dla dobrej królowej Elżbietki i naszej starej Anglii, chłopcy!

Nad okrężnicą „Złotej Łani” poszybowały bosaki abordażowe, by ugrzęznąwszy w nadburciach i takielunku „Concepción”, szepić oba statki w śmiertelnym zwarciu; wtedy na pokład hiszpańskiego galeonu, wyjąc jak strzygi, wdarli się ukryci dotąd ludzie Drake'a. Atmosferę chaosu i zgrozy powiększali jeszcze angielscy muzykanci, opętańczo dmąc w trąby i bijąc w bębny. Skamieniałych ze strachu hiszpańskich żeglarzy zasypała nawałnica kul muszkietowych i bełtów. Bój trwał zaledwie kilka minut; jedna trzecia załogi galeonu, ranna lub martwa, padła na pokład bez jednego strzału wymierzonego w napastników, a pozostali marynarze „Concepción”, wzgardliwie rozpychani przez rwących się ku ładowniom angielskich piratów, na klęczkach błagali o łaskę.

Drake, uzbrojony w pistolet i szablę, przypadł do kapitana de Antona.

- W imieniu Jej Wysokości Królowej Anglii Elżbiety... poddaj się, waszmość! - zawołał przekrzykując zgiełk.

Hiszpan, oszołomiony i przejęty niedowierzaniem, odkrzyknął:

- Poddaję siebie i statek! Miej, wasze, litość nad załogą!

- Katowskiej roboty nie lubię - rzucił Drake w odpowiedzi.

Anglicy w pełni zawładnęli statkiem, zwłoki poległych ciśnięto za burte, ocalałych zaś członków załogi, w tej liczbie rannych, zamknięto w ładowni. Kapitan de Anton i jego oficerowie przeszli po desce na pokład „Złotej Łani”, gdzie Drake z galanterią, jaką zawsze okazywał jeńcom, osobiście oprowadził hiszpańskiego dowódcę po swoim okręcie, później natomiast podjął starszyznę „Concepción” wystawną kolacją, zaserwowaną na srebrze i okraszoną muzyką, tudzież najwyborniejszym ze świeżo odebranych prawowitym właścicielom hiszpańskich win.

Jeszcze podczas owej kolacji angielscy marynarze zawrócili oba statki na zachód i wypłynęli poza hiszpańskie szlaki żeglugowe; nazajutrz rano strymowali żagle, utrzymując jedynie taką prędkość, aby pozostać na kursie. Cztery następne dni poświęcono przrzucaniu fantastycznych skarbów z ładowni „Concepción” na pokład „Złotej Łani” - na olbrzymi łup składało się trzynaście skrzyń z królewską srebrną zastawą i monetami, osiemdziesiąt funtów złota, dwadzieścia sześć ton srebra w sztabach, setki puzder z perłami i kamieniami szlachetnymi - przeważnie szmaragdami - a wreszcie potężne zapasy żywności, takiej jak suszone owoce i cukier. Miał to być na przeciąg kilku najbliższych dziesięcioleci największy łup zdobyty przez jakiegokolwiek korsarza.

Jedną z ładowni wypełniały od ściany do ściany kosztowne i egzotyczne inkaskie wytwory, wiezione do Madrytu dla osobistej przyjemności Jego Katolickiego Majestatu Filipa II, króla Hiszpanii. Drake, który nigdy nie widział czegoś podobnego, studiował je ze zdumieniem. Były tam wypiętrzone pod sufit bele misternie haftowanych andyjskich materiałów oraz setki skrzyń pełnych kamiennych i ceramicznych posążków, prawdziwych arcydzieł z rzeźbionego jaspisu, a wreszcie kunsztownych mozaik z turkusu i macy perłowej - bez wyjątku zrabowanych ze świątyń i pałaców ludów andyjskich przez Francisca Pizarra i kolejne fale złaknionych złota konkwistadorów. Drake nawet sobie nie wyobrażał, iż może gdzieś istnieć na świecie tak mistrzowskie rzemiosło, osobliwe jednak, że jego największą uwagę wzbudził nie jakiś skrzący się od klejnotów przepyszny posążek, lecz nader proste puzdro z jaspisu, ozdobione na wieku płaskorzeźbionym ludzkim obliczem. To wieko zamykało szkatułę z niemal hermetyczną szczelnością; w środku kryła się wielobarwna płatanina sznurków rozmaitej grubości, pozwęźlanych w dziesiątkach miejsc.

Drake zabrał puzdro do swojej kabiny i spędził znaczną część dnia, analizując kolorowe sznurki i całe kompozycje sznurków, pokrytych węzłkami w odległościach, jak mniemał, nieprzypadkowych. Był utalentowanym nawigatorem i człowiekiem amatorsko parającym się sztuką, rychło więc pojął, że ma do czynienia albo z instrumentem matematycznym, albo też z rodzajem kalendarza, lecz jego usilne próby rozszyfrowania barw sznurków i konfiguracji węzłów zakończyły się fiaskiem. Był równie bezradny, jak byłby zapewne bezradny Inka, usiłując pojąć znaczenie długości i szerokości geograficznych na mapie nawigacyjnej.

Dał wreszcie za wygraną, owinął puzdro w lnianą płachtę i wezwał Cuttilla.

- Hiszpan, skorośmy ujeli mu ładunku, ma teraz sporo mniejsze zanurzenie - oznajmił jowialnie Cuttill, wchodząc do kajuty kapitańskiej.

- Aleście nie ruszali tubylczych precjozów? - zapytał Drake.

- Zgodnie z rozkazem, zostały w ładowni Hiszpana.

Drakę powstał od biurka, podszedł do wielkiego okna i spojrzał na „Concepción”, burty galeonu wciąż były wilgotne kilka stóp nad obecną linią zanurzenia.

- Te dzieła sztuki miał dostać król Filip - stwierdził Drake - lepiej wszelako, żeby trafiły do Anglii i otrzymała je w darze nasza królowa Elżbietka.

- Ależ „Łania” jest już przeładowana ponad wszelką miarę - zaprotestował

Cuttill. - Dorzucimy jeszcze pięć ton, a straci sterowność, fale zaś będą się wlewać przez niższe porty armatnie. Jak Bóg w niebiesiech pójdzie na dno, ledwie wpłyniemy na piekielne odmęty Cieśniny Magellana.

- Nie zamierzam wracać cieśniną - odparł Drake. - Plan mój jest taki, żeby ruszyć na północ i poszukać północno-zachodniego przejścia do Anglii. Jeśli się nie powiedzie, popłynę szlakiem Magellana przez Pacyfik, a potem dookoła Afryki.

- „Łania” nigdy nie ujrzy Anglii, pękając w szwach od nadmiaru dóbr w ładowni.

- Większość srebra zostawimy na wyspie Cano opodal Ekwadoru, skąd się je odzyszcze podczas późniejszego rejsu, dzieła sztuki zaś po staremu popłyną w ładowni „Concepción”.

- Aleś mówił, że chcesz je sprezentować królowej!

- I nie zmieniłem zdania - upewnił go Drake. - Ty, Thomasie, weźmiesz z „Łani” dziesięciu ludzi i pozeglujesz galeonem do Plymouth.

Cuttill bezradnie rozłożył ramiona.

- Mając ledwie dziesięciu załogi, nie dam sobie rady z tak wielkim statkiem, szczególnie przy sztormowej pogodzie.

Drake wrócił do biurka i postukał mosiężnym cyrklem w zakreślone na mapie kółko.

- Na karcie, com ją znalazł w kajucie kapitana de Antona, zaznaczyłem niewielką zatoczkę ku południowi stąd, która, powinna być wolna od Hiszpanów. Pozeglujesz tam i wysadzisz na ląd hiszpańskich oficerów, tudzież wszystkich rannych. Z pozostałych wybierz dwudziestu chłopą w pełni zdrowia i skłoń ich, niechaj po dobrowoli popłyną z tobą. Dopilnuję, że będziesz miał oręża aż nadto, by trzymać ich w cuglach i nie pozwolić sobie wydrzeć statku.

Cuttill wiedział, że sprawa jest przesądzona; próby dyskusji z człkiem tak upartym jak Drake były z góry skazane na fiasko. Z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Postąpię, co zrozumiałe, wedle rozkazu.

Drake miał pewność na twarzy i ciepło w oczach.

- Thomasie, jeśli jest żeglarz zdolny doprowadzić do portu w Plymouth hiszpański galeon, nazywa się Cuttill. Pewien jestem, że królowej oczy wyjdą z orbit, gdy jej rzucisz do stóp swój ładunek.

- Wolalbym wszelako tobie zostawić tę przyjemność, kapitanie.

Drake serdecznie poklepał Cuttilla po ramieniu.

- Bez obawy, stary druhu. A kiedy „Złota Łania” wróci do kraju, masz na mnie czekać w porcie z dwiema dziewczkami u boków.

Nazajutrz o wschodzie słońca Cuttill kazał marynarzom rzucić cumy łączące oba statki. Trzymał pod pachą spowitą w płótno szkatułę, którą Drake kazał mu osobiście wręczyć królowej; kiedy zaniósł puzdro do kajuty kapitańskiej, zamknął w kabinecie i wrócił na pokład, „Nuestra Señora de la Concepción” majestatycznie oddalała się od „Złotej Łani”.

Zaczęto stawiać żagle w promieniach słońca tak purpurowych, jak - gotowi byli bożyć się marynarze obu statków - krew z przebitego serca. Mieli to za zły omen. Drake i Cuttill po raz ostatni pomachali sobie na pożegnanie i „Złota Łania” wzięła kurs na północny wschód. Cuttill odprowadzał ją spojrzeniem, aż stała się niewielkim ciemnym punkcikiem na horyzoncie. Nie podzielał pewności Drake'a; złe przeczucia przyprawiły go o skurcz w żołądku. Kilka dni później, zatopiwszy u brzegów wyspy Cano wiele ton srebra w sztabach i monetach, krzepka „Łania” i nieustraszony Drake popłynęli na północ, by najpierw dotrzeć do miejsca, które zyskało później nazwę wyspy Vancouver, następnie zaś, skręciwszy na zachód, kontynuować przez Pacyfik swój epicki rejs.

Daleko na południu „Concepción” zrobiła zwrot przez sztag i skierowała się wprost na wschód, by późnym wieczorem dnia następnego wpłynąć do zatoczki zaznaczonej przez Drake'a na hiszpańskiej mapie i rzucić w niej kotwicę. Kiedy wraz z nowym dniem zza Andów wychynęło słońce, Cuttill i jego ludzie dostrzegli na wybrzeżu wielką wioskę, liczącą zapewne tysiąc dusz z górą. Nie tracąc czasu, Cuttill polecił rozpocząć ewakuację Hiszpanów na brzeg, dwudziestu wszakże najzdadniejszym marynarzom zaproponował dziesięciokrotność ich dotychczasowej lafy za podjęcie pod jego komendą rejsu do Anglii, gdzie tuż po wylądowaniu mieli odzyskać wolność. Wszyscy zaciągnęli się z ochotą.

Tuż po południu Cuttill stał na pokładzie działowym, doglądając wyokrętowania, kiedy cały statek zaczął drżeć, jak gdyby potrząsała nim mocarna, gigantyczna dłoń. Wszystkie oczy natychmiast podniosły się na szczyty masztów; umocowane tam wążutkie proporczyki były jednak prawie nieruchome i tylko ich końce leniwie łopotwały w leciutkich powiewach wiatru. Potem, znów jak na komendę, spojrzenia powędrowały ku brzegowi, gdzie z podnóża Andów uniosła się olbrzymia chmura pyłu i jak się zdawało, podjęła wędrówkę w stronę morza. Potem ziemia zwarła się w konwulsjach, a towarzyszący temu gromowy ogłuszający ryk sięgnął

niebios. Oszołomieni żeglarze porozdziawiali gęby, widząc, jak wzgórza na wschód od wioski unoszą się najpierw, a potem opadają niczym grzywacze w zetknięciu z płycizną plaży.

Chmura kurzawy napłynęła nad wieś i połknęła ją jak szczuka pożera płotkę, ponad huk żywiołów wzniosły się wrzaski tubylców i grzechot ich obracających się w ruiny kamiennych i glinianych sadyb. Na pokładzie galeonu połowa protestanckich Anglików i cała bez wyjątku kompania katolickich Hiszpanów padła na kolana, zanosząc do Boga żarliwe modły o ratunek.

Po kilku minutach pył przesunął się nad statkiem i rzednącą chmurą popłynął w dal. Żeglarze z niewiarą w oczach spoglądali na usypisko gruzu, które niedawno jeszcze było wioską tętniącą życiem, i wsłuchiwali się w rozpaczliwe krzyki ludzi uwięzionych w ruinach. Szacowano później, że z kataklizmu ocalało jedynie pięćdziesiąt osób. Wysadzeni na brzeg Hiszpanie gorączkowo biegali plażą w tę i z powrotem, błagając, by zabrano ich z powrotem na statek. Cuttill wziął się w garść i głuchy na błagania podbiegł do relingu, omiatając morze uważnym spojrzeniem: lekko tylko pofalowane, było najzupełniej obojętne wobec tragedii wioski.

Nagle, pragnąc ze wszystkich sił pozostawić koszmar jak najdalej za sobą, Cuttill zaczął wykrzykiwać rozkazy do odpłynięcia; Hiszpanie i Anglicy, połączeni jednakim zapalem, jęli spieszenie stawiać żagle i hisować kotwicę. Tymczasem na brzegu ocalali mieszkańcy wioski obiegli kapitana de Antona i jego ludzi, zanosząc prośby o pomoc w ratowaniu przysypanych krewniaków, Hiszpanie wszakże myśleli jedynie o własnych żywotach.

Wówczas, wśród huku jeszcze potężniejszego niż poprzedni, ziemia zadrżała po raz wtóry, przy czym grunt falował jak monstrualny dywan, z którego olbrzym wytrząsa kurz. Tym razem morze powoli się cofnęło, obnażając dno i osadzając na nim „Concepción”. Marynarze - którzy bez wyjątku nie umieli pływać i w związku z tym żywili zabobonny lęk wobec wszystkiego, co kryje się pod wodą - popatrzyli z podziwem na tysiące ryb rzucających się niczym bezskrzydłe ptaki pośród skał i koralu. W konwulsyjnym tańcu śmierci podrygiwały rekiny, ośmiornice i miriady roziskrzonego wszystkimi barwami tęczy tropikalnego drobiazgu. Podmorski kataklizm spowodował pęknięcie skorupy ziemskiej, a towarzysząca mu fala wstrząsów tektonicznych doprowadziła do utworzenia się ogromnej depresji; wtedy nadeszła chwila, by oszalało z kolei morze, które zaczęło wdzierać się ze wszystkich stron, pragnąc jak najszybciej zawładnąć nową domeną. Woda piętrzyła się z

niewiarygodną szybkością i potrzeba było zaledwie paru chwil, aby miliony ton niszczycielskiego żywiołu wygarbiły się pod niebo na wysokość czterdziestu metrów w zjawisku znanym później jako tsunami.

Bezradni żeglarze nie mieli czasu, by chwycić się czegoś stałego, nawet najpobożniejsi z nich nie zdążyli się przeżegnać. Sparaliżowani i oniemiałi ze zgrozy na widok rosnącej przed ich oczyma białogrzywej zielonej ściany, mogli tylko stać i patrzeć, jak na nich napiera w potwornym zgiełku godnym diabelskiego konwentyku. Tylko Cuttill miał dość przytomności umysłu, żeby nurknąć pod pokład i opleść rękoma i nogami długi drewniany trzon steru. Ustawiona dziobem w kierunku monstrialnej fali „Concepción” przechyliła się do tyłu i niemal pionowo poszybowała ku nawisłemu grzbietowi, by w okamgnieniu zniknąć w spienionym piekle.

Pojmawszy statek w objęcia, rozpedzona masa wody poniosła go w stronę spustoszonego brzegu ze straszliwą zaiste prędkością. Większość marynarzy, przebywających na otwartych pokładach, została zmyta za burzę, by przepaść w odmętach bez śladu, nieszczęśnicy biegający po plaży i ci, co usiłowali wygramolić się z ruin, wyginęli jak mrówki porwane nurtem strumienia - żywi przed chwilą, przemienili się w zmasakrowane szczątki, gnane falą ku zboczom Andów. Cuttill, wczepiony w trzon steru jak huba w pień drzewa, miał wrażenie, że tkwi w głębi wodnej nawały już wieczność... od wstrzymywania oddechu zaczynały pękać mu płuca, kiedy z bolesnym skrzypem każdej belki w swoim szkielecie dzielny galeon utorował sobie drogę na powierzchnię. Cuttill nie potrafiłby określić, jak długo tkwili w szponach potwornego wiru; i w nim, i w kilku ocalałych jakimś cudem marynarzach zgroza narosła jeszcze bardziej na widok prastarych inkaskich mumii, które wypłynęły na powierzchnię i wianuszkami otoczyły statek. Wyszarpnięte przez kataklizm z jakiegoś zapomnianego cmentarzyska, zdumiewająco dobrze zachowane zwłoki pradawnych mieszkańców tej ziemi gapiły się swymi niewidzącymi oczodołami na skamieniałych żeglarzy, pewnych teraz, że spadło na nich szatańskie przekleństwo.

Cuttill usiłował poruszyć sterem, co było wszakże próbą bezsensowną, jako że pióro już dawno zostało urwane przez falę. Podjął zatem nieustępliwą walkę o życie, zwłaszcza że najgorsze jeszcze nie minęło. Wściekle rozhasana masa wody zaczęła wirować, obracając galeon z taką siłą, że ułamane maszty z trzaskiem runęły za burzę, oba działa zaś, wyrwawszy się z umocowań, ruszyły po pokładzie w dziki niszczycielski tan. Spieniona rozszalała lawina porwała jednego marynarza za drugim, aż na „Concepción” ostał się tylko Cuttill. Olbrzymi przyływ utorował sobie drogę na osiem

kilometrów w głąb łądu, wrywając drzewa z korzeniami i ciskając przed sobą wielkie głazy z taką łatwością, jakby to były kamyki wystrzeliwane z chłopięcej procy; całkowitemu spustoszeniu uległ obszar o rozmiarze stu kilometrów kwadratowych. Na koniec śmiercionośny lewiatan zderzył się z podnóżem Andów i stracił impet - liznąwszy dolne zbocza gór, począł się cofać z donośnym bulgotem i sykiem, pozostawiając po sobie zniszczenia historii nie znane.

Cuttill poczuł, że galeon nieruchomieje; spojrzął ponad pokładem działowym, lecz wśród plątaniny drewna i takielunku nie dostrzegł żywej duszy. Przez niemal godzinę obłapiał trzon steru, obawiające się powrotu zabójczej fali, wreszcie jednak zwolnił kurczowy uchwyt; sztywno wdrapał się na pokład rufowy i powiódł wokół siebie wzrokiem. Zdumiewające, ale „Concepción” bez najmniejszego przechyłu tkwiła wśród powalanej dżungli w odległości, jak oceniał Cuttill, trzech mil morskich od najbliższej wody.

Przetrwała dzięki swej krzepkiej konstrukcji oraz temu, że w chwili uderzenia fali była do niej zwrócona dziobem. Gdyby żywioł zaatakował ją od strony wyniosłego kasztelu rufowego, statek byłby został roztrzaskany w drzazgi. Przetrwała zatem, lecz przemieniona, we wrak, który już nigdy nie poczuje wody pod kilem. W miejscu ludnej wioski rozciągał się tylko opłukany ze wszelkich szczątków pas żółtego piasku, bliżej siebie jednak, wśród połamanych drzew dżungli, Cuttill dostrzegał porozrzucane ludzkie zwłoki, czasem zwieszające się groteskowo z poskręcanych gałęzi, czasem tworzące zwałowiska na trzy metry wysokie. Większość ciał była potwornie zmasakrowana. Cuttill długo nie mógł uwierzyć, że jest jedynym ocalałym z kataklizmu, daremnie jednak wypatrywał oczy w poszukiwaniu innej pozostałej przy życiu istoty ludzkiej.

Podziękował zatem Bogu za ratunek, poprosił Go o przewodnictwo, a potem przeanalizował sytuację. Skoro był rozbitkiem, rzuconym na brzeg krainy odległej od Anglii o czternaście tysięcy mil morskich, co więcej: krainy pozostającej we władaniu Hiszpanów, którzy jeśli tylko dostaną go w swoje łapska, radzi wezmą na tortury, a potem stracą - miał niewielkie zaiste szanse przetrwania. Nie widział żadnej możliwości powrotu do kraju drogą, morską. Uznał, że jedyną szansę powodzenia daje mu wędrówka przez Andy, a potem przebijanie się na wschód. Gdyby dotarł na wybrzeża Brazylii, miał jakąś szansę spotkania angielskich piratów, łupiących statki portugalskie.

Nazajutrz sporządził nosidło na swój kuferek, do którego załadował nieco



strawy i wody, dwa pistolety, funt prochu, zapas kul, krzesiwa i stali, kapciuch tytoniu, nóż, a wreszcie hiszpańską Biblię. Potem, w tym, co miał akurat na grzbiecie, zarzuciwszy nosidło na plecy, ruszył w stronę mgieł spowijających szczyty Andów. Kiedy rzucił ostatecznie spojrzenie na „Concepción”, zadał sobie pytanie, czy przypadkiem za kataklizm nie są jakimś cudem odpowiedzialni bogowie Inków.

„Odzyskali swoje relikwie - pomyślał - i pies im mordę lizał, niech je sobie trzymają”.

A kiedy wspomniał jaspisowe pudło z jego osobliwym wiekiem, doszedł do wniosku, że nie zazdrości następnemu, kto zechce nim zawładnąć.

26 września 1580 roku Drake triumfalnie przybił do Plymouth „Złotą Łanią”, pękającą w szwach od bogatych łupów, nie natrafił jednak na żaden ślad Thomasa Cuttilla i zdobycznego hiszpańskiego galeonu. Zysk ludzi, którzy zainwestowali w rejs, wyniósł 4700 procent, a udział przypadający królowej stał się podstawą późniejszej brytyjskiej ekspansji. Podczas wystawnej uczty na pokładzie „Złotej Łani” królowa Elżbieta wyniosła Drake'a do stanu szlacheckiego. Statek, który jako drugi opłynął kulę ziemską, stał się dla trzech kolejnych pokoleń atrakcją turystyczną. Historia nie mówi, czy w końcu spłonął, czy zmurszał, w każdym razie pewnego dnia zniknął w wodach Tamizy.

Sir Francis Drake kontynuował swoje wyprawy jeszcze przez szesnaście lat.

Podczas następnego rejsu zdobył portowe miasta Santo Domingo i Kartagenę, królowa zaś mianowała go wiceadmirałem. Był również burmistrzem Plymouth i członkiem parlamentu.

Potem, w 1588 roku, podjął zuchwały atak na hiszpańską Wielką Armadę. W 1596, podczas łupieżczej wyprawy na Morze Karaibskie, Drake zapadł na dyzenterię, zmarł i zapieczętowany w ołowianej trumnie miał swój morski pogrzeb opodal Portobelo w Panamie.

Aż do śmierci niemal każdego dnia łamał sobie głowę zniknięciem „Nuestra Señora de la Concepción” i tajemnicą zamkniętych w jaspisowym puzdrze pozwęźlanych sznurków.

**CZEŚĆ I**  
**KOŚCI I KOSZTOWNOŚCI**

10 października 1998 roku

Andy, Peru

1

Szkielet spoczywał na osadach dennych głębokiej sadzawki jak na miękkim materacu, ciemnymi nieruchomymi oczodołami wpatrywał się w górę, gdzie w odległości trzydziestu sześciu metrów, za gęstą, mętną zasłoną półmroku rozciągała się powierzchnia. Z klatki piersiowej szkieletu wystawił swój złowróźbny łebek niewielki wąż wodny, a potem odpłynął, wijąc się i wzbijając miniaturową chmurkę mułu. Czaszka z pozoru uśmiechała się okropnie, mściwie; jedna ręka, której łokieć ugrzązł w ile, sterczała prosto w górę i zdawało się, że kościstymi palcami przyzywa nieostrożnych.

Od dna sadzawki woda stopniowo jaśniała, zmieniając się z przygnębiająco szarobrazowej na zieloną jak zupa fasolowa; zabarwienie to nadawały jej glony rozmnażające się wściekle w tropikalnym upale. Kolistą krawędź sadzawki miała średnicę trzydziestu metrów, a strome ściany, opadające ku wodzie, wznosiły się na wysokość piętnastu metrów.

Człowiek lub zwierzę, które wpadłoby do sadzawki, nie miało szans wydostać się bez pomocy z zewnątrz. Była w owej wapiennej studni jakaś odpychająca szpetota, jakaś groźba, którą wyczuwały zwierzęta, nie zbliżające się nigdy do jej brzegów. Unosił się tu posępny odór śmierci, sadzawka stanowiła bowiem coś więcej aniżeli tylko studnię ofiarną, w której mroczne wody w czasach suszy i szczególnie gwałtownych burz ciskano żywcem w ofierze mężczyzn, kobiety i dzieci. Starożytne legendy i mity nazywały to miejsce domem złowieszczych bogów, domem, w którym miały miejsce wydarzenia niesamowite i niewiarygodne. Krążyły również opowieści o skarbach, o jaspisie, złocie i klejnotach, które rzucano do tej okropnej studni, aby przejednać bogów sprowadzających złą pogodę.

W 1964 roku dwaj pletwonurkowie pograżyli się w mrocznych głębinach i nigdy już nie wrócili. Nie podjęto próby wydobycia ich zwłok. Historia studni sięgała okresu kambryjskiego, kiedy cały ten region stanowił część prehistorycznego morza. W ciągu kolejnych epok geologicznych tysiące pokoleń skorupiaków i koralów żyło tu i umierało, a ich szkielety tworzyły olbrzymią masę wapienia i piasku, sprasowaną następnie w warstwę skały wapiennej i dolomitu o grubości dwóch kilometrów. Potem rozpoczął się zainicjowany sześćdziesiąt pięć milionów lat temu intensywny proces górotwórczy, który wypiętrzył Andy do ich obecnej wysokości. Deszcze,

spływające ze zboczy, stworzyły potężną warstwę wód podskórnych, które z wolna poczęły rozpuszczać wapień. W miejscu gdzie powstał większy zbiornik, woda przedzierała się w górę tak długo, aż nastąpił obwał powierzchni, tworząc studnię.

W wilgotnym powietrzu nad dżunglą otaczającą sadzawkę ogromny kondor szybował wielkimi, leniwymi kręgami, obserwując jednym beznamiętnym okiem grupę ludzi, krzątających się przy studni; jego długie szerokie skrzydła o rozpiętości trzech metrów unosiły się sztywno jak dwa rozłożone parasole, aby pochwycić prądy powietrza. Wielki czarny ptak z białą krezą i różowawym łbem unosił się bez najmniejszego wysiłku i uważnie studiował ruch na dole. Przekonany w końcu, że nie może z tej strony liczyć na żadną strawę, wspiął się na większą wysokość, aby poszerzyć obszar obserwacji, a potem w poszukiwaniu padliny poszybował na wschód.

Mnóstwo nie rozstrzygniętych kontrowersji otaczało świętą sadzawkę i oto teraz archeologowie zmobilizowali się w końcu, aby nurkując wydobyć skarb z jej nieodgadnionych głębin. Baza naukowców mieściła się na zachodnim zboczu wyniosłej grani peruwiańskich Andów, nieopodal ruin ogromnego miasta, którego kamienne budowle stanowiły część olbrzymiej konfederacji państw-miast, znanej jako Czaczapojja, podbitej przez imperium Inków około 1480 roku po Chrystusie.

Konfederacja Czaczapojja zajmowała obszar około czterystu kilometrów kwadratowych, a składające się na nią gospodarstwa rolne, świątynie i fortece kryły się teraz w niezbadanej dżungli porastającej zbocza gór. Ruiny owej wielkiej cywilizacji wskazywały na niewiarygodnie frapującą mieszanek kultur i korzeni kulturowych, w przeważnej mierze dotąd nie rozszyfrowaną. Czaczapojjańscy władcy czy też rady starszych, architekci, kapłani, żołnierze i pracujący ludzie miast i gospodarstw rolnych nie pozostawili po swoich żywotach dosłownie najmniejszego śladu; zagadką, którą również mieli rozstrzygnąć dopiero archeologowie, był system biurokracji rządowej, ustawodawstwo i praktyki religijne.

Doktor Shannon Kelsey, która spoglądała na uśpioną wodę ogromnymi orzechowymi oczyma, była zbyt podniecona, aby poczuć chociaż krztynę lęku. Ta niezmiernie urodziwa kobieta - szczególnie gdy zdobił ją odpowiedni strój i makijaż - charakteryzowała się nader chłodną i wyniosłą samodzielnością, którą większość mężczyzn uznawała za irytującą, zwłaszcza że fascynujące oczy najczęściej posyłały im spojrzenia kpiące i zuchwałe. Doktor Kelsey była blondynką o prostych jasnych włosach, związanych teraz w kucyk czerwoną chusteczką, jej mocno opalone ciało zaś,

opięte kostiumem z czarnej lycry, miało rozkosznie bujny kształt klepsydry z nieco bardziej rozbudowaną dolną częścią. Poruszała się z płynnym wdziękiem balijskiej tancerki. Doktor Kelsey zbliżała się do czterdziestki, a jej fascynacja kulturą Czaczapojów liczyła przynajmniej dziesięć lat. Podczas pięciu poprzednich ekspedycji prowadziła badania na najważniejszych stanowiskach archeologicznych tego regionu, oczyszczając wielkie budynki i świątynie starożytnych miast z agresywnie pochłaniającej je roślinności. Była cenioną w branży specjalistką od spraw kultury andyjskiej, a ich pełną chwały przeszłość tropiła z wielką osobistą pasją. Urzeczywistnienie marzeń o pracy w miejscach, gdzie owe tajemnicze i anonimowe ludy żyły i umierały, zawdzięczała stypendium z katedry archeologii

Uniwersytetu Stanowego Arizona.

- Nie ma sensu brać kamery wideo, jeśli widoczność nie poprawi się poniżej dwóch metrów - powiedział Miles Rodgers, fotograf, który dokumentował ekspedycję.

- A więc rób normalne zdjęcia - odparła stanowczo Shannon. - Chcę mieć zapis każdego nurkowania bez względu na to, czy będziemy cokolwiek widzieć, czy nie.

Trzydziestodziewięcioletni Rodgers, zdobny gęstą czarną czupryną i brodą, był starym zawodowcem od podwodnej fotografii i nieustannie uganiały się za nim wszystkie większe instytucje badawcze oraz podróźnicze, zainteresowane podmorskimi zdjęciami ryb czy raf koralowych. Jego wyśmienite zdjęcia wraków z czasów drugiej wojny światowej, spoczywających na dnie południowego Pacyfiku czy też skrytych w otchłaniach portów Morza Śródziemnego, zapewniły mu liczne branżowe nagrody i ogromny szacunek kolegów po fachu.

Wysoki, szczupły mężczyzna po sześćdziesiątce, z siwą brodą zarastającą połowę twarzy, przytrzymał butlę, aby Shannon mogła wsunąć ramiona pod szelki.

- Wolalbym, żebyś wstrzymała się z nurkowaniem, dopóki nie skończymy prac nad tratwą.

- To potrwa jeszcze dwa dni. Dzięki rozpoznawczemu nurkowaniu zyskamy na czasie.

- No więc poczekaj przynajmniej, aż zjedzie reszta zespołu nurków z uniwersytetu. Jeśli ty i Miles wpadniecie w tarapaty, nie będziemy mieli żadnego zaplecza.

- Nie ma się czym przejmować - odpowiedziała zuchwale Shannon. - Zrobimy z Milesem sondażowe nurkowanie, aby zbadać głębokość i warunki. Nie pozostaniemy pod wodą dłużej niż trzydzieści minut.

- I nie zejdziecie niżej niż na piętnaście metrów - ostrzegł siwy brodac.

Shannon uśmiechnęła się do kolegi po fachu, doktora Steve'a Millera z Uniwersytetu Pensylwanii.

- A jeśli na głębokości piętnastu metrów nie znajdziemy dna?

- Mamy przed sobą pięć tygodni. Nie ma teraz sensu działać gorączkowo i ryzykować wypadek. - Miller mówił spokojnie, lecz w jego głębokim głosie dała się słyszeć wyraźna nuta obawy. Jako jeden z czołowych antropologów swoich czasów, poświęcił trzydzieści minionych lat na rozgryzienie tajemnicy rozmaitych kultur, które rozwinęły się w górnych regionach Andów i sięgnęły wpływami dorzecza Amazonki. - Nie ryzykuj. Zbadaj warunki wodne i budowę ścian, a potem wracaj na powierzchnię. Shannon skinęła głową, napluła w maskę, a następnie rozmasowała ślinę na wewnętrznej stronie szkła, aby zapobiec jego zaparowaniu. Potem wypłukała maskę, korzystając w tym celu z wody z bukłaczka. Kiedy dopasowała swój kompensator pływalności i umocowała pas z ciężarkami, sprawdziła sprzęt Rodgersa, on zaś uczynił to samo z jej oporządzeniem.

Usatysfakcjonowana, że wszystko jest na miejscu, a ich cyfrowe komputery nurkowe zaprogramowane są właściwie, Shannon uśmiechnęła się do Millera.

- Do zobaczenia, doktorku. Przygotuj martini z lodem.

Antropolog nałożył im pod pachy uprząże z szerokiego gurtu, przymocowane do długich nylonowych linek, których końce trzymała grupka złożona z dziesięciu peruwiańskich studentów ostatniego roku archeologii, ochotniczo uczestniczących w ekspedycji.

- No to spuszczaście ich, dzieciaki - powiedział Miller do sześciu chłopców i czterech dziewcząt.

Młodzi ludzie popuszczali linę ręką za ręką, kiedy Shannon i Rogers, używając płetw jako odbijaczy, aby nie pokancerować się o ostre wapienne skały, zaczęli zjeżdżać do złowieszczej sadzawki. Mieli doskonały widok na gęstą zawieszinę pokrywającą jej powierzchnię: sprawiała wrażenie równie zachęcające jak wanna wypełniona zieloną flegmą.

Odór rozkładu był przytłaczający. Shannon poczuła, jak emocje, wywołane spotkaniem z nieznanym, gwałtownie przemieniają się w głęboki lęk. Kiedy od powierzchni dzielił ich metr, jednocześnie wsunęli ustniki pomiędzy zęby i pomachali widocznym znad krawędzi stawu pełnym obawy twarzom, a potem wyslizgnęli się z uprząży i zniknęli pod obrzydliwie śluzowatą powierzchnię sadzawki. Miller nerwowo

przemierzał obrzeże studni, zerkając co minutę na zegarek. Tych minut, bez najmniejszego znaku życia od płetwonurków, minęło już piętnaście.

Nagle zniknęły bąbelki z węży wydechowych ich aparatów. Miller gorączkowo przebiegał wzdłuż krawędzi studni. Czy znaleźli podwodną grootę i wpłynęli do środka? Odczekał dziesięć minut, potem dopadł pobliskiego namiotu i zniknął w środku. Niemal gorączkowo podniósł walkie-talkie i zaczął wzywać kwaterę główną ekspedycji, a zarazem jednostkę zaopatrzeniową, położoną w niewielkim miasteczku Chachapoyas, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na południe. Głos Juana Chaco, inspektora generalnego odpowiedzialnego za sprawy peruwiańskiej archeologii, a zarazem dyrektora Museo de la Nacion w Limie, rozległ się niemal natychmiast.

- Tu Juan. To ty, doktorku? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Doktor Kelsey i Miles Rogers uparli się, żeby zrobić w studni rozpoznawcze nurkowanie - odparł Miller. - Sądzę, że możemy mieć sytuację alarmową.

- Zeszli do studni, nie czekając na zespół płetwonurków z uniwersytetu? - zapytał Chaco osobliwie obojętnym tonem.

- Usiłowałem im to wyperswadować.

- Kiedy zeszli pod powierzchnię?

Miller ponownie zerknął na zegarek.

- Dwadzieścia siedem minut temu.

- Jak długo zamierzali pozostać na dole?

- Mieli wyjść po półgodzinie.

- Wciąż brakuje paru minut - westchnął Chaco. - Na czym więc polega problem?

- Od dziesięciu minut nie widać bąbelków powietrza z ich aparatów.

Chaco na sekundę wstrzymał oddech i przymknął oczy.

- To mi nie wygląda dobrze, przyjacielu. Tego nie było w naszych planach...

- Czy nie mógłbyś wysłać płetwonurków helikopterem? - zapytał Miller.

- To niemożliwe - odparł bezradnie Chaco. - Wciąż są w drodze z Miami. Samolot wylądaje w Limie dopiero za cztery godziny.

- Nie możemy pozwolić sobie na wciągnięcie w całą aferę tutejszych władz. A już na pewno nie teraz. Czy mógłbyś załatwić przerzut grupy ratowniczej w okolicy studni?

- Najbliższa baza marynarki wojennej znajduje się w Trujillo. Powiadomię komendanta bazy i zobaczymy, co da się zrobić.

- Powodzenia, Juanie. Będę czekać przy odbiorniku.

- Informuj mnie o rozwoju sytuacji.

- Masz to jak w banku - powiedział ponuro Miller.

- Przyjacielu?

- Tak?

- Wróć - powiedział głucho Chaco. - Rodgers to znakomity pletwonurek. Nie popełnia błędów.

Miller nic na to nie odrzekł, cóż zresztą mógłby odpowiedzieć? Przerwał połączenie z Chaco i pospiesznie wrócił do milczącej grupy studentów, którzy ogarnięci zgrozą wpatrywali się w powierzchnię studni.

W Chachapoya Chaco wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i otarł twarz. Był człowiekiem zorganizowanym. Nieprzewidziane problemy niezmiernie go irytowały. Jeśli tych dwoje durniów utopi się na własne życzenie, dojdzie do śledztwa zorganizowanego przez agentów rządowych. Mimo wpływów, jakimi cieszył się Chaco, mass media peruwiańskie niechybnie rozdmuchają całą historię, a konsekwencje tego faktu mogą okazać się katastrofalne.

- Tylko tego nam potrzeba - mruknął pod nosem. - Dwójki martwych archeologów w sadzawce.

Potem drżącymi dłońmi zaczął manipulować pokrętłami nadajnika radiowego, wysyłając pilne żądanie pomocy.



Minęła godzina i czterdzieści pięć minut, odkąd Shannon i Miles pograżyli się w ofiarnej studni. Każda próba ratunku byłaby w tej chwili pustym gestem. Nic nie mogło ich uratować; musieli być martwi, skoro ich zapasy powietrza wyczerpały się już dawno temu. Dwie kolejne ofiary na bardzo długiej liście osób, które w ciągu stuleci zniknęły bez śladu w posępnej wodzie.

Głosem rozgorączkowanym i zdesperowanym Chaco poinformował Millera, że peruwiańska marynarka wojenna nie jest przygotowana do akcji ratowniczej. Jej pododdział ratownictwa wodnego przebywał na ćwiczeniach daleko na południu Peru, w pobliżu granicy z Chile, przerzucenie zatem ludzi i sprzętu w pobliże studni ofiarnej było niemożliwe przed zachodem słońca. Chaco, równie bezradny jak Miller, podzielał jego irytację tak długim czasem oczekiwania na reakcję marynarki, ale byli przecież w Ameryce Południowej, gdzie nigdy nikt się nie spieszy.

Pierwsza usłyszała to jedna ze studentek; przyłożyła do uszu stulone dłonie i zaczęła obracać głowę jak antenę radarową.

- Helikopter - oznajmiła z podnieceniem, wskazując ku zachodowi nad wierzchołkami drzew.

Wszyscy zgromadzeni wokół stawu nastawili uszu: słaby łomoczący dźwięk łopat tnących powietrze nabierał mocy z każdą chwilą. Minutę później w polu widzenia pokazał się turkusowy śmigłowiec z wymalowanym na boku wielkim napisem NUMA.

„Skąd się wziął?” - zadał sobie pytanie Miller, podniesiony nieco na duchu.

Śmigłowiec nie miał oznaczeń peruwiańskiej marynarki wojennej, musiał być zatem samolotem prywatnym. Szczyty okolicznych drzew przygięły się jak trzciny, gdy śmigłowiec zaczął schodzić do lądowania na niewielkiej polance obok studni. Płazy wciąż jeszcze wisały w powietrzu, kiedy otworzyły się drzwiczki i na ziemię sprężyście wyskoczył wysoki mężczyzna o falistych czarnych włosach. Ignorując młódź, podszedł wprost do antropologa.

- Doktor Miller?

- Tak, jestem Miller.

Nieznajomy mężczyzna, którego twarz zdobił ciepły uśmiech, wyciągnął sękatą dłoń.

- Przykro mi, że nie mogliśmy przybyć wcześniej.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Dirk Pitt.

- Jest pan Amerykaninem - stwierdził Miller, spoglądając w surową twarz i oczy, które zdawały się uśmiechać.

- Dyrektor Wydziału Programów Specjalnych w Amerykańskiej Agencji Badań Podwodnych. Jak rozumiem, dwoje pańskich płetwonurków zaginęło w podwodnej grocie.

- W studni ofiarnej - poprawił go Miller. - Doktor Shannon Kelsey i Miles Rodgers zeszli pod wodę dwie godziny temu i do tej chwili nie wypłynęli na powierzchnię.

Pitt podszedł do krawędzi sadzawki, spojrzął na nieruchomą wodę i szybko doszedł do wniosku, że warunki do nurkowania są paskudne. Sadzawka, z zielonym śluzem przy brzegu, w środku była czarna jak smoła i sprawiała wrażenie bardzo głębokiej. Nic nie wskazywało na to, iż operacja może zakończyć się czymś innym aniżeli wydobyć zwłok.

- Niezbyt zachęcające - powiedział z zadumą.

- Skąd przylecieliście? - zapytał Miller.

- NUMA prowadzi podwodne badania geologiczne opodal wybrzeża, na zachód od tego miejsca. Ponieważ sztab peruwiańskiej marynarki wojennej przesłał drogą radiową prośbę, aby wysłać płetwonurków z misją ratowniczą, odpowiedzieliśmy na wezwanie. Najwyraźniej jako pierwsi...

- Jakim cudem naukowcy mogą przeprowadzić akcję ratowniczą w takiej dziurze? - warknął Miller, ogarnięty nagłą złością.

- Nasz statek badawczy wyposażono w niezbędny sprzęt ratowniczy - wyjaśnił beznamyślnie Pitt - a ja nie jestem naukowcem, lecz inżynierem oceanografem. Przeszedłem wprawdzie ledwo kilka treningów w ratownictwie podwodnym, ale jestem całkiem niezłym płetwonurkiem.

Zanim zniechęcony Miller zdołał cokolwiek odpowiedzieć, silnik śmigłowca zamarł. Wirnik znieruchomiał, a przez drzwi przecisnął się niski mężczyzna o szerokich ramionach i potężnej piersi dokera. Pod każdym względem stanowił fizyczne przeciwieństwo wysokiego, szczupłego Pitta.

- Mój przyjaciel i współpracownik, Al Giordino - przedstawił Pitt.

Giordino skinął głową zwieńczoną masą ciemnych, kędzierzawych włosów i powiedział po prostu:

- Cześć.

Miller ominął ich wzrokiem, zerknąwszy przez szybę do wnętrza helikoptera stwierdził, iż nie ma tam nikogo więcej, po czym jęknął z rozpaczą:

- Tylko dwóch, zaledwie dwóch! Dobry Boże, będzie trzeba co najmniej tuzina, żeby wydobyć ich na powierzchnię.

Pitta w najmniejszym stopniu nie zirytował wybuch Millera. Z pełnym tolerancji zrozumieniem spoglądał na antropologa swoimi zielonymi, opalizującymi oczyma, które zdawały się mieć w sobie coś elektryzującego.

- Niech mi pan zaufa, doktorze - powiedział tonem wykluczającym dalszą dyskusję. - Al i ja potrafimy uporać się z robotą.

W ciągu kilku minut, po krótkiej naradzie, Pitt był gotów zejść do studni. Nałożył zakrywającą całą twarz maskę, typu EXO-26 z egzotermicznym regulatorem dopływu powietrza, odpowiednią dla zanieczyszczonych wód; jej słuchawki zostały podłączone do MK1-DCI, radionadajnika dla płetwonurków. Na plecach dźwigał dwie butle o pojemności trzech tysięcy litrów i kompensator pływalności oraz cały zestaw najrozmaitszych instrumentów, informujących o głębokości, ciśnieniu powietrza i kierunkach geograficznych.

Giordino podłączył jedno pasmo nylonowej linki Kermantle do słuchawki, a drugie - do karabińczyka, przymocowanego do pasa Pitta. Główna część owej liny została nawinięta na wielki kołowrót zainstalowany w helikopterze, nitka łączności zaś - do wzmacniacza z głośnikiem. Dokonawszy ostatniego przeglądu ekwipunku Pitta, Giordino poklepał przyjaciela po głowie i powiedział do mikrofonu:

- Wygląda na to, że wszystko w porządku. Słyszysz mnie?

- Jakbyś siedział w mojej czaszce - odparł Pitt, a jego odpowiedź przez głośnik usłyszeli wszyscy. - A ty mnie słyszysz?

Giordino skinął głową.

- Czysto i wyraźnie. Będę śledzić przebieg twojej dekompresji i całe nurkowanie.

- Zrozumiałem.

- Liczę, że będziesz na bieżąco informować mnie o sytuacji.

Pitt owinał linkę wokół ramienia i uchwycił ją oburącz, potem zza szkła maski puścił oko do Ala.

- Zaczynamy imprezę.

Giordino wydał gestem polecenie czwórce studentów Millera, którzy zaczęli odkręcać kołowrót. Podczas gdy Shannon i Miles zjeżdżali na dół objijając się o ściany

studni, Giordino przewiesił koniec nylonowej liny przez kikut obumarłego drzewa, sterczący na dwa metry od pionowej ściany przepaści, dzięki czemu Pitt zjeżdżał na dół, nie dotykając wapiennych występów. Miller pomyślał, że jak na człowieka, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wysła przyjaciela na spotkanie z przedwczesną śmiercią, Giordino sprawia wrażenie niewiarygodnie spokojnego i pewnego siebie. Miller nie znał Pitta i Giordina, nigdy nie słyszał o tej legendarnej parze, nie mógł zatem wiedzieć, że są zgoła niezwykłymi ludźmi z dwiema dekadami lat awanturniczego żywota na koncie. Ludźmi, którzy rozwinęli w sobie do nieprawdopodobnych granic wycucie w kwestii oceny szans przetrwania. Mógł tylko sfrustrowany przyglądać się czemuś, co miał za próbę z góry skazaną na fiasko. Wychyliwszy się znad krawędzi, spoglądał ze skupieniem, jak Pitt przybliży się do pokrytej zielonym paskudztwem powierzchni wody.

- Miło to wygląda? - zapytał Giordino.

- Niczym przecierana zupa fasolowa mojej babci - odparł Pitt.

- Nie radzę kosztować.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Stopy Pitta pograżyły się w płynnym śluzie. Kiedy kozuch zamknął się nad jego głową, Giordino poluzował linkę asekuracyjną, aby dać nurkowi swobodę ruchu. Temperatura wody była zaledwie dziesięć stopni niższa niż temperatura przeciętnej gorącej kąpieli. Pitt zaczął oddychać przez aparat, złożył się w scyzoryk, machnął płetwami i zanurkował w mroczny świat śmierci. Poczul ucisk w uszach, prychnął więc, aby wyrównać ciśnienie.

Włączył latarkę, ale tryskający z niej snop światła ledwie przedzierał się przez mrok. Potem, zupełnie nagle, ze zgęstniałych ciemności wpłynął w krystaliczną otchłań czystej wody. Światło, zamiast jak dotąd odbijać się od zawiesiny z glonów, nagle wystrzeliło w dal. Ta nagła przemiana, która dokonała się poniżej warstwy zanieczyszczeń, oszołomiła Pitta na moment. Poczul się tak, jakby płynął w powietrzu.

- Mam doskonałą widoczność na głębokości czterech metrów - zameldował.

- Są jakieś ślady po tamtych płetwonurkach?

Pitt powoli zatoczył pełny krąg.

- Nie, żadnych.

- Czy widzisz dokładnie dno?

- Zupełnie dobrze - odparł Pitt. - Woda jest przezroczysta jak szkło, ale dość ciemna.

Śmieci na powierzchni zatrzymują jakieś siedemdziesiąt procent promieni słonecznych. Przy ścianach jest dosyć ciemno, będę musiał więc schodzić po spirali, żeby nie przegapić zwłok.

- Luz na linie jest odpowiedni?

- Utrzymuj lekkie napięcie, ale takie, żeby mnie nie ograniczało, kiedy będę chciał zejść niżej.

Przez następne dwanaście minut Pitt krążył równoległe do stromych ścian studni, badając każde zagłębienie i schodząc w dół po ogromnym korkociągu. Powstałą setki milionów lat temu wapienną skałę zdobiły mineralne abstrakcyjne wzory. Płynął poziomo, leniwymi, powolnymi ruchami, omiatając przestrzeń przed sobą światłem latarki. Złudzenie, że unosi się nad bezdenną przepaścią, było przytłaczające.

Na koniec znalazł się nad dnem sadzawki ofiarnej. Nie było tu żadnego piasku ani życia roślinnego, zaledwie nierówny spłacheć szpetnego brązowego mułu poprzecinany tu i ówdzie skupiskami szarawych kamieni.

- Mam dno na nieco ponad trzydziestu sześciu metrach głębokości. Wciąż ani śladu Kelsey i Rogersa.

Na brzegu Miller posłał Ałowi Giordino oszołomione spojrzenie.

- Muszą gdzieś tam być. Niemożliwe, żeby po prostu zniknęli.

W dole Pitt posuwał się nad dnem powolnymi uderzeniami płetw, starając się trzymać dobry metr nad kamieniami, a w szczególności nad mułem, który poruszony mógłby zredukować widoczność do zera. Wzniesiony tuman szlamu potrafi unosić się nad dnem przez kilka godzin. Pitt mimo woli zadrzał. Woda stała się nieprzyjemnie zimna, kiedy wszedł w jej chłodniejszą warstwę, poniżej przypowierzchniowej, ogrzewanej jeszcze przez słońce. Przestał pracować płetwami i zwiększywszy nieco swoją pływalność za pomocą kompensatora, zastygł ukośnie z głową nieco niżej niż nogi.

Ostrożnie wysunął przed siebie ramiona i delikatnie pogrążył dłonie w brązowym mułe: palce dotknęły skalistego podłoża, zanim szlam sięgnął nadgarstków. Pitt uznał za osobliwe, że warstwa mułu jest tak płytka. Po niezliczonych stuleciach erozji ścian tej studni, skaliste dno powinna pokrywać warstwa przynajmniej dwumetrowej grubości. Zawisł nieruchomo i pozwolił unosić się wodzie nad czymś, co sprawiało wrażenie sterczących z mułu wybielonych gałęzi. Chwyciwszy jedną z nich, o dziwnie rosochatym kształcie, wyrwał ją z dna i stwierdził,

że trzyma w ręku ludzki kręgosłup.

- Odezwij się - w słuchawkach zabrzmiał głos Giordina.

- Trzydzieści siedem metrów - odparł Pitt, odrzucając znalezione. - Dno sadzawki jest wysypiskiem kości. Musi tu być rozrzuconych ze dwieście szkieletów.

- Ani śladu zwłok?

- Jeszcze nie.

Pitt poczuł, jak lodowate ciarki przebiegają mu po plecach, kiedy wypatrzył szkielet, którego koścista ręka godziła w ciemność. Obok klatki piersiowej leżał przerdzewiały napierśnik, czerep zaś ciągle okrywało coś, w czym Pitt domyślił się szesnastowiecznego hiszpańskiego hełmu.

- Powiedz doktorowi Millerowi, że znalazłem tu starego hiszpańskiego truposza w hełmie i napierśniku - zameldował o swoim spostrzeżeniu Ałowi Giordino. Potem, jak gdyby przyciągane niewidzialną siłą, jego oczy podążyły w kierunku wskazanym przez wyciągniętą trupią rękę.

Spoczywał tam inny umarłak, nieporównanie świeższej daty: był to chyba mężczyzna, miał podwinięte pod siebie nogi i odrzuconą do tyłu głowę, a rozkład nie zdążył jeszcze zniweczyć ciała - korpus znajdował się w stanie saponifikacji; mięsiste tkanki i organy przemieniły się w jędrną, mydlową substancję.

Drogie buty turystyczne, czerwona apaszka owinięta wokół szyi i indiański pas ze srebrną klamrą wyłożoną turkusami ułatwiły stwierdzenie, że człowiek ten nie był miejscowym wieśniakiem. Kimkolwiek jednak był, nie umarł młodo: w wodzie poruszonej przez Pitta falowały kosmyki długich siwych włosów i brody. Szeroka rana na szyi ukazywała dowodnie, że przyczyną śmierci nie było utonięcie.

W świetle latarki zabłysł złoty pierścień z dużym żółtym kamieniem i Pitt pomyślał, że pierścień ów może się przydać do zidentyfikowania zwłok. Walcząc z torsjami, bez trudu przeciągnął pierścień przez kostkę gnijącego palca, niemal przy tym oczekując, że lada chwila zjawi się jakaś nierzeczywista postać i nazwie go strzygą. Mimo obrzydzenia przeciągnął pierścieniem po mule, aby usunąć resztki poprzedniego właściciela, a potem wsunął na palec, żeby go nie zgubić.

- Mam jeszcze jednego - powiadomił Giordina.

- Płetwonurek czy następny stary Hiszpan?

- Ani jeden, ani drugi. Ten ma chyba z parę miesięcy.

- Chcesz go wyciągnąć? - zapytał Giordino.

- Jeszcze nie. Poczekajmy, aż znajdziemy ludzi doktora Millera... - Pitt urwał

nagle, kiedy szarpnęła nim olbrzymia masa wody, która wdarła się do sadzawki z niewidzialnego korytarza w przeciwległej ścianie, wznecając dookoła kłęby mułu. Byłby poleciał na łeb, na szyję, gdyby nie lina asekuracyjna, ale i tak ledwie zdołał utrzymać w dłoni latarkę.

- To było szarpnięcie jak cholera - powiedział z troską Giordino. - Co się dzieje?

- Uderzył mnie potężny przyływ znikąd - odparł Pitt, rozluźniając się i pozwalając, by unosił go prąd. - I to wyjaśnia, dlaczego warstwa mułu jest taka płytka. Co jakiś czas splukuje ją ta turbulencja.

- Przypuszczalnie źródłem jest system wód podziemnych, w którym narasta ciśnienie, rozładowujące się w pływach co jakiś czas - zasugerował Giordino. - Mamy cię wyciągać?

- Nie, zostawcie. Widoczność jest zerowa, ale nie wygląda na to, żeby groziło mi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Powoli opuszczaj linę; zobaczymy, dokąd zanieś mnie prąd. Musi mieć jakieś ujście.

- To zbyt niebezpieczne. Możesz gdzieś się zahaczyć i wpaść w pułapkę.

- Nie, jeśli nie dopuszczę do splątania liny - odparł nonszalancko Pitt.

Na powierzchni Giordino spojrzał na zegarek.

- Jesteś na dole już szesnaście minut. Jak tam powietrze?

Pitt podsunął ciśnieniomierz pod szkło maski. W wirującym mule ledwo dostrzegał wskazówkę.

- Wystarczy jeszcze na dwadzieścia minut.

- Dam ci dziesięć. Potem, biorąc pod uwagę głębokość, na której się znajdujesz, będziesz potrzebował przystanków dekompresyjnych.

- Ty tu rządzisz - odparł zgodliwie Pitt.

- Jak tam sytuacja?

- Jestem wciągany stopami do przodu w wąski tunel. Mogę dotknąć ściany. Dobrze, że mam linę asekuracyjną. Płynięcie pod prąd byłoby niemożliwe.

Giordino zwrócił się do Millera.

- Chyba możemy się już domyślić, co się stało z pańskimi płetwonurkami.

- Ostrzegałem ich. - Miller gniewnie pokręcił głową. - Mogli uniknąć tragedii, gdyby nie zeszli tak głęboko.

Pitt odnosił wrażenie, że jest wsysany w wąską szparę już niemal godzinę, podczas gdy w istocie trwało to zaledwie dwadzieścia sekund. Chmura pyłu lekko zrzędała, ponieważ większość pozostała w głębokiej sadzawce, którą miał za sobą.

Począł wyraźniej dostrzegać otoczenie. Kompas informował go, że jest niesiony w kierunku południowo-wschodnim. Potem ściany nagle się rozeszły, tworząc ogromną zalaną wodą grootę. Gdzieś w prawo i poniżej siebie Pitt dostrzegł przez moment jakiś krótki błysk: coś metalowego mętnie odbijało przygaszone przez muł światło jego latarki. Była to porzucona butla tlenowa. W pobliżu leżała druga. Pitt podpłynął do nich i popatrzył na zegary wskazujące ciśnienie. Wskazówki stały na zerze. Powiódł dookoła siebie snopem światła latarki, oczekując, że dostrzeże zwłoki unoszące się jak zjawy w ciemnej otchłani.

Bardzo zimna na tej głębokości woda wyssała z Pitta sporo sił. Poczul, że jego ruchy stają się ospałe, i choć głos Giordina dochodził ze słuchawek równie doskonale jak przedtem, słowa wydawały się już znacznie mniej wyraźne. Pitt - a raczej jakaś inna osoba, okupująca jego mózg - wydał sobie instrukcje, aby sprawdzać na bieżąco liczniki, linę asekuracyjną i kompensator pływalności. Zmusił się do pracy. Pomyślał, że ciała mogły zostać zepchnięte do jakiegoś bocznego tunelu, ale w wyniku pospiesznego przeszukania znalazł zaledwie parę porzuconych płetw. Skierował światło w górę i dostrzegł migotanie powierzchni, co sugerowało, że pod sklepieniem grotu znajduje się kieszeń powietrzna. Dostrzegł również parę białych stóp.



Być uwięzionym z dala od zewnętrznego świata w pułapce wiecznej ciszy, oddychać krztyną powietrza liczącego kilka milionów lat, tkwić w tej głębokiej ciemności, jaką można znaleźć tylko daleko pod powierzchnią ziemi - to doświadczenie tak przeciwne naturze ludzkiej, tak upiorne, że nie można go sobie wyobrazić. Zgroza, umierania w podobnych warunkach może stać się źródłem koszmarów nie mniejszych niż te, jakie niesie perspektywa pobytu w zamkniętej szafie z kłębowiskiem żmij. Kiedy minęła początkowa panika i w niewielkim stopniu wróciła zdolność logicznego myślenia, zniknęła zarazem wszelka nadzieja, jaką na przeżycie mogli mieć Shannon i Rodgers; niebawem powietrze w ich butlach wyczerpało się do cna, a w bateriach latarek zagasła ostatnia iskierka życia. Powietrze w niewielkiej kieszeni rychło stało się ciężkie i zatęchłe od ich własnych oddechów. Oszołomieni niedoborem tlenu pojęli, że cierpienia dobiegną kresu dopiero wtedy, kiedy podwodna grota stanie się ich grobowcem. Prąd wessał ich tu w chwili, kiedy Shannon z podnieceniem zeszła na dno studni, dostrzegłszy cmentarzysko kości. Rodgers wiernie za nią podążył i wyczerpał wszystkie siły podczas gorączkowych usiłowań, by umknąć prądowi. Resztkę powietrza roztrwonili w daremnej próbie znalezienia wyjścia z komory. Nie było żadnego wyjścia, żadnej drogi ucieczki. Mogli tylko dryfować w mroku, podtrzymywani przez kondensatory pływalności, i czekać na śmierć.

Rodgers mimo całej swojej ikry był w kiepskim stanie, a Shannon zachowała ledwie wątłą nitkę świadomości, kiedy nagle dostrzegła przed sobą migotanie światła; potem w ich kierunku wystrzelił jasny, żółty snop. Czy jej oszołomiony mózg płatał takie figle? Czy to nie zbyt wielka zuchwałość budzić w sobie iskierkę nadziei?

- Znaleźli nas - powiedziała wreszcie bez tchu, gdy światło zbliżyło się do niej jeszcze bardziej.

Rodgers, którego twarz była pobrużdżona i szara ze zmęczenia i rozpacz, patrzył tępo, nie reagował. Brak powietrza nadającego się do oddychania i przytłaczająca ciemność wpędziły go niemal w stan letargu. Miał otwarte oczy, wciąż oddychał i - rzecz zupełnie niewiarygodna - nadal ścisnął w dłoni aparat fotograficzny. Zdawało mu się, że wkracza w tunel opisywany przez ludzi, którzy wrócili ze świata śmierci; tunel, na którego końcu jaśnieje światło.

Shannon poczuła, że jakaś dłoń łapie ją za stopę; potem z wody, w odległości wyciągniętego ramienia, wynurzyła się ludzka głowa. Jaskrawy blask oślepił Shannon

na chwilę, później przeniósł się na twarz Rodgersa. Zorientowawszy się w okamgnieniu, które z tych dwojga jest w gorszej formie, Pitt sięgnął pod pachę, wyjął dodatkowy ustnik, połączony trójnikiem z dwoma zaworami przy butlach, i szybko wsunął go pomiędzy wargi Rodgersa. Potem podał Shannon rezerwową małą butlę i aparat oddechowy, który miał przymocowany do paska. Wystarczyło kilka oddechów, aby dokonała się cudowna poprawa nastroju i fizycznego samopoczucia tej dwójki: Shannon zarzuciła Pittowi ramiona na szyję, a ożywiony Rodgers z takim zapalem zaczął potrząsać jego dłonią, że omal nie zwichnął mu nadgarstka. Wszystkich troje ogarnęła euforia ulgi i podniecenia.

Dopiero kiedy Pitt zorientował się, że Giordino wrzeszczy w słuchawki domagając się meldunku o rozwoju wydarzeń, oznajmił krótko:

- Powiedz doktorowi Millerowi, że znalazłem jego zbłąkane owieczki. Są żywe. Powtarzam, są żywe i zdrowe.

- Masz ich?! - wybuchł Giordino w słuchawce Pitta. - Nie zginęli?

- Mają odrobinę pobladłe skrzela, ale poza tym są w dobrej formie.

- Jak to możliwe? - wymamrotał z niedowierzaniem Miller.

Giordino skinął głową.

- Doktor chce wiedzieć, jakim cudem uchowali się przy życiu.

- Prąd zniósł ich do groty z kieszenią powietrzną w kopule. Szczęśliwym trafem zjawiłem się wtedy, kiedy się zjawiłem. Za kilka minut zużyliby resztki tlenu.

Jego oświadczenie oszołomiło ludzi zebranych nad brzegiem studni. Gdy dotarł do nich sens informacji, na każdej twarzy odmalowało się uczucie ulgi, a po kamiennych ruinach starego miasta poniosły się echem wiwaty i oklaski. Miller odwrócił się tyłem, jak gdyby ocierał łzy, a Giordino uśmiechał się, uśmiechał i uśmiechał. W grocie Pitt dał gestami znać, że nie może zdjąć maski i podjąć rozmowy. Pokazał, że będą musieli porozumiewać się na migi. Shannon i Rodgers skinęli głowami, a wtedy Pitt zaczął opisywać im procedurę ewakuacji. Zaginieni pletwonurkowie porzucili wprawdzie cały zbędny sprzęt, wyjąwszy maski i kompensatory pływalności, Pitt miał jednak pewność, że bez najmniejszych komplikacji zostaną wszyscy troje wyciągnięci pod prąd przez wąski tunel na jego linii asekuracyjnej z przewodem telekomunikacyjnym. Wedle specyfikacji technicznej podanej przez producenta, połączone linka asekuracyjna i kabel mogły utrzymać ciężar do trzech ton. Gestem polecił Shannon owinąć rękę oraz nogę wokół linki, przyjąć pozycję czołową i oddychać z małej butli. Rodgers miał iść jako drugi, podczas

gdy Pitt - strzec tyłów, w takiej odległości od Rodgersa, aby móc podawać mu zapasowy ustnik.

Upewniwszy się, że oprzytomnieli już zupełnie i nie mają kłopotów z oddychaniem, poinformował Giordina:

- Jesteśmy gotowi do ewakuacji.

Giordino zamilkł na chwilę, spoglądając przeciągle na studentów archeologii, którzy zaciskali dłonie na linie asekuracyjnej, jak gdyby szykowali się do zabawy w jej przeciąganie. Widząc zniecierpliwienie na wszystkich twarzach, szybko zdał sobie sprawę, że będzie musiał hamować ich entuzjazm i podniecenie, w przeciwnym bowiem razie mogą pociągnąć z takim zapalem, że płetwonurkowie wyłonią się z wąskiego korytarza przemieleni jak hamburgery.

- Bądź gotów, podaj mi głębokość.

- Nieco ponad siedemnaście metrów. Jestem zatem wyżej niż dno sadzawki. Zostaliśmy wessani w korytarz, który podniósł się o dwadzieścia metrów.

- Ty jesteś na granicy, ale tamci wyczerpali swój czas i limity ciśnieniowe. Przeliczę to sobie i podam ci informację o przystankach dekompresyjnych.

- Staraj się tak obliczyć, żeby nie były zbyt długie. Kiedy awaryjna butla się wyczerpie, będziemy we trójkę potrzebowali zaledwie paru chwil, żeby wykończyć powietrze z mojego aparatu.

- Tym się nie przejmuj. Jeśli nie będę trzymać tych małych za kołnier, wyskoczą na powierzchnię jak pocisk armatni.

- No, spróbuj przeprowadzić to niezbyt brutalnie.

Giordino uniósł rękę.

- Zasuwamy! - krzyknął do studentów.

- Niechaj zaczną się igrce - powiedział z humorem Pitt.

Lina asekuracyjna się naprężyła i rozpoczął się długi powolny hol. Do poszumu wody pędzącej przez korytarz dołączył teraz gulgot bąbelków powietrza z aparatów oddechowych. Pitt nie miał do roboty nic poza trzymaniem liny, zrelaksował się więc i rozluźnił całkowicie, pozwalając, aby jego bierne ciało ciągnięto jak wór pod prąd podwodnej rzeki, gnającej wąską rozpadliną niczym powietrze przez zwężkę Venturiego. Nieco jaśniejsza woda w sadzawce, w której unosiły się tumany mułu, wydawała się odległa o wiele kilometrów. Czas utracił znaczenie i Pitt nie mógł pozbyć się wrażenia, iż nurkuje już od wieków; tylko spokojny głos Giordina nie pozwalał mu zatracić do końca kontaktu z rzeczywistością.

- Krzycz, gdybyśmy holowali zbyt szybko.

- Na razie wygląda to nieźle - odpowiedział Pitt, słysząc, jak jego butle ocierają się zgrzytliwie o sklepienie tunelu.

- Jak oceniasz prędkość prądu?

- Około ośmiu węzłów.

- Nic dziwnego, że wasze ciała stawiają taki opór. Mam tu dziesięciu małych, którzy zdzierają sobie ręce do kości.

- Sześć metrów i jesteśmy w sadzawce - poinformował go Pitt.

Minutę, a może półtorej minuty później, kurczowo zaciskając dłonie na linie, aby nie wessał ich słabnący teraz prąd, znaleźli się w chmurze mułu, skłębionego na dnie studni ofiarnej. Jeszcze minuta i byli poza zasięgiem prądu, w przezroczystej wodzie. Pitt podniósł głowę; na widok światła przesączającego się przez zieloną warstwę glonów poczuł przemożną ulgę.

Giordino zorientował się, że są już poza zasięgiem prądu, bo napięcie liny nagle zelżało. Poleciał wstrzymać holowanie i wprowadził do laptopa dane dotyczące dekompresji. W wypadku Pitta jeden ośmiominutowy postój zapobiegłby jakimkolwiek zagrożeniu chorobą kesonową, para archeologów jednak musiała mieć przystanki znacznie dłuższe. Przebywali pod wodą ponad dwie godziny, na głębokościach pomiędzy siedemnaście a czterdzieści siedem metrów, potrzebowali zatem przynajmniej dwóch postojów, trwających w sumie ponad godzinę. A ile powietrza zostało w butlach Pitta? Kwestia życia i śmierci. Na dziesięć minut? Piętnaście? Dwadzieścia? Na poziomie morza, przy ciśnieniu jednej atmosfery, ciało zdrowego człowieka zawiera mniej więcej jeden litr rozpuszczonego azotu. Kiedy człowiek wdycha większe ilości powietrza pod ciśnieniem wody, absorpcja azotu zwiększa się do dwóch litrów przy dwóch atmosferach na dziesięciu metrach głębokości, trzech litrów zaś przy trzech atmosferach na głębokości trzydziestu metrów i tak dalej. W trakcie nurkowania nadmiar azotu raptownie rozpuszcza się we krwi i rozprowadzany po całym ciele, odkłada się w tkankach. Kiedy nurek zaczyna wychodzić na powierzchnię, sytuacja się odwraca, ale tym razem proces przebiega znacznie wolniej. W miarę zmniejszania się ciśnienia, nadmiar azotu dociera do płuc i jest eliminowany przez respirację. Jeśli nurek wychodzi na powierzchnię zbyt szybko, normalne oddychanie nie może uporać się z problemem i we krwi, tkankach i stawach tworzą się bąbelki azotu, powodując chorobę dekompresyjną, lepiej znaną jako choroba kesonowa, która w ciągu minionych stu lat uczyniła kalekami bądź też zabiła

tysiące nurków. Wreszcie Giordino odstawił komputer i wezwał Pitta.

- Dirk?

- Słyszę.

- Złe wieści. W twoich butlach nie ma dość powietrza, aby dama i jej przyjaciel mogli odbyć niezbędne przystanki dekompresyjne.

- Może byś się zdobył na większą oryginalność - zaripostował Pitt. - Co z zapasowymi butlami w śmigłowcu?

- I tu nam nie dopisało szczęście - jęknął Giordino. - Zwijaliśmy żagle w pośpiechu, wobec tego załoga podrzuciła nam kompresory, ale zapomniała o zapasowych butlach.

Pitt popatrzył przez szkło swojej maski na Rodgersa, który wciąż ściskając w dłoniach aparat, robił zdjęcia. Fotograf pokazał mu wystawiony do góry kciuk, mając minę człowieka, który właśnie wygrał w knajpie partię bilardu. Spojrzenie Pitta przesunęło się na Shannon. Jej orzechowe oczy spoglądały nań przez maskę, szeroko otwarte i wyrażające zadowolenie, jak gdyby koszmar bezpowrotnie się skończył, ona zaś, wieziona w siodle przez swego rycerza, mknie już do jego bajecznego zamku. Nie zdawała sobie sprawy, że najgorsze dopiero przed nimi. Pitt po raz pierwszy zauważył, że Shannon ma włosy blond, a jednocześnie przyłapał się na myśli, jak wyglądałaby w samym kostiumie kąpielowym, bez niezgrabnego sprzętu do nurkowania.

Te rozważania umknęły z jego głowy niemal równie szybko, jak się pojawiły; odzyskał równowagę i powiedział do mikrofonu:

- Al, mówiłeś chyba, że mamy w śmigłowcu kompresor.

- Istotnie.

- Spuść tu na dół zestaw narzędzi. Znajdziesz go w szafce.

- Gadaj do rzeczy - zachnął się Giordino.

- Te trójnikowe zawory na moich butlach to prototypy, które testuje NUMA. Zawory są od siebie niezależne, można więc zdjąć jedną butlę, nie powodując wypływu powietrza z drugiej.

- Kapuję, brachu - powiedział Giordino, doznając olśnienia. - Odłączasz jedną ze swoich butli i oddychasz z drugiej. Ja wyciągam na powierzchnię pustą i napełniam ją z kompresora. Potem powtarzamy całą historię, aż procedura dekompresji dobiegnie końca.

- Błyskotliwa myśl, nie sądzisz? - zapytał z sarkazmem Pitt.

- W najlepszym wypadku elementarna - mruknął Giordino, kunsztownie

maskując optymizm. - Na głębokości sześciu i pół metra zatrzymacie się na siedemnaście minut. Spuszczę zestaw narzędzi na linie asekuracyjnej. Mam nadzieję, że twój plan wypali.

- Bez najmniejszych wątpliwości. - Pewność Pitta wydawała się autentyczna. - Kiedy ponownie stanę na twardym gruncie, oczekuję, że dixielandowa kapela będzie grać „Czekając na Roberta E. Lee”.

- Odpuść sobie - jęknął Giordino.

Kiedy ruszył biegiem w stronę śmigłowca, zatrzymał go Miller.

- Dlaczego pan przerwał? - spytał antropolog. - Dobry Boże, człowieku, na co pan czeka, niech pan ich wyciąga!

Giordino zmroził go lodowatym spojrzeniem.

- Wyciągnę ich, a oni poumierają.

- Poumierają?! - Miller wytrzeszczył oczy.

- Choroba kesonowa, doktorze. Nigdy pan o niej nie słyszał?

Antropolog nagle zrozumiał i powoli skinął głową.

- Przepraszam, proszę wybaczyć staremu kretowi, który zbyt łatwo ulega podnieceniu. Już nie będę panu sprawiał kłopotów.

Giordino uśmiechnął się ze współczuciem, wdrapując się na pokład śmigłowca. Nie mógł mieć zielonego pojęcia, jak zwoodnicza jest obietnica Millera. Skrzynkę z narzędziami, zawierającą kilka kluczy, cęgi, dwa śrubokręty i młotek geologiczny, przymocowano do liny asekuracyjnej węzłem ratowniczym i opuszczono na cienkim sznurku. Pitt ścisnął między kolanami swoje butle, sprawnie wyłączył jeden z zaworów i kluczem odkręcił butlę od trójnika. Potem przymocował ją do linki.

- Ciągnąć towar! - polecił.

Po niespełna czterech minutach butla została wyciągnięta na powierzchnię przez ochocze dłonie i podłączona do pracującego kompresora, zasilanego silnikiem benzynowym, zaczęła wchłaniać w siebie oczyszczone powietrze. Giordino kłął, dopieszczał słowem i błagał kompresor, aby w rekordowym tempie nabił stalową butlę do dwustu pięćdziesięciu atmosfer, czyli wpompował w nią prawie trzy metry sześciennie powietrza. Wskazówka ciśnieniomierza zbliżała się do stu trzydziestu atmosfer, kiedy Pitt ostrzegł Giordina, że mała butla Shannon jest na wyczerpaniu, a w jego pojedynczej butli pozostało zaledwie trzydzieści atmosfer powietrza. Skoro z butli tej musieli teraz korzystać w trójkę, margines bezpieczeństwa zmniejszył się do minimum. Giordino wyłączył kompresor, gdy ciśnienie osiągnęło dwieście, i nie

tracąc czasu spuścił butlę do studni. Zabieg powtórzono trzy razy, kiedy Pitt i pozostali nurkowie przenieśli się na następne stanowisko dekompresyjne na głębokości trzech metrów, co oznaczało, że musieli wycierpieć kilka minut w obrzydliwym śluzie. Najważniejsze jednak, że cała operacja przebiegała bez zakłóceń. Giordino dał sobie i im solidny margines bezpieczeństwa. Pozwolił, by upłynęło niemal czterdzieści minut, zanim oznajmił, że Shannon i Rodgers mogą bez ryzyka wynurzyć się na powierzchnię. Miarą bezgranicznego zaufania Pitta do przyjaciela było to, iż nawet przez moment nie zakwestionował prawidłowości obliczeń Giordina. Ponieważ kobietom zawsze należy się pierwszeństwo, Pitt najpierw owinął kibić Shannon pasem przymocowanym do liny asekuracyjnej, potem dał znak w stronę ludzi wyglądających niecierpliwie znad krawędzi i oto Shannon ruszyła w drogę na suchy ląd. Następny pożeglował Rodgers. Krańcowe wyczerpanie po spotkaniu twarzą w twarz ze śmiercią dawno już zatarło się w jego pamięci i teraz fotografa rozpiekał entuzjazm, spowodowany faktem, iż wyciągają go z tego pokrytego świństwem, obrzydliwego bajora, do którego poprzysiągł sobie nigdy więcej nie wracać.

Narastał w nim dojmujący głód i pragnienie. Przypomniała mu się butelka wódki, schowana w namiocie, i wyobraził sobie, jak sięga po nią z nabożeństwem człowieka, który zamierza ująć w dłonie kielich świętego Graala. Był już dostatecznie wysoko, aby wyraźnie widzieć twarze doktora Millera i peruwiańskich studentów; żaden widok nie uszczęśliwił go dotąd tak bardzo. W gruncie rzeczy był zbyt rozradowany, aby zauważyć, iż żadnej z tych twarzy nie zdobi uśmiech. Doktor Miller, Shannon i peruwiańscy studenci odstąpili do tyłu, kiedy Rodgers znalazł się na ziemi; zdążył rozpiąć pasek mocujący go do liny asekuracyjnej, gdy zorientował się, że wszyscy stoją ponuro, z dłońmi założonymi na kark. Było ich w sumie sześć - karabinów bojowych typu 56-1 chińskiej produkcji, trzymanyh złowróźnie w sześciu parach pewnych rąk. Sześciu mężczyzn stało nierównym półokręgiem wokół archeologów. Niskich, milczących mężczyzn o nieprzeniknionych twarzach, mężczyzn ubranych w wełniane poncha, sandały i filcowe kapelusze. Ich czujne oczy przenosiły się z pojmanej grupy na Rodgersa i z powrotem. Shannon pojęła szybko, że ci ludzie nie są zwykłymi bandytami z gór, łupiącymi przybyszów z żywności i dóbr materialnych, które można sprzedać na targach; że muszą być zatwardziałymi mordercami ze Świetlistego Szlaku, maoistycznego ugrupowania, które terroryzowało Peru od 1981 roku zabijając tysiące osób, w tym przywódców politycznych, policjantów i żołnierzy. Nagle sparaliżowała ją zgroza. Zabójcy ze Świetlistego Szlaku

znani byli z tego, że przywiązywali do ofiar ładunki wybuchowe i detonując je, rozwalali nieszczęśników na strzępy.

Kiedy założyciel i przywódca organizacji Abimael Guzman został aresztowany we wrześniu 1992 roku, z jego ruchu wyłoniły się grupy rozłamowe, które za pośrednictwem swych szwadronów śmierci dokonywały na chybił trafił zamachów bombowych i skrytobójstw, nie przynosząc ludowi Peru nic prócz tragedii i rozpacz. Partyzanci, czujni i uważni, stali wokół swoich jeńców, a w ich oczach czaił się sadystyczny głód. Jeden z nich, zdobny sumiastym wąsem mężczyzna w średnim wieku, gestem polecił Rodgersowi dołączyć do pozostałych jeńców.

- Jest na dole ktoś jeszcze? - zapytał po angielsku z ledwie wyczuwalnym hiszpańskim akcentem.

Miller zawahał się i spojrzał na Giordina.

Giordino skinął głową w kierunku Rodgersa.

- Ten był ostatni - powiedział zdecydowanie. - Nurkował tylko on i ta pani.

Przywódca partyzantów posłał krępemu Włochowi pozbawione wyrazu spojrzenie swych czarnych jak węgiel oczu. Potem podszedł na brzeg studni ofiarnej i w zielonej zawieszynie glonów dostrzegł ludzką głowę.

- To świetnie - wycedził złowieszczo.

Uniósł spływającą ku wodzie linę asekuracyjną, wyjął zza pasa maczetę i krótkim ciosem odciął linę od kołowrotu. Następnie z martwym uśmiechem wampira przerzucił jej koniec przez grań sadzawki.



Pitt czuł się tak jak ów biedny kretyn z komedii splastickowej, który tonąc wzywa pomocy, a ktoś rzuca mu oba końce liny. I właśnie z niedowierzaniem godnym owego kretyna Pitt patrzył teraz na odcięty koniec liny asekuracyjnej... Jedyne środki ewakuacji spadł mu oto na głowę, stracił również wszelką łączność z Giordinem; unosił się w zielonym szlamie, całkowicie nieświadom dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się na brzegu. Rozpiął paski mocujące na głowie maskę, ściągnął ją i z nadzieją popatrzył w górę. Nie dostrzegł nad krawędzią studni żadnej twarzy. Brakowało ledwie ułamka sekundy, aby Pitt zaczął krzykiem wzywać pomocy, kiedy od wapiennych ścian odbił się echem trwający sześćdziesiąt sekund grzechot wystrzałów z broni automatycznej; akustyka kamiennej studni uczyniła ów zgiełk niemal ogłuszającym. Potem zamilkł równie gwałtownie, jak się zaczął, pograżając wszystko w przejmującej ciszy. Pitt miał w głowie mętlik i stwierdzenie, że jest zbity z tropu, byłoby okrutnym niedopowiedzeniem. Co się tam działo? Kto strzelał i do kogo? Każda chwila zwiększała niepokój Pitta. Musiał się wydostać z tej dziury śmierci, ale jak miał to uczynić? Nie potrzebował podręcznika na temat wspinaczki, aby zdać sobie sprawę, że bez odpowiedniego sprzętu czy też pomocy z góry nie zdoła się wdrapać po pionowych skałach.

„Al nigdy nie zostawiłby mnie w takim położeniu” - pomyślał tępo. Nigdy... Chyba że był ranny albo nieprzytomny. Kategorycznie odsuwał od siebie myśl, że Giordino może być martwy. Złamany, wściekły i coraz bardziej zdesperowany wrzasnął w niebo, a jego głos poniósł się wśród kamiennych ścian i jedyną odpowiedzią była śmiertelna cisza. Nie potrafił pojąć jej powodów, zyskiwał jednak coraz większą pewność, że musi wydobyć się stąd o własnych siłach. Spojrzał w górę. Zostało mu najwyżej dwie godziny światła. Jeśli ma się wydostać z tej opresji, musi zacząć działać natychmiast. Ale co z tymi niewidocznymi intruzami, uzbrojonymi w karabiny? Kwestia podstawowa polegała na tym, czy odczekają, aż stanie się równie łatwym celem jak mucha łażąca po szybie, czy też uznają, że jest praktycznie martwy i zostawią go w spokoju. Postanowił nie czekać na odpowiedź. Prawdopodobnie tylko perspektywa utonięcia w rzece rozżarzonej lawy potrafiłaby go zmusić do pozostania przez całą noc w tej rozgrzanej wodzie pokrytej lepkiem śluzem.

Przewrócił się na wznak i uważnie przyjrzał się ścianom, sięgającym aż do chmur, a potem, grzebiąc w pamięci, podjął próbę przywołania wszystkiego, czego o skałach wapiennych nauczył się na owych, jak mu się teraz zdawało, odległych o setki

lat wykładach z geologii, których słuchał w college'u: „Wapień: skała osadowa złożona z węglanu wapnia, rodzaj mieszanki krystalicznych kalcytów i osadów węglowych, wytworzona przez odkładające wapń organizmy prehistorycznych raf koralowych. Skały wapienne różnią się między sobą fakturą i barwą...”.

„Nieźle jak na studenta, który ledwie zaliczył ten przedmiot” - pomyślał Pitt. - „Staruszek profesor byłby ze mnie dumny”. Dopisało mu szczęście, bo przecież mógł mieć do czynienia z granitem albo bazaltem. Skała wapienna była upstrzona miniaturowymi wgłębieniami i poprzecinana wąskimi półkami. Opłynął ściany, aż znalazł się pod niewielkim występem, sterczącym ze ściany mniej więcej w pół drogi do krawędzi. Zdjął butlę i resztę sprzętu do nurkowania, pozostawiając tylko pas, i upuścił wszystko na dno studni. Z całego zestawu narzędzi zatrzymał jedynie cęgi oraz młotek geologiczny. Jeśli z jakiegoś niepojętego powodu jego przyjaciel i wszyscy archeolodzy zostali zabici bądź ranni, Pitta zaś skazano na śmierć, dając mu za kompanów ostatnich chwil jedynie duchy poprzednich ofiar, było cholernie pewne, że wyjdzie ze skóry, aby ustalić przyczyny takiego stanu rzeczy.

Najpierw wyciągnął nóż z pochwy przymocowanej do uda i z liny asekuracyjnej odciął dwa kawałki; koniec jednego przywiązał mocno do przewężenia na trzonku młotka geologicznego, drugi koniec zapętlił. Z klamry swojego pasa ze sprzętem sporządził hak, wyginając go obcęgami tak długo, aż zaczął przypominać literę C. Potem drugi kawałek liny przywiązał do haka i też zakończył pętlą. Kiedy uporał się z robotą, miał do dyspozycji funkcjonalny, choć niezmiernie prymitywny sprzęt alpinistyczny. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Alpinistyczna technika Pitta nie była raczej tym, czym mógłby się poszczycić doświadczony wspinacz, smętna prawda wyglądała bowiem tak, że Pitt nigdy nie wdrapał się na szczyt żadnej góry, chyba że prowadziła tam dobrze wydeptana ścieżka.

Niewielką wiedzę, którą posiadał na temat mistrzów pokonujących jak muchy pionowe urwiska, zawdzięczał telewizji i artykułom w magazynach ilustrowanych. Żywiołem Pitta była woda, a jedyny kontakt z górami miewał podczas krótkich wypadów narciarskich do Breckenridge w stanie Kolorado. Nie potrafiłby odróżnić klamry (metalowego kolca z kółkiem na końcu) od karabińczyka (wydłużonego metalowego kółka z zatraskowym mechanizmem, który mocuje linę do klamry). Miał mętne pojęcie o rappellingu - zjeżdżaniu po linie opasującej korpus na ukos od uda do przeciwległego ramienia.

W całym świecie alpinistycznym nie znalazłoby się zapewne ani jednego

fachowca, który dałby Pittowi szansę większe niż jeden do pięciuset, iż zdoła wydostać się na górę, Pitt był jednak zbyt uparty, aby zawracać sobie głowę obliczaniem szans. Stary niezatapialny Pitt odzyskał równowagę ducha, a jego umysł znów był klarowny i ostry jak brzytwa. Wiedział, że jego życie, a może również życie innych, wisi w tej chwili na powoli wystrzępiałej się linie. Jak już po wielokroć zdarzało się w przeszłości, zawładnęła nim zimna stanowczość i koncentracja bliska obsesji. Z zapalem zrodzonym z desperacji wyciągnął ramię i hak zrobiony z klamry zaczepił o niewielką wapienną półkę, potem wsunął nogę w pętlę, uchwycił drugi koniec liny i wyciągnął się z wody.

Uniósł młotek najwyżej jak mógł i lekko w bok, wbijając ostry koniec żelźca w szczelinę skalną, następnie zaś wolną stopę umieścił w drugiej pętli i wydzwignął się jeszcze wyżej. Było to dosyć toporne w porównaniu z techniką zawodowców, dawało jednak efekty; powtarzając ów proces - najpierw z hakiem, a potem z młotkiem - Pitt rozkraczony jak pajak piął się z wolna po skale. Zadanie to mogło wyczerpać nawet człowieka będącego w doskonałej formie fizycznej i pełni sił. Słońce zniknęło już za szczytami drzew, jak gdyby pociągnął je ku zachodowi jakiś sznurek, kiedy Pitt wdrapał się wreszcie na mały występ w połowie stromej ściany. Wciąż nie dostrzegał w górze żadnego znaku życia. Przykleił się do skały, wdzięczny niebiosom za miejsce do wypoczynku, choć było tak wąskie, że ledwie zdołał usadowić na nim oba pośladki. Ciężko oddychając, odpoczywał do chwili, gdy jego obolałe mięśnie przestały protestować; nie potrafił uwierzyć, iż wspinaczka wyczerpała go aż tak bardzo. Obznajomiony ze wszystkimi branżowymi sztuczkami alpinista z prawdziwego zdarzenia nie miałby zapewne nawet przyspieszonego oddechu. Pitt, tuląc się do pionowej ściany studni, siedział tak przez co najmniej dziesięć minut. Miał ochotę posiedzieć jeszcze z godzinę, lecz naglił go czas. Okoliczna dżungla po zajściu słońca błyskawicznie pogrążała się w ciemnościach. Obejrzał uważnie prymitywny sprzęt alpinistyczny, dzięki któremu wspinał się aż tak wysoko: młotek wyglądał jak nowy, ale hak zaczynał się prostować, nadwerężony koniecznością nieustannego podtrzymywania bezwładnego ciężaru ludzkiego ciała.

Poświęcił minutę na dokonanie naprawy, która polegała na tym, że położył hak na skale i kilkakrotnie walnął go młotkiem. Przewidywał, że mrok zmusi go do wspinania się po omacku, gdzieś w dole jednak zaczęła się rodzić osobliwa poświata. Odwrócił się i spojrzął na wodę: sadzawka emanowała niesamowitym, fosforyzującym zielonym blaskiem. Pitt nie był chemikiem, mógł się tylko domyślać, że źródłem owej

tajemniczej fluorescencji jest jakiś rodzaj przemian zachodzących w gnijących glonach. Rad z tego skromnego oświetlenia, podjął milczącą wspinaczkę. Trzy ostatnie metry były najgorsze; tak blisko, a przecież tak daleko... Krawędź studni zdawała się tkwić zaledwie na odległość wyciągniętej ręki - najwyżej trzy metry, nie więcej. A jednak z powodzeniem mógł to być wierzchołek Mount Everestu. Sprawny skaut z ogólniaka potrafiłby uporać się z tym z zamkniętymi oczyma. Ale nie Pitt. Do czterdziestki brakowało mu kilku miesięcy, lecz teraz czuł się jak starzec.

Jego ciało było twarde i sprężyste, przestrzegał diety i ćwiczył akurat tyle, aby nie przybrać na wadze. Nosił co prawda na sobie masę blizn, przeważnie po ranach postrzałowych, ale wszystkie stawy funkcjonowały w sposób nader zadowolający. Wiele lat temu rzucił palenie, tylko od czasu do czasu ulegał pokusie skosztowania kieliszka wina bądź też tequili z limonem i lodem. Jego preferencje w ciągu owych lat zmieniły się od szkockiej whisky Cutty Sark do bombajskiego ginu i tequili Sauza Commemorativo. Gdyby zapytano go dlaczego, nie potrafiłby udzielić odpowiedzi. Stawiał czoło każdemu nowemu dniu, jak gdyby życie było grą, a gra życiem; powody, dla których robił to czy owo, skrętnie ukrywał przed światem w zakamarkach duszy.

Kiedy był od krawędzi studni naprawdę na wyciągnięcie ręki, upuścił pętlę przymocowaną do haka. W jednej chwili omdlewającymi palcami wyszarpywał go z wgłębienia w wapieniu, w następnej - hak leciał już ku wodzie, by z cichym pluskiem, bez śladu, pogrążyć się w rozświetlonej warstwie gnijących glonów. Pitt wspinał się dalej, używając młotka i rozpadlin w skale jako uchwytów dla rąk i nóg, a gdy dotarł pod samą grań, szerokim łukiem cisnął młotek, mając nadzieję, że wbije go w ziemię i będzie mógł wykorzystać do podciągnięcia ciała. Potrzebował czterech prób, zanim koniec młotka solidnie pogrążył się w gruncie. Pitt resztkami sił uchwycił oburącz linę i podciągał się tak długo, aż w gęstniejącym mroku dostrzegł łodygi roślin porastających ziemię. Leżał bez ruchu i przyglądał się otoczeniu: wilgotna dżungla zdawała się napierać na niego ze wszystkich stron; panował całkowity mrok, rozpraszany wątłe blaskiem nielicznych gwiazd i półksiężyca, ukazującego się od czasu do czasu pomiędzy płynącymi po niebie chmurami i splątanymi gałęziami drzew. Ów przesączaający się z góry anemiczny blask rozświetlał starożytne ruiny, spowijając je w upiorny całun, równie niemal przytłaczający, jak ponury, klaustrofobiczny efekt, który wywierały na człowieka otaczające go zewsząd ściany dżungli. Niesamowitość tego pejzażu rosła jeszcze za sprawą absolutnej ciszy. Pitt na poły oczekiwał, że dostrzeże bądź usłyszy w ciemności coś strasznego, nic jednak nie

zobaczył ani nie usłyszał prócz szmeru kropel przelotnego deszczu o liście.

„Dość tego lenistwa” - powiedział sobie. „Wstawaj, ruszaj dalej, ustal, co się stało z Giordinem i innymi. Czas ucieka. Przebrnąłeś za ledwie przez pierwszą próbę, próbę fizyczną, ale teraz trzeba użyć szarych komórek”. Jak mroczna zjawia oddalił się od krawędzi studni ofiarnej.

Obozowisko było opustoszałe. Namioty stały nieporuszone i puste. Na pierwszy rzut oka nie nosiły żadnych śladów działań łupieżczych, żadnych oznak śmierci. Zbliżył się do polanki, na której Giordino posadził śmigłowiec NUMY. Maszyna, od dziobu po ogon podziurawiona kulami, nadawała się tylko na złom. Nawet najbardziej intensywne zabiegi remontowe nie zdołałyby sprawić, aby jeszcze kiedykolwiek wzniosła się w powietrze. Roztrzaskane łopaty wirnika zwiesiły się jak wykręcone w łokciach bezwładne ręce. Cała kolonia termitów nie odwaliłaby lepszej roboty na martwym pniu drzewa. Pitt poczuł w nozdrzach zapach paliwa lotniczego i uświadomił sobie z niedowierzaniem, że zbiorniki nie eksplodowały. Było aż nadto i boleśnie oczywiste, iż jakaś banda partyzantów zaatakowała obóz i rozwalila śmigłowiec na strzępy. Niemniej jednak Pitt poczuł ogromną ulgę, kiedy równie oczywisty stał się fakt, że salwy z broni maszynowej, które usłyszał w głębi studni, zostały oddane do maszyny, nie zaś do ludzi. Szef NUMY, urzędujący w Waszyngtonie admirał James Sandecker, nie będzie zapewne zachwycony faktem, iż musi spisać na straty jedną z jednostek powietrznych agencji, Pitt jednak wielokrotnie stawiał już czoło zapalczywemu wilkowi morskemu kierującemu firmą i jakoś to przeżył. Teraz nie miało znaczenia, co o całej historii powie Sandecker. Istotne, że Giordino i ludzie z misji archeologicznej zniknęli bez śladu, pojmami nie wiadomo przez jakie siły.

Pitt pchnął w bok drzwiczki zwieszające się niepewnie na zawiasach, wszedł do kabiny helikoptera. Macając pod fotelem, znalazł kieszeń i wyciągnął z niej latarkę. Tuba mieszcząca baterie wydawała się nie uszkodzona. Wstrzymując oddech nacisnął guzik. W mrok kabiny uderzył snop światła.

- Punkt dla drużyny gospodarzy - wymamrotał pod nosem Pitt. Ostrożnie przeszedł do ładowni. Nawała pocisków przemieniła ją w rumowisko, lecz na tym zakończono niszczycielską działalność - niczego też nie skradziono. Znalazł swoją torbę i wyrzucił zawartość na podłogę: koszula i tenisówki wyszły z tego wszystkiego cało, kula przebiła jednak spodnie na wysokości kolana i w sposób nieodwracalny zniszczyła slipy. Zdjął skafander nurkowy, znalazł ręcznik i z energią wytarł całe ciało, aby usunąć z niego osad glonów. Potem ubrał się, włożył tenisówki, a wreszcie

myszując w rumowisku, znalazł przygotowane przez kuka zestawy śniadaniowe. Jego pudełko było rozsmarowane po grodzi, ale pudełko Giordina jakimś cudem ocalało. Pochłoniął kanapkę z masłem orzechowym, potem konserwowego ogórka, popił puszką piwa i poczuł się wreszcie jak człowiek. Wrócił do kabiny pilotów, z małej skrytki wyciągnął skórzaną kaburę ze starym koltem kalibru .45. Jego ojciec, senator George Pitt, podczas drugiej wojny światowej miał tę broń za towarzysza na szlaku bojowym od Normandii do Łaby, a potem obdarował nią Dirka, kiedy ten uzyskał dyplom Wyższej Szkoły Wojsk Lotniczych. W ciągu następných siedemnastu lat pistolet przynajmniej dwukrotnie ocalił Pittowi życie. Chociaż oksydowanie było już mocno wytarte, spluwa, konserwowana z wielką miłością, funkcjonowała nawet lepiej niż w dobrych czasach. Pitt zauważył z przykrością, iż zbląkana kula pokancerowała kaburę i zrobiła wgłębienie w okładzinie kolby. Przypiął kaburę do paska. Potem, sporządzivszy rodzaj osłony na latarkę, spenetrował obóz. Wyglądało na to, że ofiarą kul padł tylko śmigłowiec, ale namioty złupiono i zniknął z nich cały użyteczny sprzęt. Szybkie oględziny wilgotnej ziemi pokazały jednoznacznie, w którym kierunku nastąpił exodus grupy. Wyrębana maczetami dróżka odchodziła w bok gęstwą krzaków i drzew, by zginąć w ciemnościach.

Dżungla sprawiała wrażenie odpychającej i nieprzeniknionej. Nie była to wyprawa, której Pitt podjąłby się za dnia, a co dopiero mówić o mrokach nocy. Miał być zdany na łaskę i niełaskę owadów i drapieżników, które nocą w dżungli postrzegają człowieka jako łatwy łup. Nie bez obawy Pitt pomyślał również o węzach... Przypomniał sobie, że boa dusiciele i anakondy osiągają długość dwudziestu czterech metrów, największą jednak obawą przepełniały go węże, których jad sprowadza śmierć: grzechotniki, groźnice, mokasyny, żararaki... Tenisówki i spodnie z lekkiej tkaniny nie zapewniały należytej ochrony przed agresywnym atakiem jadowitego gada. Pozostawiając za sobą ogromne kamienne fizjonomie spoglądające z groźbą ze ścian zrujnowanego miasta, Pitt równym krokiem ruszył po śladach, które wyławiał z mroku snopem światła latarki. Brak czasu nie pozwolił mu opracować żadnego konkretnego planu, działał na oślep. Właściwie nie miał szans przemknąć przez morderczą dżunglę i wyratować zakładników z rąk niewiadomej liczby zatwardziałych bandziorów czy rewolucjonistów. Fiasko wydawało się nieuniknione, jednakże przez myśl mu nawet nie przeszło, aby siedzieć beczynnie na zadku albo usiłować ocalić samego siebie. Uśmiechnął się do kamiennych twarzy dawno zapomnianych bogów, które gapiły się nań w świetle latarki, po raz ostatni spojrzął na nieziemską zieloną

poświatę emanującą z dna studni, a potem ruszył w dżunglę. Po czterech krokach zniknął w gęstwie liści, jakby go nigdy nie było.

Moknąc w nieustannym deszczu, jeńcy przedzierali się przez wyścielony mchami las, aż szlak urwał się przy głębokim parowie; pokonali go po służącym w charakterze mostu powalonym pniu drzewa, później ruszyli czymś, co dawno, dawno temu było kamienną drogą, spiralnie wijącą się pod górę. Przywódca bandy terrorystów narzucił ostre tempo i doktor Miller ledwo nadążał. Jego ubranie tak nawilgło, że nie sposób było powiedzieć, gdzie jest mokre od potu, gdzie zaś - od deszczu. Strażnicy bezlitośnie szturchali go lufami karabinów, ilekroć zaczynał odstawać od grupy, Giordino zatem zrównał z nim krok, przerzucił sobie przez barki jego ramię i niepomyślnie na kuksańce wymierzone przez bandytów, pomagał doktorkowi iść. - Trzymaj tę cholerną spluwę z dala od niego - warknęła po hiszpańsku Shannon do jednego ze zbirów. Ujęła ramię Millera i podobnie jak Giordino przerzuciła je sobie przez plecy. Bandzior kopnął ją w pośladek. Potknęła się. Miała poszarzałą twarz i zaciśnięte z bólu usta, odzyskała jednak równowagę i posłała prześladowcy pogardliwe spojrzenie. Giordino uśmiechnął się do Shannon, pełen podziwu dla hartu ducha i odwagi, które nie opuszczały jej ani na chwilę. Wciąż miała na sobie kostium kąpielowy pod bawełnianą bluzką bez rękawów, którą guerillas wraz z parą turystycznych butów pozwolili jej zabrać z namiotu. Alowi Giordino towarzyszyła przemożna świadomość, że jest bezradny, że nie może ocalić tej kobiety przed krzywdą i poniżeniem. No i dławił go jeszcze wstyd, wywołany faktem, iż bez walki opuścił przyjaciela... Odkąd odegnano ich od studni ofiarnej, przynajmniej dwadzieścia razy ważył myśl, czyby nie podjąć próby wyrwania strażnikowi karabinu, ale w ten sposób dałby się po prostu zabić i niczego by nie załatwił, dopóki zaś jakimś cudem utrzymuje się przy życiu, istnieje szansa. Giordino przeklinał każdy krok, który oddalał go od możliwości pospieszenia Pittowi z pomocą.

Długimi godzinami walczyli o każdy oddech w rozrzedzonym powietrzu, znajdowali się bowiem na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów nad poziomem morza. Wszystkim dokuczał głód i zimno, chociaż bowiem za dnia, w pełnym słońcu, panował tu upał, we wczesnych przedrannych godzinach temperatura spadała niemal do zera. Gdy zastał ich świt, wciąż wspinali się po starożytnej drodze obrzeżonej ruinami białych budynków z wapienia, wysokimi murami i tarasami pod uprawę, których istnienia Shannon nawet dotąd nie podejrzewała. Wyglądem i konstrukcją żaden z budynków nie przypominał drugiego: jedne były owalne, inne okrągłe, nieliczne miały kształt prostokątny. Sprawiały wrażenie osobliwie odmiennych od



wszystkich innych starożytnych budowli, które zdarzyło jej się badać. „Czy jest to terytorium konfederacji Czaczapojów - zastanawiała się - czy też zupełnie innego narodu?”. Kamienna droga sunęła wzdłuż murów wypiętrzonych tak bardzo, iż niemal dotykały wierzchołkami tumanów mgły staczających się ze szczytów górskich, Shannon zaś omiatała zdumionym spojrzeniem tysięczne, zupełnie sobie nie znane formy ornamentacji.

Wielkie ptaszyska, przypominające smoki, i ryby o węzowych łbach mieszały się tu ze stylizowanymi panterami i małpami; płaskorzeźby dziwnie przypominały hieroglify egipskie, wyjąwszy może fakt, iż były bardziej abstrakcyjne. To, że nieznanymi starożytnymi ludami zamieszkiwanymi niegdyś wielki płaskowyż i granie peruwiańskich Andów, że budował miasta tak niewiarygodnie ogromne, stanowiło dla Shannon emocjonującą niespodziankę. Nie oczekiwała, iż znajdzie kulturę tak pod względem technicznym zaawansowaną, by na szczytach gór wznosić gmachy dorównujące rozmiarem i złożonością największym architektonicznym osiągnięciom innych cywilizacji starożytnych. Oddała by Dodge'a vipera, którego kupiła za spadek po ojcu, aby móc pozostać tu chwilę dłużej i dokładniej zbadać niezwykle ruiny, ilekroć się jednak zatrzymywała, brutalny szturchaniec popychał ją do przodu. Wschodziło już słońce, kiedy gromada obszarpańców, pokonawszy wąski przesmyk, weszła do niewielkiej doliny otoczonej wysokimi górami. Chociaż deszcz przestał padać, wszyscy przypominali szczury, które szczęśliwie uratowały się z powodzi. Dostrzegli przed sobą wysoki na przynajmniej dwanaście kondygnacji budynek z kamiennych bloków, który, w porównaniu z budowlami Majów w Meksyku, miał okrągłęjszą i bardziej stożkową sylwetkę o uciętym wierzchołku. Jego ściany zdobiły misternie wyrzeźbione głowy zwierząt i ptaków. Shannon rozpoznała w nim świątynię zmarłych. Tył budynku przylegał do stromego urwiska z piaskowca, porytego tysięcznymi pieczarami grzebalnymi, których zdobne drzwi otwierały się w pustkę. Nadbudówka na szczycie, oflankowana dwiema wielkimi rzeźbami przedstawiającymi pierzaste, skrzydlate jaguary, była zapewne pałacem bogów śmierci.

Gmach wznosił się w centrum niewielkiego miasta, złożonego z jakiejś setki misternie skonstruowanych i bogato ozdobionych budynków. Mnogość form architektonicznych była zaiste zdumiewająca: niektóre budowle wzniesiono na szczytach wysokich wież i otoczono tarasami, lekkimi i pełnymi wdzięku. Większość miała kształt owalny, niektóre zaś wznosiły się na prostokątnych fundamentach.

Shannon zaparło dech w piersiach. Niemal natychmiast rozpoznała kompleks

gmachów: jeśli mogła wierzyć własnym oczom, terroryści ze Świetlistego Szlaku odkryli zupełnie niewiarygodne zaginione miasto, miasto, w którego istnienie archeologowie - i ona w tym gronie - poważnie powątpiewali, miasto daremnie poszukiwane przez łowców skarbów w ciągu setek lat ich pogoni za złotem - miasto zmarłych; jego legendarne bogactwa miały jakoby przewyższać skarby Doliny Królów w starożytnym Egipcie.

Shannon z mocą uchwyciła Rodgersa za ramię.

- Zaginione Pueblo de los Muertos - wyszeptała.

- Zaginione co? - zapytał tępo.

- Nie gadać! - warknął jeden z terrorystów, kolbą karabinu wymierzając Rodgersowi cios poniżej nerek.

Rodgers wydał zduszone sapnięcie, zachwiał się i byłby upadł, gdyby Shannon go nie podtrzymała, przygotowując się na przyjęcie ciosu; ten jednak nie nastąpił. Po krótkim przemarszu szeroką kamienną ulicą zbliżyli się do okrągłej budowli, wypiętrzonej ponad cały ten ceremonialny kompleks jak katedra gotycka nad średniowiecznym miastem, pokonali kilka biegów niezwykle zygzakowatych schodów ozdobionych osadzonymi w kamieniu mozaikami, które przedstawiały skrzydlate istoty ludzkie, a wreszcie, z najwyższego podestu, wielkim łukowym wejściem wkroczyli do wysoko sklepionej komnaty o ścianach pokrytych reliefem geometrycznych motywów. Na środku pomieszczenia piętrzył się stos misternie rzeźbionych kamiennych figurek wszelkich rodzajów i kształtów, w izbach zaś łączących się z główną komnatą stały bogato polichromowane ceramiczne urny i pięknie malowane naczynia. W jednej z owych izb aż pod sufit piętrzyły się bele doskonale zachowanych barwnych i wzorzystych tkanin.

Archeologowie byli oszołomieni tą niewiarygodną skarbnicą artefaktów i czuli się tak, jakby weszli do grobowca Tutanchamona w egipskiej Dolinie Królów, zanim odkryte w niej przez Cartera skarby trafiły do kairskiego Muzeum Narodowego. Nie mieli zresztą zbyt wiele czasu, aby przyrzeć się temu bogactwu, terroryści bowiem szybko sprowadzili peruwiańskich studentów wewnętrznymi schodami i zamknęli ich w jakiejś celi pod główną świątynią, Giordina zaś i pozostałych brutalnie wepchnęli do jednego z bocznych pomieszczeń, pozostawiając na straży dwóch posepnych bandziorów, którzy wpatrywali się w nich wzrokiem pająka śledzącego uwikłaną w sieć muchę. Wszyscy z wyjątkiem Giordina z ulgą osunęli się na twardą zimną podłogę. Każda twarz była ściągnięta i napiętnowana wyczerpaniem. Giordino w

bezsilnej złości walnął pięścią w kamienną ścianę. Podczas marszu z uwagą wypatrywał okazji, aby umknąć w dżunglę i wrócić do studni ofiarnej, skoro jednak przynajmniej trzech strażników kolejno i zawsze z jednakową chłodną pewnością mierzyło w jego plecy z karabinu, okazja ucieczki nigdy się nie nadarzyła. Nie trzeba go było przekonywać, że ma do czynienia ze specami od pilnowania zakładników i przeprowadzania ich przez głuszę. Jakikolwiek szansę na dotarcie w tej chwili do Pitta były zaiste marne.

Podczas marszu Giordino stonował charakterystyczną dla siebie wyzywającą postawę, zachowywał się spokojnie i ulegle, a wyjąwszy heroiczną manifestację troski o doktora Millera, nie zrobił nic, aby zasłużyć sobie na serię pocisków w brzuch. Musiał przeżyć. Nie mógł zginąć, bo wówczas zginąłby również Pitt. Gdyby Giordino miał chociaż najbledsze wyobrażenie, iż Pitt wydostał się ze studni i kroczy kamiennym szlakiem zaledwie trzydzieści minut za nimi, padłby może na kolana i złożył ślubowanie, że przy najbliższej okazji odbędzie pieszą pielgrzymkę w jakieś święte miejsce albo przynajmniej byłby poddał tę myśl krótkiej rozwadze.

Uważnie osłaniając latarkę, aby bijący z niej blask nie został dostrzeżony przez terrorystów, i oświetlając tylko wgniecenia w warstwie kompostu pokrywającego ginący w mroku gruntowy szlak, Pitt nieustraszenie gnał przez dżunglę. Z całkowitą obojętnością ignorował deszcz i poruszał się jak automat zaprogramowany wyłącznie do marszu przed siebie. Czas nic dla niego nie znaczył - Pitt ani razu nie zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka, a owa nocna wędrówka przez dżunglę zapisała się w jego pamięci jako niewyraźny ciąg obrazów. Dopiero gdy poranne niebo zaczęło jaśnieć na horyzoncie i Pitt mógł wyłączyć latarkę, trans powoli jął ustępować normalnym ludzkim reakcjom. Kiedy rozpoczął pościg, terroryści wyprzedzali go o dobre trzy godziny, ale zmniejszył ten dystans maszerując równym krokiem, gdy szlak wspinał się pod górę, podbiegając zaś na nielicznych odcinkach równego terenu. Ani na chwilę nie zwolnił tempa, ani na chwilę nie zatrzymał się na odpoczynek; jego serce łomotało z wysiłku, lecz nogi wciąż posuwały go przed siebie bez jakiegokolwiek bólu czy też sztywności w mięśniach. Kiedy dotarł do prehistorycznej kamiennej drogi i marsz stał się łatwiejszy, jeszcze bardziej zwiększył tempo. Myśli o przytających w dżungli okropnościach - osobiście abstrakcyjne w ciągu tej z pozoru bezkresnej nocy - teraz całkowicie zostały odrzucone na bok. Pitt nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na olbrzymie kamienne budowle wzdłuż swojej trasy i gnał dalej - teraz już w blasku dnia i na otwartym terenie - nie usiłując lub prawie nie usiłując się ukrywać. Dopiero przy

wejściu w dolinę zwolnił i zatrzymał się, omiatając okolicę spojrzeniem, w odległości mniej więcej pół kilometra dostrzegł ogromną świątynię, przyklejoną do stromego urwiska; u szczytu wiodących do niej długich schodów siedziała maleńka figurka, wsparta plecami o kolumnę łukowego wejścia. Pitt nie wątpił, że ma przed sobą miejsce, do którego terroryści zaprowadzili zakładników. Wąska przełęcz była jedynym wejściem do głębokiej doliny o stromych zboczach i jedynym z niej wyjściem. W fali ulgi utonęły ostatnie obawy Pitta, iż może się natknąć na zwłoki Giordina oraz archeologów.

Pościg dobiegł końca; teraz ofiary, które jeszcze nie wiedzą, że są ofiarami, należy wyeliminować jedną po drugiej, aż szanse się wyrównają... Skryty za powalonymi murami starych rezydencji otaczających świątynię, zbliżył się do niej najbardziej, jak mógł. Pochylony przebiegał od kryjówki do kryjówki, a wreszcie wpełzł za wielką kamienną statuetkę z potężnym sterzącym fallusem; tu zatrzymał się i spojrział na wejście do świątyni. Długie wiodące do niej schody stanowiły groźną przeszkodę - nie mając czapki-niewidki, zostałby zastrzelony, zanimby dotarł do jednej trzeciej wysokości owych schodów. Każda próba podjęta w świetle dnia zasługiwała na miano samobójczej.

„Żadnej drogi” - pomyślał z goryczą Pitt. Obejście schodów z boku nie wchodziło w grę. Boczne ściany świątyni były zbyt strome i zbyt gładkie, kamienne bloki zaś położono z taką precyzją, że z najwyższym trudem w spoinę dałoby się wcisnąć ostrze noża. Przeznaczenie położyło swą dobrotliwą dłoń na ramieniu Pitta; problem niepostrzeżonego pokonania schodów przestał być istotny, kiedy Pitt zorientował się, iż pilnujący wejścia terrorysta, wyczerpany snadź trudami wędrówki po dżungli i górach, zapadł w głęboki sen. Pitt nabrał w płuca powietrza, potem powoli je wypuścił, a wreszcie cicho jął się podkładać do schodów.

Tupac Amaru był typkiem gładkim, lecz niebezpiecznym, a jego powierzchowność nie pozostawiała co do tego najmniejszych złudzeń. Posługiwał się imieniem ostatniego inkaskiego króla, torturowanego i zamordowanego przez Hiszpanów; był niskim mężczyzną o wąskich ramionach, kamiennej smagłej twarzy, pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu, i sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy w życiu nie nauczył się, choćby śladowo, okazywać współczucia. W przeciwieństwie do większości tutejszych górali, których twarze były bezwłose jak pupy niemowląt, Amaru miał ogromne wąsy i długie baczki, wypełzające spod gęstej masy prostych włosów, równie czarnych jak jego puste oczy. Kiedy wąskie, bezkrwiste wargi układały

się w nieznaczny uśmiech, co było zresztą zjawiskiem niezwykle rzadkim, ukazywały garnitur zębów, który wprawilby w dumę najświetniejszego ortodonte.

Ludzie Amaru, w przeciwieństwie do niego, często uśmiechali się diabolicznie, ukazując zęby pooblamywane, nierówne i zabarwione liśćmi koki. Tupac Amaru tknął plagą śmierci i zniszczenia ogromny obszar pokrytych dżunglą górzystych terenów Amazonii, należący do jednego z regionów południowo-wschodniego Peru, który i bez niego doświadczył aż nazbyt wiele nędzy, terroryzmu, chorób i urzędniczej korupcji. Jego banda zbirów była odpowiedzialna za zniknięcie kilku badaczy, archeologów działających na zlecenie rządu i wielu patroli wojskowych, które wkroczyły na te obszary, aby zniknąć bez śladu. Nie był rewolucjonistą, choć takie wrażenie usiłował sprawiać: Tupacowi Amaru rewolucja była równie obojętna, jak poprawa losu bezgranicznie ubogich Indian peruwiańskiego interioru, którzy trudzili się na miniaturowych spłachetkach ziemi, usiłując zbudować na nich podstawy mizernej egzystencji. Amaru miał inne powody, które skłaniały go do zawładnięcia regionem i utrzymywania przesądnych tubylców pod swoim wpływem.

Stał w drzwiach komnaty, spoglądając na trzech mężczyzn i jedną kobietę takim wzrokiem, jak gdyby nigdy ich dotąd nie widział; delectował się poczuciem porażki, jakie dostrzegał w ich oczach, bezgranicznym znużeniem ich ciał - zależało mu właśnie na tym, aby osiągnęli taki stan.

- Przepraszani za niewygody, które państwu sprawiłem - powiedział, odzywając się po raz pierwszy, od kiedy opuścili obóz archeologów. - Dobrze się stało, żeście nie podjęli próby oporu, w przeciwnym bowiem razie zostalibyście zastrzeleni.

- Mówi pan po angielsku całkiem nieźle jak na partyzanta z gór - stwierdził Rodgers - panie...?

- Tupac Amaru. Studiowałem na Uniwersytecie Stanowym Teksasu w Austin.

- I cóżeś ty światu uczynił, Teksasie? - wymamrotał pod nosem Giordino.

- Dlaczego pan nas uprowadził? - wyszeptła Shannon głosem zdławionym przez lęk i zmęczenie.

- Dla okupu, a z jakiegoż by innego powodu? - odparł Amaru. - Rząd peruwiański dobrze mi zapłaci za zwrot tak szanowanych amerykańskich naukowców, że nie wspomnę o błyskotliwych studentach archeologii, z których wielu ma bardzo majątnych i poważanych rodziców. Pieniądze owe pomogą nam kontynuować naszą walkę z uciskiem mas.

- Tekst godzien komunisty dojącego martwą krowę - rzekł Giordino.

- Stara rosyjska wersja komunizmu może przeszła już do historii, ale filozofia Mao Tsetunga wciąż żyje - wyjaśnił cierpliwie Tupac Amaru.

- Oj żyje, żyje - odparł z grymasem doktor Miller. - Miliardy dolarów strat, dwadzieścia sześć tysięcy Peruwiańczyków martwych, a większość ofiar to ci sami chłopcy, których praw, jak powiada pan, bronicie... - urwał, dźgnięty kolbą karabinu tuż nad nerkami, i jak wór kartofli osunął się na podłogę, a twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Pańska sytuacja nie upoważnia pana do kwestionowania mego oddania sprawie - oświadczył zimno Amaru.

Giordino uklęknął obok Millera i uniósł jego głowę. Potem ze wzdrgnięciem popatrzył na przywódcę terrorystów.

- Niezbyt dobrze znosi pan krytykę, co?

Giordino był już gotów odparować cios wymierzony w swoją bezbronną głowę, zanim jednak wartownik zdołał unieść kolbę karabinu, stanęła pomiędzy nimi Shannon. Gniewnym wzrokiem popatrzyła na Amaru, a bledy strach na jej twarzy ustąpił miejsca ognistej wściekłości.

- Jest pan oszustem - oświadczyła stanowczo.

Amaru spojrział na nią z rozbawieniem.

- I cóż prowadzi panią do tak osobliwego wniosku, doktor Kelsey?

- Zna pan moje nazwisko?

- Mój agent w Stanach Zjednoczonych powiadomił mnie o pani najnowszym zamiarze podjęcia badań w tutejszych górach, a stało się to, zanim wraz z przyjaciółmi odleciała pani z lotniska w Phoenix w stanie Arizona.

- Informator, chciał pan powiedzieć.

Amaru wzruszył ramionami.

- Nie czepiajmy się semantyki.

- Oszust i szarlatan - podjęła Shannon. - Pan i pańscy ludzie nie jesteście rewolucjonistami ze Świetlistego Szlaku. Wiele wam do tego brakuje. Jesteście najwyżej huaqueros, paskudnymi hienami cmentarnymi.

- Racja - stwierdził Rodgers. - Nie mielibyście czasu, żeby uganiać się po kraju. Wysadzając linie energetyczne i posterunki policji, a jednocześnie zgromadzić w tej świątyni tak ogromną skarbnicę artefaktów. To oczywiste; należycie do wielkiej siatki rabusiów dzieł sztuki, a to musi być pełnoetatowa działalność.

Kpiąco-analitycznym wzrokiem Amaru popatrzył na swoich jeńców.

- Skoro ów fakt jest tak niepodważalnie oczywisty dla wszystkich obecnych w tym pokoju, nie będę zwracać sobie głowy jego dementowaniem.

Kilka sekund minęło w milczeniu, a potem doktor Miller powstał niepewnie na nogi i spojrzał Tupacowi prosto w oczy.

- Ty złodziejska szumowino - wycharczał. - Ty rabusiu, złodzieju antyków. Gdyby zależało to ode mnie, kazałbym ciebie i twoją bandę rzezimieszków rozwalić jak...

Urwał nagle, kiedy Amaru, którego twarz - w przeciwieństwie do złowróżbnych oczu - nie wyrażała żadnych uczuć, wyjął z kabury wiszącej na biodrze dziewięciomilimetrowy pistolet automatyczny Heckler & Koch, a potem, z paraliżującą nieuchronnością, jaka zdarza się jedynie w snach, strzelił Millerowi prosto w pierś. Donośny huk poniósł się echem po świątyni, ogłuszając wszystkich. Wystarczył jeden strzał. Doktor Miller szarpnął się, zderzył plecami ze ścianą, a potem bezgłośnie upadł na brzuch i legł z nienaturalnie wykręconymi ramionami, na podłodze zaś rozlała się plama czerwieni.

Każdy z pojmanych zareagował inaczej: Rodgers, jak skamieniały, stał nieruchomo z oczyma rozszerzonymi szokiem i niedowierzaniem, Shannon instynktownie wrzasnęła, przyzwyczajony zaś do widoku gwałtownej śmierci Giordino przycisnął do boków zaciśnięte dłonie. Zimna obojętność tego morderstwa przeppełniła go wściekłym gniewem, ustępującym tylko przytłaczającemu poczuciu bezradności. Nie było w duszy Giordina - jak zresztą w czyjejkolwiek innej - szczypty wątpliwości, że Amaru zamierza zabić ich wszystkich. Nie mając nic do stracenia, Giordino sprężył się, aby skoczyć na zabójcę i rozerwać mu gardło, zanim dostanie nieuchronną kulkę w łeb.

- Nie próbuj - powiedział Amaru, odczytując myśli Giordina i wymierzając lufę pistoletu pomiędzy jego płonące nienawiścią oczy. Wykonał głową gest w stronę wartowników, którzy stali z karabinami gotowymi do strzału, i wydał im po hiszpańsku jakieś polecenie. Odstąpił na bok, kiedy jeden z wartowników chwycił Millera za kostki i pozostawiające za sobą na kamiennej posadzce smugę krwi, wywłócił ciało do głównej nawy świątyni.

Shannon przestała krzyczeć. Ogarnięta szokiem opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach, łkając rozpaczliwie.

- Przecież nie mógł ci zrobić żadnej krzywdy. Jak mogłeś zabić tego miłego starszego człowieka?

Giordino przeciągle popatrzył na Amaru.

- Nie sprawiło mu to najmniejszego kłopotu.

Pozbawione głębi, zimne oczy Amaru przepełzły po twarzy Giordina.

- Dobrze byś zrobił, trzymając mordę na kłódkę, mały. Los zacnego doktora miał być lekcją, aleście jej najwyraźniej nie opanowali.

Nikt nie zwrócił uwagi na powrót wartownika, który odciągnął zwłoki. Nikt z wyjątkiem Giordina, ten bowiem dostrzegł rondo kapelusza nasunięte na oczy i dłonie ukryte pod ponchem. Rzucił szybkie spojrzenie na drugiego wartownika, nonszalancko opartego o drzwi. Jego broń na szerokim pasie wisiała na ramieniu, a lufa nie mierzyła do nikogo w szczególności. Dzieliły ich tylko dwa metry. Giordino wykombinował sobie, że zdoła spaść na strażnika, zanim ów zorientuje się, z której strony nastąpił atak. Wciąż jednak pozostawał heckler & koch, mocno zaciśnięty w dłoni Amaru.

Kiedy Giordino wreszcie się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał lodowaty ton.

- Umrzesz, Amaru, na pewno umrzesz i to równie gwałtowną śmiercią, jak wszyscy niewinni ludzie, których zamordowałeś z zimną krwią.

Amaru nie zwrócił uwagi na nieznaczne wykrzywienie ust Giordina, na lekko kose spojrzenie oczu masywnego Włocha. Wyraz zaciekawienia pojawił się na jego twarzy, potem błysnęły zęby i przywódca partyzantów parsknął śmiechem.

- Tak? Więc naprawdę myślisz, że umrę? Czy może ty będziesz moim katem? A może ta dumna młoda dama uczyni mi ten honor? - Pochylił się i brutalnym szarpnięciem za włosy postawił Shannon na nogi, a potem przegiął do tyłu jej głowę, aż dostrzegł przed swoją wykrzywioną twarzą jej rozszerzone ze zgrozy oczy. - Obiecuję, że po kilku godzinach w moim łóżku będziesz pełzać, aby wypełnić każdy mój rozkaz.

- O mój Boże, nie! - jęknęła Shannon.

- Czerpię wiele przyjemności z gwałcenia kobiet, ze słuchania, jak wrzeszczą, jak jęczą, błagają...

Krzepkie ramię wtoczyło mu te słowa z powrotem do gardła.

- A to za wszystkie kobiety, którym sprawiłeś cierpienie - powiedział Pitt z niebezpiecznym błyskiem w oczach. Odrzucił poncho, dźgnął lufą swego wielkiego kolta rozperek Tupaca Amaru i nacisnął spust.



Przez chwilę wystrzał odbijał się ogłuszającym echem od ścian małego pomieszczenia. Giordino skoczył w przód, uderzył głową i barkiem oszołomionego wartownika, który walnął plecami o ścianę, jęcząc z bólu. Al kątem oka dostrzegł przy tym wykrzywioną grymasem przerażenia i udręki twarz Amaru, wytrzeszczone oczy i rozwarte w bezgłośnym krzyku usta, dłonie odruchowo wędrujące ku coraz większej czerwonej plamie w kroczu, a wtedy potężnym hakiem w szczękę powalił wartownika i jednym ruchem wyrwał mu z rąk karabin maszynowy. Obrócił się, przyjmując pozycję strzelecką, i wymierzył w kierunku drzwi.

Tym razem Shannon nie krzyknęła, lecz tylko popęzła w kąt pokoju i usiadła nieruchomo jak woskowy manekin, patrząc tępo na rozchlapaną na swych gołych nogach i ramionach krew Amaru. Jeśli była przerażona już wcześniej, teraz szok dosłownie pogrzył ją w odrętwieniu. Spojrzała na Pitta. Miała ściągnięte wargi, bladą twarz i krople krwi w jasnych włosach.

Rodgers przypatrywał się Pittowi z równym oszołomieniem. Jakimś cudem go rozpoznał - rozpoznał oczy, zwierzęcą sprężystość ruchów.

- Jesteś tym pletwonurkiem z groty - powiedział.

Pitt skinął głową.

- We własnej osobie.

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinienes być w studni - drżącym głosem wyszemrała Shannon.

- Sir Edmund Hillary to przy mnie neptek. - Pitt uśmiechnął się przebiegle. - Łażę po ścianach takich studni niczym człowiek-mucha. - Pchnął przerażonego Amaru na podłogę, jak spotkanego na ulicy pijaczynę, a potem położył dłoń na ramieniu Giordina. - Spokojnie, Al. Pozostali wartownicy dostrzegli światło cnoty i uczciwości.

Giordino z uśmiechem szerokości otwartego mostu zwodzonego odłożył karabin i uściskał Pitta.

- Boże, już nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę twój paskudny pysk.

- Bracie, ileż ty mnie kosztujesz zdrowia, to ludzkie pojęcie przechodzi. Nie mogę oddalić się na godzinę, żebyś nie wciągnął mnie w lokalną działalność przestępczą.

- Skąd ta zwłoka? - zapytał Giordino, nie chcąc pozostać dłużny. - Oczekiwaliśmy cię kilka godzin temu.

- Nie zdążyłem na autobus. A tak na marginesie, gdzie moja kapela?

- Oświadczyła, że nie grywa przy szambach. Mówiąc jednak serio, jakim cudem zdołałeś się wspiąć na pionowe urwisko i dogonić nas drogą przez dżunglę?

- Uwierz, nie była to zabawa klockami. Opowiem ci o tym kiedyś przy piwie.

- A wartownicy? Co się stało z tamtymi czterema?

Pitt lekceważąco wzruszył ramionami.

- Cóż, karygodny brak koncentracji... i każdego z nich spotkał nieszczęśliwy wypadek. Przeważnie wstrząśnienia mózgu albo uszkodzenia czaszki. Sposepniał. - Natknąłem się na jednego, który wyciągał przez główne wejście zwłoki doktora Millera. Kto dokonał egzekucji?

- Nasz przyjaciel. - Giordino skinieniem głowy wskazał Amaru. - Bez żadnego powodu wpakował mu kulę w serce. To zresztą ten sam facet, który zrzucił linę do studni.

- A więc nie będę zawracał sobie głowy wyrzutami sumienia - odrzekł Pitt spoglądając na Amaru, który pojękując, ścisnął kurczowo genitalia zbyt przestraszony, by spróbować ustalić skalę zniszczeń. - Jakoś dziwnie pokrzepia mnie myśl, że jego życie seksualne straciło wszelkie perspektywy. Jak się nazywa?

- Używa nazwiska Tupac Amaru - odparła Shannon. - To imię ostatniego inkaskiego króla. Pewnie je przyjął, aby wywrzeć wrażenie na ludziach z gór.

- A, peruwiańscy studenci! - przypomniał sobie Giordino. - Zapędzono ich do jakiegoś pomieszczenia pod świątynią.

- Już ich uwolniłem. Dzielne dzieciaki. W tej chwili kończą zapewne dzieło wiązania tych partyzantów. Powinni być spakowani jak ta lala na przyjazd władz.

- Tacy z nich partyzanci i rewolucjoniści, jak ze mnie Marilyn Monroe. To pospolici zawodowi złodzieje dzieł sztuki, którzy tylko podszywają się pod terrorystów ze Świetlistego Szlaku. Rabują cenne antyki, aby sprzedać je na międzynarodowym czarnym rynku.

- Amaru to zaledwie wierzchołek góry lodowej - dodał Rodgers. - Jego klientami są prawdziwi hurtownicy i dopiero ci robią wielkie pieniądze.

- Mają niezły gust - zauważył Pitt. - O ile zdołałem się zorientować, zgromadzili tyle pierwszorzędного towaru, że zadowolilby połowę muzeów i prywatnych kolekcjonerów świata.

Shannon zawahała się przez chwilę, potem podeszła do Pitta, otoczyła ramionami jego szyję i odchyliwszy głowę, musnęła wargami usta.

- Dziękuję, ocaliłeś mi życie.

- I to dwukrotnie - dodał Rodgers, z zapalem potrząsając dłonią Pitta, nadal obciążonego brzemieniem przyklejonej do niego Shannon.

- Niebłahą rolę odegrała w tym wszystkim spora doza szczęścia - rzekł z nietypowym dla siebie zażenowaniem Pitt. Shannon, choć z wilgotnymi włosami, bez makijażu, w brudnej podartej bluzce nałożonej na czarny kostium kąpielowy i w nie pasujących do całości butach turystycznych, robiła spore wrażenie zmysłową bujnością swych kształtów.

- Dzięki Bogu, że zdążyłeś na czas - powiedziała z drżeniem w głosie.

- Cholernie żałuję, że nie zdołałem ocalić doktora Millera.

- Gdzie go zabrali? - zapytał Rodgers.

- Leży u szczytu schodów. Tuż przed wejściem do świątyni powstrzymałem łąkę, która miała zamiar pozbyć się zwłok.

Giordino przeciągle popatrzył na Pitta, taksując go wzrokiem od stóp do głów: dostrzegł na jego twarzy i ramionach mnogość draśnień i zadrapań, dokumentujących szaleńczy pościg przez dżunglę.

- Wyglądasz na faceta, który najpierw skończył triathlon, a później zwałił się na zwój drutu kolczastego. Jako twój osobisty szaman, zalecam kilka godzin wypoczynku, zanim wrócimy do obozu przy studni ofiarnej.

- Nie czuję się wcale tak źle, jak wyglądam - odparł Pitt. - Czasu na drzemkę będzie później aż nadto. Teraz trzeba załatwić rzeczy ważniejsze. Jeśli o mnie chodzi, nie czuję najmniejszej ochoty jeszcze raz bawić się w Tarzana. Zwijam się stąd najbliższym lotem.

- Oblęd - wymamrotał Giordino. - Kilka godzin w dżungli i z faceta robi się neptek.

- Czy naprawdę sądzisz, że możemy stąd odlecieć? - zapytała sceptycznie Shannon.

- Bez wątpienia. W istocie mogę to gwarantować.

Rodgers spojrział nań z niedowierzaniem.

- W tej dolinie może wylądować tylko śmigłowiec i tylko śmigłowiec może z niej wystartować.

Pitt szeroko się uśmiechnął.

- Nawet przez myśl mi nie przeszło inne rozwiązanie. Pomyślcie, w jaki sposób Amaru, czy jak tam brzmi jego imię, transportuje swoje łupy do portów, aby

wypchnąć je z kraju? To wymaga systemu komunikacji i łączności, a zatem musi gdzieś tu być radio, z którego możemy skorzystać, aby wezwać pomoc.

Giordino z aprobatą pokiwał głową.

- To ma sens, zakładając oczywiście, że zdołamy je znaleźć. Przenośna radiostacja może być ukryta wśród okolicznych ruin dosłownie wszędzie. Strawimy długie dni, usiłując ją odnaleźć.

Pitt z nieodgadnionym wyrazem twarzy popatrzył na Amaru.

- On wie, gdzie jej szukać.

Amaru zapanował nad bólem i posłał Pittowi złowieszcze spojrzenie czarnych oczu.

- Nie mamy żadnej radiostacji - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Wybacz, że nie zechcę uwierzyć ci na słowo. Gdzie to trzymacie?

- Nic ci nie powiem - odparł Amaru, krzywiąc usta.

- Wolisz umrzeć? - zapytał sucho Pitt.

- Oddasz mi przysługę, jeśli mnie zabijesz.

Zielone oczy Pitta były zimne jak wody jeziora skutego lodem.

- Ile kobiet zgwałciłeś i zamordowałeś?

- Dawno straciłem rachubę. - Na twarzy Amaru malowała się wzgarda.

- Chcesz, żebym się wściekł i wykończył cię na miejscu, co?

- Dlaczego nie pytasz, ile wyrznąłem dzieci?

- Ee, bracie, nie oszukuj się. - Pitt wyjął kolta i przytknął jego lufę do skroni Amaru. - Zabić cię? Nie widzę w tym najmniejszej korzyści, ale jeden strzał przez oczy mógłby być stosowniejszym rozwiązaniem. Będziesz wciąż żył, ale do twoich ułomności dorzucimy ślepotę.

Amaru usiłował zdobyć się na arogancję, nie zdołał jednak usunąć strachu z nieruchomego spojrzenia i ukryć wyraźnego drżenia warg.

- Blefujesz.

- Najpierw oczy, a potem kolana - ciągnął Pitt tonem pogawędki. - Może w następnej kolejności uszy, chociaż właściwie lepiej byłoby zabrać się za nos. Na twoim miejscu dałbym sobie spokój, dopóki masz jeszcze jakiegokolwiek szansę.

Świadom, że Pitt jest piekielnie poważny, a sytuacja - praktycznie bez wyjścia, Amaru dał za wygraną.

- Znajdziesz to, czego szukasz, we wnętrzu okrągłego budynku, położonego o pięćdziesiąt metrów na zachód od świątyni. Nad wejściem widnieje płaskorzeźba

przedstawiająca małpę.

Pitt zwrócił się do Giordina.

- Weź ze sobą któregoś studenta jako tłumacza i skontaktuj się z najbliższym przedstawicielstwem władz peruwiańskich. Podaj nasze zamiary i zamelduj o sytuacji. Potem zażądaj, żeby wysłano wojsko. Trudno wykluczyć, że w ruinach czai się więcej tego tałatajstwa.

Giordino z zadumą popatrzył na Amaru.

- Jeśli wyślę MAYDAY na otwartej częstotliwości, kumple z Limy tego zbrodniczego maniaka mogą przejąć transmisję i wcześniej niż wojsko wysłać oddział swoich zbirów.

- A poza tym zaufanie wobec wojska może okazać się ryzykowne - dodała Shannon. - Jakiś wyższy oficer, a nawet cała grupa wyższych oficerów może maczać palce w tym całym interesie.

- Cóż rządzi tym światem, jeśli nie korupcja? - stwierdził filozoficznie Pitt.

Rodgers skinął głową.

- Shannon ma rację. To rabusie grobów na wielką skalę, a zyski z tego przedsięwzięcia z powodzeniem mogą się równać dochodom z przemytu narkotyków. Ktokolwiek stoi za tym interesem, nie zdołałby go prowadzić nie mając urzędników państwowych w kieszeni.

- Moglibyśmy skorzystać z naszej własnej częstotliwości i skontaktować się z Juanem - zasugerowała Shannon.

- Juanem?

- Juanem Chaco, koordynatorem naszej misji z ramienia rządu peruwiańskiego i szefem bazy zaopatrzeniowej w najbliższym mieście.

- Można mu ufać?

- Chyba tak - odparła Shannon. - Juan to jeden z najbardziej szanowanych archeologów w Ameryce Południowej i wybitny specjalista od kultur andyjskich. Jest również rządowym Argusem od nielegalnych wykopalisk i przemytu antyków.

- Sprawia wrażenie faceta, o którego nam chodzi - powiedział Pitt do Giordina.

- Odszukaj radiostację i poproś o śmigłowiec, który przierzuciłby nas na statek.

- Pójdę z tobą i powiadomię Juana o zamordowaniu Millera - zaproponowała Shannon. - Chciałabym też rozejrzeć się dokładnie po budynkach otaczających świątynię.

- Weźcie broń i bądźcie ostrożni - ostrzegł ich Pitt.

- A co z ciałem doktora? - zapytał Rodgers. - Nie możemy go tak porzucić.

- To prawda. Wnieście go do świątyni i owińcie w jakieś koce, żeby mógł spokojnie poczekać na transport do najbliższego koronera.

- Ja się tym zajmę - powiedział z gniewem Rodgers. - Choć tyle mogę zrobić dla przyzwoitego faceta.

Amaru uśmiechnął się złowieszczo. W rzeczy samej, mimo bólu skrzywił wargi w uśmiechu.

- Głupcy, cholerni głupcy - warknął. - Nigdy nie ujdziecie z życiem z Pueblo de los Muertos.

- Pueblo de los Muertos to po hiszpańsku Miasto Zmarłych - wyjaśniła Shannon.

Wszyscy z niesmakiem popatrzyli na bandytę. Przypominał im bezradnego grzechotnika, zbyt poważnie rannego, aby sprężyć się do skoku i uderzyć, Pitt wciąż jednak widział w nim człowieka niebezpiecznego i nie zamierzał popełnić błędu, jakim niewątpliwie byłoby zignorowanie Amaru. Niemniej jednak nie przejął się osobliwym wyrazem pewności, przebłyskującym z jego oczu.

Kiedy tylko pozostali wybiegli z izby, Pitt przyklęknął koło powalonego bandyty.

- Jak na człowieka w swoim położeniu, masz doskonale samopoczucie.

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. - Twarz Amaru wykrzywił nagły grymas bólu.

- Stanęliście na drodze potężnym ludziom. Ich gniew będzie straszny.

- Napotykałem już na swojej drodze potężnych ludzi. - Pitt uśmiechnął się obojętnie.

- Chcecie narazić na ryzyko Solpemachaco, a oni zrobią wszystko, aby uniknąć zdemaskowania, nawet gdyby miało to oznaczać starcie z powierzchnią ziemi całego regionu.

- Nie współpracujesz zatem z gromadą rozkoszniczków. Powtórz, z łaski swojej, jak ich nazywasz?

Amaru nie odpowiedział. Słabł z powodu szoku i upływu krwi. Powoli uniósł rękę i wymierzył w Pitta palec.

- Jesteś przeklęty. Twoje kości na zawsze spoczną z kośćmi Czaczapojów. - Potem jego oczy rozbiegły się i zamknęły. Stracił przytomność.

Pitt popatrzył na Shannon.

- Kim byli owi Czaczapojowie?

- Znani również jako Lud z Chmur - wyjaśniła Shannon. - Była to prainkaska kultura, która rozkwitła w wysokich Andach w okresie pomiędzy 800 a 1480 rokiem po Chrystusie. Później podbili ich Inkowie. To Czaczapojowie zbudowali tę wspaniałą nekropolię.

Pitt wstał, zdjął wartownikowi z głowy filcowy kapelusz i rzucił go na pierś Amaru, a potem odwrócił się, przeszedł do głównej nawy świątyni i spędził kilka minut na studiowaniu niewiarygodnego zbioru czaczapojańskich wytworów. Podziwiał właśnie wielki ceramiczny sarkofag, kiedy do komnaty wpadł Rodgers z wyrazem silnego niepokoju na twarzy.

- Gdzie, powiadasz, zostawiłeś zwłoki doktora Millera? - zapytał bez tchu.

- U szczytu schodów.

- Lepiej mi pokaż.

Pitt podążył w ślad za Rodgersem ku łukowemu wejściu. Zatrzymał się, popatrzył z niedowierzaniem na zakrwawiony podest, a potem podniósł wzrok.

- Kto usunął zwłoki?

- Jeśli ty nie wiesz - odparł równie zbity z tropu Rodgers - ja tym bardziej nie mam zielonego pojęcia.

- Rozejrzałeś się wokół podstawy świątyni? Może spadł...

- Posłałem na poszukiwania czterech studentów. Nie znaleźli śladu po doktorze.

- Czy jest możliwe, żeby przeniósł go któryś ze studentów?

- Sprawdzalem. Są równie ogłupieni jak my.

- Martwi nie wstają i nie odchodzą - powiedział bezbarwnie Pitt.

Rodgers rozejrzał się wokół świątyni, a potem wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że akurat nasz doktorek zdołał tego dokonać.

Pomrukujący klimatyzator wprawiał w ruch suche, chłodne powietrze we wnętrzu długiego karawaningu, służącego za kwaterę główną misji archeologicznej w Chachapoyas. Mężczyzna rozparty na skórzanej kanapie był znacznie mniej strudzony niż ludzie w Mieście Zmarłych. Juan Chaco spoczywał wprawdzie w zrelaksowanej pozycji, lecz jego dłoń krzepko trzymała szklaneczkę dobrze schłodzonego dżinu z tonikiem. Ocknął się jednak, całkowicie odzyskując trzeźwość umysłu, kiedy ożył głośnik radiowy zamontowany na ścianie oddzielającej główną część mieszkalną od szoferki.

- Święty Jan wzywa świętego Piotra. - Głos był słyszalny ostro i wyraźnie. -  
Święty Jan wzywa świętego Piotra. Jesteś tam?

Chaco spiesznie przemierzył luksusowe wnętrze domu na kółkach i wcisnął guziczek nadawania.

- Jestem i słucham.

- Włącz magnetofon, nie mam czasu powtarzać ani też szczegółowo wyjaśniać sytuacji.

Chaco stwierdził, że zrozumiał, a następnie włączył magnetofon.

- Mogę odbierać.

- Amaru i jego ludzie zostali pokonani i wzięci do niewoli. Znajdują się teraz pod strażą archeologów. Amaru jest postrzelony, może nawet nie żyje.

Twarz Chaco nagle spoważniała.

- Jak mogło do tego dojść?

- Jeden z ludzi NUMY, który odpowiedział na twoje wezwanie o pomoc, jakimś cudem wydostał się ze studni, dopędził w świątyni Amaru i jego jeńców, a następnie zdołał załatwić jednego po drugim naszych zdecydowanie przepłacanych zbirów.

- Cóż za diabeł mógł dokonać tego wszystkiego?

- Diabeł bardzo niebezpieczny i bardzo pomysłowy.

- A tobie nic nie grozi?

- Chwilowo.

- Zatem zawiódł nasz plan, aby wystraszyć archeologów z naszych terenów łowieckich.

- I to fatalnie - odparł głos. - Wystarczyło, aby doktor Kelsey zerknęła na towary oczekujące na transport, a wszystko stało się dla niej jasne.

- Co ze sprawą Millera?



- Niczego nie podejrzewają.

- Przynajmniej coś się nam udało - stwierdził Chaco.

- Jeśli zdołasz wezwać posiłki, zanim opuszczą dolinę - wyjaśniał głos - wciąż możemy ocalić całą operację.

- Nie było w naszych zamiarach wyrządzenie krzywdy peruwiańskim studentom - powiedział Chaco - a reperkusje ze strony moich rodaków będą oznaczać koniec interesów pomiędzy nami.

- Za późno, przyjacielu. Teraz, kiedy zdają sobie sprawę, że te nieprzyjemne przygody zaserwowała im grupa łupieżczego syndykatu, nie zaś terroryści ze Świetlistego Szlaku, nie można dopuścić, aby swoimi spostrzeżeniami podzielili się ze światem. Musimy ich wyeliminować.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś nie dopuścił, aby doktor Kelsey i Miles Rodgers zanurkowali w studni ofiarnej.

- Nie sposób było ich powstrzymać, chyba że dokonałbym morderstwa na oczach wszystkich studentów.

- Błędem było również wysyłanie wezwania o pomoc.

- Nieprawda, skoro chcieliśmy uniknąć śledztwa przeprowadzonego przez agendy rządowe. Utonięcie Kelsey i Rodgersa wzbudziłoby podejrzenia, gdyby nie przedsięwzięto odpowiednich działań ratowniczych. Nie możemy narazić Solpemachaco na zainteresowanie opinii publicznej. A poza tym, skąd mogliśmy wiedzieć, że ni z gruszki, ni z pietruszki zareaguje NUMA?

- Fakt, tego nie mogliśmy przewidzieć.

Podczas rozmowy Chaco wpatrywał się w wydobytą z doliny śmierci niewielką kamienną figurkę skrzydlatego jaguara. Na koniec powiedział cicho:

- Załatwię, aby nasi najemnicy z armii peruwiańskiej podskoczyli śmigłowcem do

Pueblo de los Muertos najdalej za dwie godziny.

- Czy jesteś pewien, że ich dowódca stanie na wysokości zadania?

Chaco uśmiechnął się pod nosem.

- Komu mógłbym zaufać, jeśli nie własnemu bratu?

- Nigdy nie wierzyłem w zmartwychwstanie zwykłych śmiertelników. Pitt wstał, spoglądając na kałużę purpury na podeście wieńczącym niemal pionowe schody. - Ale z tym właśnie mamy do czynienia.

- Nie żył - stwierdził z naciskiem Rodgers. - Stałem tak blisko niego, jak w tej

chwili stoję przy tobie, kiedy Amaru władował mu kulę w serce. Krew była wszędzie. Bez wątpienia doktor był martwy. Sam widziałeś ciało.

- Nie poświęciłem ani chwili na solidną obdukcję.

- W porządku, ale jak wyjaśnisz tę smugę krwi wiodącą z komnaty, gdzie został postrzelony doktor? Musiało być tego przynajmniej pół beczki.

- Raczej pół flaszki - stwierdził z zadumą Pitt. - Przesadzasz.

- Jak długo, twoim zdaniem, zwłoki spoczywały tu od chwili, kiedy załatwiłeś wartownika i poszedłeś uwolnić studentów? - zapytał Rodgers.

- Cztery, może pięć minut.

- I w tym czasie sześćdziesięciosiedmioletni umarłak zeskakuje z dwustu wąziutkich, maleńkich, nierównych schodów wznoszących się pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni. Ze schodów, których nie można pokonywać po dwa lub trzy, nie ryzykując upadku. No i w dodatku znika, nie rozlewając już ani kropelki krwi więcej. - Rodgers pokręcił głową. - Houdini skreśliłby się z zazdrości.

- Czy jesteś pewien, że to był doktor Miller? - zapytał powściągliwie Pitt.

- Oczywiście, że tak - odparł Rodgers zdumiony, iż padło takie pytanie. - Któż by to miał być, twoim zdaniem?

- Od jak dawna go znałeś?

- Ze słyszenia przynajmniej piętnaście lat, osobiście poznałem go dopiero pięć dni temu. - Rodgers patrzył na Pitta jak na kompletnego wariata. - Nie zawracaj głowy! Doktorek to jeden z najwybitniejszych antropologów świata i jest tym dla prehistorycznych kultur amerykańskich, czym dla afrykańskich był Leakey. Jego wizerunek zdobił setki artykułów w tuzinach magazynów od „Smithsonian” do „National Geographic”. Widziałem go w wielu serialach popularnonaukowych na temat wczesnej historii człowieka. Doktor Miller nie był eremita, lubił światła rampy. Nietrudno go było rozpoznać.

- Ot, po prostu macam na oślepie - odparł cierpliwie Pitt tonem wyjaśnienia. - Nic tak nie pobudza do życia szarych komórek jak uczciwa, powikłana intryga... - Urwał, bo zza kolistej ściany świątyni wypadli Shannon i Giordino. Nawet z wysokości podestu spostrzegł, że są podnieceni. Odczekał, aż Giordino znajdzie się w połowie schodów i dopiero wtedy wrzasnął: - Tylko mi nie mów, że ktoś was uprzedził i rozwalił radio!!!

Giordino zatrzymał się, wsparty o wyższe stopnie stromych schodów.

- Skucha! - odrzyknął. - Zniknęło! Ktoś je zabrał!

Kiedy Shannon i Giordino dotarli do szczytu schodów, oboje dyszeli z wysiłku i błyszczeli od potu. Shannon delikatnie osuszyła twarz jednorazową chusteczką, którą chyba każda kobieta potrafi skądś wytrzasnąć w krytycznym momencie, Giordino natomiast po prostu otarł spocone czoło i tak już wilgotnym rękawem.

- Ktokolwiek zbudował tę chałupę - powiedział między jednym oddechem a drugim - powinien był zainstalować windę.

- Czy znaleźliście grobowiec z radiostacją? - zapytał Pitt.

Giordino skinął głową.

- Znaleźliśmy, a jakże. I trzeba powiedzieć, że ci faceci nie lubią tandety. Grobowczyk umeblowany jak z żurnala. Najlepszy sprzęt, jaki mógłbyś zobaczyć na reklamówkach. Był nawet przenośny generator, zapewniający prąd lodówce.

- Pustej - zaryzykował Pitt.

Giordino skinął głową.

- Szczur, który zabrał radio, poświęcił parę chwil, żeby porozbijać cztery szóstki doskonałego piwa Coors.

- Coors w Peru? - zdziwił się Rodgers.

- Mogę ci pokazać etykiety na porozbijanych flaszkach - jęknął Giordino. - Ktoś chciał, żeby dręczyło nas pragnienie jak na pustyni.

- Tym się nie mamy co przejmować, skoro tuż za przełęczą rozciąga się dżungla - powiedział z lekkim uśmiechem Pitt.

Giordino przeciągle popatrzył na przyjaciela, ale nie odpowiedział mu uśmiechem.

- No więc w jaki sposób wzywamy piechotę morską?

Pitt wzruszył ramionami.

- Skoro radiostacja bandziorów zniknęła, a nasza w śmigłowcu przypomina szwajcarski ser... - Urwał i zwrócił się do Rodgersa: - A co z waszym systemem łączności przy studni ofiarnej?

Fotograf pokręcił głową.

- Jeden z ludzi Amaru załatwił nasz nadajnik tak samo jak wasz.

- Tylko nie chcę słyszeć - powiedziała z rezygnacją Shannon - że znów musimy zasuwać na piechotę trzydzieści kilometrów przez dziewiczą dżunglę. A potem jeszcze dziewięćdziesiąt kilometrów do Chachapoyas.

- Może Chaco zaniepokoi się brakiem kontaktu z nami i wyśle grupę rozpoznawczą - wyraził nadzieję Rodgers.

- Jeśli nawet znajdą nas w Mieście Zmarłych - odparł Pitt - przybędą za późno i zastaną jedynie trupy rozrzucone w ruinach.

Wszyscy popatrzyli na niego stropieni i zaintrygowani.

- Amaru utrzymywał, że włożyliśmy kijek w szprychy wózka bardzo potężnych ludzi - podjął wyjaśnienie Pitt - i że ci ludzie nie pozwolą nam ujść z tej doliny z życiem, obawiając się, iż zdemaskujemy ich złodziejską operację.

- Jeśli jednak od początku zamierzali nas zabić, to dlaczego nas tu ciągnęli? - zapytała Shannon. - Przecież bez trudu mogli rozwalić nas na miejscu i wrzucić szczątki do studni.

- Po to, aby cała rzecz wyglądała jak napad Świetlistego Szlaku. Trudno bowiem wykluczyć, iż naprawdę zamierzali pobawić się w ten numer z zakładnikami i okupem. Gdyby rząd peruwiański, władze uczelni czy też rodzice studentów zapłacili jakieś niezłe pieniądze za nasze uwolnienie - tym lepiej. Po prostu potraktowaliby forszę za okup jako uboczny dochód z operacji przemytniczej. A w końcu zamordowaliby nas tak czy owak.

- Kim są ci ludzie? - zapytała ostro Shannon.

- Amaru używał wobec nich określenia „Solpemachaco”, cokolwiek miałoby to znaczyć.

- Solpemachaco - powtórzyła Shannon. - Kontaminacja mitów o meduzie i smoku. Podania przekazywane z pokolenia na pokolenie opisują Solpemachaco jako siedmiogłowego złowieszczego węża, który żyje w jaskini. Wedle jednego z mitów, wąż ów mieszka w Pueblo de los Muertos.

Giordino ziewnął obojętnie.

- To mi raczej wygląda na kiepski scenariusz kolejnej historyjki o potworach z trzewi Ziemi.

- Raczej zręczną manipulację słowami - zaproponował Pitt. - Metafora jako nazwa kodowa międzynarodowej organizacji przestępczej z dużymi wejściami na podziemny rynek handlu antykami.

- Siedem głów węża mogłoby symbolizować szefów stojących nad organizacją - zasugerowała Shannon.

- Albo siedem różnych baz operacyjnych - dodał Rodgers.

- Teraz, skorośmy wyjaśnili sobie całą tajemnicę - wtrącił kwaśno Giordino - dlaczego nie zabierzemy się stąd w cholerę i nie ruszymy w stronę studni ofiarnej, zanim Siuksowie i Czejenowie zaszarżują przez przełęcz?

- Ponieważ będą tam na nas czekać. Myślę, że powinniśmy zapuścić tu korzenie.

- Naprawdę sądzisz, że wyślą ludzi, by nas wybić? - zapytała Shannon, raczej gniewnie niż lękliwie.

Pitt skinął głową.

- Gotów jestem założyć się o swoją emeryturę. Ktokolwiek zwinął się z radiem, z pewnością dał cynk na nasz temat. Sądzę, że jego kumple spadną na dolinę jak stado wściekłych szerszeni w ciągu - urwał i zerknął na zegarek - mniej więcej półtorej godziny. A potem rozwałą każdego, kto choćby przypomina archeologa.

- Nie nazwałabym tego perspektywą optymistyczną - westchnęła Shannon.

- Sześć automatów i pistolet Dirka. Możemy nawet na jakieś dziesięć minut zniechęcić do działania doborową bandę złożoną z powiedzmy, dwóch tuzinów zbirów - mruknął posępnie Giordino.

- Przecież nie możemy zostać tutaj i wojować z uzbrojonymi bandytami zaprotestował Rodgers. - Wyrzną nas do nogi.

- No i musimy brać pod uwagę życie tych młokosów - dodała Shannon, blednąc nagle.

- Zanim damy się unieść tej orgii pesymizmu - powiedział Pitt dziarsko, jakby nie miał na głowie żadnych trosk - proponuję zgromadzić wszystkich i ewakuować się ze świątyni.

- A co potem? - zapytał Rodgers.

- Najpierw rozejrzemy się za lądowiskiem Amaru.

- W jakim celu?

Giordino uniósł oczy ku niebu.

- Znam ten wyraz twarzy. Pitt dzierga kolejną machiaweliczną przewalankę.

- Nic szczególnie wyrafinowanego - odparł spokojnie Pitt. - Kombinuję sobie, że kiedy zbiry wylądują i zaczną w poszukiwaniu naszych skromnych osób uganiać się po ruinach, pożyczymy ich śmigłowiec i polecimy do najbliższego czterogwiazdkowego hotelu, gdzie można liczyć na odświeżającą kąpiel.

Nastąpiła chwila ciszy pełnej niedowierzania. Wszyscy patrzyli na Pitta takim wzrokiem, jak gdyby wyszedł właśnie z marsjańskiego statku kosmicznego. Pierwszym, który przerwał milczenie, był Giordino.

- Widzicie? - powiedział z szerokim uśmiechem. - A nie mówiłem?

Pitt pomylił się w swoich szacunkach zaledwie o dziesięć minut. Ciszę panującą w dolinie zburzył łomot tłukących powietrze łopat wirnika, kiedy dwa peruwiańskie śmigłowce wojskowe przeleciały nad grzbietem siodła pomiędzy szczytami gór, okrążyły starożytne budowle i po zdawkowym, krótkim rozpoznaniu terenu siadły na placu pomiędzy ruinami, niesporna sto metrów od frontowej ściany świątyni. Przez tylne drzwi wysypali się żołnierze, przebiegli pod wirującymi śmigłami i ustawili się na baczność, jak gdyby w oczekiwaniu inspekcji. Nie byli to zwykli żołnierze, których misja i powołanie polega na obronie kraju i zachowaniu pokoju, lecz gromada najemnych łotrzyków, którzy oferowali swoje usługi temu, kto najwięcej zapłaci. Na rozkaz dowodzącego oficera - kapitana ubranego nieco groteskowo jak na tę sytuację, w pełny wyjściowy mundur - dwa plutony po trzydziestu ludzi każdy rozsypały się w ciasną tyralierę pod dowództwem dwóch poruczników, usatysfakcjonowany zaś nienagannym ustawieniem ludzi kapitan uniósł nad głowę trzcinkę, rozkazał oficerom przystąpić do ataku na świątynię, a potem wspiał się na niski murek, aby z miejsca, które uznał za bezpieczny punkt obserwacyjny, dowodzić tą nierówną bitwą.

Kiedy zaczął pokrzykiwać, zachęcając swoich ludzi do zuchwałej szarży po schodach świątynnych, ruiny odpowiedziały mu wielokrotnym echem. Nagle jednak urwał i wydał się z siebie dziwne sapnięcie, które przemieniło się w konwulsyjny jęk bólu; na jedną krótką chwilę zeszywniał, w jego oczach odmalował się wyraz potwornego zaskoczenia, a potem, złożony w pół, spadł z muru, lądując na wznak z donośnym stuknięciem.

Przysadzisty porucznik w luźnym mundurze polowym dopadł powalonego kapitana, przyklęknął przy nim, a potem podniósł wzrok na grzebalny pałac, mając minę człowieka, który w oszołomieniu, z trudem, pojmuje oczywiste fakty. Otworzył usta, aby wydać rozkaz i przy wtórze ostrego trzasku karabinu 56-1, ostatniej zatem rzeczy, jaką usłyszał w życiu, zwałił się na ciało swojego dowódcy. Z podestu przy wejściu do świątyni, leżąc płasko na brzuchu za niewielką kamienną barykadą, Pitt spojrział znad celownika automatu na skonfundowanych żołnierzy i posłał w ich szeregi jeszcze cztery pociski, eliminując ostatniego oficera pozostałego jeszcze przy życiu. Na twarzy Pitta nie było wyrazu zaskoczenia czy też strachu, kiedy stanął oko w oko z tak okrutnie przeważającymi siłami nieprzyjaciela; powodowała nim jedynie determinacja. Stawiał opór po to, aby odwrócić uwagę Peruwiańczyków i ocalić tym samym życie trzynastu niewinnych osób. Zwykła strzelanina ponad głowami

żołnierzy, opóźniająca na krótkie chwile atak, byłaby czystą stratą czasu: ci ludzie przysli tu, aby zabić wszystkich świadków kryminalnej działalności swych mocodawców. Zabić albo pozwolić się zabić to nadal wyświechtana alternatywa, w tym jednak wypadku wiernie oddająca sytuację. Najemnicy nie zamierzali ustąpić.

Pitt nie był bezlitosnym twardzielem; w jego oczach brakowało owej stalowej nieustępliwości i lodowatego zimna Seagala, Van Damme'a czy Schwarzeneggera. Nie sprawiało mu przyjemności zabijanie obcych ludzi i w tej chwili żałował jedynie, że na linii jego strzałów nie stoją ci naprawdę odpowiedzialni za wszystkie przestępstwa. Ostrożnie wyciągnął lufę karabinu z miniaturowej strzelnicy pomiędzy kamieniami i omiół wzrokiem teren na dole. Peruwiańscy najemnicy rozsypali się za kamiennymi ruinami. W stronę świątyni padło kilka przypadkowych strzałów; kule odłupały fragmenty muru, a potem ze świstem poleciały w otchłań. Tak, to byli hartowni, zdyscyplinowani wojacy, którzy nawet w opresji nie tracili głowy na długo - śmierć oficerów opóźniła akcję, lecz jej nie powstrzymała. Dowodzenie przejęli sierżanci, koncentrując się na taktyce, która pozwoliłaby im wyeliminować nieprzewidziany opór. Zanurkował za kamienną barykadę, kiedy długa salwa kul przefastrygowała zewnętrzne kolumny, odłupując nieporównanie więcej kamiennych odłamków niż uprzednio. Pitta zaskoczył ten manewr: Peruwiańczycy przykrywali go ogniem, pod którego osłoną mogli skokami dotrzeć do podnóża świątynnych schodów. Niczym krab wpełzł bokiem do świątyni zmarłych i dopiero skryty za jej grubymi murami zerwał się na nogi, podbiegł do ściany w głębi i ostrożnie wyjrzał przez hakowe okno. Ani jeden z żołnierzy nie zaszedł budynku od tej strony, mieli bowiem świadomość, że zaoblone mury są zbyt strome, aby można przypuścić po nich atak bądź podjąć próbę ucieczki. Pitt z łatwością przewidział, iż najemnicy skoncentrują cały swój wysiłek na ataku frontalnym, nie przewidział jednak, iż zanim do niego przystąpią, obrócą w ruiny większą część pałacu bogów śmierci na szczycie świątyni.

Na powrót wpełzł na barykadę i posłał w dół serię z karabinu; kiedy przekreśliwszy się na bok, zakładał następny zakrzywiony magazynek, rozległ się przeciągły świst i czterdziestodzieciomilimetrowa rakietka z chińskiej wyrzutni typu 69 rąbnęła w mur osiem metrów za nim. Detonowała z gromowym hukiem, siejąc kamiennymi odpryskami jak szrapnelami, i wybiła w ścianie ogromną wyrwę. Świątynię bogów śmierci w okamgnieniu wypełnił gruz i paskudny smród materiału wybuchowego. Pitt na chwilę oślepl, zakrztusił się pyłem, wdzierającym się do nosa i gardła; nie potrafiłby powiedzieć, czy donośniej łupie mu serce, czy też huczą

obudzone wybuchem do życia dzwony w uszach. Gorączkowo przetarł oczy i zaczął rozglądać się po rumowisku w czas, by dostrzec czarny dym i błysk towarzyszący odpaleniu następnej rakiety. Zwinął się, zakrywając uszy dłońmi, i ułamek sekundy później półprzytomny, nieruchomy leżał pod całunem pyłu i gruzu.

Potem powoli, z ogromnym trudem podźwignął głowę, wykaszlnął kurz, chwycił broń i na czworakach wpełzł do świątyni. Spojrzał po raz ostatni na stos skarbów inkaskiej kultury i złożył Amaru pożegnalną wizytę. Bandyta odzyskał już przytomność; siedział, ściskając krocze dłońmi brunatnymi od zakrzepłej krwi. Bezgraniczna nienawiść wykrzywiała mu twarz, ale był niewiarygodnie opanowany i, zda się, całkowicie zobojętniały na ból. Emanowało zeń zło.

- Twoich przyjaciół charakteryzują niszczyielskie skłonności - powiedział Pitt, kiedy następna rakietka uderzyła w świątynię.

- Jesteś w pułapce - wycharczał Amaru.

- Dzięki twojemu spektaklowi z zastrzeleniem faceta, który podszył się pod doktora Millera. Umknął z radiostacją i wezwał posiłki.

- Nadszedł czas, byś umarł, jankeska świnio.

- Jankeska świnia... - powtórzył Pitt. - Od wieków nikt mnie tak nie nazwał.

- Będziesz cierpieć tak, jak przez ciebie ja muszę cierpieć.

- Wybacz, stary, mam inne plany.

Amaru usiłował dźwignąć się na łokciu i coś powiedzieć. Pitt jednak zniknął. Pognał w głąb budynku, gdzie przy oknie leżał materac i dwa noże, które wyszabrował z odnalezionych przez Shannon i Giordina bandyckich kwater. Przełożył materac przez parapet, usiadł na nim, opuściwszy nogi za okno, ujął noże w obie dłonie i z obawą spojrział w dół, na ziemię odległą o dwadzieścia metrów. Przypomniał sobie, jak na wyspie Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej skoczył kiedyś, przywiązany do linki, w otchłań kanionu. Wówczas doszedł do wniosku, że takie wyczyny są czymś sprzecznym z ludzką naturą. Wątpliwości i wahania opuściły go jednak raptownie, kiedy w mur świątyni wgrzyzła się czwarta rakietka; mocno przywarł napletkami tenisówek do stromego muru i niczym hamulce wraził oba noże w jego kamienną powierzchnię. Potem, nie oglądając się za siebie, zaczął zjeżdżać w dół, wykorzystując materac jako tobogan czy sanie. Giordino, Shannon, studenci i zamykający pochód Rodgers ostrożnie wyszli po schodach z grobowca, w którym ukrywali się podczas lądowania śmigłowców. Giordino przystanął, wychylił głowę zza kamiennego muru i rozejrzał się dokoła. Śmigłowce, z silnikami pracującymi na wolnych obrotach,



przycupnęły w odległości pięćdziesięciu metrów; dwuosobowe załogi z kabin pilotów spokojnie przyglądały się atakowi. Shannon stanęła u boku Giordina dokładnie w chwili, kiedy rakieta zwała hakowe wejście świątyni.

- Zniszczą artefakty - powiedziała z rozpaczą.

- Nie martwisz się o Dirka? - zapytał Giordino, zerkając na nią z ukosa. - Biedaczek zaledwie ryzykuje życiem i potyka się z bandą najemników, żebyśmy mogli uprowadzić śmigłowiec.

Westchnęła.

- Nie ma archeologa, który potrafiłby przyglądać się bez bólu niszczeniu bezcennych dzieł sztuki.

- Czyli lepsze stare graty niż nasze gnaty?

- Wybacz. Tak samo jak ty pragnę, żeby zdołał umknąć, ale to wydaje się tak nieprawdopodobne...

- Znam faceta od dzieciaka - odparł Giordino. - Wykorzystuje każdą okazję, żeby zabawić się w Horacjusza albo Leonidasa.

Przyjrzał się z uwagą dwóm helikopterom, stojącym w niezbyt równej formacji, i wytypował ten, który był nieco cofnięty. Zaledwie metry dzieliły go od wąskiego parowu, umożliwiającego skryte podejście, co jednak ważniejsze - był praktycznie niewidoczny z wysuniętej maszyny.

- Przekaż wszystkim - powiedział do Shannon dostatecznie głośno, by było go słychać w bitewnym zgiełku - że uprowadzamy ten drugi.

Pitt sunął w dół jak toczący się kamień, a jego kurs wypadał pomiędzy sterczącymi ze ściany kamiennymi łbami zwierząt, które mijał dosłownie o centymetry. Jego dłonie jak imadła dzierżyły trzonki noży, żyłaste ramiona zaś parły z taką mocą, że ostrza pozostawiały za sobą dwie fontanny iskier. Po bieżniku na podszwach tenisówek nie pozostał już żaden ślad, a Pitt wciąż przyspieszał w zatrważającym tempie. Najbardziej obawiał się, że odpadnie od ściany i zwali się na ziemię jak pocisk armatni lub że impet zderzenia połamie mu nogi. W obu przypadkach czekał go jednakowy los - byłby zdany na łaskę i niełaskę Peruwiańczyków, którzy za wystrzelanie swych oficerów raczej nie pogłaszczą go po głowie. Nie ustając w daremnych próbach wyhamowania prędkości, naprężył nogi, w chwili zetknięcia z wilgotnym gruntem wypuścił noże i - jak to się czyni przy skoku ze spadochronem - wykorzystując inercję zrobił dwukrotny przewrót przez ramię.

Chwilę leżał nieruchomo w błocie, dziękując niebiosom, że nie musiał lądować

na kamieniach, a potem ostrożnie wstał i dokonał przeglądu strat własnych. Miał nadwerżoną, lecz wciąż zdatną do użytku kostkę u nogi, kilka draśnięć i lekko obolały bark; wilgotna ziemia ocaliła go przed poważniejszymi kontuzjami. Wierny materac był w strzępach. Rad, że wciąż jest w jednym kawałku, Pitt głęboko zaczerpnął powietrza, a skoro nie miał chwili do stracenia, ruszył biegiem, starając się, by od żołnierzy, gotowych do ataku frontального, dzieliło go jak najwięcej ruin. Giordino mógł tylko hołubić w duszy nadzieję, że Pitt przeżył jakoś atak raketowy i bezpiecznie zjechał po ścianie świątyni, nie zarabiając przy tym kulki. Rzecz, jak uznał, prawie nieprawdopodobna. Pitt sprawiał wrażenie faceta zgoła niezniszczalnego, ale przecież wcześniej czy później kostucha dopada wszystkich. Możliwość jednak, że mogła się dostać do Pitta, Giordino nie chciał przyjąć do wiadomości i nie przyjmował. W jego mniemaniu Pitt albo umrze w łóżku, u boku pięknej kobiety, albo też w domu spokojnej starości dla zasłużonych pletwonurków.

Zgięty we dwoje pognął w stronę helikoptera dokładnie w momencie, kiedy żołnierze - osłaniani z dołu ogniem przez oddział odwodowy - ruszyli po schodach ku ruinom, będącym jeszcze niedawno świątynią zmarłych. Oczy wszystkich Peruwiańczyków śledziły atak i nikt nie dostrzegł, jak Giordino z automatem w garści przebiega pod ogonem śmigłowca, a potem wkłada się do ładowni przez odchylone drzwi. Kiedy był już w środku, przypadł do podłogi, stwierdziwszy zaś, że piloci z zainteresowaniem obserwują poczynania kompanów, począł się do nich z wprawą podkradać.

Jak na mężczyznę o budowie kieszonkowego buldożera, potrafił wykrzesać z siebie niewiarygodną szybkość - dopadł pilotów, zanim ci zdążyli go usłyszeć czy wyczuć, złożoną metalową kolbą swojego karabinka wymierzył drugiemu jadowity cios w kark, a gdy pierwszy spojrział nań z ciekawością raczej aniżeli przerażeniem - zwałił go z fotela uderzeniem w czoło. Spiesznie podciągnął obu nieprzytomnych pilotów do drzwi, zepchnął ich na ziemię i gorączkowo pomachał do towarzyszy, ciągle kryjących się w parowie.

- Szybko! - wrzasnął. - Na rany boskie, szybko!

Jego głos był mimo hałasu doskonale słyszalny, archeologowie natomiast nie potrzebowali dodatkowej zachęty: wystarczyła im sekunda, by wyskoczyć z ukrycia i zniknąć w otwartych drzwiach ładowni.

Giordino wpadł do kabiny i pospiesznie omiół spojrzeniem instrumenty na tablicy rozdzielczej, umiejscowionej pomiędzy fotelami pilotów.

- Jesteśmy wszyscy? - zapytał, gdy Shannon wsunęła się na fotel drugiego pilota.

- Z wyjątkiem Pitta.

Nic nie odrzekł i tylko zerknął przez okno. Żołnierze na schodach, nie napotykając ognia obrońców, wbiegali już na podest i do pałacu zmarłych. Wystarczy sekundy, aby zorientowali się, iż zostali wymanewrowani. Giordino ponownie obrócił uwagę na tablicę rozdzielczą. Helikopter był starą rosyjską maszyną desantowo-transportową typu Mi-8, i w latach zimnej wojny oznaczoną przez NATO jako Hip-C. Dość przestarzała, szpetna bryka, pomyślał Giordino, o dwóch silnikach tysiąc pięćset koni każdy, zdolna przewozić czterech członków załogi i trzydziestu pasażerów. Ponieważ silniki już pracowały, Giordino położył prawą dłoń na manetce przepustnicy.

- Słyszałeś? - zapytała nerwowo Shannon. - Twojego przyjaciela nie ma na pokładzie.

- Słyszałem. - Całkowicie beznamytnie Giordino zwiększył obroty.

Pitt, przykucnięty za kamienną budowlą, wyglądał zza rogu. Słyszał narastające wycie silników i patrzył, jak pięciopłatowy główny wirnik nośny powoli zwiększa obroty. Godzinę temu potrzebował niemałej siły perswazji, aby przekonać Giordina, że musi wystartować bez względu na to, czy on, Pitt, się pojawi, czy też nie. Życie jednego człowieka nie było warte trzynastu innych istnień. Choć od helikoptera dzieliło Pitta zaledwie trzydzieści metrów niczym nie osłoniętej przestrzeni, odnosił wrażenie, iż będzie musiał pokonać dystans co najmniej pięciokilometrowy. Nie musiał już teraz zachowywać ostrożności; musiał po prostu pójść na całość. Pochylił się i pospiesznie wymasował nadwerżoną kostkę, aby uwolnić ją od narastającej sztywności, bo chociaż ból był niewielki, noga zaczynała tężeć i drętwieć. Nie miał już czasu, jeśli chciał się ocalić. Jak sprinter pognął przed siebie przez otwartą przestrzeń. Łopaty wirnika wznieciły z ziemi tumany kurzu, kiedy Giordino unosił stary helikopter nad ziemię. Omiótł wzrokiem tablicę rozdzielczą, aby upewnić się, że nie migocą na niej żadne czerwone światełka, a jednocześnie nastawił ucha, usiłując wyłowić jakiegokolwiek dziwne odgłosy i niezrozumiałe wibracje. Wydawało się jednak, że wszystko jest w porządku; strudzone silniki, którym już od dawna należał się solidny przegląd, rzeczowym pomrukiem odpowiedziały na jego zabiegi, kiedy zwiększył obroty i obniżył nos maszyny. Siedzący w ładowni studenci i Rodgers dostrzegli, jak Pitt, młócąc stopami miękką ziemię, podjął swoją szarżę w stronę

otwartych drzwi, i zaczęli dopingować go okrzykami. Te krzyki stały się wręcz dramatyczne, kiedy na świątynnych schodach jeden z sierżantów odwrócił głowę i dostrzegł Pitta, ścigającego śmigłowiec. Natychmiast wrzasnął do swoich odwołów, które wciąż czekały na rozkaz ataku.

Wrzask sierżanta, nieomal skowyt, poniósł się ponad ostatnimi echami strzałów, oddanych przy wejściu do świątyni.

- Uciekają!!! Strzelajcie, na rany Jezusa!!! Strzelajcie do nich!!!

Żołnierze nie zareagowali zgodnie z rozkazem, Pitt bowiem znajdował się w jednej linii ze śmigłowcem, strzelając więc do uciekiniera mogli poszatkować kulami własną maszynę. Zawahali się zatem, niepewni, czy mają postąpić w myśl gorączkowych rozkazów sierżanta i tylko jeden żołnierz podniósł karabin, by oddać strzał. Pitt zignorował kulę, która rozorała skórę na jego prawym udzie. Zajmowały go rzeczy ważniejsze aniżeli rany i ból. A potem był już pod długim ogonem, w cieniu drzwi. Rodgers zaś i studenci, leżąc na brzuchach, wyciągnęli ręce, aby mu pomóc. Helikopter zadrżał, jak gdyby borykając się z własnym ciągiem, szarpnął w tył, a wtedy Pitt wysunął przed siebie ramiona i skoczył.

Giordino wprowadził maszynę w ostry skręt, który sprawił, że łopaty zawirowały niebezpiecznie nisko ponad szczytami drzew. Jakaś zbłąkana kula roztrzaskała boczne okienko, zasypując kokpit deszczem srebrzystych odłamków, a przy okazji zafundowała nosowi Giordina krwawe draśnięcie. Inny pocisk, który przebił konstrukcję fotela, minął kręgosłup Giordina zaledwie o włos. Helikopter zaliczył jeszcze kilka trafień, zanim przeskoczył nad zagajnikiem i skrył się po przeciwnej stronie, schodząc wreszcie z linii ognia peruwiańskich żołnierzy. Potem, kiedy nie groził mu już ostrzał, zaczął wznosić się po spirali, aż osiągnął pułap pozwalający przeskoczyć ponad górami. Na wysokości niemal czterech tysięcy metrów Giordino spodziewał się nagich skalistych zboczy, rozciągających się zwykle ponad linią lasu, tu jednak zaskoczył go widok obfitej roślinności. Dopiero kiedy wydostał się z doliny i wziął kurs na zachód, zwrócił się do Shannon:

- Dobrze się czujesz?

- Chcieli nas powybijać - odparła martwym głosem.

- Pewnie nie lubią gringos - odpowiedział Giordino, szukając na niej śladów ran, a kiedy ich nie znalazł, ponownie skupił uwagę na pilotowaniu; pociągnął dźwignię, zamykając drzwi ładowni i krzyknął przez ramię:

- Dostał ktoś jakąś kulkę?!

- Tylko ja.

Giordino i Shannon jak na komendę odwrócili się w fotelach, rozpoznając głos Pitta. Nader wyczerpanego i ubłoconego Pitta, fakt, Pitta, z którego nogi, spod spiesznie zawiązanej chustki, sączyła się krew... ale bez wątpienia człowiekiem, który stanął teraz w drzwiach kabiny i posłał im demoniczny uśmiech, był ten sam co zawsze, niezniszczalny Pitt.

Fala ulgi omal nie utopiła Giordina i krępy Włoch błysnął szerokim uśmiechem.

- Mało brakowało, a znowu byś się spóźnił na autobus.

- A ty wciąż jesteś mi winien kapelę i „Czekając na Roberta E. Lee”.

Shannon uśmiechnęła się. Uklękła na siedzeniu swojego fotela i obrócona do tyłu, zarzuciła Pittowi ramiona na szyję.

- Bałam się, że ci się nie uda.

- Niewiele brakowało.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i jej uśmiech zbladł.

- Krwawisz.

- Kulka na pożegnanie od żołnierzy, zanim Rodgers i studenci, niech im to Bóg wynagrodzi, wciągnęli mnie na pokład.

- Musimy dostarczyć cię do szpitala. To wygląda poważnie.

- Chyba że zaprawili swoje kule cykutą - odparł krotocwilnie Pitt.

- Nie powinienes nadweręzać tej nogi. Siądź na moim miejscu.

Pitt odwrócił Shannon i wcisnął ją na powrót w fotel drugiego pilota.

- Siedź, kobieto, mnie przystoi kmieca kompania. - Rozejrzał się po kabinie pilotów. - Cholera, prawdziwy antyk.

- Trzęsie się, grzechocze i łupie - dorzucił Giordino - ale ciągle jeszcze unosi się w powietrzu.

Pitt wychylił się znad ramienia Giordina, przyjrzał się uważnie tablicy rozdzielczej i zatrzymał wzrok na licznikach paliwa. Postukał palcem w szklane szybki: obie wskazówki zadygotały i stanęły tuż poniżej punktu wskazującego trzy czwarte zawartości.

- Jak daleko, twoim zdaniem, uda się nam zalecieć?

- Zasięg przy pełnych zbiornikach powinien mieścić się w granicach trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Jeśli jakaś kulka nie zrobiła nam dziury w zbiorniku, powinniśmy uciągnąć ze dwieście osiemdziesiąt.

- Musi tu być gdzieś mapa terenu i cyrkiel.

W kieszeni obok swojego fotela Shannon znalazła zestaw nawigacyjny. Pitt wyjął z teczki mapy i rozłożył je na plecach Shannon, a potem, ostrożnie, aby nie podziurawić papieru, cyrkiem wyznaczył kurs do peruwiańskiego wybrzeża.

- Szacuję, że od „Głębarka” dzieli nas w przybliżeniu trzysta kilometrów.

- Co to jest „Głębarek”? - zapytała Shannon.

- Nasz statek badawczy.

- Ale nie zamierzasz chyba lądować na morzu, skoro znacznie bliżej jest duże miasto?

- Chodzi jej o międzynarodowe lotnisko w Trujillo - wyjaśnił Giordino.

- Solpemachaco ma jak na mój gust zbyt wielu przyjaciół - odparł Pitt. - Przyjaciół dostatecznie potężnych, aby z marszu zadysponować pułk najemników. Kiedy tylko rozejdzie się wieść, żeśmy uprowadzili helikopter i wysłali na cmentarz dumę ich sił zbrojnych, nasze żywoty nie będą warte koła zapasowego w bagażniku starej wołgi. Będziemy znacznie bezpieczniejsi na pokładzie amerykańskiego statku poza wodami terytorialnymi Peru, dopóki nie załatwimy, aby personel ambasady amerykańskiej przedstawił uczciwym przedstawicielom tutejszych władz niezakłamaną raport na temat wydarzeń.

- Rozumiem twój punkt widzenia - zgodziła się Shannon - ale nie zapominaj o studentach. Znają całą historię, mają wpływowych rodziców, a ja już dopilnuję, żeby prawdziwa relacja na temat ich uprowadzenia i rabunku skarbów narodowych dotarła do środków masowego przekazu.

- Przyjmujesz, oczywiście - stwierdził rzeczowo Giordino - że peruwiański pościg nie przetnie nam drogi na jednym z dwudziestu możliwych podejść stąd do morza.

- Wręcz przeciwnie - odparł Pitt. - Liczę na to. Chcesz pójść o zakład, że dokładnie w tej chwili naszym śladem leci drugi śmigłowiec?

- Będziemy zatem trzymać się nisko nad ziemią, płosząc owce i krowy, dopóki nie dolecimy do wody - odparł Giordino.

- W tym rzecz. Wykorzystywanie niskich chmur też nam nie zaszkodzi.

- Ale chyba o niczym nie zapominacie, co? - powiedziała ze znużeniem Shannon tonem kobiety, która przypomina mężowi o wyniesieniu śmieci. - Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, zbiorniki paliwa będą puste, kiedy od statku będzie nas jeszcze dzielić dwadzieścia kilometrów. Mam nadzieję, że nie planujecie finiszować

wpływ?

- Rozwiążemy i ten błahy problem - stwierdził ze spokojem Pitt. - Połączymy się ze statkiem i poprosimy, żeby pełną parą ruszył nam na spotkanie.

- Im szybciej, tym lepiej - wtrącił Giordino - ale i tak to wszystko jest zaplanowane na styk.

- Gwarantuję, że przeżyjemy - oświadczył z pewnością siebie Pitt. - Ten śmigłowiec, o ile wiem, ma na pokładzie dość kamizelek ratunkowych, żeby starczyło ich dla wszystkich, plus dwie tratwy. Zbadałem to, kiedy przechodziłem przez ładownię. - Urwał, odwrócił się i spojrzął za siebie. Rodgers sprawdzał, czy wszyscy studenci są prawidłowo przypięci pasami bezpieczeństwa.

- Prześladowcy siądą nam na karku, ledwie skontaktujecie się ze statkiem - powtórzyła z tępym uporem Shannon. - Będą wiedzieli, gdzie nas przechwycić, i zostaniemy zestrzeleni.

- Nigdy w życiu - odparł wyniośle Pitt - jeśli prawidłowo rozegram tę partię.

Siedząc, a właściwie półleżąc w foteliku biurowym, technik łączności Jim Stucky rozpoczął lekturę broszurowego wydania kryminalnej powieści Wicka Downinga. Przywykł wreszcie do hałasu, który niósł się echem po kadłubie oceanograficznego statku NUMY „Głębarek”, ilekroć sygnał sonaru odbijał się od peruwiańskiego dna morskiego. Nuda ogarnęła go natychmiast, kiedy statek zaczął nie kończącą się wędrówkę w tę i we w tę, badając budowę dna odległego o dwa i pół tysiąca sążni od swego kilu. Stucky doszedł do środka rozdziału, w którym znaleziono zwłoki utopionej kobiety, kiedy z głośnika rozległ się niewyraźny głos Pitta:

- NUMA wzywa „Głębarka”. Nie śpisz, Stucky?

Stucky wyprostował się jak dźgnięty nożem i wcisnął guzik nadawania.

- Tu „Głębarek”, słyszę cię, NUMA. Nie rozłączaj się - powiedział i przez interkom wezwał kapitana.

Kapitan Frank Stewart spiesznie zbiegł z mostku do kabiny radioofficera.

- Dobrze cię słyszałem, masz łączność z Pittem i Giordinem?

Stucky skinął głową.

- Pitt na linii.

Steward podniósł mikrofon.

- Dirk, tu mówi Frank Stewart.

- Miło słyszeć twój przepity głos, Frank.

- Co wy, chłopaki, kombinujecie? Od dwudziestu czterech godzin admirał

Sandecker kipi jak wulkan, bo nie ma pojęcia, co się z wami stało.

- Uwierz, Frank, nie mieliśmy miłego dnia.

- Gdzie jesteście?

- Lecimy gdzieś nad Andami w antycznym peruwiańskim śmigłowcu szturmowym.

- A co się stało z maszyną NUMY? - zapytał Stewart.

- Zestrzelił ją Czerwony Baron - odparł pospiesznie Pitt. - Ale to nieistotne. Posłuchaj teraz uważnie. Przewiercili nam kulami zbiorniki paliwa. Nie możemy utrzymać się w powietrzu dłużej niż pół godziny. Wyrusz nam na spotkanie i zabierz nas z głównego portu miasta Chiclayo. Znajdziesz je na mapach Peru. Weź awaryjny śmigłowiec NUMY.

Stewart popatrzył z góry na Stucky'ego. Wymienili stropione spojrzenia. Kapitan ponownie przycisnął guziczek nadawania.

- Powtórz, proszę, nie słyszałem cię wyraźnie.

- Musimy wylądować w Chiclayo z powodu utraty paliwa. Spotkaj się z nami drugim śmigłowcem, żeby przewieźć nas na statek. Poza Giordinem i mną jest tu dwunastu innych pasażerów.

Stewart sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Co się tu dzieje, u diabła? Przecież polecili z Giordinem jedynym naszym ptaszkiem, a teraz wracają śmigłowcem bojowym, który został ostrzelany, i mają na pokładzie dwunastu pasażerów. Co to za pieprzenie o awaryjnym śmigłowcu?

- Nie rozłączaj się - przekazał Pittowi Stewart, a potem sięgnął po mikrofon interkomu i wezwał mostek. - Znajdźcie w nawigacyjnej mapy Peru i przynieście natychmiast do radia.

- Myślisz, że Pittowi odbiło? - zapytał Stucky.

- Nigdy w życiu - odparł Stewart. - Ci faceci są w tarapatkach i Pitt usiłuje wpuścić w maliny ewentualnych podsłuchiaczy.

Marynarz przyniósł mapę, a Stewart rozłożył ją na stoliku.

- Ta cała akcja ratunkowa, w której uczestniczyli, zaprowadziła ich w miejsce położone od nas prawie dokładnie na wschód. Chiclayo jest dobre siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od trasy ich lotu.

- Teraz, skorośmy domyślili się jego przekrętów - powiedział Stucky zastanówmy się, jaki Pitt ma plan.

- Rychło się tego dowiemy. - Stewart przejął mikrofon i powiedział: - NUMA,



wciąż nas słyszycie?

- Wciąż słyszymy, brachu - rozległ się w odpowiedzi niewzruszony głos Pitta.

- Polecę drugim śmigłowcem do Chiclayo i osobiście odbiorę was i waszych pasażerów. Przyjąłeś?

- Dzięki, kapitanie. Miło, że jak zwykle nie robisz nic na pół gwizdka. Przygotuj piwo na mój przyjazd.

- Jasne - odparł Stewart.

- I nie ociągaj się za bardzo, dobra? Kąpiółka naprawdę by mi się przydała. Do rychłego.

Stucky przeciągle popatrzył na Stewarta i parsknął śmiechem.

- Odkąd umie pan, kapitanie, pilotować śmigłowiec?

Stewart też parsknął śmiechem.

- Nie mogę sobie przypomnieć.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby powiedzieć mi, co przegapiłem w tej rozmowie?

- Za sekundkę. - Stewart ponownie chwycił mikrofon interkomu i wydał lapidarne rozkazy: - Wyciągnijcie czujnik sonaru i weźcie kurs na zero-dziewięć-zero. Kiedy tylko sensor znajdzie się na pokładzie, cała naprzód. I żadnych wymówek głównego mechanika, że jego silniczka nie można przeforsować. Chcę, żeby wycisnął z niego każdy obrót.

- Z zadumą na twarzy odwiesił mikrofon. - Co to myśmy... ach tak, chciałeś wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- To jakaś szarada? - mruknął Stucky.

- Żadna szarada. Dla mnie zupełnie jasne. Pitt i Giordino nie mają dość paliwa, aby dotrzeć na statek, musimy więc ruszyć pełną parą, aby spotkać się z nimi mniej więcej w połowie drogi między tym miejscem a wybrzeżem. Miejmy nadzieję, że nie będą musieli nurkować i bawić się w berka z rekinami.

Giordino prowadził maszynę niespełna dziesięć metrów nad wierzchołkami drzew, z prędkością zaledwie stu czterdziestu czterech kilometrów na godzinę. Dwudziestoletni śmigłowiec mógł wydusić z siebie niemal sto kilometrów więcej, Giordino jednak zredukował prędkość, aby zaoszczędzić paliwo, bo niewiele go pozostało po przeprawie nad górami. Od miasta dzielił ich jeszcze tylko jeden łańcuch wzgórz i wąski pas nadbrzeżnej równiny. Co trzy minuty Giordino z niepokojem spoglądał na liczniki paliwa, których wskazówki nieprzyjemnie blisko zbliżały się do zera, a potem jego wzrok powracał do przesuwającego w dole zielonego listowia. Las był tu gęsty, polany zaś - usiane wielkimi głazami. Rozpatrując możliwość przymusowego lądowania, trzeba było uznać to miejsce za mało przyjazne. Pitt pokuśtykał do ładowni i zaczął rozdawać kamizelki ratunkowe. Shannon podążyła za nim, zdecydowanie wyjęła mu z ręki kamizelkę i podała Rodgersowi.

- Nie, nie będziesz tego robić - oznajmiła stanowczo, popychając Pitta na brezentowe krzeselko przymocowane do grodzi. Skinieniem głowy wskazała luźno zawiązaną, zakrwawioną apaszkę na jego nodze. - Siedź i nie ruszaj się. Znalazła w szafce apteczkę, uklękła przed Pittem, a potem z całkowitym spokojem rozcięła nogawkę spodni, oczyściła ranę, fachowo nałożyła osiem szwów i zabandażowała nogę.

- Niezła robótka - ocenił Pitt z podziwem. - Bóg wyznaczył cię chyba na siostrę miłosierdzia.

- Miałeś po prostu szczęście. - Zatrzasnęła pokrywę apteczki. - Kula ledwie drasnęła skórę.

- To dlaczego mam wrażenie, że gram w „Szpitalu Miejskim”?

Shannon uśmiechnęła się.

- Wychowywałam się na farmie z pięcioma braćmi, którzy zawsze byli gotowi wymyślić jakiś nowy sposób zrobienia sobie krzywdy.

- Co pchnęło cię ku archeologii?

- Na skraju naszego pola pszenicy był stary indiański kurhan. Często grzebałam przy nim w ziemi, poszukując grotów strzał. No wiesz, w ramach pracy domowej. Przeczytałam artykuł na temat wykopalisk w kurhanach Indian Hopi w południowym Ohio i zainspirowana nim zaczęłam prowadzić na naszej farmie poważniejsze prace. Kiedy znalazłam kilka sztuk ceramiki i cztery szkielety, złapałam bakcyła. Trzeba dodać, że nie były to wykopaliska profesjonalne. Prawidłowego prowadzenia prac

wykopaliskowych nauczyłam się w college'u i wtedy też zafascynowały mnie kultury środkowych Andów. No i podjęłam decyzję, że będę specjalizować się w tym regionie.

Pitt przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Kiedy poznałaś doktora Millera?

- Dosyć przelotnie mniej więcej sześć lat temu, kiedy pracowałam nad doktoratem. Poszłam na jego wykład na temat sieci pięciu tysięcy kilometrów dróg inkaskich biegnących od granicy kolumbijsko-ekwadorskiej do Chile. Dzięki jego pracom zainteresowałam się kulturą andyjską. Od tego czasu często tu przyjeżdżam.

- A zatem nie poznałaś go osobiście zbyt blisko? - dopytywał się Pitt.

Shannon pokręciła głową.

- Jak większość innych archeologów, koncentrowaliśmy się na swoich ukochanych tematach. Od czasu do czasu korespondowaliśmy ze sobą, wymieniając informacje. Jakies sześć miesięcy temu zaprosiłam go na ekspedycję, żeby otoczył opieką naukową ochotników z archeologii. Był akurat wolny i przyjął moją propozycję, a potem zaproponował nawet, że przyleci ze Stanów pięć tygodni wcześniej, aby rozpocząć prace wstępne, załatwić zezwolenia od władz peruwiańskich i zająć się całą logistyką zaopatrzenia w sprzęt i zapasy. To właśnie on ściśle współpracował z Juanem Chaco we wszystkich sprawach tego rodzaju.

- Czy po przyjeździe zauważyłaś w nim jakąś zmianę?

Na twarzy Shannon pojawiła się konsternacja.

- Dziwne pytanie.

- Chodzi mi o zmianę w wyglądzie, sposobie zachowania - wyjaśnił Pitt.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Od czasu naszego spotkania w Phoenix zapuścił brodę i stracił jakieś piętnaście funtów, a poza tym, jak się teraz zastanawiam, to wydaje mi się, że rzadko zdejmował okulary przeciwsłoneczne.

- Jakaś zmiana głosu?

Wzruszyła ramionami.

- Może był odrobinę niższy. Sądziłam, że doktor jest podziębiony.

- Nie zauważyłaś przypadkiem, czy nosi pierścień? Taki z duży z bursztynowym oczkiem?

Zmrużyła oczy.

- Liczący sześćdziesiąt milionów lat kawałek żółtego bursztynu z uwięzioną w środku mrówką? Doktor był bardzo dumny z tego pierścienia. Pamiętam, że nosił go,

zajmując się inkaską siecią dróg, ale przy studni ofiarnej nie miał nic na palcu. Zapytałam o to i powiedział, że kiedy schudł, pierścień zrobił się za luźny, zostawił go więc u jubilera do zmniejszenia. Dlaczego cię to interesuje?

Pitt miał na palcu bursztynowy pierścień, który znalazł przy trupie w studni ofiarnej, ale nosił go oczkiem obróconym do wewnątrz. Zdjął go teraz i bez słowa podał Shannon.

Uniosła pierścień do światła przy okienku, patrząc w oszołomieniu na mikroskopijne stworzonko zatopione w bursztynie.

- Gdzie? - urwała.

- Ktokolwiek udawał doktora, zamordował go i zajął jego miejsce. Zaakceptowaliście to oszustwo, nie mając powodów do żadnych podejrzeń. Możliwość, że coś tu jest nie tak, nawet nie przyszła wam do głowy. Jedyne błędem polegało na tym, że wrzucając zwłoki doktora do studni, zapomniał zdjąć pierścień.

- Chcesz powiedzieć, że doktor został zamordowany, zanim wyjechałam ze Stanów? - zapytała oszołomiona.

- Zaledwie dzień czy dwa po przybyciu do obozu. Sądząc ze stanu zwłok, musiały być pod wodą od przeszło miesiąca.

- Dziwne, żeśmy go z Milesem nie zauważyli.

- To nie jest aż takie dziwne. Zeszliście na dno dokładnie przy wlocie do sąsiedniej groty i natychmiast zostaliście tam wessani. Ja dotarłem na dół po przeciwnej stronie i mogłem spokojnie prowadzić poszukiwania spodziewanych i zupełnie świeżutkich zwłok dwóch osób. Przyływ pochwyił mnie dopiero później. A więc zamiast was, znalazłem szczątki doktora i kości hiszpańskiego żołnierza z szesnastego wieku.

- Więc doktor naprawdę został zamordowany - powiedziała, a na jej twarzy odmalowała się zgroza. - Juan Chaco musiał wiedzieć, był łącznikiem z naszą misją i współpracował z doktorem przed naszym przybyciem. Czy możliwe, żeby w tym wszystkim siedział?

Pitt skinął głową.

- Po samą szyć. Pomyśl, gdybyś zajmowała się szmuglem starożytnych dzieł sztuki, któż byłby lepszy informatorem i parawanem niż cieszący się międzynarodowym poważaniem ekspert od archeologii i urzędnik państwowy?

- Kim zatem był ten oszust?

- Jeszcze jeden agent Solpemachaco, który z pomocą Amaru urządził

mistrzowski spektakl swojej własnej śmierci. Może jest jednym z ludzi na szczycie organizacji, a nie ma nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu osobiście się potrudzić przy brudnej robocie. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

- Jeśli zamordował doktora, zasługuje na stryczek - powiedziała Shannon, a w jej orzechowych oczach zaiskrzył się gniew.

- Przynajmniej będziemy mogli przygwoździć Juana Chaco do drzwi peruwiańskiego sądu... - Pitt nagle stęzał i zwrócił się w stronę kabiny pilotów, kiedy Giordino wprowadził helikopter w ostry skręt. - Co jest grane?

- Intuicja - odparł Giordino. - Postanowiłem zrobić kółeczko, żeby sprawdzić, czy ktoś nam nie siadł na ogonie. Dobrze się składa, że jestem taki wrażliwy, bo istotnie mamy towarzystwo.

Pitt z trudem powstał, wrócił do kabiny pilotów i chcąc ulżyć swojej obolałej nodze, opadł na fotel.

- Swoją czy wróg?

- Koledzy facetów, którzy spadli nam na kark w świątyni, nie dali się nabrać na twój numer w Chicalayo. - Nie zdejmując dłoni z drążków, Giordino wskazał na lewo, gdzie na wschód od nich ponad niewysokim wzniesieniem przelatował helikopter.

- Musieli odgadnąć nasz kurs i dopadli nas, kiedy zredukowałeś prędkość wywnioskował Pitt.

- Nie widać wyrzutni rakiet powietrze-powietrze - zauważył Giordino. - Będą musieli ostrzeliwać nas z karabinów.

Z otwartych przednich drzwi pasażerskich ścigającego ich śmigłowca trysnęła pióropusz ognia i dymu, a jednocześnie po niebie poszybowała rakietą, mijając nos ich maszyny tak blisko, iż Pitt i Giordino odnieśli wrażenie, że mogliby jej dotknąć, wyciągając rękę przez okno.

- Poprawka! - krzyknął Pitt. - Czterdziestomilimetrowa wyrzutnia rakiet, taka sama, jakiej używali w czasie ataku na świątynię.

Giordino przesunął dźwignię sterowania skoku ogólnego na gwałtowne wznoszenie i znów pchnął do oporu manetkę przepustnicy, żeby zmylić celującego z wyrzutni rakietowej.

- Łap za karabin i daj im coś do roboty, zanim dotrę do tych niskich chmur nad wybrzeżem.

- Głupia sprawa! - wrzasnął Pitt przez jazgotliwy łomot silników. Wyrzuciłem go, a mój kolt ma pusty magazynek. Czy jest jeszcze na pokładzie jakaś broń?

Giordino niemal niedostrzegalnie skinął głową, wprowadzając śmigłowiec w kolejny manewr.

- Nie mogę przemawiać w imieniu ogółu, ale mój znajdziesz w kącie za grodzią kabiny.

Pitt wziął słuchawki zawieszane na oparciu swojego fotela i nasunął je na głowę, a potem wygramolił się z fotela, ściskając ościeżnicę otwartych drzwi kabiny, aby nie stracić równowagi w czasie ostrego skrętu. Włączył przewód słuchawek od gniazdka zamontowanego w grodzi i krzyknął do Giordina:

- Załóż słuchawki, żebyśmy mogli koordynować działania defensywne!

Giordino wcisnął pedał, wprowadzając helikopter w ostry płaski zwrot. Ze sprawnością żonglera, nie puszczając z garści urządzeń sterowniczych, założył słuchawki. Potem mimo woli szarpnął się lekko do tyłu, kiedy następna rakietka przemknęła niespełna metr pod brzuchem śmigłowca i z pomarańczowym rozbłyskiem eksplodowała na zboczach niewysokich gór. Chwytnąjąc się czego popadnie, Pitt dotarł chwiejnie do drzwi pasażerskich, zwolnił zasuwę i otworzył drzwi na oścież. Shannon, której twarz odzwierciedlała raczej troskę aniżeli strach, przeczołgała się przez podłogę z kawałkiem liny i kiedy Pitt sięgnął po karabin, którego Giordino użył do załatwienia peruwiańskich pilotów, przywiązała jeden koniec do jego pasa, a drugi do rozpory.

- Teraz nie wypadniesz! - krzyknęła.

- Jesteś dla mnie za dobra. - Pitt uśmiechnął się szeroko. Potem położył się płasko na podłodze i wysunął przez drzwi lufę karabinu. - Jestem gotów, Al. Daj mi możliwość czystego strzału.

Giordino usiłował przyjąć śmigłowcem taką pozycję, aby Pitt miał przed sobą ślepą stronę napastników. Ponieważ drzwi pasażerskie były w obydwu śmigłowcach po tej samej stronie, pilot peruwiański stanął w obliczu podobnego dylematu. Gdyby zaryzykował otwarcie drzwi z tyłu maszyny, aby jego ludzie mogli zająć w nich pozycje strzeleckie, zmniejszyłby tym znacznie prędkość lotu i utrudnił sterowanie maszyną. Jak stare śmigłowe samoloty wojenne związane walką powietrzną, piloci poszukiwali pozycji uprzywilejowanych, przeskakując po niebie w takich hopach i siupach, o jakich nigdy nie myśleli projektanci ich maszyn. Z szacunkiem, jaki jeden zawodowiec potrafi okazać drugiemu, Giordino doszedł do wniosku, że Peruwiańczyk zna się na rzeczy. Wobec przewagi ogniowej przeciwników czuł się jak mysz, dla zabawy dręczona przez kota przed konsumpcją. Jego oczy przeskakiwały od tablicy

rozdzielczej do prześladowcy, a potem na ziemię, aby upewnić się, że na linii lotu nie ma żadnych wzniesień czy drzew, o które mógłby się rozbić. Szarpnął w tył dźwignię skoku ogólnego i zwiększył szybkość obrotów łopat wirnika, aby zagarniały więcej wilgotnego powietrza. Śmigłowiec wystrzelił w powietrze, a manewr ten natychmiast powtórzył drugi pilot. Potem jednak Giordino skierował nos maszyny w dół, przycisnął stopą prawy pedał sterowania poziomego, przyspieszył i po przechyleniu śmigłowca na bok, wszedł ponad przeciwnika, aby umożliwić Pittowi czysty strzał.

- Teraz!!! - wrzasnął do mikrofonu.

Pitt celował nie do pilotów w kabinie, lecz w wybrzuszenie silnika pod rotorem, i nacisnął spust. Karabin wypluł z siebie dwa pociski i umilkł.

- Co jest? - zapytał Giordino. - Nie słyszałem ognia. Ja ci stwarzam sytuację podbramkową, a ty nie przyjmujesz piłki.

- W magazynku były tylko dwie kule - odwarknął Pitt.

- Kiedy zabrałem go jednemu z bandziorów Amaru, nie miałem czasu policzyć pocisków.

Wściekły i zawiedziony Pitt wyszarpnął magazynek i stwierdził, że jest kompletnie pusty.

- Ma ktoś jeszcze jakąś broń?! - wrzasnął do Rodgersa i skamieniałych studentów.

Rodgers, mocno przypięty do siedzenia, zapierając się nogami o grodz, aby zabezpieczyć się przed akrobacjami Giordina, bezradnie rozłożył ręce.

- Została na ziemi, kiedyśmy gnali do śmigłowca.

W tej samej chwili jedna z rakiet wpadła przez lewe okno, przemknęła smugą ognia przez całą szerokość kadłuba i nie czyniąc żadnych poważniejszych strat w ludziach i sprzęcie, wyleciała przez okno po przeciwnej stronie. Zaprojektowana, aby detonować po zderzeniu z pojazdami opancerzonymi albo ufortyfikowanymi bunkrami, nie napotkała dostatecznie dużego oporu, aby eksplodować po zetknięciu z cienkim aluminium i plastikiem.

„Jeżeli trafi w wirnik - pomyślał Pitt - będzie po wszystkim”. Gorączkowo rozejrzał się po kabinie i stwierdził, że wszyscy porozpinali pasy bezpieczeństwa i leżą na podłodze, pod siedzeniami, jak gdyby brezent i cieniutkie stelaże mogły powstrzymać czterdziestopięciomilimetrową raketę zdolną rozwalić czołg. Zaklął, kiedy wściekle rozkołysany śmigłowiec rzucił go na ościeżnicę drzwi. Shannon dostrzegła wściekłość na twarzy Pitta i rozpacz, z jaką cisnął przez otwarte drzwi swój

pusty karabin. Patrzyła nań jednak z bezgranicznym zaufaniem w oczach. W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin poznała go na tyle, aby zdawać sobie sprawę, że nie należy do ludzi, którzy łatwo godzą się z perspektywą porażki.

Pitt pochwycił to spojrzenie i wściekł się jeszcze bardziej.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał gniewnie. - Że skoczę w przestrzeń i porozwalam im łby ośłą szczęką?! A może sądzisz, że dadzą nogę, kiedy zaczną w nich rzucać kamieniami... - Pitt urwał, kiedy jego wzrok spoczął na jednej z tratw ratowniczych. Uśmiechnął się szeroko. - Al, słyszysz mnie?

- Jestem troszkę zanadto zajęty, żeby prowadzić towarzyskie rozmówki - wycedził Giordino.

- Połóż ten antyk na lewą burtę i przeleć nad nimi.

- Cokolwiek sobie kombinujesz, niech to przyniesie skutek, zanim władują nam w zęby rakietę albo skończy się paliwo.

- Na specjalne życzenie publiczności - powiedział Pitt, odzyskując pogodę ducha - Gonzo Pitt i jego mrozące krew w żyłach zapasy ze śmiercią.

Odpiął klamry mocujące do podłogi tratwę ratunkową wagi przeszło czterdziestu pięciu kilogramów. Na jaskrawopomarańczowym poszyciu umieszczono napis po angielsku DWUDZIESTOOSOBOWA JEDNOSTKA PŁYWAJĄCA. Wychyliwszy się przez drzwi, zabezpieczony linką, którą wokół pasa zawiązała mu Shannon, szeroko rozstawił nogi, a potem narzucił sobie na ramię nie napełnioną powietrzem tratwę. Giordino czuł już znużenie. Śmigłowce, do samego utrzymania się w powietrzu, wymagają nieustannych manualnych zabiegów pilota, ponieważ działa na nie tysiąc przeciwstawnych sił, które nie lubią mieć ze sobą czegokolwiek wspólnego.

Ogólnie obowiązująca zasada jest taka, że jeden pilot prowadzi maszynę przez godzinę, a potem przekazuje stery drugiemu. Giordino tkwił za sterami już półtorej godziny, nie spał od trzydziestu sześciu, a teraz wysiłek związany z miotaniem śmigłowcem w tę i z powrotem wysysał z niego ostatnie rezerwy sił. Przez niemal sześć minut, wieczność zatem w wypadku walki powietrznej, nie dopuszczał, by przeciwnik zajął pozycję umożliwiającą odpalenie kolejnej rakiety.

Drugi śmigłowiec przeleciał dokładnie przed oszkloną kabiną pilota. Przez jeden krótki moment Giordino widział twarz peruwiańskiego przeciwnika. Pod hełmem bojowym błysnęły białe zęby, a potem zamachała ręka.

- Sukinsyn, naśmiewa się ze mnie - prychnął wściekle.



- Co mówileś? - zapytał Pitt.

- Te pawiany sądzą, że to jest zabawne - odparł wściekle Giordino. Wiedział, co musi zrobić. Zauważył niemal niedostrzegalną słabość techniki pilotażowej przeciwnika. W lewy skręt wchodził bez wahania, ale w prawy z opóźnieniem trwającym ułamek sekundy. Giordino zrobił zwód w lewo, a potem nagle skierował nos maszyny w niebo odbijając jednocześnie w prawo. Peruwiańczyk złapał się na zwód i zmąpował manewr Giordina, uczynił to jednak zbyt wolno, aby nadążyć za gwałtownym wejściem w górę z jednoczesnym skrętem w prawo. Zanim zdołał skontrolować, Giordino obleciał przeciwnika i znalazł się ponad nim.

Okazja, której życzył sobie Pitt, pojawiła się zaledwie na mgnienie oka, wykorzystał ją jednak z reflekssem: uniósł tratwę ratowniczą oburącz z taką łatwością, jak gdyby była poduszką i cisnął ją z otwartych drzwi, kiedy peruwiański helikopter był dokładnie pod nimi, Pomarańczowe zawiniątko poleciało z impetem w dół i spadło na jedną z wirujących łopat dwa metry od jej końca. Łopata roztrzaskała się w fontannę metalicznych odłamków, które wyrzucone na zewnątrz siłą odśrodkową, wirując zaczęły spadać w dół. Pozbawione balansu cztery pozostałe łopaty wchodziły w coraz większe obroty, aż oderwały się od wirnika. Wielki śmigłowiec zdawał się przez chwilę trwać nieruchomo w powietrzu, nim wpadł w korkociąg i z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę nosem do przodu poleciał ku ziemi. Pitt zafascynowany spoglądał z drzwi, jak peruwiański helikopter przebija się przez drzewa i roztrzaskuje o niskie wzgórza zaledwie kilka metrów od jego szczytu. Przez chwilę leżał na prawym boku jak poskręcany metalowy ptak, a potem nagle zginął bez śladu w ogromnej ognistej kuli, skąpany płomieniami i czarnym dymem.

Giordino zdławił obroty i zatoczył powolny krąg ponad słupem dymu. Ani on jednak, ani Pitt nie dostrzegli żadnych śladów życia.

- To chyba pierwszy wypadek w historii awiacji, żeby samolot został strącony z nieba przez tratwę - stwierdził Giordino.

- Improwizacja - zachichotał Pitt, skinieniem głowy kwitując oklaski, którymi obdarzyli go Shannon, Rodgers i studenci. - Improwizacja - powtórzył, a potem dodał: - Niezły pokaz pilotażu, Al. Gdyby nie ty, wszyscy bylibyśmy już sztywni.

- Co prawda, to prawda - odparł Giordino, kierując śmigłowiec na zachód i znów redukując obroty, aby oszczędzić paliwo.

Pitt zamknął drzwi w kadłubie, zasunął zasuwę, odwiązał linę z pasa i wrócił do kabiny pilotów.

- Jak tam stoimy z paliwem?

- Paliwem? Jakim paliwem?

Nad ramieniem Giordina Pitt spojrzął na liczniki. Na obydwu jarzyły się ostrzegawcze czerwone światelka. Dostrzegł również znużenie na ściągniętej twarzy przyjaciela.

- Odpocznij, pozwól, że zastąpię cię przez chwilę przy sterach.

- Dowiozłem nas aż dotąd, to dam sobie radę i z tym ostatnim kawałkiem, który zdołamy przeciągnąć na resztkach paliwa.

Pitt nie marnował oddechu na próżną gadaninę. Niezmiennie zachwycał go niewzruszony spokój Giordina, jego lodowate męstwo; mógł od końca do końca przejść cały świat i nie znalazłby równie niezawodnego przyjaciela jak ten twardy, niedźwiedziowaty Włoch.

- Dobra. Leć dalej, a ja siądę obok ciebie i będę zanosić modły o wiatr w plecy.

Kilka minut później przelecieli nad wybrzeżem, gdzie nad niewielką zatoczką z białą piaszczystą plażą rozrósł się ośrodek wypoczynkowy z pięknie utrzymanymi trawnikami i basenem. Opalający się turyści popatrzyli w górę i pomachali dłońmi do przelatującego śmigłowca. Z braku innego zajęcia Pitt pozdrowił ich w ten sam sposób.

Potem wrócił do ładowni i podszedł do Rodgersa.

- Musimy wyrzucić jak najwięcej balastu. Oprócz sprzętu ratowniczego, a więc kamizelek i drugiej tratwy, wszystko leci w dół. Dodatkowe ubrania, narzędzia, fotele, wszystko, co nie jest przyspawane albo przykręcone na śruby. W tej akcji wzięli udział wszyscy, a po jej zakończeniu helikopter stracił na wadze niemal sto trzydzieści sześć kilogramów. Przed zamknięciem drzwi Pitt obejrzał się do tyłu, na szczęście nie ścigał ich żaden samolot. Był pewien, że peruwiański pilot - kiedy już zorientował się w podstępnie ze spotkaniem w Chiclayo - przekazał przez radio informację o zamiarze przeprowadzenia ataku. Pitt wątpił jednak, czy ludzie z Solpemachaco w ciągu najbliższych dziesięciu minut dojdą, że stracili następnych najemników i jeszcze jeden śmigłowiec, a kiedy nareszcie skojarzą wszystkie fakty i wezwą w sukurs chociażby myśliwiec peruwiańskich sił powietrznych, będzie już za późno. Jakikolwiek atak na nie uzbrojony amerykański statek badawczy spowodowałby poważne dyplomatyczne reperkusje w stosunkach pomiędzy rządem Stanów Zjednoczonych a Peru, na takie zaś konsekwencje nie mógłby sobie pozwolić borykający się z kłopotami kraj południowoamerykański.

Pitt miał wszelkie podstawy sądzić, iż ani jeden miejscowy biurokrata czy też oficer nie zaryzykuje podobnej katastrofy politycznej, mimo wszelkich gratyfikacji, jakie mógłby otrzymać od Solpemachaco. Pitt pokuśtykał do kabiny pilotów, usiadł na swoim fotelu i sięgnął po mikrofon. Odrzucając na bok wszelką ostrożność, wcisnął guziczek nadawania. Niech diabli wezmą przekupnych sługusów Solpemachaco, którzy nasłuchują na falach eteru!

- NUMA wzywa „Głębarka”. Odezwij się, Stucky.

- Gadaj, NUMA, tu „Głębarek”. Podajcie swoją pozycję.

- Ależ babciu, dlaczego masz takie wielkie oczy i skąd taki dziwny głos?

- Powtórz, NUMA.

- Odpadasz z zabawy! - parsknął śmiechem Pitt. - Nie nabierzesz Czerwonego Kapturka. - Przeniósł wzrok na Giordina. - Mamy kogoś na party line.

- Moim zdaniem powinienesz podać mu naszą pozycję - odparł Giordino z nie skrywaną ironią w głosie.

- Święta racja. - Pitt skinął głową. - „Głębarek”, tu NUMA. Podaję pozycję: jesteśmy na zachód od Czarodziejskiego Zamku pomiędzy Krainą Dżungli a Karaibskimi Piratami.

- Powtórzcie, proszę, waszą pozycję - rozległ się ponownie głos zbitego z tropu najemnika, który włączył się w rozmowę Pitta ze Stuckym.

- A to co znowu, radiowa reklamówka Disneylandu? - zahuczał w głośniku znajomy głos Stucky'ego.

- No proszę, wreszcie jakiś nie podrabiany towar. Dlaczego tak zwlekalesz z odpowiedzią, Stucky?

- Słuchałem, co ma do powiedzenia mój alter ego. Wylądowaliście już, chłopcy, w Chiclayo?

- Zniosło nas i postanowiliśmy wracać prosto do domciu - odparł Pitt. - Szyper pod ręką?

- Bawi się na mostku w kapitana Bligha, chłostając załogę w próbie ustalenia rekordu prędkości. Jeszcze jeden węzeł i kulki zaczną wyskakiwać nam z łożysk.

- Jeszcze was nie widzimy. Macie nas na radarze?

- Tak jest - odparł Stucky. - Zmieńcie zamiar na dwa-siedem-dwa. Wtedy będziemy na kursie zbieżnym.

- Zmieniam kurs na dwa-siedem-dwa - potwierdził Giordino.

- Ile do miejsca spotkania? - zapytał Stucky'ego Pitt.

- Kapitan sądzi, że około sześćdziesięciu kilometrów.

- Niebawem powinniśmy ich zobaczyć. - Pitt zerknął na Giordina. - No i co myślisz?

Giordino smętnie spojrział na liczniki paliwa, a potem na zegar na tablicy rozdzielczej. Pokazywał 10.47. Nie do wiary, że tak wiele wydarzyło się w tym krótkim czasie, odkąd odpowiedzieli z Pittem na wezwanie pomocy wysłane przez rzekomego doktora Millera. Giordino przysięgłby, że zabrało mu to ze trzy lata życia.

- Doję z tej bryki paliwo do ostatniego litra, utrzymując prędkość zaledwie siedemdziesięciu kilometrów na godzinę - odezwał się wreszcie. - Lekki wiatr od brzegu pomaga, ale szacuję, że zdołamy utrzymać się w powietrzu jeszcze najwyżej piętnaście, dwadzieścia minut. Jestem tak samo mądry jak ty.

- Miejmy tylko nadzieję, że te liczniki troszkę przesadzają - powiedział Pitt. - Hej, Stucky!

- Jestem.

- Lepiej przygotuj akeję ratowniczą. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi będziemy lądować na mokro.

- Przekażę wiadomość kapitanowi. Dajcie cynk, jak zaczniecie spadać.

- Dowiesz się o tym pierwszy.

- Powodzenia.

Helikopter sunął z pomrukiem ponad grzbietami fal. Pitt i Giordino niewiele ze sobą rozmawiali, nasłuchując warkotu silników, jak gdyby w każdej chwili oczekiwali, że nastanie cisza. Odruchowo stężeli, kiedy w kabinie zabrzmiał sygnał ostrzegawczy o pustych zbiornikach.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o rezerwy - powiedział Pitt. - Teraz lecimy na samych spalinach.

Spojrzał w dół na głęboko kobaltowy błękit morza przesuwanego się zaledwie dziesięć metrów pod brzuchem śmigłowca. Morze wydawało się względnie gładkie. Wysokość fal nie przekraczała metra. Woda wyglądała na ciepłą i zachęcającą. Lądowanie bez użycia silników nie zapowiadało się zbyt brutalnie, a stary Mi-8 powinien utrzymać się na powierzchni przynajmniej sześćdziesiąt sekund, jeśli Giordino osadzi go na falach bez żadnych pęknięć poszycia.

Pitt przywołał Shannon z ładowni. Stała w drzwiach, patrząc na niego z bladym uśmiechem.

- No i co, widzicie swój statek?

- Uznałbym, że jest tuż za horyzontem. Nie dość blisko jednak, żebyśmy zdołali do niego dociągnąć na tej reszcie paliwa. Przekaż wszystkim, aby przygotowali się do lądowania na wodzie.

- A zatem koniec końców będziemy jednak musieli pokonać wpraw resztę drogi - powiedziała z ironią.

- Ot, techniczny szczegół - odparł Pitt. - Każ Rodgersowi przysunąć tratwę ratowniczą do drzwi pasażerskich. Niech przygotuje się do rzucenia jej na wodę, kiedy tylko spadniemy. I niech uważa, żeby pociągnąć sznurek napełniający ją powietrzem dopiero wtedy, gdy tratwa znajdzie się za drzwiami. To bardzo ważne. Nie wiem jak reszta, ale ja na pewno nie mam ochoty się moczyć.

- „Głębarek”! - Giordino wskazał ręką przed siebie.

Pitt skinął głową, również dostrzegając na horyzoncie mały, ciemny punkt. Potem powiedział do mikrofonu.

- Widzimy cię, Stucky.

- No to zapraszam na imprezę - odpowiedział Stucky. - Na waszą cześć otworzymy bar.

- Niech cię ręka boska broni - odpowiedział z celowo podkreślonym sarkazmem Pitt. - Wątpię, czy admirał dobrze przyjąłby taki pomysł.

Ich wspólny chlebodawca, naczelny dyrektor Narodowej Agencji Badań Podmorskich, admirał James Sandecker na swoich kamiennych tablicach regulaminu wyrzył na pierwszym miejscu zakaz posiadania na statkach NUMY jakiegokolwiek alkoholu. Sam był abstynentem, wegetarianinem i miał kręćka na punkcie sprawności fizycznej, żywił więc przekonanie, iż w ten sposób dodaje swoim pracownikom całe lata życia. I podobnie jak stało się to w czasie prohibicji w latach dwudziestych, ludzie, którzy rzadko dotykali alkoholu, zaczęli nagle przemycać na pokład całe skrzynki piwa albo też kupować gorzałkę w zagranicznych portach.

- A może wolisz krzepiącą szklaneczkę ovaltyny? - odparował Stucky.

- Tylko zmieszanej z sokiem z marchewki i kielkami lucerny...

- Siadł silnik - oświadczył konwersacyjnym tonem Giordino.

Pitt przebiegł wzrokiem po tablicy rozdzielczej. Na całej szerokości wskazówki liczników śledzących pracę lewego silnika zatrzymywały się jeden po drugim na punkcie zero. Odwrócił się i spojrzał na Shannon.

- Uprzedź wszystkich, że zderzymy się z wodą prawą burtą śmigłowca.

- A dlaczego nie wylądujemy pionowo? - zapytała stropiona Shannon.

- Jeśli wylądujemy brzuchem do dołu, łopaty wirnika zwiędną, uderzą w wodę i roztrzaskają się na wysokości korpusu. Wirujące elementy z łatwością mogą przebić poszycie, szczególnie kabiny pilotów i w rezultacie możemy stracić naszego nieustraszonego kapitana. Jeżeli spadniemy na bok, roztrzaskane fragmenty łopat polecą Panu Bogu w okno.

- A dlaczego na prawą burtę?

- Nie mamy tutaj kredy i tablicy - burknął z irytacją Pitt - ale żebyś mogła umrzeć spokojna, ma to związek z kierunkiem obrotu łopat wirnika. No i warto zwrócić uwagę, iż wyjście jest po lewej stronie.

Oświecona, Shannon energicznie skinęła głową.

- Rozumiem.

- Natychmiast po zderzeniu z wodą - podjął Pitt - studenci muszą wyleźć z tego cholerstwa, zanim utonie. A teraz na miejsce i zapnij się. - Potem poklepał Giordina po ramieniu. - Siadaj, dopóki wciąż jeszcze mamy trochę mocy - powiedział, zapinając pas.

Giordino nie potrzebował zachęty. Nim stracił drugi silnik, pociągnął do siebie dźwignię sterowania skoku ogólnego i zdławił przepustnicę ciągle pracującego silnika. Kiedy helikopter przestał poruszać się do przodu, z wysokości trzech metrów nad morzem, osadził go delikatnie na prawym boku. Łopaty wirnika dziabnęły w wodę i roztrzaskały się w chmurę metalowego śmiecia, spowitą wodną mgiełką, śmigłowiec zaś osiadł na falach w nienaturalnej pozycji brzemiennego albatrosa. Impet był mniej więcej taki jak wówczas, kiedy rozpedzony samochód nie wyrabia się na ostrym zakręcie i uderza w pobocze. Giordino całkowicie wyłączył jedyny silnik i stwierdził z satysfakcją, że stary Mi-8 unosi się na falach, jakby tu było jego właściwe miejsce.

- Koniec trasy! - zagrział Pitt. - Wszyscy zabierać się stąd w cholerę!

Chlupotanie fal w poszycie śmigłowca stanowiło przyjemny kontrast wobec niedawnego skowytu zdychającego silnika i łomotania łopat. W ładowni zapachniało morzem, kiedy Rodgers otworzył drzwi i wyrzucił na wodę dwudziestoosobową tratwę. Szczególnie uważał, żeby zbyt wcześnie nie pociągnąć sznurka napędniającego ją powietrzem. Z ulgą odnotował fakt, iż syf sprężonego w butli powietrza rozlega się już z zewnątrz. Po kilku chwilach tratwa unosiła się obok helikoptera, przytrzymywana linką, którą Rodgers mocno trzymał w garści.

- Wyłączyć! - wrzeszcząc wypychał studentów z drzwi helikoptera.

Pitt rozpiął pas i pospieszył do ładowni. Shannon i Rodgers sprawnie

nadzorowali ewakuację; niemal wszyscy studenci siedzieli już w tratwie. Jeden szybki ogląd śmigłowca dowiódł jasno, iż maszyna nie będzie długo unosić się na powierzchni. Tylne drzwi zostały siłą zderzenia wgięte w dostatecznym stopniu, aby woda mogła się wedrzeć do środka. Podłoga zaczęła już przechylać się do tyłu, a fala przelewała się przez nadproże otwartych pasażerskich drzwi.

- Nie mamy wiele czasu - powiedział Pitt, pomagając Shannon wsiąść do tratwy. Następny poszedł Rodgers, potem zaś Pitt zwrócił się do Giordina: - Twoja kolej, Al.

Giordino zignorował zaproszenie.

- Tradycja morza. Najpierw ranni.

Zanim Pitt zdołał zaprotestować. Giordino wypchnął go z drzwi, a potem, kiedy woda podeszła mu do kostek, podążył za nim. Wyrwali z obejm wiosła i oddalili się jak najszybciej od helikoptera, którego długi ogon zaczynał już pogrążyć się w morzu. Potem większa fala przelala się przez próg i śmigłowiec osunął się w głąb obojętnej toni. Zniknął z cichym gulgotem, niewielkim zafalowaniem powierzchni, a jako ostatnie zniknęły roztrzaskane łopaty wirnika. Ich kikuty obracały się powoli siłą inercji, można więc było odnieść wrażenie, iż maszyna podąża pod wodę o własnych siłach.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy sprawiali wrażenie tak zasmuconych końcem helikoptera, jak gdyby doznali osobistej straty. Pitt i Giordino czuli się w wodzie jak w domu, ale pozostali, znalazłszy się nagle na powierzchni bezbrzeżnego morza, poczuli strach wobec przerażającej pustki i własnej bezradności. To drugie odczucie wzmogło się jeszcze bardziej, kiedy trójkątna rekinia płetwa nagle przebiła powierzchnię i zaczęła okręzać tratwę.

- To wszystko twoja wina - powiedział z udawanym rozdrażnieniem Giordino do Pitta. - Namierzył nas dzięki krwi cieknącej ci z nogi.

Pitt wbił spojrzenie w przezroczystą wodę, a kiedy wysmukły kształt przepływał pod tratwą, rozpoznał płaski, przypominający stabilizator łeb z oczyma jak światła pozycyjne zamontowane na skrzydłach samolotu.

- Rekin młot. Najwyżej dwa i pół metra długości. Drobiazg.

Shannon zadrżała, przysunęła się do Pitta i chwyciła go za ramię.

- Co się stanie, jeśli postanowi nadgryźć tratwę i pogrążymy się w wodzie?

- Rekiny rzadko uznają tratwy za apetyczny kąsek. - Pitt wzruszył ramionami.

- Patrzcie, zaprosił kumpli na obiad - powiedział Giordino, wskazując dwie

kolejne płetwy przecinające powierzchnię morza.

Pitt dostrzegł pierwsze oznaki paniki na twarzach studentów, ułożył się zatem wygodnie na dnie tratwy, oparł nogi na pływaku i zamknął oczy.

- Nie ma nic nad relaksującą drzemkę w ciepłym słońcu i na spokojnym morzu. Obudźcie mnie, kiedy przyplynie statek.

- Chyba oszalał. - Shannon popatrzyła nań z niedowierzaniem.

Giordino szybko połapał się w zamierzeniach Pitta i poszedł za jego przykładem.

- Zgadzam się z twoją opinią.

Nikt do końca nie wiedział, jak ma zareagować. Wszystkie oczy osób zgromadzonych na tratwie przeskakiwały z pozornie uśpionych ludzi z NUMY na krążące wokół rekiny i z powrotem. Panikę powoli zastąpił niepokój, który rósł w miarę upływu nieskończenie długich minut. Kolejne rekiny dołączyły do przedobiedniego zgromadzenia, we wszystkich sercach na nowo jednak zagościła nadzieja, kiedy w polu widzenia ukazał się „Głębarek” tnący fale w fontannie pyłu wodnego. Nikt na pokładzie statku nie miał pojęcia, że stary koń pociągowy oceanograficznej floty NUMY może zdobyć się na taką prędkość. W maszynowni główny mechanik August Burley, potężnie zbudowany mężczyzna ze sporym brzuszkiem, przechodził po galerijce pomiędzy wielkimi dieslowskimi silnikami statku, uważnie obserwując wskazówki ciśnieniomierzy, które bez wyjątku oscylowały w czerwonym polu; uważnie nasłuchiwał również najmniejszych odgłosów świadczących o zmęczeniu metalu w silnikach, z których wyciskano całą moc. Na mostku kapitan Frank Stewart spoglądał przez lornetkę na maleńką pomarańczową plamkę, otoczoną niebieską tonią.

- Podejdziemy do nich na pół prędkości, zanim wrzucimy całą wstecz - powiedział do sternika.

- Nie chce pan zatrzymać maszyny i dojść do nich w dryfie, panie kapitanie? - zapytał stojący przy kole sterowym blondyn z kucykiem.

- Otacza ich stado rekinów - odparł Stewart. - Nie możemy tracić czasu na ostrożności. - Pochylił się i przemówił do mikrofonu: - Podejdziemy do rozbitków od lewej burty. Wszyscy wolni przygotować się do wciągania ich na pokład.

To był zręczny numerek nawigacyjny. Stewart zatrzymał statek w odległości dwóch metrów od tratwy ratunkowej, niemal nie wywołując żadnych fal. Marynarze wychyleni przez reling machali rękoma i wykrzykiwali słowa pozdrowień. Opuszczono



trap, na którego dolnym podeście stał marynarz z bosakiem. Wyciągnął go przed siebie, a kiedy Giordino uchwycił hak, tratwa została przyciągnięta do burty. Reki poszły w niepamięć; wszyscy śmiali się i chichotali niemal histerycznie, ogarnięcie poczuciem ulgi, że po raz kolejny zdołali wygrać wyścig ze śmiercią, nie ponosząc żadnych poważniejszych kontuzji. Shannon podniosła wzrok na pękatą burtę statku badawczego, dostrzegając jego niezgrabną nadbudówkę i żurawiki, a potem z przewrotnym błyskiem w oku rzuciła do Pitta:

- Obiecałeś nam czterogwiazdkowy hotel i odświeżającą kąpiel, a tu mamy starą przerdzewiałą barcę.

Pitt parsknął śmiechem.

- W sztormie dobry jest każdy port. A więc będziesz dzielić ze mną moją uroczą, chociaż przasną kajutę. Jako dżentelmen, odstąpię ci dolną koję, a sam zniosę niedostatki spania na górnej.

Shannon popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Wiele rzeczy uznajesz za pewnik, prawda?

Pitt odprężony, patrząc ojcowskim okiem na pasażerów tratwy, którzy jeden po drugim wchodzili po trapie, uśmiechnął się demonicznie do Shannon i mruknął:

- W porządku, nie będziemy się afiszować. Ty możesz spać na górnej, a ja biorę dolną.

Wokół Juana Chaco walił się w gruzy cały jego świat. Kataklizm w Dolinie Wirakoczy przeszedł najgorsze przewidywania, jego brat zginął jako pierwszy, operacja przemytnicza została rozbita w proch i pył, a kiedy tylko doktor Shannon Kelsey i peruwiańscy studenci opowiedzą swą historię mass mediom i rządowym organom bezpieczeństwa, on sam, Juan Chaco, haniebnie wyleci z Ministerstwa Archeologii na zbity pysk. Co gorsza, istniała spora możliwość, że zostanie aresztowany, oskarżony o wyprzedaż kulturowego dziedzictwa kraju i skazany na długoletnie więzienie. Nie bez podstaw dręczył go głęboki niepokój, kiedy stojąc w Chachapoya przy domu na kółkach obserwował lądowanie czarnego samolotu o przechylnych silnikach, który najpierw prawie nieruchomo zawisł nad ziemią, a potem wysunął podwozie i osiadł łagodnie. Z dziewięcioosobowej kabiny pasażerskiej wyłonił się brodaty mężczyzna w zmiętych szortach i oliwkowej koszuli z wielką krwawą plamą na torsie. Posępny, zatopiony w myślach, nie oglądając się na boki, bez słowa powitania wyminął Juana Chaco i wszedł do domu na kółkach, archeolog zaś podążył za nim jak skarcony pies. Cyrus Sarason, podszywający się pod doktora Millera, ciężko usiadł za biurkiem i zmroził Juana Chaco lodowatym spojrzeniem.

- Słyszałeś?

Chaco przytaknął, nie zainteresowany krwawą plamą na koszuli Sarasona; wiedział, iż stanowiła element inscenizacji.

- Otrzymałem wyczerpujący raport od jednego z kolegów brata.

- A więc wiesz, że doktor Kelsey i studenci wymknęli nam się z rąk i zostali uratowani przez amerykański statek oceanograficzny.

- Tak, zdaję sobie sprawę, że ponieśliśmy fiasko.

- Przykro mi z powodu twego brata - powiedział Sarason beznamiętnie.

- Nie mogę uwierzyć, że zginął - mruknął z osobliwą obojętnością Chaco. - To jak zły sen... A przecież wyeliminowanie tych archeologów powinno być trywialnym zadaniem.

- Stwierdzić, że twoi ludzie spieprzyli robotę, byłoby niedopowiedzeniem - rzekł Sarason. - Ostrzegałem cię, iż ci dwaj pletwonurkowie z NUMY są niebezpieczni.

- Brat nie spodziewał się, że zorganizowany opór stawi mu cała armia.

- Jednoosobowa armia - odrzekł jadowicie Sarason. - Obserwowałem całą akcję z grobowca. Samotny snajper wystrzelał ze świątyni wszystkich oficerów i powstrzymał dwa plutony twoich nieustraszonych najemników, podczas gdy jego

kompan ogłuszył pilotów i zawładnął śmigłowcem. Twój brat drogo zapłacił za swą głupotę i nadmierną pewność siebie.

- Jakim cudem dwóch pletwonurków i gromadka smarkaczy mogło pokonać doskonale wyszkolonych żołnierzy? - zapytał w oszołomieniu Chaco.

- Znając odpowiedź na to pytanie, pojęlibyśmy zapewne, w jaki sposób unicestwili nasz drugi śmigłowiec, których ich ścigał.

- Wciąż jeszcze możemy ich powstrzymać. - Chaco przeciągle popatrzył na Sarasona.

- Daj sobie spokój. Nie zamierzam ściągać nam katastrofy na łeb, wydając rozkaz zniszczenia statku, należącego do rządu USA, z całą załogą na pokładzie. Co się stało, to się nie odstanie. Wedle moich informatorów z Limy, doktor Kelsey powiadomiła o wszystkim - włącznie z zabójstwem Millera - urząd prezydenta Fujimoriego, ledwie znalazła się na statku. Jeszcze dziś wieczorem będzie o tym huczał cały kraj. Możemy spisać na straty czaczapojańskie ogniwo naszej operacji.

- Wciąż jednak mamy szansę ewakuować z doliny zgromadzony skarb. - Niedawny zgon brata nie zabił w Chaco chciwości.

- Sam na to wpadłem - Sarason skinął głową. - Ekipa, która zabierze wszystko, co ocalało po ataku raketowym, przypuszczonym przez skretyniałych podwładnych twojego brata, jest już w drodze. To istny cud, że nie wyjdziemy z tego bałaganu z pustymi rękoma.

- W moim najgłębszym przekonaniu istnieje spora możliwość, że wskazówek, dotyczących kipu Drake'a, należy jednak szukać w Mieście Zmarłych.

- Kipu Drake'a - powtórzył Sarason z rozmarzeniem. Potem wzruszył ramionami. - Nasza organizacja dobiera się już do problemu od innej strony.

- Co z Amaru? Żyje?

- Niestety, tak. Żyje i będzie żył jako eunuch.

- Szkoda. Był wobec nas lojalny.

Sarason parsknął.

- Lojalny wobec tego, kto mu lepiej płacił. Tupac Amaru to psychopatyczny morderca, jakich niewielu na tym świecie. Chociaż poleciłem mu uprowadzić Millera i przetrzymać gdzieś na ustroniu do końca naszej operacji, poderżnął zacnemu doktorowi gardło i cisnął go do studni ofiarnej. To bydlę ma mentalność wściekłego psa.

- Wciąż jednak może być użyteczny - wycedził Chaco.

- Użyteczny? W jaki sposób?

- Jak go znam, zaprzysiągł zemstę tym, którzy przyczynili się do jego okaleczenia. Może nie byłoby od rzeczy poszczuć go na doktor Kelsey i tego pletwonurka, Pitta, eliminując w ten sposób ewentualność, że staną się informatorami służb celnych.

- Spuszczenie takiego szaleńca ze smyczy jest wejściem na bardzo cienki lód. Ale będę mieć na uwadze twoją sugestię.

- A jakie plany ma Solpemachaco wobec mnie? - podjął Chaco. - Tu jestem skończony. Skoro moi zacni rodacy wiedzą już, iż zawiodłem ich zaufanie w kwestii troski o skarby kultury narodowej, mogę zgnić w więzieniu.

- To rzecz praktycznie przesądzona. - Sarason wzruszył ramionami. - Wedle moich informatorów, policja otrzymała już rozkaz, by cię aresztować. Będzie tu za godzinę.

Chaco przez długą chwilę wpatrywał się w Sarasona, a potem powiedział powoli:

- Jestem akademikiem i naukowcem, nie zaś zatwardziałym kryminalistą. Bóg raczy wiedzieć, co wyznam podczas długiego przesłuchania, może nawet tortur. Sarason omal się nie uśmiechnął na tę marnie zakamuflowaną groźbę.

- Jesteś zbyt cennym fachowcem, abyśmy mogli spisać cię na straty. Twoja wiedza na temat kultur andyjskich jest niezrównana. Zostały już poczynione ustalenia, dzięki którym będziesz mógł objąć naszą panamską filię, gdzie przejmiesz nadzór nad identyfikacją, katalogowaniem i konserwacją zarówno obiektów nabytych od tamtejszych huaqueros, jak i pozyskiwanych w całej Ameryce Południowej w trakcie naszych... mhm, wypraw archeologicznych.

- To mi bardzo schlebia - odparł Chaco, nie potrafiąc ukryć malującej się na twarzy łapczywości. - Oczywiście, przyjmuję propozycję, zwłaszcza że tak ważne stanowisko musi zapewne być odpowiednio opłacane.

- Dostaniesz dwa procent od cen artefaktów, jakie uzyskamy w naszych domach aukcyjnych w Nowym Jorku i Europie.

Chaco zajmował na szczeblach organizacji zbyt niskie miejsce, aby znać jej najtajniejsze sekrety, doskonale jednak zdawał sobie sprawę z rozmiarów siatki i jej olbrzymich dochodów.

- Nie zdołam wydostać się z kraju bez pomocy.

- Żaden problem - odparł Sarason. - Polecisz ze mną. - Skinieniem głowy

pokazał stojący nieopodal złowroźny czarny samolot, którego śmigła, napędzane pracującymi na wolnych obrotach silnikami, leniwie młóciły powietrze. - Tą maszyną dotrzemy do kolumbijskiej Bogoty w ciągu czterech godzin.

Chaco nie wierzył własnemu szczęściu. W jednej chwili zaledwie krok dzielił go od hańby i więzienia, w następnej - wkraczał na drogę wiodącą ku niemałemu bogactwu. Wspomnienie brata, a właściwie brata przyrodniego, gwałtownie blakło w jego pamięci; zresztą nigdy nie byli sobie zbyt bliscy. Sarason poczekał cierpliwie, aż archeolog spakuje do walizki najpotrzebniejsze przedmioty, a potem wraz z nim podążył do samolotu. Juan Chaco nie dotarł do Bogoty. Rolnicy z odległej od świata ekwadorskiej wioski, trudzący się na poletku słodkich kartofli, podnieśli głowy na dziwny jękliwy pomruk czarnego samolotu, który leciał pół kilometra nad ziemią, i spostrzegli ze zgrozą, że od kadłuba maszyny oddzieliła się mała ludzka sylwetka. Sylwetka, nie mieli co do tego wątpliwości, żywego człowieka: wymachiwał nogami i szaleńczo wczepiał palce w powietrze, jakby w ten sposób mógł spowolnić tempo opadania. Chaco zderzył się z ziemią w środku małej zagrody, zajmowanej przez kościstą krasulę, w którą o mało co nie trafił. Kiedy rolnicy nadbiegli z pola, zobaczyli, że zmasakrowane ciało wbiło się w grunt na głębokość pół metra. Byli ludźmi prostymi, zamiast zatem wysłać gońca do odległego o sześćdziesiąt kilometrów posterunku policji, z szacunkiem pozbierali pogruchotane szczątki tajemniczego przybysza z niebios i pogrzebali je - nie oplakane i anonimowe, choć przecież już utrwalone w rodzącej się legendzie - na małym cmentarzyku obok ruin starego kościoła.

Włosy Shannon, wciąż wilgotne po rozkosznej gorącej kąpieli w kajucie kapitana, spowijał ręcznik zawiązany na kształt turbanu. Shannon pozwoliła najpierw skorzystać z łazienki peruwiańskim studentkom, krzepiąc się w tym czasie kanapką z kurczakiem oraz winem, które przewidująco z kambuza przyniósł jej Pitt. Jej skóra, gdy zniknęła z niej warstwa zmytego lawendowym mydłem błota i potu, pachniała aromatycznie i lśniła jak atlas. Jeden z członków załogi, zbliżony do Shannon wzrostem, pożyczył jej kombinezon, cała bowiem garderoba specjalistki od geologii dna morskiego, będącej jedyną przedstawicielką płci pięknej na pokładzie „Głębarka... została rozdawana między młode Peruwianki. Przebrawszy się, Shannon bezzwłocznie cisnęła do kosza na śmieci swój kostium kąpielowy i brudną bluzkę; łączyły się z wydarzeniami, które jak najszybciej pragnęła wyrzucić z pamięci.

Wytarta do sucha i uczesana, podkreśliła kapitanowi Stewartowi odrobinę płynu po goleniu, zastanawiając się, dlaczego mężczyźni nigdy po kąpieli nie używają talku. Splotała właśnie warkocz, kiedy do drzwi zapukał Pitt. Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, a potem wybuchli śmiechem.

- Z trudem cię poznałam - stwierdziła wreszcie Shannon, omiatając spojrzeniem Pitta, który, czysty i ogolony, nosił jaskrawą hawajską koszulę i beżowe spodnie.

Uznała, że nie jest mężczyzną, jak to się mawia, szatańsko przystojnym, wszelkie jednak niedoskonałości jego twarzy o ostrych rysach z nawiązką rekompensował wewnętrzny magnetyzm, któremu nie potrafiła się oprzeć. Był jeszcze bardziej opalony niż ona, a czarne falujące włosy idealnie komponowały się z niewiarygodnie zielonymi oczyma.

- Trudno chyba rzec, iż jesteśmy tymi samymi ludźmi - powiedział z ujmującym uśmiechem. - Co powiesz o zwiedzeniu statku przed obiadem?

- Chętnie. - Posłała mu aprobujące spojrzenie. - Sądziłam, że będę musiała osiąść w twojej kajucie, ale oto kapitan wspaniałomyślnie zaproponował mi swoją.

- Są na tym świecie szczęściarze. - Pitt wzruszył ramionami.

- Oszust z ciebie, Dirk. Nie jesteś zbereźnikiem, tylko takiego udajesz.

- Zawsze hołdowałem przekonaniu, że ku stosunkom intymnym należy dryfować niewymuszenie i stopniowo.

Nagle poczuła zakłopotanie. Było tak, jakby przenikliwe oczy Pitta potrafiły czytać w jej myślach, jakby odgadły, że w jej życiu jest ktoś inny. Zmusiła się do

uśmiechu i otoczyła ramieniem jego barki.

- Od czego zaczniemy?

- Mówisz, rzecz jasna, o zwiedzaniu?

- A o czymże innym?

„Głębarek”, oficjalnie kwalifikowany jako jednostka badań sejsmograficznych, był supernowoczesnym pływającym laboratorium. Zaprojektowany w zasadzie do geologicznego rozpoznania dna morskiego, mógł jednak wykonywać tysiące innych oceanograficznych zadań, a sterujące z jego dziobu i rufy dwa olbrzymie żurawie z potężnymi wciągarkami nadawały się do praktycznie wszystkich morskich operacji - od podwodnych prac górniczych przez akcje ratunkowe po obsługę załogowych i bezzałogowych batyskafów czy sond. Kadłub wymalowano na tradycyjny dla jednostek NUMY kolor turkusowy, nadbudówka była biała, dźwigi - lazurowobłękitne. Od dziobu do rufy statek, zdolny stworzyć warunki do życia i pracy dwudziestu członkom załogi i trzydziestu pięciu naukowcom, miał długość boiska, futbolowego, a chociaż z zewnątrz trudno się było tego domyślić, jego kabiny mieszkalne dorównywały pod względem wyposażenia i luksusu apartamentom najbardziej komfortowych liniowców. Admirał Sandecker, z przenikliwością rzadko daną biurokratom, żywił przekonanie, iż ludzie, których dobrze się traktuje, potrafią wykrzesać z siebie więcej; „Głębarek” był owego przekonania doskonałym wyrazem. Mesa przypominała ekskluzywną restaurację, w kambuzie zaś urzędował pierwszorzędny kucharz.

Pitt zaprowadził Shannon na mostek nawigacyjny.

- Nasz mózg - wyjaśnił, pokazując szerokim gestem ogromne pomieszczenie, w którym przez całą szerokość, pod wielką szybą okna biegła długa konsola naszpikowana cyfrowymi displayami, komputerami i monitorami. Stąd kieruje się praktycznie wszystkim, co się dzieje na statku, wyjąwszy operacje sprzętu głębinowego, do tego bowiem celu mamy osobne pomieszczenie ze specjalistyczną elektroniką.

Lśniący chrom, wielobarwne obrazy na monitorach, błękit morza przed dziobem statku... Shannon czuła się jak dzieciak w salonie gier wideo.

- Gdzie jest ster? - zapytała.

- Tradycyjne urządzenia sterownicze zeszyły ze świata wraz z „Queen Mary” - odparł

Pitt i pokazał Shannon zautomatyzowany blok sterowania z rzędami

dźwigienek oraz przenośnego pilota, który mógł być zamontowany na nokach mostka.  
- Teraz nawigacją zajmują się komputery, a kapitan może wydawać im polecenia nawet głosem.

- Jako prostak grzebiący w śmietniskach, nie miałam pojęcia, że współczesne statki są tak zaawansowane pod względem technicznym.

- Po czterdziestu latach spędzonych w roli ubogiego krewnego, nauki i technologii związane z morzem zaczynają jawić się rządcom i biznesmenom wielkim przemysłem przyszłości.

- Dotąd mi właściwie nie wyjaśniłeś, czym się zajmujecie u wybrzeży Peru.

- Szukamy w głębinach środków farmakologicznych - odparł Pitt.

- Środków farmakologicznych? W tym sensie, że „proszę wziąć dwie pastylki planktonu i odezwać się do mnie jutro”?

Pitt z uśmiechem pokiwał głową.

- Jest najzupełniej do pomyślenia, że pewnego dnia lekarz istotnie przepisze ci takie lekarstwo.

- A zatem pogoń za nowymi lekami sięgnęła dna.

- To konieczność. Odkryliśmy i przetworzyliśmy dziewięćdziesiąt procent organizmów lądowych, zawierających związki lecznicze... aspiryna i chinina pochodzą z kory drzew, chemikalia zawarte dosłownie we wszystkim - od jadu węży przez wydaliny żab po limfę z gruczołów świń - wchodzi w skład najrozmaitszych środków farmakologicznych. Zwierzęta jednak i mikroorganizmy żyjące w głębinach mórz to wciąż nie zbadane źródło i kto wie, czy nie szansa na leki przeciwko chorobom tak różnym, jak katar i AIDS.

- Z pewnością jednak nie wygląda to tak, że wyciągnąwszy z dna wiadro świństw, sprzedajecie je w celu przetworzenia i dystrybucji zaprzyjaźnionej aptece.

- Nie jest to wizja tak absurdalna, jak mogłoby ci się zdawać. Każdy z tysięcy żyjących w kropli wody mikroorganizmów może zostać rozmnożony, a po zbiorach wejść w skład takiego czy innego leku. W chwili obecnej pracuje się nad tym, żeby z meduz, mszywiolów, pewnych gąbek i niektórych koralu wypreparować leki antynowotworowe czy przeciwzapalne, a także środki zapobiegające odrzucaniu organów po przeszczepach. Niezmiernie obiecująco wyglądają wyniki testów laboratoryjnych, w których poddano badaniu wyizolowany z morskich śródek zwalczający jedną z odpornych dotąd na leki odmian gruźlicy.

- Gdzie konkretnie w całym bezkresnym oceanie szukacie tych cudownych



lekarstw? - zapytała Shannon.

- Nasza ekspedycja koncentruje uwagę na obrzeżach kominopodobnych formacji, gdzie lava spod płaszcza Ziemi styka się z chłodną wodą morską i przed rozlaniem się po dnie przenika przez skupiska szczelin. Można by to nazwać podwodnymi gejzerami. Na wielkich obszarach, gdzie woda jest bogata w siarkowodór, zalegają najrozmaitsze minerały: miedź, cynk, żelazo i tak dalej. Rzecz niewiarygodna, ale w tym mrocznym i toksycznym środowisku rozkwitają olbrzymie kolonie gigantycznych małży, ostryg i rureczników, wykorzystujących związki siarki do syntezy cukrów. Te właśnie zdumiewające okazy podmorskiej fauny zbieramy posługując się batyskafami; następnie, odesłane do Stanów, są poddawane badaniom klinicznym i chemicznym.

- Czy wielu naukowców zajmuje się tym zagadnieniem?

Pitt pokręcił głową.

- Na całym świecie może pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu. Morskie badania medyczne są wciąż w powijkach.

- Kiedy te leki trafią na rynek?

- Bariery administracyjne są tu przerażające. Minie dobre dziesięć lat, zanim lekarze zaczną przepisywać recepty na te środki.

Shannon podeszła do baterii monitorów, zappełniających całą długość jednej grodzi.

- Imponujące - mruknęła.

- Drugi cel naszej misji to uzupełnienie mapy dna morskiego wszędzie tam, gdzie żeglują statek. Nasz system hydrolokacyjny - a jest to sonar boczny o dalekim zasięgu i małej rozdzielczości - może przekazać trójwymiarowy barwny obraz wycinka dna o szerokości pięćdziesięciu kilometrów.

Shannon z podziwem spoglądała na kaniony i góry odległe o tysiące metrów od kilku statku.

- Nigdy nie sądziłam, że zobaczę ten ukryty świat tak wyraźnie. Mam wrażenie, iż lecąc samolotem, spoglądam przez okno na Góry Skaliste.

- Po obróbce komputerowej obraz jest jeszcze wyraźniejszy.

- Romantyka mórz... - westchnęła filozoficznie. - Przypominacie pierwszych odkrywców, którzy nanosili na mapę nowe światy.

- Uwierz - powiedział ze śmiechem Pitt - nowoczesna technika skutecznie zabija wszelki romantyzm.

Zeszli z mostka, Pitt oprowadził Shannon po laboratoriach pokładowych, gdzie w dziesiątkach kolb, kuwet i menzurek roily się setki mieszkańców głębin, zespół badawczy zaś, złożony z chemików i biologów, uważnie wpatrywał się w monitory i okulary mikroskopów.

- Tu odbywa się drugi po łowach etap badań - oznajmił Pitt.

- Jaką ty pełnisz w tym wszystkim rolę?

- Obsługujemy z Giordinem sondy automatyczne, poszukujące na dnie obiecujących stanowisk, a kiedy uznamy, żeśmy je znaleźli, schodzimy na dół batyskafem, żeby pobrać próbki.

- Twoja dziedzina jest znacznie bardziej egzotyczna niż moja - stwierdziła z westchnieniem.

- Nie zgadzam się z tobą. - Pitt pokręcił głową. - Poszukiwanie źródeł kulturowych może być i jest naprawdę fascynujące, bo czyż, gdyby przeszłość nie przyciągała nas jak magnes, miliony osób odwiedzałyby co roku Egipt, Rzym, czy Ateny? Czemu wędrujemy po pobojuwiskach Waterloo i Gettysburga, czemu spoglądamy z grani klifów na plaże Normandii? Bo musimy wrócić do historii, aby przejrzeć się w niej jak w zwierciadle.

Shannon nie spodziewała się takich słów z ust człowieka, który na jej oczach zabijał z zimną krwią. Później Pitt prawił o morzach, wrakach i zaginionych skarbach, Shannon zaś opowiadała o największych zagadkach archeologicznych, wciąż czekających na wyjaśnienie. Obojgu ta rozmowa sprawiła wielką przyjemność, a jednak czuli, że dzieli ich przepaść, że nie przyciąga ich ku sobie żaden wzajemny magnetyzm.

Wyszli na pokład i stojąc wsparci o reling, przyglądali się, jak piana spod dziobu opływa statek, a potem ginie w rozbiegającym się trójkącie kilwateru, kiedy podszedł do nich kapitan Stewart.

- Wiadomość oficjalna - miał śpiewną wymowę mieszkańca Alabamy. Polecono nam doktor Kelsey i peruwiańskich studentów dostarczyć do portu w Callao.

- Rozmawiałeś z admirałem Sandeckerem? - zapytał Pitt.

- Nie, z szefem wydziału operacyjnego, Rudim Gunnem.

- Potem, przypuszczam, wracamy na stanowisko i podejmujemy badania?

- Tylko ja i załoga. Wy z Giordinem dostaliście rozkaz, żeby wrócić do studni ofiarnej i wydobyć zwłoki doktora Millera.

Pitt popatrzył na Stewarta wzrokiem psychiatry zastanawiającego się nad

ciekawym przypadkiem szaleństwa.

- Dlaczego my? Dlaczego nie peruwiańska policja?

Stewart wzruszył ramionami.

- Kiedy oświadczyłem, że jesteście niezastąpieni, ponieważ to wy pobieracie próbki, Gunn odparł, iż podeśle rezerwowych facetów z laboratorium NUMY w Key West.

- Mówiłeś Rudiemu, że nie cieszymy się z Alem szczególną sympatią tubylców i że wyprztykaliśmy się właśnie ze śmigłowca? - Pitt ruchem głowy pokazał puste lądowisko.

- Nie, jeśli chodzi o pierwsze pytanie - odparł z uśmiechem Stewart. - Tak, jeśli chodzi o drugie. Ambasada amerykańska w Limie podjęła już kroki, żeby wyczarterować dla was komercyjną maszynę.

- Ma to mniej więcej tyle sensu, co zamawianie kanapki z masłem orzechowym we francuskiej restauracji.

- Jeśli chcesz złożyć zażalenie, przekazaj je Gunnowi osobiście, kiedy spotkacie się na pirsie w Callao.

Pitt zmrużył oczy.

- Prawa ręka Sandeckera leci sześć i pół tysiąca kilometrów, żeby nadzorować operację wydobycia zwłok? Co z tego wynika?

- Więcej niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, rzecz jasna. - Stewart odwrócił się i spojrzał na Shannon. - Gunn prosił również, by przekazać pani wiadomość od Davida Gaskilla. Powiedział, że przypomni pani sobie jego nazwisko.

Przez kilka chwil z zadumą spoglądała na deski pokładu, a potem podniosła głowę. - Tak, pamiętam, to tajny agent amerykańskich służb celnych, który specjalizuje się w szmuglu antyków.

- Gaskill informuje, że jest przekonany, iż wytropił Złoty Sarkofag z Tiapollo u prywatnego chicagowskiego kolekcjonera.

Shannon, z drżeniem w sercu, tak mocno uchwyciła dłońmi barierkę relingu, że pobiełały jej kostki.

- Dobre wieści? - zapytał Pitt.

Otwarła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Sprawiała wrażenie kompletnie oszołomionej.

Pitt otoczył ją ramieniem.

- Dobrze się czujesz?

- Złoty Sarkofag z Tiapollo - wyszeptana z nabożnym szacunkiem - zniknął po zuchwałej kradzieży, której ofiarą padło w 1928 roku sewilskie Museo Nacional de Antropologia. Każdy archeolog oddałby swoją emeryturę, żeby móc go przebadać.

- Czemu jest tak wyjątkowy? - zaciekał się Stewart.

- Z racji swej historycznej wartości uchodzi za najcenniejszy artefakt, jaki kiedykolwiek odnaleziono w Ameryce Południowej. - Shannon mówiła tonem wykładowcy w hipnozie. - Złota powłoka pokrywała od stóp do głów wielkiego czaczapojańskiego wodza o imieniu Naymlap. W 1547 roku, wysoko w górach, hiszpańscy konkwistadorzy odkryli jego grobowiec. Wznosił się w mieście o nazwie Tiapollo i chociaż samo wydarzenie zostało solidnie udokumentowane w relacjach z tamtych czasów, dziś położenie Tiapollo nie jest znane. Widziałam zaledwie białoczarne zdjęcie sarkofagu, ale powiadam wam: wykonanie zapiera dech w piersiach. Cała misternie wymłotkowana ikonografia przedstawia relację z pewnego historycznego wydarzenia.

- Pismo hieroglificzne na kształt egipskiego? - zapytał Pitt.

- Coś bardzo podobnego.

- Czyli po prostu rodzaj komiksu - dodał Giordino, wychodząc na pokład. Shannon parsknęła śmiechem.

- Tyle że bez dymków, bo te nigdy nie zostały rozszyfrowane. Pewne niejasne wskazówki zdają się dowodzić, że chodzi o długą podróż morską do miejsca położonego gdzieś poza granicami imperium Azteków.

- Podjętą w jakim celu? - drażył Stewart.

- Aby ukryć olbrzymi królewski skarb należący do Huascara, inkaskiego władcy, który został pokonany w bitwie przez swego brata Atahualpę, pojmany i stracony. Atahualpa zginął później z rąk Pizarra. Huascar posiadał ponoć święty złoty łańcuch mający dwieście czterdzieści metrów długości. Wedle informacji przekazanej Hiszpanom przez Inków, potrzeba było dwustu mężczyzn, aby chociaż dźwignąć go z ziemi.

- Licząc z grubsza, że człowiek może unieść ciężar równy dwóm trzecim wagi swego ciała - zamyślił się Giordino - mówimy tu o dziewięciu tonach złota. Przeliczmy to na uncje i...

- Mamy ich dwieście czterdzieści tysięcy - podpowiedział Pitt. Wyraz namysłu na twarzy Giordina ustąpił miejsca bezgranicznemu oszołomieniu.

- Dobry Boże! Wedle dzisiejszych cen złota to równowartość stu milionów

dolarów.

- Niemożliwe - prychnął Stewart.

- Przelicz sam - odparł Giordino.

Kiedy Stewart istotnie przeprowadził rachunek, jego twarz wyraziła takie samo ożepienie jak oblicze Giordina.

- Matko Boska, ma rację!

- Przy czym mówimy tylko o cenie złota - wtrąciła Shannon. - Jako obiekt sztuki, łańcuch jest bezcenny.

- Hiszpanie nigdy nie dostali go w łapy? - zapytał Pitt.

- Nie, wraz z resztą królewskiego skarbu zginął bez śladu. Zapewne słyszeliście opowieść o tym, jak Atahualpa próbował kupić sobie wolność, proponując konkwistadorom, że wypełni złotem pokój o wymiarach siedem na pięć metrów. Atahualpa stanął na palcach i wyciągniętym w górę ramieniem zakreślił linię, do której miało sięgać złoto. W pobliskiej, nieco większej izbie, obiecał zgromadzić dwakroć tyle srebra.

- Rekord świata w wysokości okupu - mruknął Stewart.

- Wedle legendy - podjęła Shannon - Atahualpa obłuskał ze złotych przedmiotów wszystkie pałace, świątynie i gmachy publiczne, a gdy zasoby zaczęły się kończyć, usiłował dobrać się do skarbów brata. Huascar, powiadomiony o tym zamiarze przez swoich szpiegów, uknuł spisek zmierzający do wywiezienia z kraju królewskiego skarbcza, zanim dostaną go w ręce Hiszpanie i Atahualpa. Pod strażą wiernych czaczapojańskich wojowników, nad którymi komendę objął mężny Naymlap, niezliczone tony przedmiotów ze złota i srebra, w tym również łańcuch, przetransportowano ku wybrzeżu, podając je z rąk do rąk, a następnie załadowano nimi flotyllę tratw z balsy i sitowia, które pozęgłowały na północ ku nieznanemu miejscu przeznaczenia.

- Czy ta opowieść ma jakieś faktograficzne podstawy? - zapytał Pitt.

- W latach 1546-1568 jezuicki historyk i tłumacz, biskup Juan de Avila, zanotował wiele mitologicznych przekazów, krążących wśród dawnych ludów peruwiańskich. Kiedy usiłował nawrócić na katolicyzm potomków Chaczapojów, wysłuchał czterech różnych opowieści o tym, jak przodkowie jego owieczek pomogli wywieźć olbrzymi skarb Inków na wyspę, położoną hen, za imperium Azteków, gdzie skarb ów został zakopany. Ponoć aż do dnia, w którym powrócą Inkowie, aby upomnieć się o swe królestwo w Peru, będzie go strzegł skrzydlaty jaguar.

- Pomiedzy nami a Kalifornią musi być przynajmniej setka przybrzeżnych wysepek - zauważył Stewart.

Shannon podążyła za spojrzeniem Pitta i wbiła wzrok w fale niespokojnego morza.

- Jest, czy też powinnam raczej rzec: było jeszcze jedno źródło legendy.

- Dobra - powiedział Pitt. - Zasuważ.

- Otóż jedna z opowieści, jaką od Ludu z Chmur, tak bowiem określali się Czaczapojowie, usłyszał biskup, koncentrowała się na jaspisowym puzdrze, zawierającym szczegółowy opis podróży.

- Wyprawiona skóra, pokryta piktografami?

- Nie, kipu - odparła cicho Shannon.

- Co? - kapitan Stewart pytająco przechylił głowę.

- Kipu, inkaski system służący obliczeniom matematycznym i archiwistyce. Nader pomysłowy. Był to rodzaj starożytnego komputera, w którym wielobarwne rzemyki lub sznurki konopne były w znaczących odstępach pokryte węzełkami. Każda z barw coś oznaczała: niebieska - religię, czerwona - króla, szara miejsca i miasta, zielona - lud i tak dalej, i tak dalej, żółty kolor mógł oznaczać złoto, podczas gdy biały - srebro. Umieszczenie węzłów odnotowywało pojęcia związane z liczbami, na przykład upływ czasu. W rękach sprawnego quipu-mayoc, czyli sekretarza bądź urzędnika, system stwarzał nieograniczone możliwości - od inwentaryzowania magazynów po relacjonowanie wydarzeń. Niestety, większość kipu, owych najbardziej w dziejach szczegółowych dokumentów, utrwalających historię człowieka, została zniszczona w latach konkwisty i późniejszym okresie ucisku.

- I ten kłębek sznurka, jeśli wybaczysz mi frywolny ton, mógł służyć zapisowi podróży, uwzględniając informacje o czasie, odległościach i położeniach? - zapytał Pitt.

- Tak to mniej więcej wygląda - odparła Shannon.

- Istnieją jakieś przesłanki dotyczące późniejszych losów jaspisowego puzdra?

- Wedle jednej z opowieści, Hiszpanie znaleźli puzdro z kipu i nieświadomi jego rzeczywistej wartości, odesłali je statkiem do Anglii. Podczas rejsu do Panamy statek ów - razem z puzdrem i ładownią pełną złota - został zdobyty przez sir Francisa Drake'a.

Pitt spojrział na nią takim wzrokiem, jakby podziwiał nie znany sobie dotąd model zabytkowego samochodu.

- Czaczapojańska mapa, prowadząca do skarbu, pojechała do Anglii?

Shannon bezradnie wzruszyła ramionami.

- Po powrocie do kraju ze swej epickiej podróży dookoła świata Drake nigdy nie wspominał o jaspisowej szkatule i jej zawartości, która wprawdzie zasłynęła jako kipu Drake'a, ale nikt nie mógł stwierdzić, że widział ją na własne oczy.

- Niezły kawał opowieści - mruknął Pitt, mając spojrzenie tak nieobecne, jakby usiłował wyobrazić sobie, co kryje horyzont. - Ale najlepsze dopiero przed nami.

Shannon i Stewart popatrzyli nań przeciągle. Pitt przez chwilę śledził wzrokiem mewę, która, zatoczywszy krąg nad statkiem, poszybowała w stronę lądu, a kiedy ponownie opuścił głowę, miał w oczach wyraz całkowitej pewności, na ustach zaś - łotrowski uśmieszek.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytała z wahaniem Shannon.

- Że zamierzam odnaleźć to jaspisowe puzdro.

- Podpuszczasz nas - parsknął śmiechem Stewart.

- Ani mi to w głowie. - Rozmarzenie ustąpiło na twarzy Pitta miejsca nieustępliwej stanowczości.

- Zwariowałeś? - Shannon zupełnie zaskoczył ów nagły odwrót Pitta od jego kpiarskiego sceptycyzmu.

Pitt odrzucił głowę i roześmiał się na całe gardło.

- Człowiek szalony widzi rzeczy niedostrzegalne dla innych.

St. Julien Perlmutter był klasycznym smakoszem i bon vivantem. Bezgranicznie rozmiłowany w dobrej kuchni i alkoholu, folgował swym skłonnościom bez zahamowań, w czym pomagała mu niewiarygodnie bogata kolekcja receptur, uzyskanych od najlepszych kuchmistrzów świata, tudzież piwnica zawierająca cztery tysiące butelek win z doskonałych roczników. Słynął również jako gospodarz wyśmienicie skomponowanych kolacji, na jakie niekiedy zapraszał przyjaciół do najelegantszych lokali, za wszystko to jednak drogo - czy może raczej ciężko - zapłacił. St. Julien Perlmutter ważył bowiem sto osiemdziesiąt kilogramów. Miał w pogardzie diety i ćwiczenia fizyczne, hołubiąc w duszy nadzieję, że wkroczy w wielką nicość, kiedy po obfitym posiłku będzie pieścił podniebienie stuletnią brandy.

Drugą poza jedzeniem namiętną pasją Perlmuttera były statki i wraki: zgromadził, zgodnym zdaniem najwybitniejszych archiwistów świata, niezrównany pod względem kompletności zbiór książek i dokumentów na temat historycznych statków. Muzea morskie pod wszelkimi szerokościami i długościami geograficznymi niecierpliwie liczyły dni pozostałe do owej szczęsnej chwili, gdy Perlmutter skona z obżarstwa, one zaś, na kształt ścierwojadów, spadną na jego zbiór i wyszarpiętymi kłaskami wzbogacą własne biblioteki.

Istniał ważki powód, dla którego Perlmutter podejmował gości w restauracjach, nie zaś w swym przestronnym domu w Georgetown, tuż poza granicami Waszyngtonu - otóż każdy centymetr kwadratowy podłogi, każdy kąt i zakamarek, całe kilometry uginających się pól, ba, nawet szafki kuchenne zappełniała gigantyczna masa książek. Wypiętrzone pod sufit obok komody w łazience, niczym postrzępiona, zmemłana kapa pokrywały olbrzymie wodne łoże... Archiwiści potrzebowaliby roku, aby zaprowadzić katalogowy ład w tysiącach woluminów rozsadzających sadybę Perlmuttera, on sam jednak znał na pamięć koordynaty każdego tomu i potrafił go odnaleźć w ciągu kilku sekund.

Odziany w swój standardowy dzienny uniform - złoto-czerwony turecki szlafrok i purpurową piżamę - Perlmutter stał przed lustrem wydobytym z salonu „Lusitanii”, przystrzygając wspaniałą siwą brodę, kiedy dźwiękiem dzwonu okrętowego odezwał się telefon.

- St. Julien Perlmutter, słucham. Proszę zwięźle powiedzieć, o co chodzi.
- Cześć, stary rżęchu.
- Dirk! - zahuczał Perlmutter, a jego niebieskie śleпка rozjarzyły się w okrągłym



szkarłatnym obliczu. - Gdzie ta recepta na puree z krewetek w morelach, którąś mi obiecał?

- W kopercie na moim biurku. Zapomniałem nadać przed wyjazdem z kraju.

Wybacz.

- Skąd dzwonicz?

- Ze statku u wybrzeży Peru.

- Lękam się pytać, co tam robisz.

- To długa historia.

- Jak zawsze.

- Chcę prosić o przysługę.

Perlmutter westchnął.

- Jaki to statek tym razem?

- „Złota Łania”.

- „Złota Łania” Francisa Drake'a?

- Ta sama.

- Sic parvis magna - zacytował Perlmutter. - Małe wielkiego początku. Tak brzmiało motto Drake'a. Wiedziałaś o tym?

- Jakoś ten szczegół mi umknął - przyznał się Pitt. - Otóż Drake zdobył pewien hiszpański galeon...

- „Nuestra Senora de la Concepción” - wtrącił Perlmutter. - Pod dowództwem kapitana Juana de Antona zmierzała do Panamy z Callao de Lima, wioząc ładunek metali szlachetnych i cennych inkaskich dzieł sztuki. Jeśli sobie dobrze przypominam, było to w marcu 1578 roku.

Na drugim końcu łącza przez chwilę panowała cisza.

- Jak to jest, Julienie - odezwał się wreszcie Pitt - iż podczas naszych rozmów zawsze potrafisz sprawić, że czuję się tak, jakbyś mi podwędził rower?

- Uznałem, że szczypta wiedzy podniesie cię na nieco wyższy poziom - odparł ze śmiechem Perlmutter. - Co cię konkretnie interesuje?

- Jak po zdobyciu „Concepción” Drake postąpił z jej ładunkiem?

- Wydarzenie jest nader solidnie udokumentowane. Załadował łup - złoto, srebro i skarbczyk kamieni szlachetnych - na pokład „Złotej Łani”. Była tego monstrualna ilość, co spowodowało niebezpieczne przeciążenie statku, przed podjęciem tedy rejsu dookoła świata Drake zatopił opodal wyspy Cano u wybrzeży Ekwadoru kilka ton srebra.

- A co ze skarbami Inków?

- Pozostawiono je w ładowniach „Concepción”; załoga, złożona po części z Anglików, po części z marynarzy galeonu, miała przez Cieśninę Magellana i Atlantyk odprowadzić przyz do Anglii.

- Czy galeon dotarł do portu?

- Nie - odparł z zadumą Perlmutter. - Zaginął, uznano więc, że utonął z całą załogą.

- Głupia sprawa - powiedział Pitt z rozczarowaniem w głosie. - Miałem nadzieję, że jakimś cudem ocalał.

- Należy jednak wspomnieć - stwierdził Perlmutter - że wokół zniknięcia „Concepción” narosła pewna legenda.

- Do czego się sprowadza?

- Otóż wedle tej fantastycznej historyjki, właściwie pogłoski, ogromna fala pływowa rzuciła statek w głąb ładu. Oczywiście, nie jest to ani udokumentowane, ani zweryfikowane.

- Potrafisz namierzyć źródło pogłosek?

- Do uściślenia szczegółów niezbędna byłaby głębsza kwerenda, jeśli mnie jednak pamięć nie zawodzi, Portugalczycy - wedle własnej relacji - usłyszeli tę opowieść z ust szalonego Anglika, którego znaleźli w jednej z nadamazońskich wiosek. Wybacz, ale to wszystko, co mogę ci powiedzieć z marszu.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał poszperać.

- Mogę ci podać rozmiary i tonaż „Concepción”, szczegóły dotyczące ożaglowania, dok i okres, w którym ją zbudowano. Ale szaleniec pałający się po dżungli wymaga źródeł informacji innych niż moje zbiory.

- Julienie, na rozwikłanie tajemnicy morza nikt nie ma większej szansy niż ty.

- Całkowicie tracę siłę woli, kiedy w grę wchodzi rozwikływanie twoich zagadek, szczególnie odkaśmy znaleźli staruszka Abe Lincolna na konfederackim pancerniku, i to w środku Sahary.

- Więc pozostawiam sprawę w twoich rękach.

- Pancerniki na pustyni, arka Noego na górze, hiszpańskie galeony w dżungli... Czemuż statki nie trzymają się morza, gdzie ich właściwe miejsce?

- Dlatego właśnie pozostajemy obaj tak nieuleczalnymi łowcami zaginionych wraków - odparł pogodnie Pitt.

- Co jest źródłem twojego zainteresowania akurat tym wrakiem? - zapytał

ostrożnie Perlmutter.

- Jaspisowe puzdro z pozawężlanym sznurkiem, który dostarcza wskazówek, jak odnaleźć niewyobrażalny skarb Inków.

Perlmutter przez kilka chwil trawił lakoniczną odpowiedź Pitta, a wreszcie odrzekł:

- Taki sam dobry powód jak każdy inny.

Hiram Yaeger wyglądał jak dziad żyjący na śmietniku, który bocznymi uliczkami pcha stary wózek sklepowy, wyładowany ubogim dobytkiem. Nosił spodnie i kurtki z wytartego denimu, miał związane w luźny kucyk drugie blond włosy, chłopięcą twarz w połowie zakrywała mu długa zmierzwiona broda. Jedyne wózki sklepowe Yaeger przepychał wszakże pomiędzy półkami supermarketów, człowiek zaś, który go nie zna, trudno byłoby przekonać, iż mieszka w ekskluzywnej dzielnicy willowej Marylandu, ma piękną żonę malarkę, dwie udane pod każdym względem nastoletnie córki uczęszczające do prywatnej szkoły a wreszcie najdroższy spośród dostępnych na rynku modeli BMW. Trudno byłoby też zgadnąć, iż jest Yaeger szefem działu łączności i informatyki w NUMIE, skaperowanym przez admirała Sandeckera z Krzemowej Doliny w celu utworzenia ogromnego banku danych, obejmującego każdą książkę, artykuł czy rozprawę o charakterze naukowym bądź historycznym, teoretyzującą bądź konstatującą fakty, jaką kiedykolwiek napisano na temat morza. Czym archiwum Perlmuttera było wobec statków, tym bank Yaegera - wobec oceanografii i rozrastającego się obszaru nauk związanych z morzem.

Kiedy zadzwonił telefon, Yaeger siedział przy swoim osobistym terminalu komputerowym w niewielkiej pracowni sąsiadującej z ogromnym kompleksem informatycznym, który zajmował całe piętro gmachu NUMY. Nie odrywając wzroku od obrazu na monitorze, przedstawiającego prądy oceaniczne nieobojętne dla klimatu Australii,

Yaeger podniósł słuchawkę.

- Pozdrowienia od trustu mózgów - powiedział nonszalancko.

- Bracie, nie rozpoznałbyś szarych komórek, nawet gdyby ochlapały ci kamasze.

- Miło cię słyszeć, szanowny dyrektorze programów specjalnych. Wedle biurowego biuletynu na dzień dzisiejszy, delektujesz się pełnymi uciech wakacjami w Ameryce Południowej.

- Wprowadzono cię w błąd - odparł Pitt.

- Dzwonisz z pokładu „Głębarka”?

- Tak, wróciliśmy już z Alem po małej wycieczce do dżungli.

- Czym ci mogę służyć?

- Poszperaj w swoim banku danych i sprawdź, czy zdołasz znaleźć jakieś informacje o fali pływowej, która gdzieś w marcu 1578 roku uderzyła w wybrzeże pomiędzy Limą a Panamą.

Yaeger ciężko westchnął.

- A nie chciałbyś się dowiedzieć, jaka była temperatura i wilgotność w dniu stworzenia?

- Chodzi mi o najogólniejsze zamiary.

- Jakąkolwiek wzmiankę o podobnym wydarzeniu można by najprawdopodobniej znaleźć w starych dokumentach nawigacyjnych i meteorologicznych, które skopiowałem w hiszpańskich archiwach w Sewilli. Druga, odległa wprawdzie, możliwość jest taka, że kataklizm został utrwalony w legendach tamtejszych ludów. Inkowie nieźle sobie radzili z odnotowywaniem na ceramice i tekstyliach ważnych faktów społecznych bądź religijnych.

- Niezbyt dobry kierunek - odparł z powątpiewaniem Pitt. - Imperium Inków zostało przez hiszpańską konkwistę obrócone w ruinę niemal czterdzieści lat wcześniej. Wszelkie późniejsze dokumenty były bardzo rozproszone i przeważnie zaginęły.

- Większość pływów wdzierających się na ląd ma swe źródło w ruchach dna morskiego. Może zdołam poskładać do kupy przebieg geologicznych wydarzeń tamtych czasów.

- Wyjdź ze skóry.

- Na kiedy tego potrzebujesz?

- O ile admirał nie wetknął ci jakiegoś priorytetowego zadania, rzucaj wszystko w diabły i bierz się do dzieła.

- Dobra - ochoczo zadeklarował Yaeger. - Zobaczę, co się da wygrzebać.

- Dzięki, Hiram, jestem twoim dłużnikiem.

- A bo to po raz pierwszy?

- I nie wspominaj o niczym Sandeckerowi - ostrzegł Pitt.

- Tak mi się właśnie zdawało, że to jedna z tych twoich pokrętnych kombinacji.

Możesz powiedzieć, o co chodzi?

- Szukam zaginionego w dżungli hiszpańskiego galeonu.

- Ależ oczywiście, jakżeby inaczej! - stwierdził Yaeger z rutynową rezygnacją.

Dawno pojął, że próby rozgryzienia pomysłów Pitta z góry skazane są na fiasko.

- Liczę, że chociaż z grubsza przybliżysz mi obszar poszukiwań.

- W istocie dzięki zdrowemu stylowi życia i czystym myślom już teraz mogę dokonać sporych uściśleń.

- Wiesz o czymś, co uniknęło mojej uwagi?

Yaeger uśmiechnął się pod nosem..

- Nizinne obszary pomiędzy zachodnią flanką Andów a wybrzeżem peruwiańskim mają przeciętną roczną temperaturę, osiemnaście stopni Celsjusza i opady, które z trudem zapełniłyby szklaneczkę do whisky, są zatem jednym z najchłodniejszych i najsuchszych obszarów pustynnych na świecie, nisko położonych nad poziomem morza. Nie ma tam dżungli, w której mógłby zaginąć statek.

- Na co więc stawiasz?

- Na Ekwador. Region przybrzeżny ma tropikalny charakter do samej Panamy.

- Ładny pokaz rozumowania dedukcyjnego. Fajny z ciebie facet, Hiram, bez względu na to, co mówią o tobie wszystkie eks-małżonki.

- Nie ma o czym gadać. Zdobędę coś dla ciebie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Zadzwoń.

Yaeger odłożył słuchawkę i natychmiast zaczął porządkować myśli. Nowość w jego życiu, jaką było poszukiwanie wraków, zawsze działała nań stymulujące. Regiony, które zamierzał zbadać, starannie poukładane tkwiły w przegródkach jego umysłu. Podczas kilku lat pracy w NUMIE przekonał się, iż Dirk Pitt kroczy przez życie szlakami innymi niż większość ludzi. Współpraca z nim i banalne dostarczanie mu danych stało się długą, pełną tajemnic, chociaż zastępczą przygodą. A Yaeger dumny był z faktu, iż nigdy nie zepsuł piłki, którą mu podano.

Kiedy Pitt snuł plany poszukiwań uwięzionego na lądzie hiszpańskiego galeonu, Adolphus Rummel, znany kolekcjoner południowoamerykańskich starożytności, wyszedł z windy do swego luksusowego mieszkania w nadbudówce dwadzieścia pięter powyżej Lake Shore Drive w Chicago. Niski, żylasty mężczyzna po siedemdziesiątce, łysy jak kolano i zdobny potężnym sumiastym wąsem. Rummel sprawiał raczej wrażenie czarnego charakteru z opowiadań o Sherlocku Holmesie aniżeli właściciela sześciu ogromnych cmentarzysk samochodów.

Jak wielu podobnych sobie bogaczy, którzy namiętnie nabywali na czarnym rynku bezcenne dzieła sztuki, nie zadając żadnych pytań, Rummel był kawalerem i prowadził samotniczy tryb życia. Nikt i nigdy nie miał okazji oglądać jego prekolumbijskiej kolekcji; wiedzieli o jej istnieniu jedynie księgowy i adwokat Rummla, nawet oni jednak nie mieli pojęcia o jej rzeczywistym rozmiarze i wartości.

W latach pięćdziesiątych Rummel, z urodzenia Niemiec, przemycił przez meksykańską granicę zbiór ceremonialnych faszystowskich obiektów, takich jak kordziki i krzyże oficerskie wręczone największym z wojennych bohaterów Trzeciej Rzeszy, wzbogacony o dokumenty z osobistymi podpisami Adolfa Hitlera i jego najbliższych współpracowników. Zyski ze sprzedaży tych przedmiotów kolekcjonerom nazistowskich pamiątek Rummel zainwestował w założenie cmentarzyska samochodów, które z czasem rozrosło się w imperium handlu złomem. Dochód, jaki w ciągu czterdziestu lat przyniosło Rummlowi, sięgał ćwierci miliarda dolarów.

Po służbowej podróży do Peru w 1974 roku Rummel zainteresował się dawną sztuką Ameryki Południowej i zaczął nabywać jej twory od handlarzy zarówno uczciwych, jak i związanych z podziemiem kryminalnym. Źródło nie miało dlań żadnego znaczenia, a zresztą środowisko poszukiwaczy i dealerów dzieł sztuki starożytnej w Ameryce Południowej i Środkowej toczyła zgnilizna równie agresywna jak ta, co pochłania powalone w dżungli pnie drzew. Rummel nie zastanawiał się, czy nabywane przezeń obiekty zostały wydobyte legalnie, chociaż sprzedane na boku, czy też po prostu skradzione z muzeów. Służyły jego i tylko jego satysfakcji oraz uciechu. Przeszedłszy pomiędzy wyłożonymi włoskim marmurem ścianami foyer, zbliżył się do ogromnego zwierciadła, oprawionego w złożoną ramę, z której figlarnie spoglądały nań spowite akantem i winoroślą buzie amorków; Rummel przekreślił jedną z główek w rogu, a wtedy zapadka wysunęła się z okucia, sprężyna zaś pchnęła lustro i ukazały się ukryte drzwi, za którymi schody wiodły w dół do ośmiu przestronnych sal, gdzie

na półkach i stołach w co najmniej trzydziestu szklanych gablotach pyszniło się dwa tysiące z górą prekolumbijskich dzieł sztuki. Nabożnie, krokiem człowieka zmierzającego środkiem nawy głównej ku ołtarzowi, Rummel jał przemierzać galerię, delektując się pięknem i kunsztowną robotą swoich prywatnych zbiorów. Był to rytuał, któremu - jak ojciec układający dzieci do snu - oddawał się co wieczór. Zakończył pielgrzymkę przy wielkiej szklanej skrzyni, stanowiącej punkt centralny całej galerii i zawierającej jej klejnot koronny: Złoty Sarkofag z Tiapollo skrzył się złotem okrywającym korpus, twarz i wyciągnięte sztywno członki, oraz szmaragdami umieszczonymi w oczodołach. Mistrzowska robota, podkreślana w najmniejszych szczegółach blaskiem halogenowych żarówek, niezmiennie poruszała Rummla do głębi. Doskonale świadom, iż siedemdziesiąt sześć lat temu to arcydzieło inkaskiej sztuki zostało skradzione z muzeum antropologicznego w Sewilli, Rummel bez wahania zapłacił za nie milion dwieście tysięcy dolarów, gdy propozycję sprzedaży złożyli mu ludzie powołujący się wprawdzie na mafijne koneksje, lecz w istocie - z czego Rummel doskonale zdawał sobie sprawę - związani z międzynarodową szajką specjalizującą się w kradzieży wyjątkowo cennych zabytków. Gdzie natknęli się na złoty sarkofag, Rummel nie miał pojęcia, wnioskując tylko, że albo wiele lat temu skradli go sami, albo też odkupili od zbieracza, który dokonał transakcji ze sprawcami sewillskiej kradzieży. Zaspokoiwszy swą wieczorną chuć kolekcjonera, Rummel wyłączył światła, wrócił na górę i zamknął lustro. Potem, przy barku urządzonym na bazie liczącego dwa tysiące lat rzymskiego sarkofagu, nalał sobie pół kieliszka koniaku i podążył do sypialni, aby poczytać przed snem. Z innego mieszkania, położonego na tej samej wysokości, lecz po przeciwnej stronie ulicy, poczynania gotującego się do snu Rummla obserwował przez umieszczoną na trójnogu potężną lornetę agent amerykańskich służb celnych David Gaskill. Inny detektyw byłby może znudzony tygodniową inwigilacją, Gaskill jednak oddawał się czynnościom służbowym z nie słabnącym entuzjazmem. Gaskill, weteran służb celnych o osiemnastoletnim stażu pracy, wyglądał na trenera drużyny futbolowej raczej aniżeli rządowego agenta i wygląd ten starannie kultywował. Miał zaczesane do tyłu siwe, kędzierzawe włosy, skórę w kolorze brązowego zamszu i oczy o dziwnej mahoniowozielonej barwie. Jego masywna głowa, przypominająca łeb buldoga, wyrastała z szerokich barów na krótkiej grubej szyi.

Chłop jak góra, Gaskill był uznawany za najlepszego linebackera wszech czasów w drużynie Uniwersytetu Południowokalifornijskiego. Po latach ciężkiej

pracy, aby pozbyć się wymowy kmiotka z Karoliny Południowej, Gaskill miał teraz tak precyzyjną dykcję, że brano go często za niegdysiejszego obywatela brytyjskiego z Wysp Bahama. Gaskill fascynował się sztuką prekolumbijską od czasów szkolnej wycieczki naukowej na półwysep Jukatański. Urzędując w Waszyngtonie, prowadził dziesiątki śledztw w związku ze złupionymi artefaktami kultur Anasazi i Hohokam, rozkwitłych na pustyniach amerykańskiego Południowego Zachodu. Pracował akurat nad sprawą przemytu płaskorzeźbionych kamiennych paneli Majów, kiedy otrzymał od chicagowskiej policji sygnał, oparty na doniesieniu sprzątaczk: niewiasta owa przypadkiem dostrzegła sterczącą z szuflady w mieszkaniu Rummla fotografię, przedstawiającą - jak uznała - ludzkie zwłoki pokryte złotem. Przekonana, iż zdjęcie ma związek z jakimś morderstwem, skradła je i przekazała policji. Funkcjonariusz z wydziału fałszerstw zorientował się, że w istocie fotografia przedstawia antyczne dzieło sztuki, zadzwonił więc do Gaskilla.

Nazwisko Rummla zawsze zajmowało wysoką pozycję na prowadzonej przez służby celne liście osób kolekcjonujących dzieła sztuki bez względu na ich pochodzenie, nigdy jednak nie zdobyto dowodów nielegalnych transakcji, a poza tym Gaskill nie miał bladego pojęcia, gdzie Rummel przechowuje swój skarb. Posiadając jednak wiedzę fachową godną zawodowego historyka sztuki, natychmiast rozpoznał na fotografii dostarczonej przez sprzątaczkę dawno przepadły bez wieści Złoty Sarkofag z Tiapollo.

Bezwzględnie zarządził całodobową obserwację apartamentu Rummla oraz nieustanne inwigilowanie kolekcjonera od chwili jego wyjścia z domu do powrotu. W ciągu sześciu dni nie natrafiono jednak na żadne przesłanki mogące doprowadzić do zbiorów, podejrzany zaś ani o włos nie odstąpił od niezmiernie uregulowanego trybu życia. Po wyjściu ze swego biura przy Michigan Avenue, gdzie spędzał cztery godziny wertując papiery wartościowe, jadał lunch w marnej kafeteryjce, nieodmiennie zamawiając zupę fasolową i sałatę. Resztę popołudnia spędzał na wędrowce po sklepach z antykami i galeriach, po czym jadł kolację w cichej niemieckiej restauracji, by następnie iść do kina albo teatru. Do domu wracał zwykle około wpół do dwunastej. Ten rytuał nigdy się nie zmieniał.

- Cholera, czy nigdy mu się nie znudzi ta berbelucha, którą pija w łóżku? - mruknął agent specjalny Winfried Pottle. - Jeśli o mnie chodzi, wolałbym złaknione ramiona sprężystej eleganckiej damy, przyodzianej w coś czarnego, małego i zwiewnego. - W przeciwieństwie do potężnego Gaskilla ubranego w dzinsy i kurtkę



futbolową, Pottle był szczupły i przystojny, miał wyraziste rysy i miękkie rude włosy, nosił zaś trzyczęściowy garnitur i zegarek z dewizką w kieszonce kamizelki.

Gaskill oderwał się od lornety i z niesmakiem spojrzął na podwładnego.

- Ponieważ widziałem kilka twoich narzeczonych, mogę śmiało powiedzieć, że to czyste chciejstwo. Pottle skinieniem głowy wskazał nadbudówkę Rummla.

- Ale musisz przyznać, że ja nie prowadzę uporządkowanego żywota.

- Drzę na myśl, co by z ciebie wyrosło, gdybyś miał jego forszę.

- Wątpię, czy po zainwestowaniu takiej fortuny w kradzione indiańskie starożytności zdołałbym je ukryć równie skutecznie.

- Przecież musi je gdzieś melinować - stwierdził Gaskill ze śladem rezygnacji w głosie. - Jego reputacja faceta, który kupuje gorący towar z barwną przeszłością, pochodzi ze zbyt wielu niezależnych źródeł, aby była wydumana. Jakiż byłby sens w tworzeniu kolekcji o klasie światowej tylko po to, żeby trzymać się od niej na dystans? Nie zetknąłem się dotąd ze zbieraczem - obojętne: znaczków, monet czy zapalczanych etykietek - który by przy każdej okazji nie studiował i pieścił swoich skarbów. Znane są przypadki, kiedy majątne ópuny sztuki, które zapłaciły ciężką forszę za kradzione Rembrandty czy van Goghi, przesiadują całymi godzinami w opancerzonych lochach, gapiąc się miłośniczo w swoje nabytki. Znam paru takich facetów, którzy zaczęli od zera, a kiedy doszli do fortuny, dostali małego rozumu na punkcie arcydzieł należących do nich i tylko do nich. Wielu porzuciło rodziny albo ochoczo pogodziło się z rozwodem, bo ich pragnienie przeszło w obsesję. Oto dlaczego ktoś tak jak Rummel rozmiłowany w sztuce prekolumbijskiej za żadne skarby nie potrafiłby ignorować zbiorów wartościowszych przypuszczalnie aniżeli kolekcje największych muzeów świata.

- Czy jednak brałeś pod uwagę możliwość, że nasi informatorzy mogą się mylić lub przesadzać? - zapytał ponuro Pottle. - Sprzątaczką, która, wedle własnego twierdzenia, znalazła zdjęcie złotego sarkofagu, jest, rzecz stwierdzona, alkoholiczką.

Gaskill powoli pokręcił głową.

- Rummel musiał gdzieś to wszystko skitrać. Jestem przekonany.

Pottle spojrzął na mieszkanie Rummla, w którym akurat gasły światła.

- Jeśli się nie mylisz, na miejscu Rummla zabierałbym to ze sobą do łóżka.

- Jasne, że byś... - Gaskill urwał, zapłodniony nagle żarcikiem Pottle'a. - Twój zboczony umysł właśnie trafił w sedno.

- Czyżby? - mruknął stropiony Pottle.

- Jakie pomieszczenia nadbudówki nie mają okien? Których nie możemy obserwować?

Pottle opuścił wzrok i na chwilę pogrążył się w zadumie.

- Wedle planu kondygnacji, dwie łazienki, spiżarka, krótki korytarz pomiędzy główną sypialnią i gościnnymi, no i garderoby.

- Coś żeśmy przegapili.

- Co takiego? Rummel rzadko zaciąga zasłony. Od chwili gdy wychodzi z windy, możemy obserwować dziewięćdziesiąt procent jego poczynąń. Żadnym cudem nie potrafiliby zadołować kilku ton dzieł sztuki w dwóch wannach i garderobie.

- Zgoda, ale gdzie spędza trzydzieści albo czterdzieści minut dzielących chwilę, gdy wsiada do windy, do momentu, kiedy wkracza do sypialni? Z pewnością nie w przedsiönku.

- Może na sraczu.

- Nie ma ludzi tak uregulowanych. - Gaskill wstał, podszedł do stolika na kawę i rozłożył na nim plan nadbudówki Rummla, uzyskany od inwestora budynku. Przestudiował go po raz bodaj pięćdziesiąty. - Skarby muszą gdzieś tu być.

- Sprawdziliśmy każde mieszkanie od parteru po dach - oświadczył Pottle. - Wszystkie są wynajęte stałym lokatorom.

- A co z mieszkaniem bezpośrednio pod Rummllem? - zapytał Gaskill.

Pottle przewertował plik wydruków komputerowych.

- Sidney Kramer i jego żona Candy. Jeden z tych korporacyjnych spryciarzy, co pilnują, żeby ich klienci nie zapłacili zbyt wiele podatków.

Gaskill przeciągle popatrzył na Pottle'a.

- Kiedyśmy ostatnio widzieli państwo Kramer?

Pottle przebiegł spojrzeniem dziennik, w którym podczas trwania inwigilacji odnotowywali wyjścia i wejścia wszystkich lokatorów bloku.

- Wcaleśmy ich nie widzieliśmy.

- Pójdę o zakład, że kiedy to prześwietlimy, wyjdzie na jaw, iż Kramerowie mieszkają w jakiejś szpanerskiej dzielnicy willowej i nigdy nie korzystają ze swego mieszkania.

- Może są na wakacjach.

- Do podziemnego garażu budynku wjeżdża tyłem duża furgonetka. - Z przenośnej radiostacji Gaskilla rozległ się głos agentki Beverly Swain.

- Jesteś przy biurku ochrony w foyer czy sprawdzasz podziemia? - zapytał

Gaskill.

- Wciąż patroluję okolice biurka sprężystym wojskowym krokiem - odparła dziarsko Beverly Swain. Uroczą blondyneczką i ozdoba kalifornijskich plaż, zanim zwerbowały ją służby celne, była najlepszą tajniaczką jaką w swej brygadzie miał Gaskill, i jedyną wtyczką w domu, gdzie zamieszkiwał Rummel. - A jeśli myślisz, że znudzona obserwowaniem na monitorach piwnic, wind i korytarzy postanowiłam machnąć się na Tahiti, będziesz zupełnie blisko prawdy.

- Szkoda twojej forsy - odparł Pottle. - Tahiti to po prostu egzotyczne plaże i wysokie palmy, a coś takiego możesz znacznie taniej dostać na Florydzie.

- Zaczynaj nagrywać główne wejście - polecił Gaskill. - Potem zbiegnij na dół do facetów z furgonetki. Ustal, czy kogoś wprowadzają, czy wyprowadzają, do czy z jakiego mieszkania i dlaczego o tak idiotycznej porze.

- Biegnę - odparła Beverly Swain, tłumiąc ziewnięcie.

- Mam nadzieję, że nie napatoczy się na potwora - stwierdził Pottle.

- Jakiego znowu potwora? - spytał Gaskill, unosząc brwi.

- No wiesz, we wszystkich kretyńskich horrorach kobieta słyszy w piwnicy dziwne odgłosy. Potem idzie je zbadać, nie włączając światła i nie biorąc dla obrony choćby kuchennego noża.

- Typowo hollywoodzka mamałyga - uznał Gaskill ze wzruszeniem ramion. - Nie martw się o Bev. Dół jest oświetlony jak bulwar w Los Angeles, a ona dźwiga kolta combat commander. Współczuj raczej potworowi, który napatoczy się na nią.

Teraz, kiedy w nadbudówce Rummla zapanowały ciemności, Gaskill na kilka minut oderwał się od lornety, żeby pochłonąć pół tuzina lukrowanych pączków i termos zimnego mleka. Smętnie kontemplował puste pudło po pączkach, kiedy zameldowała się Swain.

- Wyładowali meble do mieszkania na dziewiętnastym piętrze. Trochę są źli, że muszą pracować tak późno, ale dostali solidną stawkę za nadgodziny. Nie mają pojęcia, dlaczego klientowi tak spieszo, przypuszczają jednak, że chodzi o jedną z tych nagłych służbowych rozsad.

- Jest jakaś możliwość, że dostarczają szmuglowane dzieła sztuki do mieszkania Rummla?

- Otworzyli mi drzwi furgonetki. Nic tam nie ma poza meblami w stylu art deco.

- Dobra, sprawdzaj ich co kilka minut.

W kuchni Pottle zapisał coś w notesie i odwiesił słuchawkę ściennego telefonu.

Kiedy wrócił do Gaskilla, zajmującego znów swoje stanowisko przy oknie, mrugnął porozumiewawczo.

- Chylę czoło przed twoją intuicją. Sidney Kramer mieszka w Lake Forest.

- I założę się, że najpoważniejszym klientem Kramera jest przypadkowo Adolphus Rummel. Pottle sprawiał wrażenie człowieka szczerze z siebie radego.

- Chyba bez ryzyka możemy wrzasnąć: Eureka!

Gaskill spojrział na skąpane w ciemnościach mieszkanie Rummla i nagle pojął jego sekret. Oczy lekko mu pomroczyły.

- Ukryte schody prowadzące z foyer - powiedział, dobierając słów z taką starannością, jak gdyby streszczał scenariusz, który ma zamiar napisać. - Rummel wysiada z windy, otwiera tajne drzwi na ukrytą klatkę schodową, schodzi do mieszkania pod swoją nadbudówką i przez trzy kwadransy napawa się skarbami. Potem wraca na górę, nalewa sobie brandy i z głębokim poczuciem zadowolenia idzie spać. Głupia sprawa, ale nic nie poradzę na to, że mu trochę zazdroścę.

- Gratuluję, Dave. - Pottle poklepał Gaskilla po ramieniu. - Teraz musimy tylko dostać nakaz i urządzić nalot na nadbudówkę Rummla.

Gaskill przecząco pokręcił głową.

- Nakaz - tak, ale żadnych nalotów. Rummel ma w Chicago potężnych przyjaciół. Nie możemy urządzić wielkiej rozróby, która skończy się falą krytyki prasowej albo procesem. Szczególnie jeśli trafiłem kulą w płot. Ażeby dostać się do kolekcji Rummla, wystarczy ciche małe przeszukanie z udziałem nas trojga.

Pottle włożył prochowiec - nieustające źródło dobrotliwych kpinek ze strony kolegów z wydziału - i ruszył ku drzwiom.

- Sędzia Aldrich ma lekki sen. Wyciągnę go z łóżka i wrócę z niezbędną makulaturą, zanim wzejdzie słońce.

- Pospiesz się - powiedział Gaskill z krzywym uśmiechem. - Ręce mnie już świerzbią.

Pottle odszedł, a Gaskill wywołał Beverly Swain.

- Co nowego u facetów od przeprowadzek?

W holu bloku Rummla Beverly Swain, obserwująca przy biurku ochrony cztery monitory telewizyjne, zorientowała się, że ludzie z furgonetki znaleźli się poza zasięgiem obiektywu kamery; manipulując pilotem zaczęła włączać obrazy z innych kamer, zainstalowanych w strategicznych punktach budynku, aż ujrzała na ekranie

przewoźników wylaniających się z windy towarowej na dziewiętnastym piętrze.

- Na razie wwieźli na górę kanapę, dwa fotele ze stolikami i coś, co wygląda na skrzynię z utensyliami kuchennymi albo łazienkowymi. A może z odzieżą. Wiesz, coś w tym stylu.

- Czy wrócili z czymś do furgonetki?

- Tylko z pustymi kartonami.

- Przypuszczam, że domyśliliśmy się, gdzie Rummel melinuje zbiory. Pottle pojechał po nakaz. Wchodzimy, kiedy wróci.

- Dobre wieści - stwierdziła z westchnieniem Beverly Swain. - Prawie zapomniałam, jak wygląda świat poza tym cholernym foyer.

- Nic się nie zmienił - odparł Gaskill ze śmiechem. - Posiedź jeszcze kilka godzin na tym swoim foremnym zadeczk.

- Oj, bo uznam to za napastowanie seksualne - powiedziała z udaną pruderią.

- A to tylko niewinny komplement, agentko Swain, tylko niewinny komplement.

Wstał piękny dzień, rześki i chłodny, muskany ledwie słabiutką bryzą. Dla regionu Wielkich Jezior „Farmer's Almanac” zapowiadał prawdziwe babie lato. Gaskill miał nadzieję, że prognoza się spełni. Jesień cieplejsza niż zwykle oznaczała dlań kilka dodatkowych dni wędkowania w jeziorze rozciągającym się tuż za progiem jego letniego domku w stanie Wisconsin. Prowadził życie nietowarzystkie i samotnicze, odkąd po dwudziestu latach małżeństwa jego żona zmarła na atak serca wywołany chorobą o nazwie hemochromatoza. Od tego momentu praca stała się wielką miłością Gaskilla, który wygodnie rozparty w swej łodzi wędkarskiej zwykł analizować dane i planować działania, łowiąc jednocześnie szczupaki i bassy.

Stojąc obok Pottle'a i Beverly Swain w mknącej ku górze windzie, Gaskill po raz trzeci słowo po słowie analizował tekst nakazu rewizji. Sędzia zezwolił na przeszukanie apartamentu Rummla, odmawiając zarazem zgody na kipisz w mieszkaniu Kramerów piętro niżej, ponieważ argumenty Pottle'a wydały mu się niedostateczne. Drobną niedogodność. Zamiast pójść wprost tam, gdzie wedle przekonania Gaskilla Rummel skrywa swe zbiory, będą musieli znaleźć ukryte wejście i zaatakować od góry.

Nagle przyszła mu do głowy osobliwa myśl: a co jeśli kolekcja składa się z samych podróbek? Rummel nie byłby pierwszym z pazernych zbieraczy, który w nieokiełznanej żądzy posiadania dał sobie wcisnąć fałszerstwa. Gaskill jednak

odepchnął od siebie te pesymistyczne refleksje i niczym w ciepłej kąpieli pogrążył się w cudownym uczuciu spełnienia. Od finału wielogodzinnych trudów dzieliły go zaledwie minuty. Beverly Swain wycisnęła na tablicy kod pozwalający windzie minąć zwykle kondygnacje mieszkalne i dotrzeć do nadbudówki Rummla. Kiedy otwarły się drzwi i bez zapowiedzi wkroczyli do marmurowego foyer, Gaskill odruchowo pomacał ukryty w podramiennej kaburze dziewięciomilimetrowy pistolet automatyczny. Pottle znalazł na stoliku centralkę interkomu, a kiedy wcisnął guzik, donośny brzęczyk rozległ się we wszystkich pomieszczeniach nadbudówki.

- Kto tam? - zapytał po dłuższej chwili rozespany głos.

- Panie Rummel - powiedział Pottle do mikrofonu - czy nie zechciałby pan przyjść do windy?

- Proszę natychmiast wyjść. Wzywam ochronę.

- Nie ma potrzeby. Jesteśmy agentami federalnymi. Kiedy pan przyjdzie, wyjaśnimy powody naszej wizyty.

Beverly Swain spoglądała na tablicę, gdzie migotały światełka ściąganej na dół windy.

- Oto dlaczego nigdy nie wynajmuję nadbudówek - oznajmiła z udawaną powagą. - Intruzi łatwiej dają sobie radę z prywatną windą niż z kradzieżą mercedesa.

Pojawił się Rummel, ubrany w pantofle, piżamę i znoszony aksamitny szlafrok, przywodzący Gaskillowi na myśl kołdrę, pod którą w dzieciństwie sypiał w domu babki.

- Nazywam się David Gaskill. Jestem agentem specjalnym urzędu celnego Stanów Zjednoczonych Ameryki. Posiadam prawomocny nakaz sądowy rewizji w pańskim mieszkaniu. Rummel nonszalancko nasunął okulary na nos i zaczął studiować nakaz, jakby czytał poranną gazetę. Z bliska siedemdziesięciosześcioletni Rummel sprawiał wrażenie człowieka o dziesięć lat młodszego, a poza tym - chociaż przed chwilą został wyrwany ze snu - przytomnego i czujnego.

- Zechce pan wybaczyć. - Gaskill wyminął go niecierpliwie.

Rummel podniósł wzrok.

- Proszę do woli myszkować po moim mieszkaniu. Nie mam nic do ukrycia. Nie okazywał po sobie najmniejszej irytacji, był uprzedzająco grzeczny i skory do współpracy. Gaskill odgadywał w tym zachowaniu mistrzowską grę.

- Interesuje nas tylko pańskie foyer.

Po drodze uwrażliwił Swain i Pottle'a, czego mają szukać, i teraz jego

podwładni natychmiast przystąpili do roboty, badając każdą spoinę i pęknięcie w ścianach lub podłodze. Beverly Swain, jak to kobietę, zaintrygowało lustro, w którym nie potrafiła znaleźć najmniejszej rysy: miało szeroką fazę i w rogach kwiatowe ornamenty. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pochodziło z osiemnastego wieku. Mimo woli Beverly zadała sobie pytanie, jacy ludzie przeglądali się w nim podczas trzystu minionych lat... ich odbicia wciąż kryły się w głębiach kryształowego szkła... doskonale je wyczuwała.

W następnej kolejności zbadała zdobną puttami złoconą ramę, dostrzegając drobną ryse, biegnącą w poprzek szyi jednego z amorków. Złocenia na wystających krawędziach były wytarte. Beverly uchwyciła główkę i spróbowała ją przekreślić zgodnie z ruchem wskazówek zegara; ani drgnęła. Próba podjęta w przeciwnym kierunku przyniosła sukces - główka odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni przy wtórze cichego metalicznego stuku, a jednocześnie rama lustra z jednej strony odskoczyła od ściany o kilka centymetrów.

Beverly Swain zerknęła przez szczelinę na ukryte schody.

- Strzał w dziesiątkę, szefie.

Rummel pobladł, kiedy szeroko uśmiechnięty, zadowolony z siebie Gaskill otworzył lustro na oścież. To właśnie Gaskill najbardziej lubił w swojej robocie: walkę sprytu ze sprytem zakończoną triumfalnym zwycięstwem nad przeciwnikiem.

- Czy nie zechciałby pan pójść przodem, panie Rummel?

- Mieszkanie piętro niżej należy do mojego adwokata, Sidneya Kramera - oświadczył Rummel z chytrym błyskiem w oku. - Wasz nakaz uprawnia jedynie do rewizji w mojej nadbudówce.

Gaskill pogrzebał w kieszeni marynarki, szukając pudełeczka z kupionym wczoraj woblerem na bassy. Wyciągnął ramię i upuścił pudełko na schody.

- Ależ ze mnie niezgrabiasz! Mam nadzieję, że pan Kramer nie będzie miał nic przeciwko temu, że podejmę próbę odzyskania swojej własności.

- To wtargnięcie! - parsknął gniewnie Rummel.

Nie doczekał się odpowiedzi. Gaskill, z depczącym mu po piętach Pottle'em, schodził już po schodach, zatrzymując się jedynie na moment, żeby podnieść woblera. To, co ujrzał na dole, zaparło mu dech w piersiach. Amfiladę pokoi wypełniały arcydzieła sztuki prekolumbijskiej: z sufitów zwieszały się w szklanych gablotach inkaskie materie, cały pokój poświęcono obrzędowym maskom, inny zaś - ołtarzom i urnom. W pozostałych pyszniły się wspaniałe stroiki na głowę, misternie wymalowane

naczynia ceramiczne i egzotyczne rzeźby. Z mieszkania, by ułatwić zwiedzanie, usunięto wszystkie drzwi, aby zaś zwiększyć liczbę pomieszczeń dla wyeksponowania olbrzymich zbiorów, kuchnię i łazienki odarto ze wszystkich właściwych tym pomieszczeniom akcesoriów, takich jak zlewozmywaki, umywalki, wanny, bidety i szafki.

Gaskill i Pottle stanęli jak wryci: rozmiar kolekcji przekraczał ich najśmielsze oczekiwania. Otrząsnąwszy się z oszołomienia, Gaskill ruszył w głąb prywatnego muzeum Rummla w poszukiwaniu najcenniejszego eksponatu, znalazł jednak zaledwie stojącą na środku pokoju rozbitą i pustą szklaną gablotę. Ogarnęło go bezgraniczne rozczarowanie.

- Panie Rummel! - zawołał. - Proszę tutaj!

Zrezygowany Rummel powłócząc nogami wkroczył do pokoju pod eskortą Beverly Swain. Kiedy ujrzał pustą gablotę, zeszywniał ogarnięty grozą, jakby przebiła mu trzewia jedna z wiszących na ścianach inkaskich dzid bojowych.

- Nie ma go! - wysapał bez tchu. - Nie ma Złotego Sarkofagu z Tiapollo!

Na twarzy Gaskilla odmalowało się skupienie i chłód. Wokół pustej gabloty niczym barykada spoczywały na podłodze dwa fotele, stoliki i kanapa. Gaskill przeniósł spojrzenie z Pottle'a na Beverly Swain.

- Przewoźnicy - wycharczał ledwie słyszalnym głosem. - Zgrandzili nam sarkofag sprzed nosa.

- Opuścili blok godzinę temu - bezbarwnie skonstatowała Beverly Swain.

Pottle sprawiał wrażenie człowieka kompletnie oszołomionego.

- Za późno na blokadę. Sarkofag już gdzieś zamelinowali. - A potem, po chwili milczenia, dodał: - Jeśli, oczywiście, nie wyprawili go samolotem z kraju.

Gaskill osunął się na krzesło.

- I pomyśleć, że byliśmy tak blisko... - mruknął do siebie. - Dałby Bóg, żeby ten sarkofag nie zniknął na następne siedemdziesiąt sześć lat.



**CZEŚĆ II**  
**W POSZUKIWANIU**  
**„CONCEPTION”**

15 października 1998

Callao, Peru

## 14

Główny port morski Peru, Callao, został założony w 1537 roku przez Pizarra i rychło stał się głównym miejscem, z którego wyprawiano do Hiszpanii złoto zagrabione imperium Inków. Czterdzieści jeden lat później port został złupiony przez Francisa Drake'a. Hiszpański podbój Peru skończył się niemal dokładnie tam, gdzie rozpoczął: w 1825 roku resztki wojsk hiszpańskich poddały się w Callao Bolivarowi i tym samym Peru, po raz pierwszy od upadku Inków, zaistniało jako niepodległe państwo. Obecnie Callao i Lima tworzą jedną rozległą metropolię, liczącą sześć i pół miliona mieszkańców.

Położone na nizinym pasie wzdłuż zachodniego zbocza Andów, mają zaledwie czterdzieści jeden milimetrów opadów atmosferycznych rocznie, tkwią zatem w centrum pustynnego obszaru, zaliczanego do najsuchszych i najchłodniejszych miejsc pod tymi szerokościami. Wilgoć zawarta w zimowych mgłach pozwala utrzymać się przy życiu cieniutkiej warstwie przyziemnej roślinności i karłowatym drzewom mesquite; jedynym, poza nadmiernie wilgotnym powietrzem, źródłem wody są spływające z Andów nieliczne strumienie i rzeka Rimac.

Po opłynięciu północnego cypla San Lorenzo, dużej przybrzeżnej wyspy osłaniającej naturalny port Callao, kapitan Stewart polecił zmniejszyć prędkość, do burty „Głębarka” podeszła bowiem portowa motorówka z pilotem, który wspiął się po drabince wejściowej na pokład; gdy już bezpiecznie wprowadził statek w kanał portowy, komendę na mostku przejął ponownie kapitan Stewart i zręcznie przybił „Głębarkiem” do pirsu głównego terminalu pasażerskiego, gdzie pod czujnym kapitańskim okiem zarzucono liny cumownicze na wielkie zardzewiałe pachołki. Stewart wyłączył automatykę pokładową i zadzwonił do pierwszego mechanika, informując, iż maszynownia chwilowo nie będzie mu potrzebna.

Stojący rzędem przy relingu naukowcy i marynarze stwierdzili z niemałym zaskoczeniem, że na pirsie kłębi się tysięczny tłum; kiedy spuszczone trap, zaczęli się ku niemu przepychać żandarmi wojskowi, policjanci, obecni w znacznej sile, oraz przedstawiciele ekip telewizyjnych i fotoreporterzy prasowi. Za ludźmi z mass mediów stała grupka uśmiechniętych oficjeli, za nią zaś - radośnie wymachujący rękoma rodzice studentów archeologii.

- No i znów żadna kapela nie gra „Czekając na Roberta E. Lee” - stwierdził Pitt

tonem udawanego rozczarowania.

- Nic tak człowieka nie wyrzywa z depresji jak hołdy tłumów - uznał Giordino.

- Nie spodziewałam się takiej frekwencji - wymruczała z podziwem Shannon. -

Nie do wiary, jak szybko roznoszą się wieści.

Miles Rodgers ujął jeden z trzech aparatów, które miał zawieszane na szyi, i zaczął trzaskać zdjęcia.

- Wygląda mi na to, że stawiała się połowa rządu peruwiańskiego - zauważył.

W porcie panowała atmosfera podniecenia: dzieci wymachiwały flagami USA i Peru, a gdy na noku mostka ukazali się studenci i widząc rodziców, zaczęli pozdrawiać ich okrzykami i gestami, rozległ się ogłuszający ryk tłumu. Jedyne Stewart nie sprawiał wrażenia człowieka szczęśliwego.

- Dobry Boże - powiedział - mam nadzieję, że nie szykują się wszyscy do ataku na mój statek.

- Zbyt wielu tych piratów, żebyśmy zdołali ich odeprzeć - stwierdził Giordino, wzruszając ramionami. - Lepiej spuść banderę i błagaj o zmiłowanie.

- A nie mówiłem, że moi studenci pochodzą z wpływowych rodzin? - zakwiliła radośnie Shannon.

Niedostrzeżony przez tłum, niski okularnik z neseserem w dłoni przecisnął się przez gęstwą ciał, z wprawą przemknął pomiędzy ogniwami kordonu i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, po wciąż opuszczonym trapie wpadł na pokład; uśmiechnięty, z miną piłkarza, który po długim solowym rajdzie strzelił gola, podszedł do Pitta i Giordina.

- Czyżby skromność i umiar nie mieściły się w bezgranicznym spektrum waszych przymiotów? - zapytał.

- Staramy się nie podawać tyłów wobec opinii publicznej - odparł Pitt, a potem uśmiechnął się szeroko i wziął małego człowieczka w objęcia. - Miło cię widzieć, Rudi.

- Chyba nie ma na świecie miejsca, gdzie człowiek mógłby cię mieć z głowy - dodał serdecznie Giordino.

Rudi Gunn, zastępca dyrektora naczelnego NUMY, uścisnął dłoń Stewarta, a potem został przedstawiony Shannon i Rodgersowi.

- Czy państwo mi wybaczą, jeśli jeszcze przed ceremonią powitalną zaanektuję na chwilę tych dwóch łotrzyków? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, zniknął w korytarzu. Maszerując jak po nitce - w czym nie było nic dziwnego, ponieważ, praktycznie rzecz biorąc, współprojektował „Głębarka” - Gunn dotarł do sali

konferencyjnej i zajmąwszy stanowisko u szczytu stołu, wyciągnął z nesesera wypełniony notatkami skoroszyt. Pitt i Giordino zasiedli na obitych skórą krzesłach.

Jakkolwiek i Giordino, i Gunn byli mężczyznami bardzo niewielkiego wzrostu, mieli ze sobą najwyżej tyle wspólnego, co buldog z gibbonem; Giordino przypominał ruchomy kłębek mięśni, Gunn natomiast - smukłą pensjonarkę, Giordino był szcwanym, oblatanym bystrzakiem, Gunn zaś - geniuszem pierwszej wody, prymus w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej, mógł bez trudu sięgnąć po najwyższe sztabowe godności, w stopniu komandora przeszedł jednak w stan spoczynku, przedkładając pokojową sztukę badania głębin, jaką zaproponowała mu NUMA, nad sztukę morskiej wojaczki, ślepy jak kret, spoglądał na świat przez grube szkła w rogowych oprawkach, w promieniu wszakże dwustu metrów od siebie dostrzegał najmniejszy ruch.

Pierwszy odezwał się Pitt.

- Co to za pośpiech z wysyłaniem mnie i Ala do tej parszywej dziury, żeby wydobyć zwłoki?

- Dostaliśmy prośbę od służb celnych. Zwróciły się bezpośrednio do admirała Sandeckera, żeby wypożyczył im najlepszych ludzi.

- W tym gronie ciebie.

- Mogłem się z łatwością wymigać, argumentując, że sprawy, którymi się obecnie zajmuję, staną w miejscu, jeśli spuszczę z nich oko. Admirał bez wahania wysłałby wtedy kogoś innego... Aliści jaskółeczki przyniosły wieść o waszym małym, nie uzgodnionym z kierownictwem firmy pomysle poszukiwania w dżunglach Ekwadoru zaginionego galeonu.

- Hiram Yaeger - stwierdził w przebłysku olśnienia Pitt. - Powiniennem był pamiętać, że prawdziwi z was braciszku James.

- Ponieważ nie potrafiłem się oprzeć kuszącej perspektywie zrezygnowania z Waszyngtonu na rzecz szczypty przygody połączonej z interesami, ohotniczo wzięłem na siebie czarną robotą powiadomienia was o fusze zadanej przez służby celne.

- Chcesz powiedzieć, że wcisnąłeś Sandeckerowi kit, który pozwolił ci wymknąć się z miasta? - zapytał Pitt z niedowierzaniem.

- Na szczęście wszystkich zainteresowanych, admirał nie ma pojęcia o poszukiwaniach galeonu. Przynajmniej na razie.

- To nie potrwa długo - stwierdził Pitt. - Przypuszczalnie już jest na tropie.

Gunn nonszalancko machnął ręką.

- Wy dwaj jesteście kryci. Dziękujcie Bogu, że macie do czynienia ze mną, nie zaś jakimś biednym kretynem, kompletnie nieświadomym, na co was stać. Chcę powiedzieć, że jakikolwiek inny biurokrata z NUMY mógłby po prostu przecenić wasze możliwości.

- I my nazywamy tego faceta przyjacielem. - Giordino skrzywił się z niesmakiem.

- Jakie szczególne usługi może wyświadczyć NUMA służbom celnym? - zapytał Pitt.

Gunn rozłożył na stole w wachlarz plik papierzyk.

- Problem jest skomplikowany, ale, najogólniej biorąc, dotyczy grabieży starożytnych dzieł sztuki.

- Czy to przypadkiem nie zanadto w bok od naszych, że tak powiem, statutowych obszarów zainteresowania, czyli badań podwodnych i studiów oceanograficznych?

- Niszczenie w imię rabunku podwodnych stanowisk archeologicznych bez wątpienia jest czymś, co nas interesuje - odparł z przekonaniem Gunn.

- Gdzie w tym całym układzie mieści się wydobywanie zwłok doktora Millera?

- To zaledwie pierwszy krok w naszej współpracy ze służbami celnymi, dla których zabójstwo antropologa o światowej sławie jest fundamentem dochodzenia. Podejrzewają, iż mordercą jest wysoko postawiony członek międzynarodowego syndykatu łupieżców, potrzebują zatem dowodów, aby go oskarżyć. Mają również nadzieję, iż morderca okaże się kluczem, który otworzy drzwi wiodące do centrali tego złodziejsko-przemyticznego przedsiębiorstwa. Co się zaś tyczy samej studni ofiarnej, to zarówno nasze służby celne, jak i Peruwiańczycy podzielają przekonanie, iż wydobyto już z niej całą masę artefaktów, które - przemycone poza granice Peru - trafiły na światowy czarny rynek. Miller wpadł na trop kradzieży i został zmuszony do milczenia. Chodzi więc o to, żebyście z Alem poszukali w studni dowodów.

- A nasz plan dotyczący zaginionego galeonu?

- Jeśli zadowolająco wywiążecie się z pierwszego zadania, wydzielę wam z konta NUMY niewielki fundusz na przeprowadzenie poszukiwań. Macie to jak w banku.

- A jeśli admirał postawi cię pod murem? - zapytał Giordino.

Gunn wzruszył ramionami.

- Jest moim szefem tak samo jak waszym. Jako stary marynarz, wypełniam

rozkazy.

- Ja natomiast, jako stary lotnik, pieprzę je w bambus - zareplikował Pitt.

- Będziemy się martwić, kiedy nadejdzie czas - rzekł Giordino. - Najpierw wykreślmy z naszego kalendarzyka nurkowanie w studni.

Pitt zaczerpnął głęboko powietrza i rozparł się na krześle.

- Właściwie można zrobić coś pożytecznego, póki Yaeger i Perlmutter prowadzą swoje studia. Kiedy wyleziemy wreszcie z dżungli, powinni mieć jakieś konkretne tropy.

- Jeszcze o jedno proszą agenci celni - powiedział Gunn.

- Czego, do cholery, im się zachciewa? - gniewnie zapytał Pitt. - Nurkowania po suweniry, rzucone za burtę przez turystów, którzy zlekli się kontroli celnej?

- Nic w tym stylu - odparł cierpliwie Gunn. - Nalegają, żebyście wrócili do Pueblo de los Muertos.

- Muszą uważać, że zabytkowe skorupy moknące na deszczu kwalifikują się jako obiekty archeologii podwodnej - zauważył jadownicę Giordino.

- Jest im do zarżnięcia potrzebna niewielka inwentaryzacja.

- Artefaktów w świątyni? - zapytał z niedowierzaniem Pitt. - Liczą na katalog z indeksem? W ruinach, kiedy już najemnicy skończyli rozwalać świątynię, musiało zostać do tysiąca obiektów. Potrzebują pomocy archeologów, nie zaś oceanografów.

- Peruviańska Policja Śledcza ustaliła, prowadząc dochodzenie na miejscu, że rychło po waszej ucieczce ze świątyni wywieziono większość przedmiotów. Inspektorzy celni potrzebują ich opisów, aby móc zidentyfikować artefakty, jeśli wypłyną na aukcjach, w prywatnych zbiorach, galeriach czy też co bogatszych muzeach różnych krajów. Mają nadzieję, że powrót na miejsce przestępstwa odświeży wam pamięć.

- Wydarzenia toczyły się zbyt szybko, żebyśmy mogli podziwiać dzieła sztuki.

Gunn pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Ale pewne obiekty na pewno utkwily wam w pamięci, szczególnie te najciekawsze. Co powiesz, Al?

- Byłem zajęty myśzkowaniem wśród ruin w poszukiwaniu radiostacji - odparł Giordino. - Nie miałem czasu się przyglądać.

Pitt przez chwilę masował sobie skronie.

- Może zdołałbym przypomnieć sobie piętnaście czy dwadzieścia co niezwyklejszych sztuk.

- Mógłbyś je naszkicować?

- Marny ze mnie artysta, ale chyba potrafię machnąć względnie realistyczne rysunki. Nie musimy jednak wracać w tym celu do świątyni. Równie dobrze dam sobie radę, siedząc w leżaku nad hotelowym basenem.

- Zupełnie sensowne rozwiązanie - uznał radośnie Giordino.

- Nie - zaproponował Gunn - wcale nie sensowne. Wasza misja ma drugie dno. Kiszki mi się wprawdzie skręcają na tę myśl, ale oto zostaliście, parką cholernych podtatusiałych rozrabiaczy, bohaterami narodowymi Peru, w związku z czym, oprócz służb celnych, ma na was pomysł Departament Stanu.

Giordino popatrzył na Pitta przeciągle.

- Dowód na prawdziwość kolejnego punktu z dekalogu praw Giordina. „Każdy, kto ochotniczo rusza na ratunek, wcześniej czy później sam staje się ofiarą”.

- Co ma Departament Stanu do naszej wycieczki? - zapytał Pitt.

- W wyniku południowoamerykańskiego traktatu o wolnym handlu, cały przemysł naftowy i wydobywczy został sprywatyzowany, a kilka naszych firm finalizuje obecnie negocjacje z Peruwianczykami dotyczące współpracy w eksploatacji bogactw mineralnych. Peru rozpaczliwie potrzebuje zagranicznych inwestycji i zagraniczni inwestorzy są pełni ochoty, aby wejść ze swoimi pieniędzmi. Niemniej jednak w tym świetlanym obrazie istnieje mały haczyk: oto związki zawodowe i opozycja parlamentarna mówią stanowcze „nie” wejściu zagranicznego potencjału ekonomicznego na swoje podwórko. Ocalając życie progenitury wielu miejscowych notabli, może wpłynęliście pośrednio na wynik jakiegoś ważnego głosowania.

- W porządku, a więc palniemy mówkę w lokalnym Klubie Łosi i przyjmiemy świadectwo zasługi.

- To by na krótką metę może i było jakieś rozwiązanie - odparł Gunn - zarówno jednak specjaliści z Departamentu Stanu, jak i członkowie podkomisji Kongresu do spraw Ameryki Łacińskiej żywią przekonanie, że powinniście się tu jeszcze poobijać i przykładając rękę do ukrócenia grabieży kulturowego dziedzictwa Peru, poprawić w oczach tubylców wizerunek parszywych jankesów.

- Innymi słowy, nasz szacowny rząd pragnie wycisnąć co się da z męstwa tudzież wielkoduszności, okazanego przeze mnie i Ala.

- Coś w tym stylu.

- I Sandecker się zgadza.

- To jest zrozumiałe samo przez się. - upewnił go Gunn. - Admirał nigdy nie

traci okazji, aby dopieścić Kongres, jeśli może to doprowadzić do wysupłania większych funduszy na przyszłe przedsięwzięcia NUMY.

- Kto z nami pojedzie?

- Zespołem archeologów będzie kierować doktor Alberto Ortiz z Narodowego Instytutu Kultury w Chiclayo, mając za asystentkę doktor Kelsey.

- Wyprawa bez odpowiedniej ochrony będzie proszeniem się o kłopoty.

- Peruwiańczycy zapewнили nas, że dolina zostanie obstawiona przez doskonale wyszkoloną jednostkę sił bezpieczeństwa.

- Czy jednak godną zaufania? Nie mam ochoty na bis w wykonaniu następnej bandy najemników.

- Ani ja - dodał z mocą Giordino.

Gunn bezradnie rozłożył ramiona.

- Mogę tylko przekazać to, co mi powiedziano.

- Poza tym będziemy potrzebowali lepszego sprzętu niż ostatnio.

- Dajcie mi wykaz, a zajmę się całą logistyką.

Pitt spojrzał na Giordina.

- Czy też odnosisz nieodparte wrażenie, że jesteśmy robieni w konia?

- Jeżeli nie myślę się w rachubie - odparł krępy Włoch - to już po raz sto trzydziesty siódmy z kolei.

Pitt nie miał najmniejszej ochoty na ponowne nurkowanie w studni, otoczonej jakąś niesamowitą aurą i skrywającej w swej głębinie coś złowrogiego. Jej ziejący wlot przywodził mu na myśl rozdziawioną diabelską mordę. Było to irracjonalne skojarzenie, ale kiedy podjął próbę wymazania go z duszy, poniósł fiasko; trwało, wczepione w zakamarki pamięci, jak mętny obraz dawno przeżytego koszmaru.



Dwa dni później, o mniej więcej ósmej rano, przygotowania do zejścia w głąb studni ofiarnej po zwłoki doktora Millera były na ukończeniu. Na widok pokrytej śluzem powierzchni sadzawki cały niepokój wyparował z Pitta, który przecież - choć odrażająca dziura w ziemi wyglądała równie groźnie, jak za pierwszym razem - uszedł z życiem zabójczej fali pływowej, jaką mu zafundowała, i wrócił do świata po urwistych ścianach. Teraz, skoro poznał jej tajemnice, przestała być niebezpieczna, a poza tym to nurkowanie, w przeciwieństwie do przeprowadzonej ad hoc akcji ratunkowej, miało zaplecze w najnowocześniejszym sprzęcie i doskonałej organizacji. Gunn, zgodnie z obietnicą, wycarterował dwa śmigłowce i skompletował całe wyposażenie, niezbędne do wykonania misji; jeden dzień zajęło przetrzucenie na stanowisko doktor Kelsey, Milers Rodgersa, pletwonurków, ich ekipy i sprzętu, a wreszcie zaprowadzenie porządku w zdewastowanym obozie. Gunn znany był z tego, że nie tolerował prowizorki, a skoro nie piliły żadne nieprzekraczalne terminy, precyzyjnie, eliminując wszelką przypadkowość, starannie zaplanował każdy etap przedsięwzięcia.

Kiedy lądował pierwszy ze śmigłowców Gunna, był już na miejscu pięćdziesięcioosobowy kontyngent z peruwiańskiej elitarniej formacji do zadań specjalnych. Na ogół wyższym od siebie Amerykanom Latynosi wydawali się maleńcy, mimo jednak dobrotliwych z pozoru twarzących byli bezwzględnyimi wojakami, zahartowanymi w trwających od wielu lat walkach, jakie w dżunglach i na przymorskich pustyniach toczyli ustawicznie z partyzantami Świetlistego Szlaku. Sprawnie rozciągnęli wokół obozowiska linie obronne i zaczęli patrolować okolice.

- Szkoda, że nie schodzę z wami - powiedziała zza pleców Pitta Shannon.

Dirk Pitt odwrócił się z dobrotliwym uśmiechem.

- A niby po co miałabyś schodzić? Wydobywanie zwłok, podgotowanych w ciepłej, tropikalnej zupie, nie jest doświadczeniem, które skłonny byłbym zaliczyć do kategorii uciesznych.

- Wybacz, nie chciałam, abyś odniósł wrażenie, że jestem pozbawiona ludzkich uczuć - odparła z cieniem smutku w oczach. - Żywiłam wobec doktora Millera najgłębszy podziw. Ale to ta zawodowa częśćka mojej osoby aż się rwie, żeby zbadać dno studni ofiarnej.

- Odpuść sobie nadzieję, że możesz znaleźć tam skarbnicę antyków - pocieszył ją Pitt. - Widziałem jedynie pół hektara mułu, z którego wyrastał truposz

konkwistadora.

- Zgódź się więc przynajmniej, żeby zanurkował z wami Miles i zrobił fotograficzną dokumentację.

- Po co ten pośpiech?

- W trakcie wydobywania zwłok możecie z Alem poruszyć osady denne i zmienić położenie artefaktów.

- I ty uważasz to za ważniejsze niż potraktowanie z szacunkiem zwłok doktora Millera? - Pitt spojrział na nią z autentycznym niedowierzaniem.

- Doktor nie żyje - odparła rzeczowo. - Archeologia zaś, jak sam nauczał, jest bardzo wymagającą nauką, związaną z przedmiotami nieożywionymi: najmniejsza nieostrożność może wypaczyć sens ważnych znalezisk.

Pitt zaczął dostrzegać bezwzględny profesjonalizm Shannon.

- Kiedy wydobędziemy szczątki Millera, będziecie sobie mogli z Milesem nurkować po artefakty, ile dusza zapagnie. Tylko uważajcie, żeby znowu nie wessało was do groty.

- Jeden taki numer to aż za dużo - odparła z nieznacznym uśmiechem. Potem na jej twarzy odmalowała się troska. - Uważaj na siebie i nie ryzykuj.

Lekko pocałowała Pitta w policzek, odwróciła się i pospieszyła w stronę swojego namiotu. Zejście do wody przebiegało gładko dzięki niewielkiemu wysięgnikowi z napędzaną silnikiem wciągarką, której obsługę czujnym okiem śledził Rudi Gunn. Metr nad powierzchnią Pitt zwolnił zatrząsk, mocujący go do liny, i chlupnął w zieloną zupę; była tak ciepła, jak tego oczekiwał, w jego wspomnieniach jednak cuchnęła znacznie słabiej.

Przekreślił się na wznak i unosząc się w śluziastej brei, czekał, aż na dół zjedzie Giordino. Pełna maska Pitta była podłączona do przewodu komunikacyjnego, Giordino wszakże nurkował swobodnie i był zdany na sygnalizację, przekazywaną gestami przez Pitta; przez warstwę glonów schodzili ramię w ramię, żeby się nie pogubić - potem, na głębokości czterech metrów, znaleźli się w krystalicznie czystej otchłani i oto z niebytu zmaterializowało się i pospieszyło im na spotkanie muliste dno, usiane tu i ówdzie kawałkami skał. Dwa metry ponad nim, na znak dany przez Pitta, obaj znieruchomieli; ostrożnie, żeby nie wzniecić ilastej chmury, Pitt wbił w podłoże stalowy pręt, przymocowany do zwoju nylonowej linki.

- Jak wam idzie? - rozległo się w słuchawkach pytanie Gunna.

- Dotarliśmy do dna i zaczynamy po okręgu szukać zwłok - odparł Pitt,

zaczynając wydawać linkę.

Z pomocą kompasu ustalił kierunki, a potem, coraz szerszym promieniem, jął w towarzystwie Giordina - który sunął nieco w bok i z tyłu od niego - opływać metalowy pręt, służący jako nóżka cyrkla: niebawem w przezroczystej płynnej otchłani spostrzegli szczątki doktora Millera.

W ciągu tych kilku dni, jakie minęły od pierwszej wizyty Pitta w sadzawce ofiarnej, ich stan zdecydowanie się pogorszył, a z odkrytych miejsc najwyraźniej poodpadały kawałeczki ciała. Pitt nie potrafił odgadnąć przyczyn tego przyspieszonego rozkładu, dopóki ni stąd, ni zowąd do twarzy trupa nie przypadła kropkowana lśniąca rybka rozmiaru małego pstrąga, by łapczywie wgrzyźć się w oko. Pitt machnięciem ręki odpędził pokrytego łuskami padlinożercę, zadając sobie pytanie, w jaki sposób trafił do tej skrytej wśród dżungli otchłannej studni.

Potem dał towarzyszowi znak i Giordino z pakunku przymocowanego na piersiach wydobył worek z podgumowanej tkaniny. Rozkładające się zwłoki wcale pod wodą nie cuchną, taka przynajmniej panuje opinia. Może w grę wchodziła tu nadaktywność wyobraźni, Pitt jednak i Giordino nie mogli oprzeć się wrażeniu, iż odór śmierci przenika do ich aparatów oddechowych i wraz z powietrzem wdziera się do nozdrzy i płuc. Bzdura, rzecz oczywista, niech jednak ktoś spróbuje o tym przekonać członków ekip ratowniczych, mających do czynienia z topielcami, macerowanymi w wodzie przez długie tygodnie.

W największym pośpiechu, na jaki potrafili się zdobyć, bez jednej chwili poświęconej zbadaniu zwłok, naciągnęli na nie wór, usiłując przy okazji nie wzniecić mulistej chmury; muł wszakże nie był skłonny do współpracy i zamek błyskawiczny zasuwali już w egipskich ciemnościach, pilnując po omacku, by nie przyciąć gnijącego ciała. Kiedy uporali się z odrażającą robotą, Pitt zameldował:

- Zwłoki zapakowane, możemy wychodzić.

- Przyjąłem - odparł Gunn. - Spuszczam zawieszę z noszami.

Pitt uchwycił w ciemnościach ramię Giordina, dając mu znak, że czas ruszać w górę; kiedy po chwili wspólnym wysiłkiem wyholowali wór z ciałem doktora Millera na powierzchnię, ostrożnie nasunęli go na nosze i przypięli pasami, a Pitt poinformował Gunna:

- Gotowe, ciągnijcie.

Obserwując, jak nosze ulatują ku krawędzi studni ofiarnej, Pitt pomyślał z żalem, że wolałby poznać prawdziwego Millera zamiast oszusta, który się pod niego

podszycwał. Szanowany antropolog zginął, nie mając pojęcia, dlaczego ginie... zbir, który poderżnął mu gardło, w żaden sposób nie uzasadnił swojego uczynku, a zresztą nie mógł go uzasadnić, skoro popełniał bezsensowną zbrodnię tylko w imię zaspokojenia swoich morderczych instynktów. Biedny doktor Miller stał się po prostu pionkiem strąconym w grze, której stawką były bezcenne dzieła sztuki, a liczącymi się graczami - ich złodzieje. Do zrobienia nie pozostawało nic więcej. Pitt i Giordino, dla których akcja wydobywania zwłok dobiegła już końca, mogli teraz tylko czekać, aż lina wciągarki ponownie zjedzie na dół. Giordino pytająco spojrzął na Pitta, wypluł ustnik i napisał na tabliczce:

„Wciąż mamy dużo powietrza. Może byśmy trochę poniuchali, czekając na windę?”.

Pittowi sugestia mocno trafiła do serca. Niemy w swej pełnej masce, odpisał:

„Trzymaj się blisko i łap mnie, gdyby uderzyła fala”. Potem palcem pokazał na dół.

Giordino kiwnął głową, podpłynął do Pitta, po czym zanurkowali jak na komendę i pracując płetwami ruszyli ponownie w stronę dna. Pitta zastanawiał brak w mule jakichkolwiek artefaktów. Kości - tak, tych była obfitość, ale półgodzinne myszkowanie nad dnem nie doprowadziło do odkrycia żadnych zabytkowych przedmiotów oprócz pancerza, okrywającego kościotrupa, i porzuconego przez Pitta sprzętu, który był zdecydowanie świeższej daty. Na odszukanie konkwistadora potrzebowali zaledwie dwóch minut: tkwił na dotychczasowym stanowisku, wskazując kościstym palcem miejsce, gdzie jeszcze parę chwil temu spoczywały zwłoki doktora Millera. Pitt opłynął pancernego Hiszpana, uważnie mu się przypatrując; jednocześnie kątem oka szukał śladów poruszenia na ilastym dnie, które mogłoby zasygnalizować budzenie się do życia tajemniczego prądu. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że każdy jego ruch śledzą puste oczodoły, wyszczerzone zaś zęby ślą mu uśmiezek kpiący i kuszący zarazem. Przesączający się przez warstwę glonów blask słońca malował kościotrupa widmową zielenią. Płynący w pobliżu Giordino przyglądał się Pittowi z mieszaniną zaciekawienia i nonszalancji, nie mając bladego pojęcia, co w takim stopniu kumpla zafascynowało. Stare gnaty nie interesowały Giordina i nawet liczący sobie pięć stuleci konkwistador był dlań istotny jedynie o tyle, o ile ewentualnie wzbudzi gniew Shannon Kelsey, kiedy ta dowie się ze zgrozą, iż naruszono spokój stanowiska archeologicznego, zanim je zdołała zbadać. Podobne uczucia były całkowicie obce Pittowi, który zaczynał żywić przekonanie, iż szkielet jest

elementem obcym. Potarł palcem o półpancerz, zdzierając cienką warstewkę rdzy - i ujrzał gładki, nie skorodowany, wolny od wżerów metal. Również rzemienie i zapinki, służące do mocowania zbroi, były zachowane nad podziw dobrze: sprawiały najwyżej takie wrażenie, jakby w kufrze na strychu przeleżały jedno czy dwa pokolenia.

Pitt odpłynął o kilka metrów, wyciągnął z mułu pierwszą lepszą kość - piszczel, sądząc po kształcie - a następnie wrócił do szkieletu i przyłożył ją do wyciągniętego ramienia; była, w porównaniu z nim, chropawa i silnie zabarwiona rozpuszczonymi w wodzie minerałami. Następnie zbadał - również będące w doskonałym stanie - uzębienie konkwistadora, znajdując w zębach trzonowych dwie duże srebrne plomby. Pitt nie był specem od szesnastowiecznej stomatologii, wiedział jednak, że wypełnienia i mostki zaczęto w Europie stosować dopiero pod koniec osiemnastego wieku.

- Rudi? - powiedział do mikrofonu.

- Jestem - odparł Gunn.

- Spuść na dół linę. Chcę coś wyciągnąć.

- Daję linę z niewielkim obciążeniem.

- Spróbuj wycelować w miejsce, gdzie widzisz nasze bąble.

- Zrobi się. - Nastąpiła krótka pauza, a kiedy w słuchawkach Pitta rozległ się ponownie głos Gunna, brzmiało w nim lekkie rozdrażnienie. - Twoja przyjaciółka robi piekło. Powiada, że niczego nie macie prawa dotykać.

- Wyobraź sobie, że jest na Księżycu i spuszcza linę.

- Ale naprawdę piekli się jak Furia - odparł nerwowo Gunn.

- Albo rzucaj linę, albo babę - warknął nieustępliwie Pitt.

Parę chwil później z zielonkawej otchłani zmaterializował się przyczepiony do nylonowej linki stalowy hak i osiadł na mulistym dnie w odległości dwóch metrów od płetwonurków. Giordino machnął płetwami, podjął hak, wrócił i podał go Pittowi; Pitt, z delikatnością kieszonkowca wyjmującego ofierze portfel, przeciągnął linkę pod rzemiennym trokiem mocującym napierśnik i zaczepił ją o grot haka. Potem spojrział na Giordina i wskazał kciukiem powierzchnię; Giordino skłonił głowę, stwierdzając z niejakim zaskoczeniem, że Pitt pozwala opaść lince na dno, chwilowo pozostawiając szkielet na miejscu.

Jeden po drugim zostali wyciągnięci ze studni ofiarnej, Żeglując ku niebu, Pitt spojrział w dół i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie da się namówić na nurkowanie w tej śluziastej brei. Gdy dotarł na górę, Gunn ściągnął go na stały grunt i pomógł zdjąć

maskę.

- Dzięki Bogu, że wróciłeś - oznajmił. - Ta wariatka groziła, że odstrzeli mi jajka.

- Nauki Pitta nie poszły w las. - Giordino parsknął śmiechem. - Dziękuj niebiosom, że nie nazywasz się Amaru.

- Co... o czym on mówi?

- A, to z zupełnie innej bajeczki - odparł Pitt, delektując się kolejnym haustem wilgotnego górskiego powietrza.

Wyłuskiwał się ze skafandra, kiedy Shannon dopadła go z wściekłością niedźwiedzicy grizzly, której uprowadzono małe.

- Ostrzegałam cię, żeby nie ruszać żadnych artefaktów - powiedziała z mocą.

Pitt wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a w jego zielonych oczach malowała się niezwykła łagodność i zrozumienie.

- W gruncie rzeczy nie miałem czego ruszać - powiedział wreszcie. - Ktoś cię uprzedził. Wszelkie artefakty, które były w twojej studni ofiarnej kilka miesięcy temu, zniknęły jak sen złoty. Na dnie poniewierają się tylko gnaty zwierząt i ofiar, jakie składano tu z ludzi.

Popatrzyła nań z niedowierzaniem w swych nagle zaokrąglonych orzechowych oczach.

- Jesteś tego pewien?

- Żądasz dowodów?

- Mamy własny sprzęt. Zejdę na dno i przekonam się na własne oczy.

- To nie jest konieczne - stwierdził.

Odwróciła głowę do Milera Rodgersa:

- Wskakujemy w ciuchy! - zawołała.

- Zaczynj grzebać się w mule, a bankowo zginiesz - powiedział Pitt z emocjonalnym zaangażowaniem profesora fizyki, wyjaśniającego słuchaczom działanie dźwigni jednostronnej.

Shannon nie słuchała Pitta, lecz Rodgers nie puszczał jego słów mimo uszu.

- Może jednak weźmiemy pod uwagę to, co Dirk ma nam do powiedzenia.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak złośliwość, z mojego punktu widzenia jednak Pitt nie jest żadnym autorytetem.

- A jeśli ma rację?

- Dość się wyczekałam, żeby zbadać dno studni. Niewiele brakowało, a

rozstabilibyśmy się z życiem, usiłując wydrzeć jej tajemnicę. Po prostu nie mogę uwierzyć, że nie jest wehikułem czasu, który zebrał bezcenne obiekty z rozmaitych epok.

Pitt ujął w dłoń linę, spływającą ku powierzchni sadzawki.

- Tu masz dowód. Pociągnij, a daję stuprocentową gwarancję, że zmienisz zdanie.

- Do czego przywiązałeś drugi koniec? - spytała zaczepnie.

- Do kupy gnatów, udających hiszpańskiego konkwistadora.

- Skąd się biorą egzemplarze takie jak ty? - zapytała bezradnie.

Od dawna żadna kobieta nie obdarzyła go podobnym spojrzeniem.

- Sądysz, że jestem szajbnięty? Uważasz, że mnie to wszystko bawi? Mam po uszy pilnowania całości twojej dupci - odparł ze znużeniem. - Chcesz na raty wędrować do wieczności w tysiącach kawałeczków? Dobra, miłej podróży!

Na twarzy Shannon odmalowała się niepewność.

- Gadasz bez sensu.

- Może oświeci cię mała demonstracja. - Pitt ostrożnie naprężył linę, a potem mocno ją szarpnął.

Przez chwilę nic się nie działo, później jednak w głębiach studni ofiarnej narodził się pomruk, spotęźniał, a wreszcie nabrał takiej mocy, że posłał dreszcz przez wapienne urwiska i wyrzucił w niebo słup białej piany zmieszanej z zielonkawym śluzem, który jak kaskada opadł na ziemię, ochlapując wszystkich w promieniu dwudziestu metrów od krawędzi sadzawki. Grzmot wybuchu przetoczył się nad dżunglą, a chociaż kolumna spienionej wody majestatycznie osunęła się w głąb kamiennego szybu, pozostał po niej tuman mgły, który wędrując spiralnie ku niebu, na jakiś czas przesłonił słońce.

Przemoczona Shannon spoglądała na swoją ukochaną sadzawkę ofiarną z miną człowieka, który nie potrafi podjąć decyzji, czy zwymiotować, czy nie. Wszystkie zresztą osoby wokół krawędzi studni skamieniały, ogarnięte szokiem, i tylko Pitt sprawiał takie wrażenie, jakby oto był świadkiem zdarzenia najzupełniej banalnego.

Po chwili niedowierzanie zaczęło w oczach Shannon ustępować miejsca zrozumieniu.

- Skąd wiedziałeś, na rany boskie...

- Że jest tam bomba pułapka? - dokończył za nią Pitt. - Nie trzeba było na to wielkich umiejętności dedukcyjnych. Ktoś, kto pod szkieletem zagrzebał co najmniej czterdzieści pięć kilo materiałów wybuchowych, popełnił dwa poważne błędy. Po pierwsze: wyczyścił dno studni ze wszystkich staroci oprócz tej, która najbardziej rzucała się w oczy. Po drugie: kości nie mogły sobie liczyć więcej niż pięćdziesiąt lat, zbroja zaś nie porzewiała na tyle, aby mogło to świadczyć o czterowiekowym pobycie pod wodą.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - zapytał w oszołomieniu Rodgers.

- Ten sam człowiek, który zamordował doktora Millera - odparł Pitt.

- Oszust?

- Raczej Amaru.

- Facet, który zajął miejsce Millera, nie życzył sobie - przynajmniej dopóki nie zakończą czyszczenia Miasta Zmarłych - jakiegokolwiek nagłośnienia sprawy i śledztwa, przeprowadzanego przez władze peruwiańskie. Solpemachaco obrabowało studnię ofiarną na długo przed waszym przybyciem. Dlatego właśnie oszust wysłał wezwanie o pomoc, kiedyście z Shannon przepadli w sadzawce. Chodziło o to, aby wasza śmierć sprawiała wrażenie przypadkowej. Wprawdzie miał sporą pewność, że zostaniecie przez falę pływową wessani do groty, zanim zdążacie zbadać dno i ustalić, że artefakty zniknęły, na wszelki wypadek jednak spuścił w głąb sadzawki fałszywego konkwistadora z bombą pod kościstym zadkiem.

- A więc - stwierdziła Shannon ze smutkiem i rozczarowaniem - wszystkie zabytki zginęły.

- Może chociaż trochę pocieszy cię świadomość, że zginęły wprawdzie, lecz nie zostały zniszczone - powiedział Pitt.

- Wypłyną - zasugerował tonem pocieszenia Giordino. - Przecież nie mogą po wieczność tkwić w zbiorach jakiegoś dzianego faceta.



- Nie rozumiesz dyscypliny badań archeologicznych - odparła bezbarwnie Shannon. - Żaden naukowiec nie zdoła prawidłowo przebadac artefaktów, dokonać ich klasyfikacji i przypisać takiej czy innej kulturze, jeśli nie będzie precyzyjnie wiedział, skąd zostały wydobyte. Teraz nie dowiemy się niczego o ludzie, który kiedyś tu żył i wznosił miasto. Nieodwracalnie utraciliśmy ogromne archiwum, sondę zapuszczoną w głąbiny przeszłości.

- Przykro mi, że wasze wysiłki i nadzieje mają tak smętny finał - powiedział z przekonaniem Pitt.

- Smętny? Tak - odparła z rezygnacją. - Chociaż bardziej na miejscu byłoby określenie „tragiczny”.

Rudi Gunn wrócił od śmigłowca, który miał dostarczyć zwłoki doktora Millera do kostnicy w Limie.

- Wybacz, że przeszkadzam - powiedział do Pitta. - Nic tu już po nas. Sugeruję, żebyśmy zwinęli majdan, załadowali się do śmigłowca i polecieли na randkę z doktorem Ortizem w Mieście Zmarłych.

Pitt skinął głową i popatrzył na Shannon.

- No to co, ruszymy chyba na spotkanie z następną katastrofą, jaką zafundowali nam rabusie?

Doktor Alberto Ortiz był szczupłym żylastym facecikiem po siedemdziesiątce, ubranym w białą płócienną koszulę i spodnie; siwe obwisłe wąsy sprawiały, że przywodził na myśl zdjęcie jakiegoś podstarzałego meksykańskiego bandido z listu gończego. W dodatku - jak gdyby niespójność wyrazu stanowiła jego znak firmowy - stojąc opodal lądowiska dla śmigłowców w swej opasanej barwną wstążką panamie i drogich sandałach od Gucciego czy Baty, dzierżył w dłoni wysmukłą oszronioną szklaneczkę z drinkiem. Hollywoodzki spec do obsady, szukający odtwórcy roli typowego opierdalacza z okolic Mórz Południowych, byłby zapewne uznał, że doktor Ortiz stuprocentowo spełnia jego oczekiwania. W każdym razie nie odpowiadał wyobrażeniom Pitta i Giordina na temat najwybitniejszego peruwiańskiego specjalisty od starożytności. Przełożywszy szklanicę do lewej dłoni, radośnie wyciągnął prawą i z uśmiechem pospieszył na spotkanie nowo przybyłym.

- Wcześniej przylecieliście, panowie - oświadczył ciepło w prawie nienagannej angielszczyźnie. - Spodziewałem się was dopiero za dwa albo trzy dni.

- Przedsięwzięcie doktor Kelsey nieoczekiwanie dobiegło końca - odparł Pitt, ściskając mocną, sękatą dłoń Peruwiańczyka.

- Czy towarzyszy panom doktor Kelsey? - zapytał Ortiz, próbując sięgnąć wzrokiem ponad szerokimi barami Pitta.

- Zjawi się jutro z samego rana. Napomknęła, że chce poświęcić popołudnie na obfotografowanie kamiennego ołtarza obok studni. - Pitt lekko skłonił głowę, a potem skinął w stronę kompanów. - Nazywam się Dirk Pitt, a to Rudi Gunn i Al Giordino. Jesteśmy z Państwowej Agencji Badań Podwodnych.

- Witam panów z ogromną przyjemnością. Dziękuję Bogu, że mam okazję osobiście wyrazić wam wdzięczność za uratowanie naszych młodych ludzi.

- Cóż za frajda widzieć znowu stare kąty - stwierdził Giordino, omiatając spojrzeniem wyszczerbione mury świątyni.

Ortiza rozweselił wyraźny brak entuzjazmu w jego głosie.

- Nie sądzę, abyście panowie mieli zbyt miłe wspomnienia z poprzedniej wizyty.

- Nie obrzucono nas kwiatami, to trzeba przyznać.

- Gdzie mamy rozstawić namioty, panie doktorze? - zapytał Gunn.

- Ależ to całkowicie zbędne - odparł Ortiz, błyskając spod wąsa białymi zębami.

- Moi ludzie uprzątnęli grobowiec, należący niegdyś do bogatego kupca. Jest przestronny i suchy nawet podczas ulewy. Nic w rodzaju czterogwiazdkowego hotelu, rzecz jasna, ale wygodny.

- Mam nadzieję, że pierwotny właściciel nie został zamieciony do kąta - stwierdził powściągliwie Pitt.

- W żadnym razie - odrzekł Ortiz, biorąc jego słowa za dobrą monetę. - W gorączkowym poszukiwaniu artefaktów rabusie uprzątnęli jego kości.

- Moglibyśmy skorzystać z tej budowli, gdzie bandziory miały swoją kwaterę główną - zasugerował Giordino, łasy na lepsze warunki mieszkaniowe.

- Przykro mi, ale urządziliśmy tam nasze centrum operacyjne.

Giordino oskarżycielsko wycelował palec w Gunna.

- A nie mówiłem, żebyś zawczasu zrobił rezerwację?

- Chodźmy, panowie - zaproponował radośnie Ortiz. - W drodze na kwaterę oprowadzę was po Pueblo de los Muertos.

- Którego mieszkańcy musieli brać przykład ze słoni - zauważył Giordino.

- Nie, nie. - Ortiz parsknął śmiechem. - Czaczapojowie nie przybywali tu, aby umrzeć. Było to, wedle ich przekonania, uświęcone grzebalne miejsce, a zarazem przystanek w drodze do następnego życia.

- A więc nikt tu nie mieszkał? - zapytał Gunn.

- Tylko kapłani i robotnicy, którzy wznosili grobowce. Nikt inny nie miał tu wstępu.

- I jedni, i drudzy mieli pełne ręce roboty - stwierdził Pitt, spoglądając na labirynt grobowców w dolinie i na pieczary grzebalne w zboczu urwiska, które przywodziło na myśl plaster miodu.

- Społeczeństwo czaczapojańskie było silnie rozwarstwione, nie miało jednak, jak Inkowie, arystokracji i rodziny królewskiej - wyjaśnił Ortiz. - Różnymi miastami konfederacji władali wykształceni starostowie i dowódcy wojskowi. To właśnie oni - na równi z zamożnymi kupcami - mogli sobie pozwolić na wznoszenie okazałych mauzoleów, służących jako miejsca wypoczynku pomiędzy jednym żywotem a drugim. Pospólstwo chowano we wnętrzach glinianych posągów grzebalnych, przypominających ludzką sylwetkę.

Gunn z zaciekawieniem popatrzył na archeologa.

- Ładowano zwłoki do posągów?

- Zmarłego usadzano na ziemi z kolanami podsuniętymi pod brodę, a potem obudowywano czymś w rodzaju rusztowania z kijków, które z kolei oblepiano gliną, formując pałubiasty sarkofag. Ostatnim etapem było nadanie twarzy rysów zmarłego. Po wyschnięciu żałobnicy ustawiali posąg w uprzednio wykutej niszy bądź też naturalnej rozpadlinie skalnej.

- Miejscowy grabarz musiał być rozchwytywany - zauważył Giordino.

- Dokładniejsze badanie doprowadzi może do innych konstatacji - powiedział Ortiz - w tej chwili jednak sądzę, iż miasto, a właściwie cmentarz, rozrastało się nieustannie pomiędzy rokiem 1200 a 1500 po Chrystusie. Przepuszczalnie zostało opuszczone wkrótce po rozpoczęciu hiszpańskiej konkwisty.

- Czy również Inkowie grzebali tu swych zmarłych, kiedy już podbili Czaczapojów? - zapytał Gunn.

- Sporadycznie. Znalazłem zaledwie kilka grobowców o typowej późnoinkaskiej architekturze i ornamentyce.

Ortiz poprowadził ich prastarą aleją z kamiennych płyt, wygładzonych przez wieloletnie oddziaływanie żywiołów, i wszedł do grobowca o kształcie wielkiej flaszki, wzniesionego z płaskich skalnych ciosów. Imponująca budowla charakteryzowała się mistrzowskim wykonawstwem i wielką troską o szczegóły, widoczną w brylantokształtnych i zygzakowatych reliefach; wieńczyła ją dziesięciometrowa

okrągła wieżyczka. Wejście, również butelkowatego kształtu, było tak wąskie, że człowiek z trudem mógł się przez nie przecisnąć, z alei prowadziły do niego zakończone wysokim progiem schody, które później schodziły w dół, do komory grzebalnej. Panujący w niej zatechły wilgotny odór uderzał w nozdrza jak pięść. Pitt wyczuwał tu bezcielesną obecność ludzi, którzy uczestniczyli w ceremonii pogrzebowej, a potem zablokowali za sobą drzwi krypty, nawet nie wyobrażając sobie, że stanie się kiedyś, po upływie pięciuset lat, schroniskiem dla żywych...

Posadzka i nisze grzebalne były puste, ze ścian zaś, w połowie wysokości do wznoszącego się stromo, osadzonego na wspornikach sufitu, spoglądały zagadkowe uśmiechnięte oblicza rzeźb rozmiaru półmiska. Niżej sterczały szeregiem węzowe łąby o rozwartych ślepiach i wyszczerzonych kłach; ludzie Ortiza pozawieszali na nich hamaki. Rozłożyli również na posadzce słomiane maty, a nawet przyczepili lustro do gwoźdźcia wbitego w spoinę pomiędzy blokami kamienia.

- Sądzę, że ta budowla, stanowiąca wspaniały przykład architektury Czaczapojów, została wzniesiona około roku 1380 - powiedział Ortiz. - Macie tu wszelkie wygody prócz łazienki. Pięćdziesiąt metrów na południe stąd przepływa jednak górski strumień, który, jestem pewien, zaspokoi panów wymagania higieniczne.

- Dziękujemy, doktorze Ortiz - odparł Gunn. - Pomyślał pan o wszystkim.

- Proszę mi mówić Alberto - powiedział Ortiz, unosząc jedną ze swych krzaczastych białych brwi. Obdarzył Giordina dobrotliwym spojrzeniem. - Sądzę, że nie pogubicie się w mieście.

- Miałem już okazję je zwiedzić - przyznał Giordino.

Po orzeźwiającej kąpieli w lodowatej wodzie strumienia, goleniu i zmianie odzieży na dostatecznie ciepłą, by mogła chronić przed chłodem andyjskiej nocy, ludzie z NUMY powędrowali do kwatery głównej peruwiańskich archeologów. Ortiz powitał ich u wejścia i przedstawił czterem swoim asystentom z Narodowego Instytutu Kultury w Chiclayo, z których żaden nie władał angielskim.

- Co panowie powiecie na drinka przed kolacją? Mam dzin, wódkę, szkocką i pisco, tutejszą czystą brandy.

- Można panu pozaprościć zaopatrzenia - zauważył Gunn.

- Praca na odludziu nie musi oznaczać bezgranicznych wyrzeczeń i klasztornej dyscypliny - odparł ze śmiechem Ortiz.

- Spróbuję tutejszego specjału - stwierdził Pitt.

Gunn i Giordino, nie dzieląc jego badawczego zapału, poprzestali na szkockiej z lodem. Ortiz zaprosił ich gestem, by zasiedli na staroświeckich płóciennych leżakach.

- Czy podczas ataku raketowego artefakty doznały poważnego uszczerbku? - zapytał

Pitt, żeby rozpocząć jakoś rozmowę.

- Rabusie nie pozostawili ich wiele, te jednak, które zostały, są praktycznie całkowicie zniszczone przez walący się gruz. Obawiam się, że nawet intensywne zabiegi konserwatorskie nie zdołają ich ocalić.

- A więc właściwie nie znalazł pan nic?

- Odwalili staranną robotę - odrzekł Ortiz, ze smutkiem kręcąc głową. - Zdumiewające, jak sprawnie wygrzebali z ruin wszelkie nie zniszczone obiekty i umknęli z dobrymi czterema tonami dóbr, zanimśmy zdołali tu dotrzeć i przyłapać ich na gorącym uczynku. Czego z inkaskich miast nie zrabowali hiszpańscy konkwistadorzy i ich świątobliwi ojczulkowie, to później padło rapem tych przeklętych huaqueros. Rozkradają starożytności szybciej, niż armia mrówek ogołaca las.

- Huaqueros? - powtórzył pytającym tonem Gunn.

- Tutejsza nazwa hien cementarnych - wyjaśnił Giordino.

Pitt popatrzył nań z zaciekawieniem.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Człowiek podłapuje rozmaite określonka, kiedy obraca się wśród archeologów. - Giordino wzruszył ramionami.

- Trudno całą winą obarczać huaqueros - powiedział Ortiz. - Ubodzy rolnicy z górskich regionów kraju tracą przez terrorizm, inflację i korupcję te marne grosze, które udaje im się wygrzebać z ziemi, a zatem hurtowa grabież stanowisk archeologicznych jest dla nich jedynym sposobem utrzymania się przy życiu.

- A więc ten proceder ma i swoje dobre strony - stwierdził Gunn.

- Niestety, tym, co pozostaje do zbadania takim archeologom jak ja, są ułamki kości i fragmenty skorup ceramicznych. Potrafią rozbierać całe budowle, pałace czy świątynie, aby później za śmieszne grosze sprzedać elementy ornamentyki. Nie oszczędzają niczego... nawet kamienie ze ścian bywają wykorzystywane jako tani budulec. Architektoniczne piękno wielu historycznych obiektów zostało w ten sposób bezpowrotnie unicestwione.

- Wnioskuje, że proceder ma charakter rodzinny - powiedział Pitt.

- Tak, poszukiwania grobowców trwają od stuleci i przechodzą z ojców na synów. Ramię w ramię pracują starzy i młodzi, bracia, wujowie, kuzyni, stada pociotków. To się stało zwyczajem, tradycją. Całe lokalne społeczności uprawiają polowania na starożytnie skarby.

- Przy czym głównym celem są groby - zasugerował Gunn.

- Tam właśnie ukryto najwięcej bogactw. Skarby starożytnych imperiów szły do ziemi z ich władcami.

- Musieli mocno wierzyć, że potrafią tam zrobić z nich użytek - rzekł Giordino.

- Od neandertalczyków przez starożytnych Egipcjan po Inków kwitła wiara w życie po śmierci - podjął Ortiz. - Nie w reinkarnację, zwróćcie uwagę, panowie, lecz w takie życie, jakie się wiodło na ziemi. Stąd obyczaj zabierania ze sobą do grobu najwyżej cenionych dóbr. Wielu władcom towarzyszyły w ostatniej drodze ukochane żony, totumfaccy, żołnierze, słudzy i zwierzęta. Grabież grobów jest równie stara jak prostytutka.

- Cholerna szkoda, że śladem owych starożytnych władców nie idą amerykańscy prezydenci - zauważył ironicznie Giordino. - Wyobraźcie sobie: po śmierci prezydenta wędruje z nim do ziemi cały Kongres i połowa biurokracji.

- To wzbudziłoby zachwyty w naszym społeczeństwie - powiedział ze śmiechem Pitt.

- A i nasze przyklasnęłyby z całego serca - dodał Ortiz.

- Jak lokalizują groby? - zapytał Gunn.

- Co biedniejsi huaqueros po prostu kopią i sondują długimi szpikulcami. Ludzie na usługach organizacji przestępczych posługują się kosztownymi wykrywaczami metali i innym sprzętem elektronicznym.

- Czy w przeszłości spotkał pan już na swojej drodze Solpemachaco? - zapytał Pitt.

- Na czterech innych stanowiskach archeologicznych - odparł spluwając Ortiz. - Zawsze byłem spóźniony. Są jak smród, który unosi się nie wiadomo skąd. Ale organizacja o tej nazwie istnieje, to stuprocentowo pewne. Widziałem tragiczne rezultaty jej łupieżczej działalności. Trzeba jednak znaleźć dowody, które wskażą sukinsynów opłacających huaqueros i rzucających naszą spuściznę kulturalną na międzynarodowy czarny rynek.

- Czy wasza policja i służby bezpieczeństwa nie mogą postawić tamy wyciekowi

skradzionych skarbów? - zapytał Gunn.

- Powstrzymać huaqueros to jak łapać rtęć w dłonie - odparł Ortiz. - Jest ich zbyt wielu, a proceder przynosi zbyt wielkie zyski. No i, jak przekonaliśmy się sami, nie ma w tym kraju nieprzekupnych przedstawicieli władzy czy wojska.

- Ma pan ciężką robotę, Alberto - oświadczył Pitt. - Nie zazdroszczę panu.

- Ciężką i niewdzięczną - odparł z powagą Ortiz. - Dla biedaków z gór jestem wrogiem, przedstawiciele zaś najzamożniejszych rodzin kraju unikają mnie jak zarazy, bo sami posiadają olbrzymie kolekcje artefaktów.

- Wygląda więc na to, że tkwi pan w ślepym zaułku.

- Diagnoza w zasadzie słuszna. To nic, że naukowcy z rozmaitych placówek badawczych i muzealnych kraju wręcz ścigają się w poszukiwaniu obiecujących stanowisk archeologicznych... i tak huaqueros zawsze są tam pierwsi.

- Czy nie otrzymujecie znaczącej pomocy od władz? - zapytał Giordino.

- Walka o uzyskanie rządowych bądź prywatnych funduszy na sfinansowanie badań archeologicznych przypomina walenie głową w mur. Fatalna sprawa, ale nikt, jak się wydaje, nie jest zainteresowany inwestowaniem w historię. Jeden z asystentów Ortiza przerwał rozmowę, informując, że na stole czeka już kolacja: aromatyczna duszona wołowina, prażona kukurydza i fasola. Posiłku dopełniało doskonałe peruwiańskie czerwone wino, sałatka owocowa i zaserwowane na deser, owoce mango w kompocie.

Później zasiedli wokół ogniska.

- Sądzi pan, że Tupac Amaru i jego ludzie całkowicie ogołocili Miasto Zmarłych, czy też możliwe, iż jakieś grobowce umknęły ich uwadze? - zapytał Pitt Ortiza, który rozpromienił się nagle jak neon.

- Huaqueros i ich szefowie z Solpemachaco byli tu zaledwie na tyle długo, żeby ograbić miasto z przedmiotów najbardziej oczywistych, widocznych na pierwszy rzut oka. Prawidłowe archeologiczne zbadanie Miasta Zmarłych musi potrwać lata. Mocno wierzę, iż najciekawsze znaleziska dopiero przed nami. Świadom, że Ortiz, za sprawą licznych kieliszków pisco, jest w doskonałym nastroju.

Pitt zaatakował z flanki.

- Niech pan powie, Alberto, czy jest pan również ekspertem od legend opowiadających o inkaskich skarbach zaginionych po rozpoczęciu hiszpańskiej konkwisty?

Ortiz zapalił długie, smukłe cygaro, kilkoma energicznymi pociągnięciami

rozżarzył do czerwoności jego koniuszek, a kiedy dym uniósł się spiralą w wilgotne i coraz chłodniejsze andyjskie powietrze, odparł z zadumą:

- Znam zaledwie kilka z bardzo wielu. Opowieści o zaginionych skarbach Inków nie mnożyłyby się zapewne jak grzyby po deszczu, gdyby nasi przodkowie szczegółowo i na bieżąco dokumentowali swoje życie. W przeciwieństwie jednak do Majów i Azteków z Meksyku ludy wczesnoperuwiańskie nie rozpieściły nas nadmiarem wyobrażeń hieroglificznych. Nigdy nie wynalazły alfabetu ani też jakiegokolwiek ideograficznego systemu przekazywania znaczeń. Rzetelne zapisy to jedynie kilka reliefów na budynkach, rozsiane ornamenty na ceramice i tkaninach.

- Chodziło mi o zaginiony skarb Huascara.

- A więc słyszał pan tę historię?

- Zrelacjonowała mi ją doktor Kelsey. Odniosłem wrażenie, że w opowieści o złotym łańcuchu jest sporo przesady.

Ortiz pokiwał głową.

- Ale ta częśćka legendy akurat jest prawdziwa. Wielki inkaski władca, Huayna Capac, zarządził, aby dla uczczenia narodzin jego syna, Huascara, odlano wielki złoty łańcuch. Wiele lat później, zajmwszy już na tronie miejsce ojca, Huascar polecił wywieźć z inkaskiej stolicy, Cuzco, cały królewski skarb, aby ów nie dostał się w ręce Atahualpy, który po długiej wojnie domowej zawładnął państwem. Na skarb, oprócz złotego łańcucha, składały się posągi naturalnej wielkości, trony, słoneczne kręgi, a także, wykonane ze złota i srebra, sadzone kamieniami szlachetnymi podobizny wszelkich znanych Inkom zwierząt i owadów.

- W życiu nie słyszałem o skarbie tak olbrzymim - stwierdził Gunn.

- Inkowie dysponowali taką masą złota, że nigdy nie potrafili zrozumieć, dlaczego Hiszpanie mają na jego punkcie takiego kręcka... który, nawiasem mówiąc, dał początek legendzie o El Dorado. Konkwistadorzy marli tysiącami jak muchy, szukając skarbu. Niemcy i Anglicy - w ich gronie sir Walter Raleigh - przetrząsali dżungle i góry - bez rezultatu.

- Jak rozumiem - wtrącił Pitt - skarb Huascara został w końcu wywieziony aż poza ziemie Azteków i tam zakopany.

Ortiz skinął głową.

- Tak powiada legenda. Nigdy jednak nie zweryfikowano, czy istotnie flotylla statków pożegłowała z nim daleko na północ. Dowiedziono wszakże w miarę przekonywająco, że strzegli skarbu czaczapojańscy wojownicy, którzy odkąd w roku



1480 Huayna Capac podbił ich konfederację - stanowili przyboczną gwardię królewską.

- Jak wygląda historia Czaczapojów? - zapytał Gunn.

- Jeszcze nie została napisana - odparł Ortiz. - Zwali się Ludem z Chmur, a ich miasta, co doskonale panowie wiedzą ze swoich niedawnych doświadczeń, kryją się w dżunglach, które należą do najbardziej nieprzebytych na świecie. Jak dotąd archeologowie nie dysponowali ani funduszami, ani środkami, by należycie zbadać relikty kultury Czaczapojów.

- Pozostają zatem tajemnicą - uznał Pitt.

- I to pod wieloma względami. Wedle Inków, Czaczapojowie byli ludem jasnoskórym, zielono- lub niebieskookim. Ich niewiasty, ponoć bardzo piękne, cieszyły się ogromnym wzięciem u Inków i Hiszpanów. Poza tym charakteryzował ich wysoki wzrost: pewien włoski badacz znalazł w czaczapojańskim grobowcu szkielet mężczyzny, który musiał mieć dobrze ponad dwa metry.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że byli potomkami pionierów ze Starego Świata, może wikingów, którzy przebyli Atlantyk, pożeglowali w górę Amazonki i osiedlili się w Andach?

- Teorii o transoceanicznej migracji do Ameryki Południowej - zarówno przez Atlantyk, jak i Pacyfik - zawsze było mnóstwo - odparł Ortiz. - Prekolumbijskie podróże międzykontynentalne określa się mianem dyfuzjonizmu. Interesująca koncepcja; przyjmowana bez wielkiego entuzjazmu, nie jest jednak całkowicie ignorowana.

- Są potwierdzające ją dowody? - zapytał Giordino.

- Przeważnie o charakterze poszlakowym. Na ceramice z Ekwadoru znaleziono ornamenty typowe dla kultury Ajnów z północnej Japonii. Hiszpanie, jak zresztą wcześniej Kolumb, donosili o wielkich statkach z białymi załogami, widywanych u wybrzeży Wenezueli. Portugalczycy znaleźli w Boliwii plemię brodaczy, co jest o tyle osobliwe, że Indian nie charakteryzuje obfity zarost. Doniesienia zaś rybaków i pletwonurków, którzy z wód przybrzeżnych Brazylii wyławiają amfory greckie czy rzymskie, należą do zjawisk pospolitych.

- Olbrzymie kamienne głowy, stworzone przez meksykańskich Olmeków, mają wyraźne rysy negroidalne - dodał Pitt - a w rzeźbach środkowoamerykańskich aż się roi od cech typowo azjatyckich.

Ortiz zgodliwie pokiwał głową.

- Łby węży, zdobiące wiele pałaców czy świątyń Majów, to wypisz, wymaluj smoki, znane z rzeźb japońskich czy chińskich.

- Ale nie ma żadnych bezpośrednich dowodów? - zapytał Gunn.

- Nie znaleziono dotąd obiektów o pochodzeniu jednoznacznie europejskim.

- Mocnym argumentem sceptyków jest również brak w Ameryce Południowej kół garncarskich i pojazdów kołowych - dodał Gunn.

- Fakt - zgodził się Ortiz. - Kultura Majów, wyjąwszy zabawki dziecięce, nie znalazła dla koła praktycznego zastosowania. Nic zresztą dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę, że dopóki Hiszpanie nie zaznajomili ich z końmi i wołami, Majowie nie znali żadnych zwierząt pociągowych.

- Należałoby jednak sądzić, że powinni znaleźć jakieś zastosowanie dla kół, choćby do transportu materiałów budowlanych - stwierdził Gunn.

- Historia nas uczy, że Chińczycy wynaleźli banalne taczki sześćset lat przed Europejczykami - zareplikował Ortiz.

Pitt wysączył z kieliszka resztę brandy.

- Jest mało prawdopodobne, aby bez jakichkolwiek wpływów z zewnątrz rozwinęła się na takim odludziu nader zaawansowana cywilizacja.

- Współcześnie mieszkańcy gór - często jasnoskórzy, zielono- lub niebieskoocy potomkowie Czaczapojów - prawią o pełnym boskich przymiotów mężu, który wieleset lat temu zjawił się z rozciągniętych na wschodzie mórz. Nauczył ich przodków zasad budownictwa, czytania w gwiazdach, podstaw religii.

- Ale zapomniał, biedak, o nauce pisania - wtrącił figlarnie Giordino.

- Następny gwóźdź do trumny koncepcji kontaktów prekolumbijskich - powiedział Gunn.

- Ów święty mąż miał gęste jasne włosy i długą brodę - podjął Ortiz. - Niezwykle wysoki, ubrany w zwiewne białe szaty, głosił dobroć i miłosierdzie. Reszta legendy w zbyt wielu elementach przypomina historię Jezusa, aby można ją traktować dosłownie; co naturalnie - tubylcy, nawróceni na katolicyzm, wcielili w stary mit nowe dla siebie wątki. Wędrował zatem po świecie, uzdrawiając chorych, przywracając wzrok ślepcom, wskrzeszając zmarłych. Mógł nawet chodzić po wodzie. Wznoszono mu świątynie, rzeźbiono w drewnie i kamieniu jego podobizny. Żadnej z nich, mógłbym dodać, dotąd nie odnaleziono. Niemal dosłownym powtórzeniem tej legendy jest opowieść o Quetzalcoatl, bogu dawnego Meksyku.

- Czy jest pan skłonny brać za dobrą monetę jakąkolwiek część tego mitu? -

zapytał Pitt.

- Nie i nie wezmę, dopóki legenda nie znajdzie potwierdzenia w konkretnych wykopaliskach. Niebawem wszakże tajemnica może zostać częściowo wyświetlona, jeden bowiem z północnoamerykańskich uniwersytetów poddaje testom na DNA szczątki kostne, wydobyte z czaczapojańskiego grobowca. Ewentualny sukces owych badań pozwoli ustalić, czy byli Czaczapojowie potomkami przybyszów z Europy, czy też rozwinęli się niezależnie od wpływów z zewnątrz.

- A co ze skarbem Huascara? - zapytał Pitt, sprowadzając rozmowę na miłe sobie tory.

- Jego odkrycie oszołomiłoby świat - odparł Ortiz. - Chciałbym wierzyć, że wciąż spoczywa w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi meksykańskiej grocie. - Wypuścił długą smugę dymu i zapatrzył się w gwiazdy. - Łańcuch stałby się sensacją dnia, dla archeologów jednak większe znaczenie miałyby odlany z litego złota krąg słoneczny i złote królewskie mumie.

- Złote mumie? - zaciekawiał się Gunn. - A zatem Inkowie poddawali zwłoki swych zmarłych takiej samej obróbce jak Egipcjanie?

- Nieporównanie mniej skomplikowanej - wyjaśnił Ortiz. - Ciała jednak najwyższych władców, Sapa Incas, jak ich zwano, spowite w złoto, stawały się obiektami kultu religijnego: mumie królów rezydowały we własnych pałacach, były przebierane w nowe szaty, fetowane wykwintnymi posiłkami, otaczane haremami złożonymi z najpiękniejszych kobiet... które jednak, mógłbym dodać, pełniły role służek i nie oddawały się nekrofilii.

Giordino powędrował spojrzeniem ponad Miastem Zmarłych.

- To mi wygląda na czyste trwonienie forsy uczciwych podatników - stwierdził.

- Obsługą królewskich szczątków - podjął Ortiz - zajmowały się sownie za ten trud wynagradzane i bardzo liczebne grona kapłanów. Mumie dość często obwożono po kraju z przepychem przysługującym urzędującej głowie państwa. Nie muszę panom mówić, jak katastrofalny wpływ miało to wszystko na finanse Inków i w jakim stopniu pomogło Hiszpanom w podboju.

Pitt, broniąc się przed chłodem, zaciągnął suwak kurtki.

- Na pokładzie naszego statku doktor Kelsey otrzymała wiadomość dotyczącą złotego inkaskiego sarkofagu, wytopionego u pewnego kolekcjonera z Chicago.

Ortiz w zadumie pokiwał głową.

- Tak, Złoty Sarkofag z Tiapollo. Krył mumię wielkiego wodza o imieniu

Naymlap, głównego doradcy jednego z inkaskich władców. Przed wyjazdem z Limy słyszałem, że amerykańscy agenci celni odnaleźli go wprawdzie, ale znikł zaraz potem.

- Znikł? - Z jakiegoś powodu Pitt wcale nie był zaskoczony.

- Dyrektor departamentu z naszego Ministerstwa Kultury miał akurat wsiadać do samolotu lecącego do Stanów, gdzie, w imieniu rządu peruwiańskiego, zamierzał wystąpić o zwrot sarkofagu i mumii, gdy poinformowano go, że wasi agenci celni się spóźnili. Obserwowali właściciela, a w tym samym czasie złodzieje skradli sarkofag.

- Mówiła mi doktor Kelsey, że wygrawerowane na sarkofagu obrazki dokumentowały rejs flotylli, która wywozła skarb do Meksyku.

- Rozszyfrowano zaledwie kilka z nich. Współcześni uczeni nie mieli właściwie okazji przeprowadzić właściwych badań, sarkofag bowiem rychło został skradziony z muzeum w Sewilli.

- Jest zatem do pomyślenia - zasugerował Pitt - że obecni złodzieje są już na tropie złotego łańcucha.

- Wniosek w pełni uprawniony - zgodził się Ortiz.

- Innymi słowy, są mocno do przodu - rzekł Giordino.

- Chyba że ktoś znajdzie kipu Drake'a i dotrze do skarbu jako pierwszy - wycedził Pitt.

- Ach, tak, sławna jaspisowa szkatuła - westchnął sceptycznie Ortiz. - Mrzonka, na którą nie ma mocnych. Słyszeliście zatem o prowadzącej do skarbu płataninie sznurków?

- Wyczuwam powątpiewanie w pańskim głosie - stwierdził Pitt.

- Bo nie ma żadnych namacalnych dowodów, a wszystkie relacje są zbyt mętne, aby można je traktować poważnie.

- O przesądach i legendach, które okazały się świętą prawdą, można by napisać gruba księgę.

- Jestem naukowcem i pragmatykiem - odparł Ortiz. - Jeśli takie kipu istnieje, gdybym nawet ujął je w dłonie, nie od razu byłbym przekonany o jego autentyczności.

- Czy uznałby mnie pan za szaleńca, gdybym oświadczył, że zamierzam go poszukać? - zapytał Pitt.

- Z pewnością nie większego szaleńca niż tysiące pańskich poprzedników, którzy, zwodzeni mglistymi mrzonkami, usiłowali dogonić horyzont. - Ortiz urwał, strząsnął popiół z cygara i z powagą spojrział Pittowi w oczy. - Ostrzegam jednak. Ów, który znajdzie kipu - jeśli ono w ogóle istnieje - odniesie sukces, będąc zarazem

skazanym na klęskę.

- Na klęskę?

- Bo nie pomoże panu amauta, wykształcony Inka, potrafiący odczytać przesłanie, ani też quipu-mayoc, skryba, który zapisywał je węzłami.

- Co mi pan chce powiedzieć?

- Najprościej rzecz ujmując, panie Pitt: ostatni ludzie, którzy potrafiliby odczytać panu kipu Drake'a, umarli czterysta lat temu.

W odległym jałowym zakątku pustyni, kilka kilometrów od miasta Douglas w stanie Arizona i zaledwie siedemdziesiąt pięć metrów od granicy amerykańsko-meksykańskiej wznosi się, na kształt wykwitłego z oazy mauretańskiego zamczyska, hacjenda „La princesa”, nazwana tak przez dawnego właściciela, don Antonio Diaza, na cześć jego żony, zmarłej w pòłogu i pogrzebanej w barokowo zdobnej krypcie, otoczonej ogrodem i wysokimi murami. Diaz, peon, a później górnik, doszedł do fortuny, gdy w pobliskich górach Huachuca natrafił na olbrzymie złoża srebra. Wielka feudalna posiadłość rozciągała się na gruntach, jakie pierwotnie nadał Diazowi wówczas generał, później zaś prezydent Meksyku, Antonio Lopez de Santa Ana, w zamian za pomoc finansową udzielaną despicie podczas prób przyporządkowania Meksykowi Teksasu, których to prób konsekwencją była wojna ze Stanami Zjednoczonymi. Katastrofalna w skutkach, zmusiła Santa Anę do odsprzedania Stanom w ramach ekspiacji pasa ziemi w południowej Arizonie, na którym rozciągała się dolina Mesilla, znanego obecnie jako „zakup Gadsdena”. Przesunięcie linii granicznej umiejscowiło hacjendę Diaza w nowym kraju, zaledwie o rzut kamieniem od starego.

Posiadłość pozostawała w rękach rodziny Diazów dopóki tuż przed śmiercią w wieku lat dziewięćdziesięciu czterech ostatnia żyjąca dziedziczka familii, Maria Estala, nie sprzedała jej zamożnemu finansście. Nowy właściciel, Joseph Zolar, nie czynił tajemnicy z faktu, iż traktuje swój nabytek jako rekreacyjno-rozrywkową przystań dla podejmowanych z niezwykłym rozmachem osobistości znanych i wpływowych, które dostarczano na miejsce drogą lądową lub powietrzną. Słowne i fotograficzne relacje z owych imprez nieodmiennie trafiały na łamy kolumn towarzyskich wszystkich liczących się dzienników tudzież na rozkładówki plotkarskich magazynów, jak kraj długi i szeroki.

Zolar, antykwariusz i fanatyczny kolekcjoner dzieł sztuki, miał w swych olbrzymich zbiorach dzieła zarówno wybitne, jak i kiepskie, wszystkie jednak charakteryzowały się nienagannie i przez wszelkie możliwe organa udokumentowanym pochodzeniem, a także świadectwem, iż zostały nabyte za brzęcącą, prawidłowo opodatkowaną monetę. Bo Joseph Zolar pilnie płacił podatki, prowadził wyłącznie czyste interesy i nie zezwalał, by w jego domu goście raczyli się narkotykami. Nic nie rzucało cienia na reputację Josepha Zolara. Stał teraz na dachowym tarasie swej posiadłości i otoczony prawdziwym lasem roślin

doniczkowych obserwował, jak na ciągnącym się na pustyni pasie startowym ląduje jego prywatny odrzutowiec, pomalowany na kolor ciemnozłoty i zdobny przebiegającą od dziobu po ogon jaskrawopurpurową krechę. Żółte litery układały się na owej wstędze w napis ZOLAR INTERNATIONAL. Z samolotu wysiadł mężczyzna, ubrany w kwiecistą sportową koszulkę i oliwkowe szorty, następnie zaś usadowił się w oczekującym wózku golfowym. Oczy pod ściągniętymi chirurgicznie powiekami Zolara skrzyły się jak szare kryształki, ospowata zaś, nieustannie oblana rumieńcem twarz pod zaczesanymi do tyłu czarnymi rzednącymi włosami swą matową czerwienią przywodziła na myśl wyblakłą posadzkę z klinkierowej cegły. Ta twarz zadbanego mężczyzny pod sześćdziesiątkę, którego światem były dyrektorskie gabinety i sale konferencyjne, miała w sobie anonimowość i opanowanie, rysujące się często na obliczach pokerzystów, ale również chłód, zrodzony z podejmowania niełatwych decyzji, a nawet, jeśli zaistniała taka potrzeba, wydawania wyroków śmierci. Zolar był drobnej postury, tak jednak zwarty w sobie i spięty, jak sęp, który gotuje się, by rozwinąć skrzydła. Ubrany w czarny jedwabny kombinezon, miał w sobie obojętność gestapowca z obozu koncentracyjnego, widzącego w śmierci zjawisko równie banalne jak deszcz.

Zolar poczekał na gościa u szczytu schodów wiodących na taras.

- Miło cię widzieć wciąż w jednym kawalku, Cyrusie - oświadczył, gdy się serdecznie wyściskali.

Sarason szeroko się uśmiechnął.

- Nawet nie masz pojęcia, jak niewiele brakowało, abyś postradał brata.

- Chodź, czekałem na ciebie z lunchem. - Zolar powiodł Sarasona przez kwietny labirynt ku obficie pod baldachimem z palmowych liści zastawionemu stołowi. - Wybrałem wyśmienite chardonnay, a mój kucharz przyrządził doskonałą duszoną polędwicę wieprzową.

- Któregoś dnia skaperuję go od ciebie - rzekł Sarason.

- Marne szanse - odparł ze śmiechem Zolar. - Strasznie go rozpuściłem i cieszy się zbyt uprzywilejowaną pozycją, aby ode mnie zdezerterować.

- Zazdrozczę ci stylu życia.

- A ja tobie. Nigdy nie postradałeś awanturniczego ducha. Wymykasz się śmierci i policji na pustyniach i w dżunglach, chociaż mógłbyś prowadzić interesy z luksusowego gabinetu, całą brudną robotę pozostawiając innym.

- Uporządkowane życie i praca od dziewiątej do siedemnastej nigdy nie działały

mi na wyobraźnię - odrzekł Sarason. - Osobisty udział w naszych brudnych przekrętach traktuję jako podniecające wyzwanie. Powinieneś któregoś dnia pójść za moim przykładem.

- Serdeczne dzięki. Wolę wygody cywilizacji.

Sarason dostrzegł stół, na którego blacie spoczywały cztery obiekty, każdy z nich miał około metra długości i przypominał wyglądem wyschniętą gałąź drzewa. Kiedy zaintrygowany podszedł do nich i uważnie obejrzał, rozpoznał wyblakłe od słońca korzenie topoli, naturalnie ukształtowane na podobieństwo groteskowych ludzkich sylwetek.

W okrągłych głowach prymitywnie wyrzeźbiono oblicza i pokryto je prostą polichromią.

- Nowy nabytek? - zapytał.

- Niezmiernie rzadkie bożki, należące do zagubionego w pustyni szczepu Indian - odparł Zolar.

- Jak ci wpadły w ręce?

- Dwaj łowcy skarbów znaleźli je w starej kamiennej budowli, skrytej pod nawisem urwiska.

- Są więc stuprocentowo autentyczne?

- Jakżeby inaczej. - Zolar ujął jedną z figur i postawił ją pionowo. - Dla Montolów, mieszkających na pustyni Sonora opodal rzeki Kolorado, te bałwany reprezentują bogów słońca, księżyca, ziemi i życiodajnej wody. Wyrzeźbione wiele stuleci temu, stanowiły ważny element obrzędów inicjacyjnych, jakim z osiągnięciem dojrzałości poddawano chłopców i dziewczęta. Owe mistyczne hopsztosy urzędowało się co dwa lata. Bożki, które masz przed sobą, stanowią jądro całego systemu religijnego Montolów.

- Jak oceniasz ich wartość?

- Na około dwustu tysięcy dolarów, jeśli trafi się nam odpowiedni kolekcjoner.

- Aż tak dużo?

Zolar skinął głową.

- Zakładając, iż nabywca nie będzie miał pojęcia o klątwie, jaka nieuchronnie na niego spadnie.

- Zawsze jest jakaś klątwa. - Sarason parsknął śmiechem.

- Kto wie? - Zolar wzruszył ramionami. - Mam informacje z wiarygodnych źródeł, że obu złodziei spotkały nieszczęścia: jeden zginął w wypadku



samochodowym, drugi zaś złapał jakąś nieuleczalną chorobę.

- I ty wierzysz w te banialuki?

- Wierzę tylko w rozkosze życia - odparł Zolar, ujmując brata za ramię. - Chodź już, lunch czeka.

Zolara bawiło zawsze, iż ich ojciec skłonił wszystkich swoich synów i córki do legalnego przyjęcia rozmaitych nazwisk; tylko on sam, jako najstarszy, pozostał przy rodzimym. Swe wzniesione za życia rozległe międzynarodowe imperium, handlowe Zolar senior podzielił równo pomiędzy pięciu synów i dwie córki, przy czym każde z siedmiorga rodzeństwa stanęło na czele albo galerii sztuki, albo domu aukcyjnego, albo wreszcie firmy importowo-eksportowej, pozornie jednak rozproszone przedsiębiorstwa stanowiły w istocie jeden organizm gospodarczy, znany wtajemniczonym pod nazwą Solpemachaco. Nie znany i nie zarejestrowany przez jakiegokolwiek rządowe agendy finansowe bądź giełdy papierów wartościowych, rozkwitał pod świątłym kierownictwem obecnej głowy rodziny, Josepha Zolara.

- To po prostu graniczy z cudem, że mimo koszmarnych błędów, popełnianych przez naszych skretyniałych sługusów, zdołałem ocalić większość artefaktów i wywieźć je z Peru. Że nie wspomnę o ingerencji facetów związanych z naszym rządem.

- Służby celne czy agenci antynarkotykowi? - zainteresował się Zolar.

- Ani jedni, ani drudzy. Dwóch inżynierów z NUMY. Spadli jak grom z jasnego nieba, kiedy po zaginięciu w studni ofiarnej doktor Kelsey i tego jej fotografa, Juan Chaco nadał wezwanie o pomoc.

- W jaki sposób narobili nam kłopotów?

Sarason zrelacjonował bratu całą historię - od zamordowania przez Amaru prawdziwego doktora Millera po ucieczkę zakładników z Doliny Wirakoczy i śmierć Juana Chaco. Zakończył opowieść przybliżoną inwentaryzacją artefaktów i krótkim meldunkiem o tym, jak dostarczył je na wybrzeże, a następnie ukrył w tajnej ładowni statku, należącego do linii żeglugowej związanej z holdingiem Zolar International. Był to tankowiec, transport ropy naftowej stanowił jednak podrzędniejszą z jego funkcji - przede wszystkim służył przewozowi antyków, zarówno wówczas, gdy chodziło o przeszmugłowanie ich z kraju pochodzenia, jak i wtedy, kiedy dostarczano je odbiorcom.

Zolar skierował na pustynię nie widzące spojrzenie.

- „Gwiazda Azteków” ma za cztery dni zawinąć do San Francisco.

- A zatem znajdzie się na terenie operacyjnym braciszka Charlesa.

- Tak, Charles poczynił już niezbędne ustalenia, dotyczące przetransportowania ładunku do naszego centrum dystrybucyjnego w Galveston, gdzie osobiście dopilnuje renowacji obiektów. - Zolar uniósł kieliszek, aby służąca mogła ponownie go napełnić.

- Jak ci smakuje wino?

- Klasa - odparł Sarason - ale jak na mój gust odrobinę zbyt wytrawne.

- Może zatem wolałbyś savignon blanc z Touraine? Rozkoszny owocowy bukiet z lekkim ziołowym akcentem.

- Nie podzielam twojego zamiłowania do win, bracie, i poprzestanę raczej na piwie.

Zolar nie musiał wydawać służącej jakichkolwiek poleceń: oddaliła się dyskretnie, by wrócić po chwili z wychłodzoną szklanką i butelka coorsa.

- Szkoda tego Chaco - stwierdził Zolar. - Był lojalnym współpracownikiem.

- Nie miałem innego wyjścia. Rozkleił się po fiasku w Dolinie Wirakoczy i niedwuznacznie groził, że zdekonspiruje Solpemachaco. Postąpiłbym nierozważnie, pozwalając, aby wpadł w łapy peruwiańskiej policji śledczej.

- Jak zawsze wierzę w sensowność twoich decyzji. Pozostaje jednak Tupac Amaru. Co z nim?

- Powinien był zginąć - odparł Sarason - a jednak, kiedy wróciłem do świątyni po ataku naszych walecznych najemników, wciąż dyszał, chociaż spoczywał pod stosem gruzu. Kiedy tylko wyprawilem artefakty trzema dodatkowymi wojskowymi śmigłowcami - których załogi musiałem przekupić za drogie pieniądze - opłaciłem miejscowych huaqueros, aby zabrali Amaru do swojej wioski i otoczyli go opieką. Powinien już za kilka dni stanąć na nogi.

- Może jego również należało wyeliminować?

- Rozważałem taką myśl. Amaru nie wie jednak o niczym, co mogło by ściągnąć nam agentów na kark.

- Dołożyć ci polędwicy?

- Bądź tak dobry.

- A jednak nie jestem zachwycony świadomością, że ten wściekły pies wciąż będzie biegać na swobodzie.

- Niczym się nie przejmuj. Ciekawe, że to Chaco natchnął mnie myślą, aby zatrzymać Amaru na etacie.

- Po co? Żeby mógł mordować staruszki, ilekroć przyjdzie mu na to ochota?

- Nic równie absurdalnego - odparł Sarason z uśmiechem. - Facet może się

jeszcze okazać atutem w naszych rękach.

- Chcesz zapewne powiedzieć: jako płatny zabójca?

- Skłaniam się raczej, by postrzegać w nim kogoś, kto usuwa przeszkody. Spójrzmy prawdzie w oczy, bracie, nie mogę, bez ryzyka wpadki i aresztowania, w nieskończoność osobiście eliminować naszych przeciwników. I tak rodzina może mówić o szczęściu, że ma w swoim składzie kogoś, kto w razie konieczności nie wzdraga się przed zadawaniem śmierci. Amaru to kat doskonały, uwielbia bowiem zabijać.

- Bacz tylko, żeby wyprowadzać go z klatki na mocnej smyczy.

- Bez obaw - odparł Sarason z przekonaniem, a potem zmienił temat. - Widzisz jakichś ewentualnych nabywców na nasze czaczapojańskie towary?

- Handlarz narkotyków o nazwisku Pedro Vincente. Zwariowany na punkcie obiektów prekolumbijskich, a poza tym przepłaca, ponieważ pierze w ten sposób swoje narkotykowe pieniądze.

- Które następnie ty puszczasz w obieg, aby kupować lewe artefakty.

- Układ zadowolający obie strony.

- Kiedy sfinalizujesz transakcję?

- Umówię spotkanie z Vincente, gdy tylko Marta uporządkuje twoją dostawę i przeprowadzi zabiegi konserwacyjne. Otrzymasz swój udział w ciągu dziesięciu dni.

Sarason pokiwał głową i zagapił się w bąbelki, ulatujące z dna wypełnionej piwem szklanki.

- Jestem przekonany, że czytasz mi w duszy, Josephie. Najzupełniej serio ważę myśl, czyby, dopóki dopisuje mi zdrowie, nie wycofać się z naszych rodzinnych interesów.

- Postąp tak, a wyrzucisz do rynsztoka dwieście milionów dolarów. - Zolar spojrział na brata z krzywym uśmiechem.

- O czym ty gadasz?

- O twojej działce ze skarbu.

Dłoń Sarasona, z nadzianym na widelec kęsem polędwicy, zawisła w pół drogi do ust.

- Jakiego skarbu?

- Jesteś ostatnim członkiem rodziny, który jeszcze nie wie o największym łupie, jaki znalazł się w zasięgu naszych rąk.

- Chyba za tobą nie nadążam.

- Mówię o obiekcie, który doprowadzi nas do skarbu Huascara. - Zolar przez chwilę spoglądał na brata ze sprytną miną, a potem rozchylił wargi w szerokim uśmiechu. - Mamy Złoty Sarkofag z Tiapollo.

Z dłoni Sarasona wypadł widelec i brzęknął o talerz.

- Naprawdę położyłeś łapska na złotej mumii Naymlapa?

- Położyliśmy łapska, braciszku. Pewnego wieczoru, grzebiąc w archiwach taty, znalazłem świstek z wykazem jego lewych interesów. To nasz ojciec, Cyrusie, zaaranżował kradzież mumii z sewilskiego muzeum.

- Stary lis nie wspomniał o tym ani słowem.

- Uznał, że ów czyn, będący zwieńczeniem jego łupieżczej kariery, powinien zostać zatajony nawet przed członkami rodziny.

- W jaki sposób wytropiłeś sarkofag?

- Wedle zapisków ojca, nabywcą obiektu był zamożny sycylijski mafioso. Bez wielkich nadziei, że da się coś wyczytać ze śladów liczących sobie siedemdziesiąt lat, puściłem po nich Charlesa... Odnalazł willę świętej pamięci gangstera, który dożył pięknego wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, zanim zszedł z tego świata w roku 1984, i odbył rozmowę z jego synem. Ów oznajmił, że mumię, ukrywaną przez papcia aż do śmierci, spieniężył za pośrednictwem nowojorskich pociotków bogatemu złomiarzowi z Chicago o nazwisku Rummel.

- Jestem zdumiony, że chciał rozmawiać z Charlesem. Mafijne rodziny nie słyną z otwartości, zwłaszcza jeśli chodzi o transakcje dotyczące lewych towarów.

- Otóż syn mafiosa nie tylko mówił, lecz również przyjął Charlesa jak dawno utraconego brata i otworzył przed nim duszę.

- Nie doceniałem Charlesa - stwierdził Sarason, zapuszczając zęby w ostatni kęs polędwicy. - Któż by pomyślał, że ma tak ogromny talent do zdobywania informacji?

- W znacznym stopniu pomogły mu trzy miliony dolarów gotówką, jakie przekazał z rączki do rączki.

Sarason zmarszczył czoło.

- Czy przypadkiem nie byliśmy nadmiernie hojni? Dla zamożnego, ale zmuszonego do dyskrecji kolekcjonera sarkofag może być wart najwyżej połowę tej forsy.

- Jesteś w błędzie. To groszowa inwestycja, jeśli odczytanie grawerowanych obrazków doprowadzi nas do skarbu Huascara.

- Największy łup - powtórzył Sarason określenie brata. - Historia nie zna

skarbu, który mógłby się z nim równać pod względem wartości.

- Deser? - zapytał Zolar. - Kawalek czekoladowego tortu z morelami?

- Bardzo mały kawałek i mocna kawa - odparł Sarason. - Ile musiałeś dołożyć, żeby odkupić mumię od złomiarza?

- Ani centa. Ukradliśmy ją. Szczęśliwym zrzędzeniem losu człowiekiem, który sprzedał Rummlowi większość jego prekolumbijskich eksponatów, był nasz urzędujący w Nowym Jorku brat Samuel, w związku z czym wiedział o tajnej galerii mieszczącej, między innymi, złoty sarkofag. Samuel współpracował z Charlesem przy kradzieży.

- Nie do wiary, że jest w naszych rękach.

- Akcja była ryzykowna. Ledwie Sam i Charles wyprowadzili sarkofag z nadbudówki Rummla, a urządzili na nią nalot agencji służb celnych.

- Sądysz, że dostali cynk?

Zolar przecząco pokręcił głową.

- Jeśli nawet, to od nikogo z naszej branży. Braciszkanie wykręcili się sianem.

- Dokąd zawieźli mumię?

Uśmiech Zolara ograniczył się do skrzywienia ust.

- Donikąd. Mumia ciągle jest w wieżowcu. Wynajęli mieszkanie sześć pięter niżej, ukryli w nim sarkofag i czekają na okazję, aż bezpiecznie będzie go można przewieźć do Galveston na ucziwe badanie. I Rummel, i agenci celni są przekonani, iż Naymlap dawno wywedrował Bóg wie gdzie w furgonetce firmy od przeprowadzek.

- Zręczne rozwiązanie. Ale co dalej? Obrazki na złotej powłoce wymagają rozszyfrowania, a nie jest to sprawa prosta.

- Zatrudniłem najwybitniejszych specjalistów od inkaskiej ikonografii. Małeński zespół badawczy. On jest antropologiem, ona zaś oprócz archeologii specjalizuje się w komputerowej analizie tekstów.

- Powiniennem był wiedzieć, że nic nie umknęło twojej uwagi - stwierdził Sarason, mieszając kawę. - Miejmy jednak nadzieję, że dostarczą nam precyzyjnego przekładu, w przeciwnym bowiem razie skończy się na tym, że stracimy kupę forsy, uganając się po całym Meksyku za ułudami.

- Czas jest naszym sprzymierzeńcem - odparł z przekonaniem Zolar. - Któż bowiem oprócz nas ma pojęcie, jak się zabrać do poszukiwań?

Po bezowocnej wyprawie do archiwów Biblioteki Kongresu, gdzie miał nadzieję odnaleźć relacje, dokumentujące ostateczny los „Concepción”, Julien Perlmutter zasiadł w olbrzymiej czytelni i zatrzasnął okładkę prowadzonego przez Drake'a, później zaś sprezentowanego królowej Elżbiecie diariusza epickiej wyprawy. Dziennik ów, zaginiony przez wiele stuleci, został ostatnio odnaleziony w pokrytych pyłem piwnicach królewskiej biblioteki w Anglii. Perlmutter wygodnie usadowił w krześle swoje opasłe cielsko. Diariusz w niewielkim tylko stopniu uzupełnił jego dotychczasową wiedzę o przebiegu wydarzeń: Drake, o czym Perlmutter wiedział już wcześniej, odesłał „Concepción” do Anglii pod dowództwem nawigatora „Złotej Łani”, Thomasa Cuttilla. Ponieważ galeon zaginął bez śladu, uznano, że zatonął z całą załogą. Jedyna poza tym wzmianka o „Concepción” nigdy nie została zweryfikowana; pochodziła z wydanej w 1939 roku książki dziennikarza i podróżnika o nazwisku Nicholas Bender, który podążał tropem dawnych odkrywców, poszukujących El Dorado; Perlmutter zamówił książkę u bibliotekarza i na nowo ją przestudiował, znajdując w przypisach krótką wzmiankę o portugalskiej ekspedycji z 1594 roku, która natknęła się na Anglika, żyjącego nad rzeką w tubylczym plemieniu. Anglik ów twierdził, że służył pod Francisem Drakiem i że ten powierzył mu dowództwo zdobyczego hiszpańskiego galeonu, rzuconego następnie w dżungłę przez potężną falę pływową. Portugalczycy uznali go za wariata, pozostawili w wiosce i podjęli przerwana misję.

Perlmutter zanotował nazwę wydawnictwa, które opublikowało książkę Bendera, oddał obie wypożyczone pozycje i pojechał taksówką do domu. Odczuwał zniechęcenie, nie była to jednak pierwsza sytuacja, kiedy w liczących dwadzieścia pięć milionów książek i czterdzieści milionów manuskryptów zbiorach Biblioteki Kongresu nie zdołał znaleźć przesłanek pozwalających rozwikłać zagadkę historyczną. Klucza do tajemnicy „Concepción”, jeśli takowy istniał, należało szukać gdzie indziej.

W taksówce Perlmutter patrzył nie widzącymi oczyma na mijane auta i domy. Wiedział z doświadczenia, że każdy projekt badawczy sam sobie narzuca tempo: podczas jednych kluczowe odpowiedzi eksplodowały jak fajerwerki, inne grzęzły w nie kończącym się labiryncie ślepych zaułków i powoli umierały, nie przynosząc rozstrzygnięć. Tajemnica „Concepción” była jednak odmienna - przypominała cień, który wymyka się z garści. Czy Nicriolas Bender powołał się na wiarygodne źródło, czy też, jak wielu innych autorów „literatury faktu”, dał się zwieść legendzie?

Pytanie to wciąż dręczyło Perlmuttera, gdy ów wkroczył w chaos swojego gabinetu.

Stojący na kominku zegar okrętowy pokazywał trzecią trzydzieści pięć po południu, było zatem wciąż mnóstwo czasu, żeby podzwonić tu i tam, zanim skończą się godziny urzędowania większości firm. Perlmutter zasiadł za biurkiem w zgrabnym obrotowym foteliku obitym skórą i wystukał na aparacie numer nowojorskiej informacji o abonentach; telefonistka podała mu numer, zanim dopowiedział do końca pytanie. Perlmutter nalał sobie kielich napoleona i smakując koniak, czekał na połączenie. Uznał, że podjął kolejny daremny wysiłek. Przypuszczalnie zarówno Bender, jak i jego wydawca już dawno zeszedli z tego świata.

- Falkner i Massey - rozległ się w słuchawce niewieści głos z silnym nowojorskim akcentem.

- Chciałbym mówić z redaktorem książek Nicholasa Bendera.

- Nicholasa Bendera?

- To jeden z waszych autorów.

- Zechce pan wybaczyć, nie znam tego nazwiska.

- Dawno temu pan Bender pisywał przygodowe reportaże. Może go sobie przypomni jakiś wieloletni pracownik waszej firmy.

- Połączę pana z panem Adamsem, naszym starszym redaktorem. Pracuje w wydawnictwie najdłużej.

- Dziękuję pani.

Minęło dobre trzydzieści sekund, zanim w słuchawce rozległ się męski głos:

- Frank Adams, słucham.

- Panie Adams, nazywam się St. Julien Perlmutter.

- Miło mi, panie Perlmutter, słyszałem o panu. Jak sądzie, dzwoni pan z Waszyngtonu?

- Tak, mieszkam w stolicy.

- Proszę wziąć nas pod uwagę, gdyby postanowił pan opublikować książkę na temat historii mórz.

- Jak dotąd nie zakończyłem żadnej książki, którą zacząłem pisać - odparł Perlmutter ze śmiechem. - Bardzo się obaj zestarzejemy, zanim otrzyma pan ode mnie pełny manuskrypt.

- Już w tej chwili, licząc sobie siedemdziesiąt cztery lata, nie jestem młodzieniaszkiem - odrzekł jowialnie Adams.

- Dlatego właśnie do pana dzwonię - powiedział Perlmutter. - Czy przypomina pan sobie niejakiego Nicholasa Bendera?

- Jakżeby nie? Był w młodości kimś na kształt poszukiwacza przygód. W czasach kiedy podróże zostały odkryte przez klasę średnią, opublikowaliśmy sporo jego reportaży z rozmaitych wędrówek.

- Usiłuję ustalić źródło pewnej informacji, na jaką powołał się w swojej książce „Na tropie El Dorado”.

- To prehistoria. Wydaliśmy chyba tę pozycję na początku lat czterdziestych.

- Dokładnie rzecz biorąc, w 1939 roku.

- Jak mógłbym panu pomóc?

- Miałem nadzieję, że Bender przekazał swoje notatki i manuskrypt jakimś uniwersyteckim archiwom. Pragnąłem je przestudiować.

- Naprawdę nie wiem, co zrobił ze swoimi materiałami. Będę go musiał zapytać.

- A zatem jeszcze żyje? - zdumiał się Perlmutter.

- Mój Boże, tak! Najwyżej trzy miesiące temu jadłem z nim kolację.

- Musi być po dziewięćdziesiątce.

- Nicholas ma osiemdziesiąt cztery lata. Sądzę, że pisząc „El Dorado”, liczył sobie dwadzieścia pięć; była to dopiero druga z jego dwudziestu sześciu pozycji, któreśmy opublikowali. Ostatnia, o przeprawie przez Jukon, ukazała się w 1978 roku.

- Czy panu Benderowi nadal dopisują władze umysłowe?

- Och, tak. Pomimo lichego zdrowia Nicholas wciąż ma umysł ostry jak brzytwa.

- Czy mógłbym dostać od pana jego numer telefonu?

- Powątpiewam, czy zechce rozmawiać z nieznanym. Od śmierci żony Nicholas wiezie żywot cokolwiek pustelniczy. Mieszka na małej farmie w Vermont, z rezygnacją oczekując śmierci.

- Nie chciałbym sprawić wrażenia człowieka bezdusznego - powiedział Perlmutter - sprawa jednak, którą chciałbym z nim omówić, jest wielkiej wagi.

- Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, aby pogwarzyć z tak wybitnym ekspertem od spraw morskich i znanym smakoszem jak pan, lecz pozwoli pan, że na wszelki wypadek przetrę szlak. Proszę łaskawie podać swój numer na wypadek, gdyby zechciał od razu do pana zadzwonić.

Perlmutter podyktował Adamsowi numer telefonu, który wykorzystywał tylko



w kontaktach z najbliższymi przyjaciółmi.

- Dziękuję ogromnie, panie Adams. Jeśli kiedykolwiek zakończę książkę o wrakach, będzie pan pierwszym wydawcą, który ją przeczyta.

Odłożył słuchawkę, potoczył się do kuchni, sprawnie wyłuskał z lodówki tuzin ostryg z Zatoki Kalifornijskiej, a następnie - przyprawione odrobiną tabasco i octu winnego - pochłoniął je błyskawicznie, popijając butelką piwa Anchor Steam. Jego przewidywania były bezbłędne - wrzucił właśnie pustą butelkę do pojemnika na śmieci, kiedy zadzwonił telefon.

- Julien Perlmutter, słucham.

- Halo? - rozległ się w słuchawce zdumiewająco głęboki głos. - Mówi Nicholas Bender. Słyszałem od Franka Adamsa, że chciałby pan ze mną porozmawiać.

- Tak, bardzo jestem panu wdzięczny. Nie przypuszczałem, że odezwie się pan tak szybko.

- Zawsze chętnie rozmawiam z czytelnikami swoich książek - odparł Bender pogodnie. - Nie zostało ich już zbyt wielu.

- Moje szczególne zainteresowanie wzbudziła pozycja pod tytułem „Na tropie El Dorado”.

- Podczas tamtej wędrówki przez piekło przynajmniej dziesięć razy otarłem się o śmierć.

- Zamieścił pan przypis o portugalskiej wyprawie zwiadowczej, która nad Amazonką znalazła mieszkającego wśród tubylców marynarza z załogi sir Francisca Drake'a.

- Thomasa Cuttilla - stwierdził Bender bez najmniejszego wahania. - Tak, przypominam sobie, że wspomniałem w swej książce o tym zdarzeniu.

- Zastanawiałem się zatem, czy nie zechciałby pan wskazać mi źródła tej informacji - rzekł Perlmutter, w którym błyskawiczna reakcja Bendera na nowo obudziła nadzieję.

- Czy mógłbym zapytać panie Perlmutter, co właściwie pana interesuje?

- Przeprowadzam kwerendę w związku z historią zdobytego przez Drake'a hiszpańskiego galeonu. Wedle większości doniesień zatonął z całą załogą, z pańskiej jednak wzmianki o Thomasie Cuttillu wynika, iż uniesiony na grzbiecie potężnej fali pływowej, został rzucony w dżungłę.

- To całkowicie zgodne z prawdą - powiedział Bender. - Sam wyruszylibym na poszukiwanie statku, gdyby nie świadomość, że okazały się bezowocne. Dżungla, w

której zniknął, jest tak gęsta, że człowiek pierwiej potknąłby się o wrak, zanimby go dostrzegł.

- Czy jest pan pewien, iż portugalska opowieść o znalezieniu Cuttilla nie jest konfabulacją czy legendą?

- To fakt historyczny. Nie ma w tej kwestii dwóch zdań.

- Skąd tak wielka pewność?

- Bo posiadam niepodważalny materiał dowodowy.

Odpowiedź na moment zbiła Perlmuttera z pantafyku.

- Wybacz pan, panie Bender, ale chyba nie bardzo pojmuję, do czego pan zmierza.

- Zmierzam do tego, panie Perlmutter, że mam w swoich rękach dziennik Thomasa Cuttilla.

- Diabła pan tam ma! - parsknął odruchowo Perlmutter.

- A właśnie że mam! - stwierdził triumfalnie Bender. - Cuttill wręczył swój dziennik dowódcy portugalskiej wyprawy, prosząc, aby ów wysłał go do Londynu. Zamiast tego jednak Portugalczyk dał dokument urzędującemu w Macapa wicekrólowi, a ten dołączył go do korespondencji służbowej. I tak diariusz Cuttilla dotarł do Lizbony, by przechodząc przez lata z rąk do rąk, wylądować wreszcie w antykwariacie, gdzie kupiłem go w 1937 za niebagatelną wówczas sumę trzydziestu sześciu dolarów. Niebagatelną zwłaszcza dla dwudziestodwuletniego młokosa, podróżującego po świecie z miedziakami w kieszeni.

- Dziś musi być zapewne wart znacznie więcej aniżeli trzydzieści sześć dolarów.

- Bez wątplenia. Antykwariusz proponował mi pewnego razu dziesięć tysięcy.

- I odrzucił pan ofertę?

- Nigdy nie sprzedaję pamiątek ze swoich wojaży, aby ktoś inny miał z nich czerpać zyski.

- Czy mógłbym przylecieć do Vermont i przeczytać dziennik? - zapytał ostrożnie Perlmutter.

- Obawiam się, że nie.

Perlmutter uczynił pauzę, aby zastanowić się, w jaki sposób zmiękczyć Bendera.

- Czy mógłbym zapytać dlaczego?

- Jestem schorowanym starcem - odparł Bender - którego serce wciąż jeszcze nie chce stanąć.

- Daję słowo, że nie sprawia pan wrażenia człowieka chorego.

- Szkoda, że mnie pan nie widzi. Choroby, na które zapadałem w trakcie swoich rozlicznych wypraw, powróciły teraz jak na zawołanie, aby dokonywać spustoszeń w tym, co pozostało z mego ciała. Nie przedstawiam sobą apetycznego widoku, rzadko zatem przyjmuję gości. Coś jednak panu powiem, panie Perlmutter. Wyślę panu ten dokument w charakterze podarku.

- Dobry Boże, przecież wcale pan nie musi...

- Nie, nie, nalegam. Frank Adams wspomniał o pańskim wspaniałym księgozborze dotyczącym statków. Wolę, aby dziennik trafił w ręce kogoś takiego jak pan - kogoś, kto go doceni - zamiast do byle kolekcjonera, łasego jedynie na to, aby zastawionymi półkami imponować przyjaciołom.

- Bardzo to szlachetne z pańskiej strony - odparł z przekonaniem Perlmutter. - Jestem ogromnie wdzięczny za pańską niezwykłą hojność.

- Niech pan zatem bierze na zdrowie - rzekł wielkodusznie Bender. - Wnioskuje, że chciałby się pan zapoznać z dziennikiem jak najszybciej?

- Pod warunkiem wszelako, że w ten sposób nie sprawię panu kłopotów.

- Nie ma o czym mówić. A więc wyślę go panu przesyłką ekspresową, aby już jutro, z samego rana, mógł się pan zabrać do lektury.

- Dziękuję, panie Bender. Serdecznie dziękuję. Potraktuję dziennik z takim pietyzmem, na jaki zasługuje.

- Doskonale. I mam nadzieję, że pańskie poszukiwania uwieńczy sukces.

- I ja ją mam - odparł Perlmutter, przepełniony uniesieniem. - Proszę uwierzyć, i ja ją mam.

Nazajutrz dwadzieścia po dziesiątej rano Perlmutter otworzył drzwi, zanim kierowca z firmy Federal Express zdołał przycisnąć dzwonek.

- Musiał pan niecierpliwie czekać na tę przesyłkę - stwierdził młody brunet o twarzy ozdobionej okularami i przyjaznym uśmiechem.

- Jak dzieciak na świętego Mikołaja - odrzekł ze śmiechem Perlmutter, kwitując podpisem odbiór usztywnionej koperty.

Pospieszył do gabinetu, zrywając już po drodze taśmą samoprzylepną; potem usiadł przy biurku, włożył okulary i z namaszczeniem człowieka ujmującego świętego Graala w dłonie wysunął z pakunku dziennik Thomasa Cuttilla, oprawiony w skórę jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Stronice, w liczbie najwyżej dwudziestu, były z pozółkłego, lecz doskonale zachowanego pergaminu, atrament zaś uwarzony zapewne

przez Cuttilla z ziół czy korzeni - miał barwę brązową. Zapiski poczyniono zdobną elżbietańską prozą owych czasów, a staranna kaligrafia i bardzo nieliczne błędy wskazywały, że autor był jak na owe czasy człowiekiem nader solidnie wykształconym.

Pierwszy wpis nosił datą „marzec 1578”, powstał jednak znacznie później:

Moja osobiwa historia minionych lat szesnastu, spisana przez Thomasa Cuttilla rodem z Devonshire.

Była to poruszająca opowieść marynarza, uczynionego rozbitkiem przez straszliwy kataklizm, ów wilk morski w dzikiej i groźnej krainie, znosząc niewypowiedziane trudy, podjął daremny wysiłek powrotu do ojczyzny. Relacja rozpoczynała się od wyjścia pod komendą Drake'a z angielskiego portu. Perlmutter zwrócił uwagę, że została napisana stylem znacznie bardziej powściągliwym aniżeli naszpikowane kazaniem, romantycznymi metaforami i wykrzyknikami memuary wędrowców z późniejszych stuleci. Upór Cuttilla, jego wola przetrwania, a wreszcie pomysłowość w pokonywaniu okrutnych przeciwności losu bez choćby jednej zanieśionej do Boga prośby o pomoc, głęboko zaimponowały Perlmutterowi, który doszedł do wniosku, że takiego człowieka jak Cuttill warto by było znać osobiście.

Kiedy ogromna fala pływowa rzuciła zdobyczny galeon w głąb dżungli, Cuttill, jedyny ocalały z katastrofy, przedłożył okropieństwa wędrówki górami i lasami nad perspektywę pojmania przez mściwych Hiszpanów, którzy po opanowaniu przez nienawistnego Drake'a ich galeonu ze skarbami byli rozwścieczeni jak osy. Cuttill wiedział jedynie, że Ocean Atlantycki jest gdzieś daleko na wschodzie, ale jak daleko - nawet się nie domyślał. Przebycie kontynentu i znalezienie przyjaznego statku, gotowego dowieźć go do Anglii, graniczyłoby z cudem, Cuttill nie miał jednak żadnego innego wyjścia.

Na zachodnich stokach Andów Hiszpanie potworzyli już byli kolonie złożone z wielkich posiadłości, do roli służby i robotników sprowadzając dumnych jeszcze niedawno Inków, których liczba zresztą, z powodu nieludzkiego traktowania i chorób, od odry po ospę, zastraszająco zmalała. Pod osłoną zmroku Cuttill prześlizgiwał się pomiędzy plantacjami, przy każdej okazji podkradając żywność. Po kilku miesiącach takiej wędrówki złożonej z kilkukilometrowych zaledwie etapów i nieustannego krycia się przed Hiszpanami, a także Indianami, którzy przecież mogliby go wydać, Cuttill bezludnymi przełęczami pokonał kontynentalną barierę Andów i zstąpił w zielone piekło dorzecza Amazonki. Jego życie przemieniło się w jeszcze większy koszmar. Brodził przez bezkresne moczary, przebijał się przez dżunglę tak gęstą, że drogę

musiał sobie torować nożem. Roje owadów, aligatory, a zwłaszcza atakujące niespodziewanie węże stwarzały nieustanne zagrożenie, mimo to prześladowany biegunką i gorączką Cuttill nieustępliwie brnął przed siebie, czasami pokonując za dnia dystans zaledwie stu metrów. Po kolejnych kilku miesiącach natknął się na wioskę wrogo nastawionych Indian, którzy pojmali go, skrupowali i trzymali jeńcem przez pięć lat.

Cuttill zdołał w końcu umknąć: w godzinach przedświtku skradł dłubankę i powiosłował w dół Amazonki. O włos otarł się o śmierć, kiedy dopadła go malaria, ale gdy nieprzytomny dryfował w dół rzeki, jego czółno zostało dostrzeżone i przechwycone przez długowłose kobiety, które zaopiekowały się Cuttillem i przywróciły go do zdrowia. Były to członkinie tego samego kobiecego plemienia, z którymi podczas swych bezowocnych poszukiwań El Dorado zetknął się hiszpański awanturник Francisco de Orellana; ponieważ szyły z łuku nie gorzej niż najtężsi wojacy. Orellana, dla uczczenia bojowych niewiast z greckich mitów, nazwał całą rzekę Amazonką.

Cuttill zapoznał plemię, złożone - prócz kobiet - z kilku zaledwie mężczyzn, z wieloma pomocnymi człowiekowi narzędziami. Sporządził zatem koło garncarskie i nauczył swe gospodynie sztuki wykonywania ozdobnych mis i dzbanów na wodę. Zbudował taczki i koła do nawadniania, wprowadził wielokrążki do dźwigania ciężarów. Rychło otoczony kultem godnym Boga. Cuttill żył sobie beztrosko i wygodnie, a wzięwszy za żony trzy najurodziwsze niewiasty, spłodził całe stadko drobiazgu.

Pragnienie powrotu do kraju z wolna w nim słabło; opuszczał Anglię jako kawaler, a teraz żywił coraz większą pewność, że nie czekają nań żadni krewni czy starzy kompani. Poza tym istniała możliwość, że Drake, bezwzględny zwolennik surowej dyscypliny, zechce go ukarać za utracenie „Concepción”. Zbyt osłabiony wiekiem, aby stawić czoło trudom długiej podróży, Cuttill, nie bez wahania, postanowił dożyć swych dni na brzegu Amazonki. Kiedy we wiosce pojawili się Portugalczycy, wręczył im swój dziennik, prosząc, aby w jakiś sposób wysłali go do Anglii, do Francisca Drake'a.

Po zakończeniu lektury Perlmutter rozsiadł się wygodniej, zdjął okulary i potarł oczy; wątpliwości co do autentycznego pochodzenia dziennika - jeśli je w ogóle miał - teraz rozwiały się jak dym. Charakter pisma, zamasztyego i śmiałego, nie wskazywał w najmniejszym stopniu, że mogło wyjść spod ręki chorego lub umierającego

szaleńca, w opisach zaś miejsc i sytuacji nie było ani przesady, ani zmyśleń. Perlmutter miał pewność, że przygody i udręki nawigatora z załogi Francisa Drake'a naprawdę miały miejsce i że opisał je człowiek znający wszystko to z własnego doświadczenia.

Perlmutter wrócił do sedna swych zainteresowań: krótkiej wzmianki Cuttilla o skarbach, pozostawionych przez Drake'a w ładowniach „Concepción”. Ponownie umiejscowił okulary na imponującym czerwonym nosie i raz jeszcze przeczytał ostatni wpis w dzienniku:

Twardem podjął postanowienie i szlakiem mym zmierzać będę jak statek północnym gnany wiatrem. Do kraju nigdy nie wrócę, przejęty obawą, iż kapitan Drake gniewne pokaże mi oblicze, iżem one starożytne skarby, a wśród nich jaspisową szkatułę ze sztucznie pozawężłanymi postronkami, na roztrzaskanej galeonie ostawił, miast do Anglii przywieźć i cnej królowej Elżbietce złożyć w podarku. Tu kości moje spoczną, pomiędzy ludem, co mi familię zastąpił.

Ręką własną spisał Thomas Cuttill, „Złotej Łani” nawigator, dnia nieznanego, roku zasię 1594.

Perlmutter powoli podniósł głowę i popatrzył na siedemnastowieczny hiszpański obraz, przedstawiający flotyllę galeonów, żeglujących w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Znalazł go na bazarze w Segovii i kupił za jedną dziesiątą wartości. Delikatnie zamknął kruche okładki dziennika, dźwignął się z fotela i założywszy ręce od tyłu, jał przemierzać gabinet od ściany do ściany.

Marynarz z załogi Drake'a naprawdę żył gdzieś nad Amazonką. Hiszpański galeon naprawdę został ciśnięty w dżunglę przez olbrzymią falę pływową. I kiedyś naprawdę istniała jaspisowa szkatuła z pozawężłanymi sznurkami. Czyżby nadal, gdzieś w głębi lasu tropikalnego, spoczywała pomiędzy przegniłymi szczątkami wraku? Z mroku przeszłości wypłynęły oto kuszące przesłanki do rozwiązania zagadki liczącej sobie czterysta lat. Perlmutter był rad z dotychczasowej kwerendy, dobrze jednak zdawał sobie sprawę, że potwierdzenie autentyczności źródeł legendy jest zaledwie pierwszym, chociaż obiecującym krokiem w polowaniu na skarb.

Teraz czekało go zadanie najbardziej wymagające: zawężenie pola poszukiwań do rozmiarów tak małych, jak to tylko będzie możliwe.

Hiram Yaeger darzył swój potężny superkomputer taką samą miłością jak żonę i dzieci, może nawet większą; często nie potrafił oderwać się od wyczarowywanych na wielkim monitorze obrazów, żeby pójść do domu. Komputery, odkąd pierwszy raz wystukał na klawiaturze polecenie i ujrzał, jak na ekranie obleka się w punkty i plamy, stały się dlań największą pasją życia, pasją, która spotężniała jeszcze, gdy wedle własnego projektu skonstruował dla centrum informatycznego NUMY gargantuiczny blok danych: nieodmiennie zdumiewała go potęga, jaką jednym gestem mógł posłać na poszukiwanie informacji.

Pieścił opuszkami palców klawisze, jak gdyby były żywymi istotami, ilekroć zaś fragmentaryczne dane zaczynały układać się w znaczącą całość, nieomal eksplodował z podniecenia. Urządzenia Yaegera były połączone z rozległą siecią komputerową, zdolną przekazywać olbrzymie masy danych cyfrowych pomiędzy bibliotekami, archiwami prasowymi, laboratoriami badawczymi i wszelkimi skarbnicami wiedzy na całym świecie. Ta „informacyjna trasa szybkiego ruchu”, jak ją zwano, była w stanie w jednym mrugnięciu kursora przekazać miliardy bitów informacji. Włączony zatem w tę gigabitową sieć, Yaeger wyluskał dość danych, by zakreślić obszar poszukiwań zawierający z sześćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem uwięziony na lądzie hiszpański galeon.

Zaabsorbowany bez reszty pościgiem za „Concepción”, Yaeger nie zauważył nawet, że do jego uświęconego przybytku wkroczył admirał Sandecker i dyskretnie usadowił się na stojącym z tyłu krzeselku.

Założyciel i pierwszy dyrektor NUMY był wprawdzie mężczyzną nikczemnej postaci, miał jednak w sobie tyle testosteronu, że wystarczyłoby go do obudzenia diabła w całej linii defensywnej Kowbojów z Dallas. Sprężysty pięćdziesięcioośmiolatek i fanatyk na punkcie sprawności fizycznej, codziennie rano pokonywał biegiem niemal dziesięć kilometrów dzielących jego dom od imponującego przeszklonego wieżowca, w którym od świtu do nocy trudziło się pięć tysięcy inżynierów, naukowców i innych pracowników NUMY, oceanicznego odpowiednika NASA, Agencji Badań Kosmicznych. Głowę admirała pokrywały siwiejące na skroniach, rozdzielone pośrodku przedziałkiem proste rude włosy, spiczasta hiszpanka groźnie jeżyła się na jego podbródku. Mimo obsesji na punkcie zdrowia i odżywiania, ani na chwilę nie rozstawał się z potężnym cygarem; w zapasy takich cygar zaopatrywał go znajomy plantator z Jamajki, który skręcał je własnoręcznie z

osobiście wybranego tytoniu.

Pod jego kierownictwem NUMA wyniosła oceanografię do rangi tematu nie ustępującego popularnością badaniom kosmicznym. Jego popierane przez dwadzieścia najlepszych uniwersytetów, niezmiernie przekonujące apele do Kongresu o fundusze, a także dotacje wielu inwestujących w podmorskie przedsięwzięcia potężnych spółek i korporacji pozwoliły NUMIE uczynić ogromny krok naprzód w takich dziedzinach, jak budowa geologiczna dna i podmorski przemysł wydobywczy, archeologia podmorska i biologia wody, a wreszcie studia nad wpływem oceanów na klimat Ziemi. Do największych, być może, osiągnięć admirała należało również zaliczyć komputerową sieć Hiramia Yaegera, najdoskonalsze i największe na świecie archiwum oceanograficzne, które żadnym cudem nie mogłoby powstać bez jego pomocy i poparcia.

Sandecker nie cieszył się bezkrytycznym uwielbieniem wszystkich nowojorskich biurokratów, był jednak powszechnie szanowany za swą pracowitość, poświęcenie i uczciwość, w dodatku utrzymywał z gospodarzeni Białego Domu stosunki ciepłe, a nawet przyjacielskie.

- Poczynił pan jakieś postępy? - zapytał Yaegera.

- Przepraszam, panie admirale - odparł Yaeger, nie odwracając głowy. - Nie zauważyłem, że pan wszedł. Gromadzę właśnie dane na temat prądów morskich u wybrzeży Ekwadoru.

- Niech pan sobie gada zdrów, Hiramie - powiedział Sandecker, mając minę łasicy wyruszającej na łów. - Wiem, co pan kombinuje.

- Panie admirale...?

- Szuka pan odcinka wybrzeża, na który w 1578 roku uderzyła fala pływowa.

- Fala pływowa?

- No, wie pan, taka duża ściana wodna... duża na tyle, że mogła porwać na swój grzbiet, przenieść nad plażą, a potem cisnąć w dżunglę spory hiszpański galeon. - Admirał wypuścił kłęb zjadliwego dymu i podjął: - Nie miałem pojęcia, że pobłogosławiłem poszukiwanie skarbów, przeprowadzane za pieniądze NUMY i w godzinach pracy.

Yaeger odwrócił się z krzeselkiem.

- Wie pan?

- Należałoby powiedzieć: wiedziałem. Od samego początku.

- A wie pan, kim pan jest, panie admirale?



- Szczwanym starym sukinsynem, który umie czytać w myślach - odparł Sandecker nie bez satysfakcji.

- Czy pańska szklana kula była również łaskawa pana poinformować, że fala pływowa i galeon to coś znacznie bardziej namacalnego niż ludowe podanie?

- Jeśli w ogóle są ludzie, zdolni przewąchać, co jest prawdą, co zaś fikcją, do ich grona bez wątpienia należy nasz przyjaciel Dirk Pitt - odparł z przekonaniem Sandecker. - No i co pan wygrzebał?

Yaeger uśmiechnął się blado.

- Zacząłem sondować w rozmaitych geograficznych systemach informacyjnych, aby określić logiczne miejsce gdzieś pomiędzy Limą a Panamą, w którym dżungla mogła na cztery stulecia skryć spory, jak pan zauważył, statek. Dzięki satelitom geostacjonarnym mamy teraz ogląd Ameryki Południowej i środkowej tak szczegółowy, jakiego darmo by szukać na starych mapach. Na pierwszy więc ogień poszły mapy przedstawiające porosły dżunglą pas wybrzeża; z miejsca wykreśliłem Peru, ponieważ jego regiony nadmorskie to praktycznie pustynia z roślinnością żadną lub nikłą. Niemniej jednak pozostawał jeszcze tysiąckilometrowy odcinek północnego Ekwadoru i prawie całej Kolumbii. Znów wszakże mogłem wyeliminować około czterdziestu procent wybrzeża z racji ukształtowania i wysokości, które uniemożliwiłyby fali rzucenie pięćsetsiedemdziesięcotonowej jednostki na jakąkolwiek znaczącą odległość w głąb lądu. Potem dałem spokój dwudziestu procentom otwartych sawann bez lasu na tyle gęstego, by mógł się w nim ukryć statek.

- Co jednak wciąż pozostawia Pitta z rejonem poszukiwań o długości czterystu kilometrów.

- W ciągu czterystu lat przyroda potrafi zmienić obraz środowiska w bardzo wielkim stopniu - odparł Yaeger. - Biorąc za punkt wyjścia stare mapy, wykreślone przez pierwszych hiszpańskich podróżników, naniosłem na nie zmiany, jakie dokonały się w krajobrazie, i w ten sposób zmniejszyłem pas poszukiwań jeszcze o sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Jak porównywał pan dawny wygląd terenu z nowym?

- Zastosowałem trójwymiarowe nakładki - odrzekł Yaeger. - Najpierw, metodą zmniejszania lub zwiększania, dostosowałem skalę starych map do współczesnych, sporządzanych techniką satelitarną, następnie zaś nakładałem jedną na drugą: w ten sposób wszelkie zmiany, zaistniałe na interesującym nas pasie wybrzeża od zniknięcia

galeonu, stały się widoczne jak na dłoni. Stwierdziłem, że przez stulecia wykarczowano pod uprawę znaczne obszary dżungli.

- Wiemy ciągle za mało - stwierdził z irytacją Sandecker. - O wiele za mało. Chcąc stworzyć Pittowi realną szansę na odnalezienie wraku, musi mu pan dać na widelcu odcinek o długości dwudziestu kilometrów góra.

- Jeszcze trochę cierpliwości, panie admirale - powiedział uspokajającym tonem Yaeger. - Następny krok polegał na poszukiwaniu w starych archiwach informacji o falach pływowych, które w szesnastym wieku uderzyły w pacyficzne wybrzeża Ameryki Południowej. Na szczęście w czasach konkwisty Hiszpanie nader starannie dokumentowali takie zdarzenia, a znalazłem ich cztery. Dwa w Chile - w latach 1562 i 1575, oraz dwa w Peru - to dla odmiany lata 1570 i 1578. Właśnie w siedemdziesiątym ósmym Drake zdobył galeon.

- Gdzie uderzyła ta ostatnia fala? - zapytał Sandecker.

- Jedyna relacja pochodzi z dziennika okrętowego hiszpańskiego statku, który zmierzał do Callao. Wedle zapisu, „oszałałe morze” gnało ku lądowi, a ściśle biorąc - zatoce Bahia de Caraquez - w Ekwadorze.

- „Oszałałe morze” to dobre określenie wodnego piekła, jakie rozpętuje się w wyniku podmorskiego trzęsienia ziemi. Chodzi bez wątpienia o falę sejsmiczną, obruszoną wstrząsem wzdłuż uskoku tektonicznego, który biegnie równoległe do całego wybrzeża Ameryki Południowej.

- Kapitan zauważył podczas rejsu powrotnego, że wioska, jeszcze niedawno rozciągająca się nad ujściem rzeki do wód zatoki, całkowicie zniknęła z powierzchni ziemi.

- Nie ma wątpliwości co do daty zdarzenia?

- Najmniejszych. A dżungla jest w tych rejonach nieprzebyta.

- Doskonale, mamy zatem nasze przybliżenie. Następny problem: jaka była długość fali pływowej?

- Fala pływowa, czy też tsunami, może osiągać, a nawet przekraczać dwieście kilometrów długości - odparł Yaeger.

Sandecker zastanawiał się przez chwilę.

- A jak szeroka jest zatoka Caraquez?

Yaeger wywołał na monitorze obraz mapy.

- Wlot jest wąski, ma najwyżej cztery czy pięć kilometrów.

- I powiada pan, że kapitan odnotował w dzienniku pokładowym fakt

zniknięcia wioski?

- Tak, panie admirale, tak to właśnie ujął.

- Jakim zmianom uległ na przestrzeni wszystkich tych lat kontur zatoki?

- Zewnętrzny bardzo niewielkim - odrzekł Yaeger, wyczarowując nałożone na siebie obrazy map starych i nowych. - Wewnętrzny, w związku z mułem niesionym wodami rzeki Chone, przesunął się w stronę morza o jakiś kilometr.

Sandecker długą chwilę wpatrywał się w monitor, a potem wycedził:

- Czy ta pana elektroniczna zabawka mogłaby stworzyć obraz galeonu, niesionego w głąb lądu na grzbiecie fali pływowej?

Yaeger skinął głową.

- Tak, ale trzeba by wziąć pod uwagę kilka czynników.

- Na przykład?

- Wysokość fali i jej szybkość.

- Musiała mieć co najmniej trzydzieści metrów wysokości i sunąć z chyżością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, aby tak daleko zanieść galeon w głąb dżungli, że nigdy go nie odnaleziono.

- Dobra, zobaczymy, co się da zwojować z pomocą grafiki komputerowej. Yaeger przebiegł palcami po klawiaturze, a kiedy na monitorze ukazał się obraz fali, podretuszował go, wykorzystując specjalnie do tego celu przeznaczoną funkcję, i z zadowoleniem opadł na oparcie krzesła.

- Proszę - oznajmił. - Rzeczywistość wirtualna we własnej osobie.

- A teraz niech pan dorysuje statek - polecił Sandecker.

Yaeger nie był specem od konstrukcji szesnastowiecznych galeonów, zdołał jednak wywołać zupełnie sugestywny wizerunek takiej jednostki, sunącej majestatycznie na fali; obraz dorównywał jakością filmowi rzucanemu z projektora z szybkością sześćdziesięciu klatek na sekundę.

- No i co pan sądzi, panie admirale?

Sandecker był wyraźnie pod wrażeniem.

- Aż trudno uwierzyć, iż maszyna może stworzyć coś równie realistycznego.

- Powinien pan pooglądać filmy komputerowe, w których nowe gwiazdy występują u boku dawno zmarłych. „Zachód słońca w Arizonie” oglądałem na wideo z tuzin razy.

- Kto grał?

- Humphrey Bogart, Lionel Barrymore, Marylin Monroe, Julia Roberts i Tom

Cruise. Efekt jest taki, jakby naprawdę wszyscy pojawili się na planie.

Sandecker wsparł dłoń na ramieniu Yaegera.

- No to przekonajmy się, czy stać pana chociażby na uczciwy filmik dokumentalny.

Yaeger znów wykonał na klawiaturze komputera swoje czary-mary i oto przed oczyma obu zafascynowanych mężczyzn niebieskie i aż niesamowicie prawdziwe morze zwarło się w konwulsji, uciekło falą od lądu, galeon zaś, pozbawiony nagle swej wodnej poduszki, osiadł na piaszczystym dnie jak zabawka na kołdrze dziecięcego łóżeczka. Potem fala na powrót ruszyła w stronę lądu, piętrząc się coraz wyżej i wyżej, porwała galeon, skryła go w rozszalałym piekle piany, wody i piasku, ze straszliwą prędkością poniosła nad wybrzeżem, aż wreszcie, coraz niższa i wolniejsza, wypuściła ze swych mokrych objęć i zostawiła w spokoju.

- Pięć kilometrów - mruknął Yaeger. - Wygląda na to, że jest pięć kilometrów od wybrzeża.

- Nic dziwnego, że zaginął po nim wszelki ślad - stwierdził Sandecker. - Sugeruję, żeby skontaktował się pan z Pittem i przefaksował mu koordynaty.

Yaeger z nieskrywaną przekorą popatrzył na Sandeckera.

- Czyżby jednak błogosławił pan poszukiwania, panie admirale?

Sandecker wstał, z wyrazem udanego zaskoczenia na twarzy, podszedł do drzwi, tuż przed wyjściem odwrócił głowę i posłał Yaegerowi demoniczny uśmiešek.

- Przecież nie mogę autoryzować czegoś, co może się okazać pogonią za mirażem, prawda?

- Sądzi pan zatem, że właśnie obejrzeliliśmy sobie miraż?

- Pan już zrobił swoje. - Sandecker wzruszył ramionami. - Jeśli statek naprawdę spoczywa w dżungli, nie zaś na dnie morza, robota spada na barki Pitta i Giordina. To oni muszą, wleźć w zielone piekło, żeby go odnaleźć.

Giordino uważnie przyjrzał się wyschniętej czerwonej plamie na kamiennej podłodze świątyni.

- Ani śladu po Amaru w całym tym gruzowisku - powiedział beznamiętnie.

- Ciekawe, jak daleko zdołał ujść? - rzucił w przestrzeń Miles Rodgers, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi. Przed południem on i Shannon przylecieli znad ofiarnej studni śmigłowcem pilotowanym przez Giordina.

- Musieli go wynieść kumple - zasugerował Pitt.

- Świadomość, że sadysta w rodzaju Amaru wciąż może być wśród żywych - powiedział Rodgers - odbiera człowiekowi nadzieję na spokojny sen.

Giordino wzruszył ramionami.

- Jeśli nawet przeżył atak raketowy, musiał umrzeć z upływu krwi.

Pitt odwrócił się i popatrzył na Shannon, która kierowała małym zespołem archeologów i dużo większym - robotników. Oznaczali numerami kamienne bloki konstrukcji świątyni, przygotowując je do prac renowacyjnych. Właśnie pochyliła się, aby zbadać coś, co dostrzegła wśród gruzów.

- Ludzie tacy jak Amaru nie umierają łatwo. Myślę, że prędzej czy później na pewno o nim usłyszymy.

- Ponura perspektywa - stwierdził Rodgers. - Zwłaszcza w kontekście ostatnich wieści z Limy.

Pitt pytająco uniósł brew.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że i tutaj dotarła wszechobecna CNN.

- I owszem. Helikopter, który wylądował mniej więcej godzinę temu, należał do peruwiańskiej agencji informacyjnej. Przywiózł zespół dziennikarzy i całą górę sprzętu. Miasto Zmarłych stało się sensacją międzynarodową.

- O czym zatem donieśli? - zapytał Giordino.

- Wojsko i policja przyznały, iż poniosły fiasko w próbie aresztowania tych renegatów z armii, którzy, wpadli tutaj, żeby popodrzynać nam gardła i ewakuować artefakty. Tym samym zresztą mogą się pochwalić agenci śledczy, którzy usiłowali pójść tropem rabusiów grobów z bandy Amaru.

Pitt uśmiechnął się do Rodgersa.

- Nie jest to raczej ten rodzaj meldunku, który dobrze się zaprezentuje w rocznym podsumowaniu efektywności działań.

- Władze próbowały ocalić twarz, przekazując mass mediom wersję, że

złodzieje wyrzucili swoje łupy nad górami i teraz skrywają się gdzieś w dżungli amazońskiej na terenie Brazylii.

- Wykluczone - powiedział Pitt - bo dlaczego służby celne Stanów Zjednoczonych domagały się z takim uporem, abyśmy dostarczyli im inwentarz skradzionych skarbów? Oni wiedzą lepiej. Nie, łup nie został zrzucony w górach. O ile dobrze zdołałem poznać ludzi stojących za Solpemachaco, zgaduję, że nie należą do tych, którzy łatwo wpadają w panikę i biorą nogi za pas. Wtyczki w armii na bieżąco przekazywały im niezbędne informacje, poczynając od chwili, kiedy wyznaczono oddział, który miał ich dopaść i pojmać. Bez wątpienia znali też rozkład lotów transportowców przewożących siły uderzeniowe, a potem opracowali bezpieczną trasę, która pozwoliłaby im uniknąć spotkania. Po szybkim spakowaniu zdobyczy udali się do wcześniej uzgodnionego punktu spotkania na lotnisku czy też w porcie, gdzie skradzione skarby zostały załadowane na pokład odrzutowca lub statku transportowego. Wątpię, czy Peru kiedykolwiek jeszcze ujrzy swoje historyczne skarby.

- Scenariusz zgrabny i z pozoru bezbłędny - powiedział w zadumie Rodgers - ale czy nie zapominasz przypadkiem, że te łobuzy miały załedwie jeden helikopter, skorośmy odebrali im drugi?

- A poza tym ten drugi rozwaliliśmy nad górami - dodał Giordino.

- Moim zdaniem impreza wyglądała tak: w ślad za bandą tanich łobuzów, wezwaną przez rzekomego doktora Millera, podążyły przynajmniej, dwa ciężkie śmigłowce transportowe, prawdopodobnie stare modele boeingów chinooków, na które można przecież natknąć się wszędzie, jak świat długi i szeroki. Biorą na pokład pięćdziesięciu ludzi albo dwadzieścia ton ładunku. Na ziemi pozostało dość najemników, aby cały towar załadować na pokłady maszyn; później mieli masę czasu na ewakuację, zanim my powiadomiliśmy władze peruwiańskie i zanim rzeczony władze peruwiańskie ze zwykłą sobie sprawnością zdołały zorganizować pościg lotniczy.

Rodgers patrzył na Pitta wzrokiem, który znowu był pełen podziwu. Tylko na Giordinie ta scena nie wywarła wrażenia. Przez długie lata ich współpracy wielokrotnie mógł się przekonać, że Pitt należy do tych rzadko spotykanych ludzi, którzy potrafią maksymalnie się skoncentrować i dokonać analizy wydarzeń aż do najdrobniejszych szczegółów i z nieprawdopodobnie trafnym wynikiem. Tak jak najwybitniejsi matematycy i fizycy dokonują w myślach niewiarygodnie

skomplikowanych obliczeń z biegłością niepojętą dla przeciętnego umysłu, tak i Pitt poruszał się zwykle na poziomie dedukcyjnym, dostępnym zaledwie kilku najwybitniejszym na świecie agentom śledczym. Giordina nieraz trafiał szlag, kiedy usiłował tłumaczyć coś Pittowi, podczas gdy błyszczące zielone oczy przyjaciela wpatrywały się w jakiś odległy, niedostrzegalny obiekt...

Kiedy Rodgers ważył w myślach zaproponowaną przez Pitta rekonstrukcję wydarzeń, usiłując znaleźć w niej błąd, Pitt obrócił uwagę na Shannon. Klęczała na posadzce świątyni i miękkim pędzelkiem ostrożnie usuwała drobiny kurzu i gruzu ze stroju grzebalnego.

Welniana tkanina ozdobiona była na korpusie wizerunkiem roześmianej małpy z obleśnie wyszczerzonymi zębiskami, na ramionach zaś i nogawkach - splecionymi węzami.

- Czy takie właśnie ciuchy nosili czaczapojańscy eleganci? - zapytał Pitt.

- Nie, to szata inkaska - odparła Shannon, nie odrywając się od pracy.

- Piękna robota - zauważył Pitt.

- Inkowie i ich przodkowie byli najlepszymi tkaczami i farbiarzami na świecie. Ich techniki tkackie są zbyt skomplikowane i pracochłonne, aby można je było dzisiaj wykorzystywać. Wciąż są niezrównanymi mistrzami splotu gobelinowego. Najdoskonalsi tkacze gobelinów renesansowej Europy używali trzynastu nitek na centymetr kwadratowy, dawni Peruwiańczycy potrafili ich spleść aż do osiemdziesięciu. Nic dziwnego, że Hiszpanie mniemali błędnie, iż co delikatniejsze hafty Inków to jedwabie.

- Może szkoda teraz czasu, aby zajmować się grafiką, ale mam nieodparte wrażenie, iż chciałabyś wiedzieć, że razem z Alem wykonaliśmy odręczne rysunki artefaktów, które wpadły nam w oko, nim zapadł się dach.

- Daj szkice doktorowi Ortizowi. On bardzo interesuje się tym, co zostało skradzione.

Potem, bez reszty pochłonięta swoją pracą, wróciła do wykopalisk.

Godzinę później Gunn znalazł Pitta siedzącego obok Ortiza; Peruwiańczyk kierował pracą kilku najemnych robotników, oczyszczających z roślinności rzeźbę, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie jaguara o wężowym łbie. W szeroko otwartej złowieszczej paszczęce widniały rzędy przerażająco zakrzywionych kłów. Potężna uskrzydłona sylwetka została wyrzeźbiona we frontonie wielkiego domu pogrzebowego i jedyne do niego wejście stanowiła właśnie rozdziawiona paszcza,

dostatecznie wielka, aby mógł się przez nią przecisnąć dorosły mężczyzna. Od łap do czubków uniesionych skrzydeł kamienna bestia miała przeszło sześć metrów wysokości.

- Głupio byłoby spotkać coś takiego w ciemnej uliczce - stwierdził Gunn.

Doktor Ortiz odwrócił się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Największa ze znalezionych dotąd rzeźb Czaczapojów. Myślę, iż pochodzi z mniej więcej trzynastego, może czternastego wieku naszej ery.

- Jakoś się nazywa? - zapytał Pitt.

- Demonio del Muertos - odparł Ortiz. - Demon zmarłych. Czaczapojański bóg, który był centralną postacią ochronnego rytuału związanego z kultem zmarłych. Skrzyżowanie jaguara, kondora i węża; zatapiał kły w każdym, kto ośmielił się zakłócić spokój zmarłych, a potem wciągał ofiarę w czarne otchłanie ziemi.

- Trudno go nazwać miłym facetem - stwierdził Gunn.

- Nikt tego od demona nie wymagał. Jego wyobrażenia bywały czasem tak wielkie jak to, na które patrzymy, czasem zaś nie większe od ludzkiej dłoni, zależnie od bogactwa i pozycji zmarłego. Przypuszczam, że znajdziemy takie wizerunki w każdym grobowcu i grobie doliny.

- Czy bóg starożytnych Meksykanów nie był czymś na kształt węża? - zapytał Gunn.

- Tak. Quetzalcoatl, pierzasty wąż, który był najważniejszym bóstwem Indian Ameryki Środkowej od czasów Olmeków w dziesiątym wieku przed Chrystusem aż do Azteków za hiszpańskiej konkwisty. Inkowie też mieli rzeźby węży, ale nie udało się ich powiązać ze środkowoamerykańskimi.

Kiedy Ortiz odszedł, przywołany przez jednego z robotników, aby przyjrzeć się małej figurce wygrzebanej w pobliżu posągu, Gunn ujął Pitta pod ramię i odprowadził go na stronę.

Usiedli na ziemi u podnóża kamiennej ściany.

- Tym ostatnim śmigłowcem z zaopatrzeniem przyleciał kurier z ambasady amerykańskiej - powiedział Gunn, wyjmując z nesesera kartonową teczkę. Podrzucił przesyłkę przefaksowaną z Waszyngtonu.

- Od Yaegera? - zapytał niecierpliwie Pitt.

- I od Yaegera, i od twojego przyjaciela Perlmuttera.

- Trafili na coś?

- Przeczytaj sam - odparł Gunn. - Julien Perlmutter dotarł do relacji człowieka,



który ocalał z galeonu rzuconego w dżunglę przez falę pływową.

- Jak na razie nieźle.

- Później jest jeszcze lepiej. Relacja wspomina o jaspisowym pudle zawierającym pozawężlane sznurki. Wygląda na to, że owe pudło wciąż spoczywa wśród gnijących szczątków galeonu.

- Kipu Drake'a! - Oczy Pitta rozjarzyły się jak latarnie.

- Wydaje się, że mit ma swoje realne podstawy - stwierdził Gunn z szerokim uśmiechem.

- A czego dokonał Yaeger? - zapytał Pitt, wertując papiery.

- Jego komputer zanalizował dostępne nam dane i wypluł z siebie współrzędne, które umiejscawiają galeon na obszarze mniej więcej dziesięciu kilometrów kwadratowych.

- A więc znacznie mniejszym, niż się spodziewałem.

- Powiedziałbym, iż nasze szanse na odnalezienie galeonu i jaspisowego pudła wzrosły tym samym o pięćdziesiąt procent.

- Niech będzie nawet trzydzieści - stwierdził Pitt, studiując przekazane przez Perlmuttera wszelkie znane fakty dotyczące konstrukcji, wyposażenia i ładunku „Nuestra Senora de la Concepción”. - Tylko cztery kotwice, zapewne zresztą zerwane przez falę, mogłyby dać sygnał na tyle wyraźny, żeby zdołał go przechwycić magnetometr. Jeśli chodzi o pozostałe elementy osprzętu, to musielibyśmy być od galeonu na rzut kamieniem. - EG&G Geometrics G-8136 może wyłapać nawet najmniejszą ilość żelaza z zupełnie przyzwoitej odległości.

- Czytasz w moich myślach. Frank Stewart ma takie urządzenie na pokładzie „Głębarka”.

- Będziemy potrzebować śmigłowca, żeby przetransportować aparat przez dżunglę - stwierdził Gunn.

- To twoja działka - odparł Pitt. - Kogo masz w Ekwadorze?

Gunn zastanawiał się przez moment, a potem rozjaśnił twarz uśmiechem.

- Tak się składa, że dyrektor naczelny Corporacion Estatal Petrolera Ecuatoriana, czyli państwowej agencji wydobycia ropy naftowej, ma wobec NUMY pewne zobowiązania. Nasza firma pchnęła go na trop pokaźnych złóż gazu ziemnego w Zatoce Guayaquil.

- No, to w rzeczy samej spory dług wdzięczności. Przynajmniej na tyle spory, że prośba o wypożyczenie śmigłowca nie będzie z naszej strony wyrazem lichwiarskiej

pazerności.

- Tak, można chyba zaryzykować takie stwierdzenie.

- Ile potrzebujesz czasu, żeby potwierdzić jego słusność?

Gunn uniósł ramię i spojrzał na tarczę swojego starego wiernego timexa.

- Powiedzmy, dwadzieścia minut. Potem poinformuję Stewarta, że wskoczmy po magnetometr, no i skontaktuję się z Yaegerem, żeby potwierdzić jego informacje. Pitt popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Waszyngton nie jest za rogiem, a może o tym zapomniałeś? Urządzasz telekonferencję przy użyciu sygnałów dymnych czy zwierciadeł?

Gunn sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, co sprawiało wrażenie niewielkiego przenośnego telefonu.

- Iridium skonstruowany przez firmę Motorola. Cyfrowy, bezprzewodowy. Łączy z każdym punktem na świecie.

- Znam ten system - potwierdził Pitt. - Działa na bazie wzmocnionej sieci satelitarnej. Gdzie go ukradłeś?

- Nie gadaj tyle po próżnicy. - Gunn ukradkiem rozejrzał się po ruinach. To zaledwie chwilowa pożyczka. Od peruwiańskiej ekipy telewizyjnej.

Pitt patrzył na swojego małego przyjaciela w okularach z rozrzewnieniem, a zarazem z podziwem. Rzadko się zdarzało, żeby nieśmiały Gunn zrzucił swoją akademicką skorupkę i dopuszczał się pokrętnego uczynku.

- Jesteś równy facet, Rudi, bez względu na to, co mówią na ten temat rubryki towarzyskie.

Budynki zostały zniszczone, skarby dawnej kultury uniknęły jednak ich losu. Grabieżcy skoncentrowali uwagę na królewskich grobowcach w pobliżu świątyni, ale interwencja Pitta uniemożliwiła im rozleglejsze wykopaliska w większości pozostałych grobów; wiele z nich zawierało szczątki wysokich dygnitarzy konfederacji czaczapojańskiej. Ortiz i jego archeolodzy Znaleźli też coś, co wyglądało na nie naruszone domy pogrzebowe ośmiu nobilów. Ortiz nie posiadał się z radości, kiedy znalazł nigdy nie otwierane, istic królewskie trumny w niemal dziewiczym stanie.

- Będziemy potrzebowali dziesięciu, może dwudziestu lat, żeby przeprowadzić w dolinie pełne prace wykopaliskowe - oświadczył w czasie zwyczajowej poobiedniej rozmowy. - Pod względem jakości i ilości znalezionych zabytków żadne odkrycie w obu Amerykach nie może równać się z naszym. Musimy pracować powolutku, nie można przegapić ani jednego nasionka kwiatu, ani jednego paciorka naszyjnika.

Niczego nie możemy przegapić, ponieważ mamy niepowtarzalną okazję, aby na kulturę czaczapojańską spojrzeć zupełnie nowym wzrokiem.

- Ma więc pan wyraźnie określone pole działania - stwierdził Pitt. - Tuszę, że żadne z czaczapojańskich dzieł sztuki nie zostanie skradzione w drodze do muzeum?

- Prawdę mówiąc, akurat najmniej niepokoi mnie jakkolwiek niemiła przygoda, do której mogłoby dojść pomiędzy tym miejscem a Limą - odparł Ortiz. - Liczba artefaktów skradzionych z muzeów dorównuje liczbie zrabowanych z grobowców.

- Czy nie macie systemu bezpieczeństwa, który skutecznie chroniłby wasze skarby narodowe? - zapytał Rodgers.

- Mamy, ale profesjonalni złodzieje dzieł sztuki są bardzo sprytni. Często zastępują oryginalny eksponat kunsztownie wykonaną podróbką. Niekiedy mijają miesiące, nawet lata, zanim kradzież zostanie ujawniona.

- Zaledwie trzy tygodnie temu - wtrąciła Shannon - Muzeum Dziedzictwa Narodowego w Gwatemali doniosło o kradzieży prekolumbijskich obiektów sztuki Majów o wartości niemal ośmiu milionów dolarów. Złodzieje, przebrani za strażników, wynieśli skarby w godzinach zwiedzania, jakby po prostu przerzucali je z jednego skrzydła muzeum do drugiego. Nikt nie wpadł na pomysł, żeby ich zatrzymać i zapytać, co robią.

- Moim faworytem - powiedział Ortiz bez uśmiechu - jest kradzież czterdziestu pięciu dwunastowiecznych pucharów z dynastii Shang, której dokonano w muzeum pekińskim. Złodzieje ostrożnie zdemontowali witryny i poprzestawiali pozostałe przedmioty: wyglądało na to, że niczego nie brakuje. Minęły trzy miesiące, zanim kustosz dostrzegł, że tego i owego jednak nie ma.

Gunn uniósł okulary do światła, szukając na nich zanieczyszczeń.

- Nie miałem pojęcia, że kradzież dzieł sztuki jest tak pospolitym przestępstwem.

Ortiz skinął głową.

- W Peru kradzieże cennych kolekcji dzieł sztuki starożytnej są równie częste jak napady rabunkowe na banki. Jeszcze smutniejsze jest to, iż złodzieje stają się zuchwali, nie mają żadnych zahamowań. Mogą uprowadzić kolekcjonera dla okupu, którym jest, oczywiście, jego kolekcja. W wielu wypadkach po prostu mordują takiego gościa, a dopiero później okradają jego dom.

- A więc mieliście dużo szczęścia, że zaledwie część skarbów Miasta Zmarłych

została złupiona, zanim powstrzymano rabusiów - stwierdził Pitt.

- W rzeczy samej. Ale, niestety, najlepsze dzieła sztuki już wywędrowały z kraju.

- To dziwne, że huaqueros nie odkryli miasta już dawno temu - powiedziała Shannon, ze wszystkich sił unikając wzrokowego kontaktu z Pittem.

- Pueblo de los Muertos leży w odosobnionej dolinie, dziewięćdziesiąt kilometrów od najbliższej wioski - odparł Ortiz. Podróżowanie w tych stronach, szczególnie piechotą, to prawdziwa udręka. Tubylcy nie mają powodu, dla którego mieliby przez siedem, osiem dni przedzierać się przez dżunglę w poszukiwaniu czegoś, co istnieje zaledwie w ich mglistych legendach. Hiram Bingham odkrył Machu Picchu na szczycie góry, tubylcy nigdy się tam nie zapuszczali. Potomkowie Czaczapojów wciąż wierzą, że starożytne ruiny położone na wschód od nich, w gęstej dżungli na zboczach gór, są chronione przez demona, takiego jak ten, którego znaleźliśmy po południu. To, oczywiście, nie powstrzymałoby zatwardziałego huaquero, ale przeciętni tubylcy śmiertelnie boją się nawet zbliżyć do takich rzeźb.

Shannon przytaknęła.

- Wielu wciąż gotowych jest przysiąc, że każdy, kto znajdzie Miasto Zmarłych i do niego wkroczy, obróci się w kamień.

- Tak, tak - mruknął Giordino. - Stary numer. Niech będzie przeklęty ów, kto niepokoi me kości.

- Skoro nikt z nas nie czuje sztywnienia stawów - stwierdził pogodnie Ortiz - należy mniemać, iż złe duchy nawiedzające ruiny straciły swoją moc.

- Szkoda jednak, że ta zła siła nie zareagowała na Amaru i jego rabusiów - powiedział Pitt.

Rodgers stanął za Shannon i władczy gestem położył dłoń na jej karku.

- Jutro chyba nas żegnasz - zwrócił się do Pitta.

Shannon wyglądała na zaskoczoną i nie usunęła się spod dłoni Rodgersa.

- Czy to prawda? - zapytała, patrząc na Pitta. - Wyjeżdżasz?

- Tak. - Gunn wyprzedził odpowiedź Pitta. - Najpierw lecimy na statek, a potem ruszamy na północ do Ekwadoru.

- Nie zamierzacie chyba poszukiwać w Ekwadorze galeonu, o którym mówiliśmy na pokładzie „Głębarka”? - zapytała Shannon.

- Czy przychodzi ci na myśl lepsze miejsce?

- Dlaczego Ekwador? - zapytała z uporem.

- Al zagustował w tamtejszym klimacie - odparł Pitt, z rozmachem waląc przyjaciela w plecy.

Giordino skinął głową.

- No i słyszałem, że tamtejsze dziewczyny są ładne i chutliwe ponad wszelką miarę.

- A ty? - Shannon z zainteresowaniem spojrzała na Pitta.

- Ja? - zdumiał się niewinnie. - Ja zamierzam łowić sobie ryby.

- Ładny mi wybór - powiedział szef między stanowego wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki przy Federalnym Biurze śledczym, Francis Ragsdale. Sadowił się właśnie na pokrytej skajem kanapce w knajpie o wystroju utrzymanym w chromowanym stylu lat pięćdziesiątych, studiował karteczki z nazwiskami wykonawców na pilocie połączonym przewodem z szafą grającą Wurlitzera, Stan Kenton, Charlie Barnett, Stan Getz. Kto kiedy słyszał o tych facetach?

- Tylko ludzie, którzy doceniają dobrą muzykę - odparł kwaśno Gaskill. Usadził swoje masywne cielsko na kanapie po przeciwnej stronie stołu, zajmując dwie trzecie jej powierzchni.

- Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie. - Ragsdale wzruszył ramionami. Miał trzydzieści cztery lata i większość muzyków minionej epoki była dlań ledwie nazwiskami wymienianymi od czasu do czasu przez rodziców. - Często tu bywasz?

Gaskill przytaknął.

- Żarcie jest prima sort.

- Trudno to nazwać rekomendacją konesera. - Ragsdale, starannie wygolony brunet o falistych włosach i nieźle wyćwiczonym ciele, miał przystojne oblicze, miłe szare oczy i tępowy wyraz twarzy aktora podrzędnych cikliwych seriali telewizyjnych. Był dobrym detektywem, traktował pracę poważnie i pielęgnował wizerunek swojej firmy, nosząc ciemne eleganckie garnitury, które przydawały mu wyglądu wziętego maklera z Wall Street.

Z profesjonalną wrażliwością na szczegóły otaksował spojrzeniem pokrywającą podłogę linoleum, okrągłe taboreciki przy barze, serwetniki z epoki i utrzymane w stylu art deco pojemniczki na sól i pieprz, ustawione na stole obok butelki keczupu Heinza i słoiczka francuskiej musztardy. Wyraz jego twarzy odzwierciedlał niesmak człowieka z lepszych sfer, który czuje, że trafił do niewłaściwej bajki. Bez wątpienia wolałby jedną z bardziej szpanerskich restauracji w centrum Chicago.

- Malownicze miejsce. Hermetycznie zabutelkowane w Strefie Zmierzchu. - Właściwa atmosfera to połowa sukcesu - odparł z rezygnacją Gaskill.

- Jak to jest, że kiedy ja stawiam, jemy w lokalach pierwszej klasy, a kiedy przychodzi twoja kolej, lądujemy w jadłodajniach dla ubogich emerytów?

- Tam zawsze mogę liczyć na dobry stółik.

- A jedzenie?

- To najlepszy lokal, jaki znam, jeśli chodzi o kurczaki - odparł Gaskill z

uśmiechem.

Ragsdale posłał mu spojrzenie osoby dręczonej niestrawnością i zignorował menu - odbity na powielaczu arkusik wetknięty między foliowane okładki.

- Odrzucę ostrożność na bok i zaryzykuję botulizm, prosząc o talerz zupy i filiżankę kawy.

- Gratuluję załatwienia kradzieży z Muzeum Fairchilda w Scarsdale. Jak słyszałem, odzyskałeś dwadzieścia zaginionych jaspisowych rzeźb z czasów dynastii Sung.

- Dwadzieścia dwie. Muszę przyznać, że początkowo ominąłem najmniej oczywistego z podejrzanych; dopóki nie zawiedli mnie ci najbardziej prawdopodobni. Siedemdziesięciodwuletni szef ochrony, któż mógł na to wpaść? Pracował w muzeum jakieś trzydzieści dwa lata. Akta czyste jak świeżo wymyte dłonie chirurga. Kustosz nie chciał uwierzyć, dopóki staruszek się nie złamał i nie wyznał wszystkiego. Po jednej podkradał rzeźbione figurki w ciągu czterech lat, wracając do muzeum po jego zamknięciu. Wyłączał system alarmowy, wytrychem otwierał zamki witryn i na sznurku spuszczał rzeźby w krzaki pod oknem łazienki. Zastępował skradzione rzeźby w witrynach mniej wartościowymi eksponatami z magazynów w podziemiach. Zmieniał też etykiety katalogowe. Nawet ustawiał figurki tak, żeby w witrynach nie zostawały ślady kurzu. Pracownikom muzeum bardzo zaimponowała jego technika wystawiennicza.

Do stolika podeszła kelnerka, archetyp wszystkich kelnerek, które obsługują bary i stoły w małomiasteczkowych kafejkach czy restauracjach dla kierowców ciężarówek - z ołówkiem zatkniętym za rąbek śmiesznego czepeczka, szczękami zapamiętałe żującymi gumę i pończochami ortopedycznymi, kryjącymi żyłki. Dobyła ołówka i wyczekująco zawiesiła go nad małym zielonym notesikiem.

- Czy mogę zapytać, jaką zupę dzisiaj polecacie? - rzucił wyniośle Ragsdale.

- Soczewica curry z szynką i jabłkiem.

Ragsdale podniósł głowę i popatrzył na nią z natężeniem.

- Czy mnie uszy nie mylą?

- Mam powtórzyć?

- Nie, niech będzie ta zupa z soczewicy.

Kelnerka lekceważąco machnęła ołówkiem w stronę Gaskilla.

- Wiem, czego pan chce. - Przekazała niewidocznemu kucharzowi zamówienie głosem, w którym słyhać było zgrzyt mielonego szkła i grubego żwiru.

- Co po trzydziestu dwóch latach skłoniło szefa straży do wejścia na złodziejską ścieżkę? - zapytał Gaskill, podejmując rozmowę.

- Zamiłowanie do egzotycznej sztuki. Staruszek uwielbiał dotykać i pieścić figurki, kiedy nikogo nie było w pobliżu, ale potem nowy kustosz w ramach środków oszczędnościowych obciął mu pensję, kiedy on oczekiwał podwyżki. To doprowadziło szefa straży do szału i obudziło w nim pragnienie posiadania na własność figurynek z ekspozycji. Wydawało się, że tej kradzieży mógł dokonać albo zespół pierwszorzędnych zawodowców, albo ktoś z muzeum. Wyeliminowałem wszystkich prócz szefa ochrony i uzyskałem nakaz rewizji w jego domu. Stały tam wszystkie nad kominkiem, każda zaginiona sztuka, jak nagrody za zwycięstwa w meczach w kręgle...

- Pracujesz nad czymś nowym? - spytał Gaskill.

- Właśnie zafundowali mi następną sprawę.

- Kolejna kradzież w muzeum?

Ragsdale pokręcił głową.

- Kolekcja prywatna. Właściciel wyjechał do Europy na dziewięć miesięcy, a kiedy wrócił do domu, zastał puste ściany. Osiem akwarel Diega Rivery.

- Widziałem jego fresk robiony dla Instytutu Sztuk w Detroit.

- Kolesie z towarzystwa ubezpieczeniowego toczą pianę z pysków, bo akwarele ubezpieczono na czterdzieści milionów dolarów.

- Być może, będziemy się mogli w tej sprawie wymienić informacjami.

Ragsdale popatrzył nań pytająco.

- Sądzisz, że służby celne mogą tym być zainteresowane?

- Możliwe, że mamy sprawę, która wiąże się z tamtą.

- Zawsze rad przyjmuję pomocną dłoń.

- Widziałem zdjęcia czegoś, co może okazać się twoimi akwarelami Rivery, w zakurzonym pudle z biuletynami skradzionych dzieł sztuki. Moja siostra kupiła stary dom i wyrzuciła z niego takie śmieci. Będę miał pewność, kiedy porównam je z twoją listą. Jeśli istnieje tu jakiś związek, cztery z owych akwarel zaginęły z Uniwersytetu Meksykańskiego w 1923 roku. Jeśli zostały zatem przemycone do USA, sprawa zasługuje na zainteresowanie służb celnych.

- Stare dzieje.

- Niezupełnie. Chodzi o skradzione dzieła sztuki - poprawił go Gaskill. - Osiem miesięcy później z wystawy w Luwrze zniknęło sześć Renoirów i cztery Gauguiny.

- Rozumiem, że robisz aluzję do tego króla złodziei... jakże on się nazywał?



- Fantom - odparł Gaskill.

- Nasi światli poprzednicy w departamencie sprawiedliwości nigdy go nie dopadli, nieprawdaż?

- Nigdy go nawet nie zidentyfikowali.

- Sądzisz, że maczał palce w tej dawniejszej kradzieży obrazków Rivery?

- Czemu nie? Fantom w dziedzinie kradzieży dzieł sztuki był tym, kim Raffles w kradzieży diamentów. No i facetem równie teatralnym. Zaliczył co najmniej dziesięć z największych w dziejach kradzieży dzieł sztuki. Próżny koleś, zawsze zostawiał po sobie sygnaturę.

- Wiem, wiem, coś z białą rękawiczką - powiedział Ragsdale.

- To był Raffles. Fantom zostawiał mały kalendarz z zaznaczoną kółkiem datą następnej akcji.

- Zuchwały sukinsyn, to mu trzeba przyznać.

Podano duży owalny półmisek czegoś, co wyglądało jak kurczak ułożony na ryżu. Towarzyszyła mu apetycznie wyglądająca sałata. Ragsdale natomiast pośpiesznie przyjrzał się zawartości swojego talerza z zupą i podniósł wzrok na kelnerkę.

- Spodziewam się, że w tej melinie nie podają niczego oprócz piwa w puszkach?

Siwiejąca kelnerka popatrzyła nań z góry i obdarzyła uśmiechem starej prostytutki.

- Cóż, kitek, mamy butelkowe i mamy wino. Co wolisz?

- Butelkę waszego najlepszego burgunda.

- Sprawdzę u kelnera od win. - Nim pozełgowała w stronę kuchni, puściła oko do swego rozmówcy. Oko bardzo solidnie pomalowane.

- Aha, zapomniałem ci wspomnieć o sympatycznej obsłudze - powiedział z uśmiechem Gaskill.

Ragsdale, na którego twarzy malowała się podejrzliwość, zanurzył w zupie łyżkę, po czym ostrożnie posmakował jej zawartość. Potem popatrzył na współbiedniaka szeroko otwartymi oczyma.

- Dobre nieba! Sherry, cebulki, ząbki czosnku, rozmaryn i trzy rozmaite gatunki grzybów. To jest przepyszne! - Ciekawie zerknął w talerz Gaskilla. - Co zamówiłeś, kurczaka?

Gaskill z lekka przechylił swój talerz, aby Ragsdale mógł ujrzeć jego zawartość.

- Ciepło. Specjalność lokalu: marynowana przepiórka z rusztu na bulgurze z rodzynkami, szalotkami, puree z zapiekanej marchwi i porami z imbirem.

Ragsdale miał miną człowieka, którego żona obdarzyła trojaczkami.

- Zrobiłeś ze mnie kretyna.

- Sądziłem, że interesuje cię lokal z dobrym jedzeniem - odparł z urazą Gaskill.

- To jest fantastyczne, ale gdzie tłumy? Przecież ludzie powinni się tu pchać drzwiami i oknami.

- Właściciel i kucharz, który, nawiasem mówiąc, pracował kiedyś w londyńskim „Ritzu”, zamyka kuchnię w poniedziałki.

- Dlaczego więc otworzył ją dla nas? - spytał ze zdumieniem Ragsdale.

- Odzyskałem dlań kolekcję średniowiecznych utensyliów kuchennych, skradzioną z jego domu w Anglii i przeschmuglowaną do Miami.

Wróciła kelnerka i podetknęła Ragsdale'owi pod nos butelkę, aby mógł przeczytać etykietę.

- Patrz, kitek, chateau chantilly 1878. Masz niezły gust, ale czy zapłacisz osiem tysięcy dolców za butelkę?

Ragsdale nieco otepiał wpatrywał się w zakurzoną flaszkę i wyblakłą etykietkę.

- Nie, nie, wystarczy dobry kalifornijski cabernet - wykrztusił wreszcie.

- Hm, kitek, a co byś powiedział na średnio ciężkie bordeaux z 1988? Powiedzmy w granicach trzydziestu dolców?

Oniemiały Ragsdale skinieniem głowy wyraził zgodę.

- To jakiś totalny odjazd.

- Najbardziej ujmuje mnie w tym lokalu jego niespójność. - Gaskill podelektował się kęsem przepiórki. - Któż spodziewałby się tak wyśmienitej kuchni w zwykłej jadłodajni?

- Masz słuszność, to dwa różne światy.

- A wracając do naszej rozmowy - ciągnął Gaskill, elegancko wyłuskując kostkę swymi potężnymi czerwonymi palcami - to mało brakowało, a dostalbyś w łapy jeszcze coś z łupów Fantoma.

- Tak, słyszałem o waszej schrzanionej akcji - wymamrotał Ragsdale, z trudem próbując uporządkować myśli. - Peruwiańska mumia pokryta złotem, prawda?

- Sarkofag z Tiapollo.

- Gdzieżeście nawalili?

- Zawiniła przede wszystkim zła koordynacja. Mieliliśmy na oku apartament właściciela, a gang złodziei, udających pracowników firmy przeprowadzkowej, wyniósł mumię z mieszkania na niższym piętrze. Sarkofag był tam ukryty wraz z

większym zbiorem innych dzieł sztuki, wszystkich bez wyjątku z mętną przeszłością.

- Ta zupa jest rewelacyjna - stwierdził Ragsdale, usiłując zwrócić na siebie uwagę kelnerki. - Chyba zerknę jeszcze raz na menu i zamówię danie główne. Czy sporządziłeś już spis?

- Będzie pod koniec tygodnia. Podejrzewam, że w zakonspirowanych zbiorach mojego podejrzanego może być od trzydziestu do czterdziestu pozycji z listy poszukiwanych przez FBI skradzionych dzieł sztuki.

Podpłynęła kelnerka z winem i Ragsdale zamówił opiekanego łososia ze słodką kukurydzą, grzybami shiitake i szpinakiem.

- Trafny wybór, kitek - wycodziła, otwierając butelkę.

Zdumiony Ragsdale pokręcił głową, a dopiero później zwrócił uwagę na Gaskilla.

- Jak się nazywa ten kolekcjoner, który dołował gorące dzieła sztuki?

- Adolphus Rummel, bogaty złomiarz z Chicago. Masz jakieś skojarzenia w związku z jego nazwiskiem?

- Nie, ale nigdy też nie zetknąłem się z poważnym kolekcjonerem, który prowadziłby dom otwarty. Jest jakaś szansa, że Rummel zacznie gadać?

- Nie ma mowy - odparł z ubolewaniem Gaskill. - Już zatrudnił Jacoba Morganthalera i występuje na drogę sądową o zwrot swoich skonfiskowanych dzieł sztuki.

- „Kuglarz Jake” - rzucił z niesmakiem Ragsdale. - Przyjaciel i rycerz nababów czarnego rynku dzieł sztuki.

- Biorąc pod uwagę jego dorobek w uniewinnieniach, powinniśmy uważać się za szczęściarzy, że nie broni morderców i handlarzy narkotyków.

- Są jakieś podejrzenia na temat tego, kto ukradł złoty sarkofag?

- Najmniejszych. Czysta robota. Gdyby moja wiedza w tej kwestii miała pewne braki, byłbym skłonny uznać, że maczał w tym palce Fantom.

- Chyba że wskrzeszony. Musiałby mieć dobrze ponad dziewięćdziesiąt lat.

Gaskill uniósł kieliszek i Ragsdale nalał wina.

- Przyjmijmy, że miał syna albo też założył dynastię kontynuującą tradycje rodzinne.

- To jakaś myśl. Tyle że przez przeszło pięćdziesiąt lat nikt nie zostawiał kalendarzy z zakreślonymi datami następnych rabunków.

- Może weszli w przemyt lub fałszerstwa i porzucili te tanie teatralne gesty.

Współcześni zawodowcy wiedzą, że dzisiejsza technika śledcza potrafiłaby z takich kalendarzy wyczesać dostatecznie wiele dowodów, aby założyć im kajdanki.

- Może... - Ragsdale urwał, kiedy kelnerka przyniosła mu łososia. Powąchał danie i z rozkoszą omiół talerz rozanielonym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że smakuje równie dobrze, jak wygląda.

- Stuprocentowa gwarancja, kitek - wychrypiła kelnerka - albo zwracamy forszę. Ragsdale wypił wino i nalał sobie następny kieliszek.

- Słyszę pracę trybików w twoim mózgu. Którędy zamierzasz pójść?

- Ktokolwiek dopuścił się rabunku, nie uczynił tego, żeby uzyskać wyższą cenę od innego czarnorynkowego kolekcjonera - odparł Gaskill. - Przeprowadziłem pewne studia dotyczące złotego sarkofagu okrywającego mumię. Miał być zdobiony grawerowanymi kartuszami, relacjonującymi długi rejs flotyli inkaskich statków wiozących niewyobrażalny skarb, w tym olbrzymi złoty łańcuch. Jestem przekonany, że złodzieje dopuścili się rabunku, by znaleźć ślad prowadzący wprost do żyły złota.

- Czy sarkofag informuje o losach skarbu?

- Wedle legendy, został zakopany na wyspie śródlądowego morza. I jak łośoś?

- Najlepszy łośoś, jakiego w życiu jadłem - odparł radośnie Ragsdale. - I uwierz mi, to prawdziwy komplement. A zatem co dalej?

- Grawerunki na sarkofagu trzeba odczytać. Inkowie, w przeciwieństwie do Majów, nie mieli systemu zapisu bądź też ilustrowania wydarzeń, ale fotografie sarkofagu wykonane w Hiszpanii przed jego zrabowaniem zdecydowanie wskazują na to, iż obrazki układają się w znaczący ciąg. Złodzieje będą musieli skorzystać z usług eksperta, aby odczytać te hieroglify. Odczytywanie starożytnych piktogramów zaś nie jest dziedziną, w której aż się roi od specjalistów.

- A więc zamierzasz podążyć śladem tego, kto podejmie się tej roboty?

- Niezbyt wielki wysiłek, bo jest w tej dziedzinie ledwie pięciu wybitnych specjalistów. Dwoje z nich to małżeństwo o nazwisku Moore. Uważa się ich za najlepszych w branży.

Przyłożyłeś się do pracy domowej.

Gaskill wzruszył ramionami.

- Pazerność złodziei jest jedynym śladem, jakim dysponuję.

- Jeśli będą ci potrzebne usługi ze strony biura, wystarczy telefon.

- Dziękuję, Francis.

- I jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Czy mógłbyś przedstawić mnie kucharzowi? Potrzebowałbym protekcji w kwestii stolika na sobotni wieczór.

Po krótkim postoju na lotnisku w Limie, gdzie przejęli magnetometr EG&G, dostarczony z „Głębarka” śmigłowcem ambasady amerykańskiej, Pitt, Giordino i Gunn wsiedli na pokład samolotu rejsowego, który leciał do Quito, stolicy Ekwadoru, o drugiej nad ranem wylądowali w samym środku burzy z piorunami. Tuż za bramką kontroli paszportowej powitał ich przedstawiciel firmy nafiarskiej, reprezentujący dyrektora, z którym Gunn prowadził negocjacje w sprawie wypożyczenia śmigłowca. Spiesznie usadził ich w limuzynie, ta zaś, w towarzystwie furgonetki transportującej cały sprzęt, zawiozła ich na drugi koniec lotniska, gdzie czekał już w pełnej gotowości wyprodukowany przez koncern McDonnell Donylas śmigłowiec typu Explorer. Kiedy wysiadłszy z limuzyny Rudi Gunn odwrócił się, aby wyrazić wdzięczność, urzędnik firmy nafiarskiej bez słowa zasunął okno i gestem polecił szoferowi jechać.

- Jak człowiek na to patrzy, to aż mu się marzy takie życie, kiedy nie trzeba sobie brudzić rak - stwierdził Giordino.

- Mieli wobec nas nawet większe zobowiązania, niż sądziłem - rzekł Pitt, który niebaczny na ulewę miłośnie przypatrywał się wielkiej, czerwonej dwusilnikowej maszynie bez śmigła ogonowego.

- Dobry? - zapytał naiwnie Gunn.

- Jeden z najlepszych - odparł Pitt. - Stabilny, niezawodny, znakomicie reaguje na stery. Kosztuje mniej więcej dwa koma siedem miliona. Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszej maszynki do rozpoznania z powietrza.

- Jak daleko mamy stąd do Zatoki Caraquez?

- Mniej więcej dwieście dziesięć kilometrów. Tą zabawką wyrobimy się w niespełna godzinę.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz lecieć nad nieznanym terenem nocą, a poza tym w czasie burzy tropikalnej - bąknął Gunn, złożoną gazetą chroniąc głowę przed deszczem.

- Nie, zaczekamy do świtu.

Giordino wskazał śmigłowiec.

- Ja wiem tylko tyle, że nie przepadam za prysznicem w pełnych ciuchach. Wrzucmy manele na pokład i zdrzemnijmy się kilka godzin.

- Miód waści płynie z ust - rzekł z przekonaniem Pitt.

Kiedy tylko uporali się z załadunkiem, Gunn i Giordino odchyliłi oparcia dwóch pasażerskich foteli i już po kilku minutach spali jak zabici. Pitt, siedząc na

miejscu pilota, w świetle małej lampki studiował informacje dostarczone przez Yaegera i Perlmuttera. W wigilię poszukiwań wraku był zbyt podniecony, aby odczuwać zmęczenie. W większości ludzkich dusz natrętna myśl o skarbach wywołuje niezwłocznie taką przemianę, jakiej podlegał doktor Jekyll, stając się panem Hyde'em, Pittem wszakże nie powodowała pazerność, lecz pragnienie, by wkroczyć w nieznane i tam podążać śladami, pozostawionymi przez takich samych awanturników jak on sam, ludzi, którzy żyli i umierali w innej epoce, darując potomnym dziedzictwo tajemnic ze wszech miar godnych rozwikłania.

Jacy byli ci ludzie, którzy stali na pokładach szesnastowiecznych żaglowców? Co, oprócz łaknienia przygody i mętnej często perspektywy zdobycia fortuny, pchało ich w owe rejsy, trwające czasem trzy lata albo nawet dłużej, rejsy, w dodatku, odbywane na stateczkach niewiele większych niż współczesne jednopiętrowe domki na przedmieściach? Całe miesiące bez widoku ziemi, zęby wypadające z powodu szkorbutu, choroby i niedożywienie dziesiątkujące załogi... Z niejednej wyprawy powracali tylko oficerowie, którym przypadły większe i lepsze racje aniżeli zwykłym marynarzom. Z osiemdziesięciu ośmiu ludzi, jakich miał pod sobą Drake, przechodząc Cieśniną Magellana na Pacyfik, pozostało przy życiu pięćdziesięciu sześciu, gdy „Złota Łania” przybijała do nabrzeża w Plymouth.

Pitt oderwał się od tych rozważań i wrócił myślami do „Concepción”. Perlmutter przesłał mu plany i przekroje typowego hiszpańskiego galeonu, jaki królował na morzach w szesnastym i siedemnastym wieku. Pitta w szczególności interesowała ilość żelaza na pokładzie statku; czy było go dostatecznie wiele, aby mógł je wyłapać magnetometr? Bo Perlmutter był pewien, że obie armaty, wedle relacji znajdujące się na pokładzie statku, odlano z brązu, co oznaczało, że na instrumencie rejestrującym pole magnetyczne, wytwarzane przez żelazo, nie dadzą żadnego odczytu. Galeon miał cztery kotwice; ich łapy, groty i uchwyty były wprawdzie żelazne, trzony jednak wykonano z drewna - poza tym nie wisiały na łańcuchach, lecz konopnych linach. Jeśli w chwili kataklizmu statek stał na dwóch kotwicach, zapewne je natychmiast utracił, porwany jak piórko falą pływową; niewielkie były również szanse, że ocalały dwie pozostałe.

Pitt dokonał podsumowania całego żelastwa, jakie mogło być na pokładzie: okucia, narzędzia, wielkie ucho i czopy łożyska steru, obręcze więźby rejowej, szkle, bosaki, kociołek kuka, może beczka gwoździ, drobna broń palna, miecze i piki. Kule armatnie. Było to macanie na ślepo, bo Pitt w żadnym stopniu nie zasługiwał na

miano eksperta od szesnastowiecznych żaglowców i mógł właściwie polegać tylko na szacunkowych obliczeniach Perlmuttera. A z tych wynikało, że na pokładzie statku mogło się znajdować od jednej do trzech ton żelaza. To dość - taką przynajmniej Pitt żywił nadzieję - aby magnetometr z wysokości pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu pięciu metrów wychwycił anomalie magnetyczną tworzoną przez wrak galeonu. Jeśli złomu okaże się mniej, szanse znalezienia „Concepción” będą mniej więcej równe prawdopodobieństwu dostrzeżenia z samolotu butelki unoszącej się na środku południowego Pacyfiku.

Była jakaś piąta rano, a na wschodzie, ponad górami, jasny błękit nieba nabierał pomarańczowej barwy, kiedy pilotowany przez Pitta explorer znalazł się nad wodami zatoki Caraquez. Łodzie rybackie wychodziły w morze na połów, ich załogi zaś, zajęte przygotowywaniem sieci, odrywały się od pracy na widok lecącej nisko maszyny i machały rękoma. Pitt odpowiedział w ten sam sposób, kiedy cień explorera prześlizgiwał się nad niewielką flotyllą, by pomknąć ku wybrzeżu. Głęboki opalizujący błękit morza rychło ustąpił miejsca turkusowej zieleni, pocętkowanej smugami przyboju, świadcząc o tym, że dno unosiło się coraz wyżej, sunąc na spotkanie piaszczystej plaży.

Długie ramiona zatoki zbiegały się łukowo, ale nie schodziły, pozostawiając nieco miejsca na ujście rzeki Chone. Giordino, usadowiony w fotelu drugiego pilota, pokazał w prawo, gdzie rozciągało się niewielkie miasteczko poprzecinane wąskimi uliczkami i ozdobione wielobarwną frędzlą łodzi, wyciągniętych na plażę. Wokół miasta rozciągał się pas niewielkich gospodarstw rolnych, gdzie w zagrodach obok małych białych domków z wypalanej gliny pośród mnogich kóz przechadzały się nieliczne krowy.

Pitt powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki - w odległości dwu kilometrów od wybrzeża dostrzegł spienione bystrzyny; dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się nieprzebyta zielona dżungla.

- Zbliżamy się do dolnej połówki naszej siatki - rzucił Pitt przez ramię do Gunna, pochylonego nad magnetometrem.

- Pokrąż przez kilka minut, żebym mógł wszystko przygotować - odparł Gunn. - Al, mógłbyś spuścić hol z czujnikiem?

- Jak sobie życzysz - odparł Giordino, podnosząc się z fotela.

- Podejdę nad punkt, z którego zaczniemy pierwszy nalot, i tam poczekam, aż będziecie gotowi - rzekł Pitt.



Giordino ujął czujnik - przypominający kształtem rakiety powietrze-powietrze - otworzył klapę w podłodze śmigłowca, a potem powoli spuścił instrument na pępowinie jego przewodu.

- Czujnik o mniej więcej trzydzieści metrów pod nami - oznajmił.

- Łapię zakłócenia ze śmigłowca - powiedział Gunn. - Daj jeszcze dwadzieścia metrów.

Giordino wypełnił polecenie.

- No i jak teraz?

- Dobrze. Teraz poczekaj chwilę, aż nastawię rejestratory analogowe i cyfrowe.

- A co z kamerą i systemem gromadzenia danych?

- To też.

- Nie musicie się spieszyć. Jeszcze nie skończyłem wprogramowywać mojej siatki w komputer nawigacji satelitarnej.

- Pierwszy raz pracujesz na Geometrics G-813 G? - zapytał Giordino.

Gunn skinął głową.

- Używałem do badań podwodnych modelu G-801, ale z wersją napowietrzną widzimy się po raz pierwszy.

- Myśmy z Dirkiem wykorzystywali G-813 G, żeby zlokalizować chiński samolot pasażerski, który w zeszłym roku rozbił się opodal japońskich wybrzeży. Prowadził się jak porządna kobieta - wrażliwy, niezawodny, żadnych zmyłek, żadnych poprawek w kalibracji. Jeśli o mnie chodzi, partner idealny.

Gunn posłał mu wieloznaczne spojrzenie.

- Masz dziwny gust w kwestii kobiet.

- Zawsze podkręcały go roboty - stwierdził Pitt.

- Ani słowa więcej - rzekł z afekcją Giordino. - Ani słowa więcej.

- Słyszałem, że ten model precyzyjnie wychwytuje nawet niewielkie anomalie - poważniejąc, powiedział Gunn. - Jeśli on nie doprowadzi nas do „Concepción” - nic nie doprowadzi.

Giordino wrócił na miejsce drugiego pilota i spojrzał w dół, na odległy o nie więcej niż dwieście metrów lity zielony dywan; nawet najmniejszy prześwit nie pozwalał dostrzec ziemi.

- Nie sądzę, żebym miał tu ochotę spędzać wakacje.

- A kto by miał? - odparł Pitt. - Wedle Perlmuttera, można w tutejszych archiwach wytropić pogłoski, że tubylcy unikają tego rejonu. Julien powiada, że

znalazł w dzienniku Cuttilla wzmiankę, o inkaskich mumiach, wyrwanych z grobów przez falę pływową i ciśniętych w dżunglę. Wysoce przesądni mieszkańcy tych okolic żywią jakoby przekonanie, iż duchy ich przodków wciąż blakają się po dżungli, szukając swoich grobów.

- Możesz zrobić pierwszy nalot - oznajmił Gunn. - Wszystkie systemy włączone i dostrojone.

- W jakiej odległości od wybrzeża zaczniemy kosić trawnik? - zapytał Gunn, mając na myśli przeczesywanie dżungli pasmami o siedemdziesięciometrowej szerokości.

- Trzech kilometrów - odparł Pitt. - Potem, lecąc z północy na południe i vice versa, będziemy równolegle do brzegu przesuwać się coraz głębiej.

- A długość nalogów? - zainteresował się Gunn, nie spuszczać oka z cyfrowych displayów i pisaka, sunącego po wstędze papieru.

- Dwa kilometry przy szybkości dwudziestu węzłów.

- Moglibyśmy lecieć znacznie szybciej - zauważył Gunn. - Magnetometr pracuje w bardzo szybkim cyklu i z łatwością wyłapie anomalie nawet przy stu węzłach.

- Ale zrobimy to powoli i starannie - stanowczo oświadczył Pitt. - Jeśli nie przelecimy dokładnie nad celem, pole magnetyczne nie da żadnego odczytu.

- Jeśli nie wyłapiemy anomalii, zwiększymy obszar siatki.

- Właśnie. Jak w podręczniku. Nawet nie chce mi się liczyć, ileśmy razy odstawiali ten numer. - Pitt zerknął na Giordina. - Al, ty pilnuj wysokości, a ja skoncentruję się na precyzji nalogów.

Giordino skinął głową.

- Spróbuję utrzymać czujnik najniżej, jak się da, byle tylko nie zaczepił o korony drzew.

Słońce stało już wysoko, po jasnym niebie przepływało tylko kilka strzępiastych chmurek. Pitt po raz ostatni przebiegł wzrokiem po instrumentach.

- Dobra, chłopaki, no to znajdźmy wreszcie ten wrak.

Siedząc w kabinie śmigłowca, chronieni przed wilgotnym rozpalonym powietrzem dżungli aluminiową powłoką helikoptera i systemem klimatyzacji, latali w tę i z powrotem, ale do południa nie zwojowali nic: magnetometr nie zarejestrował najmniejszej anomalii. Ktoś, kto nigdy nie poszukiwał ukrytego obiektu, mógłby się zniechęcić, Pitt jednak, Gunn i Giordino traktowali to jako najzupełniej naturalne. Wszyscy doskonale znali przypadki poszukiwań wraków lub zaginionych samolotów,

które bezowocnie trwały po sześć tygodni.

Pitt z żelazną konsekwencją realizował plan, wiedząc z doświadczenia, że niecierpliwość bądź też odstępstwa od przyjętego zawczasu trybu poszukiwań zwykle prowadzą do kompletnego fiaska. Z dwóch możliwości - rozpoczęcia penetracji terenu od środka siatki i stopniowego poszerzania pola bądź też startu od podstawy i stopniowego przesuwania się w górę - wybrał bez wahania tę drugą. Uznał również za korzystne eliminowanie od razu obszarów jałowych, żeby nie tracić na nie czasu, kiedy rozpocznie naloty prostopadle do wybrzeża.

- Ileśmy przeczesali? - zapytał Gunn po raz pierwszy od rozpoczęcia akcji.

- Dwa kilometry w głąb siatki - odparł Pitt. - Dopiero wchodzimy w obszar uznany przez Yaegera za najbardziej prawdopodobny.

- Czyli pięć kilometrów od linii wybrzeża z 1578 roku.

- Tak. Wedle obliczeń komputerowych fala rzuciła galeon na co najmniej taką odległość.

- Zostało nam paliwa na trzy godziny lotu - oświadczył Giordino, stukając w szkiełka liczników. Nie zdradzał oznak nudy lub wyczerpania; wręcz przeciwnie - sprawiał wrażenie człowieka, który doskonale się bawi.

Z bocznej kieszeni swojego fotela Pitt wyjął tabliczkę z przyczepioną mapą i studiował ją przez kilka sekund.

- Portowe miasto Manta jest o pięćdziesiąt pięć kilometrów od nas. Ma zupełnie przyzwoite lotnisko, gdzie moglibyśmy zatankować.

- A skoro o paliwie mowa... - wtrącił Gunn. - Konam z głodu.

Był jedynym na pokładzie śmigłowca, człowiekiem, który miał wolne ręce, to on zatem rozdał kanapki i kawę, przewidując pozostawione przez obsługę techniczną.

- Dziwny smak ma ten syrek - mruknął Giordino, cynicznym spojrzeniem lustrując wnętrze swojego sandwicza.

- Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy - odparł z szerokim uśmiechem Gunn.

Dwie godziny i piętnaście minut później, po dwudziestu ośmiu nalotach, niezbędnych do przeczesania piątego i szóstego kilometra, zdecydowanie zaczynał się przed nimi rysować problem, minęli bowiem obszar wskazany przez Yaegera, żaden z nich zresztą nie wierzył, iż fala, wypiętrzona na wysokość trzydziestu metrów, mogła rzucić tak daleko w głąb lądu pięćsetsiedemdziesięciotonowy statek, w miarę jak

oddalali się od czarnego pola na tarczy poszukiwań, pewność siebie wyciekała z nich w narastającym tempie.

- Zaczynamy pierwsze pasmo siódmego kilometra - obwieścił Pitt.

- Za daleko, o wiele za daleko - mruknął Giordino.

- Zgadzam się - odrzekł Gunn. - Albośmy przegapili wrak, albo też spoczywa na południe lub północ od naszej siatki. Nie ma sensu dłużej tracić tu czasu.

- Skończmy najpierw siódmy kilometr - wycedził Pitt, nie spuszczając wzroku z deski rozdzielczej.

Gunn i Giordino znali go zbyt dobrze, aby podejmować dyskusję - wiedzieli, że jeśli Pitt coś sobie ubzdura, jest niewzruszony jak skała. Pitt, ze swojej strony, nie potrafił pozbyć się przeświadczenia, iż mimo gęstości dżungli i upływu setek lat szanse odnalezienia galeonu są nadal wysokie. Giordino zatem uważnie pilnował, aby czujnik prześlizgiwał się tuż ponad wierzchołkami drzew, Gunn zaś bacznym spojrzeniem śledził wstęgę papieru i odczyty cyfrowe.

Świadomi, że w pierwszym rozdaniu nie przypadła im dobra karta, przygotowywali się psychicznie na długie i żmudne poszukiwania. Na szczęście sprzyjała im pogoda: po czystym niebie tylko z rzadka przepływała niewielka chmurka, zachodni wiatr dął z mocą zaledwie pięciu węzłów. Z monotonią aury szła o lepsze monotonia pejzażu - las w dole rozsnuwał swą zieloność jak kolonia glonów. Nikt tu nie mieszkał, na poziomie gruntu bowiem nigdy nie wschodziło słońce, chociaż dzięki ciepłemu wilgotnemu klimatowi jak rok długi rozkwitały kwiaty, dojrzewały owoce i opadały liście. Tylko w bardzo niewielu miejscach promienie słoneczne były w stanie przeniknąć przez gęstą oponę gałęzi i pnączy.

- Zaznacz! - wybuchnął raptownie Gunn.

Pitt niezwłocznie odnotował koordynaty.

- Masz?

- Lekka zmiana odczytu. Nic wielkiego, ale na pewno anomalia.

- Zawróćmy?

Pitt pokręcił głową.

- Skończmy najpierw nalot i przekonamy się, czy dostaniemy mocniejszy odczyt, lecąc w przeciwnym kierunku.

Nikt nie odezwał się ani słowem, kiedy skończywszy przeczesywać pasmo, zrobili zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a potem, siedemdziesiąt pięć metrów dalej na wschód, przyjęli kurs przeciwny do dotychczasowego. Pitt i Giordino, prawie

stuprocentowo przekonani, że nie zdołają przebić wzrokiem gęstego listowia, nie potrafili jednak powstrzymać się od spoglądania w dół, na głuszę aż przerażającą w swym monotonnym pięknie.

- Nadlatujemy nad cel - oznajmił Pitt. - Jesteśmy dokładnie nad nim...

Czujnik, sunący za śmigłowcem na łukowato wygiętym holu, zastygł na moment ponad punktem, gdzie magnetometr wychwyił uprzednio anomalię.

- To wygląda nieźle! - wykrzyknął z podnieceniem Gunn. - Cyfry rosną. Zasuważ, kochanie, daj pełnokrwisty, solidny odczyt!

Pitt i Giordino, wyglądając przez okna po obu stronach kabiny, widzieli tylko tarasowate piętrzące się ku niebu wysokie korony drzew. Nie potrzeba było rozbuchanej fantazji, aby pojąć, że dżungla, uśpiona i śmiercionośna, jest miejscem zakazanym i niebezpiecznym, chociaż zagrożenia, czyhające w jej mrokach, można było sobie tylko wyobrazić.

- Mamy wyraźny cel - powiedział Gunn. - Nie jednolitą masę, lecz rozproszony odczyt... coś takiego, co, moim zdaniem, mogłyby dać poniewierające się po wraku kawałki żelaza.

Pitt, uśmiechnięty od ucha do ucha, wyciągnął ramię i obdarzył Giordina lekkim szturchańcem w ramię.

- Nie wątpiłem ani przez chwilę.

Giordino odwzajemnił uśmiech.

- To musiała być fala jak sto sukinsynów, żeby zanieść statek tak daleko w głąb lądu.

- Kalkuluje, że wysokości plus minus pięćdziesiąt metrów - odparł Pitt.

- Przejdź na kurs wschodnio-zachodni, żebyśmy mogli namierzyć oś anomalii.

- Pan każe, sługa musi - odparł Pitt, wprowadzając śmigłowiec w tak ostry skręt, że

Gunnowi żołądek podszedł do gardła. Pokonawszy pół kilometra, zszedł w bok i przyjął taki kurs, żeby nalecieć na cel z kierunku prostopadłego względem tego, jakim poruszał się dotychczas. Tym razem odczyty były mocniejsze i trwały nieco dłużej.

- Chyba przelecieliśmy nad galeonem od dziobu do rufy - powiedział Gunn. - To musi być tutaj.

Pitt zatrzymał maszynę w powietrzu, Gunn zaś przystąpił do uściślenia namiarów.

- Dwadzieścia metrów w prawo. Teraz cofnij o trzydzieści, za daleko. Dziesięć

metrów w przód. Tak trzymaj. Jest. Moglibyśmy spuścić kamień w sam środek.

Giordino wyciągnął zawleczkę z niedużego pojemnika i nonszalancko wyrzucił go przez okno. Pojemnik zniknął w koronach drzew, ale kilka sekund później z miejsca, gdzie przebił listowie, zaczęła wydobywać się smuga pomarańczowego dymu.

- Punkt zero oznaczony na mapie krzyżykiem - oznajmił pogodnie Giordino. -  
Chociaż nie mogę powiedzieć, że perspektywa przechadzki do owego punktu budzi we mnie wielki entuzjazm.

Pitt popatrzył na niego jak na wariata.

- Kto mówił o siedmiokilometrowej przechadzce przez ten botaniczny koszmar?

- A masz jakiś inny sposób dotarcia do wraku? - zapytał z ironią Giordino.

- Ten cud techniki awiacyjnej został wyposażony we wciągarkę. Możecie spuścić mnie na dół.

Giordino wbił wzrok w gęstą oponę dżungli.

- Uwięzniesz w gałęziach drzew, żadnym cudem nie zdołamy cię wyciągnąć.

- Nie ma obaw. Przed odlotem z Quito zbadalem zawartość szafki z narzędziami. Ktoś przewidująco zostawił w niej maczetę. Zjeżdżając w dół mogę wyrąbywać sobie drogę.

- Nic z tego - odrzekł z troską Giordino. - Nie mamy dość paliwa, żeby mieć cię na oku, kiedy będziesz się bawić w Mowglię, a później dotrzeć jeszcze do Manty.

- Wcale nie oczekuję, że będziecie parkować z włączoną taryfą za postój. Kiedy znajdzie się na ziemi, polecicie do Manty; zatankujecie i wróćcie po mnie.

- Możliwe, że będziesz musiał trochę połaźić, żeby znaleźć wrak, żadnym cudem nie dostrzeżemy cię z powietrza. Skąd mamy wiedzieć, gdzie spuścić linę?

- Wezmę ze sobą parę tych pojemników dymnych i jak ucziwy Indianin prześlę wam sygnał, kiedy usłyszę, że wracacie.

- Chyba nie zdołam wybić ci ze łba tego pomysłu. - Na twarzy Giordina malowało się wszystko prócz optymizmu.

- Ano, chyba nie zdołasz.

Dziesięć minut później Pitt tkwił już w uprzęży, którą linka łączyła z umocowanym na dachu śmigłowca mechanizmem wciągarki, obsługiwanej przez Gunna.

- Nie zapomnijcie przywieźć szampana, żebyśmy mieli czym uczcić sukces! - wrzasnął Pitt, przestępując drzwi śmigłowca.

- Powinniśmy wrócić za dwie godziny! - odwrzasnął w zgiełku silników Giordino.

Wcisnął guzik i Pitt zjechał poniżej płóz, a potem, jak gdyby wykonał skok na bombę w zielone głębiny oceanu, zniknął w gęstej warstwie listowia.

Pitt wisiał w swojej uprzęży, dzierżąc w prawej dłoni maczetę, a w lewej radio nadajnik; czuł się tak, jakby jeszcze raz spuszczano go w zieloną bryję studni ofiarnej. Nie miał pewności, jak wysoko jest nad ziemią, oceniał jednak, że odległość między koronami drzew a poszyciem wynosi przynajmniej pięćdziesiąt metrów. Postrzegana z powietrza, dżungla sprawiała wrażenie bezładnej masy roślinności, skłębionej w walce na śmierć i życie. Pnie najwyższych drzew pokrywała gruba warstwa pnączy, które usiłowały złapać choćby odrobinę słońca, gałązki zaś najbliższe nieba tańczyły w zawirowaniach powietrza, wywoływanych obrotami łopat śmigłowca, sprawiając przez to wrażenie falującego oceanu.

Przebijając się powoli przez pierwszy poziom zielonej powłoki, Pitt zasłonił oczy ramieniem, gdy mijał o milimetry wysokie drzewo mahoniowca, z którego wykwiwały kiście małych białych kwiatków. Bez trudu odbijał się stopami od co grubszych gałęzi, z wciąż niedostrzegalnej ziemi unosiły się kłęby pary. Wrzucony w ten świat wprost z klimatyzowanej kabiny śmigłowca, już po chwili zlany był własnym potem tryskającym z każdego poru skóry. Kiedy gorączkowo odpychał się od konara, nieuchronnie zmiernającego w miejsce między jego nogami, wystraszył parę małp, które z piskliwą paplaniną zniknęły po przeciwnej stronie pnia.

- Mówiłeś coś? - zapytał Gunn przez radio.

- Spłoszyłem baraszkujące małpy - odparł Pitt.

- Mamy opuszczać cię wolniej?

- Nie, tak jest dobrze. Przeszedłem przez pierwszą warstwę listowia. Teraz przebijam się przez coś, co przypomina laur.

- Krzycz, kiedy będziesz chciał, żebyśmy cię przesunęli w lewo lub w prawo - dorzucił Giordino.

- Utrzymujcie swoją pozycję - polecił Pitt. - Jeśli będziemy się wiercić, lina splącze się z koronami drzew i będę tu wisieć do późnej starości.

Dotarł do jeszcze gęstszego labiryntu gałęzi, ale szybko zdołał wyciąć sobie maczetą tunel i nie musiał prosić Gunna, żeby opuszczał go wolniej. Dokonywał wtargnięcia w świat rzadko oglądany ludzkim okiem, świat piękny i niebezpieczny. Gargantuicznie rozrośnięte pnącza w desperackiej pogoni za światłem pełżyły po wysokich drzewach, czasami wczepiając się w gospodarzy mackami i haczykami, czasami zaś wijąc się ku górze. Wielkie płachty mchu zwisały z gałęzi drzew niczym pajęczyny w krypcie z filmu grozy. Ale istniało też piękno: ogromne girlandy orchidei



niczym sznurki lampek choinkowych spiralnie pięły się ku niebu.

- Widzisz ziemię? - zapytał Gunn.

- Jeszcze nie. Zaraz się przebiję przez niewielkie drzewo, które wygląda jak palma z dzikimi śliwkami, a potem będę musiał się wywikłać z płataniny zwisającej winorośli.

- Moim zdaniem to nosi nazwę lian.

- Botanika nigdy nie była moją mocną stroną.

- Mógłbyś złapać jedną z nich i pobawić się w Tarzana - stwierdził Gunn, usiłując w tę potencjalnie niebezpieczną sytuację wprowadzić odrobinę humoru.

- Pod warunkiem, że jakaś Jane... - Pitt nagle urwał.

- O co chodzi? - Gunn zmartwiało. - Wszystko w porządku?

Kiedy Pitt odpowiedział, jego głos był niewiele mocniejszy niż szept.

- O mały włos byłbym złapał coś, co wyglądało jak wyjątkowo grube pnącze. A był to wąż rozmiaru rury kanalizacyjnej z mordą jak aligator.

- Jaki miał kolor?

- Czarny z żółto-brązowymi plamkami.

- Boa dusiciel - wyjaśnił Gunn. - Mógłby cię życzliwie przytulić do serca, ale nie jest jadowity. Poklep go ode mnie po łebku.

- Już się rozpędziłem - parsknął Pitt. - Jeśli tylko stwierdzę, że chociażby zezuje w moją stronę, potraktuję go Madame LaFarge.

- Kim?

- Moją maczetą.

- Co jeszcze widzisz?

- Kilka wspaniałych motyli, sporo owadów, które wyglądają jakby pochodziły z innej planety, i papugę. Nie ma śmiałości, żeby poprosić mnie o ciasteczko. Niesamowite, jakie wielkie kwiaty wyrastają z pni drzew. To są fiołki wielkości mojej głowy.

Rozmowa urwała się, kiedy Pitt zaczął się przedzierać przez najniższe drzewa z gęstymi gałęziami. Pocił się jak bokser w ostatniej rundzie walki o mistrzostwo świata, jego ubranie było kompletnie przemoczone rosą osiadłą na liściach drzew. Kiedy unosił maczetę do ciosu, otarł się ramieniem o pnącze zbrojne w kolce, które jak pazury kota rozdarły mu koszulę i przecięły skórę na przedramieniu. Na szczęście draśnięcia nie były głębokie ani bolesne, zbagatelizował je zatem.

- Zatrzymajcie wciągarkę - powiedział, czując pod stopami stały grunt. -

Wylądowałem.

- Widzisz galeon? - zapytał z niepokojem Gunn.

Pitt nie odpowiedział od razu. Włożył maczetę pod ramię i zatoczył na pięcie pełny krąg, odpinając jednocześnie uprząż. Czuł się tak, jakby wylądował na dnie liściastego oceanu. Niewiele tu było światła, a dostępna jego odrobina miała w sobie ową fantastyczną niesamowitość, z którą ma do czynienia nurek na głębokości sześćdziesięciu metrów pod powierzchnią morza. Gęsta roślinność wygłuszała większą część spektrum kolorów z docierającej tu odrobiny słonecznego blasku, pozostawiając zaledwie zielen i błękit przemieszane z szarością.

Miłą niespodziankę sprawił Pittowi fakt, iż dżungla na poziomie gruntu nie jest nieprzebyta; wbrew jego oczekiwaniom nie leżały tutaj stosy gnijącej roślinności. Wyjawszy miękką wykładzinę gnijących liści i gałązek, poszycie pod parasolem ochronnym drzew było w zasadzie nie zarośnięte. Teraz, stojąc w tych bezsłonecznych głębinach, Pitt z łatwością pojął, dlaczego wegetacja jest tutaj tak anemiczna.

- Nie widzę niczego, co przypominałoby kadłub statku - powiedział - żadnych wręg, żadnych pokładników, żadnego kilu.

- Pudło - stwierdził Gunn, nie próbując ukryć rozczarowania w głosie. - Magnetometr wyłapał zapewne naturalne złożę żelaza.

- Nie - odrzekł Pitt z wymuszonym spokojem. - Tego bym nie powiedział.

- No to co nam próbujesz powiedzieć?

- Tylko to, że grzyby, insekty, bakterie, które tu bytują, urządziły sobie ucztę z każdego organicznego elementu statku. Niezbyt to zaskakujące, jeśli weźmie się pod uwagę, że miały czterysta lat na tę kolacyjkę.

Gunn zamilkł, nie pojmując zrazu sensu tej wypowiedzi, a potem doznał olśnienia.

- O mój Boże! - wrzasnął głosem zdławionym z emocji. - Znaleźliśmy go?! Naprawdę stoisz na wraku galeonu?

- W samym środeczku.

- I powiadasz, że zginęły wszelkie ślady kadłuba? - wtrącił Giordino.

- Wszystko, co pozostało, jest pokryte warstwą mchu i humusu, ale dostrzegam chyba kształty jakichś ceramicznych naczyń, kilka rozrzuconych kul armatnich, jedną kotwicę i niewielki stosik kamieni balastowych. Całość przypomina opuszczone obozowisko, na którego szczątkach wyrosły drzewa.

- Mamy pałętać się w pobliżu?

- Nie, zasuwasz do Manty i uzupełnijcie paliwo, a ja przez ten czas poniucham za tym jaspisowym pudłem.

- Mamy ci coś spuścić?

- Chyba nie będę potrzebował niczego prócz maczety.

- Masz jeszcze te pojemniczki dymne?

- Dwa, przypięte do pasa.

- Otwórz jeden z nich, kiedy tylko usłyszysz, że wracamy.

- Bez obawy - odparł pogodnie Pitt. - Nie mam najmniejszego zamiaru wracać stąd piechotą.

- No to do zobaczenia za dwie godziny - odrzekł Gunn, nie posiadając się z radości.

- Spróbujcie się nie spóźnić.

W odmiennych okolicznościach i w innym czasie milknące silniki eksplorera zabrzmiałyby przygnębiająco, ale Pitta ekscytowała świadomość, że gdzieś tu, w niewielkiej odległości od miejsca, w którym stoi, zagrzebany w prastarych śmieciach spoczywa klucz do olbrzymiego skarbu. Nie oddał się bezładnemu wścieklemu kopaniu. Zamiast tego powoli obszedł rozrzucone szczątki „Concepción”, badając jej pozycję i wzajemne ułożenie różnych elementów. Niewielki nasyp śmieci zdawał się stanowić obrys kadłuba. Trzon i łapa kotwicy sterczące z humusu i warstwy później opadłych liści wskazywały pozycję dziobu. Pitt nie sądził, żeby nawigator Thomas Guttill ukrył jaspisowe puzdro w głównej ładowni. Fakt, iż Drake zamierzał zrobić z niego prezent królowej, sugerował, że Guttill trzymał szkatułę gdzieś blisko siebie. Przepuszczalnie w wielkiej kabinie rufowej, którą zwyczajowo zajmował kapitan statku.

Brnąc przez pobojuwisko i oczyszczając maczetą niewielkie fragmenty gruntu, zauważył ślady pozostawione przez załogę, ale nie znalazł żadnych kości. Fala pływowa przepuszczalnie zmyła z pokładu większość marynarzy. Dostrzegł parę spleśniałych skórzanych butów, kościane trzonki noży, których ostrza już dawno obróciły się w rdzawy pył, naczynia ceramiczne i wciąż poczerniały kociołek. Szczątków tych było niewiele i Pitt odczuwał trwożny niepokój, że wrak został już odnaleziony i ograbiony. Wyjął zza koszuli plastikowy pakiet, otworzył go z jednej strony i wyciągnął ilustracje i przekroje typowego galeonu, które przefaksował mu Perlmutter. Posługując się planami jak przewodnikiem, ostrożnie odmierzał kroki, aż uznał, że znalazł się w tym miejscu statku, gdzie przechowywano najcenniejszą część

ładunku. Zaczął odrzucać kompost, spodziewając się, że zalega tu solidną warstwą, okazało się jednak, że ma zaledwie dziesięć centymetrów grubości. Wystarczyło, by odrzucił dłońmi gnijące liście, a ujrzał kilka pięknie rzeźbionych kamiennych główek i całych postaci rozmaitych rozmiarów. Odgadł, że są to posążki przedstawiające animistycznych bogów, świadomość, iż wrak galeonu jest nietknięty, wyrwała z jego ust westchnienie ulgi.

Usunąwszy spory kłęb przegniłych lian opadłych z pobliskich drzew, odnalazł jeszcze dwanaście rzeźb, z których trzy były naturalnych rozmiarów. W upiornym świetle pleśniowa powłoka przydawała im wyglądu umarłaków powstających z grobu. Stos ceramicznych odłamków świadczył, że gliniane garnki i urny nie poradziły sobie równie dobrze w wilgoci otaczającej je przez cztery stulecia. Naczynia pozornie nienaruszone rozsypywały się w pył pod dotknięciem palców. Z wszystkich tekstyliów stanowiących ongiś część ładunku nie ocalało nic: przemieniły się w kilka plam poczerńiałej pleśni. Ignorując połamane paznokcie i gliniastą ziemię oblepiającą dłonie, Pitt wkopywał się coraz głębiej. Znalazł zbiorek jaspisu przepięknie ornamentowanego i misternie rzeźbionego. Było tego tyle sztuk, że rychło stracił rachubę. Jaspisowe ozdoby były zmieszane z fragmentami mozaiki z macicy perłowej i turkusów. Pitt przerwał na chwilę pracę i przedramieniem otarł pot z oczu. Pomyślał, że ta złota żyła otworzy prawdziwą puszkę Pandory. Bez trudu wyobraził sobie prawne bitwy i dyplomatyczne machinacje, do których dojdzie pomiędzy ekwadorskimi archeologami i przedstawicielami władz z jednej strony a ich peruwiańskimi odpowiednikami z drugiej, kiedy jedni i drudzy będą upominać się o prawo własności do skarbu. Jakikolwiek jednak miały być owe prawne powikłania, Pitt miał stuprocentową pewność, że ani jedno z owych dzieł sztuki nie wyląduje na półce w jego domu.

Zerknął na zegarek. Od chwili kiedy przebił się przez drzewa, minęła godzina. Zostawił za sobą stos antyków i ruszył ku czemuś, co było niegdyś rufą statku i kajutą kapitańską. Wymachiwał maczetą w lewo i prawo, aby oczyścić niewielkie wyniesienie ze zgniłych odpadków, gdy ostrze zazgrzytało nagle o twardy metalowy przedmiot. Odrzuciwszy kopniakami liście, Pitt stwierdził, że natknął się na jedno z dwóch okrętowych dział. Lufę z brązu już dawno pokryła gruba warstwa zielonej patyny, otwór zaś był wypełniony bez reszty nagromadzonym przez stulecia kompostem.

Pitt nie potrafiłby powiedzieć w tej chwili, czy spływające po jego ciele strumyczki są potem czy też wilgocią, wszechobecną w otaczającej go dżungli. Czuł się

jak niedoświadczony pracownik łaźni parowej. Dodatkowym utrudnieniem były maleńkie owady przypominające muszki owocówki, otaczające rojem jego głowę. Opadłe liany płątały się wokół nóg, dwa razy upadł, potknąwszy się o wilgotne rośliny. Oblepiony gliniastą glebą i przegniłymi liśćmi, zaczynał wyglądać jak potwór z bagien wymyślony przez scenarzystę filmu grozy. Parna atmosfera powoli wysysała zeń siły, musiał zwalczać przemożną chęć, aby położyć się na miękkim stosie liści i zdrzemnąć przez chwilę; to pragnienie raptownie go opuściło, kiedy ujrzał odrażającą groźnicę sunącą zygzakami przez pobliski stos kamieni balastowych. Był to największy jadowity wąż obu Ameryk - miał trzy metry długości, był różowo-brązowy z ciemniejszymi plamkami w kształcie brylantów, a jego ukąszenie prawie zawsze przynosiło śmierć. Pitt obszedł go szerokim łukiem, czujnie rozglądając się, czy nie widać gdzieś jego krewniaków.

Pojął, że jest we właściwym miejscu, kiedy odkrył wielkie uchwyty i czopy łożyska, które niegdyś utrzymywały i poruszały ster. Przypadkowo kopnął coś zagrzebanego w ziemi; pochylił się, żeby dokładnie to obejrzeć - trudny do zidentyfikowania pierścień ze zdobnego żelaza i odłamki szkła. Spojrzał na ilustrację Perlmuttera i rozpoznał w tym przedmiocie rufowe światło pozycyjne. Osprzęt steru i lampa powiedziały mu, że stoi dokładnie nad byłą kajutą kapitańską. Teraz poszukiwanie jaspisowego pudła zaczęło się na dobre.

Po czterdziestu minutach spędzonych na czworakach znalazł kałamarz, dwa kielichy i szczątki kilku lamp oliwnych. Nie dając sobie czasu na odpoczynek, odgarnął stosik liści i oto zobaczył przed sobą zielone oko, zagapione weń z przegniłej ziemi. Otarł dłonie o spodnie, wyjął z kieszeni apaszkę i ostrożnie oczyścił najbliższą okolicę tego oka.

Ukazała się ludzka twarz, kunsztownie wyrzeźbiona w wielkim kawałku jaspisu. Wstrzymał oddech. Próbując zapanować nad podnieceniem, pracowicie wykopał cztery wgłębienia wokół nieruchomej twarzy. Rowki były dostatecznie głębokie, aby mógł stwierdzić, iż ma przed sobą pokrywę pudła rozmiarów dwunastowoltowego akumulatora. Wreszcie wygrzebał szkatułę z wilgotnej gleby, w której spoczywała od 1578 roku. Ogarnięty trwożnym zachwytem, siedział nieruchomo przez niemal dziesięć minut, obawiając się, że kiedy uniesie wieko, nie znajdzie w środku nic poza wilgotną zgnilizną. Z drzeniem rąk wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, otworzył najcieńsze ostrze i zaczął podważać pokrywę. Pudło było zamknięte tak hermetycznie, że musiał przesuwać ostrze dookoła milimetr po

milimetrze, minimalnie podważając krawędź. Dwukrotnie przerwał pracę, aby otrzeć pot, który spływał mu na oczy. Na koniec wieko odskoczyło. Wtedy bez ceregieli uchwycił jaspisową twarz za nos, uniósł wieko i zajrzał do środka. Wnętrze pudła, wyłożone drewnem cedrowym, zawierało coś, co wyglądało na splątaną masę wielobarwnych pozawężlanych sznurków. Kilka kolorów zbladło, pozostałe jednak pozwalały się odróżnić, a poza tym same sznurki były nie naruszone. Pitta zdumiał stan, w jakim się przechowały. Dopiero kiedy uważnie obejrzał plecionkę, dostrzegł, że nie została wykonana z bawełny lub wełny, lecz z poskręcanych i zabarwionych metalowych drucików.

- Jest!!! - wrzasnął, płosząc swoim okrzykiem stado wielkich ar, które obsiadły pobliskie drzewa, a teraz rozskrzeczaną gromadą zniknęły w dżungli. - Kipu Drake'a!

Przyciskając do siebie pudło, z zapalem Ebenezera Scrooge'a, umykającego ze swą forsą przed kwestującymi, Pitt znalazł względnie suche, powalone drzewo, na którym można było usiąść. Spoglądał na jaspisowe oblicze i zastanawiał się, czy jakimś cudem sekret kipu może zostać rozwiązany. Zdaniem doktora Ortiza, ostatni człowiek, który umiał odczytać pozawężlane nitki, zmarł czterysta lat temu. Pitt miał jednak głęboką nadzieję, iż najnowszej generacji komputer Yaegera zdoła przeniknąć czas i rozwiązać tajemnicę. Wciąż siedział wśród duchów marynarzy angielskich i hiszpańskich, niepomny na roje gryzących owadów, kłujący ból pokancerowanego ramienia i oblepiającą ciało wilgoć, kiedy gdzieś w zachmurzonym niebie rozległ się warkot silników powracającego śmigłowca.

Niewielka furgonetka oznaczona nazwą jednej z bardziej znanych firm dostawczych wjechała na rampę i zatrzymała się przy drzwiach ładunkowych wielkiego parterowego betonowego budynku. Zajmował on obszar jednej przecznicy ogromnego kompleksu składów w pobliżu Galveston w stanie Teksas. Na ścianach ani na dachu nie było widać żadnej tablicy z nazwą firmy i jedyny dowód na to, iż magazyn jest wykorzystywany, stanowiła niewielka mosiężna plakietka przy drzwiach z napisem SKŁADY LOGANA. Było tuż po szóstej wieczorem. Zbyt późno, aby pracowali jeszcze ludzie zatrudnieni w firmie, ale wciąż na tyle wcześnie, aby nie wzbudzić podejrzeń patrolujących teren wartowników. Kierowca, nie wysiadając z wozu, wybił na pilocie kod, który wyłączył system alarmowy i uniósł ogromne drzwi, te zaś odsłoniły wewnątrz olbrzymiego magazynu, aż po dźwigary wypełnionego pozornie nieskończonymi rzędami stelaży, załadowanych meblami i innym sprzętem domowym. Nigdzie nie było widać żadnego znaku życia. Kierowca, pewien już teraz, że wszyscy pracownicy udali się do domów, wjechał furgonetką do środka i czekał, aż zamkną się za nim drzwi. Wtedy wprowadził wóz na platformę wielkiej wagi, zdolnej pomieścić osiemnastokołową ciężarówkę z przyczepą. Wysiadł z wozu, podszedł do małej tablicy rozdzielczej ustawionej na postumencie i wcisnął guzik oznaczony napisem WAŻENIE. Platforma zadrżała, a potem zaczęła zjeżdżać pod podłogę, udowadniając, że jest w istocie windą towarową. Kiedy znalazła się na poziomie piwnicy, kierowca wjechał wozem w wielki tunel, a za jego plecami winda automatycznie wróciła do pierwotnej pozycji.

Tunel miał kilometr długości i kończył się pod podłogą innego wielkiego magazynu. W tym ogromnym podziemnym kompleksie rodzina Zolarów kierowała operacjami kryminalnymi, całkowicie odmiennymi od legalnej działalności, prowadzonej na górze. Tam, ponad piwnicami, stali pracownicy wchodzili codziennie przez szklane drzwi do pomieszczeń biurowych biegnących wzdłuż całej jednej ściany budynku. Resztę przestronnej powierzchni zajmowały tysiące cennych malowideł, rzeźb i rozmaitych innych antyków. Wszystkie miały nienagannie uczciwe pochodzenie, były kupowane i sprzedawane na otwartym rynku. Oddzielny wydział w głębi gmachu mieścił pracownię renowacji, gdzie wielki zespół doskonałych specjalistów trudził się nad przywróceniem uszkodzonym dziełom sztuki i rzemiosła ich pierwotnego splendoru. Żaden z pracowników firmy Zolar International czy Składów Logana, nawet o dwudziestoletnim czy dłuższym stażu, nie podejrzewał, iż

pod jego stopami odbywają się wielkie tajne operacje. Kierowca wyjechał z tunelu do olbrzymiej piwnicy, której powierzchnia była jeszcze większa niż powierzchnia budynku dwadzieścia metrów wyżej. Mniej więcej dwie trzecie całej tej przestrzeni poświęcono wyłącznie gromadzeniu, przechowywaniu i ewentualnej sprzedaży skradzionych bądź też przemyconych dzieł sztuki. Jedna trzecia służyła doskonale prosperującemu wydziałowi fałszerstw. Ta podziemna kondygnacja była znana jedynie najbliższym członkom rodziny Zolarów, kilku lojalnym wspólnikom i ekipie budowlanej sprowadzonej z Rosji i odesłanej do kraju po przygotowaniu wszystkich podziemnych pomieszczeń.

Kierowca wysunął się zza kierownicy, obszedł furgonetkę i wyciągnął długi metalowy cylinder połączony z wózkiem, którego kółka otwierały się automatycznie jak przy noszach z karetki pogotowia. Chwilę później toczył wózek z cylindrem w stronę zamkniętego pokoju. Wypolerowana powierzchnia cylindra odbijała wizerunek mężczyzny średniego wzrostu, z nieźle zaokrąglonym brzuszkiem. Ciasno dopasowany biały kombinezon podkreślał obfitość sylwetki, kasztanowe włosy były przycięte na jeża, policzki zaś i podbródek starannie wygolone. Zielone oczy mieniły się srebrzystym blaskiem aluminiowego pojemnika. Teraz zwodniczo marzycielskie, mogły stać się twarde jak krzemień, gdyby ich właściciel wpadł w gniew. Detektyw policyjny, będący dobrym specem od zwięzłych charakterystyk, opisałby Charlesa Zolara, występującego pod nazwiskiem Charles Oxley, jako hochsztaplera, który nie wygląda na hochsztaplera. Bracia owego hochsztaplera, Joseph Zolar i Cyrus Sarason, otworzyli drzwi i wyszli z pokoju, aby serdecznie uściskać Oxleya na powitanie.

- Gratulacje - powiedział Sarason - Wyjątkowy triumf sztuki podstęp.

Zolar skinął głową.

- Nawet nasz ojciec nie byłby zaplanował sprawniejszej kradzieży. Rodzina może być z ciebie dumna.

- Oto mi pochwała - odparł Oxley z uśmiechem. - Nawet nie macie pojęcia, jak jestem rad, mogąc wreszcie dostarczyć mumię w bezpieczne miejsce.

- Czy jesteś pewien, że nikt nie widział, jak wywozisz ją z domu Rummla, i nie śledził cię podczas jazdy? - zapytał Sarason.

Oxley popatrzył nań przeciągle.

- Obrażasz mnie, bracie. Przedsięwziąłem wszelkie niezbędne środki ostrożności, jechałem do Galveston podrzędnymi drogami w godzinach szczytu. Szczególnie uważałem, żeby nie łamać przepisów drogowych. Możesz mi wierzyć,



kiedy mówię, że nikt mnie nie śledził.

- Nie przejmuj się Cyrusem - uspokoił go Zolar z uśmiechem. - Ma krętka na punkcie zacierania śladów.

- Zaszliśmy zbyt daleko, aby pozwolić sobie teraz na błędy - powiedział cicho Sarason.

Oxley zajrzał w głąb ogromnego magazynu.

- Czy są już specjaliści od hieroglifów?

Sarason przytaknął.

- Profesor antropologii z Harvardu, który poświęcił całą karierę zawodową ideograficznym symbolom prekolumbijskim, i jego żona, zajmująca się deszyfracją od strony komputerowej. Henry i Micki Moore.

- Czy wiedzą, gdzie są?

Zolar pokręcił głową.

- Odkąd nasi agenci zabrali ich limuzyną spod domu w Bostonie, mieli przepaski na oczach i słuchali kaset. Kiedy wystartowali wycarterowanym odrzutowcem, pilot, zgodnie z instrukcją, krążył przez dwie godziny i dopiero później skierował się do Galveston. Dojechali tu z lotniska w dźwiękoszczelnej ciężarówce dostawczej. Można zatem zaryzykować twierdzenie, że niczego nie widzieli i nie słyszeli.

- A więc żywią przekonanie, że są w laboratorium badawczym gdzieś w Oregonie?

- Takie wrażenie odnieśli podczas lotu - odparł Sarason.

- Musieli jednak zadawać jakieś pytania.

- Z początku - odparł Zolar. - Kiedy jednak nasi agenci poinformowali ich, że otrzymają dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką za rozszyfrowanie piktogramów, państwo Moore obiecali pełną współpracę. Obiecali również trzymać buzie na kłódki.

- I tym im wierzysz? - zapytał z powątpiewaniem Oxley.

- Oczywiście, że nie. - Sarason uśmiechnął się złowrogo.

Oxley nie musiał posiadać daru czytania w myślach, aby pojąć, że wkrótce Moore'owie spoczną pod grobową płytą.

- Nie ma sensu tracić czasu, braciszku - powiedział. - Gdzie mam złożyć mumię generała Naymlapa?

- Wydzieliliśmy specjalny pokój. - Sarason wskazał jeden z sektorów

podziemnego składu. - Zaprowadzę cię tam, a tymczasem Joseph przyprowadzi naszych ekspertów. - Zawahał się, wyjął z kieszeni marynarki trzy czarne kominiarki i podał jedną Oxleyowi. - Załóż to, nie chcemy, żeby widzieli nasze twarze.

- Po co się przejmować? Przecież nie dożyją chwili, w której mogliby nas zidentyfikować.

- Żeby ich nastraszyć.

- Środek może zbyt drastyczny, ale chyba coś w tym jest.

Kiedy Zolar wprowadził małżeństwo Moore do zamkniętego pomieszczenia, Oxley i Sarason ostrożnie wyjęli złotą mumię z pojemnika i położyli ją na stole wyściełonym kilkoma warstwami aksamitu. Pokój był wyposażony w niewielką kuchenkę, łóżka i łazienkę. Było tu również duże biurko z najrozmaitszymi szkiełkami, notesami i kilkoma lupami o różnym stopniu powiększenia, a także terminal komputerowy z drukarką laserową, wyposażony we właściwe programy. W suficie jarzyło się mnóstwo świateł, umożliwiających odczytywanie grawerunków na złotym sarkofagu.

Kiedy Moore'owie weszli do pokoju, zdjęto im słuchawki i przepaski.

- Ufam, że nie doznali państwo zbyt wielu przykrości - oświadczył kurtuazyjnie Zolar.

Moore'owie zamrugali w jaskrawym świetle i potarli oczy. Henry Moore wyglądał i zachowywał się jak przystało na profesora z Ivy League. Wdzięcznie wchodził w lata, miał smukłe ciało, gęstą czuprynę rozczochranych siwych włosów i cerę nastolatka. Nosił tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i krawat swojego uniwersytetu, zawiązany pod kołnierzykiem ciemnozielonej bawełnianej koszuli. Akcentem dopełniającym jego wyglądu był mały biały goździk w klapie. Micki Moore była dobre piętnaście lat młodsza od męża. Jak on, miała smukłą sylwetkę, godną modelki z lat siedemdziesiątych, którą zresztą kiedyś była. Nader smagła cera i wydatne kości policzkowe wskazywały na indiańską odrośl gdzieś w jej drzewie genealogicznym. Była piękną kobietą noszącą się z taką elegancją i królewską wyniosłością, że musiała wyróżniać się podczas uniwersyteckich koktajli i kolacji. Jej szare oczy przyjrzały się kolejno każdemu z braci Zolar, a wreszcie spoczęły na złotym sarkofagu.

- Cudowna robota - powiedziała cicho. - Panowie nie mówili, co mamy odczytywać.

- Wybaczcie państwo nasze melodramatyczne środki ostrożności - rzekł Zolar. -

Jak jednak widzicie, ten inkaski artefakt jest bezcenny, a dopóki nie zostanie w pełni zbadany przez takich ekspertów jak wy, nie chcemy, aby wieść o jego istnieniu dotarła do pewnych osób, które mogłyby podjąć próbę kradzieży.

Henry Moore zignorował braci i pospieszył do stołu. Wyjął z kieszonki etui, z niego - okulary. Włożył je na nos i wbił uważne spojrzenie w hieroglify na sarkofagu.

- Zdumiewająca precyzja - stwierdził z podziwem. - Wyjąwszy tekstylnia i kilka sztuk ceramiki, to największa ekspozycja ikonografii, jaką kiedykolwiek widziałem na obiekcie pochodzącym z ery Późnego Horyzontu.

- Czy przewiduje pan jakieś problemy z rozszyfrowaniem tych obrazków? - zapytał Zolar.

- Będzie to praca con amore - odparł Moore, nie odrywając oczu od sarkofagu. - Trochę jednak potrwa. Nie od razu Rzym zbudowano.

- Potrzebujemy odpowiedzi jak najszybciej - zniecierpliwiał się Sarason.

- Nie może mnie pan popędzać - powiedział Moore z wyższością. - Jeśli, oczywiście, zależy panu na dokładnym zrozumieniu tego, co mówią obrazki.

- Ma słuszość - stwierdził Oxley. - Nie możemy sobie pozwolić na błędne dane.

- Państwo Moore są dobrze opłacani za swoje wysiłki - stwierdził surowo Sarason. - Błędnyimi interpretacjami nie zasłużą na wynagrodzenie.

- Błędne interpretacje, też coś! - rzucił Moore z rosnącą irytacją. - Macie szczęście, że zaakceptowaliśmy waszą propozycję. Wystarczyło jedno spojrzenie na to, co leży na stole, abyśmy rozgryźli wasze infantylne zabawy w chowanego. Tę bieganinę w maskach na twarzach, jakbyście rabowali bank. Zupełny bezsens.

- Co pan chce powiedzieć? - zapytał Sarason.

- Każdy historyk godzien tego miana wie, że Złoty Sarkofag z Tiapollo został skradziony w Hiszpanii w latach dwudziestych i nigdy go nie odzyskano.

- Skąd pan wie, że nie jest to ostatnio odkryty eksponat?

Moore wskazał pierwszy kartusz ciągnący się od lewego barku do dłoni.

- To symbol wielkiego wojownika, czaczapojańskiego wodza znanego jako Naymlap, który służył wybitnemu inkaskiemu władcy Huascarowi. Wedle legendy, miał wzrost dzisiejszej gwiazdy koszykówki, jasne włosy, błękitne oczy i jasną skórę. Sądząc z rozmiaru sarkofagu i mojej wiedzy o jego historii, nie wątpię, iż mamy do czynienia z mumią Naymlapa.

Sarason przysunął się do antropologa.

- Niech pan po prostu robi z żoną swoją robotę. Bez błędów i bez dalszych wykładów.

- Proszę wybaczyć mojemu współnikowi, doktorze Moore. - Zolar spiesznie zainterweniował, aby rozładować rosnące napięcie. - Przepraszam za jego niegrzeczne zachowanie, ale rozumie pan chyba, iż wszyscy jesteśmy nieco podnieceni znalezieniem sarkofagu. Ma pan całkowitą słuszność. To mumia Naymlapa.

- Jak wpadła panom w ręce? - zapytał Moore.

- Tego nie mogę powiedzieć, ale obiecuję, że wróci do Hiszpanii, kiedy tylko zostanie zbadana przez ekspertów takich jak państwo.

Na ustach Moore'a zagościł sprytny uśmieszek.

- To bardzo szlachetne z pańskiej strony, jakkolwiek się pan tam nazywa, że chce pan odesłać rzecz prawowitym właścicielom. Nie robi pan tego jednak, dopóki nie rozszyfrujemy z żoną wskazówek prowadzących do skarbu Huascara?

Oxley wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego, a Sarason jeszcze bardziej przysunął się do Moore'a. Zolar wyciągnął jednak ramię i go powstrzymał.

- Przejrzał pan naszą maskaradę.

- Istotnie.

- Czy mam wnioskować, że chce pan złożyć kontrpropozycję, doktorze Moore?

Moore zerknął na żonę, która sprawiała wrażenie dziwnie nieobecnej. Potem zwrócił się do Zolara.

- Jeśli nasze badania doprowadzą panów do skarbu, nie sądzę, aby dwadzieścia procent udziału w zyskach było propozycją wygórowaną.

Bracia przez kilka chwil spoglądali po sobie, zastanawiając się nad ofertą. Oxley i Zolar nie widzieli za maską twarzy Sarasona, dostrzegli jednak wściekle błyski w jego oczach.

Zolar skinął głową.

- Jako że prawdopodobnie mamy do czynienia z wręcz niewiarygodnym bogactwem, sądzę, iż doktor Moore okazuje niemałą hojność.

- Zgadzam się - powiedział Oxley. - Biorąc wszystko pod uwagę, oferta zacnego profesora nie jest wygórowana. - Wyciągnął rękę. - Dobiliście państwo targu. Jeśli znajdziemy skarb, wasz udział wyniesie dwadzieścia procent.

Moore uściśnął podaną dłoń, potem odwrócił się do żony.

- Cóż, moja droga, bierzemy się do roboty? - Uśmiechnął się w błogiej nieświadomości wiszącego nad nim wyroku śmierci.

**CZEŚĆ III**  
**DEMON ŚMIERCI**

22 października 1998 roku

Waszyngton D.C.

25

Kiedy Pitt wyszedł z dworca lotniczego Dullesa, czekała przy krawężniku pod terminalem, a jej rozwiane włosy koloru cynamonu lśniły w porannym słońcu. Deputowana do Kongresu Loren Smith przesunęła na czoło okulary przeciwsłoneczne, które skrywały niewiarygodnie fiołkowe oczy, podniosła się zza kierownicy i przysiadła na oparciu fotela. Pomachała Pittowi dłonią w rękawiczce z miękkiej skórki. Była wysoką, doskonale zbudowaną kobietą o ciele godnym Sharon Stone, które teraz okrywały czerwone skórzane spodnie i także kurtka, nałożona na czarny golf. Wszyscy ludzie w promieniu dwudziestu metrów, zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej, bez żenady się w nią wpatrywali, kiedy tak siedziała w jaskrawo-czerwonym wozie sportowym, allard J2X, model z 1953 roku, i ona bowiem, i samochód, dwa wcielenia klasycznej elegancji, doskonale do siebie pasowali.

- Cześć, żeglarzu, gdzieś cię podwieźć? - rzuciła Pittowi uwodzicielskie spojrzenie.

Odstawił na chodnik torbę, podróżną i wielką metalową walizkę zawierającą jaspisową szkatułę, pochylił się nad niską karoserią allarda i złożył na ustach Loren mocny, szybki pocałunek.

- Ukradłaś jeden z moich wozów.

- I to ma być wdzięczność za to, że wyrwałam się z posiedzenia komisji senackiej, aby powitać cię na lotnisku!

Pitt obrzucił spojrzeniem wóz, którego konstruktorzy wyeliminowali wszelkie elementy zbędne, zwycięzcę ośmiu z dziewięciu wyścigów aut sportowych, w jakich uczestniczył czterdzieści pięć lat temu: w jego małej kabinie, pozbawionej nadto choćby kilkilitrowego bagażnika, nie było miejsca dla nich obojga, torby i walizy.

- A gdzie niby mam podziąć swoje manatki?

Sięgnęła na fotel pasażera i podała Pittowi kilka elastycznych linek.

- Przygotowałam się, jak widzisz. Możesz przywiązać torby z tyłu.

Pitt ze zdumieniem pokręcił głową. Niewiele było kobiet równie bystrych i przemyślnych jak ona. Jako odbywająca już swoją piątą kadencję deputowana do Kongresu ze stanu Kolorado, była szanowana przez kolegów za łatwość pojmowania najtrudniejszych problemów i zgoła niesamowity dar znajdowania dla nich sensownych rozwiązań, żywiółowa i towarzyska w Kongresie, Loren była jednak

kobietą, która rzadko pokazywała się na przyjęciach i imprezach politycznych, woląc trzymać się swego domu w Aleksandrii, gdzie studiowała analizy doradców, poświęcone projektom ustaw, i odpowiadała na listy wyborców. Jedyne jej zainteresowania towarzyskie poza pracą miały związek z rozkwitającym bądź obumierającym romansiem z Pittem.

- Gdzie Al i Rudi? - zapytała z troską, widząc nie ogoloną i ściągniętą ze zmęczenia twarz Pitta.

- Przylecą następnym rejssem. Mieli do załatwienia pewien mały interesik i musieli oddać pożyczony sprzęt.

Umocowawszy bagaż na chromowanym stelażu przytwierdzonym do tylnej maski samochodu, Pitt otworzył miniaturowe drzwiczki, wsunął nogi pod niską deskę rozdzielczą i spróbował je wyprostować.

- Czy mam okazać tyle śmiałości, żeby pozwolić ci zawieźć się do domu?

Loren posłała mu chytry uśmieszek, uprzejmie skinęła głową policjantce, która gestem zachęcała ją do odjechania, wrzuciła pierwszy bieg z trzybiegowej skrzyni allarda i wdepnęła pedał gazu. Potężny silnik cadillaca typu V8 odpowiedział potężnym rykiem i z wizgiem opon samochód jak tygrys skoczył w przód. Pitt bezradnie wzruszył ramionami w stronę mijanej w szaleńczym tempie policjantki, która z wściekłością szukała czegoś przy swoim pasie.

- Trudno to nazwać zachowaniem godnym reprezentanta narodu - wrzasnęła, przekrzykując ryk silnika.

- A kto wie, że nim jestem? Wóz jest zarejestrowany na ciebie.

Podczas szaleńczej jazdy autostradą z lotniska Dullesa do miasta Loren kilkakrotnie zagoniła wskazówkę szybkościomierza na czerwone pole. Pitt przyjmował to z filozoficznym spokojem Kubusia Fatalisty. Skoro ewentualnie ma zginąć z rąk tej wariatki, może z powodzeniem, siedząc spokojnie, delektować się przejażdżką, w głębi duszy jednak całkowicie ufał jej szoferskim umiejętnościom. Obydwoje prowadzili allarda w wyścigach starych samochodów, on w konkurencjach męskich, ona - w kobiecych. Odprężył się, zaciągnął suwak kurtki i wdychał rześkie, jesiennie powietrze. Loren przemykała allardem przez gęstwą samochodów ze sprawnością myszki szukającej sera w labiryncie i niebawem podjechała pod wielki hangar lotniczy na tyłach waszyngtońskiego międzynarodowego portu lotniczego. Ten hangar Pitt nazywał swoim domem. Konstrukcja została wzniesiona w końcu lat trzydziestych jako zaplecze techniczne pierwszych komercyjnych linii lotniczych. W 1980 roku

hangar przeznaczono do rozbiórki, ale Pitt ulitował się nad zapomnianą budowlą i ją kupił. Potem przekonał kilku konserwatorów zabytków, by hangar został umieszczony w narodowym rejestrze pomników historycznych. Wyjąwszy przebudowę górnej kondygnacji na pomieszczenia mieszkalne, przywrócił hangarowi jego pierwotny wygląd. Nigdy nie doznawał pokusy, aby zainwestować swoje oszczędności i znaczny spadek odziedziczony po dziadku w papiery wartościowe, akcje czy też nieruchomości. Miał tego wybrał automobile antyczne i klasyczne oraz suveniry najróżniejszego rodzaju, które zbierał podczas swych wędrówek po świecie w roli dyrektora do spraw operacji specjalnych w NUMIE. Parter starego hangaru wypełniało niemal trzydzieści starych wozów, od pochodzącej z 1932 roku limuzyny stutz przez sedan typu French Avions Voisin po kabriolet daimler z 1951, który był najmłodszym autem w kolekcji. W rogu spoczywał stary samolot Ford Trimotor, a w cieniu jego aluminiowego skrzydła jak pod parasolem skrył się pochodzący z czasów drugiej wojny światowej niemiecki odrzutowy myśliwiec Messerschmitt ME 262. W głębi, na krótkim odcinku torów, stała stara pullmanowska salonka, ozdobiona na boku napisem MANHATTAN LTD. Najosobliwszym chyba jednak eksponatem była dziewiętnastowieczna wanna na lwich łapach z przymocowanym do jednego końca zaburtowym silniczkiem. Owa wanna, jak wszystkie pozostałe zgromadzone w hangarze eksponaty, miała swoją własną historię.

Loren zatrzymała się przy małym urządzeniu zamontowanym na słupku. Pitt zagwizdał kilka pierwszych taktów „Yankee Doodle”, a wtedy program identyfikacji głosu wyłączył system bezpieczeństwa i otworzył wielkie garażowe drzwi. Loren wjechała allardem do środka i zgasila silnik.

- Jesteśmy w domu - oznajmiła z dumą - i to w jednym kawalku.

- Po ustanowieniu rekordu szybkości na trasie z Dullesa do Waszyngtonu, który to rekord nie zostanie pobity przez parę dziesięcioleci.

- Nie bądź takim starym piernikiem. Masz szczęście, że cię podwiozłam.

- Dlaczego właściwie jesteś dla mnie taka dobra? - zapytał z uczuciem.

- Biorąc pod uwagę szykany i udręki, które nieustannie mi fundujesz, naprawdę nie potrafię odgadnąć przyczyny mojej dobroci.

- Udręki? Szykany? Może cię jeszcze katują? Masz jakieś ślady po doznanych uszczerbkach?

- No jeśli o to chodzi... - Loren zsunęła skórzane spodnie, ukazując wielki siniec na łydce.



- Ja nie mam z tym nic wspólnego - powiedział, doskonale zdając sobie sprawę, że nie on jest winowajcą.

- To twoja wina.

- Cóż, nie przywaliłem dziewczynie, odkąd Gretchen Snodgrass w latach przedszkolnych wysmarowała mi włosy pastą do zębów.

- To skutek kolizji, którą miałam ze zderzakiem jednego z twoich rupieci.

Pitt parsknął śmiechem.

- Powinnaś być ostrożniejsza.

- Chodź na górę - powiedziała, na powrót wciskając się w spodnie. - Aby uczcić twój powrót do domu, zaplanowałam wyrafinowany lunch.

Pitt uwolnił linki mocujące bagaż i posłusznie podążył za Loren na górę, delektując się płynnymi ruchami jej zgrabnej pupci ciasno opakowanej w skórzane spodnie. Zgodnie z obietnicą Loren, w jadalni czekał już wykwintnie zastawiony stół. Pitt był głodny jak wilk, a jego niecierpliwość potęgowały jeszcze przesączaające się z kuchni apetyczne zapachy.

- Ile to jeszcze potrwa? - zapytał.

- Dostatecznie długo, żebyś wyplątał się ze swoich brudnych ciuchów i wziął prysznic - odparła.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Szybko zrzucił ubranie, wszedł pod prysznic i uwalnił się na wyłożonej glazurą podłodze, wspierając nogi o ścianę, podczas gdy niemal wrząca woda opryskiwała ścianę przeciwległą. Niewiele brakowało, a zapadłby w sen, po dziesięciu minutach jednak zmobilizował się, by wstać i namydlić ciało. Ogolił się, wysuszył włosy i narzucił na ramiona jedwabny szlafrok w turecki wzór, który Loren dała mu na gwiazdkę. Kiedy wchodził do kuchni, pospieszyła mu na spotkanie i obdarzyła długim pocałunkiem.

- Mhmmm, pięknie pachniesz. Ogoliłeś się.

- A ty węszyłaś. - Spostrzegł, że metalowa, walizka z jaspisowym puzdrem została otwarta.

- Jako deputowana do Kongresu mam pewne niezaprzeczalne uprawnienia - podając mu kieliszek szampana. - Piękne dzieło sztuki. Co to jest?

- Prekolumbijski antyk, który zawiera wskazówki prowadzące do ukrytych skarbów wartych mnóstwo pieniędzy. Takie mnóstwo, że nawet ty ze swoimi koleżankami z Kongresu potrzebowałybyś całych dwóch dni, aby je wydać.

- Chyba żartujesz - popatrzyła nań podejrzliwie - to musiałby być co najmniej

miliard dolarów.

- Nigdy nie żartuję na temat zaginionych skarbów.

Odwróciła się, wyjęła z piekarnika i postawiła na stole w dwu półmiskach huevos rancheros z chorizo i przesmażoną fasolę, mocno przyprawioną salsą. - Opowiesz mi o wszystkim przy posiłku. Pomiędzy kęsami, którymi łapczywie atakował meksykański specjał Loren, Pitt opowiedział wszystko, począwszy od przybycia do studni ofiarnej, a kończąc na odnalezieniu w dżungli Ekwadoru szkatułki z kipu. Ubarwił relację mitami, niewieloma konkretnymi faktami, a wreszcie zakończył ją dalekosiężną spekulacją

Loren słuchała, nie przerywając ani razu, a potem powiedziała:

- A więc sądzisz, że to północny Meksyk?

- To tylko przypuszczenie, trzeba rozszyfrować kipu.

- Jak to możliwe? Przecież powiedziałeś, że wiedza na temat tych węzłów umarła z ostatnimi Inkami.

- Stawiam na to, że komputer Hirama Yaegera znajdzie jakiś klucz.

- To w najlepszym wypadku macanie na oślep w ciemności - stwierdziła, upijając łyżeczek szampana.

- Nasza jedyna perspektywa, ale zupełnie realna. - Pitt wstał, rozsunał zasłony na oknach jadalni, popatrzył na samolot podrywający się z pasa startowego, wrócił do stołu. - Prawdziwym problemem jest czas. Złodzieje, którzy wykradli Złoty Sarkofag z Tiapollo, zanim zdolali się od niego dobrać agenci celni, mają nad nami przewagę już na starcie.

- A czy i oni nie muszą liczyć się ze zwłoką? - zapytała Loren.

- Żeby przetłumaczyć wizerunki na sarkofagu? Dobry specjalista od ornamentyki inkaskich tekstyliów i ideograficznych symboli ceramiki powinien uporać się również z interpretacją obrazków na sarkofagu.

Loren obeszła stół i usiadła Pittowi na kolanach.

- A zatem bierzesz udział w wyścigu do skarbu.

Pitt otoczył ramionami jej kibić i lekko ją przytulił.

- Na to wygląda.

- Tylko uważaj na siebie - powiedziała, wsuwając dłonie pod jego szlafrok. - Mam przeczucie, że twoi konkurenci nie są sympatycznymi facetami.

Nazajutrz wcześniej rano, pół godziny przed porannym szczytem, Pitt podwiózł Loren do jej domu i skierował się do kwatery głównej NUMY. W obawie, że zwariowani waszyngtońscy kierowcy uszkodzą jego allarda, przesiadł się na leciwego już, ale pozostającego w nieskazitelnym stanie dżipa grand wagoner z roku 1984. Zmodyfikował go, instalując pięćsetkonny ośmiocyldrowy silnik, który wymontował ze sportowego wozu rozbitego podczas ogólnokrajowych zawodów na odjazd. Kierowcy ferrari czy lamborghini, który stanąby obok Pitta na czerwonych światłach, nawet by do głowy nie przyszło, że dżip odsądzi go, osiągając niemal natychmiast maksymalne przyspieszenie, zanim lepsze przełożenia skrzyni biegów i współczynnik oporów aerodynamicznych jego sportowego bolidu pozwolą zniwelować przewagę.

Pitt zaparkował dżipa na swoim stałym miejscu pod wysokim przeszklonym wieżowcem, w którym mieściły się biura NUMY, i wjechał windą na piętro działu informatycznego Yaegera, ściskając mocno w garści rączkę metalowej walizy z jaspisową szkatułą. W sali konferencyjnej zastał już admirała Sandeckera. Giordina i Gunna. Postawił walizkę na podłodze i uściśnął wszystkim dłonie.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniłeś się - odparł admirał James Sandecker głosem tak ostrym, że można by nim kroić pieczeń wieprzową. - To my przyszliśmy wcześniej. Pełni niecierpliwości w związku z mapą czy jak tam to sobie nazywasz.

- Kipu - wyjaśnił cierpliwie Pitt. - Inkaski instrument kronikarski.

- Słyszałem, że prowadzi ponoć do wielkiego skarbu. Czy to prawda?

- Nie byłem świadom pańskiego zainteresowania tym tematem - odparł Pitt, uśmiechając się leciutko.

- Kiedy przejmujesz jakieś sprawy w godzinach pracy i za pieniądze agencji, a mógłbym dodać, że również za moimi plecami, zaczynam się zastanawiać, czy nie należy w rubryce ogłoszeń pod hasłem „Zatrudnię,” zamieścić anonsu, że potrzebujemy nowego dyrektora programów specjalnych.

- To najzwyczajsze przeoczenie, panie admirale - powiedział Pitt, z najwyższym wysiłkiem woli zachowując powagę. - Zamierzałem wysłać panu pełen raport.

- Gadaj zdrow - prychnął Sandecker. - Gdybym uwierzył w te androny, znaczyłoby to, że rozmiękczenie mózgu kwalifikuje mnie do emerytury.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł łyсы, chudy jak szczapa mężczyzna z ogromnym, obwisłym, strzępiastym wąsem Wyatta Earpa. Miał na sobie

wykrochmalony biały fartuch laboratoryjny. Sandecker powitał go lekkim skinieniem głowy i zwrócił się do pozostałych:

- Sądzę, panowie, że znacie doktora Billa Straighta.

Pitt wyciągnął rękę.

- Oczywiście, Bill kieruje działem konserwacji artefaktów wydobytych z morza. Współpracowaliśmy ze sobą przy okazji kilku programów.

- Mój personel wciąż próbuje się wygrzebać spod brzemienia dwóch ciężarówek antyków z bizantyjskiego statku handlowego, któryście kilka lat temu znaleźli z Alem w grenlandzkim lodzie.

- Z całej tej historii pamiętam tylko - powiedział Giordino - że nie mogłem odtajać przez trzy miesiące.

- Może pokazałbyś wreszcie, co tam masz - stwierdził Sandecker, nie kryjąc już zniecierpliwienia.

- Doskonały pomysł - wtrącił Yaeger, polerując jedno ze szkieł swoich okularów babuni. - Zerknijmy na twój towar.

Pitt otworzył walizkę, delikatnie wyjął i ustawił na stole konferencyjnym jaspisową szkatułę. Giordino i Gunn, którzy widzieli ją już podczas lotu z dżungli do Quito, odstąpili teraz do tyłu, aby Sandecker, Yaeger i Straight mogli się jej dokładniej przyjrzeć.

- Mistrzowsko wyrzeźbiona - rzekł Sandecker, podziwiając subtelne rysy oblicza zdobiącego wieko.

- Niezwykły wzór - zauważył Straight. - Pogodny wyraz twarzy i łagodne spojrzenie oczu zdecydowanie mają w sobie coś azjatyckiego. Dostrzegam pokrewieństwo z rzeźbiarską sztuką południowych Indii z czasów dynastii Cahola.

- O właśnie! - powiedział Yaeger. - Ta twarz jest zdumiewająco, podobna do większości wyobrażeń Buddy.

- Jak to możliwe, żeby dwie nie spokrewnione ze sobą kultury rzeźbiły podobne oblicza i to w tym samym rodzaju kamienia? - zapytał Sandecker.

- Prekolumbijskie kontakty wskazujące na rejsy transpacyficzne? - zasugerował Pitt.

Straight pokręcił głową.

- Dopóki nikt na tej półkuli nie znajdzie starożytnego artefaktu, o którym da się bez wątplenia powiedzieć, że pochodzi z Azji albo z Europy, wszelkie podobieństwa muszą zostać złożone na karb czystego zbiegu okoliczności. Niczego więcej.

- No i żadne obiekty sztuki andyjskiej nigdy nie pojawiły się podczas wykopalisk w starożytnych miastach basenu Morza Śródziemnego czy Dalekiego Wschodu - stwierdził Gunn.

Straight delikatnie powiódł czubkami palców po zielonym jaspisie.

- A jednak ta twarz jest wysoce zagadkowa. W przeciwieństwie do Majów czy też starożytnych Chińczyków, Inkowie nie cenili sobie jaspisu. Preferowali złoto, aby zdobić swoich królów - po równi żywych i martwych - wierząc, że jest jak słońce, które glebie daje żyzność, wszelkim zaś formom życia ciepło.

- Otwórzmy je wreszcie i zabierzmy się do tego bajeru w środku - polecił Sandecker.

Straight skinął głową w stronę Pitta.

- Niech tobie przypadnie ten zaszczyt.

Na te słowa Pitt wsunął cienką blaszkę pod wieko pudła i ostrożnie je otworzył. Kipu leżało w swej cedrowej kołysce tak samo jak przez stulecia; wpatrywali się w nie z zaciekawieniem niemal minutę, zastanawiając się, czy zagadka kiedykolwiek zostanie rozwiązana.

Straight otworzył mały, zamykany na suwak skórzany futerał, w którym spoczywały starannie poukładane instrumenty, kilka par szczypczyków rozmaitych rozmiarów, mały cyrkiel i rząd czegoś, co przypominało haczyki używane przez dentystów do usuwania kamienia nazębnego. Naciągnął na dłonie miękkie białe rękawiczki, wybrał jedno ze szczypczyków i haczyk, następnie włożył dłonie do szkatuły i zaczął badać kipu, delikatnie sprawdzając poszczególne sznurki, aby przekonać się, czy mogą zostać porozdzielane bez uszczerbku.

Jak patolog instruujący grupę studentów medycyny nad rozkrojonymi zwłokami, na bieżąco komentował swoje poczynania.

- Kipu nie jest tak kruche i słabe, jak się spodziewałem. Zrobiono je z różnych metali, większość sznurków jest z miedzi, niektóre ze srebra, jeden czy dwa ze złota.

Najpierw chyba ręcznie uformowano drucziki, a potem skrecono je w cienkie wielożyłowe przewody różnej grubości. Te przewody czy też sznurki mają różną liczbę włókien i rozmaite zabarwienie, zachowały sprężystość i są zaskakująco mocne. Jest ich tu chyba trzydzieści jeden rozmaitej długości, na każdym zaś widzę serię niewiarygodnie małych węzłków, umiejscowionych w nieregularnych odstępach. Kilka sznurków pomalowano tym samym kolorem. Dłuższe mają odgałęzienia i wygląda to trochę jak diagram zdania podrzędnie złożonego. Bez wątplenia wszystkie

przekazują jakiś skomplikowany komunikat, który aż błaga o to, aby go zrozumieć.

- Amen - mruknął Giordino.

Straight urwał i zwrócił się do Sandeckera:

- Za pańskim pozwoleniem, admirale, wyjmę teraz kipu z jego miejsca spoczynku.

- Chce pan po prostu powiedzieć, że mam wziąć na siebie odpowiedzialność, na wypadek gdyby połamiał pan to cholerstwo - warknął Sandecker.

- Cóż, panie admirale...

- Zasuważ, człowieku, miejmy to z głowy. Nie mogę stać tu cały dzień, gapiąc się na jakiś cuchnący rupieć.

- Nic tak nie podkreca człowieka jak zapaszek zgnilizny - oświadczył Pitt.

- Możemy się obejść bez twoich żarcików. - Sandecker przeszył go niechętnym spojrzeniem.

- Im szybciej to rozplączemy - włączył się zniecierpliwiony Yaeger, tym szybciej będę mógł przystąpić do odczytywania.

Straight rozmasował swoje urękawiczone palce jak pianista szykujący się do ataku na rapsodię węgierską opus drugie Franciszka Liszta, potem głęboko zaczerpnął powietrza i włożył dłonie do pudła. Niezmiernie ostrożnie wsunął haczyk pod kilka sznurków kipu i delikatnie uniósł je o ułamek centymetra.

- Pierwszy punkt dla naszych - westchnął z ulgą. - Chociaż przeleżały w pudle kilka stuleci, nie posklejały się i nie przywarły do drewna. Można je wyjąć właściwie bez trudu.

- A zatem czas potraktował je nadzwyczaj łagodnie - zauważył Pitt.

Po wszechstronnym zbadaniu kipu, Straight wsunął pod nie z dwóch przeciwległych stron dwie pary dużych szczypczyków. Zawahał się, mobilizując pewność siebie, a potem zaczął unosić kipu z puzdra. Wszyscy wstrzymali oddechy, nie padło żadne słowo, dopóki Straight nie złożył wielobarwnych drucików na szklanej płycie. Odłożył szczypczyki, zastępując je haczykami, a wtedy starannie, jeden po drugim, wyprostował sznurki, aż legły rozłożone na kształt wachlarza.

- Proszę, panowie - powiedział z westchnieniem ulgi. - Teraz musimy nasączyć przewody bardzo łagodnym środkiem czyszczącym, aby usunąć plamy i korozję. Kolejnym krokiem będzie poddanie kipu procesowi chemicznej konserwacji w naszym laboratorium.

- Jak długo to potrwa, zanim będziecie mogli przekazać je Yaegerowi do

zbadania? - zapytał Sandecker.

Straight wzruszył ramionami.

- Sześć miesięcy, może rok.

- Ma pan dwie godziny - stwierdził Sandecker bez zmrużenia oka.

- Niemożliwe! Te druciki dotrwały do dziś, ponieważ były zamknięte w niemal idealnie szczelnej szkatule. Teraz, kiedy zostały narażone na wpływ powietrza, rychło zaczną się rozpadać.

- Z pewnością jednak nie te, które wykonano ze złota - powiedział Pitt.

- Fakt, złoto jest praktycznie niezniszczalne, nie mamy jednak pojęcia o dokładnym składzie pozostałych sznurków. Do miedzi, na przykład, dodano może jakieś domieszki, które źle znoszą utlenianie. Bez odpowiedniego zastosowania technik konserwacyjnych mogą się rozpaść, może zaniknąć kolor, i to do tego stopnia, że przestaną być czytelne.

- A określenie klucza kolorystycznego jest elementem niezbędnym do odczytania kipu - dodał Gunn.

Nastroje w sali wyraźnie się zwarzyły i tylko Yaeger nie podupadł na duchu.

Popatrzył na Straighta ze sprytnym uśmiechem.

- Daj mi trzydzieści minut, żebym mógł na skanerach odnotować jego ogólną konfigurację i pomierzyć odległości między poszczególnymi węzłkami, a będziesz mógł trzymać to świństwo w swoim laboratorium do późnej starości.

- Wystarczy panu pół godziny? - zapytał z niedowierzaniem Sandecker.

- Moje komputery mogą stworzyć trójwymiarowe obrazy cyfrowe, które poddane obróbce dadzą tak wyraźny wizerunek włókien, jak gdyby wyszły dopiero spod ręki swojego twórcy.

- Ach, nawet najdziksza bestia złagodnieje poddana dobrodziejstwom współczesnej techniki - stwierdził filozoficznie Giordino.

Pomiary trwały raczej półtorej godziny niż pół, kiedy jednak dobiegły końca, kipu na monitorze wyglądało jak nowe. Cztery godziny później Yaeger dokonał pierwszego kroku w odczytaniu tekstu.

- Niewiarygodne, jak rzecz tak prosta może być zarazem skomplikowana - powiedział, patrząc na żywo zabarwiony wizerunek sznurków rozłożonych wachlarzem na wielkim monitorze.

- To coś jak liczydło - powiedział Giordino, okraczając krzesło i wspierając brodę na oparciu. Tylko on i Pitt pozostali w sanktuarium Yaegera. Straight z kipu

wrócił do swojego laboratorium. Sandecker zaś i Gunn poszli na przesłuchanie komisji senackiej, gdzie mieli odpowiadać na pytania związane z nowym programem podwodnych prac wydobywczych.

- To jest dużo bardziej skomplikowane. - Pitt, przechylony nad ramieniem Yaegera, studiował obraz na monitorze. - Liczydło jest w zasadzie przyrządem matematycznym, kipu natomiast wynalazkiem znacznie subtelniejszym. Każdy kolor, każda grubość włókna, umieszczenie i typ węzła, a nawet te postrzępione końcówki, wszystko ma znaczenie. Na szczęście Inkowie, tak samo jak my, posługiwali się systemem dziesiętnym.

- Piątka, Pitt - skinął głową Yaeger. - To kipu poza numerycznym odnotowaniem ilości i odległości relacjonuje również wydarzenia historyczne. Wciąż na oślep błądzę w mroku, ale na przykład... - Urwał, aby wystukać na klawiaturze serię komend. Zdawało się, że trzy z włókien kipu oddzielają się od głównego kołnierza i rosną na ekranie. - Moja analiza wykazuje nader jednoznacznie, iż sznurki brązowe, niebieskie i żółte oznaczają czas niezbędny do pokonania pewnych odległości. Liczne mniejsze węzły, w różnych odstępach umieszczone na wszystkich włóknach, symbolizują słońce bądź też czas trwania dnia.

- Co doprowadziło cię do takiego wniosku?

- Kluczem były te pojawiające się regularnie duże białe węzły.

- Pomiedzy pomarańczowymi?

- Tak. Odkryliśmy do spółki z komputerem, że idealnie odpowiadają fazom księżyca.

Kiedy tylko obliczę astronomiczne cykle księżyca w szesnastym wieku, będę mógł podać bardzo uściślone daty.

- Dobre rozumowanie - stwierdził Pitt z rosnącym optymizmem. - Na coś jeszcze wpadłeś?

- Następny krok to określenie, co miał ilustrować każdy ze sznurków. Jak się okazuje, Inkowie byli również mistrzami prostoty. Wedle analizy komputerowej, przewód zielony odpowiada ziemi, niebieski zaś morzu. Znaczenie żółtego ciągle mi umyka.

- A zatem jak to odczytujesz? - zapytał Giordino.

Yaeger wcisnął dwa klawisze i wyprostował się po chwili.

- Dwadzieścia cztery dni podróży lądem, osiemdziesiąt sześć morzem, dwanaście dni na obszarze żółtym, cokolwiek by to miało znaczyć.



- Czas spędzony u celu podróży - zasugerował Pitt.

Yaeger przytaknął zgodliwie.

- To by się zgadzało, ów żółty sznurek może oznaczać bezludną ziemię.

- Albo pustynię - stwierdził Giordino.

- Albo pustynię - powtórzył Pitt. - Zupełnie sensowna możliwość, gdybyśmy brali pod uwagę wybrzeża północnego Meksyku.

- Po przeciwległej stronie kipu - podjął Yaeger - znajdujemy przewody o takich samych kolorach niebieskim i zielonym, ale z odmienną liczbą węzłów. Komputer odczytuje to jako czas poświęcony podróży z powrotem. Sądząc po dodatkowych węzłach i krótszych pomiędzy nimi odstępach, powiedziałbym, że mieli trudny i sztormowy rejs powrotny.

- Wcale nie odnoszę wrażenia, że błędzisz w ciemnościach na oślep - stwierdził Pitt. - Uznałbym raczej, że nieźle zaczynasz to łapać.

Yaeger uśmiechnął się.

- Pochlebstwo jest zawsze mile widziane. Mam tylko nadzieję, że przy dalszej analizie nie wpadnę w pułapkę zbyt daleko idących domysłów.

Taka perspektywa nie wydała się Pittowi zachwycająca.

- Żadnej fikcji, Hiram. Niech to będzie wierny obraz.

- Rozumiem. Chcesz mieć zdrowe dziecko z dziesięcioma paluszkami u rąk i dziesięcioma u nóg.

- A najchętniej takie, które w owych rączkach będzie trzymało tabliczkę TUTAJ KOPAĆ - odparł Pitt chłodnym, bezbarwnym głosem, od którego Yaegerowi niemal stanęły włosy na głowie. - Albo skończy się na tym, że staniemy nad pustą dziurą w ziemi.

Na przypominającym komin szczycie samotnej góry, która na kształt pomnika nagrobnego wznosi się na środku piaszczystej pustyni, stoi olbrzymi kamienny demon sprężony do skoku. Stoi tam od prehistorycznych czasów, wbijając szpony w litą bazaltową skałę, z której został wyrzeźbiony. W pustynnym gobelinie u jego stóp duchy przeszłości obcuja z duchami teraźniejszości; w górze nad jego łbem szybują sępy, pomiędzy jego nogami przeskakują, króliki, jaszczurki prześlizgują się wokół olbrzymich pazurów. Z piedestału na szczycie góry węzowe ślepia bestii spoglądają na panoramiczny pejzaż piaszczystych wydm, skalistych wzniesień i gór oraz na migoczącą rzekę Kolorado, która rozdziela się w szereg odnóg, sunąc przez zamuloną deltę wpadając wreszcie do Zatoki Kalifornijskiej. Rzeźba, tkwiąca na szczycie góry, o której powiada się, że jest mistyczna zaczarowana, była narażona na nieustanne ataki żywiołów, wiele zatem z jej misternych elementów uległo erozji i starło się z czasem. Korpus demona przypomina ciało jaguara czy też innego wielkiego kota, ma jednak skrzydła i węzowy łeb. Jedno z owych skrzydeł wciąż sterczy z barku, ale drugie już dawno temu runęło na twardą skałę i roztrzaskało się w gruz. Pozostawili tu również swój ślad wandale, wylupując kły z rozwartej paszczęki i ryjąc na bokach i piersi demona swoje inicjały.

Ważący kilka ton skrzydlaty jaguar z węzowym łbem jest jedną z ledwie czterech zachowanych rzeźb, stworzonych przez nieznane kultury przed pojawieniem się hiszpańskich misjonarzy na początku szesnastego wieku. Pozostałe trzy to przyczajone do skoku lwy w parku narodowym Nowego Meksyku; są statyczne i znacznie prymitywniejsze. Archeologowie, którzy wspięli się na strome urwiska, aby zbadać rzeźbę, nie mieli pojęcia o jej przeszłości, nie potrafili odgadnąć jej wieku ani też tajemniczych twórców, którzy olbrzymiemu występowi skalnemu nadali kształt skrzydlatej bestii. Jej styl i wzór były zasadniczo odmienne od stylu znanych posągów z czasów prehistorycznych kultur amerykańskiego południowego zachodu. Stworzono wiele teorii, ogłoszono wiele opinii, ale tajemnica znaczenia owej rzeźby pozostała skryta pod zasłoną przeszłości. Prawiono, iż starożytne ludy lękały się groźnej kamiennej bestii, mając ją za strażnika podziemnego świata. Współczesna jednak starszyzna plemion Cahuilla, Quechan i Montolo, zamieszkujących ten region, nie potrafiła sobie przypomnieć jakichkolwiek tradycji religijnych czy też rytuałów związanych z rzeźbą. Skoro tutejsi Indianie nie znali żadnych pochodzących z dawniejszych czasów mitów ustnych, stworzyli własny mit. Wymyślili zatem potwora

o nadprzyrodzonej mocy, którego wszyscy umarli muszą minąć w drodze do wielkiej nicości. Jeśli prowadzili grzeszne żywoty, kamienna bestia budziła się do życia, chwyciła ich w paszczę, miażdżyła kłami i wypluwała jako okaleczone, nieforemne duchy skazane na wieczne błądzenie po ziemi. Tylko zacni sercem i duszą mogli przedostać się w zaświaty.

Wielu żyjących podjęło trud wspinaczki po stromym zboczach góry, aby składając ofiarę czy też raczej łapówkę z ręcznie lepionych gliniastych figurynek i prastarych muszel z naszkicowanymi sylwetkami zwierzęcymi zapewnić sobie bezbolesne przejście w nicość, kiedy już nadejdzie ich godzina. Członkowie okrytej żałobą rodziny często pozostawali na pustyni u podnóża góry i wysławszy na górę jednego emisariusza, sami zanosili modły do kamiennej bestii, błagając, aby nie czyniła przeszkód ich ukochanemu zmarłemu. Billy Yuma, który siedział w swojej półciężarówce w cieniu góry i spoglądał na odpychającą rzeźbę, nie odczuwał najmniejszego lęku przed kamiennym demonem. Miał nadzieję, że jego rodzice i zmarli przyjaciele otrzymali prawo swobodnego wstępu do świata zmarłych, byli bowiem zacnymi ludźmi, którzy nikomu w życiu nie zrobili krzywdy. Napawał go lękiem brat, czarna owca rodziny, który bijął żonę oraz dzieci i umarł jako alkoholik. Billy obawiał się, że brat stanie się złym duchem. Jak większość Indian z pustyni, Billy żył ze świadomością stałej obecności potwornie zdeformowanych duchów, które włóczyły się bez celu i dopuszczały złośliwych uczynków. Billy wiedział, iż w każdej chwili duch jego brata może wyłonić się z nicości, obrzucić go błotem, podrzeć mu ubranie, a nawet zacząć prześladować sny koszmarne wizjami zmarłych, którzy nie potrafią znaleźć miejsca wiecznego spoczynku. Największa jednak obawa Billy'ego polegała na tym, że brat może sprowadzić chorobę lub kalectwo na jego żonę i dzieci. Widział go trzy razy. Najpierw w postaci trąby powietrznej, która pozostawiła za sobą smugę duszącego kurzu, następnym razem jako wirujące światło okrążające spiralnie drzewo mesquite i na koniec jako błyskawicę, która poraziła jego półciężarówkę.

Były to złowieszcze znaki. Billy i plemienny szaman, przykucnięci przy ognisku, długo dyskutowali nad sposobem pokonania ducha niedobrego brata. Nie powstrzymany, duch mógł stworzyć wieczne zagrożenie dla rodziny Billy'ego i jego potomków. Próbowano wszystkiego i wszystko zawiodło. Stary plemienny szaman przepisał miksturę z pączków kaktusa i ziół jako środek ochronny na czas dziesięciodniowego postu, odbywanego na pustyni. Kuracja ta smętnie zawiodła. Głód

sprawił, że Billy zaczął widywać zjawę brata nader regularnie, a w dodatku słyszeć podczas owych samotnych nocy przeciągłe zawodzenie. Usiłowano zastosować potężne rytuały, jak na przykład ceremonialne śpiewy, nic jednak nie było w stanie spacyfikować złego ducha, którego manifestacje stały się wręcz jeszcze bardziej dramatyczne.

Billy nie był zresztą jedynym członkiem szczepu, którego dręczyły problemy tego rodzaju. Odkąd najtajniejsze i najświętsze dla szczepu obiekty kultu religijnego zniknęły ze swej kryjówki w samotnych, pradawnych ruinach, na całą wioskę poczęły spadać nieszczęścia. Nędzne zbiory, choroby zakaźne dzieci, niezwykła jak na tę porę roku gorąca i sucha pogoda. Mężczyźni częściej nadużywali alkoholu, wybuchały bójki, nierzadko kończone tragicznie. Najuciążliwsze jednak było nagłe spotęgowanie się choroby duchów. Ludzie, którzy nigdy dotąd nie widzieli i nie słyszeli złego ducha, teraz zaczęli opisywać spotkania z nimi. Duchy dawno zmarłych Montolów pojawiały się w ich snach, ale często materializowały się również w białym świetle dnia. Niemal wszyscy, nawet małe dzieci, mieli, a przynajmniej utrzymywali, że mieli, kontakty z bytami nadnaturalnymi. Kradzież drewnianych bożków słońca, księżycy, ziemi i wody wstrząsnęła religijną społecznością Montolów, świadomość, iż bóstwa nie uczestniczą w ceremoniach inicjacyjnych, była udręką ponad siły szczepowej młodzieży. Bez rzeźbionych idolów liczące wieleset lat rytuały nie mogły być odprawiane; młodzi pozostawali w pustce między dzieciństwem a dorosłością. Bez uświęconych obiektów czci religijnej praktykowanie religii zupełnie umarło. Montolowie znaleźli się w takiej sytuacji, w jakiej znaleźliby się chrześcijanie, muzułmanie czy żydzi, gdyby pewnego ranka stwierdzili, iż całe miasto Jeruzalem zostało zmiecione z powierzchni ziemi lub uprowadzone w kosmos. Dla obcych był to banalny przypadek kradzieży, dla Montolów równał się bluźnierstwu, niewybaczalnej zbrodni. Wokół ognisk w podziemnych budowlach ceremonialnych kapłani starej religii szeptali o tym, jak to w nocnych wiatrach słyszą żalosne jęki bożków błagających, aby pozwolono im wrócić do dotychczasowej bezpiecznej kryjówki. Billy Yuma nie miał wyboru. Szaman udzielił mu instrukcji, szukając wskazówek w żuźlach dogasającego ognia. Jeśli Billy chce odesłać ducha brata w zaświaty i ocalić rodzinę od kolejnych klęsk, musi odnaleźć zaginione bóstwa i odnieść je do ich uświęconej kryjówki w starożytnych ruinach. Podejmując rozpaczliwą próbę położenia kresu prześladowaniom i nieszczęściom, Billy zdecydował zło zwalczać złem. Postanowił wspiąć się na górę, stawić czoło demonowi i modlitwą ubłagać go o pomoc w odzyskaniu bezcennych

bóstw. Nie był już młodzieńcem, a wspinaczka bez użycia sprzętu alpinistycznego mogła być niebezpieczna, ale Billy podjął decyzję wypełnienia misji i nie zamierzał się wycofać. Zbyt wielu przedstawicieli jego ludu pokładało w nim nadzieję.

Mniej więcej w jednej trzeciej wspinaczki na górę południową ścianą serce Billy'ego łomotało już w zębra jak młot, a jego płuca rozdzierał nieznośny ból. Mógłby przystanąć, odpocząć, odetchnąć, sunął jednak dalej, zdecydowany dotrzeć do szczytu w jednym podejściu. Odwrócił się i spojrzął na dół tylko raz, sprawdzając, czy jego półciężarówka wciąż stoi u podnóża góry. Wyglądała jak zabawka, którą dziecko mogłoby ująć jedną ręką. Ponownie obrócił wzrok na zbocze. W zachodzącym słońcu zmieniało zabarwienie z bursztynowego na ceglasczerwone. Billy żałował, że nie wyruszył wcześniej, miał jednak codzienne obowiązki, z którymi musiał się uporać. Słońce zatem było już wysoko, kiedy podjechał pod górę i rozpoczął wspinaczkę. Teraz pomarańczowa kula obsuwała się za grań gór Sierra de Juarez, rozciągających się na zachodzie. Wspinaczka była znacznie trudniejsza, niż sobie wcześniej wyobrażał, i zabierała o wiele więcej czasu. Odchylił głowę, osłonił twarz przed jasnością bijącą z nieba i mrużąc oczy wbił spojrzenie w stożek na szczycie góry. Wciąż miał do pokonania osiemdziesiąt pięć metrów, a do zapadnięcia nocy pozostawało zaledwie pół godziny. Perspektywa spędzenia owej nocy u boku ogromnej kamiennej bestii napełniała Billy'ego złymi przeczuciami. Podjęcie próby schodzenia w ciemnościach byłoby jednak szaleństwem. Billy był niski i wprawdzie niemłody - miał pięćdziesiąt pięć lat - ale życie spędzone na uprawie roli w surowym klimacie pustyni Sonora zahartowało go i uczyniło niezniszczalnym jak stara kuta patelnia. Może jego stawy nie były równie elastyczne jak w dniach, kiedy zwyciężył w Taxon zawody ujeżdżania dzikich koni, ani też nie poruszał się już ze sprężystością chłopca, który był niegdyś najszybszym przełajowym biegaczem w plemienu, ani wreszcie nie miał dawnej wytrzymałości, był jednak wciąż równie twardy, jak starzejący się górski kozioł. Białka jego oczu pożółkły, a powieki poczerwieniały, jako że całe życie spędził w brutalnym pustynnym słońcu i nigdy nie nosił ciemnych okularów. Miał okrągłą brązową twarz o silnie zarysowanej szczęce, postrzępione, kosmate szare brwi i gęste czarne włosy - takie twarze, z pozoru pozbawione wyrazu, a jednak zdradzające głębię charakteru i zdolność wejrzenia w naturę, nieczęsto są spotykane u nie-Indian.

Nagle Billy poczuł lekki powiew wiatru i jakby przepływający nad głową cień. Zadrzał z nieoczekiwanego chłodu. Czy to duch? Skąd przybywa? Czy brat usiłuje rzucić go ze skały? A może wielka kamienna bestia pojęła, że się zbliża i wysłała pod

jego adresem ostrzeżenie? Billy pełen najgorszych przeczuć piał się dalej, zaciskając zęby i patrząc jedynie na niemal pionowe skały, które piętrzyły się przed nim wysoko w niebo. Na szczęście jego poprzednicy wykuli stopnie i uchwyty dla dłoni na co bardziej stromych fragmentach ściany tuż pod wierzchołkiem. Po zaoblonej gładkości ich krawędzi Billy poznał, że są bardzo stare. W odległości pięćdziesięciu metrów od celu znalazł się w kominie skalnym, który oddzieliwszy się od ściany, stworzył w wąskiej szczelinie gołoborze potrzaskanych kamieni. Tu ściana pęła się pod łagodniejszym kątem, ułatwiając wspinaczkę. Na koniec, kiedy tracił już czucie w nogach i mięśnie zaczynały mu tężeć, skalista ściana ustąpiła łagodnemu zboczowi i po chwili wypełził na otwartą platformę szczytu. Gasło ostatnie światło dnia; Billy dźwignął się na nogi i odetchnął głęboko, delektując się zimnym, czystym pustynnym powietrzem. Otarł dłonie o nogawki spodni, aby usunąć z nich brud i żwir, a potem spojrział na mroczny zarys rzeźby wiszącej nad nim w coraz gęstszej ciemności.

Można by przysiąc, że otaczał jaguara nimb, choć przecież został wyrzeźbiony z tej samej materii co góra. Billy był zmęczony i obolały, ale, o dziwo, mimo opowieści o niespokojnych duchach, które nie dostąpiwszy wstępu w zaświaty błąkały się dookoła góry, nie odczuwał lęku przed owym demonem zniszczonym przez czas. Nie dostrzegł żadnych śladów przyczajonych w mroku straszliwych stworów. Poza jaguarem z węzowym łbem nie było tu nikogo.

- Przyszedłem - oznajmił.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, żadnych przejmujących wrzasków udręczonych dusz z zaświatów, jedynie szum wiatru i uderzenia skrzydeł jastrzębia.

- Wspiąłem się na zaczarowaną górę, aby zanieść do ciebie modły - oświadczył Billy.

Wciąż żadnej odpowiedzi, ale dreszcz przepęłzył mu po plecach, bo nagle wyczuł czyjąś obecność. Usłyszał głosy przemawiające w osobliwym języku. Nie rozumiał ani słowa.

Potem dostrzegł nabierające kształtu niewyraźne postaci.

Byli to ludzie. Widoczni, lecz przezroczyści. Wydawało się, że poruszają się po platformie, nie zwracając na Billy'ego najmniejszej uwagi. Obchodzili go i przechodzili przez niego, jak gdyby nie istniał. Ich ubrania były Billy'emu nie znane i w niczym nie przypominały przepasek biodrowych czy też zszytych z króliczych skórek płaszczy jego przodków. Ci ludzie byli odziani jak bogowie. Jedni, i tych była przeważająca większość, nosili hełmy ozdobione jaskrawymi pióropuszcami, pozostali mieli na

odkrytych głowach niezwykle fryzury. Ich ciała odziane były w tkaniny, jakich Billy nigdy nie widział. Płaszcze, udrapowane na ramionach, i tuniki, noszone pod spodem, były ozdobione niewiarygodnie bogatymi i pięknymi wzorami.

Po długiej minucie osobliwi ludzie zaczęli roztopiać się w mroku, a ich głosy zamilkły. Billy stał równie nieruchomy i milczący, jak skała pod jego stopami. Kim byli owi niezwykli ludzie, którzy przeparadowali przed jego oczyma? Zastanawiał się, czy przypadkiem nie uchyliły się oto przed nim drzwi do świata duchów. Przybliżył się do kamiennego potwora i wyciągnąwszy drżącą dłoń, dotknął jego boku. Prastara skała miała temperaturę niepokojąco wyższą aniżeli ta, którą mogłoby jej dać zakumulowane w ciągu dnia ciepło. Potem - co jeszcze bardziej niewiarygodne - w węzowym łbie otworzyło się jedno oko, za którym czał się nieziemski blask. Chociaż Billy poczuł w duszy przemożną zgrozę, nie zamierzał ustąpić. Później zarzucano mu nadmiernie bogatą wyobraźnię, po tysiącokroć jednak przysięgał przed śmiercią, która nastąpiła wiele lat później, że naprawdę widział, jak demon przypatruje się mu połyskującym okiem. Przywołał w sukurs całą swoją odwagę, padł na kolana i rozłożył ramiona. Zaczął się modlić. Modlił się do kamiennego jaguara przez niemal całą noc, aż wreszcie zapadł w sen podobny do transu. Rankiem, kiedy wstało słońce, malując chmury złotym rozpryskiem farby, Billy Yuma obudził się i rozejrzał dookoła. Stwierdził, że leży na siedzeniu swojego forda stojącego na pustyni, z dala od milczącej bestii, która ślepym wzrokiem wpatruje się w wyschniętą jałową ziemię.

Joseph Zolar stał u wezłowania złotego sarkofagu, obserwując Henry'ego i Micki Moore'ów pochylonych nad komputerem i drukarką laserową. Po czterech dniach całodobowych badań przetłumaczyli rysunki z symboli na słowa opisowe i proste zdania. Jak zafascynowani wyrywali arkusze spływające z drukarki, z podnieceniem analizowali zawarte na nich dane, gdy tymczasem ścienny zegar wybijał minuty dzielące ich od nieuchronnej śmierci. Zajmowali się swoimi sprawami tak, jakby mężczyźni skrywający twarze pod kominiarkami w ogóle nie istnieli. Henry pracował ze skupieniem i poświęceniem: jego świat ograniczał się do jednej wąskiej ścianki w gaju Akademosa. Jak większość uniwersyteckich profesorów antropologii i archeologii, pracował dla prestiżu, ponieważ dobra doczesne nieustannie znajdowały się poza jego zasięgiem. Sklejał skorupy i napisał sporo ksiąg, przeczytanych przez niewielu i przez jeszcze mniej licznych - kupionych za brzęcząca monetę. Publikowane w niewielkich nakładach, kończyły żywot, gromadząc na sobie kurz w magazynach uniwersyteckich bibliotek. Sława i zaszczyty, których, jak przewidywał, dostąpi jako tłumacz i, być może, odkrywca skarbu Huascara, miały dla niego dużo większe znaczenie aniżeli zysk finansowy.

Początkowo Zolarowie znajdowali Micki Moore kobietą pociągającą, rychło jednak jej obojętność zaczęła ich irytować. Było oczywiste, że jedynym mężczyzną, który wzbudza jej zainteresowanie, jest mąż. Pracowali i żyli we dwojkę w świecie, który sami sobie stworzyli. Ich nieuchronny koniec nie przyprawiał Josepha Zolara o szczególne wyrzuty sumienia. W ciągu wielu lat miał do czynienia z obmierzłymi kolekcjonerami i handlarzami dzieł sztuki, a także zatwardziałymi kryminalistami, lecz tych dwoje ludzi stanowiło dla niego zagadkę. Nie zastanawiał się, jaką formę egzekucji zaplanowali dla nich jego bracia. W tej chwili miało znaczenie tylko to, czy Moore'owie odnajdą związłe i precyzyjne wskazówki prowadzące do złotego łańcucha Huascara. Noszenie kominiarek było zbędne, ale wkładali je, ilekroć przebywali w towarzystwie dwojga naukowców. Było jednak oczywiste, że Moore'owie nie są ludźmi, których łatwo zastraszyć. Zolar spojrzał na Henry'ego Moore'a, usiłując się uśmiechnąć. Nie była to zbyt udana próba.

- Czy skończył pan odczytywanie symboli? - zapytał z nadzieją.

Moore puścił do żony oko, obdarzając ją zarazem porozumiewawczym uśmiechem, i dopiero potem odwrócił się do Zolara.

- Skończyliśmy. Historia, którąśmy rozszyfrowali, opowiada o wielkim



dramacie i ludzkiej wytrwałości. Fakt, że rozszyfrowaliśmy wizerunki i zdołaliśmy je przetłumaczyć, w ogromnym stopniu powiększa naszą wiedzę na temat Czaczapajów. Poza tym da nowy punkt widzenia na całą historię Inków.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o skromność - mruknął ironicznie Sarason.

- Czy wiecie gdzie zakopany jest skarb? - zapytał Charles Oxley.

- Tego dokładnie nie potrafię określić. - Henry Moore wzruszył ramionami.

Sarason postąpił do przodu, gniewnie zaciskając usta.

- Chciałbym zapytać, czy nasi świątli deszyfranci mają choćby najbledsze pojęcie, co właściwie robią?

- A czego pan właściwie chce? - zapytał oziębłe Moore. - Strzałki, która prowadzi do punktu oznaczonego krzyżykiem?

- Tak, do cholery, tego właśnie chcemy.

- Przejdźmy do konkretów, doktorze Moore. - Zolar uśmiechnął się pojednawczo. - Co może nam pan powiedzieć?

W tym momencie Micki Moore wtrąciła się do rozmowy.

- Zapewne będą panowie zadowoleni, gdy usłyszą, że jakkolwiek może to zabrzmieć niewiarygodnie, złoty łańcuch stanowi zaledwie drobną część całego skarbu. Pełna lista, którąśmy odczytali, wskazuje na istnienie czterdziestu, a może nawet więcej ton ceramicznych obiektów i naczyń, stroików na głowę, napierśników, naszyjników i obiektów z litego złota i srebra, z których każdy musiał być niesiony przez dziesięciu mężczyzn. Były tam również ogromne bele świętych materii, przynajmniej dwadzieścia złotych mumii w sarkofagach i ponad pięćdziesiąt ceramicznych urn, wypełnionych kamieniami szlachetnymi. Mając do dyspozycji więcej czasu, moglibyśmy przedstawić panom dokładną listę.

Zolar, Sarason i Oxley patrzyli na Micki przez szczeliny swych masek, kunsztownie skrywając chciwość, która nimi miotła. Przez kilka chwil panowała niemal zupełna cisza, słychać było tylko szmer oddechów i pomruk drukarki. Nawet dla ludzi przyzwyczajonych do obracania na co dzień milionami dolarów rozmiar złotego skarbu Huascara przekraczał najśmielsze marzenia.

- Rysuje pani świetlany obraz - powiedział wreszcie Zolar. - Czy symbole na sarkofagu mówią nam, gdzie zakopano skarb?

- Nie jest zakopany w ścisłym sensie tego słowa - odparł Henry Moore.

Oczekiwał reakcji na to stwierdzenie, Zolar jednak ani drgnął.

- Wedle relacji wygrawerowanej na sarkofagu - wyjaśnił Moore - skarb został

ukryty w jaskini nad rzeką.

W oczach Sarasona zabłysło nagle rozczarowanie.

- Jakakolwiek jaskinia nad jakąkolwiek rzeką dawno została odkryta, razem ze swoim skarbem.

Oxley pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne, aby złoty łańcuch, którego musiało nieść dwustu mężczyzn, po raz wtóry zniknął bez śladu.

- To samo da się powiedzieć o skarbie równie ogromnym jak ten, który opisali nam Moore'owie - dodał Zolar. - Jako znany specjalista od inkaskich antyków, byłbym wiedział o jakichkolwiek artefaktach należących do Huascara, które kiedykolwiek trafiły na rynek. Nikt, kto odkryłby podobną skarbnicę, nie zdołałby tego faktu zachować w tajemnicy.

- Może pokładaliśmy zbyt wiele ufności w zacnym doktorze i jego żonie - stwierdził Sarason. - Skąd możemy wiedzieć, że nas nie oszukują?

- Do kogo pan mówi o zaufaniu? - zapytał cicho Moore. - Zamknęliście mnie i moją żonę w betonowym lochu bez okien na cztery dni i jeszcze nam nie ufacie. Panowie ogromnie lubicie infantylne zabawy.

- Nie ma pan powodów do narzekań - odparł Oxley. - Jesteście opłacani nadzwyczaj dobrze.

Moore posłał Oxleyowi beznamiętne spojrzenie.

- Jak zamierzałem właśnie powiedzieć, kiedy Inkowie i ich czaczapojańscy gwardziści ukryli olbrzymi skarb Huascara w jaskini, zasypali wejście do prowadzącego do niej długiego korytarza. Potem tak ułożyli kawałki skał i glebę, aby wyglądało to jak najbardziej naturalnie, wreszcie zaś, żeby zyskać stuprocentową pewność, iż wejście nigdy nie zostanie odnalezione, zasadzili w tym miejscu rośliny.

- Czy jest tam opis terenu wokół wejścia do groty? - zapytał Zolar.

- Tylko tyle, że znajduje się na szczycie położonej na śródlądowym morzu wyspy o stromych zboczach.

- Chwileczkę, chwileczkę - warknął Oxley. - Powiedział pan, że jaskinia jest w pobliżu rzeki.

Moore pokręcił głową.

- Jeżeli słuchał pan uważnie, usłyszał pan, że jaskinia znajduje się nad rzeką.

Sarason gniewnie popatrzył na Moore'a.

- Cóż za absurdalną bajeczkę usiłuje nam pan sprzedać? Pieczara nad rzeką na

wyspie położonej na śródlądowym morzu. Chyba coś się panu poplątało w pracy przekładowej, doktorku?

- Nie ma żadnego błędu - stwierdził Moore stanowczo. - Nasza analiza jest prawidłowa.

- Aczkolwiek słowo „rzeka” mogło być czysto symboliczne - zasugerowała Micki Moore.

- Tak samo jak słowo „wyspa” - odparował Sarason.

- Może lepiej panowie zrozumieją, jeśli wysłuchacie całej interpretacji - proponował Henry Moore.

- Proszę oszczędzić nam szczegółów - rzekł Zolar. - Znamy już historię o tym, jak Huascar podprowadził królewski skarb spod szacownych nosów swego braciszka Atahualpy i Francisca Pizarra. Interesuje nas tylko kierunek, w którym pożegłowała flota generała Naymlapa, i dokładne położenie miejsca, w którym ukryto skarb.

Moore'owie wymienili spojrzenia, Micki aprobująco skinęła głową, jej mąż zaś zwrócił się do Zolara:

- W porządku, skoro jesteśmy współnikami... - urwał, aby przebiec wzrokiem arkusz, który wysunął się z drukarki. - Piktogramy na sarkofagu mówią, iż skarb został dostarczony do portu morskiego i załadowany na wiele statków. Podróż na północ zajęła w sumie osiemdziesiąt sześć dni, dwanaście ostatnich trwała żegluga przez śródlądowe morze; wreszcie tratwy dobiły do niewielkiej wysepki o wysokich stromych skałach, które sterczały z wody jak wielka kamienna świątynia. Tam Inkowie osadzili swoje statki na plaży, wyładowali skarb i znieśli go długim korytarzem do groty położonej głęboko pod wyspą. I w tym momencie, jakkolwiek by to interpretować, z hieroglifów wynika, że skarb został złożony na brzegach rzeki.

Oxley rozwinął mapę półkuli zachodniej i prześledził palcem trasę ewentualnego rejsu morskiego z Peru obok Ameryki Środkowej i wzdłuż pacyficznych wybrzeży Meksyku.

- Owym śródlądowym morzem musi być Zatoka Kalifornijska.

- Znana również jako Morze Corteza - dodał Moore.

Sarason przyjrzał się mapie.

- Od końca Półwyspu Kalifornijskiego do Peru leci prosta trasa.

- A co z wyspami? - zapytał Zolar.

- Co najmniej tuzin, może nawet więcej - odparł Oxley.

- Przeszukanie wszystkich zajmie całe lata.

Sarason podniósł i przeczytał ostatnią stronę przekładu Moore'ów. Potem spojrział zimno na Henry'ego.

- Nie wszystko nam pan mówi, przyjacielu. Obrazki na złotym sarkofagu muszą dawać dokładne wskazówki, jak znaleźć skarb, żadna mapa, warta papieru, na którym ją narysowano, nie pomija najistotniejszych informacji.

Zolar uważnie wpatrywał się w twarz Moore'a.

- Czy to prawda, doktorze, że pan i pańska żona nie dostarczyliście nam pełnego rozwiązania zagadki?

- Rozszyfrowaliśmy z Micki wszystko, co było do rozszyfrowania. Nie ma tu nic więcej.

- Kłamie pan - powiedział Zolar beznamiętnie.

- Oczywiście, że kłamie - warknął Sarason. - Nawet kretyń by się domyślił, że zatrzymali dla siebie najistotniejsze wskazówki.

- I nie jest to sensowny tryb postępowania, doktorze. Postąpilibyście rozsowniej, przestrzegając warunków naszej umowy.

Moore wzruszył ramionami.

- Nie jestem takim durniem, jak się panom zdaje - powiedział. - Fakt, iż wciąż nie chcecie ujawnić nam swojej tożsamości, pozwala mi wnioskować, iż nie macie również najmniejszego zamiaru dotrzymać naszego porozumienia. Jaką mam gwarancję, że się z niego wywiążecie? Nikt nie ma pojęcia, dokąd nas zabrano. Przywieźliście nas tutaj w przepaskach na oczach i trzymacie jak więźniów; to nic innego jak porwanie. Co mieliście zamiar z nami zrobić, kiedy pełne instrukcje, prowadzące do skarbu Huascara, znajdą się w waszych rękach? Znow założyć nam opaski na oczy i odwieźć nas do domu? Nie sądzę. Przypuszczam, że mieliśmy z Micki przepaść bez śladu i stać się kolejną fiszką w katalogu osób zaginionych. Zechce mnie pan sprostować, jeśli się mylę.

Gdyby Moore nie był tak inteligentnym człowiekiem. Zolar wyjaśniłby te obawy, ale antropolog przejrzał ich plan i zmusił do okazania kart.

- W porządku, doktorze, czego pan sobie życzy za ujawnienie wszystkich faktów?

- Pięćdziesięciu procent skarbu, kiedy go znajdziemy.

Tego było Sarasonowi aż nadto.

- Sukinsyn, to rozbój w biały dzień! - Podszedł do Moore'a, poderwał go do góry i rzucił nim o ścianę. - To tyle, jeśli chodzi o wasze żądania! - wrzasnął. - Nie

damy sobie więcej wciskać kitu. Mów, czegoś się dowiedział, albo to z ciebie wytlukę. I wierz mi, widok twojego rozłupanego łba sprawi mi ogromną przyjemność.

Micki Moore stała nieporuszenie. Jej niesamowite opanowanie wydawało się Zolarowi co najmniej irracjonalne. Każda inna żona zlekłaby się, słysząc tak gwałtowne groźby rzucane pod adresem męża.

Trudno uwierzyć, ale Moore się uśmiechnął.

- Proszę to zrobić. Proszę połamać mi nogi, zabić mnie nawet. A wtedy i za tysiąc lat nie znajdziecie złotego skarbu Huascara.

- On ma rację - powiedział Zolar, spokojnie spoglądając na Micki.

- Kiedy z nim skończę, nie będzie nadawał się nawet na karmę dla psów - powiedział

Sarason, biorąc zamach do ciosu.

- Przestań! - powstrzymał go Oxley. - W imię skuteczności akcji lepiej skieruj swój gniew przeciwko pani Moore, żaden mężczyzna nie lubi widoku bitej i gwałconej żony.

Sarason powoli opuścił Moore'a na ziemię i z wyrazem twarzy godnym przystępującego do łupieży Huna odwrócił się do Micki.

- Nakłanianie pani Moore do współpracy będzie najczystsza przyjemnością.

- Traciecie czas - rzekł Moore. - Nie pozwoliłem, aby nad ostatecznym tłumaczeniem pracowała ze mną żona. Nie ma pojęcia o kluczu prowadzącym do miejsca, gdzie ukryto skarb.

- Co pan gada?

- Mówi prawdę - odparła nieporuszona Micki. - Henry nie pozwolił mi obejrzeć rezultatów końcowych.

- Wciąż jednak mamy przewagę w kartach - stwierdził zimno Sarason.

- To zrozumiałe - powiedział Oxley. - Jak uzgodniliśmy wcześniej, ty obrabiasz panią Moore, dopóki on nie zechce z nami współpracować.

- Tak czy inaczej wszystkiego się dowiemy.

Zolar przeciągle popatrzył na Moore'a.

- Cóż, doktorze? Pańskie wyjście.

- Róbcie sobie z nią, co chcecie, mnie to obojętne. - Moore omiół ich chłodnym i wyrachowanym spojrzeniem.

Bracia Zolar zamilkli. Sarason, najtwardszy z nich, stał z ustami otwartymi ze zdumienia. Cóż za człowiek mógł z takim spokojem, bez najmniejszej oznaki wstydu

czy lęku, rzucać własną żonę wilkom na pożarcie?

- Mógłby pan stać, patrząc, jak pańska żona jest bita, gwałcona, a później mordowana, nie mówiąc słowa, aby temu zapobiec? - zapytał Zolar, szukając w oczach antropologa jakiegokolwiek reakcji.

Twarz Moore'a pozostała nie zmieniona.

- Niczego nie zyskacie, postępując z barbarzyńską głupotą.

- Blefuje. - Moore musiałby wykopać się w kwasie siarkowym, aby zmyć z siebie ślady spojrzenia, którym obrzucił go Sarason. - Złamie się, kiedy tylko usłyszy jej wrzaski.

- Nie sądzę. - Zolar pokręcił głową.

- Ja się z tym zgadzam - powiedział Oxley. - Nie doceniliśmy jego gigantycznej pazerności i obsesji, aby stać się wielką gwiazdą w akademickim świecie. Czy mam rację, doktorze?

Również ich wzgarda nie poruszyła Moore'a, który po chwili odparł:

- Pięćdziesiąt procent czegoś jest zdecydowanie lepsze niż sto procent niczego, panowie.

Zolar zerknął na swoich braci, Oxley ledwie dostrzegalnie skinął głową. Sarason zacisnął pięści, aż przybrały kolor kości słoniowej. Odwrócił się, ale wyraz jego twarzy dowodnie zdradzał chęć wyrwania Moore'owi wątroby i płuc.

- Sądzę, że możemy uniknąć dalszych gróźb i osiągnąć porozumienie w sposób kulturalny - powiedział Zolar. - Zanim jednak zgodzimy się na pańskie podwyższone żądania, muszę uzyskać całkowitą pewność, że doprowadzi nas pan do skarbu.

- Rozszyfrowałem opis znaku rozpoznawczego, który prowadzi wyraźnie do wejścia do groty - rzekł Moore powoli i wyraźnie. - Znam jego rozmiar i kształt, mogę rozpoznać go z powietrza. Prawdopodobieństwo błędu jest równe zeru.

Jego pełne pewności stwierdzenie zostało przyjęte milczeniem. Zolar podszedł do złotej mumii i spojrzał na hieroglify wyryte w jej powłoce.

- Trzydzieści procent. To będzie musiało panu wystarczyć.

- Czterdzieści albo nic - powiedział stanowczo Moore.

- Czy chce pan uzyskać zapewnienie na piśmie?

- A czy taki dokument miałby znaczenie przed sądem?

- Przypuszczalnie nie.

- A zatem będziemy musieli zawrzeć ugodę ustną. - Moore odwrócił się do żony. - Wybacz, moja droga. Mam nadzieję, że nie wyprowadziło cię to wszystko

zbyt z równowagi. Musisz jednak zrozumieć, pewne rzeczy są znacznie ważniejsze aniżeli przysięgi małżeńskie.

„Cóż to za niezwykła kobieta” - pomyślał Zolar. Powinna sprawiać wrażenie przerażonej i poniżonej, ale po podobnych uczuciach nie było na niej najmniejszego śladu.

- Załatwione zatem - rzekł. - Skoro jesteśmy teraz prawdziwymi współnikami, nie widzę potrzeby noszenia tych masek. - Ściągnął kominiarkę i przeczesał palcami włosy. - Spróbujmy wszyscy dobrze się wyspać. Jutro z samego rana polecicie do Guaymas w Meksyku naszym firmowym odrzutowcem.

- Dlaczego do Guaymas? - zapytała Micki Moore.

- Z dwóch powodów. Jest z pewnością zlokalizowane nad zatoką, a poza tym dobry przyjaciel, nasz klient, złożył nam kiedyś stałe zaproszenie, aby wedle woli korzystać z jego hacjendy na północ od portu. Posiadłość ma prywatny pas startowy, a zatem jest to idealna kwatery główna, z której będziemy prowadzić poszukiwania.

- Ty nie lecisz? - zapytał Oxley.

- Spotkam się z wami za dwa dni. Mam spotkanie w interesach w Wichita w stanie Kansas.

Zolar spojrział na Sarasona, obawiając się, iż brat może przystąpić do kolejnego ataku na Moore'a. Nie musiał się jednak obawiać.

Twarz Sarasona zdobił upiorny uśmiech. Gdyby bracia zdołali wejrzeć w głębiny jego duszy, odnaleźliby tam radosne marzenia, co po odkryciu skarbu uczyni z Moore'a Tupac Amaru.

- Brunhilda osiągnęła kres swoich możliwości - powiedział Yaeger, mając na myśli swój ukochany komputer. - Po wielu wysiłkach zdołaliśmy wspólnie ułożyć w znaczącą całość mniej więcej dziewięćdziesiąt procent informacji zaszyfrowanych w pozawęzłanych sznurkach. Jest jednak kilka permutacji, których żeśmy nie rozgryźli...

- Permutacji? - mruknął Pitt siedzący na przeciwko Yaegera w sali konferencyjnej.

- Różnych układów porządku linearnego i barw poszczególnych sznurków kipu.

Pitt wzruszył ramionami i rozejrzał się po sali. Oprócz niego i Yaegera był tu jeszcze admirał Sandecker, Al Giordino i Rudi Gunn. Uwaga wszystkich skupiała się na Yaegerze - wyglądał jak kojot po nocy spędzonej na wyczerpującym wyciu do księżycy.

- Muszę uzupełnić swój słownik - mruknął Pitt. Rozsiadł się wygodniej i wbił wzrok w komputerowego geniusza, który stał przed wielkim ekranem zawieszonym na ścianie.

- Jak miałem właśnie zamiar wyjaśnić - podjął Yaeger - kilka węzłów i całych sznurków jest nie do rozszyfrowania. Po zastosowaniu najbardziej wyrafinowanych i zaawansowanych technik analizy informacji i danych, nie stać mnie na więcej niż szkicowy zarys całej historii.

- Poddajesz się? Ty, taki geniusz? - zapytał z uśmiechem Gunn.

- Nawet Einstein by się poddał. Również pracowałby w próżni, chyba że wpadłby mu w ręce inkaski kamień z Rosetty bądź też szesnastowieczny poradnik sztuki sporządzania kipu.

- Jeśli zamierzasz nam powiedzieć, że ten show nie ma wielkiego finału, to ja idę na lunch.

- Kipu Drake'a to złożone przedstawienie danych o charakterze numerycznym - podjął Yaeger, nie poruszony ironią Giordina. - Ale nie jest to wyrazisty opis wydarzeń krok po kroku. Nie da się relacjonować akcji i dramatu jedynie z zastosowaniem węzłków, strategicznie umiejscowionych na kilku nitkach zabarwionego drutu. Kipu może przekazać zaledwie szkicową relację o ludziach, którzy żyli i umierali na tym konkretnie etapie dziejów.

- Przekonał nas pan - stwierdził Sandecker, wymachując jednym ze swoich bulwiastych cygar. - A może dowiedzielibyśmy się teraz, co wyłuskał pan z tego labiryntu.



Yaeger skinął głową i przygasił światła w sali konferencyjnej. Potem włączył rzutnik; na ekranie pojawiła się stara hiszpańska mapa wybrzeży Ameryki Północnej i Południowej. Ująwszy w dłoń wskaźnik, nonszalancko skierował go mniej więcej w kierunku mapy.

- Nie wdając się w zbyt rozległy wykład historyczny, powiem tylko, że kiedy Huascar, prawowity dziedzic tronu inkaskiego, został w 1533 roku pokonany i obalony przez swego przyrodniego brata, bękarta Atahualpę, wydał rozkaz, aby królewski skarb i inne bogactwa zostały ukryte wysoko w Andach. Rozsądne posunięcie, jak rychło wyszło na jaw. Uwięziony Huascar doświadczył ogromnych poniżeń i rozpacz. Wszyscy jego przyjaciele i krewni zostali straceni. Jego żony i dzieci powieszono. Jakby tego było mało, Hiszpanie wtedy właśnie dokonali inwazji na imperium Inków. Francisco Pizarro wybrał moment doskonały. Inkaskie armie były podzielone na frakcje i zdziesiątkowane wojną domową, a zatem ogólny chaos działał na jego korzyść. Kiedy niewielka armia Pizarra, złożona z żołnierzy i awanturników, wyrznięła na centralnym placu prastarego miasta Caxanarca kilka tysięcy popleczników i urzędników Atahualpy, Hiszpanie zdobyli imperium dzięki faulowi technicznemu.

- To dziwne. Gdyby Inkowie zaatakowali, zapewne pokonaliby Hiszpanów - stwierdził Gunn. - Ich przewaga liczebna nad ludźmi Pizarra musiała wynosić co najmniej sto do jednego.

- Raczej tysiąc do jednego - odparł Yaeger. - Znów jednak, jak w wypadku Corteza i Azteków, widok srogich brodatych mężów odzianych w stalowe zbroje, których nie może przebić strzała ani kamień, mężów dosiadających również okutych w żelazo koni, nie znanych uprzednio Inkom, mężów wymachujących mieczami, strzelających z arkebuzów i dział, był ponad ich siły. Zdemoralizowani do szpiku kości generałowie Atahualpy nie zdołali uzyskać przewagi, którą dałyby im pełne zdecydowania ataki wielkich sił.

- A co się działo z armiami Huascara? - zapytał Pitt. - Z pewnością bowiem wciąż były w polu.

- Zgadza się, ale były też pozbawione wodzów - odparł kiwając głową Yaeger. - Historia może jedynie spekulować, co by było gdyby. Co by było, gdyby dwaj inkascy królowie zakopali topór wojenny i połączyli swoje armie, aby w kampanii, w której postawiliby wszystko na jedną kartę, usiłować wyrzucić z imperium nienawistnych cudzoziemców? Interesująca hipoteza. Gdyby Hiszpanie ponieśli klęskę, Bóg raczy

wiedzieć, jak wyglądałyby dzisiaj granice i rządy w krajach Ameryki Południowej.

- Z pewnością mówiono by tam innym językiem niż hiszpański - zauważył Giordino.

- Gdzie był Huascar podczas konfrontacji Atahualpy z Pizarrem? - spytał Sandecker, zapaliwszy wreszcie swoje cygaro.

- Uwięziony w Cusco, stolicy imperium, tysiąc dwieście kilometrów od Caxanarca.

Nie podnosząc głowy znad czynionych w brulionie notatek, Pitt zapytał:

- Co było dalej?

- Aby kupić sobie wolność, Atahualpa zawarł z Pizarrem układ, że ofiaruje mu komnatę wypełnioną złotem tak wysoko, jak zdoła sięgnąć ręką - odparł Yaeger. - Komnatę, mógłbym dodać, nieco większą od tego pokoju.

- Czy wywiązał się z przyrzeczenia?

- Tak. Atahualpa obawiał się jednak, iż Huascar mógłby zaofiarować Hiszpanowi więcej złota, srebra i klejnotów niż on. Wydał zatem rozkaz stracenia brata. Legalnego władcę utopiono, lecz wcześniej Huascar zdołał wydać polecenie, aby skarby królewskie ukryto.

Sandecker popatrzył na Yaegera przez chmurę niebieskawego dymu.

- Skoro król zginął, kto wypełnił jego wolę?

- Wódz o imieniu Naymlap - odparł Yaeger. Końcem wskaźnika pociągnął wzdłuż narysowanej na mapie czerwonej linii, która biegła od Andów do wybrzeża. - Nie był Inka królewskiej krwi, lecz prostym czaczapojańskim wojownikiem, który dzięki osobistym przymiotom uwieńczył karierę stanowiskiem najbardziej zaufanego doradcy Huascara. I to właśnie Naymlap zorganizował transport skarbu z gór na wybrzeża, gdzie zgromadził flotyllę złożoną z pięćdziesięciu pięciu statków. Jak informuje nas kipu, po podróży trwającej dwadzieścia cztery dni potrzeba było jeszcze kolejnych osiemnastu, aby załadować na pokłady olbrzymi skarb..

- Nie miałem pojęcia, że Inkowie byli ludem żeglarskim - stwierdził Gunn.

- Tak samo jak Majowie i podobnie jak Fenicjanie, Grecy czy Rzymianie. Inkowie preferowali żeglugę przybrzeżną. Nie obawiali się otwartych mórz, ale w bezkiszczycowe noce i podczas sztormowej pogody rozważnie wyciągali łodzie na brzeg. Uprawiając nawigację według słońca i księżyca, żeglowali w górę i w dół wybrzeża, wykorzystując dominujące w tamtych regionach wiatry i prądy. I w ten sposób prowadzili handel z mieszkańcami obecnej Panamy, a może jeszcze dalej.

Pewna inkaska legenda opowiada o dawnym królu, który usłyszał opowieść o wyspie bogatej w złoto i mądry lud, wyspie leżącej daleko za morskim horyzontem. Z myślą o łupach i niewolnikach król ów zbudował i wyekwipował flotę statków, a potem, w towarzystwie swoich żołnierzy pełniących funkcję piechoty morskiej, pożeglował na wyspy, o których sądzimy dziś, że były wyspami Galapagos. Dziewięć miesięcy później wrócił z wieloma tuzinami czarnych niewolników i ogromną ilością złota.

- Galapagos? - zapytał z powątpiewaniem Pitt.

- A dlaczegóż by nie?

- Czy dysponujemy jakimikolwiek informacjami na temat konstrukcji ich statków? - zapytał Sandecker.

- Bartolomeo Ruiz, pilot Pizarra, widział wielkie tratwy wyposażone w maszty i ogromne prostokątne bawełniane żagle. Inni hiszpańscy żeglarze donosili o mijających ich statki tratwach, których kadłuby były sporządzone z drewna balsa, bambusa i trzciny. Mogły ponoć przewozić sześćdziesięciu ludzi i czterdzieści, a może nawet więcej wielkich skrzyń z towarami. Oprócz żagli napędem tratw były wiosła. Wzory, znalezione na prekolumbijskiej ceramice glinianej, ukazują dwupokładowe łodzie z uniesionymi dziobem i rufą, zdobionymi rzeźbami głów węży, bardzo podobnych do smoków, które znamy z długich łodzi wikingów.

- A zatem nie ma wątpliwości, że byli w stanie transportować duże ilości złota i srebra na długich trasach morskich?

- Najmniejszych, panie admirale. - Yaeger postukał wskaźnikiem w inną linię, przedstawiającą trasę rejsu floty Naymlapa. - Od punktu startowego aż do położonego na północy celu podróży rejs trwał osiemdziesiąt sześć dni. Nie jest to krótka wyprawa jak na prymitywne statki.

- Czy można do końca wykluczyć możliwość, że skierowali się na południe? - zapytał Giordino.

Yaeger skinął głową.

- Mój komputer ustalił, że jeden z tych sznurków przedstawia zasadnicze kierunki geograficzne, przy czym węzeł oznaczający północ znajduje się na górze, a węzeł oznaczający południe na dole. Wschód i zachód są reprezentowane przez dwa odgałęzienia.

- No i gdzie wylądowali? - dopytywał się Pitt.

- Tu właśnie pojawia się wątpliwość. Skoro nie mieliśmy okazji, aby sprawdzić chyżość tratwy z balsy, płynącej pod żaglem na dystansie mili morskiej, ocena

szybkości floty pozostaje wyłącznie w sferze domysłów. Nie będę się w to wdawać w tej chwili, panowie, przeczytacie mój raport później. Brunhilda jednak, usiłując ustalić długość rejsu, wykonała mistrzowską robotę, rekonstruując prądy i wiatry w roku 1533.

Pitt założył ręce za głowę i odchylił się w tył, balansując na dwóch nogach krzesła.

- Pozwól, że zgadnę. Wylądowali gdzieś w górnych regionach Morza Corteza, czyli Zatoki Kalifornijskiej, ogromnym klinie wody oddzielającym stały ląd meksykański od Baja California.

- Na wyspie, jak to już omówiliśmy - dodał Yaeger. - Załogi statków potrzebowały dwunastu dni, aby ukryć skarb w grocie, i tę, biorąc pod uwagę rozmiary podane na kipu, wielkiej grocie. Jej wylot, który zgodnie z moim tłumaczeniem jest korytarzem, biegnie od najwyższego punktu wyspy w dół, do pieczary ze skarbem.

- I zdołał pan to wszystko wywnioskować z serii węzłków? - zapytał z niedowierzaniem Sandecker.

Yaeger skinął głową.

- To i znacznie więcej. Szkarłatny sznurek reprezentuje Huascara, czarny węzeł - dzień jego egzekucji przeprowadzonej na rozkaz Atahualpy, którego boczny sznurek jest purpurowy. Generał Naymlap to ciemny turkus. Możemy z Brunhildą dać panom również pełen spis inwentaryzacyjny skarbu. Proszę uwierzyć, że całkowita jego wartość znacznie, ale to znacznie przekracza wszystko, co łącznie wydobyto z zatopionych statków w ciągu stu minionych lat.

Sandecker nie próbował ukryć sceptycyzmu.

- Mam nadzieję, że bierze pan również pod uwagę „Atoché”, „Edinburgh” i „Central America”?

- I wiele, wiele więcej - uśmiechnął się z pewnością siebie Yaeger.

- Wyspa, powiadasz, gdzieś na Zatoce Kalifornijskiej. A więc gdzie dokładnie jest ten skarb? - zapytał Giordino, chcąc wejść w sedno całego wyводу.

- Gdzieś na wyspie, gdzieś na morzu, czyli diabli wiedzą gdzie... - podsumował Sandecker.

- Mógłby pan to zaśpiewać na melodię „O my darling Clementine” - zażartował Pitt.

- Coś mi się widzi - westchnął Giordino - że musimy wziąć pod uwagę cholernie

wiele wysp. W zatoce jest ich jak mrówek.

- Nie musimy zajmować się jakąkolwiek wyspą poniżej dwudziestego ósmego równoleżnika. - Yaeger swoim wskaźnikiem nakreślił kółko na mapie. - Jak Dirk słusznie się domyślił, wedle mojego przekonania flota pożeglowała w północne rejony zatoki.

- Ale wciąż nam nie powiedziałaś, gdzie mamy kopać - stwierdził Giordino, jak zwykle pragmatyczny.

- Na wyspie, która wznosi się z wody na kształt wieżycy czy też, jak wynika z dokonanego przez Brunhildę przekładu kipu, niczym świątynia słońca w Cuzco. - Yaeger rzucił na mapę slajd przedstawiający powiększony fragment mapy morskiej terenu pomiędzy Półwyspem Kalifornijskim a Meksykiem. Jest to czynnik, który znacznie zawęży obszar poszukiwań.

Pitt wychylił się i uważnie przyjrzał się mapie.

- Centralne wyspy Angel de la Guarda i Tiburón mają obszar od czterdziestu do sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych, na każdej z nich jest kilka szczytów przypominających wieżycę świątyni słońca. Musisz dać nam większe przybliżenie, Hiram.

- Czy istnieje możliwość, że Brunhilda coś przegapiła? - zapytał Gunn.

- Albo też domyśliła się w węzłach błędnego znaczenia? - wtrącił Giordino, nonszalanckim gestem wyciągając z kieszonki swojej koszuli jedno z robionych na zamówienie cygar Sandeckera.

Admirał spiorunował go spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Dawno już zrezygnował z prób ustalenia, jakim cudem Giordino je zdobywa, z pewnością bowiem nie pochodziły z jego osobistych zapasów, których strzegł nadzwyczaj pilnie.

- Muszę przyznać się do luki w swojej wiedzy - odparł Yaeger. - Jak powiedziałem wcześniej, rozszyfrowaliśmy do spółki z komputerem dziewięćdziesiąt procent sznurków i węzłów kipu. Pozostałym dziesięciu procentom nie potrafimy przypisać jasnego znaczenia. Dwa sznurki kompletnie zbiły nas z tropu. Jeden zawiera mętną wzmiankę o czymś, co Brunhilda interpretuje jako rodzaj wyrzeźbionego w kamieniu boga czy demona. Drugi nie ma najmniejszego sensu geologicznego. Jest tam coś o rzece przepływającej przez grotę, w której ukryto skarby.

Gunn postukał w stół długopisem,

- Nigdy nie słyszałem o rzece płynącej pod wyspą.

- Ja też nie - zgodził się Yaeger. - Oto dlaczego wahałem się o tym wspominać.

- Może to jakiś przeciek wody morskiej z zatoki - podsunął Pitt.

- To jedyna logiczna odpowiedź. - Gunn skinął głową.

Pitt podniósł wzrok na Yaegera.

- Nie znalazłeś żadnych odniesień do punktów orientacyjnych?

- Wybacz, tu mi się nie udało. Przez jakiś czas żywiłem nadzieję, że ów bóg czy demon jest kluczem do położenia groty - odparł Yaeger. - Węzły na tym akurat sznurku zdają się wskazywać odległości. Miałem wrażenie, iż pokazują liczbę kroków, jakie należy wykonać w owym tunelu prowadzącym od demona do jaskini. Miedziane włókna są jednak w bardzo złym stanie i Brunhilda nie potrafiła dopatrzeć się w nich konkretnego znaczenia.

- O jakiego demona chodzi? - zapytał Sandecker.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Może to znak drogowy prowadzący do skarbu? - rzucił z zadumą Gunn.

- Albo złowróźbne bóstwo, służące odstraszeniu złodziei - dodał Pitt.

Sandecker postukał cygarem w krawędź filiżanki, strącając długi słupek popiołu.

- Sensowna teoria, jeśli żywiły i wandale w ciągu tych czterystu lat nie dokonali takich zniszczeń, że w tej chwili rzeźby nie da się odróżnić od zwykłej skały.

- Podsumowując - powiedział Pitt - szukamy na Morzu Corteza stromego wzniesienia skalnego czy też wieżycy zwieńczonej rzeźbą przedstawiającą demona.

- To uogólnienie - rzekł Yaeger, siadając przy stole. - Ale dobrze podsumowuje to wszystko, co zdołałem wyciągnąć z kipu.

Gunn zdjął okulary i podniósł je pod światło, szukając smug.

- Jest jakakolwiek nadzieja, że Bili Straight zdoła zrekonstruować uszkodzone sznurki?

- Poproszę, żeby się za nie zabrał - odparł Yaeger.

- Będzie się krzątał przy nich jak mróweczka już za godzinę - upewnił go Sandecker.

- Jeśli konserwatorzy Straighta zdołają zrekonstruować dostatecznie wiele włókien i sznurków, aby Brunhilda miała co analizować, mogę chyba obiecać dodatkowe informacje, które umieszczą was na odległości splunięcia od groty ze skarbami.

- Lepiej się postaraj - poradził Pitt. - Nie zamierzam spędzić reszty życia na

próżnej bieganinie po Meksyku i kopaniu na darmo.

- No i co pan powie, panie admirale? - Gunn zwrócił się do Sandeckera. - Dostajemy wolną rękę?

Zadzierzysty, drobny szef NUMY dłuższą chwilę przyglądał się mapie wiszącej na ścianie. Wreszcie westchnął.

- Kiedy jutro rano przyjdę do biura, chcę mieć na biurku propozycję ujmującą szczegółowo program poszukiwań i jego koszt. Możecie uznać, panowie, że przez najbliższe trzy tygodnie jesteście na płatnym urlopie. I ani słowa poza czterema ścianami tego pokoju. Jeśli mass media wpadną na to, iż NUMA prowadzi poszukiwania skarbów, Kongres urządzi mi piekło.

- A jeśli znajdziemy skarb Huascara? - zapytał Pitt.

- Będziemy wtedy ubogimi bohaterami.

Yaeger nie zrozumiał od razu.

- Ubogimi?

- Admirał chce powiedzieć - wyjaśnił Pitt - że ci, którzy znajdą, nie będą tymi, którzy zatrzymają dla siebie.

Sandecker skinął głową.

- Wypłacacie rzekę łez, panowie, ale jeśli odniesiecie sukces w poszukiwaniach skarbu, każda jego uncja zostanie prawdopodobnie zwrócona władzom Peru.

Pitt i Giordino wymienili porozumiewawcze spojrzenia, przy czym każdy wiedział dokładnie, co drugi ma na myśli. Pierwszy zabrał głos Giordino:

- Mam jakieś subtelne przeczucie...

- A cóż to za przeczucie? - Sandecker popatrzył na niego lekko stropiony.

Giordino z uwagą wpatrywał się w swoje cygaro.

- Prawdopodobnie lepiej byłoby dla tego skarbu, gdybyśmy pozostawili go tam, gdzie jest w tej chwili.

Gaskill leżał przykryty kocem, obok łóżka na stoliku nocnym stała filiżanka wystygłej kawy i talerz z nadgryzioną kanapką z kielbasą. Koc był zasłany kartkami maszynopisu. Gaskill napił się kawy, zanim powrócił do lektury. Tytuł tekstu objętości sporej książki brzmiał: „Złodziej, którego nigdy nie schwytano”. Była to relacja z poszukiwań Fantoma, napisana przez emerytowanego inspektora Scotland Yardu o nazwisku Nathan Pembroke. W swoim niestrudzonym polowaniu inspektor ów spędził niemal pięćdziesiąt lat na myszkowaniu w archiwach policyjnych różnych państw, podążając każdym tropem, bez względu na to, jak się wydawał niepewny. Pembroke, dowiedziawszy się o zainteresowaniu Gaskilla nieuchwytnym złodziejem dzieł sztuki, działającym w latach dwudziestych i trzydziestych, wysłał mu poźółkły wymięty maszynopis, który pracochołnnie skompilował i który w ciągu minionych trzydziestu lat został odrzucony przez dziesiątki wydawców. Gaskill nie potrafił oderwać się od lektury. W całości pochłonęła go mistrzowska detektywistyczna robota Pembroke'a, zbliżającego się już w tej chwili do dziewięćdziesiątki. Anglik prowadził śledztwo w ostatniej znanej sprawie Fantoma - skoku, który miał miejsce w Londynie w roku 1939. Na łup złożył się jeden obraz Joshuy Reynoldsa, dwa Constable'a i trzy Turnera. Jak i wcześniejsze błyskotliwe skoki Fantoma, sprawa nigdy nie doczekała się rozstrzygnięcia, a żaden z obrazów nie wrócił do właściciela. Pembroke, utrzymując z uporem, że nie istnieje coś takiego jak zbrodnia doskonała, wpadł niemal w obsesję rozgryzienia problemu, kim jest Fantom. Przez pół stulecia ta obsesja ani na chwilę nie osłabła i Pembroke nie rezygnował z rozwiązania sprawy. Zaledwie kilka miesięcy przed chorobą, która zmusiła go do zamieszkania w domu opieki, dokonał przełomu i dzięki temu mógł napisać KONIEC pod swoją porywającą relacją.

„Cholera, wielka szkoda - pomyślał Gaskill - że żaden dom wydawniczy nie uznał książki za wartą opublikowania”. Przychodziło mu w tej chwili na myśl przynajmniej dziesięć spraw słynnych kradzieży dzieł sztuki, jakie mogłyby zostać rozwiązane, gdyby „Złodziej, którego nigdy nie schwytano” został wydany.

Ostatnią stronicę Gaskill skończył na godzinę przed świtem. Wyciągnął się na łóżku, zagapił w sufit i umieszczał elementy łamigłówek w ich właściwych miejscach, aż do momentu kiedy promienie słońca wślizgnęły się przez okna jego sypialni w mieście Cicero tuż pod Chicago. Nagle wydało mu się, że oto spiętrzony na rzece zator z drzew ruszył nagle z miejsca i niesiony nurtem gna z coraz większą prędkością.



Sięgając po słuchawkę telefonu Gaskill uśmiechnął się jak człowiek, który wygrał właśnie na loterii. Wybrał numer i poprawił poduszkę, aby móc się o nią oprzeć, czekając na odpowiedź.

- Francis Ragsdale, słucham - rozległ się zgrzytliwy i bardzo zaspany głos.

- Mówi Gaskill.

- Jezus, Dave, dlaczego tak wcześnie?

Gdzieś w tle dał się słyszeć niewyraźny głos żony Ragsdale'a.

- Kto dzwoni?

- Dave Gaskill.

- Czy nie wiesz, że dzisiaj niedziela?

- Przepraszam, że was obudziłem - odparł Gaskill - ale mam dobre wieści, które nie mogą czekać.

- W porządku - wymamrotał Ragsdale, tłumiąc ziewnięcie. - Wal.

- Mogę ci podać nazwisko Fantoma.

- Czyje?

- Naszego ulubionego złodzieja dzieł sztuki.

- Fantoma? - Ragsdale rozbudził się natychmiast. - Zidentyfikowałeś go?

- Nie ja. Emerytowany inspektor Scotland Yardu.

- Dżemojad go rozgryzł?

- Poświęcił większość swojego życia, pisząc o Fantomie grubą książkę. Część materiału to domysły, ale poza tym skompletował nader przekonujące dowody.

- A więc?

Gaskill odchrząknął dla spotęgowania efektu.

- Największy złodziej dzieł sztuki w historii nazywał się Mansfield Zolar.

- Powtórz.

- Mansfield Zolar. Coś ci to mówi?

- Świrujesz.

- Przysięgam na swoją odznakę.

- Aż boję się spytać, czy...

- Daj sobie spokój - wtrącił Gaskill. - Wiem, co myślisz. To ojciec.

- Dobry Boże! Zolar International. To aż nieprawdopodobne. Zolarowie, czy jakiego tam kretyńskiego nazwiska używają... Wszystko zaczyna pasować.

- Jak olej do szprotek.

- Miałeś zatem rację podczas naszego ostatniego lunchu. Fantom rzeczywiście

stworzył dynastię zgniłych jabłek, które podtrzymują rodzinną tradycję.

- Mieliśmy Zolar International pod obserwacją przy co najmniej czterech sprawach, które sobie przypominam, ale zawsze wychodzili z tego czysti. Nigdy nie podejrzewałem, że mają związek z legendarnym Fantomem.

- Z nami to samo - powiedział Ragsdale. - Zawsześmy podejrzewali, że stoją za niemal każdą kradzieżą dzieła sztuki czy artefaktu siedmiocyfrowej wartości, ale nigdy nie zdołaliśmy zgromadzić dowodów, aby któregośkolwiek z nich aresztować.

- Wyraży współczucia. Skoro nie ma dowodów na kradzież dóbr, nie ma nakazu rewizji czy aresztowania.

- To zakrawa na cud, że przestępczy interes tak rozległy, jak Zolarów, może się toczyć na równie wielką skalę i nie pozostawić za sobą żadnych obciążających dowodów.

- Po prostu nie popełniają błędów - uznał Gaskill.

- Czy próbowałeś wprowadzić do ich organizacji agenta? - zapytał Ragsdale.

- Dwukrotnie. Zorientowali się niemal natychmiast. Gdybym nie był pewien, że moi ludzie są absolutnie godni zaufania, przysięgłbym, iż puścili farbę.

- Myśmy też nigdy nie zdołali do nich przeniknąć, a kolekcjonerzy, kupujący gorące dzieła sztuki, są równie jak oni ostrożni i powściągliwi.

- A przecież obaj wiemy, że Zolarowie piorą skradzione dzieła sztuki dokładnie tak, jak handlarze narkotyków piorą pieniądze.

Ragsdale milczał przez kilka chwil, a wreszcie powiedział:

- Sądzę, że najwyższy czas, abyśmy przestali spotykać się na lunchach, wymieniając informacje, i zaczęli współpracować ze sobą pełną parą.

- Podoba mi się twój styl - stwierdził Gaskill. - Kiedy tylko dojdę do biura, ruszę sprawę od swojej strony, składając gorze propozycję utworzenia wspólnej brygady specjalnej.

- Ja zrobię to na swoim końcu.

- Co byś powiedział na wspólną naradę naszych zespołów, powiedzmy w czwartek rano?

- Idealnie - zgodził się Ragsdale.

- To powinno dać nam czas na stworzenie podstaw operacyjnych.

- A skoro mowa o Fantomie, znalazłeś te skradzione akwarele Diego Rivery? Wspominałeś na lunchu, że masz jakiś trop.

- Nadal pracuję nad tą sprawą - odparł Gaskill. - Wygląda jednak na to, że

obrazki powędrowały do Japonii i wylądowały w prywatnych zbiorach.

- O co się chcesz założyć, że to Zolarowie ustawili transakcję?

- Jeśli zrobili to oni, nie pozostawili po sobie żadnego śladu. Wykorzystują zbyt wielu pośredników do prowadzenia każdej transakcji. Mówimy tutaj o supergwiazdach zbrodni. Odkąd stary Mansfield Zolar wykręcił swój pierwszy numer, żaden członek rodziny nie wpadł w ręce moje, twoje czy jakiegokolwiek innej agencji detektywistycznej świata. Nigdy nie widzieli sali sądowej od środka. Są tak nieskazitelni, że aż niesmaczni.

- Tym razem ich przyszpilimy - powiedział optymistycznie Ragsdale.

- Nie są to ludzie popełniający błędy, które moglibyśmy wykorzystać - rzekł Gaskill.

- Może tak, może nie. Zawsze jednak miałem przecucie, że ktoś z zewnątrz, nie powiązany z tobą, ze mną czy Zolarami, wejdzie w ten układ i spowoduje krótkie spięcie.

- Kimkolwiek ma być, mam nadzieję, że wypłynie szybko. Szału bym dostał, patrząc, jak Zolarowie spokojnie przechodzą na emeryturę w Brazylii, zanim zdążymy im spuścić topór na kark.

- Teraz, skoro wiemy, że tatuś był założycielem firmy, i wiemy, w jaki sposób działać, mamy lepsze pojęcie, czego powinniśmy szukać.

- Zanim się rozłączymy - rzekł Ragsdale - powiedz, czy powiązałeś jakiegoś eksperta od tłumaczeń hieroglifów ze złotym sarkofagiem, który wymknął ci się z rąk?

Gaskill skrzywił się z niesmakiem. Nie lubił, gdy przypominano mu o tej historii.

- Wzięliśmy pod uwagę wszystkich znanych ekspertów w tej dziedzinie, wyjąwszy dwoje, parę antropologów z Harvardu, doktora Moore'a i jego żonę. Zniknęli jak kamfora, a żaden z ich uniwersyteckich kolegów czy też sąsiadów nie ma pojęcia, gdzie się podziali.

Ragsdale parsknął śmiechem.

- Miło by było ich przyłapać, jak bawią się z Zolarami w koci koci łapci.

- Pracuję nad tym.

- Powodzenia.

- Skontaktujemy się niebawem - rzekł Gaskill.

- Zadzwoń do ciebie jeszcze dziś przed południem.

- Raczej po południu. O dziesiątej zaczynam przesłuchanie.

- A może - powiedział Ragsdale - zadzwoń po prostu wtedy, kiedy będziesz miał do powiedzenia coś konkretnego na temat tej wspólnej narady.

- Dobra.

Gaskill uśmiechnął, się odkładając słuchawkę. Nie miał zamiaru iść dzisiejszego ranka do biura. Błogosławieństwo firmy na wspólną z FBI grupę specjalną będzie trudniejsze do uzyskania od strony Ragsdale'a niż Gaskilla. Po całej nocy spędzonej na czytaniu zamierzał zażyć przyjemnego, uspokajającego umysł snu. Uwielbiał sytuacje, kiedy sprawa, która umarła śmiercią naturalną z braku dowodów, w pewnej chwili nagle ponownie budzi się do życia. Miło było przejmować inicjatywę. Motywacja, stymulowana podnieceniem, była czymś cudownym. „Gdzie ja to słyszałem?” - zaczął się zastanawiać. „Na wykładach Dale'a Carnegiego? A może policyjnego instruktora, który był specjalistą służby celnej?”. Zanim zdołał sobie przypomnieć, spał jak zabity.

Pedro Vincente osadził swój pięknie odremontowany transportowiec DC3 na pasie startowym lotniska Harringam w Teksasie, podkołował pięćdziesięciopięcioletni samolot przed hangar amerykańskich służb celnych i wyłączył dwa silniki po tysiąc dwieście koni mechanicznych każdy.

Kiedy zszedł na ziemię, czekało już na niego dwóch umundurowanych agentów celnych. Wyższy z owej dwójki, o rudych włosach mierzwiionych wiatrem i twarzą pełną piegów, osłaniał się przed jaskrawym teksaskim słońcem uniesionym clipboardem. Drugi trzymał na smyczy ogara.

- Pan Vincente? - zapytał uprzejmie agent. - Pedro Vincente?

- Tak. Vincente to ja.

- Dziękujemy, że zechciał nas pan powiadomić o swoim przylocie do Stanów Zjednoczonych.

- Zawsze z najwyższą przyjemnością współpracuję z amerykańskimi władzami - odrzekł Vincente. Chętnie powitałby ich uściskiem dłoni, wiedział jednak ze swoich poprzednich wizyt, że agenci jak ognia unikają cielesnych kontaktów z ludźmi przekraczającymi granicę. Podał rudowłosemu agentowi egzemplarz swojego planu lotu.

Agent podczepił go do clipboardu i przestudiował wpisy, podczas gdy jego partner dźwignął ogara do samolotu, aby poniuchał w poszukiwaniu narkotyków.

- Wyleciał pan z miasta Nicoya w Kostaryce.

- Tak było, w rzeczy samej.

- A leci pan do Wichita w stanie Kansas?

- Mieszka tam moja była żona z dziećmi.

- Cel pańskiej wizyty?

Vincente wzruszył ramionami.

- Przylatuję raz w miesiącu, aby zobaczyć się z dziećmi. Wracam do kraju pojutrze.

- Jest pan z zawodu farmerem?

- Tak, uprawiam kawę.

- Mam nadzieję, że kawę i tylko kawę - powiedział agent z wąskim uśmiechem.

- Kawa zapewnia mi całkiem wygodne życie - odparł z urazą Vincente.

- Proszę o pański paszport.

Rytuał zawsze był taki sam. Jakkolwiek Vincente często trafiał na tych dwóch celników, zachowywali się, jakby był turystą odwiedzającym Stany Zjednoczone po raz pierwszy. Agent obejrzał uważnie zdjęcie w paszporcie, porównując z pierwowzorem proste, gładko zaczesane do tyłu włosy, brązowe jak skrzydło przepiórki oczy, gładką oliwkową cerę i ostry nos. Z adnotacji dotyczących wzrostu, postury i wieku wynikało, że właścicielem paszportu jest niewysoki, szczupły człowiek w wieku czterdziestu czterech lat. Vincente ubierał się wytwornie. Jego ubrania sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą opuściły wystawę w GQ - koszula z pracowni wielkiego projektanta mody, eleganckie spodnie, zielona alpakowa sportowa marynarka i zawiązana na szyi jedwabna apaszka. Celnik uznał, że Vincente wygląda jak odpicowany tancerz mambo. Wreszcie ukończył studiowanie paszportu i przywołał na twarz służbowy uśmiech.

- Czy zechciałby pan poczekać w naszym biurze, panie Vincente, aż dokonamy przeszukania w pańskim samolocie? Myślę, że zna pan obowiązującą procedurę.

- Ależ oczywiście. - Vincente pokazał trzymane w ręku dwa hiszpańskie magazyny ilustrowane. - Zawsze jestem przygotowany na krótkie oczekiwanie.

Agent z podziwem popatrzył na dakotę.

- To prawdziwa przyjemność widzieć tak wspaniały stary samolot. Pójdę o zakład, że jej sprawność dorównuje urodzie.

- Zaczęła długi żywot jako komercyjny liniowiec w TWA tuż przed wojną. Znalazłem ją, kiedy przewoziła ładunki dla firmy górniczej w Gwatemali, z miejsca kupiłem i wydałem sporo forsy, aby przywrócić jej świetność.

Był w połowie drogi do biura, kiedy nagle odwrócił się i krzyknął do agenta.

- Czy mógłbym skorzystać z pańskiego telefonu, aby wezwać cysterne? Nie mam w zbiornikach dość paliwa, aby dotrzeć do Wichita.

- Jasne, proszę tylko uprzedzić dyżurnego.

Godzinę później Vincente leciał nad Teksasem w stronę Wichita. Obok niego na siedzeniu drugiego pilota leżały cztery walizki zawierające sześć milionów dolarów, które tuż przed startem przeschmuglował na pokład jeden z ludzi obsługujących cysterne. Po starannym przeszukiwaniu samolotu, nie uwieczonym znalezieniem najmniejszego śladu narkotyków czy innej kontrabandy, agenci doszli do wniosku, że Vincente jest czysty. Sprawdzali go już od wielu lat i w zasadzie nie mieli wątpliwości, że naprawdę jest szanowanym kostarykańskim biznesmenem, który dorobił się ogromnej fortuny na uprawie kawy. Pedro Vincente rzeczywiście był właścicielem

drugiej co do wielkości plantacji kawy w Kostaryce. Było również prawdą, że fortuny dziesięciokrotnie większej niż ta, którą dała mu plantacja, dorobił się na niezwykle lukratywnym procesie przemytu narkotyków, którym wręcz genialnie kierował pod nazwiskiem Julio Juan Carlos. Podobnie jak Zolarowie, Vincente zarządzał swoim przestępczym interesem na odległość. Sprawy codzienne oddał w ręce adiutantów, z których żaden nie miał pojęcia, kim naprawdę jest szef. Vincente rzeczywiście miał też eks-żonę, która wraz z czwórką jego dzieci mieszkała na wielkiej farmie opodal Wichita. Żona otrzymała farmę w darze, kiedy już uprosiła go o rozwód. Zbudowano tam również pas startowy, aby Vincente miał gdzie lądować, przybywając z Kostaryki z wizytą. Powody tych wizyt były dwa: jeden to dzieci, a drugi - kupowanie od rodziny Zolarów kradzionych i przemyconych dzieł sztuki. Służby celne i agenci antynarkotykowi bardziej przejmowali się tym, co przybywa do kraju, aniżeli tym, co go opuszcza.

Było późne popołudnie, kiedy Vincente wylądował na wąskim pasie w środku pola kukurydzy. Na jednym końcu pasa stał złocistobrązowy odrzutowiec z przecinającą bok kadłuba purpurową krechą. Tuż obok rozstawiono wielki niebieski namiot z markizą. Pod nią, przy przenośnym turystycznym stoliku, siedział mężczyzna w białym lnianym garniturze. Vincente pomachał mu z kabiny, pospiesznie dokonał przeglądu po locie i wysiadając wziął ze sobą trzy walizki.

Mężczyzna siedzący przy stoliku wstał z krzesła, postąpił kilka kroków i objął Vincente.

- Pedro! Cóż za rozkosz cię widzieć.

- Joseph, stary przyjacielu, nawet nie masz pojęcia, z jaką niecierpliwością oczekuję zawsze naszego spotkania.

- Możesz mi uwierzyć, że wolę mieć do czynienia z tak honorowym człowiekiem jak ty, aniżeli z wszystkimi innymi moimi klientami wziętymi do kupy.

Vincente uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pochlebstwem tuczysz owieczkę przed zarżnięciem.

- Nie, nie, przed wypiciem kilku kieliszków dobrego szampana dla poprawy samopoczucia. - Zolar roześmiał się niewymuszenie. Obaj schronili się pod markizę i usiedli przy stoliku, a młoda latynoska służąca naląła szampana do kieliszków i podała przekąski.

- Czy masz dla mnie jakiś wyjątkowy towar? - zapytał Vincente.

- Za nasze transakcje i za naszą przyjaźń - powiedział Zolar, kiedy stuknęli się

kieliszkami. Potem skinął głową. - Osobiście wybrałem dla ciebie najrzadsze z rzadkich artefaktów inkaskich. Przywiozłem również niezwykle wartościowe obiekty kultu religijnego Indian z pustyni Południowego Zachodu. Gwarantuję, że dzieła, które właśnie przybyły z Andów, uczynią twoją i tak niezrównaną kolekcję sztuki prekolumbijskiej nieporównanie bogatszą aniżeli zbiór jakiegokolwiek muzeum świata.

- Nie posiadam się z niecierpliwości, żeby je obejrzeć.

- Mój personel wyeksponował je w namiocie - odrzekł Zolar. Ludzie, którzy zaczynają kolekcjonować rzadkie i niepospolite obiekty, rychło wpadają w nałóg, stają się więźniami nieustającej potrzeby zdobywania i gromadzenia rzeczy niedostępnych dla innych. Pedro Vincente należał do tego bractwa i gnało go nieustanne pragnienie poszerzania kolekcji, o której istnieniu miało pojęcie zaledwie kilka osób. Był również jednym z niewielu szczęściarzy, którzy posiadali tajne, nie opodatkowane fundusze umożliwiające zaspokojenie głodu zbieracza. Siedemdziesiąt procent swoich umiłowanych eksponatów Vincente w ciągu dwudziestu lat kupił od Zolara i nie poruszał go przy tym fakt, iż często płacił cenę przekraczającą pięć, a nawet dziesięć razy rzeczywistą wartość obiektu. Ich układ był korzystny dla obu stron. Vincente prął pieniądze uzyskiwane ze sprzedaży narkotyków. Zolar zaś wykorzystywał tę gotówkę, by na czarnym rynku kupować kolejne dzieła sztuki, które powiększały jego ofertę handlową.

- Co sprawia, że te andyjskie artefakty są tak cenne? - zapytał Vincente, kiedy uporali się z drugim kieliszkiem szampana.

- Są czaczapojańskie.

- Nigdy nie widziałem czaczapojańskich dzieł sztuki.

- Bo widziało je niewielu - odparł Zolar. - To, co niebawem obejrzysz, zostało ostatnio wydobyte z zaginionego Miasta Zmarłych w wysokich Andach.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz pokazać mi kilku skorup i urn grzebalnych - rzekł Vincente, którego podniecenie poczęło opadać. - Żadne autentyczne artefakty czaczapojańskie nie trafiły dotąd na rynek.

Zolar odrzucił z teatralnym rozmachem płachtę namiotu.

- Nasyć oczy największą kolekcją czaczapojańskiej sztuki, jaką kiedykolwiek zgromadzono.

Gnany niepohamowanym podnieceniem, Vincente zignorował małą szklaną gablotkę stojącą w rogu namiotu i podszedł wprost do trzech ustawionych w podkowę



długich stołów, pokrytych czarnym aksamitem. Na jednym stole leżały tylko tekstylia, na przeciwległym ceramika, środkowy przypominał wystawę sklepu jubilerskiego na Piątej Alei, zawierając tak imponującą kolekcję pysznych wyrobów, że Vincente poczuł się całkowicie oszołomiony.

Nigdy nie widział w jednym miejscu tak wielu rzadkich i pięknych prekolumbijskich antyków.

- To niewiarygodne - wyszeptał bez tchu. - Zaiste przeszedłeś samego siebie.

- Żaden dealer nie miał jeszcze w swoich rękach takich arcydzieł.

Vincente przechodził od eksponatu do eksponatu, dotykając każdego i badając krytycznym okiem. Samo dotykanie haftowanych tkanin z ich złotą, zdobioną w dodatku klejnotami ornamentyką, zapierało mu dech w piersiach. Wydawało się czymś absurdalnym, że tak olbrzymi skarb tkwi w środku teksaskiego pola kukurydzy. Wreszcie wyszeptał z podziwem:

- A więc to jest sztuka Czaczapojów.

- O stuprocentowo potwierdzonej autentyczności.

- Te wszystkie skarby pochodzą z grobów?

- Tak, z grobów królów i nobilów.

- Wspaniale.

- Czy coś wpadło ci w oko? - zapytał żartobliwie Zolar.

- Jest tego więcej? - odparł pytaniem Vincente, który z mniejszym już podnieceniem zaczął koncentrować uwagę na ewentualnej transakcji.

- To, co widzisz przed sobą, to wszystkie obiekty czaczapojańskie, którymi dysponuję.

- Na pewno nie ukryłeś większych eksponatów?

- W żadnym razie - odparł Zolar z udawanym oburzeniem. - Ty pierwszy miałeś możliwość obejrzenia całej kolekcji. Nie będę zresztą rozprzedawać jej na sztuki. Nie muszę ci mówić, przyjacielu, że przynajmniej stu innych kolekcjonerów czeka za kulisami na taką okazję.

- Dam ci za całość cztery miliony dolarów.

- Doceniam hojność twojej wstępnej oferty, znasz mnie jednak dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że nigdy się nie targuję. Jest jedna i tylko jedna cena.

- Która wynosi...?

- Sześć milionów.

Vincente odsunął kilka artefaktów, robiąc na stole wolne miejsce, następnie

jeden po drugim otworzył nesesery. Wszystkie były wypełnione plikami banknotów o wysokich nominałach.

- Przywiozłem ze sobą tylko pięć milionów.

Zolar ani na chwilę nie dał się zwieść.

- Szkoda, ale będę musiał spasować. Tym większa szkoda, że nie przychodzi mi do głowy nikt, komu bardziej niż tobie chciałbym sprzedać tę kolekcję.

- Ale jestem twoim najlepszym klientem - powiedział tonem skargi Vincente.

- Temu nie mogę zaprzeczyć - odparł Zolar. - Jesteśmy jak bracia. Tylko ja wiem o twojej ukrytej dodatkowej sferze działalności, ty zaś jesteś jedynym poza najbliższymi członkami mojej rodziny człowiekiem, który wie o mojej. Po co, ilekroć ze sobą negocjujemy, poddajesz mnie temu rytuałowi? Przecież powinienś już dokładnie wiedzieć, na czym stoisz.

Nagle Vincente parsknął śmiechem i typowo latyńskim gestem wzruszył ramionami.

- Właśnie, po co? Dobrze wiesz, że mam więcej forsy, niż mogę wydać, a posiadanie na własność takich skarbów czyni mnie człowiekiem szczęśliwym. Wybacz moje nawyki godne przekupki, ale płacenie ceny detalicznej nigdy nie było tradycją w mojej rodzinie.

- Oczywiście rezerwy gotówkowe masz w samolocie.

Vincente bez słowa wyszedł z namiotu i po kilku minutach wrócił z czwartym neseserem, który postawił na stole obok pozostałych i otworzył.

- Sześć i pół miliona. Mówiłeś, że masz jakieś rzadkie obiekty kultu religijnego Indian z pustyni Południowego Zachodu. Czy są włączone w cenę?

- Możesz je mieć za dodatkowe pięćset tysięcy - odparł Zolar. - Znajdziesz te indiańskie bożki w gablocie w rogu.

Vincente podszedł do gabloty, zdjął z niej pokrywę i popatrzył na osobliwie ukształtowane, poskręcane figurynki. Nie były to zwykłe bożki kultowe. Jakkolwiek wyglądały tak, jakby wyrzeźbił i pomalował je dzieciak. Vincente, wieloletni kolekcjoner obiektów tej kultury, potrafił docenić ich znacznie.

- Hopi? - zapytał.

- Nie. Montolo. Bardzo stare i bardzo ważne w rytuałach religijnych.

Vincente zaczął podnosić bożki jeden po drugim, aby dokładnie im się przyjrzeć.

W pewnym momencie jego serce na chwilę zamarło, poczuł się tak, jakby opadł

na niego lodowato zimny całun. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wcale nie dotyka stwardniałego drewna z korzenia dawno martwej topoli, lecz miękkiego kobiecego ramienia. Mógłby przysiąc, że figurynka wydaje z siebie doskonale słyszalny jęk.

- Słyszałeś? - zapytał, odstawiając gwałtownie bożka do gabloty, jak gdyby figurka sparzyła mu dłoń.

- Niczego nie słyszałem. - Zolar popatrzył na niego zdziwiony.

- Proszę, przyjacielu, dokończmy interesów i rozstańmy się. Nie chcę mieć tych bożków na własność. - Vincente wyglądał jak człowiek, którego dręczą koszmary senne.

- Czy to znaczy, że nie zamierzasz ich kupić? - spytał zaskoczony Zolar.

- Nie, nie, są w nich zamknięte duchy. Czuję ich obecność.

- Doby smalone.

Vincente chwycił Zolara za ramiona i powiedział z błaganiem w oczach:

- Zniszcz je, zniszcz je albo one zniszczą ciebie.

Pod ciepłym słońcem wczesnej jesieni dwieście wyśmienitych przykładów sztuki motoryzacyjnej stało na zielonej trawie Potomac Park, lśniąc jak błyskotki w świetle teatralnego reflektora. Odbywający się w stolicy coroczny Concours de Beaux Moteurcar, urządzany dla osób, które cenią sobie ponadczasowe piękno i jubilerską robotę dawnych samochodów, a także dla tych, którzy po prostu kochają się w starych wozach, był zasadniczo imprezą charytatywną, pomagającą zbierać fundusze dla waszyngtońskich centrów opieki nad dziećmi, ofiarami napastowania seksualnego. W czasie weekendowych dni, w które odbywała się impreza, pięćdziesiąt tysięcy fanatyków starych aut rojem ścigało do parku, aby spoglądać na duesenbergi, auburny, cordy, bugatti, packardy. Twory producentów, którzy dawno przestali istnieć.

W atmosferze wyczuwało się nostalgię. Tłumy niespiesznym krokiem przemierzające teren wystawy i podziwiając nieskazitelny styl i bezbłędne wykonanie aut mogły jedynie myśleć z rozmarzeniem o owej erze i stylu życia, kiedy ludzie zamożni nabywali podwozie i silnik w fabryce, natomiast karoserię zamawiali tak, jak zamawia się garnitur u krawca - w zgodzie z własnym gustem. Młodszy widzowie marzyli o tym, żeby pewnego dnia posiadać taki egzotyczny wóz, ci zaś, którzy przekroczyli już sześćdziesiąt pięć lat, hołubili ciepłe wspomnienia chwil, kiedy podobne auta jeździły po miasteczkach i miastach ich młodości.

Wozy były sklasyfikowane według roku, typu karoserii i kraju, w którym powstały. Przyznawano nagrody najlepszym autom z danej kategorii, a wszyscy uczestnicy otrzymywali pamiątkowe plakietki. Najbardziej pożądaną nagrodą była nagroda „Najlepszy w imprezie”. Kilku z bogatszych właścicieli wydawało setki tysięcy dolarów, aby przedmiot ich dumy i radości sięgnął wyżyn znacznie przewyższających pierwotny stan, w chwili kiedy auto wyjeżdżało z fabryki.

W przeciwieństwie do konserwatywnie na ogół ubranych właścicieli samochodów Pitt siedział w staroświeckim leżaku ubrany w kwiciastą hawajską koszulę, białe szorty i sandały. Za nim stała lśniąca ciemnogrnatowa berlinka pierce arrow z 1936 roku z umocowaną do haka przyczepą pierce arrow travelodge, również z 1936 roku i wymalowaną na identyczny kolor. W chwilach kiedy nie udzielał odpowiedzi na pytania zadawane przez zwiedzających na temat wozu i przyczepy, wsuwał nos pomiędzy stronicę grubego przewodnika żeglarskiego po Zatoce Kalifornijskiej. Od czasu do czasu zapisywał coś w podłużnym notesie o złotych

kartkach z niebieskimi liniami, żadna z wysp wymienionych i zilustrowanych w przewodniku nie miała stromych zboczy i charakterystycznego zwieńczenia, którego opis Yaeger wyczytał w kipu Drake'a. Zaledwie kilka charakteryzowało się urwistymi brzegami. Sporo z nich stromo pięło się z morza, ale zamiast przybrać potem kształt chińskiego kapelusza czy też główki meksykańskiego sombrera, rozkładało się w płaskowyż.

Z tłumu wyłonił się Giordino, ubrany w obszerne oliwkowe szorty sięgające tuż ponad kolana i trykotową koszulkę z reklamą „Tequili Alkalicznego Sama”. Towarzyszyła mu Loren wyglądająca wręcz rewelacyjnie w swoim turkusowym kombinezonie. Niosła kosz piknikowy, podczas gdy Giordino dźwigał na ramieniu skrzynkę z lodem.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny. - Loren uśmiechnęła się pogodnie do Pitta. - Przynosimy połowę delikatesów.

- Chce powiedzieć - dodał Giordino z westchnieniem, stawiając skrzynkę na trawie - że przydźwigaliśmy dość żarcia, aby wyżywić brygadę drwali.

Pitt wychylił się ze swojego leżaka i z uwagą przyjrzał się napisowi na koszulce Giordina.

- Co tam piszą na temat alkalicznej tequili Sama?

- Kiepsciutko z oczkami - odparł Giordino. - Nie chodzi o alkaliczną tequilę Sama, tylko tequilę Alkalicznego Sama.

Pitt roześmiał się i wskazał dłonią drzwi liczącej sześćdziesiąt dwa lata przyczepy.

- A może zmyjemy się z tego słońca do wnętrza mojego pałacu na kółkach?

Giordino dźwignął skrzynkę z lodem, wniósł ją do środka i postawił na kuchennej ladzie. Loren podążyła za nim i rozpoczęła rozkładanie produktów na stole w gabinecie.

- Jak na wyrób z czasów wielkiego kryzysu - oznajmiła, omiatając wzrokiem drewniane wnętrze i witrażowe szybki w drzwiach szafek - sprawia zdumiewające wrażenie.

- Pierce Arrow wyprzedzał swój czas - wyjaśnił Pitt. - Weszli w interes z przyczepami, aby poprawić malejące zyski ze sprzedaży aut. Po dwóch latach zrezygnowali, kryzys ich wykończył. Wypuścili trzy modele, jeden dłuższy od tego, jeden krótszy. Wyjąwszy modernizację kuchni i lodówki, przywróciłem przyczepie jej pierwotny wygląd.

- Mam corone, coorsa i cheurlin - powiedział Giordino. - Wymień truciznę, którą chcesz zażyć.

- Cheurlin? Co to za piwo? - zapytała Loren,

- „Domaine cheurlin bardzo wytrawne” to nazwa szampana. Kupiłem to w Elephant Butte.

- Szampana skąd?

- Z Nowego Meksyku - odparł Pitt. - Doskonałe wino musujące. Odkryliśmy je z Alem w pewnej winiarni podczas spływu canoe po Rio Grande.

- Okay - powiedziała Loren, wyciągając zza pleców kieliszek na długiej nóżce. - Nalewaj.

Pitt uśmiechnął się i skinął w stronę kieliszka.

- Oszukiwałaś, jesteś przygotowana.

- Kręciłam się przy tobie dostatecznie długo, aby poznać najtajniejsze z twoich sekretów. - Sięgnęła po drugi kieliszek i podała go Pittowi. - Za pewną cenę nie powiem światu, że wielki, nieustraszony śmiałek straszliwych głębin woli szampana niż piwo.

- Piję jedno i drugie - zaprotestował Pitt.

- Gdyby powiedziała to chłopakom z twojej knajpy - wtrącił Giordino - skoniliby ze śmiechu i musiałbyś się wynosić z miasta.

- Ile to mnie, będzie kosztować? - zapytał z rezygnacją Pitt.

- Tę drobną kwestię przenegocjujemy dzisiaj wieczorem. - Loren posłała mu najseksowniejszy ze swoich uśmiechów.

Giordino skinieniem głowy wskazał otwarty przewodnik po Zatoce Kalifornijskiej.

- Znalazłeś jakieś prawdopodobne stanowiska?

- Z niemal stu wysepek w Morzu Corteza i okolicy, które wznoszą się co najmniej pięćdziesiąt metrów nad poziom morza, zawęziłem pole poszukiwań do dwóch prawdopodobnych i czterech możliwych. Reszta nie odpowiada opisowi rzeźby powierzchni.

- Wszystkie w północnej części?

Pitt skinął głową.

- Nie brałem pod uwagę żadnej poniżej dwudziestego ósmego równoleżnika.

- Czy mógłbyś mi pokazać, gdzie zamierzacie prowadzić poszukiwania? - zapytała Loren, rozkładając na talerzach rozmaite wędliny, sery, wędzoną rybę,

bochenek razowca, sałatkę z surowej kapusty i kartofli.

Pitt podszedł do szafki, wyciągnął drugi rulon papieru i rozwinął go na ladzie kuchenki.

- To wyostrzone zdjęcie zatoki. Zakreśliłem wyspy, które są najbliższe opisowi Yaegera.

Loren i Giordino odstawili swoje kieliszki i przyjrzeni się zdjęciu satelitarnemu, które ukazywało północną część Morza Corteza w zdumiewająco wyrazistych szczegółach.

Pitt podał Loren wielką lupę.

- Rozdzielczość jest niewiarygodna - powiedziała Loren, spoglądając przez lupę na maleńkie wysepki.

- Widzisz coś, co przypomina skałę nie sprawiającą wrażenia naturalnej formacji? - zapytał Giordino.

- Ostrość jest dobra, ale niedostatecznie - odparł Pitt.

Loren przez chwilę przyglądała się wysepkom zakreślonym przez Pitta, a potem podniosła wzrok.

- Przypuszczam, że zamierzasz rozpoznać z powietrza najbardziej obiecujące punkty.

- Będzie to następny krok w naszym procesie eliminacji.

- Z samolotu?

- Ze śmigłowca.

- Mam wrażenie, że to dość duży obszar jak na obsłużenie go śmigłowcem - stwierdziła Loren. - Co będzie robić za bazę?

- Stary prom.

- Prom? - spytała zaskoczona Loren.

- Prom pasażersko-samochodowy, który do 1957 roku pływał przez Zatokę San Francisco. Później został sprzedany i do 1962 Meksykanie wykorzystywali go do rejsów z Guaymas przez zatokę do Santa Rosalia. Potem został wycofany ze służby. Rudi Gunn wyczarterował go właściwie za frajer.

- Musimy za to podziękować admirałowi - mruknął Giordino. - Pewnie chce nas zatopić z tym antykiem.

- Rok 1962 - mruknęła Loren, kręcąc głową. - Trzydzieści sześć lat temu. Jest albo wrakiem, albo powinien stać w muzeum.

- Według Rudiego wciąż bywa wykorzystywany do rozmaitych prac - odrzekł

Pitt - i ma górny pokład dostatecznie duży, aby mógł na nim lądować śmigłowiec. Rudi mnie zapewnia, że będzie to dobra baza do lotów rozpoznawczych.

- Kiedy poszukiwania siłą rzeczy skończą się o zmierzchu - podjął wyjaśnienia Giordino - prom będzie płynąć nocą do najbliższego archipelagu wysepek z listy Dirka. To oszczędzi nam sporo czasu, spędzonego w powietrzu.

- Wygląda więc na to, że wiecie, co robicie. - Loren podała Pittowi talerz i sztuce. - A jaki przyjmiecie tryb postępowania, kiedy natraficie na obiecujące stanowisko?

- Przystudiujemy budowę geologiczną wyspy i będziemy zastanawiać się nad akcją wykopaliskową - odparł Pitt.

- Bierzcie się do ucztowania - zaproponowała Loren.

Giordino nie tracił czasu. Zaczął przyrządzać dla siebie kanapkę o monumentalnych rozmiarach.

- Miła pani, jest z czego wybierać.

- Lepsze to niż pocenie się nad gorącą kuchenką - powiedziała ze śmiechem Loren. - A co z urzędowymi zezwoleniami? Przecież nie możecie miotać się po Meksyku, szukając skarbu bez zgody tamtejszych władz.

Pitt nałożył solidną porcję mortadeli na kromkę razowca.

- Admirał Sandecker uznał, że będzie lepiej, jeśli z tym poczekamy. Przecież nie chcemy nagłaśniać celu naszego przedsięwzięcia. Jeśli rozniesie się wieść, że wpadliśmy na trop największego znaleziska w historii, tysiące łowców skarbów spadną na nas jak chmara szarańczy. Meksykańscy oficjele wywalą nas z kraju w rozpaczliwej próbie zatrzymania skarbu dla siebie, a Kongres zrobi NUMIE piekło za wyrzucanie pieniędzy amerykańskich podatników na poszukiwania skarbu w innym kraju. Nie, im ciszej, tym lepiej.

- Nie możemy pozwolić sobie na to, że zostaniemy zastrzeleni, zanim odbędziemy połowę poszukiwań - rzekł Giordino ze zwykłą dla siebie powagą.

Loren milczała przez chwilę, nakładając na swój talerz sałatkę z ziemniaków, a potem zapytała:

- Może byście wzięli do swojej ekipy kogoś, kto stanowiłby zabezpieczenie na wypadek, gdyby meksykańscy biurokraci nabrali podejrzliwości i zaczęli zadawać niewygodne pytania?

- Masz na myśli rzecznika prasowego? - zapytał Pitt.

- Nie, stuprocentowo prawdziwego, posiadającego odpowiednią legitymację



członka Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Pitt wejrzał w głąb jej zmysłowych fiołkowych oczu.

- Ciebie?

- Czemu nie? Przewodniczący izby zarządził w przyszłym tygodniu wakacje parlamentarne. Moi asystenci zajmą się sprawami bieżącymi. Chętnie wyrwałabym się na kilka dni z Waszyngtonu i jeszcze chętniej do Meksyku.

- Tak z ręką na sercu - stwierdził Giordino - pomysł jest rewelacyjny. Puścił do Loren oko i obdarzył ją promiennym uśmiechem. - Dirk jest znacznie życzliwszy dla świata, kiedy ma cię w pobliżu.

Pitt otoczył Loren ramieniem.

- Jeśli powinie się nam noga, jeśli władujemy się w tarapaty na terytorium obcego kraju, a ty będziesz nam towarzyszyć, skandal może zniszczyć twoją karierę polityczną.

Odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem.

- No więc wyborcy wyrzucą mnie na ulicę. I wtedy będę musiała za ciebie wyjść.

- To znacznie gorsze niż konieczność słuchania przemówień prezydenta - stwierdził Giordino - niemniej jednak rozwiązanie zupełnie sensowne.

- Jakoś nie potrafię wyobrazić sobie, jak kroczymy środkiem nawy głównej katedry waszyngtońskiej - powiedział z zadumą Pitt - a potem osiadamy niczym para gołąbków w jakimś ceglany domu w Georgetown.

Loren miała nadzieję na inną reakcję, ale i ta jej nie zaskoczyła. Przypomniła sobie ich pierwsze spotkanie na garden party niemal dziesięć lat temu, wydanym przez zapomnianego już ówczesnego ministra ochrony środowiska. Pchnęła ją wtedy ku Pittowi jakaś magnetyczna siła. Nie był przystojny urodą gwiazdy filmowej, emanował jednak z niego męski czar, który obudził w niej pragnienie, jakiego nie odczuwała wobec żadnego innego mężczyzny. Był wysoki i smukły, i to również nie zaszkodziło. Jako członkini Kongresu znała wielu bogatych i potężnych mężczyzn, w tym wielu zabójczo przystojnych. Ale oto miała przed sobą mężczyznę, który nosił reputację awanturnika jak własną skórę, nie interesującego się ani władzą, ani sławą. I był w tym autentyczny. Ich związek, trwający z przerwami dziesięć lat, nie nakładał na oboje zbyt daleko idących zobowiązań. On miewał inne kobiety, ona innych mężczyzn, a jednak ich więź przetrwała, choć wszelkie myśli o małżeństwie wydawały się odległe. Każde z nich trwało już w związku ślubnym ze swoją pracą, z upływem lat jednak ich romans nabrał dojrzałości, a Loren pojmowała doskonale, że jeśli chce

mieć dzieci, na jej biologicznym zegarze pozostało już niewiele czasu.

- To wcale nie musi tak wyglądać - powiedziała wreszcie.

Odgadł jej uczucia.

- Nie - rzekł ciepło. - Możemy wprowadzić w ten układ kilka znaczących udoskonaleń.

Obdarzyła go zaniepokojonym spojrzeniem.

- A więc prosisz mnie o rękę?

- Powiedzmy tylko, że wygłosiłem pewne sugestie na temat przyszłości.

- Czy mógłbyś podejść wyżej do głównego wierzchołka? - zapytał Sarason swojego brata Charlesa Oxleya, który zasiadał za sterami niewielkiego wodnosamolotu. - Niższy jest zbyt stromy jak na nasze potrzeby.

- Widzisz coś?

Sarason, z lornetką przy oczach, wyjrzał przez boczne okno samolotu.

- Wyspa zdecydowanie rokuje nadzieję, ale byłoby lepiej, gdybym wiedział, jakiego mam na niej szukać punktu orientacyjnego.

Oxley położył na skrzydło dwusilnikowego, turbośmigłowego bafina CZ-410, żeby dać bratu lepszy widok na Isla Dazante, stromą, mającą pięć kilometrów kwadratowych powierzchni formację skalną, sterczącą z Zatoki Kalifornijskiej na wysokość czterystu metrów tuż na południe od popularnego kurortu Loreto.

- Wygląda tak, jak powinna - zauważył. - Dwie małe plaże, na których mogą lądować łodzie. Zbocza podziurawione jaskiniami. Co sądzisz, bracie?

Sarason odwrócił głowę i popatrzył na mężczyznę, siedzącego z tyłu na fotelu dla pasażera.

- Powiedziałbym, że szanowny doktor Moore wciąż zataja przed nami to i owo.

- Wskażę panom właściwie miejsce, kiedy je zobaczę - odparł Moore lakonicznie.

- A ja powtarzam: wyrzucimy tego małego sukinsyna przez drzwi i zobaczymy, jak będzie próbował latać.

Moore z wyrazem samozadowolenia na twarzy skrzyżował ramiona.

- Ależ proszę bardzo, tyle że wówczas nigdy nie znajdziecie skarbu.

- Was to nie nudzi? Słyszę to po raz nie wiadomo który.

- Co pan sądzi o Isla Dazante? - zapytał Oxley. - Charakteryzuje się odpowiednimi cechami?

Moore bez pytania wyrwał Sarasonowi lornetkę i omiół spojrzeniem nierówny teren, ciągnący się wzdłuż grani wyspy. Po kilku chwilach oddał lornetkę i rozluźniony opadł na fotel, ujmując schłodzony shaker do martini.

- To nie ta, której szukamy - oznajmił wyniośle.

Sarason musiał zacisnąć dłonie, które aż się same rwały, żeby udusić Moore'a, wnet jednak nieco się opanował i przewrócił stronicę w tym samym przewodniku jachtowym, którym posługiwał się Pitt.

- Następną w kolejności jest Isla Carmen. Sto pięćdziesiąt kilometrów

kwadratowych powierzchni, długość - trzydzieści kilometrów. Ma kilka wzniesień o wysokości ponad trzysta metrów.

- Tę możemy sobie odpuścić - stwierdził Moore. - O wiele za duża.

- Pilnie odnotowałem pańską spieszną odpowiedź - mruknął z ironią Sarason. - Potem mamy Isla Cholla, małą płaską skałę z latarnią morską i kilkoma chatami rybaków.

- I ta nie - mruknął Moore.

- W porządku. Dalej jest Isla San Ildefonso, sześć mil na wschód od San Sebastian.

- Rozmiar?

- Mniej więcej dwa i pół kilometra kwadratowego, żadnych plaż.

- Musi być plaża - rzekł Moore, pociągając z shakera. Przełknął kilka ostatnich kropel martini i na jego twarzy odmalował się bezbrzeżny smutek. - Inkowie nie mogliby wylądować i dokonać wylądunku poza plażą.

- Kiedy minimy San Ildefonso, znajdziemy się ponad Bahia Coyote - rzekł Sarason. - Mamy tam do wyboru sześć wysepek, a właściwie sterczących z morza wielkich skał.

Oxley zwiększył wysokość lotu do siedmiuset metrów i przyjął kurs na północ; dwadzieścia pięć minut później w polu widzenia znalazła się zatoka i oddzielający ją od Morza Corteza długi półwysep. Samolot zszedł niżej i zaczął krążyć nad rozszanymi w ujściu małymi skalistymi wysepkami.

- Rokują tu nadzieję Isla Guapa i Isla Bargo - stwierdził Sarason. - Obie stromo wyrastają z morza i mają na wierzchołkach niewielkie, ale dość płaskie platformy.

Moore przekreślił się na fotelu i spojrzał w dół.

- Nie wyglądają mi obiecująco... - urwał i ponownie wyszarpnął Sarasonowi lornetkę.

- Tamta, tamta wyspa!

- Która? - zapytał poirytowany Sarason. - Jest ich sześć.

- Ta, która wygląda jak pływająca i spoglądająca do tyłu kaczka.

- Isla Bargo. Odpowiada charakterystyce. Strome urwiska z trzech stron, zaoblony szczyt. W ugięciu szyi jest również mała plaża.

- To ta - oznajmił podniecony Moore. - To musi być ta.

- Skąd ta pewność? - Oxley pozostawał sceptyczny.

Na ułamek sekundy twarz Moore'a przybrała dziwny wyraz.

- Przeczucie, ot i wszystko.

Sarason odebrał mu lornetkę i uważnie przyjrzał się wyspie.

- Tam, na szczycie. Wygląda jak rodzaj rzeźby w skale.

- Niech pan na to nie zwraca uwagi - odrzekł Moore, wycierając z czoła strużkę potu. - To nic nie znaczy. Sarason nie był głupcem. „Czy to pozostawiony przez Inków znak, który wskazuje drogę do skarbu?” - zadał sobie w duszy pytanie.

Moore bez słowa opadł na fotel.

- Wyląduję i wyjdę na tę plażę - powiedział Oxley. - Wydaje się, przynajmniej patrząc z powietrza, że wspinaczka na szczyt nie będzie trudna.

Sarason skinął głową.

- Łąduj.

Oxley dwukrotnie przeleciał tuż nad falami w pobliżu plaży, aby upewnić się, że z wody nie sterczą żadne rafy, które mogłyby rozerwać kadłub samolotu, a potem, pod wiatr, osadził maszynę na pomarszczonej powierzchni morza. Kiedy baffin sunął niczym ślizgacz po jeziorze, turbiny wzniecały wodną mgielkę.

Powstrzymywany oporem fal, wodnosamolot rychło wytracił prędkość, Oxley zaś zdławił przepustnicę, utrzymując tylko takie obroty, by powoli zbliżyć się do plaży; w odległości pięćdziesięciu metrów od niej wysunął koła, te zaś już po chwili dotknęły piaszczystego szelfu, łagodnie wznoszącego się w stronę wyspy. Po dwóch minutach samolot wychynął z niskich przybrzeżnych grzywaczy i potoczył się na plażę jak ociekająca wodą gęś, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami dwóch rybaków, którzy przyglądali się lądowaniu z małej drewnianej szopy. Oxley wyłączył silniki, w ślad za Sarasonem i Moore'em zeskoczył na biały piasek, a potem zaryglował drzwiczki i klapę ładowni. Na wszelki wypadek Sarason sownie opłacił rybaków „za pilnowanie samolotu”. W końcu wszyscy trzej ruszyli w stronę szczytu ledwie widoczną ścieżynką, zrazu pnącą się łagodnie, później - coraz bardziej stromą i niedostępną. Szybujące po niebie mewy spoglądały na spoconych mężczyzn obojętnymi paciorkami oczu, a jedna z nich, ciekawsza niż pozostałe, spikowała nad Moore'a i zrzuciła mu na ramię rozpryskową bombkę. Antropolog, któremu - z pozoru - zaczynało dawać się we znaki znużenie i przepicie, tępo zagapił się na pobrudzoną koszulę, ale był zbyt wyczerpany, żeby chociaż zakląć. Uśmiechnięty od ucha do ucha Sarason zsalutował mewie i przelazł przez blokujący ścieżkę wielki złom skalny. Wtedy ujrzał przed sobą błękit morza i oddzieloną od wyspy kanałem Playa el Coyote z górami Sierra el Cardonal w tle. Moore, spocony jak mysz, przystanął i mocno

pracując płucami, usiłował złapać oddech. Wydawało się, że zasłabnie. Oxley zatem uchwycił go za rękę i wciągnął na płaski szczyt góry.

- Nikt panu nie mówił, że gorzałka i wspinaczka nie idą w parze?

Moore go zignorował. Potem nagle, jakby otrząsnąwszy z siebie zmęczenie, stężał i z pijacką koncentracją zmrużył oczy. Odepchnął Oxleya i chwiejnie podszedł do skały rozmiaru niewielkiego auta, topornie obrzeźbionej na podobieństwo jakiegoś zwierzęcia. Niczym narkoman, któremu jawią się majaki, obszedł skalną rzeźbę, chaotycznie obmacując dłońmi szorstką powierzchnię.

- Pies - wysapał pomiędzy jednym ciężkim oddechem a drugim. - To tylko kretyński pies.

- Nieprawda - poprawił go Sarason. - Kojot. Patron zatoki. Rodzaj bóstwa ochronnego tutejszych przesądnych rybaków.

- A niby dlaczego zainteresowała pana stara kamienna rzeźba? - zapytał Oxley.

- Dla antropologa prymitywne rzeźby bywają istotnym źródłem wiedzy.

Sarason wpatrywał się w Moore'a oczyma, w których po raz pierwszy nie było niesmaku; nie wątpił, że pijany profesor zdradził im klucz prowadzący do skarbu. Sarason pomyślał z zimnym wyrachowaniem, że teraz mógłby Moore'a zabić. Cisnąć tego człowieczka z zachodniej grani, wprost w zaślinione pianą zębiska sterczących na dole skał. I kogo by to obeszło? Zwłoki, zmyte odpływem, stałyby się żerem rekinów, a w to, że władze meksykańskie wszczęłyby śledztwo, należało poważnie wątpić.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że nie potrzebujemy już pańskich usług. Henry, prawda? - Po raz pierwszy Sarason posłużył się imieniem Moore'a, ale uczynił to w sposób nieprzyjemnie familiarny.

Moore pokręcił głową.

- Beze mnie nie dacie sobie rady - odparł z lodowatym opanowaniem, które w danych okolicznościach wydawało się nienaturalne.

- Żałosny blef - stwierdził z grymasem Sarason. - Jaki wkład może pan jeszcze wnieść w poszukiwanie, skoro wiemy teraz, iż mamy rozglądać się za wyspą ze starą rzeźbą na szczycie góry?

Moore nagle zaczął sprawiać wrażenie człowieka trzeźwego jak niemowlę.

- Rzeźba skalna jest zaledwie jednym z kilku pozostawionych przez Inków znaków orientacyjnych. Wszystkie muszą zostać odnalezione i zinterpretowane.

- Chybaby mnie pan w tej chwili nie oszukiwał, Henry, nieprawdaż? - Sarason skrzywił wargi w zimnym złowieszczym uśmiechu. - Chyba nie usiłowałby pan

wmówić mnie i mojemu bratu, że Isla Bargo nie jest poszukiwanym przez nas miejscem, tylko po to, by wrócić tu później i na własną rękę wydobyć skarb? Mam szczerą nadzieję, że takie kombinacje nie chodzą panu po głowie.

Moore popatrzył nań spode łba, ale w spojrzeniu, które powinno wyrażać lęk, malowała się tylko zwykła ludzka niechęć.

- Wysadźcie w powietrze szczyt góry - powiedział, wzruszając ramionami - a sami się przekonacie, jaki będzie efekt. Rozbierzcie wyspę kamień po kamieniu aż do poziomu morza. I za tysiąc lat nie znajdziecie nawet uncji ze skarbu Huascara. Podkreślam: bez kogoś, kto zna tajemnicę znaków.

- Może i mówi z sensem - zauważył cicho Oxley. - A nawet jeśli łyże, możemy tu wrócić i rozpocząć wykopaliska. Tak czy siak, będziemy wygrani.

Sarason uśmiechnął się martwo. Czytał w myślach Henry'ego Moore'a. Antropolog grał na zwłokę, licząc, że kiedy poszukiwania uwieńczy sukces, potrafi rzecz rozegrać w taki sposób, aby zagarnąć dla siebie cały skarb. Ale Sarason również, był wytrawnym graczem i poddał analizie każdą możliwość: w tej chwili nie dostrzegał przed Moore'em żadnej szansy na cudowną ucieczkę z wieloma tonami złota. O ile, rzecz jasna Moore nie dysponuje planem, o którym na razie nic jeszcze nie wiadomo.

„Pobłażliwość i cierpliwość, oto hasła na dziś” - uznał Sarason.

- Wybacz pan moją irytację. - Poklepał Moore'a po plecach. - Wracajmy do samolotu i zwińmy żagle. Wszystkim nam dobrze zrobi chłodna kąpiel, solidna margerita i smaczna kolacja.

- Amen - rzekł Oxley. - Jutro wznowimy poszukiwania w punkcie, gdzieśmy je przerwali.

- Wiedziałem, że dostrzeżecie światło - stwierdził Moore. - Doprowadzę was do celu. Wy, chłopcy, musicie tylko ufać.

Kiedy wrócili do samolotu, Sarason wsiadł do niego pierwszy i, powodowany impulsem, sięgnął po shaker Moore'a i wytrząsnął na język kilka kropel. Kropel wody, nie dżinu.

Sarason bezgłośnie skłął się od ostatnich. Nie zorientował się dotąd, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Moore. Bo dlaczego miałby udawać pijaka, jeśli nie po to, aby stwarzając wrażenie, że jest nieszkodliwy, uspić czujność wszystkich? Do Sarasona zaczęło powoli docierać, że w odniesieniu do Henry'ego Moore'a pozory mylą. Sławny i szanowany antropolog był bardziej skomplikowaną postacią, niż mogłoby się zdawać, znacznie bardziej skomplikowaną. A przecież, jako człowiek

umiejący zabijać bez zmruczenia powieki, Sarason powinien był na pierwszy rzut oka rozpoznać innego mordercę...

Micki Moore wyszła z wyłożonego niebieskimi płytkami basenu obok hacjendy i wyciągnęła się na leżaku, osłonięta niemal mikroskopijnym kostiumem bikini. Nie wycierała się, pozwalając mocnemu słońcu osuszyć kropelki wody na skórze. Zerknęła w stronę domu i gestem poleciła jednemu ze służących przynieść następną szklaneczkę koktajlu „Rum Collins”. Micki całkowicie lekceważyła pałających się po terenie wartowników i zachowywała się jak pani na włościach; w gruncie rzeczy w żaden sposób nie dawała po sobie poznać, że jest tu zakładniczką.

Hacjenda otaczała basen i wielki ogród z wielką różnorodnością roślin tropikalnych, wszystkie większe pokoje miały własne balkony, z których rozpościerały się zapierające dech w piersiach widoki na morze i miasto Guaymas. Micki nie posiadała się ze szczęścia, że kiedy mężczyźni latają nad zatoką w tę i z powrotem, ona może wylegiwać się nad basenem bądź w swym przestronnym i jasnym pokoju z własnym patio i biczami wodnymi. Sięgnęła po zegarek, spoczywający na stoliku. Pięta. Cwani braciszkuje i jej mąż wróć lada chwila. Westchnęła z przyjemności na myśl o kolejnej wyśmienitej kolacji złożonej z miejscowych specjałów. Dopiewszy koktajl aż do lodu, zafundowała sobie krótką drzemkę; odpływała właśnie w niebyt, kiedy odniosła wrażenie, że słyszy samochód, który nadjeżdża od strony miasta i zatrzymuje się przed bramą hacjendy. Obudziła się chwilę później, bo poczuła chłód na skórze; doszła do wniosku, że słońce skryło się za chmurą, gdy jednak uniosła powieki, stwierdziła z dreszczem, że pada na nią cień mężczyzny. Oczy, które wpatrywały się w Micki, przypominały dwie ciemne, nieruchome sadzawki. Nie miały w sobie żadnego życia. Tkwiły w twarzy niezdolnej z pozoru do jakiegokolwiek mimiki. Twarzy wymizerowanej, jakby jej właściciel cierpiał na przewlekłą chorobę. Micki wzdrygnęła się ponownie, czując się jak człowiek wystawiony z nagłą na powiew lodowatego powietrza. Uznała za osobliwe, że przybysz nie zwraca żadnej uwagi na jej obnażone ciało, lecz wbija wzrok w jej oczy, jakby przewiercał ją spojrzeniem na wylot.

- Kim pan jest? - zapytała. - Czy pracuje pan dla pana Zolara?

Nie odpowiadał przez kilka sekund, kiedy zaś wreszcie przemówił, uczynił to głosem pozbawionym wszelkiej modulacji.

- Nazywam się Tupac Amaru.

Potem odwrócił się i odszedł.



Admirał Sandecker wstał zza biurka na powitanie Gaskilla i Ragsdale'a. Wyciągnął rękę i przyoblekł na twarz przyjazny uśmiech.

- Siadajcie, panowie, proszę, i czujcie się jak u siebie.

- Dziękujemy, że znalazł pan dla nas czas - odrzekł Gaskill, spoglądając z góry na nie sięgającego mu nawet do ramienia szefa NUMY.

- NUMA współpracowała w przeszłości zarówno z FBI, jak i służbami celnymi. Nasze stosunki zawsze były serdeczne i pełne zrozumienia.

- Mam nadzieję, że nasza prośba o spotkanie nie obudziła pańskiego niepokoju - rzekł Ragsdale.

- Jeśli już, to ciekawość. Napiją się panowie kawy?

- Chętnie. - Gaskill skinął głową. - Proszę o czarną bez cukru.

- A ja z jakimkolwiek sztucznym słodzikiem - dodał Ragsdale.

Sandecker mruknął coś do interkomu, a potem uniósł głowę.

- A zatem, panowie, czym mogę służyć?

Ragsdale bez ogródek przeszedł do sedna sprawy.

- Pragniemy, aby NUMA udzieliła nam pomocy w rozstrzygnięciu kłopotliwego problemu obrotu skradzionymi dziełami sztuki.

- To nieco poza obszarem naszych statutowych zainteresowań, które koncentrują się na naukach i technikach morskich.

Gaskill zgodliwie pokiwał głową.

- Rozumiemy doskonale, doszło jednak do wiadomości służb celnych, że jeden z pracowników pańskiej agencji nielegalnie wwiózł do kraju cenny artefakt.

- Tym pracownikiem byłem ja sam - bez zmrużenia oka wypalił Sandecker. Ragsdale i Gaskill z zakłopotaniem poruszyli się w krzesłach i popatrzyli po sobie.

Wydarzenia nie rozwijały się po ich myśli.

- Czy jest pan świadom, panie admirale, że w zgodzie z ustaleniami konwencji Narodów Zjednoczonych o ochronie zabytków prawo naszego kraju zabrania importu skradzionych dzieł sztuki?

- Jestem świadom.

- Czy wie pan, że ambasada Ekwadoru złożyła oficjalny protest?

- W istocie to ja byłem owego protestu inspiratorem.

Gaskill westchnął i dostrzegalnie się rozluźnił.

- Nos mi mówi, że jest w tym wszystkim coś więcej aniżeli banalny przypadek

przemytu.

- Zarówno pan Gaskill, jak i ja bylibyśmy niewymownie wdzięczni za wyjaśnienia - powiedział Ragsdale.

Sandecker nie zdążył odpowiedzieć, jego bowiem osobista sekretarka, Julie Wolff, w tej właśnie chwili weszła do gabinetu i postawiła na brzegu biurka tacę z trzema filiżankami kawy.

- Wybacz pan, panie admirale, ale z San Felipe dzwonił przed chwilą Rudi Gunn, żeby poinformować, iż wylądowali już z Alem Giordino i podjęli ostateczne przygotowania do operacji.

- Co z Dirkiem?

- Jedzie samochodem i teraz powinien być gdzieś w Teksasie.

Kiedy Julie zamknęła za sobą drzwi, Sandecker popatrzył na obu agentów rządowych.

- Przepraszam za to intermedium, o czym mówiliśmy?

- Zamierzał nam pan wyjaśnić, dlaczego przemycił do Stanów Zjednoczonych skradzione dzieło sztuki - odparł Ragsdale z powagą.

Admirał nonszalancko otworzył pudło cygar, zachęcającym gestem podsunął je gościom, kiedy zaś zgodnie pokręcili głowami, wygodnie rozparł się w fotelu, zapalił i z galanterią wydmuchnął długą smugę niebieskawego dymu przez ramię, w stronę otwartego okna. Potem opowiedział całą historię kipu Drake'a, rozpoczynając od wojny pomiędzy inkaskimi książętami, kończąc zaś na dokonanym przez Hiramę Yaegera tłumaczeniu pozawęzłanych sznurków.

- Zapewne jednak, panie admirale - powiedział Ragsdale - nie zamierza pan wraz z NUMĄ wejść w branżę poszukiwania skarbów?

- Z całą pewnością zamierzam.

- Chciałbym, aby wyjaśnił nam pan sprawę ekwadorskiego protestu - oświadczył Gaskill.

- Został pomyślany jako zabezpieczenie. Władze Ekwadoru prowadzą bezwzględną wojnę z działającą w górach armią chłopskich rebeliantów, pod żadnym zatem pozorem nie pozwoliłyby nam szukać kipu, a potem zabrać go do Stanów w celu konserwacji i odczytania, żywiąc obawę, iż zostałyby przez własne społeczeństwo oskarżone o sprzedaż cudzoziemcom dzieła sztuki. Utrzymując, żeśmy kipu skradli, wybawiliśmy rząd Ekwadoru z kłopotliwej sytuacji, zgodził się zatem wypożyczyć nam obiekt na rok. Zyska poklask i aprobatę, kiedy w należycie ceremonialnej oprawie

zwrócimy wreszcie kipu.

- Dlaczego jednak NUMA? - nie dawał za wygraną Ragsdale. - Dlaczego nie Smithsonian czy National Geographic?

- Dlatego właśnie, że statutowo nie powinna interesować się sprawą, a zatem ma dużo większe możliwości przeprowadzenia poszukiwań za plecami opinii publicznej.

- Nie macie jednak prawnej możliwości zatrzymania skarbu.

- Oczywiście, że nie. Jeśli zostanie odkryty na Morzu Corteza - gdzie, jak sądzimy, spoczywa - prawo własności przypisze sobie Meksyk. Peru natomiast powoła się na prawo pierwotnej własności. Pragnąc, aby składające się na skarb obiekty zostały koniec końców wyeksponowane w ich muzeach narodowych, oba państwa będą musiały przystąpić do negocjacji.

- Nasz Departament Stanu zaś zgarnie laury za poprawę stosunków z naszymi południowymi sąsiadami - dodał Ragsdale.

- To pan o tym wspomniał, nie ja.

- Dlaczego nie powiadomił pan o całej sprawie FBI i służb celnych? - zapytał Gaskill.

- Poinformowałem prezydenta - odparł rzeczowo Sandecker. - A jeśli Biały Dom zaniedbał przekazania moich informacji waszym agencjom, wińcie, panowie, Biały Dom.

Ragsdale dopił kawę i odstawił filiżankę na tacę.

- Zatrzasnął pan drzwi za naszym wspólnym problemem, panie admirale, i proszę mi uwierzyć, że doznałem ogromnej ulgi, iż nie muszę pana zadrećzać oficjalnym dochodzeniem. Niestety - lub też, w zależności od punktu widzenia, na szczęście - otworzył pan drzwi przed innym dylematem.

- Ten zbieg okoliczności jest wręcz niewiarygodny. - Gaskill porozumiewawczo zerknął na Ragsdale'a.

- Zbieg okoliczności? - zaciekawił się Sandecker.

- Że po niemal pięciuset latach z dwóch niezależnych źródeł, i to w przeciągu zaledwie pięciu dni, wypłynęły dwie ważne przesłanki, wiodące do skarbu Huascara.

Sandecker wzruszył ramionami.

- Obawiam się, panowie że nie wiem, o czym mówicie.

W odpowiedzi Gaskill zrelacjonował admirałowi historię Złotego Sarkofagu z Tiapollo, kończąc krótką informacją o śledztwie prowadzonym przeciwko korporacji

Zolar International.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że właśnie w tej chwili ktoś jeszcze prowadzi poszukiwania skarbu Huascara? - zapytał Sandecker z niedowierzaniem. Ragsdale skinął głową.

- Międzynarodowy syndykat, który z procederu, polegającego na kradzieży, przemyśle i fałszerstwach dzieł sztuki, ciągnie zyski sięgające rocznie Bóg jeden raczy wiedzieć ilu nie opodatkowanych dolarów.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Godne to najwyższego ubolewania, że nasze władze i środki masowego przekazu nie uznały za stosowne oświecić opinii publicznej w kwestii drugiego co do wielkości po narkotykach obszaru działalności przestępczej.

- Ocenia się - dodał Gaskill - że wartość arcydzieł, skradzionych w 1990 roku z bostońskiego Muzeum Gardnera, oscylowała w granicach dwustu milionów dolarów. A mówimy tu tylko o jednym rabunku.

- Jeśli weźmie pan pod uwagę mające miejsce w niemal każdym kraju świata kradzieże, szmugle i fałszerstwa - podjął Ragsdale - z łatwością pan pojmie, że chodzi tu o przemysł z miliardowymi obrotami.

- Lista skradzionych w ciągu ostatniego stulecia dzieł sztuki musiałaby mieć grubość nowojorskiej książki telefonicznej - podkreślił Gaskill.

- Któż kupuje tak nieprzeliczone masy trefnego towaru? - zapytał Sandecker.

- Popyt znacznie przewyższa podaż - odrzekł Gaskill. - Pośrednio za kradzieże odpowiadają zamożni kolekcjonerzy, którzy, ustawiając się w kolejkach po interesujące, chociaż, jak pan to ujął, trefne towary, powodują bardzo silną presję rynkową. Lista klientów czarnorynkowych handlarzy to najprawdziwsze „Who Is Who”, znajdzie pan na niej nazwiska szefów państw, wysokich urzędników, bonzów z branży filmowej, wielkich biznesmenów, a nawet kustoszy najpoważniejszych muzeów, którzy w chęci wzbogacenia zbiorów często przymykają oko na pochodzenie eksponatów.

- Do grona najbardziej łapczywych nabywców należą również handlarze narkotyków, którzy dzięki zakupom dzieł sztuki szybko i łatwo piorą brudne pieniądze, a jednocześnie sensownie je inwestują.

- Rozumiem, że w tym zamieszaniu ztracają się obiekty nigdy nie rejestrowane - powiedział Sandecker - z pewnością jednak najsłynniejsze obrazy lub rzeźby wcześniej czy później wypływają na powierzchnię i wracają do rąk

prawowitych właścicieli.

Ragsdale przecząco pokręcił głową.

- Czasem mamy szczęście i dostajemy cynk, który doprowadza nas do skradzionego artefaktu. Niekiedy uczciwi antykwariusze i kustosze muzeum dają nam znać, że otrzymali taką czy inną propozycję od czarnorynkowego handlarza i rozpoznali skradzione dzieło sztuki. Najczęściej jednak tropy urywają się jak nożem uciął i zrabowane obiekty przepadają bez śladu.

- Olbrzymia liczba dzieł wydobytych przez hieny cmentarne staje się przedmiotem transakcji przy pełnej nieświadomości archeologów co do ich istnienia - dodał Gaskill. - W czasie wojny z Irakiem na początku lat dziewięćdziesiątych z irackich i kuwejckich muzeów członkowie opozycji antyhusajnowskiej oraz powstańcy szyi i kurdyjscy zrabowali wiele tysięcy eksponatów - dotąd nie przetłumaczonych tabliczek glinianych, biżuterii, tkanin, szkła, ceramiki, monet złotych i srebrnych, pieczęci cylindrycznych... Wiele z owych przedmiotów przeszło przez antykwariaty i domy aukcyjne, zanim zdołano zinwentaryzować to, co zaginęło bądź zostało skradzione.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby kolekcjoner chciał płacić ciężkie pieniądze za obiekt, o którym dobrze wie, że został skradziony - stwierdził Sandecker. - Z pewnością nie mógłby go wyeksponować bez ryzyka wpadki i aresztowania. Cóż więc miałby z takim fantem począć?

- Można to nazwać psychologiczną odchyłką - odrzekł Ragsdale - ale i ja, i Gaskill potrafimy wyrecytować z pamięci dowolną liczbę przypadków, kiedy kolekcjoner trzyma gorące dzieło sztuki w sejfie czy tajnym lochu, aby raz dziennie czy raz na dziesięć lat pogapić się na nie miłosnym wzrokiem. I nic go nie obchodzi, że nie może pochwalić się nim przed bliźnimi. Raduje go świadomość, że ma coś, czego nie posiada nikt inny.

Gaskill pokiwał głową.

- Namiętność kolekcjonerska prowadzi czasem do makabrycznych poczynań. Nie dość, że profanuje się indiańskie groby, aby wydobyć z nich, a później sprzedać czaszki i zmumifikowane ciała... Znane są przypadki zbieraczy pamiątek z wojny secesyjnej, którzy w poszukiwaniu konfederackich i unionijnych klamer do pasów rozkopują cmentarze chwały narodowej.

- Ponury aneks do historii ludzkiej chciwości - powiedział z zadumą Sandecker.

- Historie o rabunkach grobów można by snuć bez końca - podjął Ragsdale - a

szczątki zmarłych z każdej rasy i kultury, poczynając od kości neandertalczyków, bywają traktowane jak bezużyteczny chrust. Wobec perspektywy zysku spokój zmarłych przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Kolekcjonerzy, z racji swej nienasyconej żądzy posiadania antyków, stają się też podstawowymi ofiarami wszelkich oszustw - wtrącił Gaskill. - Stwarzany przez nich olbrzymi popyt dał impuls niebywałemu rozkwitowi lukratywnej branży fałszerskiej.

Ragsdale żywo przytaknął.

- Nie poddane odpowiednim badaniom kopie, mogą bezkarnie krążyć po rynku. Wiele szacownych muzeów eksponuje dzieła sztuki i nikt nie zdaje sobie sprawy, że to podróbki. Nie ma kustosa czy też kolekcjonera, który przyznałby się bez bicia, że dał się nabrać przez fałszerza, bardzo niewielu ekspertów natomiast potrafi wykrzesać z siebie dość odwagi cywilnej, aby oświadczyć, że potwierdzili swym podpisem autentyczność wątpliwego obiektu.

- I najsłynniejsze dzieła sztuki nie stanowią tu wyjątku - przejął pałeczkę Gaskill. - Obaj z agentem Ragsdale'em znamy wypadki, kiedy takie czy inne arcydzieło zostało najpierw skradzione, później skopiowane przez specjalistów, a wreszcie, pokrętnymi kanałami, „zwrócone” w zamian za znaleźne i gratyfikację od firmy ubezpieczeniowej. Kustosz, nie mając bladego pojęcia, że wciśnięto mu kopię, z radością i ulgą w sercu wieszał ją w swoim muzeum czy galerii:

- W jaki sposób dokonuje się dystrybucji i sprzedaży trefnych obiektów? - zapytał Sandecker.

- Rabusie grobów i złodzieje dzieł sztuki wykorzystują do sprzedaży łupów czarnorynkową siatkę handlarzy, przy czym ci wykładają pieniądze i dobijają transakcji przez swoich agentów, pozostają zatem anonimowi.

- Czy nie dałoby się do nich dotrzeć śledząc odgałęzienia siatki?

Gaskill pokręcił głową.

- I dostawcy, i dystrybutorzy działają w sposób tak zakamuflowany, iż żadnym cudem nie potrafimy dotrzeć do ludzi na szczycie tej przestępczej piramidy. - Ponieważ w niczym nie przypomina to typowego śledztwa w sprawie o narkotyki - uzupełnił Ragsdale - gdzie od ćpuna możemy dojść do detalisty, od detalisty do hurtownika, stąd zaś, po kolejnych szczebelkach drabiny, do baronów narkotykowych, w przeważnej mierze prymitywnych kmiotków, którzy nie zawracają sobie głowy ukrywaniem własnej tożsamości i sami często biorą. Tu musimy wetrzeć

się intelektualnie z doskonale wykształconymi facetami o znakomitych układach w świecie wielkiego biznesu i polityki. Są przenikliwi i sprytni. Poza wyjątkowymi i doprawdy bardzo rzadkimi przypadkami nie dokonują transakcji osobiście. Ilekroć podejmiemy do nich za blisko, chowają się w skorupach i otaczają falangami najdroższych adwokatów, żeby zablokować nasze śledztwo.

- Czy zatem możecie się poszczycić jakimikolwiek sukcesami? - zaciekawiał się Sandecker.

- Zwinęliśmy kilku pomniejszych, działających na własną rękę handlarzy - odrzekł Ragsdale. - No i obie nasze agencje odzyskały sporo skradzionego towaru, po części przechwyconego podczas transportu, po części - u nabywców, którzy zresztą prawie nigdy nie trafiają do więzienia, bo utrzymują, iż nie mieli pojęcia, że kupują przedmioty skradzione. To jednak, cośmy odnaleźli, jest zaledwie ułamkiem procenta zagrabionej całości. Bez solidnych dowodów nie jesteśmy w stanie powstrzymać nielegalnego obrotu dziełami sztuki.

- Wygląda więc na to, że przeciwnik bije was na głowę strategią i uzbrojeniem - stwierdził Sandecker.

- I nawet nie staramy się tego ukryć - przytaknął Ragsdale.

Sandecker przez chwilę kołysał się w swym obrotowym fotelu, trawiąc słowa obu agentów.

- W czym NUMA mogłaby okazać się panom pomocna? - zapytał wreszcie.

Gaskill przechylił się przez biurko.

- Sądzimy, że stworzył pan niepowtarzalną szansę, nieświadomie koordynując swoje poszukiwania skarbu Huascara z akcją największego na świecie syndykatu zajmującego się obrotem trefnymi dziełami sztuki.

- Zolar International.

- Tak, rodzinnej firmy, której macki sięgają w każdy zakątek branży.

- Ani agenci celni, ani federalni - westchnął Ragsdale - nie mieli przedtem do czynienia z zorganizowaną grupą fałszerzy, złodziei i przemytników dzieł sztuki, działającą przez tak wiele lat w tak wielu krajach, grupą w dodatku, która tak wielu wybitnym osobistościom zdołała na sto rozmaitych sposobów upłynnić trefny towar o wartości - bez najmniejszej przesady - ładnych kilku miliardów dolarów.

- Słucham, słucham - powiedział Sandecker.

- I teraz oto mamy okazję sprowadzić wreszcie tę grupę do parteru - oznajmił Gaskill. - Mając w polu widzenia fantastyczne bogactwa, Zolarowie poniechali zwykłej

ostrożności i osobiście wszczęli poszukiwania, ponieważ liczą, że w przypadku odnalezienia skarbu będą go mogli zatrzymać dla siebie. I to właśnie, mam na myśli ich ewentualny sukces, może dać nam jedyną w swoim rodzaju okazję, aby rozgryźć stosowane przez nich metody transportu, podążyc śladem skarbu do tajnych magazynów...

- ...i przyłapać Zolarów z ręką w nocniku - dokończył za niego Sandecker.

Ragsdale wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Obecnie nie stosujemy już wprawdzie użytej przez pana obrazowej terminologii, panie admirale, lecz istotnie, trafił pan w sedno.

- Chcecie, żebym odwołał swoją grupę poszukiwawczą - stwierdził Sandecker. - Czy tak brzmi przesłanie?

Gaskill i Ragsdale popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

- Tak, panie admirale - powiedział wreszcie Gaskill. - Takie jest przesłanie.

- Przy pańskiej aprobacie, rzecz jasna - pospieszył dodać Ragsdale.

- A uzgodniliście to, chłopcy, ze swoimi przełożonymi?

Ragsdale z namaszczeniem pokiwał głową.

- Dyrektor Moran z FBI i dyrektor Thomas ze służb celnych udzielili nam swego błogosławieństwa.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, panowie, że zadzwonię do nich i poproszę o potwierdzenie?

- W żadnym razie - odparł Gaskill. - A przy okazji zechce pan wybaczyć, żeśmy rezygnując z drogi służbowej, nie poprosili, aby skontaktowali się z panem osobiście. Uznaliśmy jednak, że stanie się lepiej, jeśli argumenty na poparcie naszej sprawy będą pochodzić z pierwszej ręki i wyłącznie na ich podstawie podejmie pan decyzję.

- Potrafię takie stanowisko docenić - odrzekł wielkodusznie Sandecker.

- Czy zatem godzi się pan na współpracę i odwoła swoją ekipę poszukiwawczą?  
- zapytał Ragsdale.

Sandecker przez kilka chwil odprowadzał spojrzeniem dym, ulatujący spiralą z cygara.

- NUMA pójdzie z FBI i służbami celnymi ręka w rękę, ale nie odwołam poszukiwań.

Gaskill wybałuszył oczy, nie wiedząc, czy admirał żartuje, czy też mówi serio.

- Chyba nie bardzo pana rozumiem...

- Czyście kiedykolwiek poszukiwali czegoś, po czym przez pięćset lat nie było



najmniejszego śladu?

Ragsdale zerknął na kolegę i wzruszył ramionami.

- Akcje FBI ograniczają się do poszukiwania osób zaginionych, uciekinierów i zwłok. Zapomniane skarby to zdecydowanie nie nasza broszka.

- Chyba nie muszę wyjaśniać, jaki jest obszar zainteresowania służb celnych - powiedział Gaskill.

- Doskonale jestem świadom pańskich służbowych uwikłań - oświadczył konwersacyjnym tonem Sandecker - ale poszukiwanie skarbu to loteria. Tu nie można szukać tropów przesłuchując świadków, bo ci nie żyją od wieluset lat. Jedyny pożytek z kipu i panów złotej mumii to mętna wzmianka o jakiejś wyspie na Morzu Corteza, przesłanka, która pozwala umiejscowić przysłowiową igłę w stogu o stu sześćdziesięciu tysiącach kilometrów kwadratowych powierzchni. Wnioskuje, że w przedsięwzięciach tego rodzaju Zolarowie są zupełnymi amatorami, ich szansę zatem na odnalezienie jaskini ze złotym łańcuchem Huascara określa cyferka dziesięć metrów po przecinku za zerem.

- I sądzi pan, że szansę pańskich ludzi są większe? - zapytał z rozdrażnieniem Gaskill.

- Mój dyrektor do spraw operacji specjalnych i jego ekipa to najlepsi fachowcy w branży. Jeśli nie wierzycie, panowie - sprawdźcie w aktach.

- A więc jak zamierza pan iść z nami ręka w rękę? - W tonie głosu Ragsdale'a wyraźnie brzmiało powątpiewanie.

Sandecker wykonał pchnięcie.

- Będziemy prowadzić poszukiwania jednocześnie z Zolarami, ale trzymać się w cieniu. Nie mają powodów, by podejrzewać, że ktoś z nimi rywalizuje, jeśli więc w ogóle dostrzegą samoloty czy pracowników NUMY, dojdą do wniosku, iż prowadzone są badania oceanograficzne. Jeśli odnajdą skarb, moja ekipa po prostu rozwieje się jak dym i wróci do Waszyngtonu.

- A jeśli dadzą za wygraną? - zapytał Ragsdale.

- Wtedy na polu bitwy pozostanie NUMA. Jeśli ona nie odnajdzie skarbu, nikt go nie odnajdzie.

- Przyjmijmy zatem, że znalazła. Co wtedy? - nie rezygnował Ragsdale.

- Wtedy usypimy Zolarom ścieżynkę z okruszków chleba, żeby uznali, iż sami dotarli do skrytki. - Sandecker urwał, przenosząc twarde spojrzenie z Ragsdale'a na Gaskilla i z powrotem. - I wówczas, panowie, wam pozwolimy wkroczyć na scenę.

- Ciągłe sobie wyobrażam, że z za następnej wydmy wypadnie Rudolf Valentino i uwiezie mnie do swojego namiotu - powiedziała z rozmarzeniem Loren, która z kolanami pod brodą siedziała na przednim fotelu pierce'a arrowa.

- No to wypatruj, wypatruj - odparł Pitt - bo właśnie na wydmach Coachella, trochę na północ stąd, Hollywood kręcił większość swoich pustynnych filmów. Pięćdziesiąt kilometrów za Yumą w stanie Arizona, po wjechaniu przez most na rzece Kolorado do Kalifornii, Pitt zбочył z autostrady międzystanowej numer 8, kierując się wąską stanową drogą ku przygranicznym miastom Calexico i Mexicali. Kierowcy i pasażerowie spotykanych na drodze samochodów gapili się z podziwem na wielkie stare auto i ciągniętą przez nie przyczepę.

Loren namówiła Pitta, aby odbyli tę podróż samochodem, nocując w przyczepie, potem zaś wzięli udział w rajdzie przez południową Arizone, organizowanym i sponsorowanym przez Amerykański Klub Aut Klasycznych. Rajd miał się zacząć za dwa tygodnie i Pitt mocno powątpiewał, czy uwiną się do tego czasu z odnalezieniem skarbu, bez trudu dał się jednak Loren przekonać, ponieważ uwielbiał długie jazdy starymi automobilami.

- Ile mamy jeszcze do granicy? - zapytała Loren.

- Czterdzieści dwa i jesteśmy w Meksyku - odparł. - Potem jeszcze sto sześćdziesiąt do San Felipe. Na pirsie, przy którym Al i Rudi zacumowali prom, powinniśmy być koło kolacji.

- Skoro o spyży mowa - stwierdziła leniwie Loren - to w lodówce i szafkach panuje kompletna pustka. Mieliśmy dziś na śniadanie tylko owsiankę i kawę, bo resztki innych zapasów dojedliśmy już wczoraj, na tym kempingu w Sedonie.

Pitt zdjął z kierownicy prawą dłoń i ścisnął Loren za kolano.

- A więc, jak rozumiem, warunkiem uszczęśliwienia pasażerów jest zafundowanie im pełnej michy?

- Co byś powiedział o tej knajpce dla kierowców ciężarówek? - Loren wyprostowała się, pokazując coś przez płaską, wąską przednią szybę pierce'a.

Nad zdobiącą osłonę chłodnicy klęczącą statuetką gotowego do strzału łucznika Pitt dostrzegł wyblakłą na pustynnym słońcu tablicę, umocowaną na drewnianym słupku, który najwyraźniej szykował się, by lada chwila runąć na piasek. Litery wypłowały do tego stopnia, że dawały się odczytać z najwyższym trudem: Piwko jak lód i papu jak u mamy. Jeszcze tylko dwie minuty do „Kafejki w Towarowym”

Pitt parsknął śmiechem.

- Zimne piwko - zgoda, ale kuchnia budzi we mnie podejrzliwość. Kiedy byłem szczeniakiem, mama uwielbiała przyrządzać potrawy, od których zmieniałem kolor na zielony.

- Wstydź się. Twoja matka znakomicie gotuje.

- Teraz tak, ale dwadzieścia pięć lat temu nawet wygłodniali bezdomni unikali naszych drzwi jak ognia.

- Jesteś okropny. - Loren zaczęła manipulować gałką staroświeckiego lampowego radia, usiłując złapać stację z Mexicali; po dłuższej chwili z głośnika rozległy się względnie dobrze słyszalne meksykańskie rytmy. - Jeśli chodzi o mnie, kucharz może mieć nawet dzumę. Konam z głodu.

„Weź kobietę w podróż - pomyślał smętnie Pitt - a bez przerwy będzie ci truła, że jest głodna albo chce siusiu”.

- A poza tym - dodała - musisz uzupełnić paliwo.

Pitt zerknął na licznik paliwa: bak był pełen w jednej czwartej.

- Chyba nie zaszkodzi dolać jeszcze przed granicą.

- Nie ujechaliśmy daleko od ostatniego tankowania.

- Ciągący wielką przyczepę duży wóz sprzed sześćdziesięciu lat, w dodatku wyposażony w dwucylindrowy silnik, nie ma szans na wysoką pozycję w tabeli samochodów niezwykle ekonomicznych.

W polu widzenia ukazała się przydrożna knajpka i stacja benzynowa: dwa przyklejone do siebie końcami, zdewastowane wagony towarowe, ledwie widoczny w rzucanym przez nie cieniu neonowy napis STRAWA i z przodu - dwa dystrybutory. Za „Kafejką w Towarowym” ciągnęło się skupisko starych, rozpadających się i najwyraźniej opuszczonych przyczep mieszkalnych. Na gruntowym parkingu, wokół niewielkiej flotyli harleyów- davidsonów, wystawiając twarze na powiewy ożywczej bryzy znad Zatoki Kalifornijskiej, kłębił się i raczył piwem tłumek motocyklistów złożony z osiemnastu czy dwudziestu osób.

- O rany, ale obrodzili - stwierdził wesoło Pitt.

- Może nie powinniśmy się zatrzymywać - zasugerowała z namysłem Loren.

- Boisz się motocyklistów? To przypuszczalnie tacy sami strudzeni wędrowcy jak ty i ja.

- Z pewnością jednak hołdują innej modzie - odparła, wskazując głową grupkę złożoną wprawdzie w równych częściach z przedstawicieli obu płci, aliści jednolicie

umundurowaną w czarny skórzany przyodziewek motocyklowy, zdobny festonami łańcuchów, oznak, łań, nalepek i haftów ku chwale Wielkiego Harleya.

Pitt skręcił monstrualną kierownicę i pierce zjechał z asfaltowej nawierzchni, aby zatrzymać się pod dystrybutorem; dwunastocylindrowy silnik pracował tak bezgłośnie, że trudno było stwierdzić, w którym momencie został wyłączony przekręceniem kluczyka w stacyjce. Pitt otworzył samobójcze drzwiczki, odmykające się do tyłu, stanął na stopniu i zeskoczył na ziemię.

- Cześć - powitał najbliższy sobie egzemplarz motocyklowej rasy, płowłosą i uczesaną w kucyk samiczkę w czarnych skórzanych spodniach i takiejż kurtce. - Jak tu dają jeść?

- Może nie tak jak u Spago czy u Chasena - odparła uprzejmie - ale zupełnie przyzwoicie. Zwłaszcza jeśli człowiek jest głodny.

Metalowa tablica, obficie upstrzona wgłębieniami od kul, zachęcała do samoobsługi, Pitt zatem wetknął dyszę w otwór wlotu paliwa i nacisnął dźwignię; kiedy robił generalną naprawę silnika, specjaliści z warsztatu w taki sposób zmodyfikowali zawory, że pierce mógł bez problemu jeździć na benzynie bezołowiowej. Loren niepewnie kulila się na przednim siedzeniu, gdyż motocykliści nadciągnęli stadnie, aby podziwiać wóz i przyczepę. Pitt najpierw odpowiedział na nawalnicę pytań, a potem podniósł maskę, żeby zademonstrować silnik. W końcu wyciągnął Loren z auta.

- Pomyślałem, że chciałabyś poznać tych sympatycznych ludzi - powiedział. - Są członkami klubu motocyklowego z Hollywood Zachodniego.

Zrazu sądziła, że Pitt żartuje, jednak ze wstydu omal nie zapadła się pod ziemię, kiedy przystąpił do prezentacji, okazało się bowiem, że wszyscy panowie są adwokatami, którzy w towarzystwie żon wyprawili się na weekendową przejażdżkę po południowokalifornijskiej pustyni.

Mile natomiast polechtał jej próżność fakt, iż została rozpoznana przez wszystkich, kiedy Pitt wymienił jej nazwisko. Po rozmowie, utrzymanej w nader serdecznym tonie, hollywoodzcy juryści dosiedli w towarzystwie połowic swoich ukochanych stalowych smoków, by wśród chóralnego ryku silników, w kłębach spalin z rur wydechowych ruszyć w kierunku Doliny Cesarskiej. Pitt i Loren pomachali im na pożegnanie, a potem odwrócili się i ruszyli ku kafejce. Tory pod zardzewiałymi kołami były głęboko zagrzebane w piasku, drewniane ściany wagonów miały bardzo dawno temu kolor ceglasteroczerwony, litery zaś ponad długim rzędem topornie osadzonych

okien układały się w napis SOUTHERN PACIFIC LINES. Dzięki suchemu klimatowi jednak antyczne wagony towarowe zniosły ataki zęba czasu nad podziw dobrze.

Pitt miał w swoich zbiorach małą cząstkę historii kolejnictwa: niegdyś luksusową salonkę Pullmana, która przed pierwszą wojną światową jeździła w składach słynnej linii Manhattan Limited. Te wagony - oceniał Pitt - były jej rówieśnikami. Po prowizorycznych schodkach wspięli się z Loren do drzwi, wyciętych w końcu jednego z wagonów. Wnętrze lokalu, mocno zużyte w całości i w szczegółach, wydawało się bardzo czyste, a brak stolików rekompensował długi, ciągnący się przez dwa połączone wagony dębowy szynkwas z szeregiem stołków. Przez ów szynkwas można było zajrzeć do otwartej kuchni, która sprawiała takie wrażenie, jakby skonstruowano ją z desek leżących na słońcu od paru dziesiątków lat. Na licznych obrazkach stare lokomotywy, parszając z kominów kłębam dymu, ciągnęły skroś pustynne piaski składy osobowe bądź towarowe. Z szafy grającej Wurlitzera można było wybrać albo przebój z lat czterdziestych czy pięćdziesiątych, albo nagranie wszelkich odgłosów, jakie może z siebie wydobyć parowóz. Dwa kawałki za dwadzieścia pięć centów.

Pitt wrzucił ćwierć dolara i skomponował swoje muzyczne menu, złożone ze „Sweet Lorraine” w wykonaniu Frankiego Carle'a oraz ze zgiełku, jaki czyni wyjeżdżając ze stacji i nabierając tempa lokomotywa Norfolk and Western z parowym silnikiem tłokowym. Wysoki mężczyzna po sześćdziesiątce, siwowłosy i siwobrody, oderwał się od absorbującej czynności wycierania baru, podniósł głowę na widok wchodzących i posłał im pełne ciepła spojrzenie błękitnozielonych oczu.

- Dobry dzień, kochani. Witam w Towarowym. Z daleka jedzicie?

- Z niezbyt daleka - odparł Pitt, rzucając Loren lubieżne spojrzenie. Wyjechaliśmy z Sedony znacznie później, niż planowałem.

- Nie miej do mnie pretensji - odrzekła wyniośle. - To tobie z samego rana zebrało się na amory.

- Co wam mogę podać? - zapytał brodac. Nosił kowbojskie buty, dzinsy i wyblakłą od zbyt wielu prań kraciastą koszulę.

- Na początek nie byłoby od rzeczy to pańskie reklamowane zimne piwo - stwierdziła Loren.

- Meksykańskie czy nasze?

- Corona?

- Jedna corona, przyjąłem. A pan?

- Co jest z beczkowych? - zapytał Pitt.

- Olympia, coors i budweiser.

- Niech będzie olympia.

- Coś na ząb?

- Dla mnie chiliburger - odparła Loren. - I sałatka z kapusty.

- W gruncie rzeczy wcale nie jestem głodny - powiedział Pitt. - Wezmę tylko sałatkę. Jest pan właścicielem lokalu?

- Kupiłem go od poprzedniego właściciela, kiedy dałem sobie spokój z szukaniem złota. - Postawił piwa na barze i pochylił się nad kuchenką.

- Te wagony to ciekawy kawałek historii amerykańskiej kolei. Przyciągnięto je tutaj, czy też kiedyś biegły tędy tory?

- W istocie tkwimy na bocznicie starej linii głównej - odparł właściciel jadłodajni. - Tory szły z Yumy do El Centro. Kiedy towar przejęły ciężarówki, ruch zmalował na tyle, że w czterdziestym siódmym linie, zamknięto. Te wagony kupił taki starszy gość, który był maszynistą w Southern Pacific, założył w nich knajpkę i stację benzynową. Prowadził interes z żoną. Ale ruch jest marnutki, bo międzystanowa leci na północ stąd. Brodacz sprawiał wrażenie, jakby stanowił trwały element pustynnego pejzażu, zanim jeszcze położono tory. Miał wygląd człowieka, który widział w życiu więcej, niż powinien był widzieć, wysłuchał tysięcy opowieści, a te, miast wpaść jednym i wylecieć drugim uchem, pozostały w jego głowie, poukładane i sklasyfikowane jako „dramatyczne”, „humorystyczne” bądź „przerażające”. A poza tym, i nie ulegało to wątpliwości, miał styl i klasę, która krzyczała pełnym głosem, że zapomniana przez Boga i ludzi knajpka w zakazanym pustynnym kraju nie jest jego właściwym miejscem na ziemi.

Przez ulotny moment twarz właściciela „Kafejki w Towarowym” wydała się Pittowi odległe znajoma; potem doszedł do wniosku, że po prostu przypomina mu kogoś, kogo zresztą też nie potrafiłby w tej chwili nazwać po imieniu.

- Pójdę o zakład, że na temat tych wydm potrafiłby pan opowiedzieć niejedną ciekawą historyjkę - powiedział, żeby umilić posiłek niezobowiązującą pogawędką.

- Wiele spoczywa wśród nich kości, szczątków pionierów i górników, którzy w środku lata próbowali pokonać czterysta kilometrów dzielących Yumę od Boriego Springs.

- Za rzeką Kolorado nie ma już żadnej wody? - zapytała Loren.

- Ani kropelki, aż do Boriego. Mówimy tu o czasach przed nawodnieniem

doliny. Dopiero po śmierci chłopcy przekonywali się, że ich zwłoki leżą niespełna pięć metrów od wody. Szok był dla nich tak wielki, że wracali z zaświatów i jako duchy zaczęli straszyć na pustyni.

- Chyba czegoś nie rozumiem - powiedziała stropiona Loren.

- Na powierzchni wody nie ma - wyjaśnił restaurator - ale pod ziemią płyną całe rzeki, niektóre wielkie jak Kolorado.

- Nigdy nie słyszałem o płynących pod pustynią dużych rzekach - stwierdził z zaciekawieniem Pitt.

- Dwie są na pewno. Jedna, wielka jak sto sukinsynów, biegnie z górnej Nevady na południe, pod pustynię Mojave, a potem skręca na zachód i uchodzi do Pacyfiku poniżej Los Angeles. Druga przechodzi pod Doliną Cesarską, skręca na południe i ma ujście w Morzu Corteza.

- Są jakieś dowody na istnienie tych rzek? - zapytała Loren. - Czy ktokolwiek je widział?

- Tę uchodzącą do Pacyfiku - odparł gospodarz, przygotowując dla Loren chiliburgetera - odkrył ponoć szukając ropy naftowej pewien inżynier. Twierdził, że jego instrumenty zlokalizowały rzekę, prześledziły jej bieg pod pustynią Mojave, a potem wskazały ujście do oceanu pod miastem Laguna Beach. Wiadomość o tej drugiej, uchodzącej do Morza Corteza, pochodzi ze starej opowieści o poszukiwaczu złota, co odkrył podziemny tunel wiodący do głębokiej groty, przez którą przepływała rzeka.

Pitt stężał, przypominając sobie w okamgnieniu dokonany przez Yaegera przekład kipu.

- Ten poszukiwacz... jak opisywał podwodną rzekę?

Zajęty pichceniem brodac nadal nie odrywał się od kuchenki.

- Nazywał się Leigh Hunt i przypuszczalnie był po prostu pomysłowym łgarzem. Bożył się jednak na wszystko, że w czterdziestym drugim odkrył jaskinię w położonych niezbyt daleko stąd na północny wschód górach Castle Dome. Z tej jaskini, całym łańcuchem grot i tuneli, dotarł dwa kilometry w głąb ziemi i natknął się na rzekę, pędząca ogromnym kanionem. I tam, jak twierdził, znalazł bogate okruczowe złożę złota.

- Chyba widziałem ten film - oświadczyła sceptycznie Loren.

Brodacz odwrócił się od kuchenki i machnął w powietrzu drewnianą łopatką.

- Faceci z biura probierczego obliczyli, że piasek, który przyniósł im do zbadania Hunt, może dać trzy tysiące dolarów z tony. Cholernie dobra wydajność,

jeśli się weźmie pod uwagę, że w tamtych czasach złoto stało dwadzieścia dolarów sześćdziesiąt pięć centów za uncję.

- Czy Hunt kiedykolwiek wrócił do swojego złotodajnego kanionu? - zapytał Pitt.

- Próbował, ale nieustannie pałętała się za nim cała banda ścierwojadów, którzy też chcieli się dorwać do Złotej Rzeki, bo taka do niej przyłgnęła nazwa. No to Hunt się wściekł i wysadził przejście dynamitem, mniej więcej sto metrów od wlotu. Zwalił połowę góry. Ani Hunt, ani ci, co za nim łazili, nie mieli szans przebić się przez obwał.

- Przy dzisiejszej technice górniczej - stwierdził Pitt - udrożnienie tunelu jest przedsięwzięciem zupełnie realnym.

- Jasne, jeśli człowiek ma na zbyciu dwa miliony dolarów - prychnął gospodarz.  
- Nie słyszałem w życiu o facecie, który byłby skłonny postawić taką forszę na coś, co może się okazać kompletną bzdurą. - Urwał, żeby postawić na szynkwisie chiliburgera oraz dwa talerzyki z sałatką. Potem utoczył sobie kufel piwa, wyszedł zza baru i usiadł na stołku obok Pitta. - Mówią, że stary Hunt dostał się jakoś do wnętrza góry, ale już nigdy z niej nie wyszedł. Zniknął na dobre wkrótce po tym, jak wysadził wejście. Ponoć znalazł jakąś inną drogę i umarł w środku. Są tacy, co wierzą, iż głęboko pod piaskami płynie kanionem wielka rzeka, na ogół jednak bierze się całą historię za jeszcze jedną pustynną bajkę.

- Takie rzeczy istnieją - odparł Pitt. - Kilka lat temu uczestniczyłem w ekspedycji, która odkryła podziemny strumień.

- Gdzieś na tutejszych pustyniach?

- Nie, na Saharze. Płynął pod wysypiskiem odpadów przemysłowych i niósł wszelkie świństwa do rzeki Niger, a potem do Atlantyku.

- Rzeka Mojave na pomoc stąd płynie ładny kawałek po powierzchni, potem znika pod ziemią i nikt nie wie na pewno, gdzie uchodzi.

- Wydaje się pan przekonany, że ta rzeka Hunta uchodzi do Morza Corteza - powiedziała Loren pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Skąd pan wie, że nie wpada do Pacyfiku gdzieś w Kalifornii?

- Z plecaka i manierki Hunta. Zgubił je w jaskini, a sześć miesięcy później znaleziono je na plaży w Zatoce Kalifornijskiej.

- Nie sądzi pan, że to mało prawdopodobne? Plecak i manierka mogły należeć do byle kogo. Dlaczego mamy przyjąć, że stanowiły akurat własność Hunta? - Loren zadawała pytania takim tonem, jakby zasiadała w kongresowej komisji przesłuchań.



- Ano chyba dlatego, że i na jednym, i na drugim było wypisane nazwisko Hunta. Ta nie przewidziana przeszkoda sprawiła jedynie, że Loren zaatakowała problem z innej strony.

- Znalazłoby się co najmniej dwadzieścia logicznych wyjaśnień, dlaczego dobytek Hunta wylądował w zatoce. Ktoś mógł go skraść lub znaleźć, a potem wyrzucić. Najbardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że pozbył się ich w zatoce sam nasz bohater, który wcale nie umarł.

- To możliwe, że je gdzieś zapodział - przyznał właściciel jadłodajni. - Ale jak, wobec tego, wyjaśnić sprawę zwłok?

Pitt spojrzał nań jak na raroga.

- Jakich zwłok?

- Wędkarza, który zniknął na jeziorze Cocopah - odparł gospodarz głosem tak wyciszonym, jakby obawiał się, że ktoś podsłuchuje. - I dwóch płetwonurków, którzy przepadli w Studni Szatana. To, co zostało z ich ciał, wyłowiono w zatoce.

- Telegraf pustyni przekazuje kolejną bajeczkę - zauważyła ironicznie Loren.

Brodacz uniósł prawą dłoń.

- To najświętsza prawda. Możecie sprawdzić w biurze szeryfa.

- Gdzie są te dwa akwenty? - zapytał Pitt.

- Jezioro Cocopah, w którym zniknął wędkarz, na południowy wschód od Yumy. Studnia Szatana leży w Meksyku, u północnego podnóża gór Sierra el Mayor. Można połączyć prostą linią górę Hurita z jeziorem Cocopah, Studnią Szatana i Morzem Corteza.

- Skąd wiadomo - podjęła przesłuchanie Loren - że nie utonęli podczas połowu czy nurkowania w zatoce?

- Wędkarz z żoną byli na wodzie przez większą część dnia. Kiedy kobieta powiedziała, że chce wrócić do przyczepy, by wziąć się za robienie obiadu, wysadził ją na brzeg, a sam wrócił do spinningowania. Godzinę później chciała go zawołać, ale zobaczyła tylko przewróconą łódkę. Po trzech tygodniach i sto pięćdziesiąt kilometrów od jeziora narciarz wodny dostrzegł jego unoszące się na falach zwłoki.

- Bardziej jestem skłonna uwierzyć, że zamordowała go i wyrzuciła do zatoki własna żona, a potem, chcąc uniknąć podejrzeń, wymyśliła tę historyjkę z wessaniem przez podwodny nurt.

- A co z płetwonurkami? - zapytał Pitt.

- Niewiele tu do opowiadania. Zeszli do Studni Szatana, to taka zalana wodą

rozpadlina powstała wskutek trzęsienia ziemi, i już nigdy z niej nie wyszli. Miesiąc później ich zmasakrowane nie do poznania zwłoki również wyłowiono z Morza Corteza.

Pitt dziabnął widelcem swoją sałatkę, ale stracił resztki apetytu. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Nie wie pan przypadkiem, w jakich okolicach znaleziono manele Hunta i trupy?

- Nie prowadziłem w tej sprawie jakichś specjalnych studiów - odparł właściciel knajpki, spoglądając w zadumie na porysowaną podłogę - o ile jednak sobie przypominam, to chyba w wodach opodal Punta el Macharro.

- W której to części Zatoki Kalifornijskiej?

- Zachodni brzeg. Cypel Macharro jest dwa albo trzy kilometry powyżej San Felipe.

- Czyli tam, dokąd jedziemy. - Loren znacząco popatrzyła na Pitta.

- Przypomnij mi, żebym rozglądał się za truposzami. - Pitt ironicznie się uśmiechnął.

Gospodarz dopił swoje piwo.

- Jedziecie do San Felipe na małe wędkowanie?

Pitt pokiwał głową.

- Chyba można by to tak określić.

- Poniżej Mexicali nie ma co liczyć na piękne widoki. Pustynia wydaje się większości osób jałowa i odpychająca, ale, paradoksalnie, więcej tam przypada duchów, szkieletów i mitów na kilometr kwadratowy niż w najbardziej spektakularnych dżunglach czy górach świata. Miejcie to na uwadze, a zobaczycie je tak bankowo, jak po paru głębszych Irlandczyk zobaczy krasnoluda.

- Będziemy to mieć na uwadze - obiecała z uśmiechem Loren. - Zwłaszcza od chwili kiedy przekroczymy złotą rzekę Leigha Hunta.

- Och, przekroczycie ją, nie ma dwóch zdań. Ale smętna prawda jest taka, że nie będziecie o tym wiedzieć.

Pitt, zapłaciwszy za paliwo i posiłek, ruszył do auta, żeby sprawdzić poziom oleju i wody. Gospodarz w towarzystwie Loren wyszedł na platformę wagonu. Niósł w rękach miskę z marchwią i sałatą.

- Miłej podróży - powiedział pogodnie.

- Dzięki. - Loren spojrzała na warzywa. - Karmi pan królika?

- Nie, mojego osła. Pan Periwinkle mocno posunął się w latach i nie bardzo może się już paść o własnych siłach.

Loren wyciągnęła rękę.

- Cudownie się słuchało pańskich opowieści, panie...

- Cussler. Clive Cussler. Diabło miło było panią poznać.

Kiedy pierce arrow ciągnąc przyczepę gładko toczył się ku granicy, Pitt spojrzął na Loren.

- Przez chwilę sądziłem, że stary dziwak pchnął mnie na trop prowadzący do skarbu.

- Masz na myśli to naciągane tłumaczenie Yaegera o rzece, która przepływa pod wyspą?

- To chyba jednak nie jest geologicznie możliwe.

Loren przekręciła w swoją stronę lusterko wsteczne, żeby poprawić makijaż.

- Jest do pomyślenia, iż rzeka, która schodzi dostatecznie głęboko, płynie pod dnem Zatoki Kalifornijskiej.

- Możliwe, cholera, ale jakim sposobem to sprawdzić bez przeprowadzenia w twardej skale wielokilometrowych wierceń?

- I tak będziesz mógł mówić o szczęściu, jeśli zdołasz dotrzeć do grotty ze skarbem bez poważnych prac górniczych.

Pitt z uśmiechem spoglądał na rozwijającą się wstęgę szosy.

- Ale facet potrafi nawijać, co?

- Ten stary kucharz? Fakt, nie można mu odmówić żywej wyobraźni.

- Szkoda, że nie zapytałem go o nazwisko.

Loren rozsiadła się wygodnie, odprowadzając wzrokiem mijane okolice, w których wydmy zaczęły z wolna ustępować miejsca gobelinowej przekładance kaktusów i drzew mesquite.

- Mnie się przedstawił.

- A więc jak się nazywa?

- Dziwnie jakoś... - Przez chwilę wyteżala pamięć, a potem, w akcie kapitulacji, wrzuciła ramionami. - Zabawne... już zapomniałam.

Kiedy docierali do San Felipe, prowadziła Loren. Pitt zaś pochrapywał na tylnym siedzeniu nieświadom, że zakurzony, upstrzony rozchlapanymi insektami samochód łagodnym łukiem - aby nie zahaczyć przyczepą o krawężniki - objeżdża centralne rondo miasta i kieruje się na południe, w stronę portu, chronionego długim falochronem. Loren nie spodziewała się w San Felipe takiej obfitości hoteli i restauracji, boom turystyczny sprawił jednak, że senna niegdyś rybacka wioska przeżywała swe wielkie dni, o czym świadczyły liczne wzdłuż plaży budowy ośrodków wypoczynkowych. Pięć kilometrów na południe od miasta Loren skręciła w lewo, na drogę wiodącą wprost ku wybrzeżu Zatoki Kalifornijskiej, zastanawiając się, dlaczego na założenie portu wybrano miejsce tak otwarte, skoro kilka kilometrów dalej na południe Przylądek Macharro dawał statkom i łodziom naturalne wygodne schronienie. „E tam - uznała wreszcie - cóż my, gringos, możemy wiedzieć o koncepcjach rozwojowych, jakim hołdują ludzie z Baja?”.

Prom, przy którym zatrzymała wreszcie pierce'a, wyglądał jak zjawa nawiedzająca złomowisko i wrażenie to powiększał jeszcze fakt, iż za sprawą odpływu antyczna jednostka, utkwiona kilem w dennym mule, chyliła się na bok niczym srodze zmęczony pijaczek.

- Pobudka, byku - powiedziała Loren, potrząsając ramieniem Pitta.

Zamrugał i przez boczną szybę zagapił się na prastarą łajbę.

- Jestem w pętli czasowej czy też wkroczyłem w Strefę Zmierzchu?

- Ani jedno, ani drugie. Jesteś w porcie San Felipe i patrzysz na coś, co przez dwa najbliższe tygodnie będzie twoim domem.

- Dobry Boże - wymamrotał zdumiony Pitt - najprawdziwszy parowiec, napędzany ciągłową maszyną parową i bocznymi kołami łopatkowymi.

- Muszę istotnie przyznać, że roztacza atmosferę jak z Marka Twaina.

- O co się chcesz założyć, że przez Missisipi przerzucił do Vicsburga oddziały generała Granta?

Giordino i Gunn dostrzegli ich, pomachali rękoma, potem zaś po trapie zesli na pirs.

- Dobrą mieliście podróż? - zapytał Gunn.

- Cudowną, wyjąwszy chrapanie Dirka - odparła Loren.

- Ja nigdy nie chrapię. - Pitt popatrzył na nią z urazą.

Uniosła wzrok ku niebu.

- Omal nie nabawiłam się zapalenia ściegna, poszturchując cię łokciem.

- Co sądzisz o naszej bazie operacyjnej? - spytał Giordino, majestatycznym gestem ukazując prom. - Zbudowany w roku 1923, jeden z ostatnich parowców tego typu.

Pitt zsunął okulary na czoło i uważnym spojrzeniem omiół pływający antyk. Większość statków wydaje się z dystansu mniejsza niż w rzeczywistości i dopiero widziana z bliska urasta do imponujących rozmiarów; w każdym razie ta prawidłowość dotyczy prawie wszystkich promów z pierwszej połowy stulecia. Ten, mający siedemdziesiąt metrów długości, przewoził w latach swej chwały pięciuset pasażerów i sześćdziesiąt samochodów. Długi czarny kadłub wieńczyła dwupoziomowa nadbudówka, przy czym z pokładu górnego sterczał ogromny komin i dwie sterówki po obu końcach, prom bowiem, jak ogromna część podobnych sobie jednostek, mógł być załadowywany i rozładowywany albo od rufy, albo od dziobu. Nawet w czasach swej nowości nie był statkiem luksusowym, w ciągu jednak długiego życia dobrze przysłużył się milionom pasażerów. Napis, biegnący przez dolną część nadbudówki, w której obracały się koła łopatkowe, zdradzał, że prom nosi wdzięczne miano „Alhambra”.

- Gdzieście zgrandzili tego rzęcha? - zdziwił się Pitt. - Z muzeum żeglugi?

- Dusza anielska w czerepie rubasznym - odparł bez szczególnego uczucia Giordino.

- To był jedyny statek, który mogłem szybko znaleźć, zdolny służyć jako platforma startowa dla helikoptera - wyjaśnił Gunn. - A poza tym uszczęśliwiłem Sandeckera, bo za dzierżawę płacimy grosze.

- No i przynajmniej tego rupiecia nie zdołasz włączyć do swojej kolekcji - stwierdziła z uśmiechem Loren.

Pitt pokazał ręką ciężło, zamocowane ponad ramą w kształcie litery A.

- Nie mogę uwierzyć, że w jego kotłach wciąż pali się węglem.

- Pół wieku temu dokonano przeróbek, pozwalających wykorzystywać olej napędowy - odparł Gunn. - Silniki są w nad podziw dobrym stanie i łajba może wyciągnąć dwadzieścia mil na godzinę.

- Nie chciałeś przypadkiem powiedzieć „kilometrów” albo „węzłów”? - zainteresowała się Loren.

- Prędkość promów ciągle mierzy się w milach - odrzekł Giordino z miną besserwissera.

- Moim zdaniem nie wyciągnie nawet centymetra na dobę - stwierdził Pitt - jeśli najpierw nie wyciągniecie kilu z błota.

- O północy będzie unosić się jak korek - zapewnił go Gunn. - W tej części zatoki pływy sięgają pięciu metrów.

Pitt, mimo ostentacyjnej dezaprobaty, żywił już wobec starego statku najcieplejsze uczucia. W gruncie rzeczy była to miłość od pierwszego wejrzenia. Fascynowały go stare auta, samoloty, statki... Właściwie wszystkie mechaniczne twory lat dawno minionych.

„Urodziłem się za późno - zwykł narzekać o osiemdziesiąt lat za późno”.

- Co z załogą?

- Mechanik z pomocnikiem plus dwóch marynarzy pokładowych. - Gunn urwał i przyoblekł twarz w szeroki chłopięcy uśmiech. - Ja stanę za sterem, kiedy wy dwaj, wspaniali mężczyźni, będziecie rozbijać się nad zatoką w swej latającej maszynie.

- A skoro mowa o śmigłowcu... Gdzieście go zadołowali?

- Na pokładzie samochodowym - odparł Gunn. - Wygodne miejsce na obsługę techniczną bez względu na kaprysy pogody. Przed startem będziemy go wypychać na rampę załadunkową.

Pitt spojrzał na Giordina.

- Rozpracowałeś już plan poszukiwań?

Krepy Włoch przecząco pokręcił głową.

- Zasięgi i plany lotów - tak, ale poszukiwania organizujesz ty.

- Ile, twoim zdaniem, będziemy potrzebowali czasu?

- Powinniśmy oblecieć cały rejon w ciągu trzech dni.

- Ach, póki pamiętam - wtrącił Gunn. - Admirał prosił, żebyś skontaktował się z nim z samego rana. W sterówce dziobowej znajdziesz telefon komórkowy.

- Dlaczego nie od razu? - zapytał Pitt.

Gunn spojrzał na zegarek.

- Jesteśmy trzy godziny do tyłu za Wschodnim Wybrzeżem. Prawdopodobnie właśnie w tej chwili admirał ogląda jakąś sztukę w Centrum Kennedy'ego.

- Przepraszam - wtrąciła Loren. - Czy mogę zadać kilka pytań?

Pitt skłonił głowę.

- Udzielam pani głosu, kongresbabo.

- Po pierwsze, gdzie zamierzasz zaparkować pierce'a? Bo pozostawianie na pirsie rybackim auta wartego sto tysięcy dolarów nie wydaje mi się rozsądne.

Gunn sprawiał wrażenie zaskoczonego jej pytaniem.

- Dirk ci nie powiedział? Pierce z przyczepą płyną z nami promem. Są tu całe hektary wolnej przestrzeni.

- Czy jest również łazienka i prysznic?

- Na górnym pokładzie pasażerskim są w istocie aż cztery łazienki dla pań, a poza tym prysznic przy kajutach załogi.

- A zatem nie trzeba będzie stać w kolejce, żeby zrobić siusiu. To mi się podoba.

- Widzisz, nawet nie musisz wypakowywać manatków z samochodu! - powiedział Pitt ze śmiechem.

- I możesz sobie wyobrazić, że podróżujesz liniowcem Carnival Lines - dodał Giordino.

- Kolejne pytanie - zasugerował Gunn.

- Konam z głodu - oświadczyła wyniośle. - Kiedy coś zjemy?

Jesienią słońce nad zatoką, zawieszona na osobliwie biało-błękitnym niebie, śle w dół niezwykle roziskrzona promienie, co było doskonale widać tego całkowicie bezchmurnego dnia. Należący do najsuchszych zakątków świata półwysep Baja strzeże Zatoki Kalifornijskiej przed nadciągającymi z bezmiaru Pacyfiku potężnymi falami, chociaż w miesiącach letnich tropikalne sztormy z silnymi wichurami należą tu do zjawisk nierzadkich. Pod koniec października jednak dominujące wiatry zmieniają kierunek ze wschodniego na zachodni, w związku z czym powierzchnia wody na ogół nie marszczy się gniewnie.

Z wozem Pitta bezpiecznie zamocowanym na otchłannym pokładzie samochodowym, Gunnem u steru i Loren wyciągniętą w kostiumie bikini na leżaku, prom wypłynął z portu i obszernym łukiem wszedł na kurs południowy. Prezentował się nader imponująco, gdy z jego komina bił czarny dym, a łopatkami kół młóciły wodę. Ciężko, mające kształt spłaszczonego brylantu, poruszało się w górę i w dół, przekazując kołom moc wielkiego tłoka. Rytm tej pracy, jeżeli człowiek przyglądał się jej dostatecznie długo, wywierał niemal hipnotyczny wpływ.

Kiedy Giordino dokonywał ostatniej kontroli przed startem i uzupełniał paliwo, Pitt, przez satelitarny telefon Iridium wyprodukowany przez firmę Motorola, wysłuchiwał tego, co na temat rozwoju sytuacji miał mu z Waszyngtonu do powiedzenia admirał Sandecker. Minęła godzina - prom przepływał w tym czasie obok cypla Estrella - zanim Pitt mógł odłożyć słuchawkę i wyjść na pokład dziobowy, gdzie urządzono prowizoryczne lądowisko dla śmigłowca. Ledwie zajął miejsce w

fotelu i zapiął pasy, Al Giordino poderwał w powietrze turkusową maszynę NUMY, przyjmując kurs równoległy do wybrzeża.

- Co stary miał ci do powiedzenia? - zapytał Giordino, wyrównując lot na wysokości ośmiuset metrów. - Może Yaeger wyłuskał jakieś nowe wskazówki?

- Żadnych oszałamiających rewelacji - odparł Pitt, pełniący funkcję nawigatora.  
- Dodał tylko, że w jego przekonaniu posąg demona tkwi dokładnie nad wlotem jaskini, prowadzącej do skarbu.

- A tajemnicza rzeka?

- Wciąż jest tak samo głupi, jak poprzednio.

- Co jeszcze mówił Sandecker?

- Że ktoś nas próbuje zbodniczować. Jak grom z jasnego nieba spadli na admirała faceci z FBI i ceł, oświadczając, że na tropie skarbu Huascara jest oprócz nas gang rabusiów dzieł sztuki. Ostrzegł, żeby mocno na nich uważać.

- Czyli mamy konkurentów.

- To rodzinka kontrolująca złodziejsko-falszerską firmę o ogólnoświatowym zasięgu.

- Jak się ta firma nazywa?

- Zolar International.

Giordino przez chwilę nie reagował, a potem wybuchł nieopanowanym śmiechem.

- Co w tym zabawnego? - zapytał Pitt.

- Zolar - wykrztusił Giordino. - Pamiętam jednego tępola z ósmej klasy, który na szkolnych akademiach odstawiał pod ksywką Wielkiego Zolara prząsny numerik magiczny.

- O ile dobrze zrozumiałem Sandeckera, facet kierujący organizacją nie zasługuje w najmniejszym stopniu na miano tępaka - odparł Pitt. - Agenci federalni szacują, że jego nielegalne dochody przekraczają osiemdziesiąt milionów dolarów rocznie. Ładna sumka, jeśli weźmie się pod uwagę, że fiskus nie może jej ugryźć.

- Dobra, no więc nie chodzi o tego głąba, którego znałem ze szkoły. Jak blisko, zdaniem federalnych, jest od skarbu?

- Sądzą, że ma lepsze wskazówki niż my.

- Postawię w zakład swojego świętecznego indyka, że pierwsi dotrzemy na metę.

- Tak czy siak, będziemy przegrani.



Giordino odwrócił głowę i obdarzył Pitta przeciągłym spojrzeniem.

- Może byś tak wprowadził starego kumpla w sytuację bojową?

- Nawet jeśli wypadnie nam oczko, mamy rozwiać się jak dym, pozwalając im zgarnąć pulę.

- Opuścić?! - zapytał z niedowierzaniem Giordino.

- Takie są rozkazy - odrzekł Pitt, nie usiłując nawet ukryć niechęci.

- Ale dlaczego? Na czym polega wielka mądrość naszego zacnego rządu, że pozwala kryminalistom napychać kabzę?

- Chodzi o to, żeby faceci z FBI i służb celnych mogli ruszyć ich tropem i w końcu przyszpilić za jeszcze kilka dosyć poważnych przestępstw.

- Nie powiem, że ten rodzaj sprawiedliwości przemawia mi do wyobraźni. Myślisz, że podatnicy zostaną powiadomieni o łupach?

- Akurat. Tak samo jak usłyszeli o hiszpańskim złocie, odkrytym przez cywilów w Yictorio Peak w Nowym Meksyku, ale wydobytym przez wojsko. Pamiętasz, to było w latach trzydziestych.

- Żyjemy w plugawym, bezwzględnym świecie - zauważył poetycznie Giordino.

Pitt wyciągnął ramię ku pnącemu się coraz wyżej słońcu.

- Zawróć i weź kurs jeden-jeden-zero.

- Chcesz w pierwszym podejściu sprawdzić drugą stronę zatoki?

- Tylko cztery wyspy mają taką charakterystykę geologiczną, jakiej szukamy, ale, wiesz, lubię zaczynać poszukiwania od obrzeży siatki, żeby dopiero później przejść do najbardziej obiecujących celów.

Giordino rozchylił usta w uśmiechu.

- Każdy facet przy zdrowych zmysłach byłby zaczął od środka.

- Nie słyszałeś, że najwięcej uciechy z życia mają wioskowi idioci?

Po czterech dniach bezowocnych poszukiwań Oxley był zniechęcony, Sarason osobiście zadowolony z siebie, Moore zaś - zbity z tropu. Przelecieli nad wszystkimi wyspami na Zatoce Kalifornijskiej, charakteryzującymi się odpowiednią rzeźbą powierzchni; kilka z nich wieńczyły formacje, które sprawiały wrażenie ukształtowanych ludzką ręką, a jednak przeloty na niskich wysokościach bądź żmudne wspinaczki po stromych skałach dowodziły koniec końców, że są strukturami najzupełniej naturalnymi i jedynie wyobraźnia nadaje im rysy mitycznych bestii.

Moore, najoczywiście zbity z pantałyku, zapodział gdzieś swą arogancką, akademicką fasadę. Rzeźba skalna musiała istnieć na którejś z wysp śródlądowego morza... piktogramy na złotym sarkofagu były wyraźne, ich przekład wykluczał pomyłki odnośnie do lokalizacji. Człowieka tak pewnego siebie jak Moore fiasko poszukiwań doprowadzało do szału.

Jako zastanawiającą odbierał również zmianę w zachowaniu Sarasona. „Sukinsyn - myślał Moore - przestał okazywać wrogość czy gniew”. Ale jego niesamowite, niemal bezbarwne oczy ani na chwilę, jak się zdawało, nie przestawały obserwować z jednakową czujnością. Chwytając na sobie ich spojrzenie, Moore wiedział, że niejednokrotnie miały do czynienia ze śmiercią.

I czuł się coraz mniej pewnie. Rozkład sił uległ zmianie. Sarason, odbierając mu przewagę zaskoczenia, wejrzał za jego maskę bezczelnego i niewzruszonego naukowca. Skoro on, Moore, wyczuł w Sarasonie mordercze instynkty, było do pomyślenia, że i Sarason przewąchał, co się święci.

Pocieszenie, jakkolwiek w danej sytuacji niezbyt wielkie, przynosiła jedynie świadomość, iż Sarason nie mógł wiedzieć - jak zresztą z wyjątkiem prezydenta Stanów Zjednoczonych nie mógł wiedzieć żaden pozostający przy życiu człowiek - że szanowany profesor antropologii Henry Moore tudzież jego równie szanowana w branży archeologicznej małżonka Micki są parą wysoce wykwalifikowanych specjalistów od skrytobójstw, popełnianych na osobach zagranicznych przywódców organizacji terrorystycznych. Dzięki swym akademickim referencjom bez trudu wjeżdżali do rozmaitych państw jako członkowie bądź konsultanci ekspedycji archeologicznych. Przy czym, co interesujące, nawet CIA nie miała pojęcia o ich poczynaniach - zadania wyznaczała Moore'om tajemnicza agencja o nazwie Rada do spraw Działalności Zagranicznej, mająca swą centralę w małym pomieszczeniu suterelowym pod Białym Domem.

Moore, niespokojnie wierząc się w fotelu, raz jeszcze przestudiował mapę zatoki.

- Coś tu cholernie, ale to cholernie nie gra.

Oxley zerknął na zegarek.

- Piąta. Wolałbym lądować za dnia. Moim zdaniem powinniśmy na dziś dać sobie spokój.

Pozbawione wyrazu spojrzenie Sarasona - który, w sposób nietypowy dla siebie, okazywał spokój, opanowanie i powstrzymywał się od komentarzy - powędrowało w stronę pustego horyzontu.

- To musi być gdzieś tutaj - powiedział Moore, spoglądając na poprzekreślone przez siebie na mapie wysepki wzrokiem ucznia, który wie, że oblał egzamin testowy.

- Mam nieprzyjemne uczucie, żeśmy w którymś momencie przelecieli dokładnie nad skarbem - stwierdzał Oxley.

Teraz, widząc Moore'a w nowym świetle, Sarason traktował go z szacunkiem, jako przeciwnika godnego siebie. Zdał sobie również sprawę, iż profesor, mimo szczupłej budowy, jest silny i szybki. Te jego nieporadne wspinaczki na zbocza obiecujących wysp, te przesadnie wysilone oddechy, to udawanie pijaczka były wyłącznie grą. W dwóch przypadkach Moore przesadził rozpadlinę skalną ze sprężystością muflona. Innym razem, pozornie bez wysiłku, odwalił ze ścieżki głaz równy sobie ciężarem.

- Może poszukiwana przez nas inkaska rzeźba została zniszczona - zasugerował Sarason.

Moore pokręcił głową.

- Nie, bo w takim przypadku zdołałbym rozpoznać jej fragmenty.

- A jeśli ją zabrano? Mogła przecież wylądować w muzeum.

- Musiałoby do mnie dotrzeć, gdyby meksykańscy archeologowie wzbogacili jedno ze swoich muzeów potężną kamienną rzeźbą - odparł z przekonaniem Moore.

- No więc jak pan wyjaśni, że nie ma jej tam, gdzie być powinna?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Po powrocie do hacjendy raz jeszcze przestudiuję swoje notatki. Przekładając piktogramy z sarkofagu, musiałem przegapić jakąś pozornie nieistotną przesłankę.

- Ufam, że odnajdzie ją pan jeszcze przed jutrzejszym porankiem - stwierdził oschle Sarason.

Oxley z trudem odpędzał od siebie senność. Siedział za sterami od dziewiątej

rano i kark mu zeszywniał ze zmęczenia. Ujawszy drążek sterowy pomiędzy kolana, sięgnął po termos, nalał sobie kawy, pociągnął łyk i wykrzywił usta - napój był nie tylko zimny, lecz również gorzki jak kwas do akumulatorów. Nagle kątem oka dostrzegł w chmurach zielony błysk. Wyciągnął rękę i pokazał w prawo.

- W tej części zatoki nie widuje się zbyt wielu śmigłowców - rzucił konwersacyjnie.

- Pewnie maszyna patrolowa meksykańskiej marynarki wojennej. - Sarason nawet nie spojrział we wskazanym kierunku.

- I to zapewne szukająca pijanego rybaka, któremu nawalił silnik - dodał Moore.

Oxley pokręcił głową.

- W życiu nie widziałem wojskowej maszyny wymalowanej na kolor turkusowy.

- Turkusowy? - Sarason poderwał głowę. - Widzisz jakieś oznaczenia?

Oxley przyłożył do oczu lornetkę.

- Amerykańskie.

- Przypuszczanie patrol Agencji do Spraw Zwalczenia Narkotyków, współpracujący z władzami Meksyku.

- Nie, śmigłowiec należy do Krajowej Agencji Badań Podmorskich. Zastanawiam się, czego szuka nad zatoką.

- Prowadzą badania we wszystkich zakątkach świata - mruknął obojętnie Moore.

Sarason zeszywniał, jakby dostał kulę w serce.

- Dwaj wszarze z NUMY rozwalili naszą operację w Peru.

- Trudno dopatrywać się związku - stwierdził Oxley.

- Ciekawe, jaką operację rozwalili wam w Peru - rzekł Moore, marszcząc nos jak pies, który coś zwęszył.

- Przekroczyli swoje statutowe uprawnienia - mruknął wieloznacznie Sarason.

- Chciałbym kiedyś o tym posłuchać.

- Nie pański zasrany interes! - krzyknął Sarason. - Ilu ludzi na pokładzie?

- To chyba model czteromiejscowy - zauważył Oxley - ale dostrzegam tylko pilota i jednego pasażera.

- Zbliżają się do nas, czy oddalają?

- Weszli na kurs zbieżny z naszym. Przelecą mniej więcej dwieście metrów nad nami.

- Mógłbyś wejść wyżej i powtórzyć ich manewr? - zapytał Sarason - chciałbym się dokładniej przyjrzeć.

- Skoro władze lotnicze nie mogą odebrać mi licencji, o którą nigdy nie występowałem - uśmiechnął się Oxley - padnę im w objęcia.

- Czy to bezpieczne? - zaniepokoił się Moore.

- Zależy od tamtego pilota - odrzekł Oxley z szerokim uśmiechem.

Sarason sięgnął po lornetkę i wbił spojrzenie w turkusowy śmigłowiec. Był odmiennego typu niż ten, który wylądował przy studni ofiarnej - tamten miał krótszy kadłub i płoży, ten - wysuwane podwozie. Trudno było jednak pomylić się co do koloru i oznakowań. Sarason usiłował sobie wmówić, że to absurd, iż lecą nim ci sami faceci, którzy jak grom z jasnego nieba spadli mu na kark w Andach.

Zogniskował lornetę na kabinie śmigłowca; jeszcze kilka sekund, a zdoła dostrzec wyraźnie twarze i ludzi siedzących w fotelach pilotów. Z jakiegoś niepojętego powodu jego opanowanie zaczęło rozłazić się w szwach.

- No i jak sądzisz? - spytał Giordino. - To nasi czy nie?

- Zupełnie możliwe. - Pitt spoglądał przez lornetę okrętową na wodnosamolot, lecący poniżej śmigłowca zbieżnym kursem. - Biorąc pod uwagę, iż przez piętnaście minut okrążali wyspę Estanaque w taki sposób, jakby usiłowali wypatrzeć coś na szczycie, możemy chyba przyjąć założenie, że zetknęliśmy się oto z naszą konkurencją.

- Wedle Sandeckera rozpoczęli poszukiwania dwa dni przed nami - powiedział Giordino. - A skoro do tej chwili oddają się podziwianiu widoczków, również nie mogą pochwalić się sukcesem.

- Człowiekowi od razu robi się cieplej na sercu, nie? - zapytał z uśmiechem Pitt.

- Jeśli oni nie znajdą skarbu i my go nie znajdziemy, trzeba będzie przyjąć założenie, że Inkowie wcisnęli nam ciemnotę.

- Nie sądzę. Zastanów się przez chwilę: w tym samym regionie dwie grupy prowadzą poszukiwania, opierając się na dwóch odmiennych źródłach - my mamy wskazówki zawarte w kipu, oni zaś w piktogramach na złotym sarkofagu. Gdyby sytuacja była tak zła, jak sugerujesz, pałotalibyśmy się w zupełnie różnych miejscach. Nie, ci dawni Inkowie nie wcisnęli nam kitu. Skarb musi gdzieś tu być i po prostu my nie szukamy go tam, gdzie powinniśmy. Giordino zawsze zdumiewał fakt, iż Pitt bez najmniejszych oznak znużenia i zawsze z jednakową koncentracją może całymi godzinami analizować mapy, śledzić wskazania instrumentów, studiować rzeźbę powierzchni wysepek, odnotowywać w pamięci wszelkie zmiany kierunku wiatru.

Zapewne doświadczał tych samych co Giordino bólów mięśni, uczucia sztywności, stanów napięć nerwowych, ale niczym nie dawał tego po sobie poznać. W istocie Pitt, jak wszyscy inni ludzie wrażliwy na owe nieprzyjemne doznania, umiał wyłączać je jak lampkę nocną i przez cały dzień funkcjonować z niezmienną świeżością i entuzjazmem.

- Sumując ich poczynania i nasze - zauważył Giordino - musieliśmy spenetrować każdą wysepkę odpowiadającą naszej hipotetycznej rzeźbie powierzchni.

- Zgoda - odparł z zadumą Pitt. - Ale wciąż jestem przekonany, że krążymy po właściwym łowisku.

- No więc gdzie jest? Gdzie, do stu diabłów, jest ten cholerny demon?

Pitt nieobowiązująco pokazał rozpostarte w dole morze.

- Gdzieś tam. I sterczy sobie jak pięćset lat temu. Pokazując nam figę.

Giordino wyciągnął ramię w kierunku wodnosamolotu.

- Koleżkowie zwiększają wysokość, żeby nas obadać. Mam ich zgubić?

- Nie ma sensu. Wyciągają dobre osiemdziesiąt kilometrów więcej niż my.

Utrzymuj kurs na prom i zachowuj się jak niewiniątko.

- Zgrabny jest ten baffin - zauważył Giordino. - Rzadko widuje się te maszyny poza rejonem północnokanadyjskiego pojezierza.

- Zbliża się trochę zanadto jak na przypadkowego przechodnia, nie uważasz?

- Towarzyski facet, albo też chce nam zajrzeć w paszporty.

Pitt skierował lornetę na kabinę samolotu, lecącego najwyżej pięćdziesiąt metrów od nich.

- I co widzisz? - zapytał Giordino, nie odrywając wzroku od tablicy rozdzielczej.

- Gościa, który gapi się na mnie przez lornetkę - odrzekł z uśmiechem Pitt.

- Może powinniśmy zaprosić go na lufkę?

Mężczyzna w pasażerskim fotelu wodnosamolotu na moment oderwał lornetę od oczu, żeby je przetrzeć, a potem wznowił obserwację. Pitt docisnął łokcie do ciała, eliminując drżenie wywołane wibracją maszyny. Kiedy opuszczał lornetkę, nie miał na twarzy ani śladu rozbawienia.

- Nasz stary druh z Peru - oznajmił chłodno.

Giordino posłał mu zdumione spojrzenie.

- Stary druh?

- Oszust, podszywający się pod doktora Millera, wrócił, aby straszyć nas po nocach.

Na twarz Pitta powrócił uśmiech - uśmiech obrzydłe demoniczny. Potem Pitt uniósł ramię i pomachał ręką.

Jeśli Pitt był zaskoczony niespodziewanym spotkaniem. Sarason doznał z jego powodu najprawdziwszego szoku.

- To ty! - wyrzucił z siebie bez tchu.

- Mówiłeś coś? - zapytał Oxley.

Kompletnie zbity z pantałyku widokiem człowieka, który wpędził go w takie tarapaty, pozbawiony pewności, że wyobraźnia nie płata mu figlów, Sarason gapił się na upiora, który machał ku niemu ręką, jak żalobnik, odprowadzający do grobu drogie zwłoki. Potem, kiedy lekko przesunął lornetkę w bok i rozpoznał Giordina w pilocie śmigłowca, zbladł jak papier.

- Faceci w śmigłowcu... - powiedział ochryple - ...to ci sami, którzy rozpieprzyli naszą peruwiańską operację.

Oxley nie wydawał się przekonany.

- Pomyśl o prawdopodobieństwie, bracie. Jesteś pewien?

- To ci sami, nikt inny. Ich twarze na zawsze wryły mi się w pamięć. Kosztowali firmę wiele milionów dolarów w artefaktach, odzyskanych później przez rząd peruwiański.

- Czego tu szukają? - zapytał Moore, przysłuchujący się z uwagą.

- Tego samego co my. Ktoś musiał dać im cynk. - Sarason spode łba popatrzył na Moore'a. - Może przypadkiem zacny profesor ma w NUMIE jakichś kumpli?

- Wchodzę w kontakt z agendami rządowymi jedynie piętnastego kwietnia, kiedy składam deklarację podatkową - odparł Moore wyniośle. - Kimkolwiek są, nie zaliczają się do grona moich przyjaciół.

- Henry mówi prawdę - wtrącił Oxley. - Nie miał najmniejszych szans, żeby komukolwiek dać cynk. Nasz system bezpieczeństwa jest zbyt hermetyczny. Uznałbym twoje przypuszczenie za znacznie bardziej sensowne, gdybyśmy mieli do czynienia z agentami celnymi, nie zaś z naukowcami czy też inżynierami pracującymi dla instytutu badań oceanograficznych.

- Daję głowę, że to ci sami goście, którzy wyskoczyli jak diabeł z pudełka i wyłowili ze studni ofiarnej archeologkę i jej kumpla fotografa. Nazywają się Dirk Pitt i Al Giordino, przy czym Pitt jest niebezpieczniejszy z tej dwójki. To on powykańczał moich ludzi i skapłonił Tupaca Amaru. Musimy polecieć za nimi i ustalić, gdzie mają bazę operacyjną.

- Paliwa starczy mi zaledwie na powrót do Guaymas - odparł Oxley. - Tym razem trzeba im odpuścić.

- No to daj im popalić, zmusz ich do lądowania.

Oxley pokręcił głową.

- Jeśli są tak niebezpieczni, jak sugerujesz, mogą być uzbrojeni. W przeciwieństwie do nas. Spoko, braciszku, spotkamy się jeszcze z nimi wcześniej czy później.

- To ścierwojady, które wykorzystując parasol NUMY, usiłują wyrolować nas ze skarbu.

- Niechże pan zastanowi się chociaż przez chwilę, o czym mówi - warknął Moore. - Tylko ja i moja żona rozszyfrowaliśmy przesłanie na złotym sarkofagu. Albo zatem wchodzi w grę zbieg okoliczności, albo też miewa pan majaki.

- Mój brat mógłby pana zapewnić - odparł oziębło Sarason - że nie należę do osób miewających majaki.

- Dwójka nawiedzonych facetów z NUMY, którzy miotają się po świecie, zwalczając wszelkie zło... - wycodził Moore. - Mógłby pan wreszcie odstawić meskal.

Sarason nie słyszał słów archeologa, myślał bowiem o Amaru. Otrząsnął się już z szoku. Nie mógł doczekać się chwili, gdy spuści ze smyczy andyjskiego wściekłego psa.

- Tym razem - syknął jadowicie - to oni poniosą wszelkie koszty.

Joseph Zolar, który przybył w końcu swoim odrzutowcem, zasiadał w salonie hacjendy, mając za towarzyszkę Micki Moore, gdy pojawili się członkowie grupy poszukiwawczej.

- Chyba nie muszę pytać - stwierdził. - Wasze twarze noszą piętno porażki.

- Znajdziemy skarb. - Oxley stłumił ziewnięcie. - Skalny demon musi gdzieś tam być.

- Nie podzielam pańskiej pewności siebie - mruknął Moore, sięgając po kieliszek schłodzonego chardonnay. - Kończą nam się wyspy warte spenetrowania.

Sarason podszedł do brata i serdecznie poklepał go po łopatkach.

- Spodziewaliśmy się ciebie już dwa dni temu.

- Opóźniła mnie transakcja, z której mamy dwa miliony dwieście tysięcy franków szwajcarskich.

- Dealer?

- Nie, kolekcjoner. Saudyjski szejk.



- Jak ci poszedł handel z Vincentem?

- Opchnąłem mu cały towar z wyjątkiem tych cholernych indiańskich bożków. Bóg jeden wie dlaczego, ale na ich widok omal nie zemdlał ze strachu.

- Może chodzi o tę klątwę - stwierdził ze śmiechem Sarason.

Zolar obojętnie wzruszył ramionami.

- Jeśli są obciążone klątwą, następny oferent będzie musiał zapłacić za nią ekstra.

- Masz ze sobą te bałwany? - zapytał Oxley. - Chciałbym na nie zerknąć.

- Są w skrzyni, w ładowni samolotu - odparł Zolar, spoglądając miłośnie na swój talerz z quesadillą. - A miałem nadzieję usłyszeć na powitanie dobre wieści.

- Nie da się zaprzeczyć, że wyłaziliśmy ze skóry - odparł Moore. - Po zbadaniu każdego kawałka skały sterczącego z morza pomiędzy rzeką Kolorado a Cabo San Lucas, nie możemy się pochwalić, żeśmy widzieli jakąkolwiek formację skalną przypominającą choćby najodleglej uskrzydłonego jaguara z węzowym łbem.

- W dodatku - oznajmił Sarason - natknęliśmy się, o czym mówię z najwyższą niechęcią, na dwóch naszych przyjaciół, którzy tak sprawnie pogmatwali nam peruwiańską operację.

- Chyba nie masz na myśli tych parszywców z NUMY?

- A właśnie że mam. To brzmi mało prawdopodobnie, ale w moim przekonaniu są na tropie skarbu Huascara.

- Muszę się z Cyrusem zgodzić - potaknął Oxley. - Bo niby dlaczego mieliby wypłynąć w tym samym regionie?

- Nie jest możliwe, aby wiedzieli o czymś, o czym my nie wiemy - stwierdził Zolar.

- Może was śledzili - powiedziała Micki, wyciągając kieliszek w stronę męża, który napełnił go winem.

Oxley pokręcił głową.

- Nasz wodnosamolot ma dwukrotnie większy zasięg niż ich śmigłowiec.

Moore spojrział na Zolara.

- Być może, moja żona trafiła w sedno. Szanse przypadkowego spotkania są wręcz astronomicznie małe.

- No więc jak podchodzimy do problemu? - rzucił Sarason, nie adresując pytania do nikogo w szczególności.

- Chyba pani Moore udzieliła nam odpowiedzi. - Zolar rozchylił usta w

uśmiechu.

- Ja? - zdziwiła się Micki. - Sugerowałam tylko, że...

- Mogli nas śledzić.

- A zatem?

Zolar posłał jej przebiegłe spojrzenie.

- Zaczniemy od tego, że egzekwując usługi opłaconych współpracowników z miejscowych organów porządkowych, ustalimy bazę operacyjną naszych konkurentów. A potem to my podążymy ich tropem.

Do zmroku pozostawało zaledwie pół godziny, kiedy Giordino precyzyjnie posadził śmigłowiec w samym środku białego koła wymalowanego na pokładzie załadunkowym „Alhambry”. Dwaj marynarze, znani pod imionami Jesus i Gato, wepchnęli maszynę na otchłanny pokład samochodowy i zamocowali ją linami.

Loren i Gunn, stojący poza zasięgiem łopat wirnika, podeszli bliżej, kiedy Giordino wyłączył silnik; po chwili dołączyły do nich jeszcze dwie osoby, skryte dotąd w cieniu nadbudówki.

- Dopisało wam szczęście?! - zapytał Gunn, przekrzykując słabnący zgiełk. Giordino, który wyglądał przez otwarte okno kabiny pilotów, pokazał skierowany ku dołowi kciuk.

Pitt wyszedł ze śmigłowca i ze zdumieniem uniósł swe ciemne, grube brwi.

- No, tu was dwojga na pewno się nie spodziewałem.

Doktor Shannon Kelsey uśmiechnęła się chłodno i wyniośle. Miles Rodgers zaś, z autentycznym entuzjazmem, zaczął potrząsać ręką Pitta.

- Mam nadzieję, że nie masz nam za złe tej nie zapowiedzianej wizyty.

- Wręcz przeciwnie. Sądzę, żeście sami uporali się z prezentacją?

- Tak, bez problemu. Ale nawet by mi na myśl nie przyszło, że powita nas deputowana do Kongresu Stanów Zjednoczonych i zastępca dyrektora NUMY.

- Doktor Kelsey uraczyła mnie opowieścią o swoich peruwiańskich przygodach

- powiedziała gardłowo Loren. - Prowadzi interesujące życie...

Giordino wykaraskał się ze śmigłowca i z zainteresowaniem popatrzył na nowo przybyłych.

- Czólko, czólko, czólko, cała banda znowu w kupie - powiedział w charakterze powitania. - To zjazd szkolny czy sabat łowców mumii?

- Właśnie. Co was sprowadza na naszą skromną krypę, żeglującą po Morzu Corteza? - zapytał Pitt.

- Agenci rządowi zasugerowali z naciskiem, żebyśmy rzucili robotę w Peru i pomogli wam w poszukiwaniach - odparła Shannon.

- Agenci rządowi? - Pitt spojrzał na Gunna.

Rudi wzruszył ramionami i uniósł świstek papieru.

- Przyłączyli wycarterowaną łodzią, a godzinę później przyszedł faks, informujący o ich przybyciu. Uparli się, że zdradzą cel swojej wizyty dopiero po waszym powrocie.

- To byli agenci celni - oświecił Pitta Rodgers. - Ściągnęli do Pueblo de los Muertos w towarzystwie wysokiego urzędnika z Departamentu Stanu i odwołali się do naszego patriotyzmu. - Prosimy, żebyśmy z Milesem zidentyfikowali i obfotografowali skarb Huascara, kiedy go już znajdziecie - tłumaczyła Shannon. - Wybrali nas, bo ja znam się na kulturach andyjskich, Miles jest wybitnym fotografikiem, a poza tym niedawno współpracowaliśmy z NUMA.

- I ochnocho żeście się zgodzili - wygłosił tezę Pitt.

- Gdy nam agenci celni powiedzieli, że ten gang złodziei, na który napatoczyliśmy się w Andach, jest powiązany z rodziną czarnorynkowych handlarzy dzieł sztuki, również idących tropem skarbu Huascara, zaczęliśmy pakować manatki.

- Masz na myśli Zolarów?

Rodgers pokiwał głową.

- Przeważała szalę możliwość, że będziemy ewentualnie pomocni w przyszpileniu zabójcy doktora Millera.

- Chwila, moment - wtrącił Giordino. - To Zolarowie mają układy z Amaru i Solpemachaco?

Rodgers ponownie pokiwał głową.

- Nie powiedziano wam o tym? Nikt was nie poinformował, że Zolarowie i Solpemachaco to jeden pies?

- Ktoś chyba zapomniał - stwierdził kwaśno Giordino. Popatrzyli po sobie z Pittem, dochodząc bez słów do porozumienia, że przemilczą swoje nieoczekiwane spotkanie z oszustem, który podszywał się pod doktora Millera.

- Przekazano wam treść instrukcji zawartej w kipu? - zwrócił się Pitt do Shannon, zmieniając temat.

- Tak, dostałam pełny przekład.

- Od kogo?

- Osobiście z rąk kuriera, który był agentem FBI.

Pitt, ze zwodniczym opanowaniem, przeniósł wzrok z Gunna na Giordina.

- Intryga się zagęszcza. Cud Boży, że Waszyngton nie przygotował komunikatów do prasy na temat naszych poszukiwań i nie sprzedał Hollywoodowi praw do ekranizacji.

- Jeśli nastąpią przecieki - zauważył Giordino - wszyscy poszukiwacze skarbów od Patagonii po Grenlandię zlecą się tu jak pchły do bernardyna chorego na hemofilię. Znużenie zaczęło brać Pitta w swoje uściski. Był sztywny, odrętwiały, plecy dawały mu

się we znaki. Każda cząsteczka organizmu pełnym głosem domagała się odpoczynku - najlepiej w pozycji leżącej. „Do diabła - pomyślał - mam prawo być zniechęcony, ale dlaczego dźwigać ten krzyż samotnie, dlaczego nie podzielić się nim z innymi?”.

- Przykro mi to mówić - powiedział powoli, spoglądając na Shannon - ale chybaście z Milesem fatygowali się na darmo.

Zaskoczona Shannon poderwała głowę.

- Nie znaleźliście miejsca, gdzie ukryto skarb?

- A czy ktoś ci mówił, żeśmy znaleźli?

- Dano nam do zrozumienia, iż znacie dokładną lokalizację.

- Chciejskie myślenie. Nie widzieliśmy śladu tej kamiennej rzeźby.

- Czy znany jest pani ów symboliczny znak, opisany na kipu? - zapytał Gunn.

- Tak - odrzekła Shannon bez wahania. - Demonio del Muertos.

Pitt westchnął.

- Demon umarłych. Tak nam mówił doktor Ortiz. Należy mi się pała ze zdolności kojarzenia.

- Teraz sobie przypominam - stwierdził Gunn. - Doktor Ortiz wydobywał na światło dzienne wielką, groteskowo uzębioną bestię z kamienia i oświadczył, że to czaczapojańskie bóstwo zaświatów.

- Powiedział dokładnie: „po części jaguar, po części kondor, po części wąż, który zatapiał kły w każdym, kto ośmielił się zakłócić spokój zmarłych” - dodał Pitt.

- Jego ciało i skrzydła pokrywały gadzie łuski - uzupełniła Shannon.

- Teraz, skoro już wiecie, za czym musicie się rozglądać - powiedziała Loren ze świeżym entuzjazmem - poszukiwania powinny być łatwiejsze.

- No i co z tego, że mamy list gończy z portretem bestii strzegącej skarbu? - zapytał Giordino, ściągając wszystkich na ziemię. - Przepatrzyliśmy z Dirkiem wszystkie wyspy odpowiadające charakterystyce i znaleźliśmy właściwie zero. Praktycznie prześwietliliśmy cały teren poszukiwań, a to, cośmy ewentualnie przegapili, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawdzili już nasi konkurenci.

- Al ma słuszość - przyznał Pitt. - Nie mamy już gdzie szukać.

- Jesteś pewien, że nie widzieliście ani śladu demona? - zapytał Rodgers.

Giordino pokręcił głową.

- Ani łuski, ani brudu z za pazura.

Zrezygnowana Shannon skrzywiła twarz.

- A więc mit pozostanie tym, czym był zawsze... mitem.

- Skarb, którego nigdy nie było - mruknął Gunn. Z miną człowieka przegranego opadł na starą drewnianą ławkę. - No to skończone - wycedził. - Zadzwoń do admirała i powiem, że zwijamy operację.

- Nasi konkurenci z wodnosamolotu też pewnie zwiną manatki i pojedą do domciu - stwierdził Giordino.

- Żeby dokonać przegrupowania i ponowić próbę - odrzekł Pitt. - To nie są faceci, którzy ot tak sobie odpuszczą miliardowy skarb.

Zaskoczony Gunn podniósł głowę.

- Widzieliście ich?

- Spotkaliśmy się po drodze i pomachaliśmy na powitanie - odrzekł Pitt, nie wdając się w szczegóły.

- Cholerna szkoda, że nie udało nam się dostać mordercy doktora Millera - oświadczył smętnie Rodgers. - Poza tym miałem mocną nadzieję, że będę pierwszym, który sfotografuje złoty łańcuch Huascara.

- Fiasko, cholera - zaklął Gunn. - Fiasko.

Shannon pokiwała głową w stronę Rodgersa.

- Chyba powinniśmy się zająć załatwianiem podróży powrotnej do Peru.

Loren przysiadła obok Gunna.

- Szkoda, tyle ciężkiej pracy poszło na marne.

Pitt nagle obudził się do życia, strząsając z siebie znużenie i odzyskując zwykłą pogodę ducha.

- Nie wiem jak tam wy, godni politowania piewcy klęski, ale ja zamierzam wziąć kąpiel, walnąć tequillę z lodem i limonem, upiec sobie na grillu solidny stek, wykimać się jak Bóg przykazał, a potem ruszyć z samego ranka i znaleźć to szpetne bydło, które strzeże skarbu.

Wszyscy popatrzyli na Pitta, jakby mu odbiło; to jest wszyscy z wyjątkiem Giordina. Ten nie potrzebował siódmego zmysłu, żeby pojąć, iż Pitt zwęszył trop.

- Wyglądasz jak nawrócony poganin. Skąd ta nagła wolta?

- Pamiętasz, jak ekipa poszukiwawcza z NUMY znalazła ten stu pięćdziesięcioletni parowiec, który należał kiedyś do marynarki wojennej Republiki Teksasu?

- To było bodaj w 1987 roku, nie? Nazywał się „Zavala”.

- Właśnie. A przypominasz sobie, gdzie go odnaleziono?

- Pod parkingiem w Galveston.

- Teraz łapiesz?

- Ja na pewno nie - prychnęła Shannon. - Do czego zmierzasz?

- Czyja kolej na pichcenie? - ignorując ją, zainteresował się Pitt.

Gunn uniósł rękę.

- Ja dziś dyżuruję w kambuzie. Czemu pytasz?

- Bo kiedy już podelektujemy się wyśmienitą kolacją i ucieszymy serca paroma drinkami, będziecie wszyscy mieli okazję poznać genialny plan Pitta.

- Którą wyspę wybrałeś? - zapytała z ironią Shannon. - Bali czy Atlantyde?

- Nie ma żadnej wyspy - odparł tajemniczo Pitt. - Żadnej, ale to żadnej wyspy. Skarb, którego ponoć nigdy nie było, lecz jest, spoczywa na kontynencie.

Półtorej godziny później sędziwy prom, z Giordinem u steru, zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni i pchany łopatkami kół ruszył na północ ku San Felipe. Kiedy Gunn z pomocą Rodgersa poświęcił się przygotowywaniu kolacji, Loren z małą buteleczką tequilli i szklanką z lodem w rękach ruszyła na poszukiwanie Pitta. Wreszcie znalazła go w maszynowni, gdzie usadowiony na składanym krzesełku gwarzył z pierwszym mechanikiem i mając minę człowieka w euforii, wchłaniał w siebie odgłosy, zapachy, wibracje monstrualnych maszyn „Alhambry”. Zakradła się niepostrzeżenie i stanęła za nim. Gordo Padilla ogryzał niedopałek cygara, a jednocześnie czystą szmatką wycierał mosiężne zawory pary. Nosił rozklapane kowbojskie buty, trykotową koszulkę, ozdobioną jaskrawymi podobiznami tropikalnych ptaków, i dzinsy, obcięte na wysokości kolan. Jego proste, solidnie wybrylantynowane włosy były gęste jak angielska trawa, a ciemnopiwnie oczy błędziły po maszynach takim wzrokiem, jakim zapewne śledziłyby ubraną tylko w bikini modelkę o bujnych kształtach.

Sądzi się na ogół, że mechanicy to przeważnie potężne chłopiska o kudłatych torsach i zdobnych kolorowymi tatuażami ramionach jak beczułki - Padilla nie miał tatuaży, jego skóra przypominała pupę niemowlęcia, a przy swojej maszynie ciąglowej wyglądał jak mrówka. Człowiek-miniaturka, wzrostem i wagą doskonale kwalifikowałby się do zawodu dżokeja.

- Rosa, moja żona, uważa, że kocham te maszyny bardziej niż ją - oświadczył pomiędzy łykami piwa. - Ciągłe jej powtarzam, że są lepsze niż kochanki, bo po pierwsze, znacznie tańsze, a po drugie, nie trzeba się do nich podkradać zaułkami.

- Kobiety nigdy nie rozumiały uczucia, jakim mężczyzna może darzyć maszynę - zgodził się Pitt.

- Nasmarowane tryby i tłoki nie potrafią wzbudzić w kobiecie namiętności - stwierdziła Loren, muskając dłonią hawajską koszulę Pitta - ponieważ nie stać ich na wzajemność.

- Ale, piękna pani - odrzekł Padilla - nie może pani wyobrazić sobie satysfakcji, jaką odczuwamy w chwili, gdy oczarujemy maszynę do tego stopnia, że chodzi jak ta lala.

- Nie, i nawet nie chcę - odparła ze śmiechem Loren. Potem omiotła spojrzeniem potężne cylindry, kondensatory pary, kotły, wielką ramę podtrzymującą ciągła. - Muszę jednak przyznać, że ustrojstwo jest imponujące.

- Ustrojstwo? - Pitt lekko ścisnął ją w talii. - Przy współczesnych dieslach maszyny ciągłowe mogą wydawać się przestarzałe, ale jeśli się weźmie pod uwagę poziom techniki i możliwości produkcyjne epoki, w której uchodziły za awangardę, musimy je uznać za pomniki geniuszu naszych przodków.

- Dość tych samczych bajdurzeń o śmierdzących starych maszynach.

Podawała mu buteleczkę tequili i szklanekę z lodem. - Przyniosłam ci coś do picia. Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut.

- Nie masz szacunku dla subtelniejszych aspektów życia - powiedział Pitt, gładząc jej dłoń.

- Wybór należy do ciebie. Maszyny czy ja?

Spojrzał na tłok, poruszający ciąglem w górę i w dół.

- Nie mogę zaprzeczyć, że mam obsesję na punkcie rytmu pracy silników. - Uśmiechnął się przewrotnie. - Ale przyznaję się bez bicia, że dałoby się sporo powiedzieć o mojej obsesji wchodzenia w rytm z czymś miękkim i ciepłym.

- To krzepiąca wiadomość dla wszystkich kobiet świata.

Po drabinie zlął z pokładu samochodowego marynarz Jesus i powiedział coś po hiszpańsku do Padilli; ten wysłuchał, skinął głową i spojrzał na Pitta.

- Jesus powiada, że przez ostatnie pół godziny widział światła samolotu, okrążającego prom.

Pitt gapił się przez moment na gigantyczny mimośród obracający koła łopatkowe i lekko uścisnął Loren.

- Dobry znak - stwierdził lakonicznie.

- Dlaczego?

- Ci faceci po przeciwnej stronie barykady dali plamę i teraz mają nadzieję, że naszym śladem dotrą do żyły złota. A to nam daje przewagę.



Po obfitym posiłku, spożytym przy jednym z trzydziestu stołów w otchłannej, pozbawionej jakichkolwiek przepierzeń sekcji pasażerskiej promu, gdy sprzątnięto już talerze, Pitt rozłożył na blacie jedną mapę nawigacyjną i dwie geologiczne, by przystąpić do wykładu, utrzymanego w nauczycielskiej precyzyjnej tonacji.

- Krajobraz tych stron nie jest taki sam jak kiedyś, w ciągu bowiem pięciuset minionych lat dokonały się wielkie zmiany. - Urwał i ułożył trzy mapy obok siebie tak, że dawały pełen obraz terenów od górnego wybrzeża zatoki do położonej na północ od niego Doliny Coachella w Kalifornii. - Tysiące lat temu Morze Corteza pokrywało obszary dzisiejszej pustyni Kolorado i Doliny Cesarskiej ponad słonym jeziorem Salton Sea, w ciągu stuleci rzeka Kolorado wielokrotnie wylewała i niosła do morza olbrzymie masy mułu, w rezultacie czego powstała delta, która w końcu całkowicie odcięła północną część zatoki. Zbiornik ten, od nazwy indiańskiego plemienia, jak sądzę, które zamieszkiwało w tych stronach, stał się później znany jako jezioro Cahuilla. Gdybyście ruszyli wzdłuż podnóża gór, otaczających niekłę, znaleźlibyście ślady po dawnym brzegu morskim i muszle, rozsiane na pustyni.

- Kiedy wyschło jezioro Cahuilla? - zapytała Shannon.

- Pomędzy tysiąc setnym a dwusetnym naszej ery.

- No to skąd wzięło się Salton Sea?

- W próbie nawodnienia pustyni wykopano kanał, który miał odprowadzać wodę z rzeki Kolorado. W 1905 roku, po nadzwyczaj obfitych ulewach, woda przerwała brzegi kanału, zalewając najniższą część pustynnej zasolonej niecki. Rozpaczliwe działania saperskie powstrzymały wypływ, przedtem jednak zdążyło powstać położone na osiemdziesięciometrowej depresji Salton Sea. Mimo irygacji, która na razie utrzymuje je w aktualnych rozmiarach, skończy kiedyś tak samo jak jezioro Cahuilla.

Gunn postawił na stole butelkę meksykańskiej brandy.

- Krótkie intermedium, aby nowy duch mógł wstąpić w nasze zeszywniałe gnaty i wyziębione krwiobieg. - Nie dysponując koniakówkami, rozlał brandy do plastikowych kubeczków, a następnie uniósł swój. - Za sukces.

- Proszę, proszę - stwierdził Giordino. - Zdumiewające, jak ogromny wpływ na samopoczucie może mieć solidna kolacja i kielonek czegoś mocniejszego.

- Po prostu wszyscy mamy nadzieję, że Dirk znalazł wyjście ze ślepego zaułka - odparła Loren.

- Posłuchajmy wreszcie, co ma do powiedzenia! - Shannon niecierpliwie

machnęła ręką.

Pitt bez słowa pochylił się nad mapami i czerwonym flamastrem nakreślił na nich kolistą linię.

- Taki mniej więcej zasięg miało w okolicach piętnastego wieku Morze Corteza, zanim rzeczny namuł przesunął się na południe.

- Niespełna kilometr od obecnej granicy pomiędzy Stanami a Meksykiem - zauważył Rodgers.

- Ten obszar, pokryty w przeważnej mierze przez moczary i grzęzawiska, nosi obecnie nazwę Laguna Salada.

- Gdzie zatem w naszą historię wpisują się te błocka? - zapytał Gunn.

Twarz Pitta jaśniała niczym oblicze prezesa zarządu, który ma oto zakomunikować udziałowcom, że dostaną w tym roku wyjątkowo solidne dywidendy.

- Wyspa, na której Inkowie i Czaczapojowie zakopali skarb Huascara, nie jest już wyspą. Jak posłuszni żołnierze na rozkaz sierżanta, wszyscy zgodnie pochylili się nad mapami, a Shannon wsparła palec w miejscu, gdzie Pitt narysował maleńkiego węża, owiniętego wokół skały położonej w pół drogi pomiędzy grzęzawiskami a górami Las Tinajas.

- Co znaczy ten waż?

- To zamiast krzyżyka - odparł Pitt.

Gunn uważnie przyjrzał się mapie geologicznej.

- Zaznaczyłeś zatem niewielką górę, mającą niespełna pięćset metrów wysokości.

- Jak się nazywa? - zapytała Shannon.

- Cerro el Capirote - odpowiedział Pitt. - Capirote oznacza wysoki spiczasty kapelusz ceremonialny czy też coś, co nazywało się kiedyś oślą czapką.

- A więc przypuszczasz, że ta skała, stercząca w środku ziemi jałowej, jest miejscem, gdzie ukryto skarb? - zapytał Rodgers.

- Jeśli przestudujesz mapę uważnie, znajdziesz na pustyni opodal trzęsawisk kilka innych stromych wzniesień, odpowiadających charakterystyce. Ja jednak gotów jestem obstawiać Cerro el Capirote.

- Co cię prowadzi do tak kategorycznej opinii? - spytała Shannon.

- Po prostu usiłowałem wejść w skórę Inków, w miedzianobrazową skórę, i postawić sobie pytanie, gdzie bym ukrył największy skarb ówczesnego świata. Będąc zatem na miejscu generała Naymlapa, rozglądałbym się za najbardziej imponującą

wyspą, położoną w głębi morza, a więc jak najdalej od nienawistnych Hiszpanów. Otóż Cerro el Capirote jest bez wątpienia najwyższym szczytem i, w piętnastym wieku, najgłębiej położonym. Nastroje na pokładzie pasażerskim poprawiały się z sekundy na sekundę, operacja bowiem, którą praktycznie już wszyscy spisali na straty, za sprawą niewzruszonej pewności

Pitta otrzymała zastrzyk nowej nadziei. Nawet Shannon ochoczo popijała brandy, uśmiechnięta od ucha do ucha jak barmanka w saloonie na Dzikim Zachodzie. Wątpliwości poleciały za burtę, wszyscy brali za pewnik, że znajdą demona, przycupniętego na szczycie Cerro el Capirote. Gdyby ktokolwiek chociaż w niewielkim stopniu przeczuwał, że Pitt nie jest do końca pewien swego, entuzjazm miałby krótki żywot. Pitt jednak, chociaż praktycznie przekonany o słuszności swoich wniosków, był człowiekiem zbyt pragmatycznym, aby nie mieć chociaż kilku maleńkich wątpliwości. No i była jeszcze ta ciemna strona medalu. Nie wspomnieli z Giordinem, że w wodnosamolocie rozpoznali zabójcę doktora Millera. Zdawali sobie również sprawę, że Zolarowie nie są jeszcze świadomi, iż skarb znalazł się oto na muszce Pitta.

Pitt przywołał w wyobraźni wizerunek Tupaca Amaru, a kiedy widział już wyraźnie jego zimne, martwe oczy, pojął, że od tej chwili pogoń za skarbem stanie się zabawą brutalną i pełną fauli

Popłynęli „Alhambra” na północ od San Felipe i rzucili kotwicę, kiedy koła łopatkowe wzniciły z dna kłęby czerwonego mułu. Kilka kilometrów przed nimi rozwierało się szerokie i płytkie ujście rzeki Kolorado. Po obu stronach ciemnej zasolonej wody ciągnęły się moczary, całkowicie pozbawione roślinności. Niewiele planet we wszechświecie mogło zapewne sprawiać tak żalosne i martwe wrażenie.

Pitt, spoglądając przez szybę śmigłowca na posępny pejzaż, dopinał pasy bezpieczeństwa; obok niego, w fotelu drugiego pilota, siedziała Shannon, Giordino zaś i Rodgers zajęli miejsca z tyłu, w pasażerskiej części kabiny. Pitt pomachał dłonią do Gunna - który odpowiedział mu palcami ułożonymi w literę v na znak zwycięstwa - i do Loren, która posłała mu całusa. Jego dłonie zatańczyły po drążkach sterowania skoku ogólnego i okresowego, wirniki zaczęły się obracać, nabierając prędkości, aż wreszcie kadłub maszyny zadygotał i „Alhambra” została w dole; wtedy śmigłowiec odszedł w bok i ruszył nad wodą jak liść niesiony wiatrem. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości od promu, Pitt łagodnie pchnął drążek sterowania okresowego skoku w przód i przyjmując kurs na północ, zaczął ukośnie wznosić maszynę; na wysokości pięciuset metrów przebiegł spojrzeniem wskazania przyrządów i wyrównał lot.

Nad szaroburymi wodami Zatoki Kalifornijskiej leciał przez dziesięć minut, a potem w dole rozścieliły się moczary znane jako Laguna Salada. Znaczną ich część zalały niedawne ulewne deszcze i gałęzie drzew mesquite sterczały z mocno zasolonej wody jak błagające o zbawienie ramiona kościotrupów. Gigantyczne trzęsawiska niebawem zostały z tyłu, Pitt bowiem skierował maszynę nieco w bok, nad piaszczyste wydmy ciągnące się nieprzerwanie od podnóża gór do Laguna Salada. Tu pejzaż - widoczny jako kształty raczej aniżeli barwy - nabrał cech wyraźnie księżycowych. Nierówny, skalisty, groźny, był piękny dla oczu, ale śmiercionośny.

- O, asfaltowa droga - oznajmiła Shannon, pokazując w dół.

- Szosa numer 5 - odrzekł Pitt. - Biegnie z San Felipe do Mexicali.

- Czy to część pustyni Kolorado? - zapytał Rodgers.

- Pustynia na północ od granicy bywa tak nazywana ze względu na bliskość rzeki Kolorado - wyjaśnił Pitt. - W istocie jednak to wszystko należy do pustyni Sonora.

- Niezbyt gościnne strony. Nie chciałbym przemierzać ich pieszo.

- Ci, dla których pustynia jest wrogiem, umierają na niej - rzekł z zadumą Pitt. -

Dla tych, którzy ją szanują, stanowi znośne miejsce do życia.

- Naprawdę mieszkają tam ludzie? - zdumiała się Shannon.

- Przeważnie Indianie - odparł Pitt. - Pustynia Sonora jest może najpiękniejszą pustynią na świecie, choć mieszkańcy środkowego Meksyku widzą w niej coś w rodzaju dalekiej Syberii.

Giordino wychylił się przez boczne okienko i spojrzął w dal, przyciskając do oczu wierną lornetę. Po chwili klepnął Pitta w ramię.

- Twoja meta po lewej.

Pitt skinął głową, dokonał niewielkiej poprawki kursu i wbił spojrzenie w samotną górę, wysterczającą z pustyni dokładnie przed dziobem śmigłowca. Cerro el Capirote było celną nazwą, szczyt bowiem, chociaż nie idealnie stożkowy, istotnie przypominał osłą czapkę o lekko przypłaszczonym wierzchołku.

- Chyba dostrzegam na szczycie rzeźbę jakiegoś zwierzęcia - powiedział Giordino.

- Zniź lot i zawisnę nad nim - odparł Pitt.

Zmniejszył prędkość, zszedł w dół, potem - ostrożnie, bacząc na zstępujące prądy powietrzne - okrążył szczyt, a wreszcie zatrzymał śmigłowiec dokładnie nos w nos z groteskową kamienną bestią. Gdy tak rozdziawiając paszczę gapiła się okrutnymi ślepiami, przywodziła na myśl głodnego, zdiczałego psa.

- Podchodźcie, panie, panowie - zaintonował Pitt głosem jarmarcznego sprzedawcy - nasyćcie oczy widokiem zdumiewającego demona z zaświatów, który tasuje karty nosem i rozdaje je tylnymi łapami.

- Istnieje! - wykrzyknęła zarumieniona i jak wszyscy ogarnięta podnieceniem Shannon. - On naprawdę istnieje!

- Wygląda jak chimera, z lekka nadwerżona zębem czasu - oświadczył Giordino, skutecznie panując nad emocjami.

- Musisz wylądować - powiedział z przekonaniem Rodgers. - Przecież trzeba to zobaczyć z bliska.

- Wokół rzeźby sterczy zbyt wiele wysokich skał - odrzekł Pitt. - Żeby wylądować, muszę znaleźć kawałek płaskiego terenu.

- Jakies czterdzieści metrów za demonem jest mały placyk wolny od głazów - zakomunikował Giordino, wyciągając rękę ponad ramieniem Pitta.

Pitt skinął głową i obleciał kamienną rzeźbę w taki sposób, żeby lądować pod wiatr, wiejący z zachodu. Zredukował prędkość, cofnął drążek sterowania okresowego

skoku; turkusowy helikopter na moment zawisł nieruchomo, potem nieco gwałtownie opadł, a wreszcie osiadł na jedynym skrawku wolnej przestrzeni, jaki miało się wypatrzeć na wierzchołku Cerro el Capirote.

Giordino wyskoczył pierwszy z linami cumowniczymi, które najpierw umocował do śmigłowca, potem owinął wokół sterczących skał. Gdy uporał się z tą operacją, stanął przed kabiną pilotów i przeciągnął dłonią po szyi. Pitt wyłączył silniki, łopaty opadły w dół. Rodgers zeskoczył na ziemię, pomógł wsiąść Shannon, ta zaś, ledwie jej stopy dotknęły stałego gruntu, na łeb, na szyję rzuciła się w stronę posągu. Pitt wysiadł ze śmigłowca jako ostatni, ale nie pospieszył śladem kompanów - nonszalancko uniósł lornetę i skierował ją na niebo, w miejsce skąd dobiegał wątyły odgłos silnika samolotu: łódź latająca była zaledwie srebrzystym punkcikiem na błękitnej kopule. Pilot, w próbie pozostawania poza polem widzenia śledzonych, utrzymywał stałą wysokość dwóch tysięcy metrów, Pitt jednak nie dał się zwieść. Intuicja mówiła mu, że tamci lecieli ich tropem od chwili, gdy śmigłowiec poderwał się z pokładu „Alhambry”. Teraz uzyskał tylko potwierdzenie swoich podejrzeń. Zanim ruszył ku kamiennej bestii, podszedł do skraju urwistej skały i przez chwilę spoglądał w dół, rad, że nie musiał się tu wspinać. Otwarta panorama pustyni zapierała dech w piersiach - październikowe słońce nadawało skałom i piaskom, burym w gorących letnich miesiącach, tysięczne barwy i odcienie; na południu skrzyły się wody Zatoki Kalifornijskiej, flankujące Laguna Salada łańcuchy górskie piętrzyły się majestatycznie w lekkiej mgielce. Przepeliło go uczucie satysfakcji. Trafiał w dziesiątkę. Dawni Indianie istotnie wybrali imponujące miejsce na ukrycie skarbu. Kiedy wreszcie podszedł do wielkiej rzeźby, Shannon dokonywała szczegółowych pomiarów korpusu jaguara. Rodgers natomiast pracowicie wypstrykiwał film za filmem. Giordino, jak się wydawało, w skupieniu szukał u podnóża bestii jakichkolwiek śladów wejścia, pozwalającego wniknąć w głębiny góry.

- Utrzymany we właściwym stylu? - zapytał Pitt.

- Tak, zdecydowanie czaczapojański - odparła zarumieniona Shannon. - Wspaniały przykład ich sztuki. - Odstąpiła o krok jak człowiek, który podziwia płótno w galerii malarstwa. - Spójrz tylko, jak precyzyjnie powtarza się ornamentyka na łuskach, będących zresztą idealnymi kopiami łusek pokrywających kamienne bestie z Pueblo de los Muertes.

- Zastosowano taką samą technikę?

- Prawie identyczną.

- Więc może to robota tego samego rzeźbiarza?

- Niewykluczone. - Shannon wspięła się na palce i pogładziła dolną część łuskowatej szyi stworu. - Inkowie nader często korzystali z usług czaczapojańskich kamieniarzy.

- Ci starożytni musieli mieć osobliwe poczucie humoru, skoro wymyślili sobie boga, którego wygląd może skwasić mleko.

- Legenda na jego temat nie dotarła do nas w szczegółach, jest w niej jednak mowa, że kondor złożył jajo, które zostało następnie połknięte i zwymiotowane przez jaguara. Z jaja wylęło się stworzenie podobne do węża, wpełzło do morza i tam obrosło łuskami. Było tak szpetne, dowiadujemy się z mitu, że inni bogowie, żyjący w słońcu, unikali go jak ognia, za swoje królestwo obrało sobie zatem krainę podziemi i w końcu zostało strażnikiem zmarłych.

- Ciekawa wersja bajeczki o brzydkim kaczątku.

- Jest odpychający - stwierdziła Shannon z powagą - a przecież nic nie mogę poradzić na to, że udziela mi się jego smutek. Jest tak... nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli... jakby ten kamień żył własnym życiem.

- Rozumiem. Ja też wyczuwam w nim coś więcej niż tylko kamienny chłód. - Pitt spojrział na jedno ze skrzydeł, które odpadło od korpusu i runąwszy na ziemię, roztrzaskało się w kawałki. - Biedny staruszek. Chyba miał ciężki los.

Shannon smętnie pokiwała głową na widok licznych napisów i wgłębień po kulach.

- Szkoda, że tutejsi archeologowie nie rozpoznali w bestii wspaniałego tworu dwóch kultur, które rozkwitły tysiące kilometrów stąd...

Pitt przerwał jej, gwałtownie unosząc dłoń.

- Słyszałaś to? Dziwny dźwięk, jakby ktoś płakał?

Nastawiła ucha, a po chwili pokręciła głową.

- Słyszę tylko trzask aparatu Milesa.

Niezwykły odgłos zamilkł i Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie to wiatr.

- Albo ci, których strzeże Demonio del Muertos.

- Sądziłem, że gwarantuje im wieczny spokój.

Shannon uśmiechnęła się nieznacznie.

- Wiemy bardzo niewiele o religijnych obrzędach Inków i Czaczapojów. Może nasz kamienny przyjaciel wcale nie jest tak dobrotliwy, jak zakładamy.

Pitt pozostawił Shannon i Milesa ich robocie, sam zaś podszedł do Giordina, obstukującego młotkiem geologicznym piedestał rzeźby.

- No i jest tu wejście? - zapytał.

- Chyba że starożytni opanowali metodę roztopiania skały - odrzekł Giordino. - Wielka chimera została wyrzeźbiona z olbrzymiego bloku granitu, który stanowi rdzeń góry. Nie zdołałem znaleźć nawet szczelinki, nawet rysy. Jeśli jest tu gdzieś wejście, to z pewnością dalej od rzeźby.

Pitt przechylił głowę, nasłuchując uważnie.

- O, znowu...

- Masz na myśli to upiorne zawodzenie?

- Słyszałeś je? - zapytał zaskoczony Pitt.

- Doszedłem do wniosku, że to świst wiatru w skałach.

- Ależ w tej chwili nie ma wiatru nawet na lekarstwo.

Giordino poślinił palec wskazujący i wystawił go w górę.

- Masz rację. Ani tchnienia.

- To nie jest ciągły odgłos - stwierdził Pitt. - Słyszać go tylko co jakiś czas.

- Na to też zwróciłem uwagę. Przypomina dziesięciosekundowy wydech, a potem milknie prawie na minutę.

Pitt radośnie pokiwał głową.

- Czy więc przypadkiem nie mówimy tu o wlocie podziemnego kanału?

- No to sprawdźmy, czy nie da się go znaleźć - ochoczo zasugerował Giordino.

- Lepiej niech się sam opowie. - Pitt znalazł skałkę jakby stworzoną na siedzisko, usadowił się na niej, leniwie przeczyścił jedno szkło swoich okularów przeciwsłonecznych, otarł czoło apaszką, a wreszcie przyłożył dłonie do uszu i zaczął kręcić głową jak anteną.

Osobliwe zawodzenie rozbrzmiewało i cichło jak w zegarku. Pitt przeczekał trzy sekwencje, a potem gestem zachęcił Giordina, by poszedł za nim północną granią szczytu. Nie padło pomiędzy nimi żadne słowo, bo nie było potrzebne. Przyjaźnili się od dzieciństwa, wspólnie służyli w Air Force. Kiedy dwanaście lat temu, na żądanie admirała Sandeckera, Pitt podjął pracę w NUMIE, Giordino poszedł jego śladem. Z czasem opanowali trudną sztukę porozumiewania się bez zbędnej gadaniny. Giordino zszedł dwadzieścia metrów po stromym zboczu, przystanął i czekając na kolejną wskazówkę Pitta, z uwagą nasłuchiwał. Smętne zawodzenie usłyszał lepiej niż Pitt, zdawał sobie jednak sprawę, że odbite od skał, uległo zniekształceniu, bez wahania



zatem ruszył tam, gdzie wzywał go Pitt: do miejsca, w którym grań szczytu przecinała wąska rynna o głębokości dziesięciu metrów. Kiedy położył się na jej krawędzi, zaglądając w dół, Pitt przykucnął nad nim i wyciągnął przed siebie ramię z płasko ułożoną dłonią. Zawodzenie rozległo się ponownie i Pitt pokiwał głową, rozchylając wargi w uśmiechu.

- Czuję powiew. Coś w głębi góry sprawia, że powietrze jest wypychane z szybu.

- Przyniosę ze śmigłowca linę i latarkę - oświadczył Giordino, podrywając się na nogi.

Wrócił po dwóch minutach w towarzystwie Shannon i Milesa.

- Al powiada, żeście znaleźli wejście w głąb góry - rzuciła Shannon, w której oczach gorzała niecierpliwość.

Pitt skinął głową.

- Przekonamy się niebawem.

Giordino obwiązał jeden koniec liny wokół sporej skały.

- Komu przypadnie zaszczyt?

- Rzucimy monetę - zaproponował Pitt.

- Orzeł.

Pitt cisnął w powietrze ćwierćdolarówkę i śledził jej lot, aż spadła na płaski splachetek gruntu pomiędzy dwoma wielkimi głazami.

- Reszka, przegrałeś.

Giordino wzruszył ramionami, godząc się z losem, zrobił pętlę, przełożył ją przez ramiona Pitta i zaciągnął na jego torsie.

- Nawet nie myśl o tym, żeby mnie oszalać alpinistycznymi sztuczkami - powiedział. - Ja cię spuszcze i ja cię wyciągnę.

Pitt przyjmował do wiadomości fakt, że krzepą przyjaciół bije go na głowę. Może i Giordino nie był roslym chłopiskiem, ale miał bary jak szafa i bicepsy godne profesjonalnego zapaśnika. Każdy, kto usiłował Giordina rzucić na ziemię - w tym gronie karatecy z czarnymi pasami - łapał się na tym, że pochwyciła go w swe tryby nieustępliwa maszyna.

- Uważaj, żeby nie przetrzeć liny - ostrzegł go Pitt.

- Uważaj, żeby nie połamać nóg, bo cię zostawię chimerze na kolację - odparł Giordino, podając Pittowi latarkę. Potem z wolna zaczął wydawać linę, opuszczając kumpla pomiędzy ścianami wąskiej rynny.

Pitt uniósł głowę, kiedy jego stopy dotknęły dna.

- Dobra, jestem na dole.

- I co widzisz?

- Rozpadlinę w skale. Mała jest, ale dostatecznych rozmiarów, żeby można było przez nią przepelznąć.

- Nie zdejmuj liny, za wejściem może być gwałtowny spadek.

Leżąc na brzuchu. Pitt popęzł wąską szczeliną; przez trzy metry było mu ciasnawo, potem jednak tunel powiększył się na wszystkie strony. Pitt wstał, zapalił latarkę i powiódł jej światłem po ścianach i sklepieniu. Wydawało się, że jest istotnie w korytarzu, wiodącym ku trzewiom góry. Posadzka była gładka, a co kilka kroków wyrąbano w skale wygodne stopnie. Chłodny podmuch powietrza, który go owionął, przypominał przesycony parą oddech olbrzyma. Pitt przeciągnął po ścianie czubkami palców - pokryła je wilgoć. Gnany ciekawością ruszył przed siebie i przystanął dopiero w chwili, kiedy lina naprężyła się, nie pozwalając na kontynuowanie marszu. Wtedy posłał przed siebie w mrok snop światła latarki i poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, gdy wyłowił z ciemności parę migocących ślepiów. Na piedestale z czarnej skały stał - wyrzeźbiony najpewniej tą samą ręką, która wykonała bestię na szczycie - drugi, znacznie niniejszy Demonio del Muertos. Był wyłożony turkusami, miał zęby z polerowanego kwarcu i ślepiec z rubinów. Pitt serio ważył myśl, czyby nie pozbyć się liny i ruszyć dalej, uznał jednak, że nie byłoby to w porządku wobec pozostałych. Wspólnie powinni dotrzeć do groty ze skarbem. Niechętnie zaczął się wycofywać.

Kiedy Giordino pomagał mu przeleźć przez krawędź rynny, Shannon i Miles nie posiadali się z ciekawości.

- Co widziałeś? - wyrzuciła z siebie Shannon. - Gadaj, co widziałeś?

Pitt przez chwilę spoglądał na nią beznamiętnie, a potem przyoblekł twarz w szeroki, triumfalny uśmiech.

- Wejścia do jaskini ze skarbami strzeże jeszcze jeden demon, ale poza tym droga wydaje się wolna.

Wszyscy krzyknęli z uniesieniem. Shannon i Rodgers padli sobie w ramiona i zaczęli się obcałowywać. Giordino z taką mocą plasnął Pitta w kark, że rozległ się stukot zębów. Opanowani niepohamowaną ciekawością spoglądali w głąb wąskiej rynny, nie widząc ani wiodącego w dół mrocznego tunelu, ani skał. Mieli przed oczyma skryte gdzieś daleko, daleko złote skarby. Wszyscy, tylko nie Pitt. On omiatał spojrzeniem niebo. Dalekowzroczny, ulegający podszeptom intuicji, a może po prostu przesądny, ujrzał nagle oczyma wyobraźni, jak śledzący ich wodnosamolot atakuje

„Alhambrę”. Przez chwilę wizja ta była wyrazista jak kadr z filmu, oglądanego w telewizji.

Shannon zwróciła uwagę na milczenie i zadumę Pitta.

- Coś nie gra? - zapytała. - Wyglądasz, jakbyś właśnie stracił ukochaną dziewczynę.

- Bo może ją straciłem - odrzekł posepnie Pitt. - Zupełnie prawdopodobne, że ją straciłem.

Giordino wrócił do śmigłowca i wyjął ze skrytki jeszcze jeden zwój liny, lampę górniczą i drugą latarkę. Linę przewiesił sobie przez ramię, latarkę dał Shannon, lampę zaś, wraz z pudełkiem drewnianych zapalek - Rodgersowi.

- Zbiorniczek jest pełen, powinniśmy więc mieć światło przez trzy godziny albo więcej.

Wniebowzięta Shannon chwyciła latarkę. Chyba będzie najlepiej, jeśli ja poprowadzę.

- W to mi graj. - Giordino wzruszył ramionami. - Dobrze, że nie ja uruchomię inkaskie pułapki, pozostawione w tej przeklętej grocie.

Shannon skrzywiła twarz.

- Ładna mi pociecha.

- Al przedawkowuje filmy z Indianą Jonesem. - Pitt parsknął śmiechem.

- Dokuczaj mi, bracie, dokuczaj - powiedział smętnie Giordino, - a któregoś dnia srodze tego pożałujesz.

- Mam nadzieję, że ten dzień nie nadejdzie za szybko. Jak szerokie jest wejście? - zainteresował się Rodgers.

- Doktor Kelsey przejdzie jakoś na czworakach, ale my, chłopiska majestatycznej budowy, będziemy musieli pełzać.

Shannon spojrzała zza krawędzi na dno rozpadliny.

- Czaczapojowie w żaden sposób nie mogli wnieść tylu ton złota po stromych zboczach, a potem przepchnąć ich przez mysią norę. Zapewne znaleźli inne wejście u podnóża góry, nad dawną linią wodną.

- Szukanie tego przejścia byłoby czystą stratą czasu - stwierdził Rodgers. - Zapewne skryło się pod wielometrową warstwą zerodowanych i osypujących się skał.

- Pójdę o zakład, że Inkowie skutecznie je zablokowali, powodując sztuczny obwał - z przekonaniem oświadczył Pitt.

Shannon mimo wszystko nie miała zamiaru ustąpić pierwszeństwa mężczyznom, a zresztą łażenie po skałach i wciskanie się w ciemne otchłanie stanowiło jej specjalność. Zjechała po linie - ochoczo i tak zręcznie, jakby ćwiczyła tę czynność dwa razy dziennie - i zaraz wpełzła w wąziutką skalną rozpadlinę. Rodgers podążył następny, za nim Giordino, na końcu zaś Pitt.

Giordino odwrócił się do Pitta.

- Gdyby nastąpiło tąpnięcie, masz mnie wyciągnąć, sztygar, dobra?

- Ale najpierw zadzwonię po karetkę.

Shannon i Rodgers zdążyli już zejść po stopniach; kiedy Pitt z Giordinem ich dogonili, oddawali się studiom nad drugim demonem śmierci, Shannon z uwagą wpatrywała się w motywy wyryte na rybich łuskach.

- Tu ornamentyka zachowała się dużo lepiej - stwierdziła.

- Czy potrafisz zinterpretować te symbole? - zapytał Rodgers.

- Potrafiłabym, mając więcej czasu. Odnoszę wrażenie, iż rzeźbiono je w pośpiechu.

Rodgers przez chwilę spoglądał na zębiska sterczące z węzowej paszczy.

- Nic dziwnego, że starożytni lękali się zaświatów. To bydlę jest tak szpetne, że może przyprawić człowieka o biegunkę. Zwróć uwagę, jak jego ślepia zdają się za nami podążać.

Shannon oczyściła z nalotu kurzu oczy z czerwonego kamienia.

- Topaz w kolorze burgunda. Przypuszczalnie wydobyty na wschód od Andów, w dorzeczu Amazonki.

Rodgers postawił na posadzce lampę górniczą, podpompował paliwo, aby zwiększyć jego ciśnienie, i przyłożył do siarki gorejącą zapałkę; lampa rozświetliła korytarz na dziesięć metrów w każdą stronę. Rodgers uniósł ją wysoko.

- Po co drugi demon? - spytał, zafascynowany doskonałym stanem kamiennej bestii, która wyglądała w świetle tak, jakby przed chwilą wyszła spod dłuta rzeźbiarza.

Pitt poklepał węzowy łeb.

- Jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby intruz nie dał się powstrzymać pierwszemu.

Shannon zwilżyła językiem rąbek chusteczki i dokładniej przeczyściła topazowe ślepia.

- Zdumiewające, że tak wiele starożytnych kultur, geograficznie od siebie dalekich i pozbawionych jakichkolwiek więzów pokrewieństwa, stworzyło zupełnie podobne mity, w legendach z Indii, na przykład, kobry są uważane za półboskich strażników podziemnego królestwa, pełnego niebywałych bogactw.

- Nie widzę w tym nic zdumiewającego - stwierdził Giordino. - Czterdzieści dziewięć osób na pięćdziesiąt śmiertelnie boi się węży.

Po skrótowych z konieczności oględzinach rzeźby podjęli wędrówkę korytarzem. Napływające z dołu wilgotne powietrze wyciskało z nich strumienie potu, a jednak musieli uważać, aby stąpać bardzo ostrożnie, każdy bowiem mocniejszy krok

niecił, mimo panującej tu wilgotności, tumany duszącego kurzu.

- Potrzebowali lat, żeby wyryć ten tunel - zauważył Rodgers.

Pitt wyciągnął do góry ramię i lekko przeciągnął palcami po wapiennym sklepieniu.

- Nie sądzę, żeby zaczynali od zera. Przypuszczalnie obrobili po prostu istniejącą rozpadlinę. Można jednak powiedzieć tyle, że nie byli kurduplami.

- Z czego to wnosisz?

- Z wysokości sklepienia. Nie musimy się schylać. Jest prawie pół metra nad naszymi głowami.

Rodgers wskazał gestem dużą płytę, osadzoną pod kątem w niszy ściennej.

- To trzeci taki bajer, który widzę od wejścia. Jak sądzicie, do czego służył?

Shannon starła z płyty wielusetletnią warstwę kurzu i ujrzała w lśniącej powierzchni swoje odbicie.

- Doskonale wypolerowane srebrne zwierciadło - wyjaśniła. - Starożytni Egipcjanie posługiwali się takim samym systemem oświetlania swoich wewnętrznych galerii. Reflektor, czyli wklęsłe zwierciadło, chwytął przy wejściu promienie słoneczne i przesyłał je w głąb, ku kolejnym lustrom. Pozwalało to wyeliminować smród i kopeć kaganków olejnych.

- Ciekawe, czy mieli świadomość, że przecierają szlaki technologiom przyjaznym środowisku naturalnemu - do nikogo w szczególności mruknął Pitt.

Echo ich kroków niosło się za nimi i przed nimi jak fale w wąskim przesmyku, powietrze zaś stało się tak ciężkie od wilgoci, że kurz, osadzony na ich odzieży, zamieniało w błoto. Po pokonaniu dalszych pięćdziesięciu metrów, wkroczyli do niewielkiej groty z długą galerią, pełniącej ni mniej, ni więcej, tylko rolę katakumb z rzędami wykutych w ścianach krypt. Jedna przy drugiej spoczywały tu mumie dwudziestu mężczyzn, spowite w pięknie tkane wełniane całuny. Były to szczątki strażników, którzy nawet teraz, po śmierci, wiernie strzegli królewskiego skarbu, czekając na przybycie rodaków z imperium nie istniejącego od wieluset lat.

- Ci ludzie byli ogromni - stwierdził Pitt. - Musieli mieć ponad dwa metry wzrostu.

- Szkoda, że powymierali, zanim powstała liga NBA - wymamrotał Giordino.

- Wedle legend Czaczapojowie byli wielcy jak drzewa - powiedziała Shannon, badając uważnie ornamenty na całunach.

Pitt rozejrzał się po grocie.

- Jednego brakuje.

- Którego? - zaciekawiał się Rodgers.

- Ostatniego; faceta, który dopilnował pochówku wcześniej zmarłych kolegów.

Za galerią śmierci rozciągała się znacznie większa komora, w której bez wątplenia za życia kwaterowali strażnicy. Na środku posadzki wznosił się okrągły kamienny stół otoczony ławą - na starannie wypolerowanym blacie stały ceramiczne naczynia do picia i srebrny półmisek z kośćmi jakiegoś wielkiego ptaka, w ścianach wykuto nisze sypialne, w niektórych wciąż leżała starannie złożona pościel. Rodgers dostrzegł na posadzce jakiś jasny przedmiocik, podniósł go i przysunął do lampy.

- Co to jest? - zapytała Shannon.

- Masywny złoty pierścień, bez grawerunków.

- Obiecujący znak - stwierdził Pitt. - Zbliżamy się do głównego skarbcza.

Podniecenie Shannon rosło, jej oddech stawał się coraz bardziej przyspieszony. Przed mężczyznami dotarła do portalu w głębi kwatery strażników i zniknęła w wąskim łukowo sklepionym tunelu, przypominającym starożytną cysterne; nie zmieściłyby się w nim dwie osoby idące ramię w ramię. Można było odnieść wrażenie, iż korytarz ten bezkresnie wije się w głąb góry.

- Jak sądzisz, ileśmy już uszli? - zapytał Giordino.

- Stopy mi mówią, że co najmniej dziesięć kilometrów - odparła Shannon, ogarnięta nagłym znużeniem.

Pitt, który mierzył krokami dystans, jaki pokonali od chwili opuszczenia krypt, oznajmił:

- Szczyt Cerro el Capiroto wznosi się zaledwie pięćset metrów nad poziom morza. Moim zdaniem osiągnęliśmy poziom pustyni, a najwyżej zesli dwadzieścia czy trzydzieści metrów poniżej niego.

- Cholera! - sapnęła Shannon. - Coś mnie smagnęło po twarzy.

- Mnie też - dorzucił Giordino z wyraźnym niesmakiem. - Przypuszczam, że zostałem właśnie ugarniowany nietoperzowym pawikiem.

- Bądź rad, że nie trafił ci się wampir - zażartował Pitt.

Po kolejnych dziesięciu minutach marszu wąskim tunelem Shannon zatrzymała się nagle i podniosła rękę.

- Posłuchajcie! - rzuciła tonem rozkazu. - Coś słyszę.

- Chyba ktoś nie zakręcił kranu - uznał Giordino po kilku sekundach.

- Duży strumień albo rzeka - powiedział cicho Pitt, przypominając sobie słowa

starego barmana. W miarę jak posuwali się przed siebie, odgłos płynącej wody nabierał mocy, odbijał się od ścian wąskiego tunelu. Powietrze wyraźnie pochłodziło, stało się czystsze i mniej duszące. Szli coraz szybciej, mając gorączkową nadzieję, że następny zakręt korytarza okaże się ostatnim. A potem ściany uciekły nagle w mrok i wpadli niemal na łeb, na szyję w coś, co sprawiało wrażenie przeogromnej katedry i dowodziło jasno, że w środku góra jest pusta jak wydmuszka. Shannon wrzasnęła na całe gardło, a jej krzyk, jakby dodały mu potęgi wzmacniacze grupy rockowej, poniósł się po grocie jazgotliwym echem. Gorączkowo wczepiła się w męskie ciało, które akurat miała pod ręką - tak się złożyło, że należące do Pitta.

Rodgers zastygł jak żona Lota, a jego uniesiona ręka z lampą znieruchomiła niczym kinkiet.

- O rany! - wyrzucił wreszcie bez tchu, zahipnotyzowany przez upiorną zjawę, która wyłoniła się przed nimi z mroku i stała teraz, połyskując w świetle lampy. - Co to jest?

Pitt, chociaż serce wpompowało w jego krwiobieg dobre pięć litrów adrenaliny, zachował spokój i z kliniczną uwagą przyjrzał się okropieństwu, które sprawiało wrażenie przeniesionego wprost z planu tandetnego filmu grozy.

Stwór stał prosto, szczyrzył zęby, miał przeraźliwą fizjonomię i ogromne ziejące oczodoły; wedle oceny Pitta, przewyższał go o głowę. Jedna koścista, wysoko uniesiona ręka, szykując się - rzekłbyś - do rozwalenia intruzowi czerepu, dźwigała zdobną, karbowaną maczugę bojową, światło lampy, odbijające się od sylwetki, zdawało się świadczyć, że spowija ją przezroczysta powłoka z żółtawego bursztynu czy też czegoś podobnego do żywicy epoksydowej. Wtedy Pitt domyślił się, z kim ma do czynienia.

Ostatni strażnik skarbu Huascara został na wieczność utrwalony w stalagmicie.

- Jakim cudem znalazł się w tym stanie? - zapytał oszołomiony Rodgers.

Pitt wskazał palcem w stronę sklepienia grotu.

- Wody gruntowe, przesączając się przez wapienne sklepienie, uwalniały dwutlenek węgla i w końcu pokryły strażnika grubą warstwą kryształków kalcytu, z czasem zaczął wyglądać niczym zalany żywicą akrylową skorpion, których pełno w lichych sklepikach z pamiątkami, gdzie sprzedają je jako przyciski do papieru.

- Ale jak, na rany boskie, zdołał po śmierci zachować pozycję pionową? - spytała Shannon, otrząsając się z początkowego szoku.

Pitt delikatnie powiódł palcami po krystalicznym całunie.



- Nie dowiemy się nigdy, chyba że go wydłubiemy z tego przezroczystego sarkofagu. Choć to może wydawać się nieprawdopodobne, moim jednak zdaniem, świadom nadciągającej śmierci sporządził coś w rodzaju rusztowania, które podtrzymywało go w pozycji stojącej z uniesionym ramieniem, a potem odebrał sobie życie, przypuszczalnie zażywając truciznę.

- Ci chłopcy poważnie traktowali swoją robotę - mruknął Giordino.

Jak przyciągana jakąś nieodgadnioną siłą, Shannon przybliżyła się na odległość kilku centymetrów do przeraźliwego cudu i wbiła spojrzenie w zdeformowane oblicze za krystaliczną powłoką.

- Ten wzrost, jasne włosy... To Czaczapoja, przedstawiciel Ludu z Chmur.

- Daleko go zanosło z ojczystych stron. - Pitt spojrział na zegarek. - Paliwa w lampie starczy jeszcze na dwie i pół godziny. Ruszajmy.

Olbrzymia grota zdawała się ciągnąć w dal bez końca, a mocne światło latarek z najwyższym trudem muskało łukowe sklepienie, znacznie okazalsze aniżeli jakiegokolwiek, które zaprojektował i wznosił człowiek. Gigantyczne stalaktyty, godzące z góry, spotykały się i łączyły ze stalagmitami, sterczącymi z dna, tworząc monstrualne kolumny. Niektóre stalagmity przybrały formę fantastycznych bestii, zastygłych w nieziemskim pejzażu. Kryształy połyskiwały ze ścian niczym i obnażone kły. Piękno i majestat tego miejsca sprawiały, że Pitt i jego towarzysze czuli się niczym dzieciaki w samym centrum pokazu techniki laserowej. Potem osobliwe formacje skończyły się jak nożem uciał, dnem groty biegła bowiem rzeka, mająca może trzydzieści metrów szerokości; w świetle lampy jej czarne, odpychające wody przybrały barwę ciemnoszmaragdową. Pitt ocenił chyżość prądu na rwących dziewięć węzłów. Bulgot, jaki słyszeli w głębi korytarza, powodował szparki nurt, opływając skaliste brzegi tkwiącej na środku rzeki drugiej, niskiej wysepki. Nie odkrycie jednak niezwykłego ciekę, sunącego pod pustynnymi piaskami, przyciągnęło uwagę i zafascynowało poszukiwaczy, lecz oszałamiający widok, jakiego nie mogłaby począć najśmielsza wyobraźnia. Oto bowiem na wyspie piętrzyła się olbrzymia góra starannie poukładanych złotych obiektów.

Był tam zatem złoty łańcuch Huascara, zwinięty w ogromną spiralę o wysokości dziesięciu metrów, i olbrzymi złoty krąg ze świątyni słońca, misternie wykonany i ozdobiony setkami cennych klejnotów. Były złote rośliny - lilie wodne i kukurydza - złote posągi królów, bogów, niewiast, lam, dziesiątki... nie, setki złotych ceremonialnych obiektów, całe tony złotych figurynek, krzesel, stołów i łóżek.

Centrum tej ekspozycji stanowił olbrzymi tron, w całości odlany ze złota i wyłożony srebrnymi kwiatami. Nie koniec na tym: uszeregowane w ordynku, stały w złotych sarkofagach mumie przedstawicielei dwunastu pokoleń inkaskich rodów królewskich, a obok każdej z nich spoczywała zbroja, stroik na głowę i stos mistrzowsko wyhaftowanej odzieży.

- W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie zbioru tak przeogromnego - wyszeptała Shannon.

Giordino i Rodgers stali jak sparaliżowani i żaden z nich nie zdobył się na komentarz.

Potrafili jedynie rozdziawiać usta.

- Zdumiewające, że na tratwach z balsy i trzciny zdołali przetransportować przez ocean, na odległość kilku tysięcy kilometrów, połowę bogactwa obu Ameryk - powiedział Pitt z nieskrywanym podziwem.

Shannon powoli potrząsnęła głową, a podziw w jej oczach ustąpił miejsca smutkowi.

- Wyteż wyobraźnię, jeżeli potrafisz, ale stanowi to zaledwie małą częśćkę skarbów ostatniej z wielkich cywilizacji prekolumbijskich. Możemy dokonywać tylko przybliżonych szacunków tego, co Hiszpanie zrabowali i przetopili na sztaby.

Giordino rozpromienił twarz.

- Lekko się człowiekowi robi na sercu, gdy ma świadomość, że łapczywym Hiszpanom zdmuchnięto sprzed nosa całą śmietankę.

- Jest jakaś szansa, abym mogła dostać się na wyspę i dokładniej obejrzyć artefakty? - zapytała Shannon.

- A ja potrzebowałbym kilku zbliżeń - dodał Rodgers.

Pitt omiół okolicę snopem światła latarki.

- Wygląda na to, że Czaczapojowie i Inkowie zabrali ze sobą most. Musicie więc oglądać i robić zdjęcia stąd.

- Użyję teleobiektywu i będę znosić modły, żeby mój flesz sięgnął tak daleko - stwierdził Rodgers.

- Ile, twoim zdaniem, wart jest ten towar? - zapytał Giordino.

- Trzeba by go zważyć - odparł Pitt - pomnożyć przez aktualną cenę złota, a potem jeszcze przez trzy, żeby uwzględnić artystyczną wartość obiektów.

- Jestem pewna, że wartość skarbu dwukrotnie przewyższa dotychczasowe szacunki - wtrąciła Shannon.

Giordino spojrział na nią przeciągle.

- Czyli prawie trzysta milionów dolarów?

- Może nawet więcej.

- Nie jest wart przedartego biletu - zauważył Pitt - dopóki nie zostanie wydobyty na powierzchnię. A przerzucenie co większych sztuk, na przykład łańcucha, z wyspy otoczonej wartkim nurtem, a potem wykaraskanie ich na górę wąskimi korytarzami nie będzie rzeczą łatwą. Ze szczytu, na transport samego tylko łańcucha, będzie niezbędny śmigłowiec.

- A więc wszystko wskazuje na skomplikowaną operację - rzekł Rodgers.

Pitt poświecił na złoty łańcuch.

- Nikt nie mówił, że będzie łatwa. A poza tym wydobywanie skarbu to nie nasza broszka.

Shannon popatrzyła nań pytająco.

- A czyja, jeśli łaska?

- Zapomniałaś? Mamy usunąć się na bok i przekazać cały interes w ręce naszych zacnych druhów z Solpemachaco. Ta świadomość, po cudownych chwilach fascynacji złotym skarbem, wydała się Shannon odstręczająca.

- Skandal - oświadczyła z gniewem, nagle przepełniona ambicją. - Po prostu skandal. Archeologiczne odkrycie stulecia, a ja nie mogę prowadzić prac wydobywczych.

- Może byś tak złożyła zażalenie? - zaproponował Pitt.

Popatrzyła nań spode łba.

- O czym ty mówisz?

- Daj konkurencji poznać, co myślisz o tym wszystkim.

- W jaki sposób?

- Zostaw wiadomość.

- Oszalałeś.

- Uczynienie tej banalnej obserwacji zajęło ci strasznie dużo czasu - stwierdził Giordino.

Pitt zdjął linę z barku Giordina, zrobił na końcu pętlę, zakręcił liną jak lassem i cisnął ponad wodą, kiedy zaś otoczyła łeb niewielkiej złotej małpy na postumencie, wydał triumfalny okrzyk.

- Ha! - oznajmił z dumą. - Will Rogers to przy mnie neptek!

Potwierdziły się najgorsze obawy Pitta, śmigłowiec zawisł nad „Alhambrą”, a nikt nie stał na pokładzie, aby powitać maszynę i jej pasażerów, nikogo też nie było widać w sterówce. Opustoszały prom nie stał na kotwicy, jego kadłub sterczał ukośnie z wody zaledwie dwa metry ponad płytkim mulistym dnem. Sprawiał wrażenie statku porzuconego przez załogę. Morze było spokojne i jego powierzchni nie marszczyły nawet niewielkie fale. Pitt posadził śmigłowiec na drewnianym pokładzie i wyłączył silniki, ledwie koła dotknęły desek. Odczekał pełną minutę, aż umilknie pomruk turbiny i łopat wirnika, ustępując miejsca złowróżbnej ciszy, wciąż nikt się nie pokazywał. Pitt otworzył drzwiczki, zeskoczył na pokład i znowu znieruchomiał, czekając na jakiegokolwiek oznaki życia.

Wreszcie zza trapu wyłonił się mężczyzna. Podszedł na odległość pięciu metrów od śmigłowca. Uśmiechał się jak wędkarz, który złowił rekordowy okaz. Chociaż nie miał białej peruki i brody, Pitt bez trudu rozpoznał w nim człowieka, który w Peru podszedł się pod doktora Stevena Millera.

- Troszkę odbił pan od swoich starych szlaków, co? - zapytał niewzruszony.

- Sprawia pan wrażenie mojej wiecznej nemezis, panie Pitt.

- To dla mnie wielki zaszczyt. Jakim nazwiskiem posługuje się pan dzisiaj?

- Do niczego się to panu przyda, ale jestem Cyrus Sarason.

- Nie zdołam chyba wykrztusić, że miło mi pana widzieć.

Sarason podszedł bliżej, zaglądając nad ramieniem Pitta do wnętrza kabiny śmigłowca. Uśmiech samozadowolenia, zdobiący jego oblicze, ustąpił miejsca niepokoju i zatroskaniu.

- Jest pan sam? Gdzie pozostali?

- Jacy pozostali? - zapytał niewinnie Pitt.

- Doktor Kelsey, Miles Rodgers i pański przyjaciel, Albert Giordino.

- Och, czyżby wiedza pańska była jednak niekompletna? Bo listę pasażerów opanował pan bezbłędnie.

- Panie Pitt, rozsądniej będzie odpuścić sobie te żarciki - ostrzegł Sarason.

- Byli głodni, wysadziłem ich więc w San Felipe przy restauracji z owocami morza.

- Kłamie pan.

Pitt nie spuszczał wzroku z Sarasona, więc nie rozejrzał się po pokładach promu; i bez tego miał stuprocentową pewność, że mierzą w niego lufy. Nie tracił

jednak pewności siebie i rozmawiał z zabójcą Millera tak, jak gdyby nie trapiło go nic poza sympatycznym przebiegiem konwersacji.

- Proszę więc podać mnie do sądu - odparł ze śmiechem.

- Pańska sytuacja nie uzasadnia ironii pańskich odpowiedzi - rzekł zimno Sarason. - Być może, nie zdaje pan sobie sprawy z jej powagi.

- Chyba jednak sobie zdaję - odparł wciąż uśmiechnięty Pitt. - Pragnie pan posiąść skarb Huascara i w drodze do tego celu wymorduje pan połowę zacnych obywateli Meksyku.

- Na szczęście nie będzie to konieczne. Przyznaję jednak, że dwie trzecie miliarda dolarów stanowi dostateczną motywację.

- Czy nie jest pan zainteresowany, w jaki sposób i dlaczego prowadziliśmy poszukiwania równoległe do waszych? - zapytał Pitt.

Teraz z kolei roześmiał się Sarason.

- Trzeba było zaledwie drobnej perswazji, aby pan Gunn i pani Smith nabrali chęci do współpracy i opowiedzieli mi wszystko na temat kipu Drake'a.

- Myślę, że torturowanie członka Parlamentu Stanów Zjednoczonych i zastępcy dyrektora ogólnokrajowej agencji naukowej nie jest działaniem rozsądnym.

- Ale wysoce efektywnym.

- Gdzie są moi przyjaciele i załoga promu?

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie zada pan to pytanie.

- Czy chce pan zawrzeć jakiś układ? - Pitt nie przegapił faktu, że Sarason wpatruje się weń bez zmrużenia oczu, usiłując go zastraszyć. Odpowiedział równie przenikliwym spojrzeniem. - Czy też chce pan dać znak kapeli i ruszyć w tan?

Sarason pokręcił głową.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym się z panem targować. Nic pan zresztą nie ma do zaproponowania. Z pewnością nie jest pan również człowiekiem, któremu mógłbym zaufać. A wszystkie żetony są w moim ręku. Krótko mówiąc, przegrał pan, zanim rozdanie kart dobiegło końca.

- Może pan zatem pozwolić sobie na to, aby być wielkodusznym zwycięzcą i pokazać mi przyjaciół.

Sarason z udaną zadumą wzruszył ramionami i skinął na kogoś dłonią.

- Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić, zanim z ciężarem u nóg wyrzucę pana za burzę.

Kilku masywnych, smagłych mężczyzn, którzy wyglądali jak bramkarze najęci z

lokalnych knajp, wyprowadziło jeńców z korytarza i pomagając sobie lufami karabinów, ustawiło ich rzędem na pokładzie za Sarasonem. Gordo Padilla wyszedł pierwszy, za nim Jesus, Gato i pomocnik mechanika, którego imienia Pitt chyba nie poznał. Sińce i zaschnięta krew na ich twarzach dowodziły, że zostali solidnie pobici, nie wyglądali jednak na poważnie rannych. Gunn nie wykręcił się tak lekko i trzeba było właściwie wywlec go z korytarza. Pitt widział zaschnięte plamy krwi na jego koszuli i kawałki szmat pozawijane na dłoniach w charakterze prymitywnych opatrunków. I była tam jeszcze Loren, ze ściągniętą twarzą i opuchniętymi policzkami. Miała zmierzwione włosy, na jej ramionach i nogach widniały purpurowe sińce. Mimo wszystko nadal dumnie trzymała głowę i odtrącała łapy strażników, którzy brutalnie popychali ją przed sobą. Na jej obliczu malowała się hardość, która jednak na widok Pitta przeszła w okrutne rozczarowanie, a jeszcze chwilę później - w rozpacz.

- Och, nie, Dirk! - wykrzyknęła Loren. - Również ciebie dopadli!

Gunn z trudem uniósł głowę.

- Usiłowałem cię ostrzec, ale... - wymamrotał przez popękane i krwawiące wargi, zbyt cicho, by można go było zrozumieć.

Sarason uśmiechnął się beznamiętnie.

- Sądzę, że pan Gunn chce powiedzieć, iż został wraz z załogą zniewolony przez moich ludzi, kiedy łaskawie pozwolił nam przejść na pokład promu z wynajętej łodzi rybackiej. Poprosiliśmy o pozwolenie skorzystania z radiostacji.

Wściekłość Pitta była bezgraniczna; z trudem powstrzymał odruch rzucenia się na oprawców, którzy tak brutalnie potraktowali jego przyjaciół. Odetchnął głęboko, by odzyskać panowanie nad sobą, i przysiągł sobie w duszy, że człowiek, który przed nim stoi, zapłaci za to wszystko. Nie teraz, ale na pewno nadejdzie taki czas. W tej chwili jednak Pitt nie mógł pozwolić sobie na nierozwagę.

Zerknął obojętnie na reling, oceniając odległość, która go od niego dzieli, i wysokość burty. Potem ponownie zwrócił się do Sarasona.

- Nie lubię, kiedy wielcy twardzi faceci biją bezbronne kobiety - powiedział tonem nienagannie uprzejmym. - I właściwie po co? Lokalizacja skarbu nie stanowi dla pana sekretu.

- A zatem to prawda - stwierdził Sarason z wyrazem zadowolenia na twarzy. - Znalazł pan bestię, która strzeże złota, na szczycie Cerro el Capirote.

- Gdyby nie bawił się pan w chmurach w chowanego, a zamiast tego obniżył lot,

aby przyrzeć się dokładniej, ujrzałby pan bestię na własne oczy.

Ostatnie słowa Pitta zapaliły w koralikowych oczkach iskrę zaciekawienia.

- A więc zdawał pan sobie sprawę, że jesteście śledzeni? - zapytał Sarason.

- To oczywiście, że musiał pan podjąć poszukiwania naszego śmigłowca po wczorajszym przypadkowym spotkaniu w powietrzu. Przypuszczam, że minionej nocy sprawdził pan lądowiska po obu stronach zatoki i tak pracowicie zadawał pytania, aż ktoś z San Felipe w nieświadomości ducha wskazał panu drogę na nasz prom.

- Jest pan bardzo przenikliwy.

- Okazuje się, że nie. Przeceniłem pana i tym samym popełniłem błąd. Nie sądziłem, że będzie pan się zachowywać jak bezmyślny amator i zacznie masakrować przeciwników. Był to uczynek niczym, ale to niczym nie uzasadniony.

W oczach Sarasona pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Co się tu dzieje. Pitt?

- To wszystko stanowiło część planu - odparł Pitt niemal jowialnie. - Celowo doprowadziłem pana do puli.

- Bezczelne łgarstwo!

- Zostałeś wrobiony, brachu. Pomyśl, po co wysadziłem doktor Kelsey, Rodgersa i Giordina, zanim wróciłem na prom? Aby trzymać ich z daleka od pańskich brudnych łap, oto dlaczego.

- Nie mógł pan wiedzieć - wycedził Sarason - że zamierzamy opanować wasz statek, zanim wróci pan na pokład.

- Nie mogłem wiedzieć ze stuprocentową pewnością. Powiedzmy jednak, że moja intuicja pracowała na zdwojonych obrotach. I dodajmy do tego fakt, że moje radiowe wezwania promu nie doczekały się odpowiedzi.

Na twarzy Sarasona pojawił się wyraz przebiegłości.

- Nieźle. Pitt, naprawdę nieźle. Byłby z pana doskonały autor opowiadań dla dzieci.

- A zatem nie wierzy mi pan? - zapytał Pitt z udanym zaskoczeniem.

- Ani jednemu słowu.

- Co zamierza pan z nami zrobić?

Radość Sarasona budziła wręcz niesmak.

- Jest pan dużo bardziej naiwny, niż sądziłem. Przecież to proste jak drut, co się z wami stanie.

- Chyba jednak wystawia pan swoje szczęście na ciężką próbę, nieprawdaż,

Sarason? Morderstwo popełnione na deputowanej Smith ściągnie panu na kark połowę rządowych agentów Stanów Zjednoczonych.

- Nikt się nie dowie, że została zamordowana - odparł Sarason. - Wasz prom z całą załogą po prostu spokojnie pójdzie na dno. Nieszczęśliwy wypadek, który nigdy nie zostanie do końca wyjaśniony.

- Wciąż jednak żyją Kelsey, Giordino i Rodgers. Są w Kalifornii bezpieczni i cali, a także gotowi przekazać informacje agentom celnym i FBI.

- Nie jesteśmy w Stanach Zjednoczonych. Jesteśmy na terenie suwerennego Meksyku. Miejscowe władze przeprowadzą uczciwe śledztwo, które nie doprowadzi jednak do znalezienia dowodów przestępstwa, niezależnie od niczym nie uzasadnionych oskarżeń wygłaszanych przez pańskich przyjaciół.

- Skoro stawka sięga miliarda dolarów, powinienem był wiedzieć, że okaże pan znaczną hojność, kupując współpracę miejscowych urzędników.

- Aż im rączki chodziły, żeby wpisać się na naszą listę, kiedy obiecaliśmy im udział w skarbie - chełpliwie odrzekł Sarason.

- Biorąc pod uwagę przewidywane zyski, mógł pan sobie pozwolić na zabawę w świętego Mikołaja.

Sarason spojrzał na zachodzące słońce.

- Robi się późno. Chybaśmy się dość nagadali. - Odwrócił się i wymówił imię, które przejęło Pitta dreszczem. - Tupac, chodź tutaj i przywitaj się z facetem, który uczynił cię impotentem.

Tupac Amaru wyszedł zza jednego ze strażników i stanął przed Pittem. Zęby w jego rozchyłonych uśmiechem ustach lśniły jak zęby trupiej czaszki na pirackiej fladze. Pomimo tej radości wyglądał jak rzeźnik, który przed ćwiartowaniem bada spojrzeniem wyjątkowo urodziwy kawałek wołowiny.

- Powiedziałem ci, że doznasz takich samych cierpień, jakich ja doznałem - oświadczył jadowicie.

Pitt wpatrywał się w złowieszczą twarz ze skupieniem osobliwie paralitycznym. Nie musiał nadwierać umysłu, żeby przewidzieć, co przyszłość ma dla niego w zanadrzu. Spiał się wewnętrznie, aby przystąpić do realizacji planu, który w głębi jego duszy nabrał kształtów, kiedy tylko wysiadł ze śmigłowca. Postąpił w stronę Loren, ale potem odsunął się o krok i zaczął głęboko oddychać, starając się czynić to niedostrzegalnie.

- Jeśli to ty skrzywdziłeś panią Smith, umrzesz i jest to tak pewne jak fakt, że



stoisz tu ze swym kretyńskich uśmiechem na pysku.

Sarason parsknął śmiechem.

- Nie, nie panie Pitt, nikogo już pan nie zabije.

- Wy też nie. Zawiśnięcie nawet w Meksyku, jeżeli znajdzie się świadek waszej zbrodni.

- Trudno odmówić słuszności tej tezie. - Sarason posłał Pittowi pytające spojrzenie. - O jakim jednak świadku pan mówi? - Urwał i szerokim gestem wskazał puste morze.

- Jak pan widzi, najbliższy ląd, bezludna pustynia, nawiasem mówiąc, jest od nas odległy o dwadzieścia kilometrów, jedyną jednostką pływającą w polu widzenia zaś jest ten kuter, cumujący przy naszej burcie.

Pitt odchylił głowę i spojrzał w stronę sterówki.

- A co powiecie o pilocie promu?

Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę. Tylko Gunn nieznacznie skinął w stronę Pitta, a potem wyciągnął rękę ku pustej sterówce.

- Kryj się, Pedro! - wykrzyknął donośnie. - Uciekaj, kryj się!

Trzy sekundy były wszystkim, czego Pitt potrzebował. Trzy sekundy, aby uczynić cztery kroki i skoczyć ponad relingiem. Dwóch strażników dostrzegło nagły ruch kątem oka, odwróciło się i posłało w stronę morza dwie krótkie salwy. Strzelali jednak za wysoko i za późno. Pitt wszedł w wodę i zniknął w mrocznych głębinach.

Pograżywszy się w wodzie, Pitt zaczął pracować rękoma i nogami, jakby weń demon wstąpił. Zrobiłby wrażenie na olimpijskiej komisji sędziowskiej; zapewne ustanowił rekord świata w długości nurkowania. Woda była ciepła, ale widoczność pod powierzchnią z powodu mułu nanoszonego kłębami przez nurt rzeki Kolorado nie sięgała nawet metra. Huk salwy spotęgowany gęstością wody nabrzmiał w uszach Pitta jak wystrzał artyleryjski. Kule przenikały morze z niesamowitym odgłosem zaciąganego suwaka. Pitt przyjął pozycję poziomą, gdy jego dłonie dotknęły dna, powodując erupcję pylistego mułu. Przypomniawszy sobie z czasów nauki w Amerykańskiej Akademii Lotnictwa, że kula traci impet po przebyciu pod wodą półtora metra. Poniżej tej głębokości nieszkodliwie opada na dno. Kiedy światła na powierzchni znikły, Pitt pojął, że przeszedł pod lewą burzą „Alhambry”. Moment, w którym zdecydował się na akcję, był wybrany szczęśliwie; zaczynał się przypływ i prom unosił się dwa metry ponad dnem. Wypuszczając z płuc drobne dawki powietrza, powoli i miarowo płynął ukośnym kursem w stronę rufy, mając nadzieję, że dotrze w ten sposób w pobliże wielkich kół łopatkowych przy prawej burcie. Zaczerpnięty przed skokiem zapas powietrza był już na wyczerpaniu i skraj pola widzenia Pitta zaczynał kryć się w rozmytym mroku, kiedy nagle cień promu urwał się i Pitt dostrzegł nad sobą jasną powierzchnię.

Wyplął dwa metry za osłoniętym wnętrzem prawoburtowego koła łopatkowego. Ryzykował odkrycie, lecz było to właściwie kwestią drugorzędą, ponieważ jedyną alternatywę stanowiło utonięcie. Istotny problem polegał na tym, czy zbiry Sarasona rozgryzą jego plan i nadbiegną przez pokład z przeciwnej strony statku. Pitt wciąż słyszał sporadyczny ogień, stębnujący wodę z lewej burty. Jego nadzieja wzrosła. Nie wpadli na jego trop. Przynajmniej na razie nie wpadli. Wynurzył się, łapczywie łyknął powietrza, orientując się w sytuacji, a potem zanurkował w kryjówkę, jaką dawało mu wielkie koło łopatkowe promu. Ocenivszy dystans, wyciągnął rękę nad głowę i powoli pracując nogami, ruszył ku górze. Dłonią dotknął drewnianej belki, uchwycił ją i unióśł głowę ponad wodę. Czuł się tak, jak gdyby znalazł się we wnętrzu ogromnej stodoły poprzecinanej najrozmaitszymi dźwigarami. Spojrzał na ogromny kołowy mechanizm napędowy promu. Konstrukcją przypominał stare malownicze koła wykorzystywane w młynach wodnych i tartakach. Mocne, żeliwne piasty zamontowane na wale napędowym łączyły się w gniazdach z drewnianymi ramionami o długości pięciu metrów. Do końców tych ramion

przyśrubowane były długie poziome deski, zwane pływakami, które obracając się napędzały prom. Cały mechanizm, podobnie jak jego odpowiednik po przeciwległej stronie, okryty był gigantycznym kołpakiem osadzonym w kadłubie promu. Pitt czekał, podczepiony do jednego z pływaków, a niewielka ławica wścibskich kropkowanych bassów krążyła wokół jego nóg. Jeszcze nie wygrał. Ponieważ dostrzegł właz umożliwiający załodze dokonywanie napraw koła łopatkowego, postanowił pozostać w wodzie; zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że głupio by było, gdyby włączając na koło ujrzał we włazie jakiegoś twardziela z palcem na spuście. Postanowił odczekać i zanurkować na pierwszy odgłos świadczący o tym, że ktoś nadchodzi.

Słyszał kroki przemierzające pokład samochodowy na górze, akcentowane sporadycznymi salwami. Bez trudu mógł wyobrazić sobie, co robią ludzie Sarasona. Pałętali się po pokładzie, strzelając do wszystkiego w wodzie, co choćby z grubsza przypominało im ludzką sylwetkę. Słyszał jakieś wrzaski, ale nie mógł zrozumieć słów. W promieniu pięćdziesięciu metrów żadna większa ryba nie przeżyła zapewne tego bombardowania. Zgodnie z oczekiwaniami, rozległ się szcęk zamka we włazie. Pitt osunął się głębiej w wodę, pozostawiając na powierzchni tylko pół głowy; ciągle jednak przed wścibskimi oczyma ukryty był płaszczyzną jednej z łopat.

Nie widział zarośniętej twarzy, która pomiędzy elementami koła łopatkowego zaglądała w wodę, tym razem jednak wyraźnie usłyszał głos mężczyzny stojącego w drzwiach. Poczł, jak włosy jeżą mu się na karku, kiedy rozpoznał, że należy do Tupaca Amaru.

- Widzisz jakieś ślady po nim?

- Nic tam nie ma oprócz ryb - odwarknął poszukujący na widok okoni morskich.

- Nie wypłynął nigdzie poza burtami statku, jeśli zatem nie zginął, musi ukrywać się gdzieś pod kadłubem.

- Tu nikt się nie chowa. Nie ma sensu go szukać. Władowaliśmy w niego tyle ołowiu, że mógłby służyć za kotwicę.

- Nie spoczne, dopóki nie zobaczę jego zwłok - odrzekł Amaru rzeczowym tonem.

- Chcesz zwłok, przeciągnij bosakiem po dnie - odrzekł ten drugi, wycofując się przez właz. - To jedyny sposób, abyś kiedykolwiek mógł go jeszcze zobaczyć.

- Chodź na dziobową rampę załadunkową - rozkazał Amaru. - Wraca kuter.

Pitt usłyszał pomruk dieslowskiego silnika i poczuł pulsowanie wody

poruszanej śrubą kutra dobijającego do promu, aby zabrać z pokładu Sarasona i jego najemne szumowiny. Pitt zastanawiał się, co pomyśleli przyjaciele na tę jego ucieczkę, która była przecież zaledwie rozpaczliwą próbą ocalenia im życia. Nic nie przebiegało zgodnie z zamiarami, Sarason ciągle wyprzedzał go o dwa kroki. Już Pitt przecież pozwolił, aby Loren i Gunn ucierpieli z rąk bandytów. Już nie zrobił z głupoty nic sensownego, kiedy pojmano załogę promu. Już wydał sekret skarbu Huascara. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki stawia czoło wydarzeniom, nie byłby zaskoczony, gdyby Sarason i jego kumple wybrali go przewodniczącym zarządu Solpemachaco. Dopiero po godzinie wyczuł, że silnik kutra rybackiego cichnie w oddaleniu, zaraz potem rozległ się łomot wirnika śmigłowca startującego z pokładu promu. Bez wątplenia śmigłowca NUMY. Pitt zaklął szpetnie. Kolejny podarek dla przestępców. Zapadła ciemność i woda nie odbijała żadnych świateł. Pitt zastanawiał się, dlaczego ewakuacja bandytów trwała tak długo. Miał granitową pewność, że pozostawiono jednego czy dwóch, aby się nim zajęli, gdyby cudownie powrócił do życia. Amaru i Sarason nie wymordują tamtych, dopóki nie zyskają absolutnej pewności, że Pitt nie żyje. Niepokój ciążył mu w sercu jak kamień. Pitt wiedział, że jest w zdecydowanie gorszym położeniu. Jeśli Loren i Rudi zostali zabrani z „Alhambry”, musi jakoś dostać się na brzeg i poinformować o sytuacji Giordina i amerykańskie władze celne w przygranicznym miasteczku Calexico. A co z załogą? Ostrożność dyktowała mu, iż musi zdobyć pewność, że Amaru i jego kumpli nie ma już na pokładzie. Jeśli jeden z nich pozostał, aby upewnić się, że Pitt tylko udaje martwego, może tak czekać i czekać... czasu ma do woli. Pitt natomiast praktycznie nie dysponuje nim wcale. Odepchnął się od pływaka, zwinął i zanurkował pod kadłubem. Muł dna wydawał się bliższy kilu niż podczas wcześniejszego nurkowania. Pittowi fakt ten wydawał się zagadkowy, dopóki mijając rurę z zęzy, nie poczuł mocnego ssania. Amaru postanowił zatopić „Alhambrę” i otworzył zawory w zęzie. Zawrócił i powoli popłynął ku tej części promu, gdzie pozostawił śmigłowiec. Ryzykując, że zostanie spostrzeżony, na krótki moment wynurzył się przy samej burcie, aby zaczerpnąć powietrza. Po niemal półtoragodzinnym pobycie w wodzie czuł się nasączony nią do szpiku kości. Skórę miał pomarszczoną niczym dziewięćdziesięciopięciolatek. Nie czuł się przesadnie znużony, ale wiedział, że rezerwy jego sił zmalały o dobre dwadzieścia procent. Znów zanurkował pod kadłub i skierował się ku płytkim wiosłom sterowym zamontowanym przy rufie. Rychło zamajaczyły przed nim w mrocznej wodzie. Uchwycił jedno z nich i powoli wystawił głowę z wody. Nie dostrzegł nad sobą żadnej złowrogo uśmiechniętej

twarży ani żadnej wycelowanej pomiędzy swoje oczy lufy automatu. Przyczepiony do steru, pozwalał się unosić wodzie i odbudowywał siły. Nasłuchiwał też uważnie, ale na górze nie rozległ się żaden odgłos. Na koniec wydzwignął się dostatecznie wysoko, aby dostrzec skraj rampy załadunkowej. „Alhambra” kąpała się w zupełnych ciemnościach, nie rozproszonych najmniejszym światełkiem ani na pokładzie, ani w pomieszczeniach. Cisza i bezruch. Jak podejrzewał, helikopter NUMY zniknął. Dreszcz strachu przed nieznanym przebiegł mu po plecach. Prom był zbyt cichy i spokojny - jak stary fort na zachodnim pograniczu przed atakiem Apaczów.

„To nie był jeden z moich lepszych dni” - pomyślał Pitt. Jego przyjaciele zostali pojmani i zatrzymani jako zakładnicy. Mogli już nawet nie żyć... tej myśli wołał jednak nie trawić zbyt długo. Stracił następny śmigłowiec NUMY, w dodatku maszyna wpadła w ręce tych samych przestępców, których on, Pitt, miał zwabić w pułapkę. Prom tonął, on zaś miał stuprocentową pewność, że jeden czy więcej zabójców czyha gdzieś na pokładzie, aby wykonać na nim wyrok. Biorąc pod uwagę wszystkie te czynniki, Pitt wołałby w tej chwili być we wschodnim St. Louis. Nie miał pojęcia, jak długo wisi na sterze - może pięć minut, może piętnaście. Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności, ale wszystkim, co zdołał dostrzec na wielkim pokładzie samochodowym, był przymglony refleks na chromowanym zderzaku i osłonie chłodnicy jego auta. Wisiał zatem, czekając, aż dostrzeże jakiś ruch czy usłyszy cichy odgłos skradających się kroków. Pokład, który ciągnął się przed nim jak rozwarta paszczyka jaskini, wyglądał przerażająco. Musiał jednak tam wejść, jeśli chciał mieć broń, jakąkolwiek broń, która pozwoli mu obronić się przed ludźmi zamierzającymi zrobić zeń tatarą. Jeśli ludzie Amaru nie przeprowadzili profesjonalnego kpiszu w starej przyczepie, nie znaleźli skonstruowanego przez Johna Browninga niezawodnego kolta .45 skrytego przez Pitta w lodówce, w szufladzie na jarzyny. Chwycił krawędź pokładu i wydzwignął się na górę, Potrzebował zaledwie pięciu sekund, aby przebiec przez pokład, na oścież otworzyć drzwi przyczepy i dać susa do środka.

Pewnym ruchem otworzył drzwiczki lodówki i wysunął szufladę na warzywa. Kolt leżał tam, gdzie go był zostawił. Przez chwilę, zanim uchwycił w dłoń wierny oręż, poczucie ulgi zalało go ciepłą falą. To poczucie zbawienia miało krótki żywot. Kolt w jego dłoni wydawał się lekki, zbyt lekki. Pitt odciągnął zamek, wyrzucił magazynek; i magazynek, i komora były puste. Z narastającą rozpaczą zajrzał do szuflady obok kuchenki, gdzie chował noże. Wszystkie zniknęły. Tak samo zresztą jak wszystkie

sztuńce. Jedyną zatem bronią w przyczepie był bezużyteczny kolt automat. Zabawa w kotka i myszkę. Są tu, bez wątpienia. Pitt wiedział teraz, że Amaru zamierza niespiesznie poigrać z ofiarą, zanim pokroi ją na ćwierci i wyrzuci kawałki za burte. Pitt pozwolił sobie na kilka chwil przerwy, aby opracować strategię. Usiadł w mroku na łóżku i spokojnie zaczął planować następne posunięcia.

Gdyby którykolwiek z zabójców czyhał na pokładzie samochodowym, mógł bez trudu zastrzelić, zakłuć lub ogłuszyć Pitta pałką podczas jego skoku do przyczepy. Nic by ich też nie mogło powstrzymać, gdyby chcieli wedrzeć się do środka i tu go wykończyć. Amaru był szczwanym hombre, przyznał z niechęcią Pitt sam przed sobą. Latynos odgadł, że Pitt nadal żyje i przy pierwszej okazji wyruszy po jakąkolwiek dostępną broń. To, że przeszukał przyczepę i znalazł pistolet, świadczyło o jego przenikliwości. To natomiast, że usunął kule pozostawiając broń na miejscu, świadczyło po prostu o sadyzmie. Ale postawił zaledwie pierwszy krok w grze tortur i udręk poprzedzających zadanie ostatecznego ciosu. Amaru zamierzał doprowadzić Pitta na grań wytrzymałości psychicznej i dopiero potem z nim skończyć.

„Są sprawy ważniejsze i mniej ważne” - uznał Pitt błyskotliwie. W mrokach czaiły się strzygi, które zamierzały go zamordować. Sądziły, że jest bezbronny jak dziecko, pozostawione w dodatku bez jakiegokolwiek drogi ucieczki na tonącym statku. I chciał, aby takie właśnie żywiły przekonanie. Skoro Amaru się nie spieszyło. Pitt też nie zamierzał się spieszyć. Zdjął wilgotne ubranie i przemoczone buty, ręcznikiem wytarł się do sucha, następnie włożył szare spodnie, czarną bawełnianą bluzę i trampki. Przygotował i zjadł kanapkę z masłem orzechowym, którą popił dwiema szklankami piwa. W dużo już lepszym nastroju wysunął niewielką szufladę spod łóżka i pogrzebał w poszukiwaniu skórzanego kapciucha na broń. Zapasowy magazynek zniknął, co do czego zresztą nie miał już wcześniej wątpliwości, ale pozostała tam mała latarka, w jednym kącie szuflady zaś Pitt znalazł niewielką plastikową butelkę, z której etykiety wynikało, że zawiera kompozycję witamin A, B i betakarotenu. Potrząsnął butelką, kiedy zagrzechotała, uśmiechnął się jak rozradowany osesek. Odkręcił nakrętkę i wysypał na dłoń osiem kul kalibru .45. „Sytuacja zaczyna się poprawiać” - pomyślał. Spryt Amaru okazał się o pół tonu słabszy od doskonałości. Pitt wsunął siedem kul do magazynka, jedną - do komory pistoletu. Teraz mógł się bronić. A dobra stara „Alhambra” zatone najwyżej do wysokości dolnego pokładu, kiedy tylko jej kil oprze się o płytkie dno.

„Jeszcze jeden dowód na prawdziwość prawa Pitta” - pomyślał. „Každy bandyta

ma swój plan, a każdy bandycki plan ma przynajmniej jeden słaby punkt”.

Zerknął na zegarek. Odkąd wszedł do przyczepy, minęło prawie dwadzieścia minut. Przez chwilę myszkował w szufladzie z odzieżą, aż znalazł granatową kominiarękę, którą naciągnął na głowę. Następnie z kieszeni spodni przerzuconych przez oparcie krzesła wygrzebał wieloczynnościowy scyzoryk. Pociągnął za metalowy pierścień osadzony w podłodze i uniósł klapę schowka - wbudował go niegdyś do przyczepy, aby uzyskać dodatkową przestrzeń do składowania. Wyjął skrzynkę, która wypełniała schowek, odstawił ją na bok i precyzyjnie przesunął się przez wąski otwór. Leżąc na pokładzie pod przyczepą, wbił spojrzenie w mrok i nastawił ucha. Cisza. Niewidoczni myśliwi, którzy nań polowali, byli ludźmi cierpliwymi. Ze spokojem i precyzją, jak człowiek, który ma jasno określony cel i nie wątpi, jaki będzie efekt podjętych przezeń działań, Pitt wytoczył się spod przyczepy i niczym zjawą zanurkował do maszynowni przez otwarty w pobliżu właz. Poruszał się ostrożnie, uważając, aby jakimś nagłym ruchem czy też niepotrzebnym dźwiękiem nie zdradzić swojej obecności. Amaru bezlitośnie wykorzysta każdą jego pomyłkę.

Kotły wytwarzające ciepło do produkcji pary napędzającej silniki tłokowe były do tego stopnia, że Pitt bez obawy przed poparzeniem mógł położyć dłoń na ich grubych nitowanych ścianach. Wyciągnął rękę z latarką jak najdalej w bok. Tylko nieostrożni świecą sprzed siebie. Jeśli człowiek zapędzony w ślepy zaułek zechce strzelać do osoby świecącej mu latarką między oczy, niechybnie wymierzy tam, gdzie spodziewa się ciała przeciwnika, a zatem na wysokości latarki. Maszynownia wydawała się opustoszała, nagle jednak Pitt stęzał, usłyszał bowiem ciche mamrotanie, jak gdyby ktoś usiłował powiedzieć coś przez knebel. Pitt skierował światło latarki w gigantyczną konstrukcję o kształcie litery A podtrzymującą ciężło. Ktoś tam był. W istocie było ich tam czterech. Gordo Padilla, jego pomocnik, którego nazwiska Pitt nigdy nie poznał, i dwóch marynarzy pokładowych, Jesus i Gato. Wisieli głowami do dołu, mocno skrupowani i zakneblowani taśmą izolacyjną. Z ich oczu wзираło błaganie. Pitt otworzył największe ostrze swojego scyzoryka, szybko ich poodcinał, a potem uwolnił im dłonie, pozwalając, aby rozkneblowali się sami.

- Muchas gracias, amigo - wysapał Padilla, któremu izolacja wyrwała z wąsów dobry pęk włosów. - Dzięki niech będą Najświętszej Marii Pannie, żeś przyszedł akurat teraz. Zamierzali popodrzynać nam gardła jak baranom.

- Kiedyście widzieli ich po raz ostatni? - zapytał cicho Pitt.

- Nie więcej niż dziesięć minut temu. Mogą wrócić w każdej chwili.

- Musicie uciec ze statku.

- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz spuszczaaliśmy szalupy ratunkowe. - Padilla wzruszył ramionami w latynoskim geście bezradności, żurawiki i silniki są prawdopodobnie zardzewiałe na amen, a szalupy przegniłe.

- Umiecie pływać? - zapytał z desperacją Pitt.

Padilla pokręcił głową.

- Niezbyt dobrze, a Jesus w ogóle nie umie. Marynarze nie lubią włączyć do wody. - Potem jego twarz rozpromieniła się w blasku latarki. - Do relingu przy kambuzie jest przywiązana mała sześciuosobowa tratwa.

- Módlcie się, żeby ciągle mogła pływać. - Pitt podał Padilli swój nóż. Trzymaj, byście mieli czym odciąć tratwę.

- A co z tobą? Nie idziesz z nami?

- Dajcie mi dziesięć minut, rozejrzę się za innymi. Jeśli nie znajdę ich do tego czasu, spuszczaćcie tratwę, a ja zrobię dywersję.

- Niech cię Bóg prowadzi. - Padilla uściskał Pitta.

Był najwyższy czas, aby przystąpić do dzieła.

Przed wyjściem na górne pokłady Pitt zeskoczył do zęzy wciąż wypełniającej się wodą i pozakręcał zawory. Nie zamierzał wejść na górę po zejściowce. Miał nieprzyjemne uczucie, że w jakiś sposób Amaru śledzi każdy jego ruch. Wspiął się na silnik aż na wierzchołek zbiornika pary, a potem, po drabince linowej, na szczyt konstrukcji w kształcie litery A i dopiero stamtąd wyszedł na górny pokład, wyłaniając się w miejscu położonym tuż za dwoma kominami promu. Pitt nie bał się Amaru. Wygrał pierwszą rundę walki w Peru, ponieważ Amaru zrzucił linę asekuracyjną do studni ofiarnej i uznał go tym samym za martwego. Latynoski morderca nie był nieomylny i znowu popełnił błąd, ponieważ jego umysł przyćmiewała nienawiść i pragnienie zemsty. Po przeszukaniu obydwu sterówek, Pitt zszedł na dół. Ani w ogromnej sekcji z miejscami siedzącymi dla pasażerów, ani w kambuzie, ani też w kajutach załogi nie znalazł śladu Loren i Rudiego. Przeszukiwanie szło szybko. Nie mając pojęcia, kogo, co i kiedy może napotkać w ciemnościach, Pitt przeszukał większą część statku na czworakach, przemykając jak krab z kątką do dziury i wykorzystując każdą dostępną kryjówkę. Statek wydawał się równie opuszczony jak cementarz. Ale Pitt nie musiał nadużywać wyobraźni, aby zdawać sobie sprawę, że bandyci nie zeszli z pokładu. Reguły gry nie uległy najmniejszej zmianie. Loren i Rudi Gunn zostali ewakuowani z promu żywi, ponieważ Sarason miał relatywnie sensowne



przekonanie, że Pitt nadal żyje. Błędem natomiast było to, że powierzył wykonanie wyroku człowiekowi napędzanemu żądzą zemsty. Amaru był zbyt chory z nienawiści, żeby chłodno i chirurgicznie ukręcić Pittowi łeb. Zbyt wiele czerpał satysfakcji z tego, że człowiek, który pozbawił go męskości, przechodzi przez udręki czyśćca. Nad głowami Loren i Rudiego Gunna wisiał katowski miecz, miecz ten jednak nie spadnie dopóty, dopóki nie rozejdzie się wieść, iż Pitt został wykończony w sposób absolutny i przekonujący.

Dziesięć minut minęło. Pitt musiał podjąć działania, które pozwolą marynarzom spuścić tratwę i wiosłując zniknąć w mroku. Kiedy uzyska pewność, że są bezpieczni, skoczy za burtę i spróbuje dotrzeć do brzegu wpław. Dwie sekundy po tym, jak usłyszał cichutkie stąpienia bosych stóp po pokładzie, błyskawicznie padł na kolana i dłonie, i to ocaliło mu życie. Był to stary trick futbolowy, który żadnego gracza nie był właściwie w stanie zwieść. Pitt wykonał ten ruch czysto instynktownie. Gdyby się odwrócił, włączył latarkę i nacisnął spust mierząc w ciemniejszą plamę, która wyprysnęła z nocy, utraciłby obie dłonie i głowę pod ostrzem maczety, na podobieństwo samolotowego śmigła przecinającej powietrze.

Mężczyzna, który wypadł z mroku, nie potrafił pohamować swego impetu. Kiedy kolanami uderzył o pochylone plecy Pitta, poleciał do przodu, jak gdyby wyrzuciła go potężna sprężyna, a potem ciężko runął na pokład, wypuszczając z dłoni maczetę. Przetoczywszy się na bok. Pitt oświetlił napastnika i nacisnął spust kolta. Huk wystrzału był ogłuszający, a kula wbiła się w ciało zabójcy tuż pod pachą. Był to śmiertelny strzał. Pitt usłyszał krótkie sapnięcie, a potem leżące na pokładzie ciało skurczyło się i znieruchomiało.

- Niezła robota, gringo - zahuczał przez megafon głos Amaru. - Manuel był jednym z moich najlepszych ludzi.

Pitt nie tracił tchu na udzielanie odpowiedzi. Dokonał błyskawicznej oceny sytuacji. Stało się nagle oczywiste, że odkąd wyszedł na otwarte pokłady. Amaru śledzi jego ruchy. Nie trzeba już się było posuwać potajemnie. Wiedzieli, gdzie jest, on natomiast nie mógł ich widzieć. Gra była skończona. Mógł mieć tylko nadzieję, że Padilla i jego ludzie niepostrzeżenie zjechali na wodę. Dla większego efektu oddał trzy strzały mniej więcej w kierunku, skąd dobiegał głos Tupaca Amaru.

- Chybiłeś - roześmiał się Amaru. - Wszystkie poszły Panu Bogu w okno.

Pitt grał na zwłokę, oddając co kilka sekund jeden strzał, aż opróżnił magazynek. Jego sytuacja stała się jeszcze bardziej rozpaczliwa, kiedy Amaru czy

któryś z jego ludzi włączył pozycyjne i nawigacyjne światła promu. Pitt był teraz widoczny jak aktor na pustej oświetlonej scenie. Przycisnął plecy do grodzi i wbił wzrok w reling opodal kambuza. Tratwa zniknęła, odcięte linki dyndały w powietrzu. Padilla i pozostali jeszcze przed włączeniem świateł zdołali zniknąć w mroku.

- Zawrę z tobą układ, na który nie zasługujesz - powiedział jowialnym tonem Amaru. - Poddaj się od razu, a umrzesz szybko. Stawiaj opór, a będziesz umierać długo i powoli.

Pitt nie potrzebował pomocy mediatora, by zrozumieć sens oferty. Wybór miał nieco ograniczony. Ton Amaru przywiódł mu na myśl meksykańskiego bandytę, który w filmie „Skarb Sierra Madre” usiłuje wykolegować z wydobytego złota Waltera Houstona, Humphreya Bogarta i Tima Holta.

- Nie marnuj naszego czasu zwlekaniem z decyzją. Mamy inne...

Pitt nie był w nastroju, żeby słuchać dalej. Miał absolutną pewność, że Amaru usiłuje odwrócić jego uwagę, gdy tymczasem któryś z jego morderców podkrada się, by wbić mu nóż w jakieś cholernie bolesne miejsce. Nie zamierzał czekać, aż stanie się igraszką w łapach zwyrodnialców. Pognał przez pokład i po raz wtóry tego wieczoru przesadził reling. Medalista w skokach byłby zapewne z wdziękiem poszybował w powietrze, wykonał ileś tam salt, śrub i innych takich, i dopiero później jak nóż wszedł w odległą o piętnaście metrów powierzchnię morza. Przy okazji skręciłby sobie również kark, ponieważ ową powierzchnię od mulistego dna dzieliła zaledwie dwumetrowa warstwa wody. Pitt nigdy nie miał aspiracji znaleźć się w amerykańskiej ekipie skoczków. Przesadził reling nogami do przodu, dopiero później wyprostował się i runął do wody jak kula armatnia.

Amaru i dwaj jego ludzie podbiegli do skrajów górnego pokładu i spojrzeli w dół.

- Widzicie go? - zapytał Amaru, wbijając wzrok w ciemności.

- Nie, musiał wpłynąć pod kadłub.

- Woda robi się brudna! - wykrzyknął inny głos. - Chyba wbił się w muł na dnie.

- Tym razem nie będziemy ryzykować. Juan, przynieś skrzynkę granatów ogłuszających, któreśmy przywieźli z Guaymas. Rozgnieciemy go na miazgę. Rozrzucaj je mniej więcej pięć metrów od kadłuba, szczególnie w okolicach łopat.

Pitt istotnie wybił w dnie niewielki krater. Nie zderzył się z dnem dość mocno, aby doznać jakiegóż fizycznej kontuzji, z dostateczną jednak siłą, aby wzniecić chmurę mułu. Wyprostował się i zaczął jak najszybciej odpływać od burty „Alhamby”. Obawiał się, że kiedy przebiję głową mroczną powierzchnię, wciąż będzie się

znajdować w polu widzenia morderców. To mu jednak nie groziło, jak rychło wyszło na jaw. Odświeżająca bryza z południa zmarszczyła powierzchnię morza, wywołując tak rozproszone refleksy, że oświetlenie z pokładu promu nie mogło go zdradzić. Płynął pod wodą długo, aż poczuł palenie w płucach, kiedy zaś wychodził na powierzchnię, uczynił to najdelikatniej, jak mógł, ufając, że ciemnogrnatowa kominiarka zamaskuje jego głowę na czarnym tle wody. Po przepłynięciu stu metrów znalazł się poza zasięgiem światła pokładowych. Z najwyższym trudem rozróżniał mroczne sylwetki poruszające się po górnym pokładzie. Zastanawiał się, dlaczego tym razem nie strzelali do wody. Potem usłyszał głuchoe łupnięcie, dostrzegł spieniony gejzer i poczuł ciśnienie tak silne, że wyłoczyło z jego płuc resztki powietrza. Podwodne materiały wybuchowe! Usiłowali zabić go falą uderzeniową, wywołaną przez granaty ogłuszające. W krótkich odstępach czasu rozległy się cztery następne wybuchy. Na szczęście pochodziły z regionu położonego w okolicach śródkręcia, nie zaś kół łopatkowych. Ponieważ Pitt skoczył do wody z części rufowej, był od owych wybuchów dostatecznie daleko. Zwinął się w kłębek, dociskając kolana do piersi, aby zamortyzować główny impet uderzenia. Gdyby znajdował się trzydzieści metrów bliżej od promu, straciłby zapewne przytomność. Gdyby był bliżej o metrów sześćdziesiąt, zostałby rozgnieciony na miazgę. Tak długo zwiększał dystans pomiędzy sobą a „Alhambra”, aż siła uderzeniowa wybuchów stała się niewiele silniejsza niż zmysłowe uściski krzepkiej niewiasty. Spojrzał w bezchmurne niebo i odszukał na nim Gwiazdę Polarną. Najbliższy kawałek stałego lądu, czyli bezludne zachodnie wybrzeże Zatoki Kalifornijskiej, znajdował się w odległości czternastu kilometrów. Zerwał z głowy kominiarkę, a potem, z twarzą zwróconą ku rozgwieżdżonemu niebu, zaczął leniwymi ruchami płynąć na grzbiecie w kierunku zachodnim. Niewątpliwie miałby ogromne trudności, żeby i w tej dyscyplinie zakwalifikować się do ekipy olimpijskiej. Po dwóch godzinach czuł się tak, jakby z każdym wymachem jego ramiona dźwigały czterdziestokilogramowe ciężary; po sześciu godzinach jego mięśnie protestowały takim bólem, jakiego dotąd nie zdołałby sobie wyobrazić; wreszcie, i dzięki Bogu, zmęczenie zaczęło przytępiać wszelkie inne odczucia. Użył starej harcerskiej sztuczki - zdjął spodnie, związał ich nogawki, a potem w górze wykonał nimi zamach, by złapały nieco powietrza, zmieniając się w pływak, który umożliwiał przystanki, coraz częstsze w miarę upływu czasu.

Nawet na moment nie powstała mu w głowie myśl, aby zatrzymać się i zacząć dryfować, żywiąc nadzieję, że za dnia dostrzeże go jakiś kuter rybacki. Wizja Loren i

Rudiego, tkwiących w łapach Sarasona, była aż nadto silną podniętą, aby popychać go do przodu. Gwiazdy na wschodniej połaci nieba zaczynały blednąć i zamierać, kiedy stopami dotknął dna. Chwiejnie wylazł na piaszczystą plażę, gdzie runął jak kłoda i natychmiast zapadł w sen.

Francis Ragsdale z FBI, ubrany w kamizelkę kuloodporną pod kombinezonem roboczym, niósł pustą skrzynkę na narzędzia. Nonszalancko podszedł do niewielkiego magazynu, w którego oknie widniała kartka DO WYNAJĘCIA. Położył skrzynkę na ziemi, wyjął z kieszeni klucz i otworzył boczne drzwi.

W magazynie połączona brygada dwudziestu agentów FBI i ośmiu celnych - wśród nich cztery kobiety - czyniła ostatnie przygotowania do nalotu na położony po przeciwległej stronie ulicy budynek firmy Zolar International. Emisariusze brygady uprzedzili miejscową policję o planowanej operacji i obserwowali cały kompleks przemysłowy, szukając oznak nadzwyczajnej aktywności. Wszyscy agenci mieli na sobie mundury polowe i byli uzbrojeni w broń automatyczną, kilku ekspertów od dzieł sztuki i antyków nosiło cywilne ubrania. Ci ostatni dźwigali walizy wypchane katalogami i fotografiami skradzionych i poszukiwanych obiektów. Według planu po wejściu do budynku brygada miała rozdzielić się na zespoły do konkretnych zadań: pierwszy zatem zespół miał zabezpieczyć budynek i zgromadzić pracowników, drugi - przeszukać zbiory w celu wyłowienia skradzionych obiektów, trzeci zaś - przeprowadzić rewizję w części administracyjnej, poszukując jakiegokolwiek śladu na papierze, który mógłby świadczyć o kradzieżach bądź nielegalnych zakupach. Pracujący niezależnie zespół cywilny, specjalizujący się w transporcie dzieł sztuki, stał w gotowości, aby zapakować, ewakuować i zmagazynować ewentualne skonfiskowane dobra. Biuro prokuratorskie, współpracujące w tej sprawie i z FBI, i z władzami celnymi, nalegało, by nalot został przeprowadzony w sposób bezbłędny, a skonfiskowane obiekty potraktowano w jedwabnych rękawiczkach.

Agent celny David Gaskill stał przy tablicy operacyjnej w centrum punktu dowodzenia. Odwrócił się, słysząc kroki, i zapytał z uśmiechem:

- Ciągłe spokój?

Ragsdale usiadł na brezentowym krzeselku.

- Wszystko w porządku, tylko ogrodnik przycina żywopłoty wokół budynku. Poza tym cicho jak na cmentarzu.

- Cholernie sprytnie ze strony Zolarów, że strażnikiem jest u nich ogrodnik - stwierdził Gaskill. - Mogliśmy go zlekceważyć, gdyby w ciągu tego tygodnia nie kosił trawnika cztery razy.

- Nie wspominając o tym, że nasza obserwacja ujawniła, iż jego walkman jest w istocie nadajnikiem.

- Dobry znak. Gdyby nie mieli niczego do ukrycia, po co by stosowali tę pokrętną praktykę?

- Nie miej zbyt wielkich nadziei. Te magazynowe przedsięwzięcia Zolarów mogą się wydawać podejrzane, ale kiedy dwa lata temu FBI wtargnęła tu z nakazem rewizji, nie znaleźliśmy nawet skradzionego długopisu.

- To samo przydarzyło się służbom celnym, kiedyśmy namówili przedstawicieli izby skarbowej do przeprowadzenia serii przesłuchań podatkowych. Zolar i jego rodzina wyszli z tego czyści jak łąza.

Ragsdale skinieniem głowy podziękował jednemu z agentów, który podał mu kubek z kawą, i powiedział:

- Jedyne, co nam w tej chwili sprzyja, to element zaskoczenia. Nasz poprzedni nalot zakończył się fiaskiem, ponieważ miejscowy gliniarz dał cynk Zolarowi. Był oczywiście przekupiony.

- Powinniśmy dziękować Bogu, że nie musimy wdzierać się do otoczonej kordonem bezpieczeństwa, uzbrojonej fortecy.

- Są jakieś wieści od twojej wtyczki? - zapytał Gaskill.

Ragsdale pokręcił głową.

- Zaczyna myśleć, że wsadziliśmy go w niewłaściwą operację. Nie natrafił na najmniejszy ślad nielegalnych działań.

- Nikt nie wszedł i nie wyszedł z budynku poza uczciwymi pracownikami. W ciągu ostatnich czterech dni nie było również transportu żadnych nielegalnych towarów. Czy nie masz przypadkiem wrażenia, że czekamy, aż w Kalifornii spadnie śnieg?

- Tak mi to wygląda - westchnął Ragsdale.

Gaskill popatrzył nań przeciągle.

- Chcesz to sobie przemyśleć jeszcze raz i odwołać kpisz?

Ragsdale odpowiedział mu równie przeciągłym spojrzeniem.

- Zolarowie nie są doskonali. Gdzieś w ich systemie musi być jakaś ułomność i dam sobie rękę uciąć, że znajdziemy ją w tym budynku po drugiej stronie ulicy.

- Jestem z tobą, brachu. - Gaskill parsknął śmiechem. - Nawet gdyby to dla nas obu miało się skończyć przedwczesną emeryturą.

Ragsdale uniósł kciuk.

- A zatem cyrk rozpoczyna się zgodnie z planem za osiem minut.

- Nie ma chyba żadnego powodu, żeby to powstrzymywać, prawda?

- Biorąc pod uwagę, że Zolar i dwaj jego bracia uganiają się wokół Baja, szukając skarbu, reszta zaś rodziny przebywa w Europie, trzeba uznać, że to najlepsza okazja, aby zbadać ich tereny, zanim armia adwokatów zwęszy naszą operację i spadnie jak stado sępów, żeby dać nam odpór. Dwaj agenci, jadący furgonetką wypożyczoną z galvestońskich wodociągów, zatrzymali się przy krawężniku naprzeciwko ogrodnika, który pielęgnował klomb kwiatów przy budynku Zolarów. Mężczyzna na miejscu pasażerskim odkręcił szybę i zawołał:

- Przepraszam pana!

Ogrodnik odwrócił głowę i pytająco spojrzął na furgonetkę. Agent przyoblekł twarz w przyjazny uśmiech.

- Mógłby mi pan powiedzieć, czy rynsztoki na waszym podjeździe nie zatkały się podczas ostatniego deszczu?

Zaciekawiony ogrodnik porzucił klomb i podszedł do auta.

- Nie przypominam sobie żadnych zatorów.

Agent wystawił przez okno plan miasta.

- A nie wie pan o jakichś kłopotach z odprowadzeniem ścieków na sąsiednich ulicach?

Kiedy ogrodnik pochylił się, aby spojrzeć na mapę, agent błyskawicznie sięgnął przez okno, zerwał mu słuchawki nadajnika z głowy i wyszarpnął przewód prowadzący od mikrofonu i słuchawek do gniazdka w głównym module.

- Agenci federalni! - warknął rzekomy pracownik wodociągów. - Stać nieruchomo i ani okiem mrugnąć.

- Zasuwaszcie, przedpole oczyszczone - powiedział do walkie-talkie agent siedzący za kierownicą.

Agenci federalni nie wdarli się do budynku Zolar International z gwałtownością brygady antynarkotykowej ani też nie przeprowadzili rozległego ataku, jak miało to miejsce wiele lat temu w Waco. Nie mieli do czynienia z chronioną zasiekami, opancerzoną fortecą. Jeden z zespołów cicho zajął stanowiska przy wszystkich drzwiach do budynku, podczas gdy główna brygada ze spokojem wkroczyła frontowym wejściem. Urzędnicy, bez względu na stopień służbowy, nie okazali lęku bądź niepokoju. Wydawali się najwyżej zbici z tropu. Agenci uprzejmie, lecz stanowczo spędzili wszystkich na parter magazynu, gdzie wnet dołączyli do nich robotników sekcji składowniczej i transportowej, a także rzemieślników z wydziału renowacji. Przez drzwi załadunkowe wjechały dwa autobusy, do których załadowano

następnie cały personel firmy Zolarów i zawieziono na przesłuchanie do kwatery głównej FBI w pobliskim Houston. Cała akcja nie trwała nawet czterech minut.

Zespół od papierkowej roboty, złożony przeważnie z wyszkolonych w księgowości agentów FBI i dowodzony przez Ragsdale'a, niezwłocznie przystąpił do pracy, myszkując w biurkach, badając segregatory i prześwietlając każdą odnotowaną transakcję. Gaskill wraz ze swoimi agentami celnymi i historykami sztuki zaczął katalogować i fotografować tysiące obiektów zgromadzonych w budynku. Robota była mozolna i czasochłonna, a poza tym nie dostarczyła żadnych konkretnych dowodów na to, iż którekolwiek przedmioty pochodzą z kradzieży.

Tuż po pierwszej po południu Gaskill i Ragsdale zasiedli pośród niewiarygodnie drogocennych obiektów w luksusowym gabinecie Josepha Zolara, aby dokonać wymiany spostrzeżeń. Agent z FBI nie sprawiał wrażenia rozradowanego.

- To mi zaczyna wyglądać na jedną wielką plamę, której następstwem będzie burza wrednych ataków prasowych i gigantycznych procesów - stwierdził z rezygnacją.

- Nie znalazłeś w aktach żadnych śladów działań przestępczych? - zapytał Gaskill.

- Niczego, co by się rzucało w oczy. Będziemy potrzebować przynajmniej miesiąca pracy specjalistów do rachunkowości, aby zyskać pewność, że mamy na czym oprzeć oskarżenie. A ty wygrzebałeś coś ze swojego końca?

- Na razie każdy przebadany przez nas obiekt jest czyściutki. Nic kradzionego.

- A zatem znowu pudło.

Gaskill westchnął.

- Z trudem przechodzi mi to przez usta, ale wydaje się, że Zolarowie są nieporównanie cwańsi niż połączone siły najlepszych agentów śledczych dwóch służb.

Kilka chwil później weszli do biura agencji celni, którzy współpracowali z Gaskillem podczas nalotu na mieszkanie Rummla w Chicago - Beverly Swain i Winfried Pottle. Zachowywali się służbowo i rzeczowo, ale nie potrafili ukryć drżących w kącikach ust lekkich uśmiechów. Ragsdale i Gaskill byli tak zaabsorbowani rozmową, że nie spostrzegli, iż nowo przybyli weszli do gabinetu nie z korytarza, lecz z przyległej prywatnej łazienki.

- Masz chwilę, szefie? - zapytała Gaskilla Beverly Swain.

- O co chodzi?

- Nasze instrumenty odkryły chyba coś w rodzaju szybu schodzącego pod



budynek - odparł Winfried Pottle.

- Co mówisz? - zdziwił się Gaskill.

Ragsdale podniósł głowę.

- Instrumenty?

- Przenikający grunt detektor soniczno-radarowy, który wypożyczyliśmy z Wyższej Szkoły Górniczej w Kolorado - wyjaśnił Pottle. - Czujnik wskazuje prowadzącą w głąb ziemi wąską dziurę znajdującą się pod posadzką.

Ragsdale i Gaskill dostrzegli wąż isierkę nadziei. Obydwaj zerwali się na równe nogi.

- Skąd wiedzieliście, gdzie szukać? - zapytał Ragsdale.

Pottle i Swain nie potrafili zamaskować swoich triumfalnych uśmiechów. Swain skinęła głową do kolegi i Pottle odpowiedział:

- Wykombinowaliśmy sobie, że jakiegokolwiek przejście prowadzące do tajnych pomieszczeń musi zaczynać się lub kończyć w prywatnym gabinecie Zolara, ponieważ tylko w takim wypadku istniałaby możliwość niepostrzeżonego korzystania z tego przejścia.

- Jego łazienka - zaryzykował Gaskill.

- Bardzo poręczna lokalizacja - potwierdziła Swain.

Ragsdale odetchnął głęboko.

- Pokażcie to nam.

Pottle i Swain zaprowadzili ich do wielkiej łazienki z marmurową posadzką, antyczną umywalką, komodą, półkami oraz tekową boazerią ze starego jachtu. Wskazali osadzoną w podłodze luksusową wannę z biczami wodnymi, która zakłócała harmonię wnętrza.

- Szyb zaczyna się pod wanną - powiedziała Swain.

- Jesteście pewni? - zapytał sceptycznie Ragsdale. - Kabina prysznicowa wydaje mi się bardziej odpowiednim miejscem na windę.

- Tak zrazu myśleliśmy i my - odparł Pottle - ale nasz instrument wykazał pod posadzką prysznicowa tylko beton i ziemię.

Pottle uniósł długą rurę czujnika połączoną kablem z przenośnym komputerem, wyposażonym w małą drukarkę. Włączył urządzenie i machnął końcem czujnika nad dnem wanny. Na displayu komputera przez chwilę migotały światła, a potem ze szczeliny zaczął wysuwać się arkusz papieru. Kiedy się zatrzymał, Pottle wyrwał go i pokazał wszystkim. Przez środek białego arkusza od góry do dołu

rozciągała się czarna kolumna.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości - oznajmił Pottle - że pod ziemię schodzi szych tych samych rozmiarów co wanna.

- Czy na pewno pański cud elektroniczny nie może się mylić? - zapytał Ragsdale.

- W zeszłym roku urządzenie tego samego typu pozwoliło w piramidach egipskich w Gizie odnaleźć nie znane dotąd korytarze i komory.

Gaskill bez słowa zszedł do wanny. Przez chwilę manipulował prysznicem, ale stwierdził, że da się tu tylko wyregulować siłę i kierunek natrysku. Potem usadowił się na siedzisku, dostatecznie wielkim, by mogły na nim zająć miejsce cztery osoby. Przekręcił złocony kurek od zimnej wody, ale z wylewki nie pociekło nic.

Podniósł głowę uśmiechając się szeroko.

- Sądzę, że zaczynamy robić postępy.

W następnej kolejności pokręcił dźwigiem podnoszącą i opuszczającą korek. Bez efektu.

- Spróbuj poruszyć kranem - zasugerowała Swaine.

Gaskill ujął złocony kran swoimi wielkimi łapami i lekko go przekręcił. Ku jego zaskoczeniu kran się poruszył, a wanna zaczęła powoli zjeżdżać poniżej posadzki łazienki. Przekręcenie w przeciwną stronę sprawiło, że wanna wróciła do poprzedniego położenia. Teraz Gaskill wiedział, że ten prosty, malutki kranik do wody i ta kretyńska wanna są zabawkami, dzięki którym zrówna z ziemią imperium Zolarów. Gestem przywołał pozostałych i zapytał radośnie:

- Zjeżdżamy?

Niezwykła winda sunęła w dół przez niemal trzydzieści sekund i dopiero wtedy zatrzymała się w innej łazience. Pottle ocenił, że różnica poziomów wynosi dwadzieścia metrów. Wyszli z łazienki do gabinetu stanowiącego niemal dokładną kopię tego na górze. Paliły się tu światła, nikogo jednak nie było. Z Ragsdale'em na czele mała grupka agentów wyłamała drzwi gabinetu i wyjrzała do olbrzymiego magazynu wypełnionego skradzionymi dziełami sztuki. Wszystkich zaszokował rozmiar tego pomieszczenia i olbrzymia liczba zgromadzonych eksponatów, Gaskill zaryzykował twierdzenie, że jest ich co najmniej dziesięć tysięcy. Ragsdale natomiast wyslizgnął się z gabinetu, aby przeprowadzić szybki rekonesans. Wrócił po pięciu minutach.

- Czterech ludzi obsługuje wózek widłowy - zameldował. - Mniej więcej w

połowie długości czwartego korytarza między stelażami opuszczają do drewnianej skrzyni brązową statuetkę rzymskiego legionisty. Po drugiej stronie, za ścianą, naliczyłem sześć osób, pracujących w sekcji, którą oceniam jako pracownię fałszerstw. Przez południową ścianę prowadzi tunel, przypuszczam, że do pobliskiego budynku. Tam prawdopodobnie przyjmują i wysyłają skradziony towar.

- I tam też zapewne jest wejście i wyjście dla pracowników - zasugerował Pottle.

- Dobry Boże! - mruknął Gaskill. - Zgarnęliśmy pulę. Już z tego miejsca rozpoznaję cztery skradzione obiekty.

- Chyba powinniśmy zachowywać się dyskretnie - powiedział cicho Ragsdale - dopóki nie ściągniemy z góry posiłków.

- Zgłaszam się na ochotnika jako windziarka - powiedziała Swain ze sprytnym uśmiechem. - Jakaż kobieta przepuściłaby okazję, żeby pojeździć sobie między piętrami w luksusowej wannie?

Kiedy tylko zniknęła, Pottle stanął na straży przy drzwiach. Gaskill zaś i Ragsdale zajęli się przeszukaniem podziemnego gabinetu Zolara. Biurko nie dostarczyło wartościowych znalezisk, skoncentrowali się więc na odszukaniu archiwum. Znajdowało się za wysoką biblioteką, przesuwaną na kółkach. Odsunięta na bok, ujawniła długą wąską izbę, gdzie wzdłuż ścian od podłogi po sufit stały identyczne drewniane kabinety. Każdy zawierał ustawione w alfabetycznym porządku segregatory wypełnione dokumentami zakupów i sprzedaży rodzinnej firmy Zolarów od 1929 roku.

- To wszystko jest tutaj - wymruczał oszołomiony Gaskill. - Wszyściuteńko. - Zaczął wyciągać segregatory.

- Niewiarygodne - zgodził się Ragsdale, studiując akta wyjęte z innego kabinetu, który stał w środku pomieszczenia archiwalnego. - Przez sześćdziesiąt dziewięć lat odnotowywali każdy skradziony, przeschmuglowany bądź sfalszowany obiekt sztuki, wszystkie dane o nabywcach, personalne i finansowe.

- O Jezu! - jęknął Gaskill. - Tylko na to popatrz.

Ragsdale wziął do ręki podsuniętą przez Gaskilla teczkę i przestudiował dwie pierwsze stroniczki akt. Kiedy podniósł głowę, na jego twarzy malowało się bezgraniczne niedowierzanie.

- Jeśli to prawda, znajdująca się w Muzeum Sztuki Renesansowej Eisensteina

Bostonie rzeźba króla Salomona dłuta Michała Anioła jest falsyfikatem.

- I to cholernie dobrym, sądząc po liczbie ekspertów, którzy potwierdzili jej autentyczność.

- Ale kustosz wiedział.

- Oczywiście - zgodził się Gaskill. - Zolarowie złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Wedle tych dokumentów, dziesięć niebywale rzadkich rzeźb etruskich, wydobytych nielegalnie w północnych Włoszech i przeszmuglowanych do Stanów Zjednoczonych, zostało wraz ze sfalszowanym królem Salomonem zamienionych na autentyczny towar. Ponieważ fałszerstwo było tak dobre, że nie do odkrycia, kustosz zdobył sławę niemal bohatera, skoro zwiększył kolekcję muzealną, skłaniając anonimowego dobroczyńcę do ofiarowania dziesięciu cennych eksponatów.

- Zastanawiam się, ile jeszcze dowodów przestępstw popełnionych w muzealnictwie tutaj znajdziemy - powiedział z zadumą Ragsdale.

- Podejrzewam, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Te akta dotyczą niezliczonych tysięcy nielegalnych transakcji zawartych z nabywcami, którzy przymknęli oczy na kierunek, z którego przybyły ich skarby.

Ragsdale uśmiechnął się szeroko.

- Wolałbym być myszką w dziurce, kiedy biuro prokuratorskie się dowie, żeśmy mu zwalili na kark co najmniej dziesięć lat papierkowej roboty.

- Nie znasz prokuratorów federalnych - odparł Gaskill. - Kiedy dostaną na biurko ładunek tych wszystkich zamożnych biznesmenów, polityków, sław branży sportowej i rozrywkowej, którzy ochoczo nabywali trefną sztukę, dojdą do wniosku, że umarli i trafili do raju.

- Może jednak powinniśmy zastanowić się nad wyciągnięciem tego wszystkiego na światło dzienne? - powiedział ostrzegawczym tonem Ragsdale.

- Nie rozumiem.

- Wiemy, że Joseph Zolar i jego bracia, Charles Oxley i Cyrus Sarason, są w Meksyku, gdzie nie możemy ich aresztować i ściągnąć do kraju bez całej masy prawnego zamieszania, zgoda?

- No, załapuję.

- A zatem zataimy tę część naszej akcji - wyjaśnił Ragsdale. - Wszystko wskazuje na to, że pracownicy legalnej części przedsiębiorstwa nie mają zielonego pojęcia, co się dzieje w piwnicach. Pozwólmy im jutro wrócić do pracy, jak gdyby kipsisz nie przyniósł żadnych efektów. Interesy jak co dzień. W przeciwnym bowiem

wypadku, jeżeli zwęszą, iż przymknęliśmy ich potajemny biznes, a prokuratorzy federalni montują przeciwko nim stuprocentową sprawę, zamelinują się w jakimś kraju, z którego nie będziemy mogli ich wyciągnąć.

Gaskill z zadumą potarł podbródek.

- Nie będzie łatwo zamydlić im oczy. Jak wszyscy podróżujący biznesmeni, przypuszczalnie na bieżąco utrzymują kontakt ze swoją centralą operacyjną.

- Wykorzystamy każdą brudną sztuczkę, jaką mamy do dyspozycji - odparł ze śmiechem Ragsdale. - Ustawimy telefonistki, żeby utrzymywały, iż podczas prac budowlanych zostały poprzecinane kable światłowodowe. Przez ich linie faksowe będziemy wysyłać sfabrykowane memoranda, a pracowników z lewego interesu pozbawimy kontaktu ze światem zewnętrznym. Przy odrobinie szczęścia utrzymamy Zolarów w nieświadomości przez czterdzieści osiem godzin, a w tym czasie może przyjdzie nam do głowy jakaś sztuczka, żeby zwabić ich na ojczyzny łono.

Gaskill popatrzył na Ragsdale'a.

- Lubisz grać o najwyższą stawkę, co, zacny człowieku?

- Postawiłbym żonę i dzieciaki na trzynogiego konia, gdyby istniała najmniejsza szansa, że załatwimy te szumowiny na dobre.

- Podoba mi się twój rozmach - stwierdził z uśmiechem Gaskill. - No to rozwalmy ten interes.

Wioska Billy'ego Yumy liczyła stu siedemdziesięciu sześciu mieszkańców, z których większość żyła z uprawy dyni, kukurydzy i fasoli. Inni ścinali jałowiec i manzanitę, sprzedawane później na ogrodzenia i opał. Nowego źródła dochodów dostarczył rozkwit zainteresowania tradycyjną sztuką garncarską. Niektóre montolańskie kobiety wciąż potrafiły lepić piękne naczynia, które ostatnimi czasy zyskały wysoką cenę wśród kolekcjonerów, złaknionych sztuki indiańskiej.

Yuma przepracował piętnaście lat jako kowboj u bogatego ranczera i oszczędził w tym czasie dość grosza, żeby rozpocząć hodowlę na własną rękę. W porównaniu z większością tubylczych mieszkańców południowych obszarów Półwyspu Kalifornijskiego wiedli z żoną w miarę dostatni żywot. Polly wypalała garnki, a on hodował trzodę. Po spożyciu południowego posiłku, Yuma jak każdego dnia osiodłał kasztankę i ruszył w drogę do swojego stada, aby sprawdzić, czy nie trapią go żadne choroby i rany. Brutalna i niegościnna kraina z mnóstwem ostrych skał, kaktusów i łożysk wyschłych potoków często bywała niebezpieczna dla nieostrożnych bydła. Szukał właśnie zbłąkanego cielęcia, kiedy na wąskiej drodze prowadzącej do wioski dostrzegł nieznanego mężczyznę. Nie pasował do otoczenia. Nie wyglądał ani na włóczęgę, ani na myśliwego, jako że nie miał przy sobie nic - żadnej manierki, żadnego plecaka; nawet kapelusz nie chronił jego głowy przed gorącym słońcem południa. Sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego, a jednak maszerował zdecydowanymi, mocnymi krokami, jak gdyby bardzo mu się dokądś spieszyło. Zaciekawiony Billy zarzucił poszukiwanie cielaka, przejechał przez wyschnięte łożysko strumienia i dotarł do drogi. Od przebudzenia się z głębokiego snu Pitt przemaszerał czternaście kilometrów po pustyni. Wciąż by spał jak zabity, gdyby nie rozbudziło go jakieś osobliwe uczucie. Zamrugał powiekami, otworzył oczy i na swoim ramieniu dostrzegł usadowioną jaszczurkę. Strzasnął ją i sprawdził godzinę na zegarku. Był zaszokowany, iż przespał niemal całe przedpołudnie. Kiedy się obudził, słońce zalewało już pustynię powodzią blasku, ale temperatura wynosiła trzydzieści stopni Celsjusza, była więc zupełnie znośna. Pot szybko wysychał na skórze i Pitt od razu poczuł pragnienie. Obliznął wargi - miały smak soli pozostałej po wodzie morskiej. Sklął się za to, że przespał cztery bezcenne godziny. Dla przyjaciół, pozostających w obmierzłych łapskach Sarasona i znoszących nie wiadomo jakie udreki z rąk jego sadystycznych służalców, mogło to stanowić wieczność. Sednem istnienia Pitta było pospieszyć im na ratunek. Odświeżył się krótką kąpielą w morzu i ruszył przez

pustynię na zachód, w kierunku meksykańskiej szosy numer 5, odległej o dwadzieścia, może trzydzieści kilometrów. Kiedy tylko do niej dotrze, będzie mógł stopem pojechać do Mexicali, a potem przez granicę dostać się do Calexico. Taki był najogólniejszy plan, którego powodzenie uzależnione było od tego, czy obsługująca Zatokę Kalifornijską firma telefoniczna przewidującą zainstalowała budkę w cieniu jakiegoś drzewa mesquite.

Spojrzał na Morze Corteza i - po raz już ostatni - na daleką „Alhambrę”. Wyglądało na to, że stary prom osiadł w wodzie aż do nawisu pokładu i lekko przechylony spoczywa w mule. Poza tym był chyba w dobrym stanie i raczej pusty. W polu widzenia nie było żadnych łodzi czy też śmigłowców, które prowadziłyby poszukiwania uruchomione za północną granicą przez zaniepokojonego Giordina i amerykańskich agentów celnych. Nie żeby miało to znaczenie. Grupa poszukiwawcza, która pojawiłaby się nad promem, nie wpadłaby na pomysł, aby szukać kogokolwiek na lądzie. Tak przynajmniej wyimaginował sobie Pitt i postanowił ruszyć. Maszerował równo, pokonując siedem kilometrów na godzinę. Ten marsz przez bezładne pustkowia przywiódł mu na pamięć przeprawę przez Saharę w północnym Mali, którą z Giordinem odbył dwa lata temu. Niemal umarli wtedy z pragnienia w rozżarzonym piekle. Dopiero kiedy znaleźli tajemniczy wrak samolotu, zdołali skonstruować rodzaj lądowego bojera, którym przez piaski ruszyli ku ocaleniu. W porównaniu z tamtą udręką, ta była przechadzką po parku. Po dwóch godzinach wędrówki dotarł do pylistej ścieżki. Trzydzieści minut później dostrzegł nieopodal jeźdźca. Podszedł do niego i uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Mężczyzna na koniu spojrzał nań oczyma zmęczonymi od słońca. Jego surowa twarz przypominała zniszczony erozją blok piaskowca. Nieznajomy miał na sobie słomkowy kapelusz o podwiniętym rondzie, bawełnianą koszulę z długimi rękawami, wytarte dżinsy i sfatygowane kowbojskie buty. Wyglądające spod kapelusza włosy nie zdradzały najmniejszych oznak siwizny. Mężczyzna był niewysoki, smukły i mógł liczyć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat. Jego twarz, pomarszczona niczym tarcza do prania, była spalona na brąz. Dłonie, trzymające wodze, były sękaty i spękane od trudów wielu lat pracy. „Oto twardziel, który w tej niegościnniej krainie potrafi trzymać się życia ze zdumiewającą mocą” - pomyślał Pitt.

- Dzień dobry - powiedział grzecznie.

Jak większość swoich rodaków, Billy był dwujęzyczny, ponieważ w rodzimym montolańskim rozmawiał z przyjaciółmi i członkami rodziny, po hiszpańsku zaś - z

obcymi. Nieźle jednak dawał sobie również radę z angielskim, który trochę przyswoił podczas licznych wypraw za granicę, aby sprzedać bydło czy też kupić zapasy.

- Czy wie pan, że wtargnął na prywatną ziemię Indian? - zapytał ze stoickim spokojem.

- Nie wiedziałem, przepraszam. Zostałem wyrzucony na brzeg zatoki. Usiłuję dotrzeć do autostrady i telefonu.

- Stracił pan swoją łódź?

- Tak. Można to i w ten sposób określić.

- W naszym domu zbornym jest telefon. Chętnie tam pana zabiorę.

- Będę niezmiernie wdzięczny.

Billy wyciągnął ku niemu rękę.

- Wioska nie jest daleko. Może pan pojechać konno za moimi plecami.

Pitt się zawahał. Zdecydowanie wolałby mechaniczne środki transportu. W jego hierarchii wartości cztery koła w każdych okolicznościach były na głowę cztery kopyta. Jedynym sensownym przeznaczeniem koni było tworzenie tła w westernach. Zarazem jednak nie miał zwyczaju grymasić. Ujął dłoń Indianina i zdumiał się krzepkością żylastego człowiczka, ten bowiem bez najmniejszego wysiłku dźwignął w górę jego osiemdziesięciodwukilogramową masę.

- Tak a propos, nazywam się Dirk Pitt.

- Billy Yuma - odrzekł jeździec, nie podając mu dłoni.

Jechali w milczeniu przez pół godziny, aż dotarli na wzniesienie porośnięte juką. Później zjechali w niewielką dolinkę, której dnem płynął wartki strumyk, i minęli ruiny hiszpańskiej misji, trzy stulecia temu zniszczonej przez uporczywie pogańskich Indian. Pozostały po niej murszejące gliniane ściany i mały cmentarzyk. Groby dawnych Hiszpanów w pobliżu szczytu wzniesienia dawno już zostały zapomniane i zarosły zielskiem. Niżej znajdowały się świeższe groby mieszkańców tych okolic. Jeden kamień nagrobny w szczególności przyciągał wzrok. Pitt zeskoczył z konia i podszedł bliżej. Wyrzeźbione w zwietrzałym kamieniu litery były wyraźne i czytelne.

Patty Lou Cutting 2.11.24-2.3.34

Niech słońce blasku ci nie skąpi,

Niech w mroku nocy gwiazdy lśnią,

A kiedy błądy świt nastąpi,

Niech Bóg przygarnie duszę twą.



- Kim była? - zapytał Pitt.

Billy Yuma pokręcił głową.

- Nawet starzy nie wiedzą. Powiadają, że ten grób pewnej nocy zrobili jacyś wędrowcy.

Pitt powiódł spojrzeniem po bezgranicznej pustyni Sonora. Lekki wietrzyk delikatnie pieścił jego kark. Jastrząb o czerwonym ogonie krążył po niebie, badając bystrym okiem swoje królestwo. Kraina gór i piasku, królików, kojotów i kanionów mogła stanowić źródło zarówno lęku, jak i natchnienia. „To jest odpowiednie miejsce na śmierć i pochówek” - pomyślał Pitt. Na koniec odwrócił się tyłem do ostatniego ziemskiego przystanku Patty Lou i machnął ręką w stronę Yumy.

- Resztę drogi pokonam pieszo.

Yuma bez słowa skinął głową i ruszył przodem, a kopyta jego klaczy wzniecały ze szlaku kłębuszki pyłu. W ślad za swoim przewodnikiem Pitt zszedł ze wzgórza do skromnej rolniczej wioski. Przez jakiś czas sunęli wzdłuż strumienia, gdzie w cieniu topól dziewczyny prały odzież. Przerwały pracę i przyglądały się przybyszowi z młodzieńczym zaciekawieniem. Pomachał im, ale zignorowały pozdrowienie i wróciły do pracy. Główna część sadyby Montolów składała się z kilku chat i domów. Niektóre zostały wzniesione z pokrytych gliną gałęzi mesquite, jeden czy dwa z drewna, większość jednak z betonowych płyt budowlanych. Jedynym widocznym elementem wpływów współczesnego stylu życia były zbielące słupy podtrzymujące przewody elektryczne i telefoniczne, kilka poobijanych furgonetek, które wyglądały jakby cudem umknęły złomiarzkiej prasie, i jedna antena satelitarna.

Yuma zatrzymał konia przez małym budynekciem otwartym z trzech stron.

- Nasz dom zborny - oznajmił. - Telefon w środku. Musi pan płacić.

- Żaden problem. - Pitt uśmiechnął się, zajrzał do wnętrza swego przemokłego portfela i wyciągnął kartę AT&T.

Yuma wprowadził go do niewielkiego pomieszczenia biurowego wyposażonego w drewniany stół i cztery składane krzesła. Aparat stał na bardzo cieniutkiej książce telefonicznej, leżącej na wyłożonej terakotą podłodze.

Telefonistka zgłosiła się po siedemnastu sygnałach.

- Si, por favor.

- Chcę zadzwonić na kartę kredytową.

- Proszę bardzo, proszę o numer pańskiej karty i numer, pod który pan dzwoni  
- odparła telefonistka w płynnej angielszczyźnie.

- Cóż, coś się przynajmniej udało - westchnął Pitt, słysząc głos, który go rozumiał.

Telefonistka meksykańska połączyła go z telefonistką amerykańską, ta z informacją, gdzie uzyskał numer biura celników w Calexico, i w końcu dotarł pod właściwy adres. W słuchawce rozległ się męski głos.

- Służby celne, czym możemy panu służyć?

- Usiłuję skontaktować się z Albertem Giordino z Państwowej Agencji Badań Podwodnych.

- Chwileczkę, przełączę pana. Jest w gabinecie agenta Starger.

Rozległy się dwa stuknięcia, a potem głos, który zdawał się dochodzić z piwnicy.

- Starger, słucham.

- Mówi Dirk Pitt. Ma pan tam może pod ręką Ala Giordino?

- Pitt, czyżby to pan? - powiedział z niedowierzaniem Curtis Starger. - Gdzie się pan podziewał? Usiłowaliśmy skłonić meksykańską marynarkę wojenną, aby zaczęła pana poszukiwać, ale nie było to łatwe.

- Niepotrzebnie zawracaliście sobie głowę. Jej tutejszy dowódca został prawdopodobnie przekupiony przez Zolarów.

- Jedna chwila. Giordino siedzi tu obok. Przełączę na jego aparat.

- Al, jesteś tam?

- Miło słyszeć twój głos, brachu. Rozumiem, że coś się rypło.

- Najkrócej rzecz ujmując, nasi przyjaciele z Peru mają Loren i Rudiego. Pomogłem załodze uciec tratwą ratunkową, sam zdołałem dopłynąć do brzegu. Dzwonię z pustynnej indiańskiej wioski na pomoc od San Felipe i mniej więcej trzydzieści kilometrów na zachód od miejsca, gdzie „Alhambra”, spoczywa utylana w bloku.

- Wyślę śmigłowiec - rzekł Starger. - Proszę podać nazwę wioski.

Pitt odwrócił się do Billy'ego Yumy.

- Jak nazywacie to miejsce?

- Kanion Ometepec.

Pitt powtórzył nazwę, przedstawił nieco dokładniejszy meldunek o wydarzeniach ostatnich osiemnastu godzin i odłożył słuchawkę.

- Przyjaciele mnie stąd odbiorą - powiedział do Yumy.

- Samochodem?

- Śmigłowcem.

- Pan jest ważny człowiek?

Pitt roześmiał się.

- Równie ważny jak wójt waszej wioski.

- Nie ma wójta. Nasi starsi spotykają się i omawiają sprawy plemienne.

Obok domu przeszło dwóch mężczyzn prowadzących osła, niemal niewidocznego pod stosem gałęzi manzanity. Mężczyźni owi wymienili z Yumą przelotne spojrzenia. Żadnych pozdrowień, żadnych uśmiechów.

- Wygląda pan na zmęczonego i spragnionego - powiedział Yuma do Pitta. - Proszę do mojego domu. Tam może pan poczekać na przyjaciół, a żona zrobi coś do jedzenia. Była to najlepsza propozycja, jaką w ciągu całego dnia otrzymał Pitt, nic więc dziwnego, że przyjął ją z głęboką wdzięcznością. Żona Billy'ego Yumy, Polly, była postawną niewiastą. W jej okrągłej pomarszczonej twarzy lśniły ogromne ciemnobrązowe oczy. Była w średnim wieku, ale włosy miała czarne jak pióra kruka. Zaczęła się krzątać wokół piecyka na drewno, ustawionego pod ramadą, obszerną werandą ich domu. Indianie z pustyń Południowego Zachodu Stanów Zjednoczonych woleli urządzać kuchnie i jadalnie w otwartej przestrzeni ramady, zamiast w pozbawionych przewiewu murach swych domów. Pitt zauważył, że dach ramady jest skonstruowany z wysuszonych żebrowanych łodyg kaktusowego drzewa saguaro i stoi na słupkach z mesquite, otoczonych ścianą kolczastych łodyg ocotillo. Kiedy wypił już pięć kubków wody z wielkiego dzbanu zwanego olla, którego porowate ściany pozwalają zachować zawartość w chłodzie, Polly nakarmiła go siekaną wieprzowiną i fasolą ze smażonymi pęczkami cholla, które przypominały mu okrę. Tortille były przyrządzone z fasolek mesquite, przetartych na mąkę o słodkawym smaku. Do popicia tego spóźnionego lunchu służyło wino ze sfermentowanych owoców saguaro.

Pitt nie potrafiłby powiedzieć, kiedy ostatnio jadł tak smakowity posiłek. Polly rzadko się odzywała, a jeśli już to czyniła, mruzczała po hiszpańsku kilka słów do Billy'ego. Pitt dostrzegał wprawdzie w jej wielkich brązowych oczach isierki wesołości, zachowywał się jednak z powagą i dystansem.

- Nie wydaje mi się, by wasza społeczność była szczęśliwa - stwierdził Pitt, zagajając rozmowę.

Yuma smętnie pokręcił głową.

- Na mieszkańców mojej wioski, jak też innych wiosek naszego plemienia, padł smutek, kiedy skradziono święte posążki naszych bogów. Od ich zniknięcia dotknęło

nas całe pasmo nieszczęść. Bez nich nasi synowie i córki nie mogą wyjść z dzieciństwa.

- Dobry Boże - mruknął pod nosem Pitt. - Oby nie znowu Zolarowie.

- Co takiego, senior?

- To międzynarodowa rodzina złodziei, która skradła połowę starożytnych obiektów, jakie kiedykolwiek odkryto.

- Policja meksykańska powiedziała nam, że bogowie zostali skradzeni przez amerykańskich rabusiów, którzy przeszukują święte indiańskie ziemie, aby nasze dziedzictwo sprzedać dla zysku.

- Bardzo możliwe - odparł Pitt. - Jak wyglądały te święte posążki?

Yuma wyciągnął rękę i zatrzymał dłoń mniej więcej metr nad podłogą.

- Były mniej więcej tej wysokości, a ich twarze wiele stuleci temu zostały wyrzeźbione przez moich przodków z korzeni topól.

- Istnieją spore szanse, że wasze bożki zostały kupione od poszukiwaczy skarbów za marne grosze, a później sprzedane bogatemu kolekcjonerowi za cenę nieporównanie większą.

- I ci ludzie noszą nazwisko Zolar?

- Tak istotnie brzmi ich rodzinne nazwisko. Działają w ramach przestępczej organizacji nazwanej Solpemachaco.

- Nie znam tego słowa - stwierdził Yuma. - Co oznacza?

- Mitycznego inkaskiego węża o siedmiu głowach, który mieszka w grocie.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Sądzę, że może być spokrewniony z innym legendarnym potworem Peruwiańczyków, zwanym Demonio del Muertos, który strzeże ich zaświatów.

Yuma w zadumie popatrzył na swe spracowane dłonie.

- My także mamy legendarnego demona zaświatów, który nie pozwala zmarłym stamtąd uciec, a żywym wkroczyć. Wydaje również sąd nad naszymi zmarłymi, pozwalając zaryzykować wejście do jednego świata, połykając zaś grzesznych.

- Demon sądu ostatecznego - powiedział Pitt.

Yuma uroczyście pokiwał głową.

- Mieszka na górze, niezbyt daleko stąd.

- Cerro el Capiroto - powiedział cicho Pitt.

- Skąd obcy może o tym wiedzieć? - zapytał Yuma, wbijając spojrzenie w zielone oczy Pitta.

- Byłem na szczycie. Widziałem skrzydlatego jaguara o węzowym łbie i gwarantuję panu, że nie umieszczono go tam, aby strzegł zaświatów ani też sądził zmarłych.

- Wydaje się, że wiele pan wie o tej krainie.

- Nie, w istocie bardzo mało. Byłbym jednak niezwykle zainteresowany, gdybym mógł usłyszeć jakieś inne legendy o demonie.

- Jest jeszcze jedna - przyznał Yuma. - Enrique Juarez, najstarszy z nas, jest jednym z niewielu żyjących Mentolów, którzy pamiętają dawne opowieści i starożytne obyczaje. Enrique prawi o złotych bogach, którzy przybyli z południa na olbrzymich białoskrzydłych ptakach sunących po powierzchni wody. Ptaki na długi czas osiadły na wyspie starego morza. Kiedy bogowie na koniec odlecieli, pozostawili po sobie kamiennego demona. Kilku z naszych mężnych i ciekawych przodków wylądowało na wyspie, by nigdy z niej nie powrócić. Dawny lud przeraził się i uwierzył, że góra jest święta, a wszyscy intruzi zostaną pożarci przez demona. - Yuma urwał i zapatrzył się na bezkres pustyni. - Te historie powtarza się od czasów moich przodków. Nasze najmłodsze dzieci, wychowane na nową modłę, uznają je po prostu za bajania staruszków.

- Bajania przemieszane z faktami historycznymi - zapewnił Yumę Pitt. - Proszę mi wierzyć, że w trzewiach Cerro el Capirore spoczywa ogromny złoty skarb, pozostawiony tam nie przez złotych bogów z południa, lecz Inków z Peru, którzy stawiając na szacunek pańskich przodków dla wszystkiego, co nadnaturalne, wyrzeźbili kamiennego stwora, aby obudzić w nich lęk i trzymać z dala od wyspy. Jako dodatkowy środek ostrożności pozostawili kilku strażników, aby zabijali ciekawskich, dopóki Hiszpanie nie zostaną przegnani z ich macierzystej ziemi, oni zaś będą mogli oddać skarb swojemu nowemu królowi. Nie trzeba mówić, że historia potoczyła się inaczej. Hiszpanie pozostali, a tutaj nikt nigdy nie wrócił.

Billy Yuma nie był człowiekiem skłonny do ujawniania uczuć. Jego pomarszczona twarz zachowała niewzruszony spokój i tylko ciemne oczy nieco szerzej się otwarły.

- Pod Cerro el Capirore spoczywa wielki skarb?

Pitt skinął głową.

- Niebawem ludzie o złych zamiarach przybędą tutaj, aby wdrzeć się w głąb góry i zrabować inkaskie skarby.

- Nie mogą tego zrobić! - zaprotestował Yuma. - Cerro el Capirore jest

magiczną górą. Wznosi się na naszej ziemi, ziemi Montolów, a zmarli, na których wydano skazujący wyrok, błędzą po jej zboczach.

- Proszę mi wierzyć, że to nie powstrzyma tych ludzi - rzekł z powagą Pitt.

- Zgłosimy protest do miejscowych władz.

- Jeśli Zolarowie działają w swój zwykły sposób, już przekupili waszych funkcjonariuszy policji.

- Ci źli ludzie, o których pan mówi, to ci sami, którzy skradli nasze święte posąжки?

- Nie wykluczyłbym takiej możliwości.

Billy Yuma przez chwilę wpatrywał się w Pitta z namysłem.

- A zatem nie musimy zawracać sobie głowy faktem, że wtargnęli na nasz święty teren.

Pitt nie zrozumiał.

- Czy mógłbym zapytać dlaczego?

Z twarzy Indianina zniknął wyraz chłodnej rzeczowości, a pojawiło się jakieś tajemnicze rozmarzenie.

- Ponieważ ci, którzy zabrali bogów słońca, księżyca, ziemi i wody, są przeklęci i spotka ich okropna śmierć.

- Rzeczywiście pan w to wierzy, prawda?

- Wierzę - odparł Yuma posępnie. - Widziałem w swoich snach, że złodzieje toną.

- Toną?

- Tak, w wodzie, która uczyni pustynię ogrodem, jakim była za czasów naszych przodków.

Pitt ważył przez chwilę myśl, żeby zaproponować, nie przywykł bowiem do kierowania się w poczynaniach wyśnionymi wizjami. Co do spraw metafizycznych, był zatwardziałym sceptykiem. Ale nieprzeniknione spojrzenie oczu Yumy i twardy ton jego głosu poruszyły coś w duszy Pitta. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że tak z pozoru zwyczajna kwestia, jak brak pokrewieństwa z Zolarami, może być źródłem nieklamanej radości.

Amaru wszedł do głównej sali hacjendy. Jedną ze ścian ogromnego pomieszczenia zajmował wielki kamienny kominek odzyskany z misji jezuitów, wysokie sklepienie zaś zdobiły stiukowe ornamenty.

- Przepraszam, że musieli panowie na mnie czekać.

- Nie szkodzi - odparł Zolar. - Te głupki z NUMY doprowadziły nas wprost do złota Huascara, wykorzystaliśmy więc w pełni twoją opieszałość, omawiając metody wydobywania skarbu na powierzchnię.

Amaru skinął głową i rozejrzał się po pokoju. Oprócz niego było w nim czterech mężczyzn. Na kanapach wokół kominka siedzieli Zolar, Oxley, Sarason i doktor Moore. Ich twarze pozbawione były co prawda jakiegokolwiek wyrazu, ale otaczała ich atmosfera triumfu.

- Są jakieś wieści o doktor Kelsey, tym fotografe Rodgersie i Albercie Giordino? - zapytał Sarason.

- Moi zagraniczni informatorzy sądzą, iż na promie Pitt powiedział panu prawdę. Czyli zostawił ich w Calexico w biurze Amerykańskich Służb Celnych.

- Musiał wyniuchać pułapkę - stwierdził Moore.

- To było oczywiste, bo dlaczego miałby wracać na prom w pojedynkę? - rzekł Sarason, zwracając się ostro do Amaru. - Miałeś go w rękach i pozwoliłeś mu uciec.

- Że nie wspomnę o załodze - dodał Oxley.

- Zapewniam panów, że Pitt nie umknął. Został zabity, kiedy nawrzucał do wody granatów oślepiających. Co się zaś tyczy członków załogi promu, to opłaceni przez pana policjanci meksykańscy dopilnują, aby zachowali milczenie tak długo, jak to będzie konieczne.

- Mimo wszystko nie jest dobrze - rzekł Oxley. - Pitt, Gunn i pani Smith zniknęli, i każdy agent federalny pomiędzy San Diego i Denver lada chwila może spaść nam na kark, a wtedy zaczniesz niuchać.

Zolar pokręcił głową.

- Tutaj nic nam nie zrobią. Nie mają prawa działać i na pewno nie nabędą go z pomocą naszych przyjaciół z miejscowych władz.

Sarason gniewnie spojrział na Amaru.

- Powiadasz, że Pitt zginął. No więc gdzie są jego zwłoki?

- Pitt jest karmą dla ryb, proszę mi wierzyć na słowo. - Amaru posłał mu mało życzliwe spojrzenie.

- Wybacz, ale nie jestem przekonany.

- Żadnym cudem nie mógł przeżyć podwodnych detonacji.

- Ten facet wychodził z dużo gorszych oparów. - Sarason podszedł do barku i nalał sobie drinka. - Nie zaznam spokoju, dopóki nie ujrzę jego zwłok.

- Spieprzyłeś również sprawę pozbycia się promu - rzekł do Amaru Oxley. - Powinieneś być wypłynąć na głębsze wody i dopiero wtedy otworzyć zawory.

- Albo jeszcze lepiej podpalić prom, razem z panią Smith i zastępcą dyrektora NUMY - stwierdził Zolar, zapalając cygaro.

- Comandante Cortina przeprowadzi dochodzenie i oświadczy, że prom z panią Smith i Rudim Gunnem na pokładzie zaginął w tajemniczych okolicznościach - rzekł Sarason.

Zolar popatrzył na niego wściekle.

- To nie rozwiąże problemu zaangażowania się w sprawę amerykańskich władz dochodzeniowych. Departament Sprawiedliwości będzie domagał się czegoś więcej aniżeli miejscowego śledztwa, jeśli Pitt przetrwa, aby zdemaskować bezsensowne poczynania naszego tu obecnego przyjaciela.

- Niech pan zapomni o Pittcie - rzekł zimno Amaru. - Nikt nie miał silniejszej motywacji niż ja, aby zadbać o jego unicestwienie.

Oxley przeniósł spojrzenie z Amaru na Zoltara.

- Nie możemy opierać się na spekulacjach. Cortina w żaden sposób nie zdoła powstrzymać dochodzenia rządów amerykańskiego i meksykańskiego dłużej niż kilka dni.

Sarason wzruszył ramionami.

- To dość czasu, by wydobyć skarb i zniknąć.

- Nawet jeśli Pitt wyłoni się z morza, aby powiedzieć prawdę - rzekł Henry Moore - to będzie jego słowo przeciwko naszemu. Nie potrafi dowieść naszych powiązań z torturowaniem i zniknięciem Smith i Gunna. Któż uwierzy, że rodzina szanowanych handlarzy sztuki jest zaangażowana w takie historie? Cortina mógłby oskarżyć Pitta, że popełnił te zbrodnie po to, aby zgarnąć skarb dla siebie.

- Akceptuję pomysł doktora - stwierdził Zolar. - Naszych wpływowych przyjaciół w policji i siłach zbrojnych można bez trudu przekonać o konieczności aresztowania Pitta, jeśli wypłynie w Meksyku.

- Na razie nieźle - zgodził się Sarason. - Ale co z naszymi jeńcami? Eliminujemy ich teraz czy później?



- Dlaczego nie wrzucić ich do rzeki, która przepływa przez grotę ze skarbami? - zasugerował Amaru. - Koniec końców to, co pozostanie z ich ciał, prawdopodobnie wypłynie w Zatoce Kalifornijskiej. Powierzmy ich szczątki rybom, a wtedy najlepszy koroner świata będzie mógł powiedzieć tylko tyle, że utonęli.

Zolar powiódł spojrzeniem po braciach, a później zatrzymał je na doktorze Henrym Moore, wyglądającym dziwnie nieswojo. Po chwili zwrócił się do Amaru,

- Błyskotliwy scenariusz. Prosty, a jednak błyskotliwy. Są obiekcje?

Nie było żadnych.

- Skontaktuję się z komendantem Cortiną. Przekażę mu zadanie - zgłosił się na ochotnika Sarason.

Zolar machnął cygarem i błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- A zatem załatwione. Kiedy Cyrus i Cortina będą rozsnuwać zasłonę dymną przed amerykańskimi śledczymi, my spakujemy manatki i przeniesiemy się z hacjendy do Cerro el Capirote, aby już jutro od samego rana rozpocząć ewakuację złota. Wszedł służący i podał Zolarowi przenośny telefon. Zolar słuchał przez chwilę, nie odpowiadając ani słowem, rozłączył się i parsknął śmiechem.

- Dobre wieści, bracie? - spytał Oxley.

- Agenci federalni znów przeprowadzili nalot na nasze magazyny.

- I to ma być zabawne? - zapytał stropiony Moore.

- Trywialne wydarzenie - wyjaśnił Zolar. - Jak zwykle skończyli z pustymi rękoma i stanęli jak idioci, nie wiedząc, za co się złapać.

Sarason dopił drinka.

- A zatem wszystko toczy się po staremu, a wydobywanie skarbu idzie według planu.

W pokoju zapadła cisza, kiedy każdy z mężczyzn na własny użytek delektował się myślami o niewiarygodnych bogactwach, które znajdą w głębi Cerro el Capirote. Wszyscy z wyjątkiem Sarasona, który wrócił pamięcią do spotkania z Pittem na promie. Wiedział, że to absurdalne uczucie, ale nie dawało mu spokoju oświadczenie Pitta, jakoby ten doprowadził jego i braci do skarbu. I co miał na myśli mówiąc, że zostali wrobieni? Czy Pitt po prostu kłamał, próbował mu coś powiedzieć, czy też jego słowa były bezczelną odżywką człowieka, który wie, że ma umrzeć? Sarason uznał w końcu, że szukanie odpowiedzi na te pytania zbędnie absorbuje jego czas i uwagę. Dzwonki alarmowe powinny się były rozdzwonić gdzieś w jego głowie, ale że Sarasona frapowały kwestie bieżące, co prędzej wyrzucił Pitta ze swoich myśli.

Nigdy w życiu nie popełnił większego błędu.

Micki Moore, balansując zastawioną tacą, ostrożnie zeszła po wąskich schodach do piwnicy pod hacjendą. Znalazłszy się na dole, podeszła do jednego ze zbirów Amaru, strzegącego składziku, gdzie przetrzymywano jeńców.

- Otwórz drzwi - rzuciła zdecydowanie.

- Nikomu nie wolno tu wchodzić - mruknął nieprzyjemnym tonem wartownik.

- Puść mnie, palancie - warknęła Micki - albo wyrżnę ci jajka.

Strażnika zbiły z tropu tak brutalne słowa spływające z ust eleganckiej niewiasty.

Cofnął się o krok.

- Przyjmuję rozkazy wyłącznie od Tupaca Amaru.

- Mam tu tylko żarcie, idioto. Wpuść mnie albo zacznę wrzeszczeć, a później przysięgnę Josephowi Zolarowi, że zgwałciłeś i mnie, i tę kobietę w środku.

Spojrzał na tacę i poddał się, otwierając drzwi i odstępując w bok.

- Chyba pani o tym nie powie Tupacowi?

- Nie przejmuj się - prychnęła Micki przez ramię, wchodząc do mrocznego i ciasnego pomieszczenia. Potrzebowała chwili, aby jej oczy przywykły do słabego światła. Gunn leżał na kamiennej posadzce i z trudem dźwignął się do pozycji siedzącej, Loren zaś postąpiła do przodu, jak gdyby pragnęła go sobą zasłonić.

- No, no - wymruczała z niesmakiem. - Tym razem do swej plugawej roboty wysłali kobietę.

Micki wcisnęła tacę w dłonie Loren.

- Przyniosłam trochę jedzenia. Owoce, kanapki i cztery butelki piwa. Proszę wziąć. - Potem odwróciła się i zatrzasnęła drzwi przed nosem wartownika. Kiedy ponownie spojrzała na Loren, widziała już w półmroku nieco lepiej. Oszłomił ją jej wygląd; dostrzegła obrzmiałe wargi i sińce pod oczyma. Większość odzieży Loren była poszarpana na strzępy i trzeba było pozawężać ocalałe kawałki, aby okryć biust. Micki dostrzegła również na dekolcie obrzmiałe czerwone smugi i wielobarwne sińce na ramionach i nogach.

- Sukinsyny - syknęła. - Wredne, sadystyczne sukinsyny. Nie wiedziałam, że została pani pobita, bo przyniosłabym apteczkę.

Loren uklękła i postawiła tacę na podłodze. Podąła jedną butelkę piwa Gunnowi, ale miał tak pokancerowane ręce, że nie mógł odkręcić nakrętki. Zrobiła to za niego.

- Kim jest nasza Florence Nightingale? - zapytał Gunn.

- Nazywam się Micki Moore, mój mąż jest antropologiem, a ja archeologiem. Zostaliśmy wynajęci przez Zolarów.

- Aby pomóc im odnaleźć złoty skarb Huascara? - odgadł Gunn.

- Tak, rozszyfrowaliśmy wizerunki...

- Na Złotym Sarkofagu z Tiapollo - dokończył za nią Gunn. - Wszystko o tym wiemy.

Loren nie odzywała się przez kilka chwil, jedząc łączywie kanapki i popijając piwem. Wreszcie, czując się jak nowo narodzona, popatrzyła z zaciekawieniem na Micki.

- Dlaczego pani to robi? - żeby poprawić nam samopoczucie, zanim wrócą tu i znów użyją nas jako worków treningowych?

- Nie przyłożyliśmy się do państwa przejść - odparła Micki. - Prawda wygląda tak, że Zolar i jego bracia zamierzają zabić i mnie, i mego męża, kiedy tylko wydobędą skarb.

- Skąd ta pewność?

- Mieliśmy już w przeszłości do czynienia z ludźmi podobnego pokroju. Potrafimy wyczuć, co jest grane.

- Co planują zrobić z nami? - zapytał Gunn.

- Zolar i ich przekupione sługusy w policji meksykańskiej i wojsku zamierzają rozgłosić, że utonęliście podczas próby ewakuacji z tonącego promu. Wrzucą was do podziemnej rzeki, która, jak wspominali starożytni, biegnie przez grotę ze skarbami i dociera do morza. Kiedy wasze zwłoki wypłyną na powierzchnię, nie da się dowieść, że spotkały was po drodze jakieś przykrości.

- To ma chyba ręce i nogi - wymruczała Loren. - Trzeba im to przyznać.

- Dobry Boże - powiedział Gunn - przecież nie mogą zamordować z zimną krwią deputowanej do Kongresu Stanów Zjednoczonych.

- Proszę mi wierzyć - odparła Micki - że ci ludzie nie mają żadnych skrupułów, a jeszcze mniej sumienia.

- Jak to się stało, że nie zabili nas do tej pory? - zapytała Loren.

- Obawiali się, iż wasz przyjaciel Pitt może zdemaskować całą sprawę porwania. Teraz już się tym nie przejmują. Doszli do wniosku, że stworzyli solidną legendę, która oprze się oskarżeniom jednego człowieka.

- A co z załogą promu? - zapytała Loren. - Przecież marynarze byli świadkami

uprowadzenia.

- Miejscowa policja nie dopuści, aby narobili jakiegokolwiek hałasu. Micki zawahała się przez chwilę. - Przykro mi mówić, dlaczego nie przejmują się już Pittem. Tupac Amaru przysięga, że kiedyście państwo zostali dostarczeni na hacjendę, on i jego ludzie przerobili Pitta na leguminę, obrzuciwszy go w wodzie granatami ogłuszającymi.

W fiołkowych oczach Loren pojawiła się rozpacz. Aż do tej chwili hołubiła nadzieję, że Pitt jakimś cudem umknął. Teraz czuła się tak, jakby jej serce wpadło w zimną rozpadlinę lodowca. Bezwładnie oparła się o kamienną ścianę i zakryła twarz dłońmi. Gunn z wysiłkiem powstał na nogi. W jego oczach nie było rozpaczy, lecz granitowa pewność.

- Dirk zginął? Łajza w rodzaju Amaru nigdy nie zdołałaby wykończyć człowieka takiego jak Dirk Pitt.

Micki zdumiał ten ognisty duch w człowieku tak solidnie obitym.

- Wiem tylko tyle, ile powiedział mi mąż - odparła przeproszającym tonem. - Amaru przyznał, że nie zdołał odnaleźć zwłok, ale nie wątpił, że Pitt nie miał szans na przeżycie.

- I powiada pani, że wy z mężem też jesteście na liście śmierci Zolara? - zapytała Loren.

Micki wzruszyła ramionami.

- Tak, nas też mają uciszyć.

- Proszę wybaczyć mi to określenie - odparł Gunn - ale sprawia pani wrażenie zupełnie obojętnej.

- Ja i mąż również mamy swoje plany.

- Chcecie uciec?

- Nie. Henry i ja możemy dać nogę w każdej chwili, kiedy tylko będziemy mieli na to ochotę. Zamierzamy zabrać dla siebie sporą część skarbu.

Gunn z niedowierzaniem popatrzył na Micki, a potem stwierdził cynicznie:

- Pani mąż musi być cholernie twardym antropologiem.

- Może sytuacja wyda się panu jaśniejsza, kiedy powiem, że poznaliśmy się i zakochali w sobie, realizując wspólnie misję dla Rady Działań Zagranicznych.

- Nigdy o niej nie słyszałem - odrzekł Gunn.

Loren posłała Micki oszołomione spojrzenie.

- A ja tak. RDZ wedle pogłosek jest bardzo niewyraźną i wysoce tajną

organizacją, pracującą za kulisami Białego Domu, żaden członek Kongresu nigdy nie zdołał uzyskać definitywnych dowodów na jej istnienie bądź też środki finansowania.

- Jakie jest jej przeznaczenie? - zapytał Gunn.

- Przeprowadzanie tajnych operacji pod osobistym nadzorem prezydenta, bez udziału i wiedzy innych krajowych agencji wywiadowczych - odparła Micki.

- Jakiego rodzaju tajnych operacji?

- Tak zwane brudne sztuczki, wymierzone przeciwko obcym krajom, uważanym przez Stany Zjednoczone za wrogie - odparła Loren, próbując wyczytać coś z twarzy Micki, która jednak zachowywała wciąż ten sam wyniosły i nieobecny wyraz. - Jako szeregowy członek Kongresu nie mam wglądu w ich kombinacje i mogę się tylko domyślać, podejrzewam jednak, iż podstawowym ich celem jest dokonywanie aktów skrytobójczych.

Oczy Micki stały się twarde i zimne.

- Przyznam bez oporów, że w ciągu dwunastu lat, dopóki nie przeszliśmy z tej służby w stan spoczynku, aby cały czas poświęcić archeologii, mieliśmy z Henrym niewielu sobie równych.

- Nie jestem zaskoczona - stwierdziła sarkastycznie Loren. - Podając się za naukowców, nigdy nie byliście państwo podejrzewani o to, że jesteście płatnymi mordercami na usługach prezydenta.

- Dla pani wiadomości, szanowna pani Smith, podaję, że nasze referencje akademickie nie są sfalszowane. Henry ma doktorat z Uniwersytetu Stanowego Pensylwania, a ja ze Stanford. Nie mamy żadnych wątpliwości w kwestii zadań realizowanych dla poprzednich prezydentów. Eliminując pewnych przywódców zagranicznych organizacji terrorystycznych, ocaliliśmy z Henrym więcej amerykańskich żywotów, niż chciałoby mi się liczyć.

- Dla kogo pracujecie teraz?

- Dla siebie. Jak powiedziałam, przeszliśmy w stan spoczynku. Doszliśmy do wniosku, że najwyższy czas zacząć czerpać zyski z naszej wiedzy. Służba rządowa jest bezpowrotną przeszłością. Jakkolwiek za nasze usługi płacono nam godziwie, nie otrzymaliśmy żadnej emerytury.

- Tygrysy rzadko pozbywają się pręgowanego futra - powiedział kpiąco Gunn. - Nigdy nie zrealizujecie swego celu, jeśli nie wykończycie Amaru i Zolarów.

Micki uśmiechnęła się słabo.

- Może będziemy musieli zafundować im to, co oni planują dla nas. Ale dopiero

wtedy, gdy złoto Huascara znajdzie się na powierzchni, skąd bez trudu będziemy mogli zabrać swoją część.

- Szlak będzie zatem usłany trupami.

Micki ze znużeniem otarła twarz dłonią.

- Wasze zaangażowanie w poszukiwanie skarbu stało się dla wszystkich całkowitym zaskoczeniem. Zolarowie z głupoty zareagowali paranoicznie, kiedy przekonali się, że ktoś jeszcze wpadł na ślad złota. Wściekli się, mordując i porywając każdego, kogo ich ogłupiałe z pazerności umysły postrzegały jako przeszkodę. Macie szczęście, duże szczęście, że nie zamordowali was na promie. To, że zachowali was przy życiu, świadczy o kompletnej amatorszczyźnie ich poczynań.

- Pani zaś i pani mąż - mruknęła ironicznie Loren - w takim przypadku zapewne...

- Uważa pani, że zastrzelilibyśmy was i zatopili wraz ze statkiem? - Micki pokręciła głową. - To nie w naszym stylu. Henry i ja dokonywaliśmy egzekucji jedynie na tych obywatelach obcych państw, którzy bez pardonu zabijali kobiety i dzieci albo bez zmrużenia oka czy uronienia łzy rozwalali nieszczęśników bombami w kawałki. Nigdy nie skrzywdziliśmy Amerykanina i nie zamierzamy wejść w tę branżę teraz. Chociaż wasza obecność komplikuje nasze przedsięwzięcie, zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby pomóc wam wyjść z tego całego zamieszania w jednym kawałku.

- Ale Zolarowie są Amerykanami - przypomniała Loren..

- Drobiazg natury technicznej - Micki wzruszyła ramionami. - Reprezentują największą może w historii sieć kradzieży i przemytu dzieł sztuki. Zolarowie to rekiny na światową skalę. A zresztą nie muszę państwu tego mówić, doświadczyliście brutalności tych dżentelmenów na własnej skórze. Porzucając ich kości, aby blakły w słońcu na pustyni Sonora, zaoszczędzimy amerykańskim podatnikom milionów dolarów, które w przeciwnym razie zostałyby roztrwonione na skomplikowane i czasochłonne dochodzenie w kwestii kryminalnych poczynań Zolarów. A potem, gdyby zostali schwytani i skazani, w grę wchodziłyby oczywiście koszty sądowe i utrzymanie więźniów.

- Co zamierzacie zrobić, kiedy część skarbu znajdzie się w waszych rękach! - zapytał Gunn.

Micki uśmiechnęła się cwaniacko.

- Wyślemy państwu liścik z tego kawałka świata, w którym akurat się znajdziemy, aby was poinformować, w jaki sposób ją trwonimy.

Spora grupa żołnierzy założyła punkt dowodzenia i rozstawiła posterunki w promieniu trzech kilometrów od podnóża Cerro el Capiro. Nikt nie miał prawa wstępu lub wyjścia. Szczyt góry zaroił się od ludzi i sprzętu. Skradziony śmigłowiec NUMY, przemalowany na barwy firmy Zolarów, uniósł się w bezchmurne niebo i przyjął kurs na hacjendę. Kilka minut później zawisła nad wierzchołkiem, a potem na nim usiadła ciężka maszyna transportowa należąca do armii meksykańskiej. Oddziałek saperów w mundurach polowych zeskoczył na ziemię, otworzył tylną klapę ładowni i przystąpił do wyładunku małego wózka widłowego, zwojów liny i dużej wciągarki. Urzędnicy ze stanu Sonora, pozostający u Zolarów w kieszeni, uporali się w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin z procesem wydawania wszelkich niezbędnych licencji i zezwoleń, który w normalnych okolicznościach trwałby miesiące, a nawet lata. Zolarowie obiecali sfinansować budowę nowych szkół, dróg i szpitala. Ich gotówka posmarowała chciwe łapki stanowych oficjeli, skutecznie eliminując potężną zwykle w takich razach biurokratyczną obstrukcję. Niczego nieświadome centralne władze Meksyku, wprowadzone w błąd przez swych skorumpowanych prowincjonalnych przedstawicieli, zagwarantowały pełną współpracę i nawet prośba Josepha Zolara o podesłanie grupy saperów z bazy wojskowej na półwyspie Baja spotkała się z całkowitym zrozumieniem. W myśl warunków pospiesznie zredagowanego kontraktu z Ministerstwem Skarbu Zolarowie mieli prawo do dwudziestu pięciu procent znaleziska; reszta, zdeponowana w Sądzie Najwyższym, miała przypaść państwu.

Jedyny problem związany z owym kontraktem polegał na tym, iż Zolarowie nie żywili najmniejszych zamiarów, aby dotrzymać go ze swojej strony. Daleka była im myśl o dzieleniu się skarbem z kimkolwiek. Po wydobyciu złotego łańcucha i wszystkich co wartościowszych obiektów, potajemna, przeprowadzana pod osłoną ciemności, operacja przerzutowa miała zagwarantować dostarczenie łupu na odległe lotnisko wojskowe, położone w pobliżu ogromnych wydm piaszczystych pustyni Altar, tuż na południe od granicy z Arizoną, skąd komercyjnym transportowcem odrzutowym, wymalowanym w barwy jednej z wielkich linii lotniczych, skarb zostanie wyekspediowany do małego marokańskiego miasteczka Nador, gdzie Zolarowie usytuowali jedno ze swoich centrów dystrybucyjnych. O pierwszym świtaniu wszyscy zostali przewiezieni na górę z hacjendy, na której nie pozostawiono nawet rzeczy osobistych. Tylko odrzutowiec Zolara, gotów do startu w każdej chwili, stał jeszcze na

pasie. Loren i Rudi także rankiem trafili na szczyt z więzienia. Ignorując rozkazy Sarasona, by nie komunikować się z zakładnikami, Micki Moore opatrzyła ich sińce i zadrapania, następnie zaś dopilnowała, by dostali solidny posiłek. Skoro nie istniało praktycznie ryzyko, że zdołają umknąć po stromych zboczach góry, pozostawiono ich bez straży. Oxley szybko odkrył wąską rozpadlinę, prowadzącą w głąb góry, i polecił saperom ją powiększyć, sam jednak pozostał, aby nadzorować wyładunek sprzętu, na poszukiwania skarbu zatem ruszyli tylko Moore'owie, Zolar i Sarason w towarzystwie ekipy żołnierzy z wojsk inżynieryjnych, którzy nieśli przenośne fluorescencyjne reflektory. Kiedy dotarli do drugiego demona, Micki - tak samo jak wcześniej Shannon Kelsey - miłośnie musnęła jego ślepią. Westchnęła.

- Cudowna robota.

- I pięknie zachowana - zgodził się z żoną Henry Moore.

- Ale trzeba ją będzie zniszczyć - stwierdził obojętnie Sarason.

- O czym pan mówi? - spytał zaczepnie Moore.

- Nie możemy tego ruszyć. Szpetne bydlę blokuje prawie cały tunel. Żadnym cudem nie przeciągniemy łańcucha Huascara nad nim, obok niego czy też pomiędzy jego łapami.

Micki była tak zaszokowana, że stężała jej twarz.

- Nie może pan zniszczyć historycznego arcydzieła.

- Możemy i zniszczymy - wtrącił Zolar, udzielając bratu poparcia. - Zgadzam się, że to niefortunna sytuacja. Nie mamy jednak czasu na archeologiczną nadgorliwość. Rzeźba musi pójść na rozkurz.

Z twarzy Moore'a znikł wyraz niezadowolenia, a jego rysy stwardniały, profesor popatrzył na żonę i pokiwał głową.

- Ofiary są czasami niezbędne.

Micki zrozumiała. Jeśli mieli zamiar zagarnąć dość złotych bogactw, by żyć w luksusie do końca swoich dni, teraz trzeba się było pogodzić ze zniszczeniem demona. Ruszyli do przodu, Sarason zaś pozostał z saperami, którym polecił podłożyć ładunki wybuchowe pod rzeźbę.

- Tylko ostrożnie - powiedział po hiszpańsku. - Nie dajcie za dużo tego towaru, żeby nie spowodować obwału.

Kiedy dotarli do krypty strażników skarbu, Zolara zdumiał okazywany przez Moore'ów bezmiar energii i entuzjazmu. Gdyby dać im wolną rękę, przed podjęciem poszukiwań groty ze skarbem spędziliby tydzień na studiowaniu mumii i ornamentyki



grzebalnej.

- Chodźmy już - rzucił ze zniecierpliwieniem Zolar. - Możecie tu powęszyć później.

Niechętnie ruszyli dalej, a na kwaterze strażników spędzili tylko kilka chwil, ponaglił ich bowiem Sarason, który właśnie dołączył do grupy. Niespodziewany widok strażnika, zamkniętego w kryształach kalcytu, zaszokował ich i oszołomił, tak samo jak wcześniej Pitta i jego kompanów. Henry Moore wbił wzrok w przezroczysty sarkofag.

- Starożytny Czaczapoja - wymruczał z nabożeństwem człowieka stojącego przed krucyfiksem. - Zachowany takim, jakim był w chwili śmierci. To niewiarygodne odkrycie.

- Musiał być zajmującym wysokie stanowisko wojownikiem szlacheckiego pochodzenia - szepnęła Micki.

- Logiczny wniosek, moja droga. Ten człowiek musiał być naprawdę osobą znaczną, skoro powierzono mu odpowiedzialność strzeżenia olbrzymich królewskich skarbów.

- Jak, pańskim zdaniem, przedstawia się jego wartość? - zapytał Sarason.

Moore odwrócił głowę i spiorunował go spojrzeniem.

- Nie sposób ustalić ceny na obiekt tak niezwykły. To okno w przeszłość i jako takie - jest bezcenne.

- Znam zbieracza, który da za niego pięć milionów dolarów - rzekł Zolar tonem antykwariusza, oceniającego wazę z epoki Ming.

- Ten czaczapojański wojownik należy do nauki - gniewnie zareplikował Moore.

- To namacalne ogniwo łączące przeszłość z teraźniejszością i jego właściwym miejscem jest muzeum, nie zaś salon jakiegoś moralnie zgniłego kolekcjonera skradzionych artefaktów.

Zolar posłał Moore'owi podstępne spojrzenie.

- W porządku, doktorze, jest pański za wymienioną cenę w złocie.

Moore'em miały sprzeczne uczucia: jego zawodowe normy wartości szły o lepsze z pospolitą ludzką pazernością. Teraz, gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że dziedzictwo Huascara jest czymś znacznie większym aniżeli nawet ogromne bogactwo, czuł się splugawiony i zawstydzony. Świadomość, że idzie ręką w rękę z pozbawionymi skrupułów szumowinami, przejmowała go głębokim ubolewaniem, ścisnął żonę za rękę, nie wątpiąc, że podziela jego uczucia.

- Jeśli nie ma innego wyjścia, układ stoi.

Zolar parsknął śmiechem.

- A skoro stoi, to może przynajmniej my pójdziemy poszukać tego, po cośmy przyszli?

Kilka minut później, stojąc ramię przy ramieniu na brzegu podziemnej rzeki, patrzyli jak zahipnotyzowani na skąpaną w świetle reflektorów fluorescencyjnych niewiarygodną wystawę złotych przedmiotów. Widzieli tylko skarb - rzeka, przedzierająca się przez trzewia ziemi, sprawiała na nich wrażenie mało istotnego rekwizytu.

- Cóż za widok! - wyszeptał Zolar. - Nie mogę uwierzyć, że mam przed oczyma taki bezmiar złota.

- To bez trudu bije na głowę skarby z grobowca Tutanchamona - stwierdził Moore.

- Cudowne - dodała Micki, ściskając męża za ramię. - To bez wątplenia najbogatsze znalezisko w obu Amerykach.

Oszołomienie Sarasona miało krótki żywot. Starego złodzieja dzieł sztuki interesowały przede wszystkim względy praktyczne.

- Cholerni spryciarze z tych starożytnych sukinsynów - warknął oskarżycielsko. - W dwójnasób skomplikowali nam robotę, umieszczając skarb na wysepce opływanej silnym nurtem.

- Tak, ale my dysponujemy nylonowymi linami i wciągarkami - odparł Moore. - Proszę tylko pomyśleć o problemach, jakie oni mieli z transportem złota na wyspę, skoro dysponowali jedynie linami konopnymi i siłą ramion.

Micki dostrzegła złotą małą, przycupniętą na piedestale.

- To dziwne - stwierdziła.

- Co jest dziwne? - Zolar spojrzał na nią pytająco.

Micki podeszła do przewróconej figuryнки.

- Dlaczego została na tym brzegu?

- Tak, osobliwe, dlaczego ten obiekt nie spoczywa na wyspie wraz z innymi - zgodził się Moore. - Wygląda to tak, jakby został tu ciśnięty.

Sarason wskazał ślady na piasku i kryształki kalcytu na brzegu rzeki.

- Powiedziałbym raczej, że został przyciągnięty z wyspy.

- Jest tu napis - oznajmił nagle Moore.

- Może zdoła pan coś rozszyfrować? - zapytał Zolar.

- Nic nie muszę rozszyfrowywać. Napis jest po angielsku.

Sarason i Zolar popatrzyli nań z wyrazami twarzy bankierów z Wall Street, których przygodnie napotkany na ulicy bezdomny żebrak prosi o odpalenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Tylko bez żartów, doktorze - powiedział Zolar.

- Jestem śmiertelnie poważny. Ktoś w miękkim złocie podstawy piedestału wyrzył - i to, jak sędzę, niedawno - kilka zdań.

- Jakich zdań?

Moore przywołał gestem sapera z lampą, poprawił okulary i zaczął czytać na głos: Witajcie, szanowni członkowie Solpemachaco, na dorocznym konwencie rabusiów i hien cmentarnych. Jeżeli nie macie w życiu innych ambicji, aniżeli kładzenie łap na nie swoich dobrach, trafiliście we właściwe miejsce. Czujcie się jak u siebie i weźcie tylko te obiekty, które się wam przydadzą. Sympatyzujący z wami sponsorzy: dr Shannon Kelsey, Miles Rodgers, Al Giordino i Dirk Pitt Trzeba było chwili, aby do wszystkich dotarł sens tej wiadomości; potem Zolar warknął do brata:

- O co tu, do cholery, chodzi? Co to za kretyńskie żarty?

Sarason zaciskał usta.

- Pitt przyznał, że doprowadził nas do demona - rzekł wreszcie z niechęcią - ale nie wspomniał nawet, iż zszedł w głąb góry i widział skarb.

- Hojnie szafował informacjami, co? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie żyje. - Sarason wzruszył ramionami. - Sądziłem, że to rzecz bez znaczenia.

- Znam doktor Kelsey - powiedziała Micki do męża. - Spotkałam ją na konferencji archeologicznej w San Antonio. Cieszy się doskonałą opinią jako specjalistka od kultur andyjskich.

Moore skinął głową.

- Tak, słyszałem o jej osiągnięciach. - Gniewnie popatrzył na Sarasona. - Dawał nam pan do zrozumienia, że deputowana Smith i faceci z NUMY po prostu bawią się w poszukiwanie skarbów. Nawet pan nie wspomniał, że w całą historię są zaangażowani zawodowi archeologowie.

- A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Coś tu wymyka się spod pańskiej kontroli - ostrzegł Moore, delektując się najwyraźniej zakłopotaniem Zolara. - Na pańskim miejscu zabrałbym się za skarb jak najszybciej.

Akcentem, który podkreślił wagę jego słów, stał się dobiegający z oddali

zduszony odgłos wybuchu.

- Skoro Pitt zginął, nie mamy się czego obawiać - z upartym przekonaniem powiedział Sarason. - To, co pan teraz widzi, zdołał zrobić, zanim Amaru go wyeliminował. Lecz był mokry od potu, a w uszach dudniły mu słowa Pitta: „Zostałeś wrobiony, brachu”.

Wyraz twarzy Zolara zaczął ulegać powolnej przemianie: usta się ściągnęły, szczeka - cofnęła, w oczach zabłysł niepokój.

- Nikt, kto odkrywa skarb tak ogromny, nie wycofuje się dyskretnie, pozostawiając kretyńską notatkę. W szaleństwie tych ludzi jest metoda i miałbym wielką ochotę poznać ich plany.

- Ktokolwiek stanie na naszej drodze, zanim zakończymy ewakuację skarbu, zostanie zniszczony! - wrzasnął Sarason do brata. - Masz to jak w banku!

Jego słowa były tak pełne mocy i groźby, że wszyscy dali im wiarę. Z wyjątkiem Micki Moore. Tylko ona bowiem stała dostatecznie blisko Sarasona, by spostrzec, że drżą mu wargi.

Biurokraci z wszystkich zakątków świata wyglądają tak samo - pomyślał Pitt - a o sztuczności anonimowego uśmiešku świadczy pobłażliwy wyraz ich oczu. Zapewne wszyscy chodzili do tej samej szkoły i wykuli na pamięć ten sam zestaw „wykrętnych zdaneł”. Urzędas, który wzbudził te refleksje, był łysy, nosił grube szkła w rogowych oprawkach i czarny wąs tak wypielęgowany, iż można było odnieść wrażenie, że każdy włoszek przycinano z osobna. Wysoki, zadowolony z siebie Fernando Matos, którego profil i wyniosłość siedzącym w pokoju Amerykanom przywołała na myśl hiszpańskiego konkwistadora, był wręcz laboratoryjnym okazem biurokraty protekcyjnego i zaprawionego w szermierce słownej. Teraz, w budynku służby celnej położonym niespełna sto metrów od granicy, posłał swym gospodarzom wyczekujące spojrzenie.

Admirał Sandecker, który przyleciał z Waszyngtonu tuż po Gaskillu i Ragsdale'u, przybyłych z Galveston, odpowiedział równie przeciągłym spojrzeniem, ale się nie odezwał. Shannon, Rodgers i Giordino siedzieli pod ścianą, Pitt zajął miejsce po prawicy admirała. Prowadzenie rozmowy pozostawili szefowi służby celnej w tym regionie, Curtisowi Stargerowi. Starger, celnik o szesnastoletnim stażu zawodowym, widział w życiu wszystko i nic go nie było w stanie zaskoczyć. Sprężysty, przystojny mężczyzna o wyrazistych rysach i włosach blond, sprawiający raczej wrażenie starzejącego się ratownika z plaży w San Diego aniżeli hartownego agenta, patrzył na Matosa wzrokiem, od którego azbest zająłby się ogniem. Po dopełnieniu prezentacji przystąpił do ataku.

- Daruję, sobie kurtuazję, panie Matos. W sprawach podobnej wagi zwykłem mieć do czynienia z wybitnymi przedstawicielami waszych agend egzekwowania prawa, w szczególności z inspektorem Granadosem i szefem północnomeksykańskiego wydziału śledczego, senior Rojasem. Chciałbym zatem usłyszeć z pańskich ust wyjaśnienie, dlaczego do rozmów z nami oddelegowano niższego urzędnika z bliżej mi nie znanej komórki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Mam wrażenie, iż władze centralne w Mexico City są w tej sprawie również nie doinformowane jak my. Matos bezradnie rozłożył ręce. Nawet nie drgnęła mu powieka i miał wciąż przyklejony do twarzy sztuczny uśmiešek. Jeśli poczuł się urażony słowami Stagera, nie dał tego po sobie poznać.

- Inspektor Granados prowadzi sprawę w Hermosillo, senior Rojas zaś obłożnie zachorował.

- Przykro mi to słyszeć - mruknął nieszczercze Starger.

- Jestem pewien, że gdyby nie wspomniane przeze mnie okoliczności, z najwyższą radością udzieliliby państwu swego czasu. Podzielam panów irytację. Zapewniam jednak, że mój rząd uczyni wszystko, aby współpraca z panami w interesującej was kwestii ułożyła się jak najlepiej.

- Prokuratura Stanów Zjednoczonych ma powody sądzić, iż trzech mężczyźni, występujący pod nazwiskami Joseph Zolar, Charles Oxley i Cyrus Sarason, przy czym są to bracia, prowadzą rozległą międzynarodową działalność polegającą na kradzieży, przemyśle i fałszowaniu dzieł sztuki. Mamy również powody przypuszczać, iż ludzie ci dopuścili się porwania szanowanej członkini Kongresu Stanów Zjednoczonych, tudzież pracownika najbardziej prestiżowej w naszym kraju agencji badań oceanicznych.

- Zupełny absurd. - Matos bezbarwnie się uśmiechnął za swym biurokratycznym oszańcowaniem. - Jak doskonale wiecie, panowie, zwłaszcza po swej bezowocnej akcji w Galveston, reputacja Zolarów pozostaje niepokalana.

Gaskill ironicznie skrzywił się do Ragsdale'a.

- Jakże szybko roznoszą się wieści.

- Ci panowie, na których ściganiu tak bardzo wam zależy, nie pogwałcili w Meksyku żadnych praw, nie mamy zatem uzasadnionych powodów, aby wszczynać przeciwko nim śledztwo.

- Cóż więc robicie, żeby doprowadzić do uwolnienia deputowanej Smith i dyrektora Gunna?

- Sprawą tą zajęły się nasze najlepsze ekipy śledcze - zapewnił Matos. - Moi przełożeni poczynili już pewne kroki, aby sprostać ewentualnemu żądaniu okupu. I gwarantuję panom, że aresztowanie bandytów, odpowiedzialnych za tę zbrodnię oraz uwolnienie waszych rodaków jest zaledwie kwestią godzin.

- Wedle naszych informatorów owymi bandytami są właśnie Zolarowie.

Matos żywo pokręcił głową.

- Nie, dowody wskazują, że za porwaniem stoi grupka pospolitych opryszków.

Do potyczki włączył się Pitt.

- A skoro o porwaniach mowa... Co z załogą promu? Gdzie się podziała?

Matos ze wzgardą spojrział na Pitta.

- To w tej chwili nie ma znaczenia, dodam jednak, że nasi funkcjonariusze dochodzeniowi dysponują czterema zeznaniami, które wskazują na pana jako

inspiratora przestępstwa.

- Czy pańscy funkcjonariusze dochodzeniowi okazali się na tyle przenikliwi, by wskazać również motywy mego postępowania?

- Motywy mnie nie obchodzą, panie Pitt. Opieram się na dowodach. Skoro jednak podniósł pan tę kwestię... otóż członkowie załogi sugerują w swoich zeznaniach, że mógł pan zamordować deputowaną Smith i dyrektora Gunna, aby nie dzielić się z nikim znalezionym skarbem.

- Pańscy gliniarze mają chyba Alzheimera, jeśli potrafią przełknąć takie idiotyzmy - warknął Giordino.

- Dowód jest dowodem - odparł niewzruszenie Matos. - Jako przedstawiciel rządu kieruje, się w swych poczynaniach wyłącznie literą prawa.

Pitt przełknął absurdalne oskarżenie jak gdyby nigdy nic i zaatakował z flanki.

- Niech mi pan powie, senior Matos, jaką część złota otrzyma pan w charakterze swojego udziału?

- Pięć... - Matos za późno ugryzł się w język.

- Czyżby zamierzał pan powiedzieć „pięć procent”? - zapytał przymilnie Starger.

Matos przechylił głowę i wzruszył ramionami.

- Nie miałem zamiaru powiedzieć niczego w tym rodzaju.

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że pańscy przełożeni przymknęli oko na bardzo poważną aferę - stwierdził Sandecker.

- Nie ma żadnej afery, panie admirale. Gotów jestem przysiąc.

- Otóż sens tego, co nam tu pan przekazuje, jest mniej więcej taki - włączył się Gaskill - że przedstawiciele władz stanowych Sonory zawarli z Zolarami układ, zmierzający do zatrzymania peruwiańskiego skarbu.

Matos uniósł dłoń.

- Peruwiańczycy nie mają żadnych podstaw, by rościć sobie prawo do skarbu. Wszystkie artefakty, znalezione w meksykańskiej ziemi, należą do naszego narodu...

- Te należą do narodu peruwiańskiego - wtrąciła zarumieniona z gniewu Shannon. - Jeśli pański rząd ma jakiegokolwiek poczucie uczciwości, zaproponuje Peruwiańczykom chociażby podział.

- Stosunki międzynarodowe nie są tak proste, doktor Kelsey - odrzekł Matos.

- A co by pan mówił, gdyby złoty skarb Montezumy odnaleziono w Andach?

- Nie jestem powołany do tego, by osądzać karkołomne spekulacje - odparł z

tęym uporem Matos. - A poza tym pogłoski o skarbie są mocno przesadzone. Jego prawdziwa wartość nie jest w gruncie rzeczy godna wzmianki.

- O czym pan gada? - w Shannon jakby piorun strzelił. - Widziałam skarb Huascara na własne oczy. Jeśli już, jest znacznie, znacznie większy, niż dotąd sądzono. Szacuję jego wartość na jakiś miliard dolarów.

- Zolarowie są ogólnie szanowanymi antykwariuszami, wysoko w świecie cenionymi za prawidłowość dokonywanych wycen. Wedle ich opinii, wartość skarbu nie przekracza trzydziestu milionów dolarów.

- Panie - warknęła wściekle Shannon - w każdej chwili i o każdym czasie jestem gotowa poddać osądowi swoje i ich referencje w kwestii umiejętności oceny twórców kultur peruwiańskich. Powiem to prostym językiem: Zolarowie pieprzą od rzeczy.

- Ich słowo przeciwko pani słowu - stwierdził ze spokojem Matos.

- Jak na skarb tak mierny - wtrącił Ragsdale - organizują nader rozległą akcję wydobywczą.

- Pięciu, może dziesięciu robotników, żeby wynieść złoto z jaskini. Ot i wszystko.

- Chce pan może zobaczyć satelitarne zdjęcia wierzchołka Cerro el Capirote, na którym aż się roi od ludzi i śmigłowców?

Matos milczał, jakby nie dotarło do niego ani jedno słowo.

- A wynagrodzenie Zolarów? - zapytał Starger. - Czy pozwolicie im wywieźć artefakty z kraju?

- Ich wysiłki na rzecz społeczności stanu Sonora nie zostaną niedocenione. Zolarowie otrzymają za nie rekompensatę.

Nikt z obecnych nie kupił tej oczywistej bzdury.

Admirał Sandecker, najwyższy stopniem amerykański urzędnik uczestniczący w spotkaniu, popatrzył na Matosa i obdarzył go rozbrajającym uśmiechem.

- Jutro rano mam spotkanie z prezydentem naszego kraju. Wtedy też poinformuję go o niepokojących wydarzeniach w zaprzyjaźnionym skądinąd państwie, o tym, jak opieszale meksykańscy funkcjonariusze prawa prowadzą dochodzenie w sprawie porwania naszych wysoko postawionych rodaków, a właściwie rozciągają nad nim zasłonę dymną. Nie muszę panu przypominać, senior Matos, że niebawem Kongres Stanów Zjednoczonych ma podjąć debatę na temat traktatu o wolnym handlu z Meksykiem. Gdy nasi deputowani zostaną poinformowani, jak brutalnie potraktował pan ich koleżankę, jak ochoczo współpracował ze złodziejami i



przemysłowcami dzieł sztuki, mogą dojść do wniosku, że ścisła współpraca handlowa z pańską ojczyzną nie ma wielkich perspektyw. Krótko mówiąc, senior, waszemu prezydentowi zwali się na głowę potężny skandal.

W skrytych za okularami oczach Matosa nagle rozbłysła panika.

- Nie ma powodów, aby tak drobna kontrowersja spotkała się z równie drastyczną reakcją.

Pitt dostrzegł pot, który zaperlił się na łysinie meksykańskiego biurokraty, i zwrócił się do swego szefa:

- Marny ze mnie ekspert od gier politycznych, panie admirale, ale o co chce się pan ze mną założyć, iż ani prezydent Meksyku, ani jego ministrowie nie zostali poinformowani o prawdziwym stanie rzeczy?

- Podejrzewam, że byś wygrał - odparł Sandecker. - I to by tłumaczyło, dlaczego mamy do czynienia z płótką.

- To nieporozumienie, mój kraj jest gotów współpracować z panami na wszelkie możliwe sposoby. - Matos, z którego twarzy odpłynęła cała krew, wyglądał tak, jakby zbierało mu się na wymioty.

- Powiedz pan swoim przełożonym z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - rzekł Pitt - czy dla kogo tam pan pracujesz, że nie są tacy cwani, jak im się zdaje.

- I na tym zakończmy spotkanie - rzekł Starger. - Rozważymy nasze opcje i poinformujemy swoje władze o przedsięwziętych działaniach jutro o tej samej porze.

Matos usiłował odzyskać chociaż część godności. Patrząc żałobnie, powiedział spokojniejszym już tonem:

- Muszę panów ostrzec, że jakakolwiek próba wysłania do Meksyku sił specjalnych...

- Daję panu dwadzieścia cztery godziny - przerwał mu Sandecker - na odesłanie deputowanej Smith i dyrektora Gunna, całych i zdrowych, na przejście graniczne pomiędzy Mexicali a Calexico. Jedna minuta spóźnienia... i posypią się głowy.

- Pańskie stanowisko nie upoważnia do wygłaszania gróźb.

- Trudno przewidzieć reakcję prezydenta, gdy mu powiem, że wasze siły bezpieczeństwa usiłują z pani Smith i Gunna torturami wydobyć tajemnice państwowe.

- Ależ to kłamstwo! - wykrzyknął ze zgrozą Matos. - Całkowite zmyślenie!

- A widzi pan? - Sandecker lodowato się uśmiechnął. - Ja też jestem dobry w te klocki.

- Daję panu uroczyste słowo, że...

- Dość na tym, senior Matos - powiedział Starger. - Proszę na bieżąco informować moje biuro o rozwoju wydarzeń.

Matos wychodząc z sali konferencyjnej, wyglądał jak facet, na którego oczach hydraulik uwiódł żonę, a samochód mleczarza rozjechał psa. Ledwie wyszedł, Ragsdale, dotąd tylko przysłuchujący się rozmowie, powiedział do Gaskilla:

- No, przynajmniej korzyść z tego taka, że wiemy, iż nie mają pojęcia o wpadce ich składów.

- Miejmy nadzieję, że pozostaną w nieświadomości jeszcze przez dwa dni.

- Zrobiliście już inwentaryzację skradzionych towarów? - zapytał Pitt.

- Jest tego tyle, że trzeba tygodni, aby opisać każdy obiekt.

- Czy może przypomina pan sobie wyrzeźbione z topoli indiańskie bożki?

Gaskill zastanowił się chwilę.

- Nie, niczego w tym stylu.

- Proszę o sygnał, gdyby pan na nie trafił. Mam indiańskiego przyjaciela, który bardzo by je chciał odzyskać.

- No i co pan sądzi o sytuacji, panie admirale? - Ragsdale spojrzał na Sandeckera.

- Zolarowie naobiecowali gwiazdek z nieba - odrzekł Sandecker. - Podejrzewam, że gdyby zostali aresztowani, pospolite ruszenie obywateli Sonory uwolniłoby ich z więzienia.

- Nie dopuszczą do tego, żeby Loren i Rudi odzyskali wolność i mogli mówić - stwierdził Pitt.

- Z przykrością podnoszę tę kwestię - odezwał się cicho Ragsdale - ale być może już nie żyją.

Pitt pokręcił głową.

- Nie dopuszczam do siebie takiej myśli.

Sandecker wstał i aby dać upust frustracji, zaczął przemierzać pokój od ściany do ściany.

- Jeśli nawet prezydent zaaprobuje tajną operację wojskową, nasz oddział szybkiego reagowania nie będzie miał pojęcia, gdzie szukać Loren i Rudiego.

- Coś mi mówi, że Zolarowie trzymają ich na górze - zasugerował Giordino.

- Może pan mieć rację. - Starger kiwnął głową. - Hacjenda, którą wykorzystywali w charakterze bazy operacyjnej, sprawia wrażenie opustoszałej.

- Nawet jeśli jeszcze żyją - westchnął Ragsdale - nie sądzę, aby mogli pożyć długo.

- A my możemy tylko gapić się przez płot - dodał z goryczą Starger.

Ragsdale spojrział przez okno w stronę granicy.

- FBI nie może przeprowadzić akcji na ziemi meksykańskiej.

- Ani służby celne - uzupełnił Gaskill.

Pitt przez chwilę spoglądał na agentów federalnych, a potem zwrócił się wyłącznie do Sandeckera:

- Oni nie mogą, ale NUMA może.

Wszyscy, kompletnie zbici z pantafelów, zapatrzyli się nań jak cielę na malowane wrota.

- Co niby możemy? - zapytał Sandecker.

- Dostać się do Meksyku, żeby uratować Loren i Rudiego, nie wywołując przy tym reperkusji politycznych.

- Jasne, że możecie - roześmiał się Gaskill. - Przejście przez granicę to żadna sztuka, ale niech pan zważy, iż Zolarowie mają po swojej stronie policję i wojsko. Zdjęcia satelitarne pokazują jasno, jak silnie jest strzeżone podnóże i szczyt Cerro el Capirote. Nie zdołacie się zbliżyć na dziesięć kilometrów, bo wcześniej zarobicie kulkę.

- Nie zamierzałem podchodzić czy też podjeżdżać do góry - odparł Pitt.

Starger popatrzył na niego i obnażył zęby w niewesołym uśmiechu.

- I cóż takiego może wykręcić NUMA, co nie przychodzi do głowy FBI czy służbom celnym? Popłynąć nad pustynią?

- Nie, nie nad pustynią - odrzekł Pitt śmiertelnie poważnym tonem. - Pod.

**CZEŚĆ IV**  
**KOSZMARNĄ PRZEPRAWA**

31 października 1998

Studnia Szatana, Półwysep Kalifornijski, Meksyk

## 48

W stromym urwisku wypalonych słonecznym żarem wzniesień na północnym skraju gór Sierra el Mayor, niemal pięćdziesiąt kilometrów na południe od Mexicali, znajduje się wejście do naturalnie uformowanego tunelu, wyżłobionego wiele milionów lat temu przez fale prehistorycznego morza. Korytarz ukosem schodzi w dół, aż do dna niewielkiej groty, wyrzeźbionej w skale wulkanicznej przez wody epoki plioceńskiej i później przez nanoszone wiatrem piaski. Tam, na dnie groty, spod pustyni wypływa kobaltowobłękitna woda. Jest tak przejrzysta, że wypełniona nią studnia sprawia wrażenie bezdennej.

„Pod żadnym względem nie przypomina to sadzawki ofiarnej w Peru” - pomyślał Pitt, z troską w oczach spoglądając na żółtą nylonową linkę pograżającą się w przezroczystych głębinach. Siedział na głazie przy krawędzi studni, lekko zaciskając dłonie na owej linie, której koniec był owinięty na bębnie niewielkiego kołowrotu.

Na zewnątrz, osiemdziesiąt metrów ponad dnem dziury, admirał Sandecker siedział na leżaku obok przerdzewiałej i obtłuczonej półtonowej półciężarówki chevrolet z 1951 roku z zamocowaną do haka przyczepą, która wyglądała tak, jakby właściciel wiele lat temu zapomniał oddać ją na złomowisko. Parkował przy niej jeszcze jeden wóz - znużony życiem kombiak plymouth belvedere z 1968 roku. Oba wozy miały tablice rejestracyjne ze stanu Baja California Norte. Admirał w jednej dłoni dzierżył puszkę piwa Coors, drugą zaś trzymał lornetkę, przez którą lustrował okolicę. Jego strój doskonale harmonizował z wyglądem półciężarówki i Sandecker sprawiał dzięki temu wrażenie jednego z tysięcy emerytowanych amerykańskich włóczykijów, którzy za marne grosze podróżują po Półwyspie Kalifornijskim. Sandecker był zaskoczony widokiem tak wielu roślin kwitnących na pustyni Sonora, gdzie niedostatek wody jest zjawiskiem normalnym, a klimat miota się pomiędzy ekstremami silnych nocnych przymrozków zimą i letnich upałów godnych hutniczego pieca, w oddali dostrzegł niewielkie stado koni pasących się na trawie. Zadowolony, że jedyne żywe istoty w jego najbliższym otoczeniu to wygrzewający się na skale czerwony grzechotnik i królik o czarnym ogonku - który podskoczył bliźniutko, popatrzył nań chwilę, a potem uciekł w długich susach - Sandecker wstał z leżaka i niespiesznie ruszył tunelem w dół w stronę studni.

- Pojawili się jacyś stróże porządku? - zapytał Pitt na widok zbliżającego się

admirala.

- Nic poza węzami i królikami - mruknął Sandecker. Skinieniem głowy wskazał wodę.

- Od jak dawna są na dole?

Pitt zerknął na zegarek.

- Od trzydziestu ośmiu minut.

- Czułbym się o wiele lepiej, gdyby używali profesjonalnego sprzętu zamiast tego badziewia pożyczonego od tutejszych agentów celnych.

- Jeśli mamy ocalić Loren i Rudiego, liczy się każda minuta. Przeprowadzając wstępne rozpoznanie, oszczędzamy sześć godzin, czyli tyle, ile potrzebuje nasz supernowoczesny sprzęt, aby dotrzeć z Waszyngtonu do Calexico.

- Ta operacja to czyste szaleństwo - stwierdził Sandecker ze znużeniem w głosie.

- A mamy jakąś alternatywę?

- Chyba żadna nie przychodzi mi do głowy.

- A zatem musimy spróbować - powiedział stanowczo Pitt.

- Nie masz nawet pojęcia, czy istnieje najwątlesza szansa, że...

- Dali znak - przerwał admirałowi Pitt, kiedy lina naprężyła się w jego dłoniach.

- Wychodzą.

Ciągnął linę, a Sandecker, trzymając kołowrót między kolanami, kręcił korbą i w ten sposób wspólnie zaczęli podciągać dwóch płetwonurków, którzy byli gdzieś w głębi studni na drugim końcu dwustumetrowej liny. Piętnaście długich minut później, ciężko już zdyszani, wyciągnęli na powierzchnię czerwony węzeł, oznaczający trzeci pięćdziesięciometrowy punkt.

- Zostało jeszcze pięćdziesiąt - wysapał Sandecker. Kręcąc korbą przyciągnął do siebie cały kołowrót, usiłując ulżyć Pittowi, na którym spoczywała najcięższa robota. Admirał był fanatykiem dbałości o zdrowie, biegał dziesięć kilometrów dziennie, a od czasu do czasu ćwiczył na siłowni centrum zdrowia przy kwaterze głównej NUMY, wysiłek jednak związany z nieprzerwanym ciągnięciem martwego ciężaru przyprawił go o palpację. - Widzę ich - wydyszał wreszcie z ulgą..

Pitt puścił linę i przysiadł, aby złapać oddech.

- Z tego miejsca dadzą sobie radę o własnych siłach.

Pierwszy wyszedł na powierzchnię Giordino. Zdjął swoje podwójne butle i podał je Sandeckerowi, potem wyciągnął rękę w stronę Pitta, ten zaś odchylił się do

tyłu i silnym szarpnięciem pomógł przyjacielowi wydostać się z wody. Następnie pojawił się doktor Peter Duncan, hydrolog z Amerykańskiego Instytutu Badań Geologicznych, który przybył do Calexico z San Diego wynajętym odrzutowcem zaledwie godzinę po telefonie Sandeckera.

Zrazu sądził, iż admirał żartuje na temat podziemnej rzeki, ale ciekawość przemogła w nim sceptycyzm, tak więc rzucił wszystko i dołączył do akcji. Wypluł ustnik aparatu oddechowego.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie tak ogromnego źródła wody - oświadczył pomiędzy jednym głębokim oddechem a drugim.

- Znaleźliście dojdzie do rzeki! - radośnie stwierdził Pitt.

- Studnia schodzi w dół mniej więcej sześćdziesiąt metrów. Potem napotyka poziomy strumień zasilający, który na odcinku stu dwudziestu metrów biegnie do rzeki przez serię wąskich rozpadlin - wyjaśnił Giordino,

- Zdołamy jakoś tamtędy przeciągnąć sprzęt pływający? - zapytał Pitt.

- Miejscami bywa ciasno, aby chyba uda nam się przepchać.

- Temperatura wody?

- Chłodna, dwadzieścia stopni Celsjusza, ale ujdzie.

Duncan ściągnął kaptur, uwalniając ogromną krzaczastą rudą brodę. Nie podejmował wysiłku wykaraskania się ze studni. Wsparty łokciami o jej krawędź, paplał z podnieceniem:

- Nie wierzyłem, kiedy opisywałeś szeroką rzekę, która z prędkością dziewięciu węzłów płynie pod pustynią Sonora, i chociaż już widziałem ją na własne oczy, ciągle nie wierzę. Myślę, że tam, w dole przepływa rocznie od dziesięciu do piętnastu bilionów metrów sześciennych wody.

- Czy sądzisz, że to ta sama podziemna rzeka, która przepływa pod Cerro el Capirote? - zapytał Sandecker.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości - odrzekł Duncan. - Teraz, kiedy przekonałem się o istnieniu rzeki, gotów jestem pójść o zakład, że to ten sam ciek, który wedle stwierdzenia Leigha Hunta przepływa pod górami Castle Dome.

- A zatem złoty kanion Hunta prawdopodobnie istnieje - powiedział Pitt z uśmiechem.

- Znasz tę legendę?

- Teraz już nie legendę.

Przez twarz Duncana przemknął wyraz szczęścia.

- No, chyba nie, i przyznaję to z radością.

- Dobrze, że byliśmy przywiązani do liny - stwierdził Giordino.

Duncan skinął głową.

- W rzeczy samej. Bez liny zostalibyśmy porwani przez rzekę, kiedy dotarliśmy do końca dopływu.

- I dołączylibyśmy do tych dwóch płetwonurków, którzy wylądowali w zatoce.

- Cholera, ciekawe, gdzie jest źródło - powiedział z zadumą Sandecker.

Giordino potarł dłonią swą kędzierzawą czuprynę.

- Najnowocześniejsze z geofizycznych instrumentów do penetrowania gruntu powinny bez problemu prześledzić kurs rzeki.

- Trudno przewidywać, co odkrycie na taką skalę może oznaczać dla trapiącego suszami Południowego Zachodu - rzekł Duncan, wciąż podniecony tym, co zobaczył. - Tysiące miejsc pracy, miliony hektarów ziemi uprawnej, pastwiska dla trzody. Może nawet na naszych oczach pustynia zamieni się w ogrody Edenu.

- Złodzieje utoną w wodzie, która z pustyni uczyni ogród - powiedział Pitt, patrząc w krystaliczny błękit studni i przypominając sobie słowa Billy'ego Yumy.

- Co tam burczysz? - zaciekawiał się Giordino.

Pitt z uśmiechem pokręcił głową.

- To tylko indiańskie powiedzonko.

Wyniósłszy na powierzchnię cały sprzęt, Giordino i Duncan zdjęli kombinezony, Sandecker zaś przystąpił do załadunku manatków do plymoutha. Pitt przeszkodził mu w pracy, podjeżdżając starą półciązarówką.

- Spotkam się tu z panem za dwie godziny - poinformował.

- Masz coś przeciwko temu, żeby mi powiedzieć, gdzie jedziesz?

- Muszę zobaczyć się z pewnym facetem w sprawie zmobilizowania armii.

- Z kimś, kogo znam?

- Nie, ale jeśli sprawy potoczą się chociaż w przybliżeniu po mojej myśli, będzie pan ścisnąć mi dłoń i przypinać medal, zanim zacznie zachodzić słońce.

Gaskill i Ragsdale czekali na niewielkim lotnisku na zachód od Calexico po amerykańskiej stronie granicy. Samolot NUMY wreszcie wylądował i podkołował do dużej furgonetki służb celnych. Zaczęli przenosić sprzęt do nurkowania z ładowni samolotu do furgonetki, kiedy podjechali Sandecker i Giordino.

Pilot uściskał im dłonie.

- Musieliśmy pociągnąć za różne sznurki, żeby zgromadzić wszystko, co było na



waszej liście zakupów, zdołaliśmy jednak skombinować każdą sztukę sprzętu, jakiej zażądaliście.

- Czy nasi inżynierowie zdołali obniżyć profil poduszkowca zgodnie z życzeniem Pitta? - zapytał Giordino.

- Demolka paluszki lizać - odparł pilot z uśmiechem. - Techniczni geniusze pana admirała prosili, by ci powiedzieć, że zmodyfikowali „Chybotliwą Kogge”, osiągając absolutnie minimalną wysokość sześćdziesięciu jeden centymetrów.

- Osobiście złożę wszystkim podziękowania po powrocie do Waszyngtonu - oznajmił ciepło Sandecker.

- Chce pan, żebym wracał, panie admirale, czy też mam tu czekać w gotowości? - zapytał pilot.

- Trzymaj się samolotu na wypadek, gdybyśmy cię potrzebowali.

Kończyli właśnie załadunek furgonetki i zamykali klapę, kiedy szarym samochodem służb celnych z wielką szybkością nadjechał Curtis Starger. Wyhamował gwałtownie i wypadł zza kierownicy jak wystrzelony z armaty.

- Mamy problemy - oznajmił.

- Jakie problemy? - zapytał Gaskill.

- Meksykańscy pogranicznicy zamknęli właśnie swoją stronę granicy dla wszelkiego ruchu przyjazdowego ze Stanów Zjednoczonych.

- A co z ruchem komercyjnym?

- To samo. Mało tego, wysłali w powietrze całe stado śmigłowców bojowych. Mają rozkaz zmuszać do lądowania wszelkie samoloty, naruszające przestrzeń powietrzną Meksyku, i zatrzymywać każdy pojazd, który wyda im się podejrzany.

Ragsdale spojrział na Sandeckera.

- No, musi im chodzić o naszą małą wyprawę wędkarską.

- Nie sądzę. Nikt nie widział, jak podjeżdżamy pod studnię czy też odjeżdżamy.

Starger parsknął śmiechem.

- O co się chce pan założyć, że kiedy senior Matos wrócił galopem, aby zameldować Zolarom o naszym bezkompromisowym stanowisku, ci utoczyli piany z pysków i zmusili swoich kumpli we władzach do podniesienia mostu zwodzonego?

- Ja też tak przypuszczam - zgodził się Ragsdale. - Obawiali się, że ruszymy do szarży jak lekka brygada.

Gaskill rozejrzał się dookoła.

- Gdzie Pitt?

- Bezpieczny po drugiej stronie - odparł Giordino.

Sandecker łupnął pięścią w poszycie samolotu.

- A było już tak blisko! - wymamrotał gniewnie. - Do chrzanu, wszystko do chrzanu.

- Musi być jakiś sposób, aby przerzucić tych ludzi i ich sprzęt do Studni Szatana - powiedział Ragsdale do pozostałych agentów federalnych.

Starger i Gaskill wymienili się sprytnymi uśmieszkami.

- Och, myślę, że służby celne zdołają ocalić sytuację - rzekł Starger.

- Wy dwaj macie coś w rękawie.

- Afera Escobara - oznajmił Starger. - Znasz tę historię?

Ragsdale skinął głową.

- Podziemna operacja przemytu narkotyków.

- Juan Escobar mieszkał w Meksyku tuż przy granicy - wyjaśnił Starger Sandeckerowi i Giordino - ale po naszej stronie prowadził warsztat naprawy samochodów. Przeszmugłował kilka sporych transportów narkotyków, zanim agenci połapali się w jego kombinacjach. We wspólnie przeprowadzonym śledztwie nasi ludzie odkryli tunel długości stu pięćdziesięciu metrów biegnący od jego domu pod siatkami granicznymi aż do warsztatu. Spóźniliśmy się z nakazem aresztowania. Escobar coś zwęszył, zlikwidował interes, zanim zdołaliśmy go przyszpilić, i zniknął wraz z rodziną.

- Jeden z naszych agentów - dodał Gaskill - Latynos, który urodził się i wychował we wschodnim Los Angeles, mieszka w dawnym domu Escobara i w tę i we w tę przechodzi przez granicę, podając się za nowego właściciela warsztatu Escobara.

Starger uśmiechnął się z dumą.

- Agencja do spraw Zwalczenia Narkotyków i służby celne dokonały przeszło dwudziestu aresztowań, opierając się na jego informacjach o handlarzach, którzy chcieli wykorzystać tunel.

- Czy to oznacza, że jest wciąż otwarty? - zapytał Sandecker.

- Zdumiałby się pan, gdybym powiedział, jak często okazuje się przydatny pozytywnym bohaterom - odparł Starger.

- Czy możemy tą drogą przerzucić nasz towar na drugą stronę? - Giordino sprawiał wrażenie człowieka, na którego spłynęła łaska boża.

Starger skinął głową.

- Po prostu wjedziemy furgonetką do warsztatu, ściągnę kilku ludzi, którzy

pomogą przenieść wasz sprzęt pod granicą do domu Escobara, a potem załadować go na ciężarówkę naszego tajnego agenta. Samochód jest w Meksyku dobrze znany, nie ma zatem powodu, dla którego ktoś miałby go zatrzymać.

Sandecker popatrzył na Giordina.

- A więc - powiedział uroczyście - czy jesteś gotów pisać swój nekrolog?

Kamienny demon, ze stoickim spokojem i jak gdyby grając na zwłokę, ignorował pulsującą wokół aktywność. Nie mógł czuć, nie mógł odwrócić głowy, aby obejrzeć świeże blizny i dziury w swoim ciele i ocalałym skrzydle, powstałe od kul roześmianych meksykańskich żołnierzy, którzy w chwilach, kiedy oficerowie znikali w głębi góry, wykorzystywali go jako tarczę strzelniczą. Coś w głębi rzeźbionej kamiennej bestii żywiło pewność, iż jej ślepią będą omiatać wieczną pustynię jeszcze wiele stuleci po tym, jak rozbawieni intruzi wymrą i przeniósłszy się w zaświaty, znikną z pamięci bliźnich.

Po raz pierwszy tego ranka nad demonem przemknął cień, kiedy smukły samolot spadł z nieba i osiadł na jedynym spłachetku otwartej przestrzeni - nadającym się na lądowisko - wąskim placyku pomiędzy dwoma śmigłowcami wojskowymi i wielką wciągarką z potężnym blokiem zasilania. Z tylnego pasażerskiego fotela niebiesko-zielonego śmigłowca comandante policji na rejon Baja Norte, Rafael Cortina, wyglądał z zadumą przez okno na chaos władający szczytem góry. Później jego błędzące spojrzenie padło na złowrogie oblicze kamiennego demona. Rafael Cortina miał sześćdziesiąt pięć lat i myślał o swojej nadciągającej emeryturze bez radości. Nie kusila go perspektywa nudnego żywota w małym domku nad Zatoką Kalifornijską w Ensenadzie. I to życia z emerytury pozwalającej na doprawdy niewiele luksusów. Jego kwadratowa śniada twarz odbijała trudy solidnej, czterdziestopięcioletniej kariery. Cortina nigdy nie był lubiany przez swoich kolegów z policji: pracował ciężko, zawsze był bezwzględnie uczciwy i szczycił się tym, że nigdy nie przyjął łapówki. W ciągu wszystkich tych lat w policji ani jednego peso. Chociaż nie miał za złe innym, że brali pod stołem pieniądze od znanych kryminalistów czy mętnych biznesmenów, usiłujących uniknąć dochodzenia, nie szedł również ich śladem. Podążał swoją drogą. Nie donosił, nie składał skarg, nie formułował osobistych osądów moralnych. Przypominał sobie z goryczą, jak wiele razy - tak w istocie wiele, że nie potrafił tego spamiętać - pomijano go przy awansach. Ilekroć jednak jego przełożeni poślizgnęli się bądź wdepnęli w skandal, komisarze cywilni zawsze zwracali się do Cortiny - człowieka, którego nie znosili za uczciwość, ale potrzebowali, ponieważ można mu było zaufać. Bardzo konkretny był powód, dla którego Cortiny nie dawało się kupić w kraju, gdzie korupcja i protekcja są zjawiskiem powszechnym. Każdy mężczyzna i każda kobieta ma swoją cenę; otóż z niechęcią, lecz cierpliwie Cortina czekał, aż ktoś zechce zapłacić jego cenę. Jeśli miał się zaprzedać, to

nie za marne grosze, lecz, na przykład, za dziesięć milionów dolarów, które za współpracę zaproponowali mu Zolarowie; dziesięć milionów ponad sumy wypłacone za uzyskanie oficjalnej zgody na wydobycie skarbu wystarczało aż nadto, aby jego żona, czterech synów z żonami i ośmioro wnucząt mogli radować się życiem w nowym i odrodzonym Meksyku, który rozkwitnie po wejściu w życie północnoamerykańskiego traktatu o wolnym handlu. Cortina jednak zdawał sobie również sprawę, iż stare czasy odwracania głowy i wyciągania dłoni odchodzą w mroki historii. Dwóch ostatnich prezydentów Meksyku wydało biurokratycznej korupcji wojnę totalną, legalizacja zaś i regulacja cenowa pewnych narkotyków zadała handlarzom cios, który obciął ich zyski o osiemdziesiąt procent, śmiertelny obrót natomiast - o dwie trzecie.

Cortina wysiadł ze śmigłowca i został powitany przez jednego z ludzi Amaru. Przypomnił sobie, że aresztował go za rabunek z bronią w ręku dokonany w La Paz i przyczynił się do skazania go na pięć lat więzienia. Jeśli teraz, po wyjściu na wolność, kryminalista rozpoznał Cortinę, nie dał tego po sobie poznać. Komendant został doprowadzony do aluminiowej przyczepy mieszkalnej służącej za zaplecze organizacyjne akcji wydobywania skarbu. Z zaskoczeniem dostrzegł zdobiące ściany współczesne malowidła olejne pędzli najwybitniejszych artystów Południowego Zachodu Stanów. Wewnątrz bogato wyłożonej boazerią przyczepy, wokół antycznego francuskiego stołu z czasów Drugiego Cesarstwa, zasiadali Joseph Zolar, dwaj jego bracia, Fernando Matos z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i pułkownik Roberto Campos, dowódca północnej grupy wojsk meksykańskich stacjonujących na Półwyspie Kalifornijskim. Cortina powitał zebranych lekkim ukłonem i zajął miejsce na podsunętym mu krześle. Zdumiał się z lekka, kiedy niezmiernie urodziwa służąca podała mu kieliszek szampana i talerz wędzonego jesiotra zwieńczonego małym wzgórkami kawioru. Zolar wskazał na ilustrację przedstawiającą przekrój korytarza prowadzącego do wewnętrznych grot.

- Pozwólcie sobie powiedzieć, panowie, że przerzucenie całego tego złota przez podziemną rzekę i przetransportowanie go wąskimi tunelami na szczyt góry nie jest łatwą robotą.

- Czy wszystko jest na dobrej drodze? - zapytał Cortina.

- Za wcześnie jeszcze na wivaty - odparł Zolar. - Teraz przechodzimy właśnie najtrudniejszy etap, czyli wyciąganie łańcucha Huascara. Kiedy łańcuch dotrze na powierzchnię... - urwał, żeby spojrzeć na zegarek - ...za mniej więcej półtorej godziny,

potniemy go na części, aby ułatwić załadunek i rozładunek podczas transportu. Gdy bezpiecznie znajdzie się w naszych składach w Maroku, zostanie na powrót złączony.

- Dlaczego Maroko? - zapytał Fernando Matos. - Dlaczego nie wasze składy w Galveston czy posiadłość w Douglas w stanie Arizona?

- Na wszelki wypadek. Tej kolekcji artefaktów nie chcemy narażać na ryzyko, składując w Stanach Zjednoczonych. Mamy dobre układy z wojskowym dowództwem w Maroku, które strzeże naszych transportów. Kraj ten jest również wygodnym centrum dystrybucyjnym, skąd przesyłamy obiekty do wszystkich krajów Europy, Ameryki Południowej i Dalekiego Wschodu.

- W jaki sposób zamierzacie wydobyć resztę eksponatów? - zapytał Campos.

- Rzekę przebędą na tratwach, potem zostaną wyciągnięte korytarzami na górę kolejką z wąskich platform na płozach.

- A zatem wciągarka, w którą panów zaopatrzyłem, okazała się użyteczna?

- Istny dar boży, panie pułkowniku - odparł Oxley. - O szóstej wieczorem pańscy ludzie powinni ładować na śmigłowce, tak wspaniałomyślnie przez pana dostarczone, ostatnie ze złotych obiektów.

Cortina uniósł kieliszek szampana, ale nie upił ani łyka.

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby zważyć skarb?

- Doktor Henry Moore z żoną oszacowali jego wagę na sześćdziesiąt ton.

- Dobry Boże! - mruknął pułkownik Campos, mężczyzna imponującej postury o głowie zwieńczonej grzywą siwych włosów. - Nie miałem pojęcia, że jest tak ogromny.

- Dokumenty historyczne nie podały pełnej inwentaryzacji - rzekł Charles Oxley.

- A wartość? - zapytał Cortina.

- Nasz pierwotny szacunek - wyrecytował Oxley - mówił o dwustu pięćdziesięciu milionach dolarów amerykańskich. Sądzę jednak, iż bez ryzyka możemy dziś powiedzieć, że wartość skarbu sięga trzystu milionów.

Podana przez Oxleya suma była absolutnym zmyśleniem. Rynkowa cena samego złota wzrosła po inwentaryzacji dokonanej przez Moore'ów do siedmiuset milionów dolarów. Biorąc pod uwagę wzrost wartości, wynikły z faktu, iż wszystkie obiekty były antykami, czarnorynkowa wartość całego skarbu mogła z powodzeniem przekroczyć miliard dolarów.

Zolar popatrzył na Cortinę i Camposa z szerokim uśmiechem na twarzy.

- A oznacza to, panowie, iż w sposób znaczny możemy zwiększyć udział

społeczności Baja California Norte.

- Będzie zatem aż nadto pieniędzy na owe prace publiczne, które wymarzyli sobie administratorzy stanowi - dodał Sarason.

Cortina zerknął kątem oka na Camposa, zastanawiając się, ile dostanie pułkownik za przymknięcie oka w chwili, kiedy Zolarowie będą się ewakuować z zasadniczą częścią skarbu, między innymi z tym potężnym złotym łańcuchem. No i tajemnicę stanowił dlań Matos. Nie mógł dociec, w jaki sposób w całą strukturę rzeczy wpasowuje się ten giętki przedstawiciel władz centralnych.

- W świetle tego, czegośmy się dowiedzieli o podwyższeniu wartości skarbu, jestem przekonany, iż powinniśmy pomyśleć o premii.

Campos natychmiast zwęszył, do czego zmierza Cortina, i postanowił wykorzystać okazję.

- Tak, tak, zgadzam się z moim dobrym przyjacielem Rafaelem. Zablokowanie granicy nie było dla mnie przedsięwzięciem prostym.

Cortinę rozbawiło, iż Campos po raz pierwszy w ciągu ich dziesięcioletniej luźnej znajomości i spotkań służbowych użył jego imienia. Wiedząc, jak bardzo zirytuje Camposa podobnym zachowaniem, powiedział:

- Roberto ma całkowitą słuszość. Miejscowi biznesmeni i politycy już narzekają na utratę zysków z turystyki i zatrzymanie ruchu komercyjnego. Obydwaj będziemy się mocno tłumaczyć naszym przełożonym.

- Czy nie wystarczy, jeśli powiecie im, że to w imię powstrzymania amerykańskich agentów federalnych od nielegalnego wtargnięcia do Meksyku, aby skonfiskować skarb? - zapytał Oxley.

- Zapewniam panów, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych udzieli wszelkiego poparcia waszemu stanowisku - rzekł Matos.

- Być może. - Cortina wzruszył ramionami. - Nie możemy powiedzieć w tej chwili na pewno, czy nasze władze kupią tę historię, czy też postawią mnie i pułkownika Cortina pod sąd za przekroczenie kompetencji.

- Premia... - powiedział Zolar do Cortiny. - Co miał pan na myśli?

- Dodatkowe dziesięć milionów dolarów gotówką - odparł Cortina bez zmrużenia oka.

Campos, choć przez chwilę zaskoczony, niezwłocznie poparł Cortinę.

- Comandante policji Cortina mówi w imieniu nas obu. Biorąc pod uwagę ryzyko i dodatkową wartość skarbu, dziesięć milionów ponad nasze pierwotne

uzgodnienia nie jest żądaniem wygórowanym.

- Zdajecie sobie oczywiście sprawę, panowie - włączył się do negocjacji Sarason - że szacunkowa wartość nie ma się w żaden sposób do ceny, którą w końcu dostaniemy. Comandante Cortina wie, iż skradzione klejnoty rzadko są sprzedawane przez paserów za więcej niż dwadzieścia procent swej prawdziwej wartości.

Zolar i Oxley zachowywali powagę, choć doskonale wiedzieli, że mają na swojej liście klientów przeszło tysiąc kolekcjonerów, którzy ochoczo zakupiliby skradzione złote artefakty za mocno zawyżone ceny.

- Dziesięć milionów - powtórzył z uporem Cortina.

- To mnóstwo pieniędzy - zaprotestował Sarason. Podtrzymywał wrażenie, że twardo się targuje.

- Ochrona, jakiej udzielamy panom przed amerykańskimi i meksykańskimi funkcjonariuszami prawa, jest tylko połową naszego zaangażowania w sprawę - przypomniał mu Cortina. - Bez ciężkich śmigłowców transportowych pułkownika Camposa, które przerzucą złoto na lądowisko transferowe na pustyni Altar, wyszlibyście z tego z pustymi rękoma.

- A bez naszego zaangażowania w kwestię odkrycia skarbu wy także wyszlibyście z pustymi rękoma - stwierdził Sarason.

Cortina zachował obojętność.

- Nie zaprzeczam, iż jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni, żywię jednak głębokie przekonanie, że hojność leży w panów najlepszym interesie. Sarason spojrzął na braci. Zolar ledwie dostrzegalnie skinął głową. Po chwili Sarason zwrócił się do Cortiny i Camposa, wykonując gest kapitulacji.

- Potrafimy spasować, kiedy sytuacja tego wymaga. Panowie, uważajcie się za bogatszych o dziesięć milionów dolarów.

Maksymalny ciężar, jaki mogła holować wciągarka, wynosił pięć ton. Łańcuch Huascara zamierzano zatem przeciąć w połowie i wyciągnąć w dwóch częściach. Żołnierze z meksykańskiego batalionu wojsk inżynieryjnych mieli zbudować tratwę z desek i belek, zarekwirowanych z najbliższego tartaku, aby przetrzucić główną część skarbu przez podwodną rzekę. Tylko złoty tron okazał się zbyt ciężki na tratwę. Po wyciągnięciu na szczyt góry łańcucha Huascara, linkę wciągarki trzeba było dostarczyć z powrotem na dół i przymocować do uprzęży, w którą spowito tron. Po sygnale przesłanym na górę tron miał być przeciągnięty na suchy grunt po dnie rzeki. W tym punkcie saperzy z pomocą ludzi Amaru zamierzali własnoręcznie już



załadować go na sanie, którymi odbędzie ostateczną podróż z serca góry. Ewakuowane z grotty artefakty zostaną następnie załadowane na śmigłowce. Inkascy twórcy złotych arcydzieł zapewne nie potrafiliby sobie nawet wyobrazić tych maszyn, które, choć pozbawione skrzydeł, potrafiły latać jak ptaki.

Na wyspie skarbów Micki Moore pracowicie katalogowała i zapisywała charakterystyki obiektów, podczas gdy Henry mierzył je i fotografował. Musieli pracować szybko. Amaru popędzał saperów, aby ewakuować wszystko w jak największym pośpiechu i w rezultacie góra złotych antyków topniała w niebywałym tempie. Inkowie i Czaczapojowie potrzebowali sześciu dni, aby wnieść swój skarb do podziemnej grotty. Przy wykorzystaniu współczesnego sprzętu droga w przeciwną stronę trwała dziesięć godzin.

Micki zbliżyła się do męża i wyszeptwała:

- Nie mogę tego zrobić.

Spojrzał na nią pytająco.

Jej oczy zdawały się odbijać złoto połyskujące w jaskrawym świetle lamp wniesionych tu przez saperów.

- Nie chcę ani kawałka z tego złota.

- Dlaczego nie? - zapytał cicho.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. I tak czuję się dostatecznie splugawiona. Wiem, że twoje odczucia są identyczne. Musimy zrobić coś, aby wyrwać skarb z rąk Zolara.

- Na tym właśnie polegał nasz pierwotny zamiar: mieliśmy wykończyć Zolarów i uprowadzić skarb, kiedy na pustyni Altar znajdzie się na pokładzie samolotu transportowego.

- Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że jest taki ogromny i wspaniały. Dajmy temu spokój, Henry, ugryźliśmy więcej, niż potrafimy przełknąć.

Moore pogrążył się w zadumie.

- Cholernie dobry wybrałaś moment, aby budzić w sobie wyrzuty sumienia.

- Sumienie nie ma tu nic do rzeczy. Nie zdołamy uprowadzić całych ton antyków, musimy stawić czoło faktom... Nie mamy zaplecza ani też kontaktów umożliwiających pozbycie się na czarnym rynku tak ogromnej masy towarów.

- Sprzedaż łańcucha Huascara wcale nie powinna być trudna.

Micki przez dłuższą chwilę wpatrywała się mężowi w oczy.

- Jesteś bardzo dobrym antropologiem, a ja bardzo dobrym archeologiem.

Dobrze wychodzą nam również nocne skoki ze spadochronem na teren obcych państw i mordowanie ludzi, ale kradzież bezcennych starożytnych dzieł sztuki nie jest tym, co robimy najlepiej. A poza tym nienawidzimy tych ludzi. Powinniśmy zadbać o zachowanie skarbu w całości, a nie pozwalać, by został rozrzucony po sejfach bandy ścierwojadów, którzy pragną mieć na własność rzeczy niedostępne dla innych.

- Muszę przyznać, że też mam swoje zastrzeżenia - odparł ze znużeniem. - Co zatem sugerujesz?

- Postępować właściwie - stwierdziła ochryple.

Po raz pierwszy Moore dostrzegł pasję w jej oczach, co uczyniło ją tak piękną, jak nigdy dotychczas. Objęła go ramionami i znów spojrzała mu w oczy.

- Nie musimy już zabijać, tym razem nie będziemy musieli jak skorpiony wpełzać pod kamień po zakończeniu misji.

Ujął w dłonie jej twarz i ucałował koralowe usta.

- Dumny jestem z ciebie, staruszeko.

Odepchnęła go od siebie, a jej oczy rozszerzyły się, jak gdyby o czymś sobie przypomniała.

- Zakładnicy! Obiecałam, że uratujemy ich, jeżeli będzie to w naszej mocy.

- Gdzie są?

- Jeśli wciąż żyją, powinni być na powierzchni.

Moore rozejrzał się i stwierdził, że Amaru zniknął; zapewne, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, udał się do krypty, aby nadzorować ewakuację mumii strażników. Zolarowie pozostawiali podziemną sieć jaskiń tak nagą, jak znaleźli Inkowie. Nie miało w niej pozostać nic wartościowego.

- Mamy szczegółowy spis - powiedział do Micki. - Ruszajmy.

Moore'owie wskoczyli na sanie załadowane złotymi statuetkami zwierząt i wyjechali na szczyt, który zmienił się w platformę załadunkową. Przeszukali cały wierzchołek góry, nie natrafili jednak nawet na ślad Loren Smith i Rudiego Gunna.

Wówczas było już za późno na powrót w głąb góry.

Loren drżała, jej postrzępiona odzież nie stanowiła bowiem żadnej ochrony przed chłodną wilgocią jaskini. Gunn otoczył ją ramieniem, aby choć trochę ogrzać własnym ciałem. Małeńka komora - zaledwie szeroka rozpadlina w skale wapiennej - przypominała ciasną celę więzienną. Nie było tu miejsca, aby wstać, a ilekroć usiłowali się poruszyć, by przybrać wygodniejszą pozycję albo trochę się ogrzać, strażnik szturchał ich przez szczelinę kolbą karabinu.

Kiedy dwa odcinki złotego łańcucha zostały przeciągnięte przez korytarze, Amaru zagnał jeńców ze szczytu góry do ciasnej jaskini pod kryptą strażników. Moore'owie nie mogli wiedzieć, że Loren i Rudi zostali tu uwięzieni, zanim oni wrócili na szczyt góry z groty skarbów.

- Bylibyśmy wdzięczni za wodę do picia - powiedziała Loren do strażnika.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią tępo. Był odrażającym potężnym facetem o odpychającej twarzy, grubych ustach, płaskim nosie i tylko jednym oku. Pusty, niczym nie przykryty oczodół nadawał mu brutalną szpetotę Quasimoda. Loren zadrżała; tym razem nie z powodu zimna, lecz strachu, który wstrząsał jej półnagim ciałem. Zdawała sobie sprawę, że manifestacja takiej zuchwałości może zakończyć się cierpieniem, już się tym jednak dłużej nie przejmowała.

- Wody, ty zaśliniony imbecyłu, rozumiesz? Aqua.

Posłał jej okrutne spojrzenie, ale powoli zniknął z wąskiego pola ich widzenia. Po kilku minutach wrócił i cisnął do jaskini wojskową manierkę z wodą.

- Zdobyłaś sobie chyba przyjaciela - stwierdził Gunn.

- Jeśli myśli, że dostanie całusa na pierwszej randce - odrzekła Loren, odkręcając manierkę - to się grubo myli.

Podąła Gunnowi manierkę, ten jednak odmówił.

- Damy mają pierwszeństwo.

Loren napiła się oszczędnie.

- Ciekawe, co się dzieje z Moore'ami.

- Mogą nie wiedzieć, że zostaliśmy przeniesieni ze szczytu do tej szurzej nory.

- Obawiam się, iż Zolarowie zamierzają pogrzebać nas tu żywcem - powiedziała Loren. Po raz pierwszy do jej oczu napłynęły łzy. Pękały jej linie obronne. Znosiła bicie i poniżenia, ale teraz, kiedy wszystko wskazywało na to, że zostali tu porzuceni, ten wątły płomyk nadziei, który utrzymywał ją przy życiu, zaczął gasnąć.

- Wciąż jest Dirk - przypomniał jej łagodnie Gunn.

Pokręciła głową, jak gdyby zażenowana, że ktoś może zobaczyć łzy.

- Przestań, proszę. Jeśli Dirk wciąż żyje, to nawet z dywizją piechoty morskiej nie zdoła się wdrzeć do wnętrza tej parszywej góry, żeby nas uratować.

- Jeśli znam faceta, o którym mówimy, nie będzie potrzebował dywizji piechoty morskiej. - To tylko człowiek, on sam zresztą jest ostatnim, który uważa się za cudotwórcę.

- Liczy się tylko to, że dopóki żyjemy, istnieje maleńka szansa.

- Ale jak długo jeszcze pożyjemy? - spytała ze smutkiem. - Kilka minut czy parę godzin? Praktycznie jesteśmy już martwi.

Kiedy pierwsza połowa łańcucha została wyciągnięta na światło dzienne, wszyscy obecni na szczycie zgromadzili się, aby ją podziwiać. Sam widok takiej zgromadzonej w jednym miejscu masy złota zapierał dech w piersiach. Mimo pyłu i osadu kalcytu po tyłu stuleciach spędzonych pod ziemią, złoty kruszec skrzył się wręcz oślepiająco w słońcu południa. Przez wszystkie lata uprawiania kradzieży dzieł sztuki Zolarowie nigdy nie widzieli arcydzieła tak pełnego splendoru przeszłości. Z łańcuchem nie mógł się równać żaden znany obiekt historyczny. Najwyżej czterech zbieraczy z całego świata mogłoby pozwolić sobie na zakup całości. Widok stał się w dwójnasób imponujący, kiedy z tunelu wyciągnięto drugi odcinek i położono obok pierwszego.

- Matko Niebieska! - wyszeptał bez tchu pułkownik Campos. - Ogniwa są wielkości męskiego nadgarstka.

- Aż trudno uwierzyć, że Inkowie opanowali tak zaawansowane kunszta metalurgiczne - mruknął Zolar.

Sarason przyklęknął i uważnie obejrzał ogniwa.

- Wartość artystyczna i wykonanie są wręcz fenomenalne. Każde ogniwo to czysta doskonałość, nie ma tu najmniejszej skazy.

Cortina podszedł do jednego z końcowych ogniw i dźwignął je ze znacznym wysiłkiem.

- Każde musi ważyć przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów.

- To zaiste odkrycie wyprzedzające wszystkie inne o całe lata świetlne - powiedział Oxley, drżąc z podniecenia.

Sarason z trudem oderwał wzrok od łańcucha i przywołał gestem Tupaca Amaru.

- Weź się do załadunku na śmigłowiec, i to szybko.

Morderca bez słowa skinął głową i wydał rozkazy swoim ludziom oraz grupce żołnierzy. Do pomocy włączyli się nawet Cortina, Campos oraz Matos. I wózek widłowy, i ludzie zostali zmuszeni do pracy na najwyższych obrotach, wreszcie odcinki łańcucha załadowano na pokłady dwóch śmigłowców i wysłano na pustynne lotnisko.

Zolar odprowadzał wzrokiem maszyny, aż stały się punkcikami na tle nieba.

- Nic nas już teraz nie zdoła powstrzymać - powiedział radośnie do braci. -

Jeszcze kilka godziny i jesteśmy w domu z największym znanym ludzkości skarbem

Z punktu widzenia Sandeckera zuchwały plan wdarcia się do wnętrza Cerro el Capirore drzwiami od podwórka w szaleńczej próbie ocalenia Loren Smith i Rudiego Gunna był praktycznie samobójczy. Znał powody, dla których Pitt ryzykował życie: aby ocalić od śmierci ukochaną kobietę i bliskiego przyjaciela, wyrównać rachunki z dwójką morderców i wyrwać cudowny skarb z łap złodziei. Takie motywy kierowałyby też zapewne poczynaniami większości innych ludzi, ale motywacja Pitta była znacznie głębsza. Stymulowało go wyzwanie, rzucone przez nieznaną, pokusa zaśmiania się w twarz diabłu, stawienie czoła szansom, które w najlepszym razie można było określić mianem minimalnych. Giordino natomiast, który był przyjacielem Pitta od dzieciństwa, niewątpliwie poszedłby za swoim kumplem nawet w morze rozżarzonej lawy. Sandecker mógłby ich powstrzymać, ale budując coś, co wielu uznawało za najsprawniejszą, najbardziej produktywną i najbardziej ekonomiczną agendę rządową, oswoił się z niemałym ryzykiem. Jego skłonność do maszerowania innym krokiem aniżeli cały oficjalny Waszyngton sprawiała, że budził w ludziach zarówno szacunek, jak i zawiść. Inni dyrektorzy biur rządowych nigdy nie wzięliby pod uwagę osobistego dowodzenia misją polową, która pociągała za sobą ryzyko krytyki ze strony Kongresu i rezygnacji, wymuszonej przez prezydenckie polecenie. Sandecker ubolewał jedynie, że podczas tej przygody nie może poprowadzić swych ludzi osobiście. Zniósł ładunek sprzętu nurkowego ze starego chevroleta na dno owalnego tunelu i spojrzał na Petera Duncana, który siedział obok studni i pracowicie nakładał wyrysowaną na przezroczystej kalce mapę topograficzną na szkic hydrograficzny, przedstawiający znane podziemne systemy wodne. Dwie mapy zostały sprowadzone do tej samej skali, dzięki czemu Duncan mógł prześledzić przybliżony bieg podziemnej rzeki.

- W prostej linii - powiedział w przestrzeń - odległość między Studnią Szatana a Cerro el Capirore wynosi z grubsza trzydzieści kilometrów.

- Cóż za kaprys natury stworzył koryto tej rzeki? - Sandecker spojrzał na lustro wody w studni.

- Mniej więcej sześćdziesiąt milionów lat temu ruch tektoniczny spowodował uskok w warstwie skały wapiennej, co pozwoliło wodzie ściekać w rozpadlinę i rzeźbić serię połączonych ze sobą grot.

Admirał zwrócił się do Pitta:

- Jak sądzisz, ile czasu zajmie wam dotarcie na miejsce?

- Spływając z prądem o prędkości dziewięciu węzłów - odparł Pitt - powinniśmy dotrzeć do groty ze skarbem w ciągu trzech godzin.

Na twarzy Duncana odmalowało się powątpiewanie.

- Nigdy nie widziałem rzeki, która nie płynęłaby meandrami. Na twoim miejscu dodałbym jeszcze dwie godziny.

- „Chybotliwa Kogga” nadrobi czas stracony na zakrętach - powiedział z przekonaniem Giordino, ściągając ubranie.

- Tylko pod warunkiem, że przez cały czas będziecie mieli wolną drogę. Idziecie w nieznaną, trudno przewidzieć trudności, na które możecie się natknąć. Zatopione przejścia o długości dziesięciu czy nawet więcej kilometrów, kaskady spadające z wysokości dziesięciopiętrowego budynku albo bystrza pomiędzy skałami, nie nadające się do żeglugi. Flisacy mają takie powiedzenie o szybkich nurtach: „Jeśli jest skała, na pewno w nią rąbniesz. Jeśli jest wir, na pewno cię pochwyci”.

- Coś jeszcze? - zapytał Giordino z szerokim uśmiechem, nie poruszony w najmniejszym stopniu ponurymi przepowiedniami Duncana. - Na przykład wampiry czy też żarłoczne potwory o sześciu paszczekach wypełnionych zębami barakudy, które czyhają w ciemnościach, aby pożreć nas na lunch?

- Usiłuję tylko przygotować was na niespodzianki - odrzekł Duncan. - Jedyna teoria, jaką mógłbym przedstawić, a która mogłaby nieco poprawić wam samopoczucie, brzmi następująco: wedle mojego przekonania, główna część rzeki przebiega uskokiem tektonicznym. Jeśli mam rację, kanał będzie zygzakowaty, ale na całej trasie rzeka będzie miała zupełnie sensowną głębokość.

Pitt poklepał go po ramieniu.

- Rozumiemy, jesteście wdzięczni, ale na tym etapie jedyne, co nam z Alem pozostaje, to mieć nadzieję na najlepsze, oczekiwać najgorszego i godzić się ze wszystkim pomiędzy tymi dwoma biegunami.

- Czy kiedy ze strumienia zasilającego wypłynęliście w główne koryto rzeki, była tam kieszeń powietrzna? - zapytał Sandecker Duncana.

- Tak. Skalne sklepienie wznosiło się jakieś dziesięć metrów nad powierzchnią wody.

- I jak daleko sięgała?

- Wisieliśmy na linie asekuracyjnej, która nie dopuszczała, aby uniósł nas prąd, i w związku z tym zdołaliśmy tylko zerknąć. Ledwo omiotłem sklepienie światłem latarki i nie dostrzegłem końca galerii.

- Przy odrobinie szczęścia będą mieli więc przejście po wierzchu przez całą trasę.

- Przy bardzo dużej dozie szczęścia - rzekł Duncan sceptycznie, nie odrywając wzroku od map. - W skali podziemnych cieków ta rzeka jest olbrzymia. Biorąc pod uwagę wyłącznie jej długość, musi być najdłuższym nie zbadanym podziemnym ciekiem przepływającym przez warstwę krasu.

Giordino na moment przerwał zapinanie na ramieniu małej konsoli zawierającej liczniki ciśnienia, kompas i głębokościomierz.

- Co masz na myśli mówiąc o krasie?

- Kras jest określeniem na pas skały wapiennej, który został przeniknięty przez system strumieni, tuneli i grot.

- Ciekawe, ile innych nieznanymi rzek przepływa pod powierzchnią ziemi - rzucił Pitt.

- Rzeczny kanion Leigha Hunta pełen złota, źródło żarcików wygłaszanych przez hydrologów z Kalifornii i Nevady, znów stał się obiektem poważnego zastanowienia - przyznał Duncan. - Wasze odkrycie sprawi, że nawet największe niedowiarki będą musiały przyjrzeć się sprawie po raz wtóry.

- Może i ja będę mógł zrobić coś dla tej wielkiej sprawy - rzekł Pitt podnosząc mały, wodoodporny komputer, który zamierzał przypiąć do przedramienia. - Spróbuję zaprogramować badanie i zebrać jak najwięcej danych na temat biegu rzeki.

- Będę wdzięczny za wszelkie naukowe informacje - odparł Duncan. - Znalezienie złotego skarbu pod Cerro el Capiroto może rozpalić wyobraźnię, ale jest w rzeczywistości drobiazgiem wobec odkrycia źródła wody zdolnego przemienić miliony hektarów pustyni w żyzne ziemie pod uprawy i hodowle.

- Może złoto posłuży do sfinansowania budowy systemów pomp i wodociągów? - powiedział Pitt.

- To z pewnością koncepcja warta zastanowienia.

Giordino podniósł wodoszczelny aparat fotograficzny.

- Przyniosę ci kilka zdjęć.

- Dziękuję - odparł z przekonaniem Duncan. - Byłbym również wdzięczny za jeszcze jedną przysługę.

- Wal - Pitt uśmiechnął się szeroko.

Duncan podał mu plastikową paczuszkę wielkości połowy piłki do koszykówki.

- Barwnik smugowy, fluorescencyjna żółć z rozjaśniaczem optycznym. Postawię



ci najlepszą meksykańską kolację na Południowym Zachodzie, jeśli rzucisz to do rzeki po dotarciu do grotty ze skarbem. Nic więcej. Płynąc w dół rzeki, pojemnik będzie automatycznie, w regularnych odstępach, wydzielać barwnik.

- Chcesz ustalić, gdzie rzeka uchodzi do zatoki?

Duncan skinął głową.

- Będzie to niezmiernie ważne hydrologiczne ogniwo.

Zamierzał również zapytać, czy Pitt i Giordino nie mogliby pobierać próbek wody, ale się rozmyślił. I tak wedle swojego przekonania nadużył ich życzliwości. Jeśli odniosą sukces w spływie rzeką aż do pustego wnętrza Cerro el Capirore, on i jego koledzy naukowcy będą mogli podejmować następne ekspedycje badawcze, opierając się na danych pozyskanych przez dwóch śmiałków.

W ciągu następnych dziesięciu minut Pitt i Giordino zakończyli przywdziewanie całego ekwipunku i dokonali przeglądu planów swojej przeprawy. Mieli za sobą niezliczone wspólne nurkowania w setkach odmiennych wód i podczas najrozmaitszych warunków atmosferycznych, ale nigdy nie zapuścili się tak daleko w głąb ziemi. Jak lekarze omawiający delikatną operację mózgu, nie pozostawili żadnego szczegółu sprawie przypadku. Zależało od tego ich przetrwanie. Ustalili sygnały komunikacyjne, strategię braterskiego oddychania na wypadek utraty powietrza, rutynę napełniania i wypuszczania powietrza z „Chybotliwej Koggi”, odpowiedzialność za taki czy inny sprzęt; poddali zatem namysłowi i jednomyślnej akceptacji wszelkie niezbędne procedury.

- Widzę, że nie włożyłeś skafandra suchego z wewnętrznym ciśnieniem - zauważył Sandecker.

- Woda jest chłodniejsza o kilka stopni, niż mógłbym sobie życzyć, dostatecznie jednak ciepła, abym nie musiał przejmować się hipotermią. Skafander mokry daje nam większą swobodę ruchów aniżeli suchy, w którym zbiorniki powietrza podnoszą ciśnienie, to zaś będzie czymś absolutnie niezbędnym, jeżeli zostaniemy zmuszeni do taplania się w wodzie, aby wyprostować „Chybotliwą Kogę”, przewróconą przez wściekle bystrzyny.

Zamiast standardowego zestawu butli Pitt przymocował swoje zbiorniki powietrza do uprząży, założonej na biodra, aby łatwiej było mu pokonywać wąskie tunele. Spowijały go również festony aparatów oddechowych, węży powietrznych, prowadzących do podwójnych zaworów, liczników ciśnieniowych, a do tego mała butla wypełniona czystym tlenem na wypadek dekompresji, pasy z ciężarkami i

kompensatory pływalności.

- Nie będziesz używać mieszanki gazowej? - zapytał Sandecker.

- Będziemy oddychać powietrzem - odparł Pitt, sprawdzając aparaty.

- A co z niebezpieczeństwem narkozy azotowej?

- Kiedy tylko wyrwiemy się z dna studni i dolnej części strumienia zasilającego, który przecież idzie ku górze w stronę rzeki, będziemy unikać dalszych głębokich nurkowań jak zarazy.

- Uważajcie tylko, żeby pozostawać solidnie ponad progiem - ostrzegł go Sandecker. - I nie schodźcie poniżej trzydziestu metrów. No i kiedy podejmiecie już rejs, wyglądajcie zanurzonych raf.

Kiedy admirał wypowiadał te słowa, w myślach trawił inne zdanie: „Jeśli coś nawali i będziecie potrzebować niezwłocznej pomocy, możecie równie dobrze wzywać jej z trzeciego pierścienia Saturna”. Innymi słowy - nie będzie ani wyprawy ratunkowej, ani ewakuacji. Na brzegu studni Pitt i Giordino dokonali ostatniego wzajemnego przeglądu sprzętu i sprawdzili otwierane haki, niezbędne do szybkiego zrzucenia takiego czy innego elementu wyposażenia w sytuacji awaryjnej. Zamiast kapturów nurkowych włożyli i zapięli na głowach kaski, zaopatrzone w podwójnie zabezpieczone lampy górnicze. Potem kucnęli na brzegu studni i zsunęli się do wody.

Sandecker i Duncan podciągnęli długi hermetyczny pojemnik i z wysiłkiem upuścili do wody jego koniec. Pojemnik, mający metr szerokości i cztery długości, w środku, by ułatwić manewrowanie w wąskich przestrzeniach, złączony był przegubem. Ciężki i niezgrabny na ziemi, za sprawą ołowianego balastu niezbędnego do uzyskania pływalności neutralnej, pod wodą nie sprawiał płetwonurkowi żadnych kłopotów.

Giordino zacisnął zęby na ustniku, poprawił maskę i złapał uchwyt na przednim końcu zbiornika. Po raz ostatni pomachał pozostającym na brzegu i wraz z kanistrem powoli zniknął pod powierzchnią wody. Pitt wystawił głowę i uścisnął dłoń Duncanowi.

- Cokolwiek miałyby się stać - ostrzegł Duncan - uważaj, żeby nurt nie zniósł cię poza grotę ze skarbem. Od tego miejsca do ujścia rzeki do zatoki jest przeszło sto dwadzieścia kilometrów.

- Nie przejmuj się, nie spędzimy tam ani minuty dłużej, niż będziemy musieli.

- Niech Bóg ma was w opiece.

- Wszelkie niebieskie towarzystwo będzie mile widziane - odparł Pitt z powagą. Potem uścisnął dłoń Sandeckera. - Proszę trzymać dla mnie w gotowości tequillę z

lodem, panie admirale.

- Żałuję, że nie ma innej drogi do wnętrza góry.

Pitt pokręcił głową.

- To jest jedyny sposób.

- Przywieź z powrotem Loren i Rudiego - rzekł Sandecker, opanowując wzruszenie.

- Niebawem ich pan zobaczy - obiecał Pitt.

Potem zniknął.

Głos radiooperatora wyrwał kapitana Juana Diego z mrzonek i zmusił do odwrócenia wzroku skierowanego z namiotu na stożkową górę. Myślał sobie właśnie, że w Cerro el Capirote i otaczającej ją martwej pustyni jest jakaś nieopisana szpetota. To była ziemia jałowa w porównaniu z pięknem jego rodzinnego stanu Durango.

- Tak, o co chodzi, sierżancie? - Diego nie mógł widzieć strapionego wyrazu twarzy żołnierza, gdyż radiooperator był do niego odwrócony tyłem.

- Wywoływałem posterunki, żeby wysłuchać cogodzinnych raportów, i nie dostałem żadnej odpowiedzi z posterunku czwartego i szóstego.

Diego westchnął. Nie życzył sobie nieprzewidzianych przygód. Pułkownik Campos polecił mu rozciągnąć linie obronne wokół góry, a on postąpił w myśl rozkazów. Nie uzyskał żadnego uzasadnienia, nie prosił o nie zresztą. Pożerany ciekawością, mógł tylko obserwować pojawiające się i odlatujące śmigłowce, zadając sobie pytanie, co się tam właściwie dzieje.

- Skontaktuj się z kapralem Francisco na posterunku piątym i każ mu wysłać człowieka, żeby sprawdził czwarty i szósty.

Kapitan Diego usiadł przy biurku polowym i bez przekonania odnotował w codziennym meldunku brak odpowiedzi z dwóch posterunków, kładąc je na karb przypuszczalnej awarii łączności. Możliwość zaistnienia jakiegoś prawdziwego problemu nawet nie przeszła mu przez myśl.

- Nie mogę również złapać Francisca na posterunku piątym - poinformował go radiooperator.

Diego odwrócił wreszcie głowę.

- Czy jesteś pewien, że twój sprzęt się nie popsuł?

- Tak jest, panie kapitanie. Radiostacja nadaje i odbiera idealnie.

- Wywołaj posterunek pierwszy.

Radiooperator poprawił słuchawki. Kilka chwil później odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Przykro mi, kapitanie. Posterunek pierwszy również milczy.

- Muszę się tym zająć osobiście - rzekł Diego z irytacją. Ujął przenośną radiostację i wyszedł z namiotu, kierując się do swojego służbowego dżipa. Nagle stanął jak wryty z tępym wyrazem twarzy.

Dżip dziwacznie przechylał się na bok, brakowało bowiem jednego koła;

zniknęło również koło zapasowe.

- Co tu się dzieje, do cholery? - mruknął Diego pod nosem. Czy to jakiś kretyński żart, czy też pułkownik Campos po prostu go sprawdza?

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę namiotu, zdołał jednak uczynić zaledwie dwa kroki, kiedy, jak gdyby wyłoniwszy się spod ziemi, zablokowali mu drogę trzej mężczyźni. Wszyscy trzymali karabiny wymierzone w jego pierś. Diego miał w głowie tylko jedno pytanie: dlaczego Indianie ubrani w kowbojskie stroje sabotują jego sprzęt?

- To strefa wojskowa - warknął. - Nie macie tu wstępu.

- Rób, co ci każe, żołnierzyku - rzekł Billy Yuma - a żadnemu z twoich ludzi nie stanie się krzywda.

Diego pojął, co stało się z jego posterunkami. Nadal jednak nie rozumiał, jak kilku zaledwie Indian mogło bez jednego strzału obezwładnić czterdziestu wyszkolonych żołnierzy.

Zwrócił się do Yumy, którego uznał za przywódcę.

- Rzućcie broń, zanim pojawią się moi ludzie, albo zostaniecie aresztowani.

- Przykro mi cię o tym informować, żołnierzyku - odrzekł Yuma, delektując się faktem, iż jego przeciwnikiem jest oficer w starannie odprasowanym mundurze polowym i błyszczących butach - ale całe twoje wojsko zostało rozbrojone i znajduje się teraz pod strażą.

- Niemożliwe - warknął Diego wyniośle - żadna banda szczerów pustynnych nie dałaby sobie rady z moimi wyszkolonymi żołnierzami.

Yuma obojętnie zwrócił się do jednego ze stojących obok mężczyzn:

- Załatw radiostację w namiocie, żeby nie nadawała się do użytku.

- Oszalałeś?! Nie możesz niszczyć własności rządowej!

- Wtargnęliście na naszą ziemię - rzekł cicho Yuma. - Nie macie tu żadnej władzy, nie macie prawa tu przebywać.

- Rozkazuję wam opuścić tę broń - powiedział surowo Diego, sięgając po pistolet.

Yuma postąpił krok w przód i, nie ujawniając żadnych odczuć na swej wysmaganej wiatrem twarzy, lufą starego winchestera mocno dźgnął kapitana Diego w brzuch.

- Nie stawiaj oporu. Jeśli pociągnę za spust, twoje ciało wyciszy strzał i nie usłyszysz go nikt na górze.

Ostry ból przekonał kapitana, iż ci ludzie nie żartują. Znali pustynię i mogli poruszać się po niej jak duchy. W myśl otrzymanych rozkazów miał nie dopuszczać w pobliże góry wędrownych myśliwych czy poszukiwaczy złota. Nie wspomniano mu ani słowem o uzbrojonej grupie miejscowych Indian, którzy zastawiają na niego pułapkę. Powoli oddał swój automatyczny pistolet jednemu z ludzi Yumy, który wsunął go za pasek dżinsów.

- I twoje radio, jeśli łaska.

- Dlaczego to robicie? - Diego niechętnie oddał radiostację. - Czy nie zdajecie sobie sprawy, że łamiecie prawo?

- Jeśli wy, żołnierzyki, współpracujecie z ludźmi, którzy bezczeszczą naszą świętą górę, to właśnie wy łamiecie prawo. Nasze prawo. A teraz koniec gadania. Pójdziecie z nami.

W milczeniu kapitan Diego i jego radiooperator zostali odprowadzeni na odległość pół kilometra do sterczącej z pustyni wielkiej nawisłej skały. Tam, poza polem widzenia ludzi przebywających na szczycie, Diego znalazł całą swoją kompanię siedzącą nerwowo w ciasnej grupce pod strażą kilku uzbrojonych Indian.

Podnieśli się na nogi i stanęli na baczność; widok dowódcy wywołał na ich twarzach wyraz ulgi. Dwóch poruczników i sierżant wystąpili przed front i zasalutowali.

- Czy nikt nie umknął? - zapytał Diego.

Jeden z poruczników pokręcił głową.

- Nie, panie kapitanie. Spadli na nas, zanim mogliśmy stawić opór.

Diego powiódł spojrzeniem po Indianach strzegących jego ludzi. Razem z Yumą było ich zaledwie szesnastu.

- Więcej was nie ma? - zapytał z niedowierzaniem.

Yuma pokręcił głową.

- Nie potrzebowaliśmy więcej ludzi.

- Co zamierzacie z nami zrobić?

- Nic, żołnierzyku. Uważaliśmy, aby nikomu nie zrobić krzywdy. Ty i twoi ludzie porozkoszujecie się kilkugodzinną przyjemną sjestą, a potem bez problemów będziecie mogli opuścić nasze ziemie.

- A jeśli podejmiemy próbę ucieczki?

- Wtedy zostaniecie zastrzeleni. - Yuma obojętnie wzruszył ramionami. - Zastanów się nad tym, bo moi ziomkowie potrafią z odległości pięćdziesięciu metrów

trafić biegnącego królika.

Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Odwrócił się plecami do kapitana Diego i ruszył niemal niewidoczną ścieżynką pomiędzy ścianami rozpadliny na południowym zboczu góry. Montolowie nie odezwali się do siebie ani słowem - jak gdyby wypełniając bezgłośny rozkaz, dziesięciu ruszyło w ślad za Yumą, pięciu natomiast pozostało, aby pilnować jeńców.

Wspinaczka szła szybciej niż poprzednim razem. Billy uczył się na błędach i teraz mijał niewłaściwe zakręty, które poprzednio zaprowadziły go w ślepe zaułki. Pamiętał doskonale dobre uchwyty dla rąk i unikał tych, które uległy silnej erozji. Ale wspinaczka szlakiem, na który za skarby świata nie wstąpiłby żaden szanujący się muł, i tak była trudna. Yuma byłby wolał, aby w ataku brało udział więcej mężczyzn, tych jednak dziesięciu, którzy sunęli za jego plecami, było jedynymi, którzy nie lękali się góry. Tak przynajmniej utrzymywali. Uwagi Yuma nie umknął widoczny w ich twarzach niepokój. Na płaskiej półce zatrzymał się, aby złapać oddech. Serce zaczęło łomotać mu w piersiach, ale jego ciało przepełniała owa nerwowa energia konia wyścigowego, który aż się rwie, aby wyskoczyć z boks startowego. Z kieszeni spodni wyjął stary zegarek i sprawdził czas. Z satysfakcją pokiwał głową, podsuwając innym pod nos tarczę czasomierza. Wyprzedzali plan o dwadzieścia minut. Wysoko nad nimi, nad wierzchołkiem góry, śmigłowce unosiły się niczym pszczoły nad ulem. Wyładowane do granic możliwości, z wysiłkiem unosiły się w powietrze i przyjmowały kurs na pustynne lotnisko.

Oficerowie i żołnierze pułkownika Camposa pracowali tak ciężko i byli tak oszołomieni złotym skarbem, że żadnemu z nich nie przyszło na myśl skontaktowanie się z kordonem ochronnym rozrzuconym wokół podnóża góry. Radiooperator na szczycie był zbyt zajęty koordynowaniem przylotów i odlotów śmigłowców, aby poprosić kapitana Diego o meldunek. Nikt nie zawracał sobie głowy spoglądaniem ze szczytu na obozowisko w dole, nikt też nie zauważył niewielkiej grupy mężczyzn wspinającej się coraz bliżej i bliżej wierzchołka.

Comandante policji Cortina był człowiekiem, którego uwagi umykało niewiele rzeczy. Kiedy policyjny śmigłowiec uniósł się z Cerro el Capirote, aby wrócić do swojej bazy, Cortina spojrział na kamienną bestię i dostrzegł coś, co przegapili wszyscy inni. Był człowiekiem pragmatycznym, kładł więc wszystko na karb igraszki światła i cienia. Kiedy jednak ponownie skoncentrował wzrok na starożytnej rzeźbie, mógłby przysiąc, że dostrzega zmianę w złowrogim dotychczas wyrazie pyska. Złowróźbna mina

zniknęła bez śladu.

Wedle Cortiny, wypełnione zębiskami szczęki strażnika góry zastygły w uśmiechu...



Pitt czuł się tak, jakby opadał pełną kobaltowobłękitnej mgiełki gigantyczną słomką do napitków. Ściany pionowego szybu studni były obłe i gładkie do tego stopnia, że sprawiały wrażenie wypolerowanych. Gdyby nie widział pod sobą partnera, który zaczynał przepychać pojemnik transportowy w poziomy kanał, znaczący kres pionowego schodzenia, byłby pewnie doszedł do wniosku, iż szyb jest bezdenny. Przedmuchał uszy i miarowo pracując płetwami, dogonił Giordina, by pomóc mu holować pojemnik. Spojrzał na tarczę głębokościomierza: wskazówka znieruchomiała tuż przed punktem oznaczającym sześćdziesiąt metrów. Ponieważ od tego miejsca ciek zasilający łagodnym skosem wznosił się ku rzece, ciśnienie zacznie maleć, a ryzyko utraty przytomności przestanie być problemem. To nurkowanie było pod każdym względem odmienne od zejścia w głąb studni ofiarnej, położonej na pokrytych dżunglą zboczach Andów. Tam - był połączony ze światem zewnętrznym mocną liną asekuracyjną i przewodem łączności, a poza tym, wyjąwszy krótki wypad do bocznej groty, aby uratować Shannon i Milesa, ani na chwilę nie stracił powierzchni z oczu. Tu - wkraczał w podziemną krainę wiecznych mroków, do której nie zapuścił się dotąd ani człowiek, ani zwierzę.

Kiedy tak przeciągali niezgrabny pojemnik przez zakręty i przewężenia strumienia zasilającego, Pitt przypomniał sobie, że nurkowanie w grotach jest jednym z najniebezpieczniejszych sportów na świecie. Mroki godne Hadesu, przyprawiająca o klaustrofobię świadomość, że człowiek tkwi pod grubą warstwą litej skały, cisza zdolna wywołać obłęd, nieustanna groźba utraty orientacji we wznesionych nieostrożnym ruchem kłębach mułu - to wszystko mogło prowadzić do paniki, która stała się przyczyną śmierci wielu płetwonurków, nie tylko należycie do podobnych wyczynów wyekwipowanych, lecz również bogatych doświadczeniem, jakiego nie potrafią dać książki. Co to przed pierwszym zejściem do podwodnej groty opodal Wysp Bahama powiedział mu instruktor z Państwowego Instytutu Speleologii? „Podczas nurkowań w jaskiniach możesz zginąć w każdej chwili”. W ów osobliwy sposób, w jaki niekiedy wypływa na powierzchnię świadomości fakt zapamiętany sto lat temu. Pitt przypomniał sobie teraz, że tylko w jednym roku 1974 i tylko w podwodnych grotach Florydy straciło życie dwudziestu sześciu płetwonurków. Zapewne więc statystyki prowadzone w skali ogólnoswiatowej musiały podawać liczbę przynajmniej trzykrotnie wyższą.

Pitt nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, strach zaś z rzadka go rozpraszał,

przeciwnie - w ryzykownych sytuacjach doświadczał zaledwie tyle niepokoju, by reagować ze zdwojonym refleksem. Myśl jednak o nurkowaniu bez linki asekuracyjnej nie budziła w nim entuzjazmu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ta misja może się w chwili, gdy porwie ich podziemny nurt, przemienić w wyrefinowaną formę samobójstwa. Dopóki nie dotrą do groty skarbów, nie będą mieli żadnej drogi ewakuacji. Pozioma rozpadlina, prowadząca do rzeki, to zwężała się, to poszerzała, sprawiając wrażenie wielu połączonych ze sobą klepsydr, w odległości stu metrów od studni stracili dziewięćdziesiąt procent światła z zewnątrz, włączyli zatem lampy umocowane u ich kasków. Kolejny rzut oka na głębokościomierz powiedział Pittowi, że znaleźli się w odległości zaledwie dwudziestu metrów od lustra wody. Giordino zatrzymał się, odwrócił i machnął ręką. Dotarli do ujścia. Pitt odpowiedział gestem oznaczającym „wszystko w porządku” i wsunął dłoń w uchwyt przymocowany do pojemnika, żeby nie oderwał go od niego prąd lub wir. Giordino, potężnie pracując płetwami, ruszył na ukos w górę rzeki: chodziło mu o to, żeby nie spłynąć w dół, zanim Pitt wykaraska się ze swoim końcem pojemnika z gardzieli ujścia. Jego działanie było zaplanowane niemal bezbłędnie - zaczynał właśnie dryfować, pochwycony mocarnym prądem, kiedy Pitt odzyskiwał swobodę manewru. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, spokojnie napełnili kompensatory pływalności, odczepili od pojemnika ołowiane ciężarki i znoszeni w dół rzeki, zaczęli po skosie wychodzić na jej powierzchnię. Dotarli tam po pięćdziesięciu metrach, a ich lampy wyłowiły z mroku przestronną galerię, której sklepienie było z jakiejś osobliwej czarnej skały, nie zaś oczekiwanego wapienia. Pitt na moment zogniskował na niej światło i rozpoznał, że jest wulkaniczna. Na szczęście nurt sunął gładko i nie pienił się wokół kamiennych raf, niemniej jednak brzegi wznosiły się z wody zbyt stromo, aby lądowanie wchodziło w grę.

Pitt wypluł ustnik i krzyknął do Giordina:

- Bądź gotów dawać ostro w bok, kiedy tylko dostrzeżesz coś na kształt plaży!
- Zrobi się! - odkrzyknął Giordino przez ramię.

Niebawem zostawili za sobą galerię wulkaniczną i znaleźli się w wapiennej, której ściany pokrywał dziwny szary osad, zdolny, widać, do absorpcji światła, skoro zaczęli odnosić wrażenie, iż baterie ich lamp powoli zdychają. W przodzie rozległ się równy, gromowy pomruk. Nagle stanęli w obliczu zagrożenia, którego się najbardziej obawiali - że wpłyną na bystrzyny bądź na łeb, na szyję zwałą się z grani wodospadu jeszcze przed lądowaniem.

- Trzymaj się mocno! - wrzasnął Giordino. - Zanosi się na to, że ciepnie nas w dół!

Pitt pochylił głowę, aby światła lampek przymocowanych do kasku godziły dokładnie w przód, był to jednak daremny manewr. Tunel szybko wypełnił się wodną mgiełką, unoszącą się nad rzeką niczym para, i Pitt nagle ujrzał oczyma duszy wizję, jak nie chronieni choćby beczką wałą się w dół wodospadu Niagara. Ryk, wzmacniany stukrotnymi echami, odbitymi od skalistych ścian, stał się ogłuszający. Giordino wpłynął we mgłę i zniknął. Pitt, wczepiony w uchwyt na pojemniku, rozglądał się dokoła z uczuciem hipnotycznej fascynacji. Spowiała go mgielka. Sprężył mięśnie, gotując się do upadku w otchłań, który jednak nie nastąpił, źródłem ryku nie był wodospad, lecz potężny strumień wody, zasilającej rzekę z góry.

Pitta wchłonęła spieniona kipiela, powstała w miejscu, gdzie spadająca z nieznanego źródła woda zasilala podziemny ciek. Pitt ogłupiał: skąd, u Boga Ojca, bierze się pod pustynią, odległą na wykop piłki przez dobrego bramkarza, taka masa wody? Doszedł do wniosku, że potworne ciśnienie wyciska ją do rzeki z rozległej warstwy wodonośnej.

Po przebyciu kurtyny z mgły spostrzegł, że ściany i sklepienie uciekają na boki i w górę, tworząc olbrzymią grootę, ozdobioną groteskowo ukształtowanymi heliktytami, rodzajem stalaktytów, które ignorując siłę ciężkości rosną w najdziwniejszych kierunkach. Osady mineralne utworzyły również piękne rzeźbione grzyby wysokości metra i więcej, i delikatne gipsowe kwiaty o pełnych wdzięku strzępiastych płatkach. Doświadczony speleolog określiliby to miejsce mianem pokazowej jaskini. Zupełnie zrozumiałe, że Pitt zaczął się zastanawiać, jak wiele innych podziemnych światów czeka na odkrycie i zbadanie. Łatwo tu było puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie dawno wymarłą, zapomnianą rasę, która żyła pod ziemią i zdobiła swoją domenę wspaniałymi kalcytowymi rzeźbami.

Giordino był na podobne emocje i dookolne piękno całkowicie niewrażliwy. Odwrócił głowę, posłał Pittowi szeroki uśmiech mający oznaczać „jestem rad, że wciąż żyję” i oznajmił:

- Wygląda to jak meta upiora z opery.

- Nie sądzę jednak, byśmy natrafili gdzieś na Lona Chaneya, który gra na organach.

- Mamy miejsce do lądowania trzydzieści metrów przed nami w lewo - zakomunikował Giordino radośnie.

- Fakt. Zaczynij skręcać na płyciznę i machaj płetwami jak szalony, żeby się wyrwać z głównego nurtu.

Giordino nie potrzebował zachęty. Ostro odbił w lewo i ciągnąc za sobą pojemnik, wprawił stopy w ruch godny łopatkowego parowca. Pitt puścił uchwyt, spiesznie podpłynął do środkowej części aluminiowej rury pojemnika i, wykorzystując swoje ciało jak punkt oparcia, popchnął go z całą mocą w kierunku Giordina. Manewr spełnił zamierzony przez Pitta cel: Giordino, wyzwolony z objęć nurtu, wpłynął na spokojniejszą wodę, a kiedy jego stopy dotknęły dna - ciągnąc za sobą pojemnik wylazł na brzeg.

Uwolniony od brzemienia, Pitt z łatwością wylądował dziesięć metrów poniżej Giordina. Wypełzył na czworakach z wody, usiadł, zdjął płetwy i maskę, następnie zaś, ściągając z pleców butlę, ostrożnie ruszył po wygładzonej skale w stronę przyjaciela.

Giordino również uwolnił się od ciężaru butli, zanim przystąpił do demontażu pojemnika. Spojrzał na Pitta wzrokiem człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

- Przyjemnie mieszkasz, śpiąca królewno.

- Wybacz bałagan - odmruknął Pitt - ale dałem wychodne siedmiu krasnoludkom.

- Czy podzielasz mój entuzjazm wywołany faktem, żeśmy dobrnęli aż dotąd?

- Nie ubolewam, że ciągle żyję, jeśli o to pytasz.

- A właściwie jak dalekośmy zawędrowali?

Pitt wystukał polecenie na klawiaturze komputera przymocowanego do przedramienia.

- Wedle mojego wiernego cudu współczesnej techniki, przebyliśmy dwa kilometry przez czyściec i o dwa metry przybliżyliśmy się do piekła.

- Czyli zostało jeszcze dwadzieścia osiem kilosów.

- Tak - odrzekł Pitt z uśmiechem magika, który zamierza olśnić widownię najwspanialszą ze swoich sztuczek. - Ale od tej chwili będziemy podróżować jak paniska.

Pięć minut później osiem komór „Chybotliwej Koggi” wzduło się powietrzem i w pełni otaklowany poduszkiowiec był gotów ruszyć na bój z podziemną rzeką. Znany jako „ratowniczy pojazd szybkiego reagowania”, pokraczny wehikuł mógł na swej powietrznej poduszce sunąć bez wysiłku ponad bystrzynami, kurzawkami, cienkim lodem i trzęsawiskami skażonego chemicznie blocka. Identyczne jednostki, pozostające na stanie policji i straży pożarnej, ocaliły jak kraj długi i szeroki życie

niezliczonej rzeszy niedoszłych topielców. Ta miała przejść próbę wytrzymałościową, o jakiej nawet nie śnili jej projektanci.

Mający trzy metry długości i półtora metra szerokości przysadzisty poduszkowiec mógł, za sprawą swego pięćdziesięciokonnego czterotaktowego silnika sunąć nad płaską powierzchnią z szybkością sześćdziesięciu czterech kilometrów na godzinę.

- Nasi inżynierowie odwalili kawał dobrej roboty, redukując wysokość - zauważył Giordino.

- Tak, poziome ustawienie silnika i wirnika było rozwiązaniem genialnym - odparł Pitt.

- Aż się nie chce wierzyć, ile sprzętu wcisnęli w ten pojemnik.

Szykując się do rejsu, pochowali i umocowali dziesięć zapasowych butli z powietrzem, dodatkowe butle, umożliwiające napełnianie pontonowego korpusu poduszkowca, cały zestaw lamp i latarni - włącznie z dwoma reflektorami w wodoszczelnych obudowach - zapasowe baterie, apteczkę i trzy dodatkowe aparaty oddechowe. Z wodoszczelnej skrytki Pitt wydobyl swojego wysłużonego kolta kalibru .45 i dwa magazynki. Uśmiechnął się na widok termosu z kawą i czterech kanapek z kielbasą. Admirał Sandecker nigdy nie zapominał o szczegółach, które składają się na sukces przedsięwzięcia, nie mieli teraz jednak czasu na urządzenie sobie pikników: musieli na łeb, na szyję gnać do groty skarbów, póki nie było za późno, aby ocalić Loren i Rudiego. Pitt wsunął pistolet i magazynki do foliowej torebki, zakleił ją, a następnie zatknął za pas na brzuchu pod bluzę.

Spoglądał przez chwilę na czarny ponton poduszkowca.

- O Kirke - zacytował - która wieść nas będziesz w mroki Hadesu, dokąd człek żaden nie pozełgował dotąd na swym czarnym korabiu.

Giordino, zajęty mocowaniem w dulkach awaryjnych wiosł, podniósł głowę i pytająco spojrzął na Pitta.

- Gdzieżeś to podłapał?

- Z „Odysei” Homera.

- Zaiste, byli pomiędzy Trojany męże, zdolni nurkować w głębiny - odpalił bez zająknięcia Giordino. - „Iliada”. Widzisz, ja też potrafię cytować Homera.

- Stanowisz dla mnie nie wysychające źródło niespodzianek.

- At, nie ma o czym gadać.

Pitt zajął miejsce w pontonie.

- Sprzęt skittrany?
- Wszystko dopięte na ostatni guzik.
- Możemy odbijać?
- Dawaj.

Pitt przykucnął na rufie, szarpnął rozrusznik i niewielki silniczek obudził się do życia. Pracował tak cicho, że ledwie go było słychać. Giordino zajął stanowisko na dziobie; kiedy włączył jeden z reflektorów, grotę zalała powódź światła. Odwrócił do Pitta głowę i powiedział ze śmiechem:

- Mam nadzieję, że nikt nie wlepi nam mandatu za zanieczyszczanie środowiska.

- Nie bój bidy. Tutejszy szeryf ma z góry przechlapane, bo zapomniałem wziąć portfel.

Poduszkowiec oddalił się od brzegu i zawisł dwadzieścia centymetrów nad głównym nurtem. Dzierżąc w obu dłoniach pionowe drążki kierownicy. Pitt z łatwością utrzymywał prosty kurs. To prześlizgiwanie się nad powierzchnią bez poczucia fizycznego z nią kontaktu dostarczało osobliwych wrażeń; ze swego stanowiska na rufie Giordino spoglądał w zaskakująco przezroczystą wodę, która z kobaltowobłękitnej przemieniła się w zgniłozieloną, i odprowadzał wzrokiem spłoszone białe salamandry oraz niewielkie ławice ślepych jaskiniowych rybek, śmigających pomiędzy głazami, które wyścielały dno na kształt odpadłych z wielkiej rzeźby, misternie wyrobionych ornamentów. Kiedy Pitt manewrował poduszkowcem i zapisywał w komputerze dane na użytek Petera Duncana, Giordino robił zdjęcia oraz pracowicie meldował o panujących w przedzie warunkach. Chociaż sunęli ze znaczną szybkością, pot w połączeniu z wilgocią wiszącą nad powierzchnią wody otoczył ich głowy rodzajem aureol. Zignorowali ten fenomen, tak samo zresztą jak ciemność, która zamykała się za ich plecami. Coraz głębiej i głębiej pogrążali się w kanion wyżłobiony nurtem rzeki.

Przez osiem pierwszych kilometrów szło im jak po maśle i rozwinęli niezłe tempo; minęli wiele bezdennych głęboczków i galerii, uciekających na boki. Sklepienia połączonych ze sobą grot czasem wznosiły się trzydzieści metrów nad ich głowami, czasem niemal dotykały lustra wody. Przebyli w dzikich podskokach kilka niewielkich wodospadów i odbyli wyczerpujący slalom pomiędzy skałami, sterczącymi, jak się zdawało, co krok w przewężeniu rzeki. Potem znaleźli się w olbrzymiej, niemal trzykilometrowej galerii, ozdobionej krystalicznymi formacjami,

które skrzyły się i migotały w świetle reflektora. Dwa razy natrafili na całkowicie zalany odcinek koryta: tak długo upuszczali wówczas powietrze z komór „Chybotliwej Koggi”, aż uzyskała neutralną pływalność, następnie, ciągnąc za sobą sflaczały poduszkowiec ze sprzętem, dryfowali w dół rzeki z prądem, by wreszcie, osiągnąwszy grotę z powietrzną kieszenią, ponownie nadmuchać wehikuł i podjąć na nim przeprawę. Nie narzekali na te utrudnienia, ani jeden bowiem, ani drugi nie liczył na relaksowy rejs po leniwych wodach. Aby rozładować napięcie, zaczęli nadawać nonsensowne miana mijanym galeriom i innym punktom charakterystycznym. Buduar Cioci Rózi, Muzeum Figur Woskowych, prywatna Siłownia Giordina...

Skąpy strumyk, ściekający ze ściany, zyskał nazwę Fluków z Nosa, a sama rzeka - Pijanego Murzynka Bambo. Po przebyciu drugiego zanurzonego odcinka, Pitt zauważył, że nurt przyspieszył o dwa węzły i rzeka płynie coraz gwałtowniej opadając stromizną. Jak liście niesione wodami rynsztoka, gnali w mrok, nie mając pojęcia o niebezpieczeństwach, które na nich czyhają. Nagle poduszkowiec znalazł się nad spienioną kataraktą, z przodu i z tyłu ufortyfikowaną szaniami bystrzyn pomiędzy niezliczonymi głazami. „Chybotliwa Kogga” jak ujeżdżany na rodeo dziki mustang to strzelała z zadu, to stawała dęba, ilekroć zaś Pitt mówił sobie, że najgorsze z pewnością ma za sobą, następny odcinek witał go jeszcze wyższymi pióropuszcami piany i jeszcze bardziej krętymi meandrami nurtu, za każdym razem jednak wierny wehikuł wyłaniał się z rozpasanych do białości wód i podejmował żeglugę. Pitt stawał na uszach, aby utrzymać ponton na prostym kursie. Gdyby „Kogga” obróciła się prostopadle do nurtu, szansę przeżycia byłyby żadne. Giordino ułapił wiosła i wychodził ze skóry, żeby pomóc Pittowi. Minęli pędem ostry zakręt, najeżony groźnymi skałami; jedne, częściowo zanurzone, słały w górę pióropusze piany, inne, wypiętrzone na wiele metrów ku sklepieniu groty, stanowiły nieprzebyte przeszkody. Jakimś cudem przemknęli pomiędzy jednymi i drugimi, a ponton, chociaż kilkakrotnie odbijał się od niepodatnego kamienia, nie dorobił się ani jednej dziury. Udręki zdawały się nie mieć końca. Pochwyceni przez prąd wsteczny, zawirowali jak korek wciągany w lej wiru. Pitt zaparł się plecami w nadmuchiwane oparcie i maksymalnie zwiększył obroty, aby z pomocą Giordina, który ze wszystkich sił napierał na wiosła, ponownie ustawić wehikuł równolegle do nurtu. Kiedy Giordino jął się wiosłać, reflektory wypadły za burtę i zginęły w spienionej wodzie; od tej chwili mogli liczyć tylko na światła lampek umocowanych do kasków. Minęły, zda się, stulecia, zanim wypluci przez wir znaleźli się w wartkim nurcie bystrzyn. Pitt

zredukował obroty i rozluźnił uchwyt na drążkach kierownicy, w tej chwili toczenie z rzeką boju było pozbawione sensu. „Chybotliwa Kogga” powędruje tam, gdzie ją rzuci nurt.

Giordino wbijał spojrzenie w mrok, mając nadzieję, że dostrzeże odcinek spokojniejszej wody. Zamiast tego ujrzał, iż rzeka rozwidła się i znika w dwóch rozchodzących się tunelach.

- Zbliżamy się do skrzyżowania! - wrzasnął, przekrzykując zgiełk.

- Masz pojęcie, która odnoga jest główna?!

- Lewa wydaje się większa!

- No to dawaj w lewo!

Niewiele brakowało, aby skalna ostroga, rozdzielająca odgałężenia rzeki, niczym rzeźniczy nóż rozplatała poduszkowiec na dwoje; szczęśliwym zrządzeniem losu ponton skrył się na chwilę w kipieli po lewej stronie kamiennego jęczora, wypłynął na powierzchnię i został, odzyskawszy równowagę, uniesiony w dal potężnym nurtem. Przez sekundę Pitt sądził, iż Giordino przepadł w odmętach, ale wnet dostrzegł kompana, który siedząc po pas w wodzie wypełniającej ponton, gorączkowo potrząsał głową, aby uwolnić się od oszołomienia wywołanego faktem, że przez dobre kilka chwil kręcił się w koło jak kulka rulety. Zdobył się na uśmiech i wymownym gestem pokazał swoje uszy.

Pitt zrozumiał. Ryk bystrzyn zdawał się słabnąć, poduszkowiec zaś, ospale wprawdzie, skoro był do połowy wypełniony wodą, znowu zaczął słuchać steru. Nadmierne obciążenie uniemożliwiało uniesienie się na poduszcze powietrznej. Pitt zwiększył obroty i krzyknął do Giordina: - Czerp!

Projektanci pojazdu pomyśleli o wszystkim - Giordino wsunął dźwignię w obejmę na korpusie pompy, a kiedy wykonał kilka ruchów, z rury przewieszanej przez burtę rzygnęła woda.

Pitt przechylił się na bok i w świetle lamp, umocowanych do kasku, zbadał koryto rzeki. Było bardziej niż dotąd zwięzione, a woda, chociaż nie pieniały jej skalne rafy, gnała z zastraszającą prędkością. Nagle spostrzegł, że Giordino przestał czerpać wodę i ze zgrozą na twarzy nastawia ucha. Po chwili również to usłyszał. Głuchy grzmot, dobiegający z dołu rzeki.

Giordino odwrócił głowę.

- I to by chyba było na tyle! - wrzasnął.

Wróciła wizja upadku z grani wodospadu Niagara. Nie zbliżali się do miejsca,



gdzie ze ściany sika anemiczny strumyk. Głuchy ryk zwiastował potworną masę wody walącą się w bezdenną otchłań.

- Napełnij kompensator pływalności! - ryknął Pitt wśród przemożnego hałasu.

Nurt, który unosił ich z chyżością dobrych dwudziestu węzłów na godzinę, zwęzał się tym bardziej, im bliżej był niewidocznego na razie urwiska. Minęli zakręt i utonęli w rozwirowanych kłębach wody. Ryk stał się ogłuszający.

Nie czuli ani strachu, ani bezradności, ani wreszcie rozpacz. Pitt doświadczał jedynie osobliwego odrętwienia, jak gdyby nagle uleciały w niebyt wszelkie władze jego intelektu. Odnosił wrażenie, iż pogrąża się w koszmar, zaludniony bytami bez kształtów i barw. W ostatnim obrazie, jaki ujrzał wyraźnie, „Chybotliwa Kogga” zawisała na grani wodospadu, gotowa runąć w zasłaną mgłami otchłań. Nie miał żadnych punktów odniesienia, nie czuł zatem, że spada: odnosił raczej wrażenie, iż szybuje wśród obłoków. Nagle puścił sterownicę i wyleciał z poduszki. Słyszał, że Giordino coś krzyczy, sens słów jednak utonął w ryku wodospadu. Spadanie zdawało się trwać wieczność. Potem nastąpił upadek. Pitt wbił się w sadzawkę u podnóża urwiska niczym meteor: stracił dech w piersiach i chociaż zrazu pomyślał, że został starty na krwawą miazgę przez ostre skały, wnet poczuł na swym ciele kojący uścisk wody. Instynktownie, wstrzymując oddech, zaczął pracować nogami, aby osiągnąć powierzchnię, a gdy z pomocą swojego kompensatora pływalności po chwili ją przebił, został natychmiast porwany silnym nurtem. Skały, jak drapieżcy zaczajeni w podziemiach, wymierzyły weń swoje kły. Pędząc po bystrzynie, zderzył się, mógłby przysiąc, z każdym kamieniem i kamykiem wysterczającym z rzeki; w rezultacie owych zderzeń podarł w strzępy skafander i dorobił się niezliczonych zadraśnięć na nogach i wyrzuconych na boki ramionach. Poczul mocarny cios w piersi i uderzenie głową z twardą niepodatną materią. Gdyby nie kask, zdolny zresorbować osiemdziesiąt procent impetu, jego czerep pękłby w kawałki jak skorupka orzecha laskowego.

Niewiarygodnym zrządzeniem losu kompensator pływalności nie został przedziurawiony, dzięki czemu półprzytomny Pitt zdołał przemknąć krótki odcinek bystrzyn. Jedna z lampek na jego hełmie uległa rozbiciu, druga zaś, jak się przynajmniej Pittowi zdawało, słała w mrok rozmyty czerwony snop światła. Dziękując za ten dar niebiosom, poczuł pod stopami kamienie i spłynął na płyciznę, poprzedzającą fragment płaskiego brzegu. Płynął, dopóki jego kolana nie otarły się o szorstki żwir dna, a wtedy wyrzucił przed siebie ramiona i podciągnawszy się,

wyszarpnął ciało z morderczego uchwytu nurtu, z jego ust wyrwał się jęk, kiedy w jednym z nadgarstków eksplodował ból. Coś w nim połamano, kiedy na łeb, na szyję walił się w dół. Nadgarstek zresztą nie wyczerpywał listy poważnych kontuzji, Pittowi trzasnęły po lewej stronie przynajmniej dwa żebra.

Głuchy pomruk wodospadu zdawał się dobiegać gdzieś z wielkiej odległości. Pitt zadał sobie pytanie, jak daleko zniósł go nieprzyjemny nurt. Potem, kiedy z jego oszołomionego umysłu odpadły kolejne warstwy pajęczyn, przypomniał sobie Giordina, z rozpaczą, budząc w grocie echa, zaczął wykrzykiwać imię Ala, chociaż w gruncie rzeczy nie spodziewał się odzewu.

- Tu jestem.

Odpowiedź została udzielona szeptem. Pitt jednak odniósł wrażenie, iż potężnie wzmocniona, dobiega z przynajmniej kilku kolumn głośnikowych. Niepewnie powstał na nogi.

- Powtórz.

- Jestem zaledwie sześć metrów w górę rzeki od ciebie - powiedział Giordino. - Nie widzisz mnie?

Pitt miał wrażenie, że wzrok przyćmiewa mu czerwona mgła. Potarł oczy i zaczął widzieć; pojął, iż źródłem mgły jest krew tryskając z draśnięcia na czole. Dostrzegł w pobliżu Giordina, który spoczywał na brzegu, do połowy jednak pogrążony w wodzie. Chwiejnie, ściskając lewą część klatki piersiowej w daremnej próbie opanowania bólu, podszedł do przyjaciela i sztywno przy nim uklęknął.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak jestem rad, że cię widzę. Byłem pewien, że pożeglowałeś na „Chybotliwej Kodze” beze mnie.

- Szczątki naszego wiernego korabia zostały porwane przez prąd.

- Mocno ci się dostało?

Giordino zdobył się na uśmiech, uniósł dłoń i poruszył palcami.

- Przynajmniej wciąż mógłbym zagrać w Cornegie Hall.

- Co zagrać? Przecież nie potrafisz nawet zanucić najprostszej melodii. Potem w oczach Pitta pojawiła się troska. - To kręgosłup?

Giordino anemicznie pokręcił głową.

- Trzymałem się „Koggi”, a kiedy walnęła w dno, wyszło na jaw, że mam nogi zaplątane w liny do mocowania sprzętu. Potem nasze drogi się rozeszły. Chyba poleciały mi oba golenie. - Opowiadał o swojej kontuzji tonem człowieka, który relacjonuje, jak złapał gumę.

Pitt delikatnie obmacał pod kolanami nogi Giordina, który podczas owego badania zaciskał zęby i dłonie.

- Szczęściarz z ciebie. Proste złamanie, bez powikłań.

Giordino ogarnął Pitta spojrzeniem.

- Wyglądasz, jakbyś zaliczył w pralce najdłuższy program.

- Parę zadraśnięć i sińców, ot i wszystko - zełgał Pitt.

- No to dlaczego gadasz przez zęby?

Pitt nie odpowiedział. Usiłował wystukać program na komputerze, przymocowanym do przedramienia, ten jednak, po zderzeniu ze skałą, nadawał się najwyżej na złom. Odpiął klamry i cisnął go do rzeki.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o dane dla Petera.

- A ja straciłem aparat.

- Przechłapanie. Minie sporo czasu, zanim ktokolwiek pójdzie naszym śladem.

- Masz jakieś pojęcie, jak daleko stąd do groty skarbów? - zapytał Giordino.

- Mętne, ze dwa kilometry.

- Będziesz je musiał pokonać samotnie.

- Pieprzysz od rzeczy.

- Byłbym dla ciebie tylko ciężarem - odparł Giordino bez uśmiechu. - Zapomnij o mnie. Zasuważ do groty.

- Nie mogę cię tu zostawić.

- Połamany czy nie, wciąż mogę unosić się na wodzie. Popłynę za tobą później.

- Uważaj, kiedy dotrzesz na miejsce - powiedział ponuro Pitt. - Może i potrafisz spływać, ale nie zdołasz podjąć walki z prądem. Trzymaj się na obrzeżach nurtu, bo jak nie, to cię zniesie do samego morza.

- No to zniesie. Nasze butle zostały w poduszkowcu. Utoniemy tak czy siak, jeśli natrafimy po drodze na zalaną galerię.

- Powinieneś mieć w sobie więcej optymizmu.

Giordino zza paska na łydce wyjął zapasową latarkę.

- Przyda ci się, bo twoje lampy chyba przegrały w walce ze skałami. A skoro o tym mowa, to facjata też. Krwawisz jak prosiak i zalewasz juchą swój śliczniutki postrzępiony skafanderek.

- Zanurkuje w rzece i znów będę czysty - odrzekł Pitt, mocując latarkę nad złamanym przegubem, w miejscu, gdzie do niedawna był komputer. Odrzucił pas z ciężarkami.

- Teraz na cholere mi niepotrzebny.
- Nie bierzesz butli?
- Chcę uniknąć wszelkiego zbędnego obciążenia.
- A jeśli trafisz na zalany odcinek?
- No to będę nurkować, dopóki starczy mi powietrza w płucach.
- Zrób mi jeszcze jedną przysługę - powiedział Giordino, unosząc pasy, który służyły do mocowania butli. - Zwiąż moje kopyta, żeby nie majtały się na wszystkie strony.

Pitt wypełnił prośbę najdelikatniej, jak mógł; Giordino nie wydał z siebie żadnego dźwięku i tylko wciągnął przez zęby powietrze.

- Odpocznij przynajmniej godzinę, nim za mną ruszysz - polecił Pitt.
- Spieprzaj wreszcie, żeby ocalić Loren i Rudiego. Dołączę do ciebie, kiedy tylko zdołam.
- A ja będę się za tobą rozglądać.

- Lepiej zorganizuj solidny podbierak.

Pitt ścisnął na pożegnanie ramię Giordina, a potem wszedł do wody i uniesiony prądem spłynął do następnej groty.

Giordino odprowadzał spojrzeniem ginące za zakrętem światło Pitta. „Dwa kilometry” - pomyślał. „Dałby Bóg, żeby nie było na tym ostatnim etapie przeprawy żadnych zanurzonych galerii”.

Zolar odetchnął z ulgą. Sprawy poszły doskonale, znacznie lepiej, niż oczekiwał. Operacja wchodziła w etap końcowy. Przyczepa, wykorzystywana jako centrum dyspozycyjne, wózek widłowy i wciągarka zostały już ewakuowane drogą powietrzną wraz z większością ludzi pułkownika Camposa; pozostała zaledwie niewielka grupka saperów, aby załadować ostatnią partię zdobyczy na wojskowy śmigłowiec transportowy, który stał obok skradzionej maszyny NUMY.

Zolar omiótł pieściwym spojrzeniem lśniące, ustawione w szeregu złote obiekty, zastanawiając się, jaką cenę zdoła za nie uzyskać. Artyzm i doskonałość wykonania dwudziestu ośmiu posążków inkaskich wojowników były wręcz nieopisane. Każda z metrowych statuetek dawała pojęcie o niewiarygodnym kunszcie dawnych mistrzów.

- Brak tylko kilku, żebyśmy mieli pełen komplet figur szachowych - zauważył Oxley, również spoglądając z zachwytem na rząd złotych postaci.

- Szkoda, że nie mogę ich zatrzymać - odparł ze smutkiem Zolar. - Obawiam się jednak, że będę musiał poprzestać na zakupie za swój udział najzupełniej legalnych dzieł sztuki do mojej prywatnej kolekcji.

Fernando Matos pożerał wzrokiem złotą armię, dokonując w myślach gorączkowych przeliczeń, ile wyniesie jego dwuprocentowa działka.

- Nawet w naszym Państwowym Muzeum Antropologii w Mexico City nie mamy niczego, co mogłoby się z tym równać.

- Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby dokonał pan donacji swojego udziału - stwierdził z ironią Oxley.

Matos posłał mu zjadliwe spojrzenie, zaczął coś mówić, ale urwał na widok zbliżającego się pułkownika Camposa.

- Porucznik Ramos melduje z groty, że nic już w niej nie pozostało. Kiedy wyjdzie ze swymi ludźmi na powierzchnię, załaduje te obiekty na pokład śmigłowca, wówczas ja udam się na lotnisko, aby osobiście nadzorować przeładunek.

- Jestem panu bezgranicznie wdzięczny, panie pułkowniku - odparł z galanterią Zolar.

W uczciwość kontrahenta wierzył równie mocno jak w to, że zdołałby cisnąć kamiennym demonem, gdyby tylko zechciał. - Jeśli nie ma pan zastrzeżeń, będziemy panu towarzyszyć.

- Ależ oczywiście. - Campos rozejrzył się po niemal opustoszałym wierzchołku

góry. - A co z resztą pańskich ludzi?

Spojrzenie głęboko osadzonych oczu Zolara stało się lodowate.

- Mój brat, Cyrus, oraz jego, hm, współpracownicy doprowadzą do końca kilka drobnych spraw, następnie zaś podążą za nami drugim śmigłowcem.

Campos pojął i uśmiechnął się cynicznie.

- Człowieka przechodzi dreszcz na myśl o bandytach, którzy grasują na pustyni, rabując i mordując niewinnych turystów.

Kiedy czekali na powrót porucznika Ramosa i jego pododdziału, Matos zbliżył się do kamiennego demona, aby starannie go obejrzeć. Gdy położył dłoń na jego rzeźbionej szyi, zdumiał się, iż jest tak chłodna, mimo że przez cały dzień wchłaniała promienie słoneczne. Potem nagle cofnął rękę - wydało mu się, że kamień stał się sprężysty i oślizgły, jak pokryty łuską rybi bok.

Zbity z tropu, odstąpił o krok, zaczął się odwracać i w tej właśnie chwili dostrzegł ludzką głowę, wyłaniającą się zza grani przed kamiennym demonem. Jako człowiek wychowany w rodzinie wykładowców uniwersyteckich, Matos z dystansem traktował przesady i folklor, znieruchomiał zatem za sprawą ciekawości raczej, aniżeli przestachu.

Głowa uniosła się nieco wyżej, dowodząc jasno, że tkwi na barkach człowieka, który z wysiłkiem wydzwigiwał się na szczyt. Wreszcie dopiął celu, stanął niepewnie na szeroko rozstawionych nogach i wymierzył w Matosa lufę starej strzelby.

Billy Yuma niemal minutę odpoczywał pod granią łapiąc oddech i czekając, aż jego serce nieco się uspokoi. Kiedy na koniec wystawił głowę znad krawędzi, dostrzegł osobliwego łysego facecika w wielkich okularach i nie pasującym do tego miejsca stroju, złożonym z ciemnego garnituru, białej koszuli i krawata. Przywiódł Billy'emu na myśl przedstawicieli władz centralnych, którzy raz do roku pojawiali się w wiosce, obiecując pomoc w postaci nawozów sztucznych, paszy dla bydła, ziarna siewnego i pieniędzy, a potem ruszali w swoją drogę, by nigdy nie zrealizować przyrzeczeń. Billy dostrzegł również grupkę ludzi, stojących przy śmigłowcu wojskowym w odległości trzydziestu metrów. Nie zauważyli go. Planował zakończyć wspinaczkę przed kamiennym demonem, gdzie nikt by go nie widział, niefortunnym jednak zrzędzeniem losu natknął się na Matosa. Mierząc do niego ze swego wysłużonego winchestera, Billy powiedział niemal z czułością:

- Piśnij słowo, a zginiesz.

Nie musiał odwracać głowy, aby zyskać pewność, że jego śladem gramolą się na

szczyt pierwsi członkowie familijno-sąsiedzkiego komanda; pojmował jednak doskonale, że potrzebują przynajmniej minuty, aby dołączyć do niego w swym skromnym liczebnie komplecie. Jeśli łysoń wznieci alarm, element zaskoczenia zostanie roztrwoniony i rozsiani po zboczu ludzie Billy'ego staną się łatwym celem. Musiał grać na zwłokę.

Wtem sytuacja znacznie się pogorszyła, bo ze skalnej rozpadliny wymaszerowała prowadzona przez oficera grupka żołnierzy. Szczęśliwym trafem, nie oglądając się na boki, ruszyli w stronę czegoś, co Billy Yuma uznał za rozstawionych w nierównym szeregu złotych ludzików.

Na widok zbliżających się saperów pilot śmigłowca włączył silniki, wskutek czego oba wirniki potężnej maszyny transportowej zaczęły się kręcić na wolnych obrotach.

Obok skalnego demona Matos podniósł ręce do góry.

- W dół! - syknął Billy Yuma.

Matos usłuchał.

- Jak przedostaliście się przez kordon? - zapytał. - I co właściwie tu robicie?

- To święta ziemia mojego plemienia - odparł cicho Billy. - Zbeczczęściliście ją swoją chciwością.

Kolejne zyskiwane sekundy sprawiły, że na szczycie, skryci za kamiennym posągiem demona, pojawiali się kolejni Montolowie, zajmując stanowiska za plecami Yumy. Dotarli aż dotąd, nie zadając śmierci czy ran; Billy'emu wstrętą była myśl, że mogą zacząć czynić to teraz.

- Podejdz w moją stronę - polecił Matosowi. - Stań obok demona.

W oczach Matosa rozbłysło szaleństwo. Głód złota, idąc o lepsze ze strachem, wygrał w końcu potyczkę. Chodziło przecież o skarby, które uczynią go bogatszym, niż kiedykolwiek ośmielał się marzyć. Nie może tego stracić za sprawą bandy przesądnych Indian. Nerwowo zerknął przez ramię na saperów, przybliżających się do śmigłowca. Zgroza, wywołana perspektywą utraty zdobyczy, przyprawiła go o skurcz żołądka. Billy Yuma spostrzegł, na co się zanosi. Mężczyzna w garniturze wymykał mu się spod kontroli.

- Chcesz złota? - zapytał Billy. - Bierz je i odejdz z naszej góry.

Na widok kolejnych sylwetek materializujących się za plecami Billy'ego, Matos nie wytrzymał. Odwrócił się na pięcie, ruszył biegiem i zaczął wrzeszczeć:

- Intruzi! Strzelajcie do nich!

Nie unosząc winchestera i nie celując, Billy strzelił z biodra: kula trafiła Matosa w kolano, urzędas - gubiąc okulary - szarpnął się w bok i ciężko upadł na brzuch, a potem przewrócił się na wznak i z jękiem, oburącz ułapił zranioną nogę. Ludzie Billy'ego, z gotową do strzału bronią, jak duchy rozsypali się w półkolistą tyralierę i ruszyli w stronę śmigłowca. Porucznik Ramos, nie będąc głupcem, w ułamku sekundy ogarnął sytuację. Jego ludzie byli saperami, nie nosili broni jak piechota. W geście kapitulacji podniósł ręce do góry i okrzykiem polecił swojemu pododdziałowi uczynić to samo.

Zolar donośnie zaklął.

- Skąd, do cholery, wzięli się ci Indianie?

- Nie ma czasu, żeby się nad tym zastanawiać - odparł Oxley. - Zwijamy żagle.

Dał susa do ładowni śmigłowca, pociągając brata za sobą.

- Złoci wojownicy! - zaprotestował Zolar. - Jeszcześmy ich nie załadowali!

- Zapomnij o nich.

- Nie! - z uporem wykrzyknął Zolar.

- Idioto, czy nie widzisz, że ci ludzie są uzbrojeni? Saperzy nie mogą nam pomóc. - Odwrócił głowę i wrzasnął do pilota śmigłowca: - Startuj! Andale! Andale!

Pułkownik Campos zareagował wolniej niż Zolarowie. Wydał porucznikowi Ramosowi i jego ludziom zgoła kretyński rozkaz:

- Biercie ich, do ataku!

Ramos popatrzył na dowódcę jak na szaleńca.

- Czym mamy ich atakować, panie pułkowniku? Gołymi dłońmi?

Yumę i jego rodaków dzieliło w tym momencie od śmigłowca zaledwie dziesięć metrów. Na razie padł tylko jeden strzał. Widok roziskrzonych w słońcu złotych posążków na moment oszołomił Montolów; jedynym przedmiotem z litego złota, jaki widzieli dotąd na własne oczy, była złota monstrancja z niewielkiego kościółka misyjnego w pobliskim Ilano Colorado.

Pilot zwiększył obroty, kłęby kurzawy wznosiły się coraz wyżej, a łopaty wirnika wściekle zaczęły mlócić powietrze. Maszyna odrywała się akurat od podłoża, gdy pułkownik Campos pojął wreszcie, że ostrożność powinna czasem zajmować pierwsze miejsce przed chciwością. Zachęcany gestami przez Charlesa Oxleya, dał cztery susy w stronę otwartej kłapy ładowni. Właśnie w tej chwili śmigłowiec ostro poderwał się w górę; dłonie Camposa chwyciły pustkę. Pułkownik, jak skoczek rzucający się do morza z grani klifu, poleciał w dół, coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie w rozprysku



czerwieni plasnął o rozciągnięte wzdłuż podnóża góry ostre skały.

- Dobry Boże! - westchnął Oxley.

Zolar, wczepiony w uchwyt na ścianie ładowni, nie widział ostatniego lotu pułkownika Camposa. Przejmował się czymś zupełnie innym.

- Cyrus został w grocie.

- Ma przy sobie Amaru i jego ludzi. Nic się nie przejmuj. Ich automaty dadzą sobie radę z kilkoma Indianami, zbrojnymi w śrutówki i stare karabiny. Przylecą drugim śmigłowcem.

Dopiero wtedy Zolar zdał sobie sprawę z nieobecności pułkownika i Matosa.

- Gdzie nasi wojskowi i biurokratyczni sprzymierzeńcy?

- Indianie postrzelili Matosa, a pułkownik trochę się spóźnił.

- Został na Cerro el Capirote?

- Nie. Spadł z Cerro el Capirote. Nie żyje.

Reakcji Zolara nie mógłby sobie wymarzyć nawet najbardziej perwersyjny psychiatra.

Handlarz antyków na moment przyoblekł twarz w wyraz zadumy, a potem parsknął śmiechem.

- Matos postrzelony, a zacy pułkownik martwy. Czyli parę groszy więcej dla naszej rodzinki.

Ustalony z Pittem plan Yumy został zrealizowany. Indianie opanowali szczyt i wyparli nieprzyjaciół ze świętej góry zmarłych. Billy Yuma odprowadzał spojrzeniem porucznika Ramosa i jego żołnierzy, eskortowanych po zboczu przez dwóch swoich kuzynów.

O znoszeniu na dół Matosa nie było mowy. Obandażowany i wspierany przez dwóch saperów, musiał kuśtykać w dół o własnych siłach. Billy zbliżył się do powiększonego przez żołnierzy wlotu podziemnego korytarza. Roznosiła go ciekawość, chciał na własne oczy ujrzeć rzekę opisywaną przez Pitta. Rzekę z jego snów. Starsi mężczyźni jednak lękali się wejść w trzewia góry, młodszych natomiast - bez reszty zafascynowało złoto. Chcieli za wszelką cenę znieść na dół złote statuetki, zanim powrócą żołnierze.

- To nasza góra - oznajmił młodzieniec, który był synem zajmującego się uprawą roli sąsiada Billy'ego Yumy. - Złote człowieczki należą zatem do nas.

- Pierwej musimy zobaczyć rzekę, płynącą przez górę - odrzekł Billy.

- Zakazany jest żywym wstęp do krainy zmarłych - przypomniał starszy brat

Billy'ego.

Bratanek spojrział na Billy'ego z powątpiewaniem.

- Nie ma żadnej rzeki płynącej pod pustynią.

- Wierzę człowiekowi, który mi o niej opowiadał.

- To gringo. Nie możesz mu zaufać tak samo, jak nie możesz dawać wiary tym, w których żyłach płynie hiszpańska krew.

Yuma pokręcił głową i wskazał złote posążki.

- To jasno dowodzi, że nie kłamał.

- Żołnierze tu wrócą i wybiją nas, jeśli stąd nie znikniemy - stwierdził jeden z wieśniaków.

- Złote człowieczki są zbyt ciężkie, by można je było znieść po zboczu - zaproponował ten sam co uprzednio młody człowiek. - Musimy je spuścić na linach, a to potrwa...

- Pomódlmy się więc do demona i ruszajmy w drogę - zasugerował brat Billy'ego. - Ale dopiero wtedy, kiedy złote człowieczki znajdą się na dole - oświadczył z uporem młodzieniec.

Billy Yuma bez przekonania dał za wygraną.

- A zatem, moi przyjaciele i krewni, dotrzymam obietnicy i sam wkroczę w głąb góry. Zabierzcie złotych ludzi, ale bez ociągania. Dzień chyli się ku końcowi. Pokonując wlot podziemnego korytarza, Billy nie odczuwał szczególnego lęku. Wspinaczka na górę przyniosła dobre rezultaty, źli ludzie zostali przegnani. Demon odzyskał spokój i teraz - mając jego poparcie - Billy bez lęku wkraczał w krainę zmarłych. Może znajdzie w niej trop, wiodący do utraconych bożków swojego plemienia?

Loren, zwinięta w kłębek, siedziała w ciasnej celce, tonąc w rozpacz. Nie miała już w sobie woli walki. Godziny zlewały się ze sobą, aż utraciła poczucie czasu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła. Usiłowała przywołać w pamięci uczucia suchości i ciepła, tkwiły jednak tak daleko poza horyzontem wspomnień, że mogło się zdawać, iż nigdy ich nie doświadczyła. Jej pewność siebie, niezależność, duma z faktu, iż jest szanowanym członkiem legislatury jedyne supermocarstwa na świecie, nie znaczyły nic w tej maleńkiej, wilgotnej dziurze. Chwile, kiedy po raz ostami zabierała głos w Izbie Reprezentantów, były odległe o miliony lat. Toczyła walkę tak długo, jak długo mogła, teraz jednak dotarła do kresu. I akceptowała ten kres. Lepiej już umrzeć i mieć wszystko z głowy. Spojrzała na Rudiego Gunna. W ciągu ostatniej godziny prawie się nie poruszył. Nie musiała być lekarzem, aby stwierdzić, że tym razem oberwał naprawdę mocno. Tupac Amaru, w przyływie sadystycznej wściekłości, złamał mu kilka palców u rąk, rozdeptując dłonie, a poza tym okropnie skopał po głowie i brzuchu. Rudi może umrzeć, jeśli nie otrzyma rychło pomocy medycznej. Myśli Loren zwróciły się w stronę Pitta. Wszystkie możliwe drogi ku wolności były dla niej zablokowane, chyba że Pitt pospieszy na ratunek, wiodąc za sobą szwadron amerykańskiej kawalerii. Perspektywa mało prawdopodobna. Przypominała sobie inne sytuacje, gdy ją ocalił. Po raz pierwszy na pokładzie rosyjskiego statku turystycznego, gdzie więzili ją agenci dawnych sowieckich władz. Pojawił się wówczas niespodziewanie i uchronił ją przed ciężkim pobiciem. Po raz wtóry, kiedy fanatyczny Hideki Suma trzymał ją i jeszcze jednego kongresmana jako zakładników w swoim podwodnym mieście opodal wybrzeży Japonii. Pitt i Giordino zaryzykowali życie, aby ją uwolnić. Nie miała zatem prawa się poddawać... Ale przecież Pitt nie żył, zgnieciony na miazgę przez ciśnięte do morza granaty ogłuszające. Gdyby jej rodacy mieli pospieszyć na ratunek, wysyłając przez granicę oddział wojsk specjalnych, uczyniliby to już dawno. Obserwowała przez szczelinę skalną, jak ewakuowano na szczyt góry kolejne partie złotego skarbu. Kiedy transporty się skończyły, pojęła, że nadszedł czas wykonania wyroku na niej i na Rudim.

Nie musieli czekać długo. Jeden z cuchnących kompanów Amaru podszedł do strzegącego celi wartownika i wydał mu jakiś rozkaz. Szpetny obwieś odwrócił się i gestem polecił im wyjść z celi.

- Salga, salga - dodał przynaglająco.

Loren zaczęła potrząsać Rudim, aby go obudzić, a później pomogła mu wstać.

- Chcą nas gdzieś przenieść - powiedziała miękko.

Gunn spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem, potem - rzecz niewiarygodna - zmusił się do słabego uśmiechu.

- Najwyższy czas, żeby zakwaterowali nas w lepszym apartamencie. Idąc obok siebie - powłóczący nogami Gunn wsparł się na ramieniu Loren, ona zaś objęła go w pasie - zostali doprowadzeni na płaski kawałek gruntu wciśnięty pomiędzy stalagmity niedaleko od brzegu rzeki. Amaru żartował z czterema swoimi ludźmi.

Był tam również Cyrus Sarason, którego Loren zapamiętała z promu. Latynosi sprawiali wrażenie wypoczętych i rozluźnionych, Sarason jednak ociekał potem, a na jego koszuli, pod pachami, rozlewały się wielkie plamy wilgoci. Jednooki wartownik brutalnie pchnął jeńców do przodu i zajął stanowisko nieco w bok od swoich kolegów. Sarason przywiódł Loren na myśli wufowca z ogólniaka, któremu na uczniowskiej potańcówce powierzono obowiązki przyzwoitki i który funkcję tę uważa za bezbarwną i nudną. W przeciwieństwie do niego, Amaru sprawiał wrażenie człowieka wprost roznoszonego energią. W jego oczach płonęło podniecenie. Popatrzył na Loren wzrokiem czołgającego się przez pustynię wędrowca, który nagle dostrzega knajpę z zimnym piwem.

Podszedł do Loren i brutalnie chwycił ją za podbródek.

- Gotowa jesteś nas rozerwać?

- Daj jej spokój - powiedział Sarason. - Nie ma sensu, byśmy nad miarę przedłużali tu swój pobyt.

Loren poczuła, że przez jej żołądek przepęła coś zimnego i oślizgłego. „Tylko nie to” - pomyślała. „Dobry Boże, tylko nie to”.

- Jeśli zamierzasz nas zabić, bierz się do roboty.

- Twoje życzenie zostanie spełnione już niebawem - odrzekł Amaru ze swym sadystycznym uśmiechem - najpierw jednak zabawisz moich ludzi. Kiedy skończą i będą zadowoleni, może wystawią kciuki do góry i pozwolą ci żyć. Jeśli nie - kciuki w dół, jak pokonanych gladiatorów osądzali Rzymianie. Sugeruję zatem, żebyś spróbowała ich zadowolić.

- To idiotyzm! - parsknął Sarason.

- Pomyśl tylko, amigo. Moi ludzie urabiali sobie ręce po łokcie, pomagając ci transportować złoto, mógłbyś więc przynajmniej pozwolić, by odebrali niewielką premię za swe usługi, zanim wyniesiemy się z tego diabelskiego miejsca.

- Za swoje usługi jesteście opłacani naprawdę przyzwoicie.

- Jak to się mawia w waszym kraju? - rzekł Amaru, ciężko oddychając. -  
Dodatkowe beneficja?

- Nie mam czasu na długotrwałe uciechy seksualne.

- Znajdziesz ten czas - syknął Amaru obnazając zęby, jak gotująca się do ataku  
zmija.

- W przeciwnym bowiem wypadku moi ludzie będą bardzo, ale to bardzo  
niezadowoleni. A wtedy któż wie, czy zdołam nad nimi zapanować.

Jedno spojrzenie na pięciu zbirów, stojących szeregiem za swoim przywódcą, i  
Sarason wzruszył ramionami.

- Ona mnie nie obchodzi. - Wpatrywał się w Loren przez moment. - Róbcie z  
nią, co chcecie, ale przynajmniej bierzcie się już do dzieła. Mamy jeszcze masę roboty,  
no i nie chcę, żeby bracia na mnie czekali.

Loren była bliska wymiotów. Z błaganiem w oczach spojrzała na Sarasona.

- Nie jest pan jednym z nich. Wie pan, kim jestem, kogo reprezentuję. Czy  
dopuszcza pan do tego?

- W ich świecie barbarzyńskie okrucieństwo jest czymś najzupełniej  
naturalnym - odparł Sarason oziębło. - Każdy z tych parszywych wyrodków poderżnie  
szyję dziecku tak samo obojętnie, jak pani przeciągnie nożem po kawałku polędwicy,  
krojąc steki.

- A zatem nie zrobi pan nic, żeby zapobiec ich perwersyjnym rozrywkom?

- To może być nawet zabawne. - Sarason nonszalancko wzruszył ramionami.

- Nie jest pan lepszy od nich.

Amaru wykrzywił wargi w obleśnym grymasie.

- Znajduję wiele radości rzucając na kolana kobiety tak wyniosłe jak ty. Skinął  
na jednego ze swoich ludzi. - Tobie przypadnie zaszczyt spełnienia funkcji parowozu.  
Julio. Szczęśliwiec wystąpił z grona rozczarowanych kompanów i rozciągając usta w  
lubieżnym uśmiechu, ułapił Loren za ramię.

Mały Rudi Gunn, okrutnie poszkodowany i z trudem trzymający się na nogach,  
nagle pochylił głowę, rzucił się w przód i walnął bykiem zbira zabierającego się do  
Loren. Atak był równie skuteczny, jak cios wymierzony kijem od miotły pancерnej  
bramie fortecy. Potężny Peruviańczyk tylko z cicha mruknął, a potem bez gniewu  
rąbnął Gunna na odlew i rzucił go na dno jaskini.

- Do rzeki z tym małym sukinsynem - poleciał Amaru.

- Nie! - wykrzyknęła Loren. - Nie zabijajcie go, na rany boskie!

Jeden z ludzi Amaru chwycił Gunna za stopę i zaczął go wlec w stronę wody.

- Chyba popełniacie błąd - ostrzegł Sarason.

- Czemu? - Amaru popatrzył nań spode łba.

- Ta rzeka przypuszczalnie wpada do zatoki. Może zamiast pozostawiać unoszone falą zwłoki, które przecież da się zidentyfikować, należałoby pozbyć się ich na dobre?

Amaru namyślał się przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

- Podziemna rzeka, która zanieśie ich do Morza Corteza... To mi się podoba. Amerykańskim funkcjonariuszom śledczym nigdy nie przyjdzie do głowy, że zostali zabici sto kilometrów od miejsca, gdzie ich znaleziono. Ta myśl bardzo do mnie przemawia. - Zwrócił się do mężczyzny, trzymającego Gunna za nogę. - Ciśnij go jak najdalej w nurt.

- Nie, proszę, nie! - wyjęczała błagalnie Loren. - Pozwólcie mu żyć, a zrobię wszystko, czego żądacie.

- Zrobisz to tak czy owak - odrzekł beznamiętnie Amaru.

Peruwiański bandyta cisnął Gunna do rzeki z łatwością lekkoatlety miotającego kulą. Rozległo się pluśnięcie i Gunn zniknął w czarnej wodzie. Amaru spojrział na Loren i skinął w stronę Julia.

- No to zaczynamy program.

Loren wrzasnęła, z szybkością kocicy skoczyła na mężczyznę trzymającego ją za ramię i wraziła mu w oczy kciuki zakończone długimi paznokciami. Po grocie poniósł się pełen udręki krzyk. Niedoszły gwałcieł poderwał dłonie do twarzy i kwiknął jak zarzynana świnia. Amaru, jego ludzi i Sarasona sparaliżował na moment widok wyciekającej spomiędzy palców krwi.

- O Matko Chrystusa! - jęczał Julio. - Ta dziwka mnie oślepiła!

Amaru podszedł do Loren i mocno uderzył ją w twarz. Zachwiała się, lecz nie upadła.

- Zapłacisz za to - powiedział z lodowatym spokojem. - Przed śmiercią, ale kiedy już spełnisz swoją rolę, spotka cię ten sam los.

Strach w oczach Loren ustąpił miejsca nieopanowanej wściekłości. Gdyby miała dość sił, walczyłaby z nimi zębami i pazurami jak tygrysica, do ostatka. Dni złego traktowania i głodu jednak uczyniły ją słabą jak niemowlę. Kopnęła Amaru, lecz przyjął cios ze stoicyzmem słonia, którego ukąsił komar.

Chwycił ją za ręce, wykręcił do tyłu i sądząc, że jest bezradna, spróbował pocałować, ale Loren splunęła mu w twarz.

Rozwścieczony, walnął ją pięścią w podbrzusze.

Loren zgięła się wpół i usiłowała złapać oddech, jęcząc z bólu. Opadła na kolana i powoli, wciąż ściskając rękoma brzuch, osunęła się na ziemię.

- Skoro Julio został wyłączony z gry - powiedział Amaru - wy, chłopcy, bierzcie się do dzieła.

Po Loren sięgnęły grube i silne męskie dłonie, zakończone paluchami o szponiastych paznokciach. Przewróciły ją na wznak, przygwoździły do ziemi ramiona i nogi. Rozkrzyżowana połączonymi siłami oprychów, w których gronie był jednooki Quasimodo, Loren wydała rozpaczliwy okrzyk bezbronnej kobiety. Zdarło z niej ostatnie strzępy odzieży. Widok gładkiej kremowej skóry, lśniącej w sztucznym blasku lamp pozostawionych przez saperów, pchnął zwierzęce podniecenie napastników do ostatecznych granic. Jednooki Quasimodo przykłęknął pomiędzy nogami Loren; sapał urywanie i obnażał zęby w grymasie zwierzęcej chuci. Przypadł wargami do jej ust. Poczula smak krwi, gdy zgryzł jej dolną wargę. Loren czuła się jak w sennym koszmarze. Jednooki wyprężył się do tyłu i przeciągnął sękatymi łapskami po obnażonych piersiach Loren; odniosła wrażenie, że jej delikatną skórę kaleczy gruby papier ścierny... Z odrazą we fiołkowych oczach wydała przeciągły krzyk.

- Broń się! - wyszeptał ochryple jednooki adonis. - Lubię kobiety, które się bronią.

Kiedy przygwoździł do ziemi ponizoną i przerażoną Loren, jej wrzaski przemieniły się w jęk bólu.

Nagle poczuła, że ma wolne ręce; w tej samej chwili przeorała paznokciami twarz Quasimoda. Oszołomiony szarpnął się do tyłu, a po jego policzkach spłynęły dwa równoległe strumienie krwi. Tępo popatrzył na kompanów.

- Czemu ją puściliście? - syknął.

Tamci jednak, zwrócenii do rzeki, tylko gapili się głupawo, rozdziawiając gęby. Zgodnie uczynili znak krzyża, jak gdyby zamierzali odegnać diabła. Nie patrzyli ani na gwałciciela, ani na Loren. Ich oczy utkwione były w rzece, Amaru, idąc za ich przykładem, odwrócił głowę i wbił spojrzenie w czarną wodę. To, co ujrzał, mogło doprowadzić do obłędu najprzytomniejszego człowieka. Pod powierzchnią rzeki zbliżało się do brzegu i nabierało mocy niesamowite światło. Potem przebiło powierzchnię, stając się częstką okrytej hełmem głowy. Niczym odrażający stwór,

zrodzony w mrocznych głębinach wilgotnego piekła, ludzka, a zarazem jakby  
nieczłowiecka postać powoli wyźwignęła się z głębin i ruszyła w stronę brzegu. Zjawy te,  
spowite w narośla czy też podobne do wodorostów macki, sprawiały wrażenie  
przybysza z najgłębszych otchłani jakiejś dalekiej planety, w istocie jednak musiały  
być po prostu emisariuszami zaświatów. Pod pachą bowiem, w taki sposób, jak ojciec  
nieśie niegrzeczne dziecko, taszczyła nieruchome ciało Rudiego Gunna.



Twarz Sarasona wyglądała jak biała śmiertelna maska z gipsu. Po czole strumieniami spływał mu pot. Jak na człowieka nie ulegającego emocjom nazbyt łatwo, miał zupełnie solidnie zaszokowane spojrzenie. Milczał.

Amaru porwał się na nogi i usiłował coś powiedzieć, lecz dopiero po dłuższej chwili z jego drżących ust wydobyły się ochryple słowa:

- Uciekaj stąd, diabło... Wracaj do inferno...

Upiór delikatnie złożył Gunna na ziemi. Jedną ręką zdjął hełm. Potem rozpiął suwak bluzy i sięgnął pod połę. Było teraz widać, że ma zielone oczy. Rozbłysły straszliwym gniewem, kiedy ich spojrzenie padło na Loren, nagą i rozciągniętą na twardej, zimnej skale.

Dwaj mężczyźni, którzy przytrzymywali nogi Loren, wciąż, jeszcze patrzyli przed siebie tępo, kiedy najpierw raz, a potem drugi w głuchej ciszy groty donośnie zagadał kolt. Ich głowy eksplodowały, zanim zdążyli wykrzywić twarze w grymasie przerażenia. Osunęli się i padli na Loren.

Dwaj pozostali odskoczyli na bok, jakby niedoszła ofiara zaczęła nagle zarażać dżumą. Oślepiiony Julio, wciąż przyciskając dłonie do twarzy, skamlał z cicha jak zbity pies. Loren nie potrafiła nawet krzyknąć: wpatrywała się w mężczyznę z rzeki; poznała go, przekonana była jednak, że ma przywidzenia. Niedowierzanie, a potem zgroza zmroziła serce Amaru, który wreszcie rozpoznał zjawę.

- To ty! - wydusił z siebie.

- Sprawiasz wrażenie zaskoczonego moją wizytą, Tupacu - rzucił lekko Pitt. - A i Cyrus nieco pozieleniał na skrzelach.

- Jesteś martwy. Zabiłem cię.

- Byle jaka robota, byle jakie rezultaty. - Pitt szachował mężczyznę pistoletem i powiedział do Loren, nie patrząc na nią: - Mocno ci się dostało?

Przez moment była zbyt oszołomiona, aby odpowiedzieć. Potem wyjąkała bez przekonania:

- Dirk... czy to naprawdę ty?

- Jeśli jest jakiś inny, mam nadzieję, że zostanie schwytany, zanim podpisze moim nazwiskiem zbyt wiele czeków. Wybacz, że nie dotarłem tu wcześniej.

Z zapalem pokiwała głową.

- Dzięki tobie przeżyłam, żeby zobaczyć, jak te bydlęta zapłacą.

- Nie będziesz musiała czekać długo - odparł z kamiennym spokojem. - Czy

masz dość sił, żeby wyjść na górę?

- Tak, tak - wyszemrała Loren, godząc się powoli z myślą, że została ocalona. Drżąc zepchnęła z siebie trupy dwóch mężczyzn i nie bacząc na swą nagość, niepewnie podniosła się na nogi. Pokazała ręką Gunna. - Rudi jest w okropnym stanie.

- Zrobił to wam ten sadystyczny zwyrodnialec?

Loren przytaknęła bez słowa.

Pitt miał ściśnięte wargi, a w jego opalizujących oczach tliła się żądza mordy.

- Ten oto Cyrus właśnie zgłosił się na ochotnika wynieść Rudiego na górę - powiedział, nonszalancko kierując pistolet w stronę Sarasona. - Oddaj jej swoją koszulę.

Loren pokręciła głową.

- Wolę iść naga, niż nosić jego wszawę przepocone łachy.

W Sarasonie, który wiedział, że może spodziewać się kulki, strach ustąpił miejsca instynktowi przetrwania. Wysiłił cały swój spryt, by snuć plany ocalenia. Opadł na kamienną posadzkę, jakby ogarnięty szokiem nie mógł ustać na nogach, i oparł dłoń na kolanie, zaledwie kilka centymetrów od derringera kalibru .38, ukrytego za cholewką buta.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał, usiłując zyskać na czasie.

- Przybyliśmy podwodnym statkiem turystycznym - odparł lakonicznie Pitt.

- Przybyliśmy?

- Reszta grupy powinna wyjść na powierzchnię lada chwila.

- Brać go! - wrzasnął nagle Amaru do swoich dwóch ostatnich sprawnych ludzi. Byli zatwardziałymi mordercami, nie mieli jednak ochoty umierać, nie uczynili zatem próby sięgnięcia po automaty, które odłożyli na ziemię przystępując do gwałcenia Loren. Jedno spojrzenie na lufę Pittowej czterdziestkipiątki i gorejące nad nią oczy wystarczyło aż nadto, by powstrzymać każdego z wyjątkiem zadeklarowanego samobójcy.

- Tchórzliwe kundle! - warknął Amaru.

- Wciąż, jak widzę, próbujemy zwalić na innych brudną robotę, co? - rzekł Pitt.

- Chyba popełniłem błąd, że nie wykończyłem cię w Peru.

- Przysiągłem wtedy, że będziesz cierpieć tak samo, jak ja cierpiałem.

- Nie stawiaj raczej swojej emeryturki z Solpemachaco na to, że tak się stanie.

- Zamierzasz zamordować nas z zimną krwią - stwierdził bezbarwnie Sarason.

- Ależ skąd. Morderstwo z zimną krwią to coś, co zafundowałeś doktorowi

Millerowi i Bóg jeden wie, jak wielu jeszcze innym niewinnym ludziom, którzy stanęli ci na drodze. Jako występujący w ich imieniu anioł zemsty, jestem tu, aby wykonać na was wyrok.

- Czyż nie mam prawa do uczciwego procesu? - zaprotestował Sarason, którego dłoń podpełzła kilka centymetrów w stronę ukrytego derringera. Dopiero teraz spostrzegł, że szrama na czole nie jest jedyną kontuzją Pitta; jego barki były przygięte znużeniem, stał niepewnie, a lewa ręka, przyciśnięta do piersi i nienaturalnie wykręcona, zdawała się świadczyć o złamanym nadgarstku. Do tego, wywnioskował Sarason, zapewne kilka pękniętych żeber. Doświadczył przyływu nadziei, kiedy zdał sobie sprawę, że od utraty przytomności dzieli Pitta zaledwie włos.

- I kto tu domaga się sprawiedliwości? - powiedział z bezgraniczną pogardą Pitt. - Cholerna szkoda, że nasze wspaniałe amerykańskie sądownictwo nie gwarantuje zabójcom takiego samego losu, jaki oni gotują swoim ofiarom.

- Nie tobie nas sądzić. Gdyby nie moi bracia i ja, w piwnicach muzeów całego świata gniłyby, czekając na sądny dzień, tysiące obiektów. To myśmy poddali je renowacji i skierowali do rąk ludzi, którzy potrafią docenić ich wartość.

Pitt przestał błędzić spojrzeniem i skoncentrował wzrok na Sarasonie.

- I ty nazywasz to argumentem? Usprawiedliwiasz popełniane na ogromną skalę rabunki i zbrodnie, z których wraz ze swą złodziejską rodziną ciągniesz grube zyski. Wiesz, kim jesteś, brachu? Szarlatanem i hipokrytą.

- Nie podetniesz skrzydeł interesom mojej rodziny, jeśli mnie zastrzelisz.

- Co, nie słyszałeś? - Pitt uśmiechnął się złowróźnie. - Kartel o wdzięcznej nazwie Zolar International właśnie spłynął do toalety. Agenci federalni dokonali nalotu na wasz obiekt w Galveston i znaleźli dość towaru, by wypełnić setkę galerii.

Sarason odchylił głowę i parsknął śmiechem.

- Nasza centrala w Galveston jest przedsiębiorstwem najzupełniej legalnym. Cały towar jest nabywany i sprzedawany zgodnie z prawem.

- Miałem na myśli ten drugi obiekt - rzucił lekko Pitt.

Przez smagłą twarz Sarasona przebiegł cień niepokoju.

- Jest tam tylko jeden budynek.

- Nie, braciszku, dwa. Naziemny i podziemny, połączone ukrytymi przejściami. Ten drugi mieści skład trefnych dzieł sztuki, pochodzących z kradzieży czy przemytu, oraz wydział fałszerstw.

Sarason wyglądał tak, jakby maczugądzielono go w szczękę.

- Niech cię cholera, Pitt. Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Dwaj agenci federalni, jeden z FBI, drugi ze służby celnej, opisali mi swoją akcję barwnie i z epickim zacięciem. Powinienem również wspomnieć, że będą czekać z otwartymi ramionami, kiedy podejmiecie próbę przemytu łańcucha Huascara.

Zaledwie centymetr dzielił palce Sarasona od maleńkiego dwulufowego pistoleciku.

- No to się naczekają - odrzekł Sarason, odzyskując swą zblazowaną pozę. - Złoto nie jedzie do Stanów Zjednoczonych.

- Jakie to ma znaczenie? - stwierdził powściągliwie Pitt. - I tak nie będziesz miał okazji się nim nacieszyć.

Ukryte za kolanem, przełożonym przez drugą nogą, palce Sarasona dotknęły dwustrzałowca i zaczęły go wysuwać zza cholewki. Sarason przypuszczał, że rany i kontuzje Pitta opóźnią jego reakcję, postanowił jednak nie ryzykować szybkiego, złe mierzonego strzału, pojmował bowiem, że mimo wszystko nie będzie miał czasu na drugi. Zawahał się, rozmyślając, w jaki sposób odwrócić uwagę przeciwnika. Jego oczy spoczęły na Amaru i dwóch pozostałych peruwiańskich zbirach; cała trójka wpatrywała się w Pitta z wściekłością bliską szaleństwu. Julio nie nadawał się na nic.

- To ty nie pożyczysz długo - oświadczył. - Żołnierze meksykańscy, którzy pomagali nam przy ewakuacji skarbu, z pewnością usłyszeli strzały, wpadną więc tu lada chwila i rozwalą cię na kawałki.

Pitt wzruszył ramionami.

- Musieli urządzić sobie sjęstę, w przeciwnym bowiem razie już by tu byli.

- Gdybyśmy zaatakowali jednocześnie - powiedział Sarason takim tonem, jakby przy suto zastawionym stole zwracał się do współbiesiadników - mógłby zabić dwóch albo nawet trzech z nas, ale ostatni by go wykończył.

Twarz Pitta przybrała wyraz chłodny i wyniosły.

- Pytanie brzmi: kto będzie tym szczęściarzem?

Amaru było obojętne, czy będzie żyć, czy zginie - w swej mrocznej duszy postrzegał przyszłość bez męskości jako mało pociągającą perspektywę. Nic nie miał do stracenia. Nienawiść do człowieka, który go zwałaszyl, obudziła w nim wściekłość i wściekłość tę rozpalilo do rozmiarów nieopanowanego pożaru wspomnienie udręki fizycznej i duchowej. Bez słowa rzucił się na Pitta.

Dopał go z błyskawiczną szybkością atakującego dobermana i chwycił za rękę, w której tkwił pistolet, wcześniej jednak rozległ się ogłuszający huk i kula poraziła

Peruviańczyka w piersi, przebijając płuco. Jej impet powstrzymałby zapewne zwykłego człowieka, lecz Amaru, niczym byk szarżujący na arenie, czerpał siły ze swego ślepego szału.

Stęknął tylko i jak taran zderzył się z Pittem, posyłając go w stronę rzeki. Z ust Pitta wyrwał się jęk, gdy moc zderzenia spowodowała eksplozję bólu w okolicy połamanych żeber; rozpaczliwym manewrem zdołał się jednak wykręcić i odrzucić Amaru na bok, uwalniając rękę z pistoletem. Zdążył raz walnąć napastnika w czerep kolbą kolta, ale powstrzymał się przed zadaniem drugiego ciosu widząc, że dwaj pozostali bandyci jak na komendę sięgają po broń. Mimo bólu pistolet tkwił w ręku Pitta jak skała: szybki strzał w szyję wyeliminował jednookiego Quasimodo, drugiego z Peruviańczyków rzuciła na ziemię kula w piersi.

Ostrzegawczy krzyk Loren rozległ się gdzieś bardzo, bardzo daleko i Pitt za późno dostrzegł, że Sarason mierzy weń z derringera. Jego ciało nie nadążało już za komendami umysłu, zareagował zatem zbyt powoli. Ujrzał język ognia, poczuł straszliwe łupnięcie w lewe ramię i dopiero potem usłyszał huk wystrzału. Zakręcił się na pięcie, padł w wodę. Amaru popełził za nim na czworakach jak niedźwiedź zdecydowany rozszarpać rannego lisa. Nurt obu pochwycił w objęcia i oderwał od brzegu, chociaż Pitt rozpaczliwie usiłował chwytać się dennych kamieni. Sarason niespiesznie podszedł bliżej i obserwował, jak Amaru, mocno ściskając Pitta ramionami w pasie, usiłuje go wciągnąć pod wodę. Z okrutnym uśmiechem na ustach

Sarason starannie wymierzył w głowę Pitta.

- Chwali się panu podjęcie tej próby, panie Pitt. Jest pan człowiekiem prawie, powtarzam: prawie niezniszczalnym. Może to zabrzmie dziwnie, ale będzie mi pana brakować.

Cios łaski jednak nie spadł. Z wody na kształt czarnych macek wyłoniła się para ramion, otoczyła nogi Sarasona, chwytając go za kostki. Sarason z obłędem w oczach spojrział na obłapiające go Bóg wie co, a potem gorączkowo zaczął walić w głowę, która pojawiła się pomiędzy ramionami. Giordino, jak się okazało, bez zwłoki podążył śladem Pitta. Nurt przed wyspą skarbów nie był tak silny, jak tego oczekiwał. Al zdołał zatem niepostrzeżenie, choć z olbrzymim wysiłkiem wydzwignąć się na płyciznę. Klął w żywy kamień swoją bezradność, która nie pozwoliła mu pospieszyć na pomoc Pittowi borykającemu się z Amaru, kiedy jednak Sarason bezwiednie znalazł się w zasięgu jego rąk. Giordino uczynił swój ruch... Ignorując brutalne ciosy, które spadały

mu na głowę, podniósł na Sarasona wzrok i powiedział gardłowo:

- Pozdrowienia z piekła, ptasi mózdzku.

Sarason szybko doszedł do siebie i wyszarpnął jedną nogę, żeby zachować równowagę. Ponieważ Giordino nie próbował powstać. Sarason błyskawicznie doszedł do wniosku, że jest z jakiegoś powodu niesprawny od pasa w dół. Jadowicie kopnął Giordina w udo i został za ten pomysł wynagrodzony podwójnie: Giordino jęknął, przeżąc się konwulsyjnie, i puścił drugą kostkę Sarasona.

- Z minionych doświadczeń powinienem był wywnioskować - rzekł Sarason, odzyskując panowanie nad sobą - że będziesz się kręcił gdzieś w pobliżu. Pozostała mu w derringerze tylko jedna kula; z drugiej strony pamiętał, iż niedaleko poniewiera się kilka sztuk broni automatycznej. Podniósł wzrok na Pitta i Amaru, wciąż toczących walkę na śmierć i życie... Szkoda kulki na tego Pitta - pomyślał. Rzeka porwała obu zawziętych nieprzyjaciół w swoje objęcia i unosiła ich coraz dalej. „Gdyby jakimś cudem

Pitt przeżył i wykaraskał się na brzeg, mam do dyspozycji cały arsenał, żeby go załatwić”. Dokonał wyboru: pochylił się i wymierzył podwójną lufę pomiędzy oczy Giordina. Loren skoczyła Sarasonowi na kark, usiłując go pohamować, ale zrzucił ją z siebie jak natrętną muchę. Runęła ciężko na jeden z porzuconych automatów, chwyciła go w dłonie i nacisnęła spust - nic się nie stało. Nie miała pojęcia, że przed strzałem należy odbezpieczyć broń. Słabo pisnęła, kiedy Sarason zdzielił ją przez głowę kolbą derringera.

Nagle się odwrócił. Gunn, cudem powróciwszy do życia, cisnął weń kamieniem, który anemicznie odbił się od biodra niczym słabiutko zaserwowana piłeczka do tenisa. Sarason pokręcił głową, kwitując w ten sposób odwagę i zaciętość ludzi, którzy z takim animuszem usiłowali go powstrzymać. Niemal żałował, że wszyscy będą musieli umrzeć. Odwrócił się na powrót w stronę Giordina.

- A więc wygląda na to, że dostałeś tylko chwilowe odroczenie - powiedział z wrednym uśmiechem, wyciągając derringera ku twarzy Giordina na pełną długość ramienia.

Mimo potwornego bólu, rwącego na strzępy połamane nogi, mimo unoszącego się nad nim widma śmierci, Giordino podniósł głowę i posłał Sarasonowi jadowity uśmiech.

- Pieprz się, facet.

Huk, jaki poniósł się po grocie, mógł towarzyszyć wystrzałowi z armaty; drobny

ułamek sekundy później zawtórowało mu głucho młaśnięcie. Taki dźwięk wydaje kula, przebijając miękkie ciało. Giordino zgłupiał, kiedy w nawisłej nad sobą twarzy ujrzał wyraz całkowitego niezrozumienia. Sarason niczym robot postąpił dwa kroki w wodę, osunął się na kolana i jaka szmata runął na kamieniste podłoże.

Giordino nie potrafił uwierzyć, że jeszcze żyje. Podniósł wzrok i zobaczył niskiego mężczyznę w kowbojskim stroju, który wszedł w krąg światła, nonszalancko dzierżąc pod pachą wysłużonego winchestera.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Billy Yuma. Przybyłem, aby pomóc przyjacielowi.

- Przyjacielowi? - Loren, przyciskając dłoń do krwawiącej głowy, patrzyła z oszołomieniem.

- Człowiekowi o nazwisku Pitt.

Loren z wysiłkiem dźwignęła się na nogi i niepewnie podbiegła na brzeg rzeki.

- Nie widzę go! - wykrzyknęła z przerażeniem.

Giordino poczuł nagle skurcz w sercu. Raz za razem, całą mocą płuc, wyrzaskiwał imię Pitta, jedyną wszakże odpowiedzią było niosące się po grocie echo.

- Nie, dobry Boże, tylko nie to - wymamrotał ze zgrozą. - Zniknął...

Gunn krzywiąc twarz spojrział w dół rzeki. Jeszcze kilka chwil temu swoją śmierć przyjmował ze spokojem; teraz świadomość, że zginął stary przyjaciel, zupełnie go rozklejała.

- Może zdoła tu dopłynąć - wymamrotał z nadzieją w głosie.

- Niemożliwe. Prąd jest zbyt silny. - Giordino pokręcił głową.

- Dokąd płynie ta rzeka? - zapytała Loren. Jej panika osiągnęła punkt krytyczny.

Giordino w geście bezsilnej rozpacz rąbnął pięścią w skałę.

- Do zatoki. Dirk został porwany nurtem, który gna ku odległemu o sto kilometrów Morzu Corteza.

Loren osunęła się na wapienną posadzkę groty i zakrywszy dłońmi twarz, zaczęła niepowstrzymanie i bez zęady płakać.

- Ocalił mnie tylko po to, by zginąć.

Billy Yuma przyklęknął obok Loren i delikatnie poklepał jej obnażone ramię.

- Ludzie nie mogą, ale być może przyjdzie mu na ratunek Bóg.

Giordino był kompletnie rozbity. Nie czuł bólu w potrzaskanych członkach; wbił w mrok nie widzące spojrzenie.

- Sto kilometrów - powtórzył powoli. - Nawet Bóg nie zdoła na takim dystansie, przez ciemność, katarakty i bystrza, przeprowadzić człowieka ze strzaskanym nadgarstkiem, połamanymi żebrami i dziurą w ramieniu.

Zapewniwszy każdemu największe w miarę możliwości wygody, Billy Yuma ruszył na szczyt, opowiedział całą historię współplemioncom, a następnie zawstydził ich do tego stopnia, że przełamując opory, zgodzili się zstąpić w głąb góry. Na noszach, sporządzonych z materiałów pozostawionych przez saperów, ostrożnie wynieśli korytarzami Gunna i Giordina, pewien starszy mężczyzna zaś życzliwie ofiarował Loren wdzięcznie przez nią przyjęty pled, utkany przez żonę. Zgodnie ze wskazówkami Giordina, nosze z Gunnem starannie umocowano w wąskiej ładowni skradzionego przez Zolarów, obecnie porzuconego śmigłowca NUMY. Loren zajęła miejsce drugiego pilota, a Giordino, krzywiąc się z potwornego bólu, usiadł przy sterach.

- Musimy razem popilotować ten młynkomikser - powiedział do Loren, kiedy po dłuższej chwili rwące bóle w nogach ustąpiły miejsca pulsującemu odrętwieniu. - Ty zajmiesz się pedałami, które sterują śmigłem ogonowym.

- Miejmy nadzieję, że sobie poradzę - odparła Loren nerwowo.

- Delikatnie pracuj bosymi stopami, a wszystko będzie w porządku.

Serdecznie pożegnali Billy'ego Yumę, jego przyjaciół i krewnych, wyraziwszy ogromną wdzięczność. Przez radiostację pokładową poinformowali Sandeckera o starcie, wreszcie Giordino włączył silnik i pozwolił mu się pogrzać przez minutę, wykorzystując ten czas na kontrolę instrumentów. Potem, przy drążku sterowania skoku okresowego w pozycji neutralnej, pociągnął do oporu drążek sterowania skoku ogólnego i, zwiększając obroty, zaczął go delikatnie popychać. Wtedy zwrócił się do Loren:

- Kiedy tylko uniesiemy się w powietrze, moment obrotowy sprawi, że nasz ogon pójdzie w lewo, a nos w prawo. Leciutko przyciśnij lewy pedał, żeby to skompensować.

Loren dzielnie pokiwała głową.

- Postaram się, chociaż wołałabym tego nie robić.

- Nie mamy innego wyboru, musimy lecieć. Rudi umrze, zanim zostanie zniesiony na dół zboczem góry.

Śmigłowiec bardzo powoli uniósł się w powietrze, a Giordino przez chwilę utrzymał go w zwisie metr nad ziemią, pozwalając Loren oswoić się z obsługą pedałów



sterowania śmigłem ogonowym. Zrazu miała skłonność do przesady, rychło jednak wyczuła, jak maszyna reaguje, i kiwnęła głową.

- Chyba jestem gotowa.

- No to suniemy - odrzekł Giordino.

Po dwudziestu minutach harmonijnej współpracy zgrabnie usiedli tuż obok budynku ceł w Calexico, gdzie obok karetki pogotowia stał admirał Sandecker, nerwowo pociągając cygaro. Pitt, pociągnięty pod wodę przez Amaru, kiedy poczuł naciskający na swe udręczone ciało nurt, od razu pojął, że do groty skarbów nie ma powrotu. Znalazł się w podwójnej pułapce - mordercy, który dławił jak imadło, i rzeki, która niosła go do mrocznego piekła. Ranny czy nie, zawodowy morderca Amaru nie był pod wodą przeciwnikiem godnym Pitta, który głęboko zaczerpnął powietrza, zanim rzeka zamknęła się nad jego głową, przycisnął rękę do piersi, aby chronić połamane żebra, i mimo bólu nie tracił energii na siłowanie się z napastnikiem. Zdumiewające: ciągle dzierżył w garści pistolet, chociaż zapewne popękałyby mu wszystkie kości w dłoni, gdyby pod wodą oddał strzał. Poczul, że obręcz uścisku Amaru obsuwa się z jego bioder na kolana. Peruwiańczyk wydawał się niezniszczalny i kiedy kołowali we wspólnym tańcu, jak dwie laleczki pochwycone przez wir, wciąż usiłował za wszelką cenę odebrać Pittowi broń. Walka toczyła się w zupełnych ciemnościach; Pitt odnosił wrażenie, iż płyną w rzece atramentu. Przez następne czterdzieści pięć sekund tylko wściekłość utrzymywała Amaru przy życiu. Nie docierało do jego obłąkanego umysłu, że tonie na dwa sposoby jednocześnie - łykał wodę, a zarazem krew z rany postrzałowej zalewała mu płuca. Wyciekały zeń ostatnie siły, kiedy dotknął stopami płycizny, utworzonej przez naniesiony na łuku rzeki piasek. Wychynął z wody i na oślep rzucił się ku szyi Pitta, tyle że był już zbyt osłabiony, aby zaatakować skutecznie. Dopiero teraz, na powierzchni, poczul, że krew tryska mu z piersi jak fontanna. Pitt bez wielkiego wysiłku zdołał pchnąć Peruwiańczyka w główny nurt. Nie widział, jak Amaru odpływa w nieprzeniknione mroki, nie odprowadzał spojrzeniem śmiertelnie pobladłej twarzy, w której wciąż nienawistnie jarzyły się oczy, przesłaniane już mgiełką nadciągającej śmierci. Ale usłyszał głos, złowrogi i cichnący w dali ochryply szept:

- Powiedziałem, że będziesz cierpieć. Zdechniesz powoli w mroku i samotności.

- Jasne, nie to co ty, który odchodzisz wśród światła i przy wtórze surm - odparł zimno Pitt. - Milej podróży do Morza Corteza.

Jedyną odpowiedzią był kaszel, bulgotanie, a potem cisza.

Ból wrócił do Pitta z mściwą zaciekleścią. Ogień jak prąd elektryczny przepłynął ze złamanego nadgarstka do rany w ramieniu, stąd - do popękanych żeber. Pitt nie był pewien, czy ma jeszcze w sobie dość sił, aby dać mu odpór. Udrękę w niewielkim stopniu łagodziło wyczerpanie. Nigdy w życiu nie czuł się tak straszliwie zmęczony. Wypełził na suchy spłacheć płycizny, powoli osunął się twarzą w miękki piasek i stracił przytomność.

- Nie podoba mi się, że odlatujemy bez Cyrusa - rzekł Oxley, omiatając spojrzeniem niebo.

- Nasz braciszek bywał już w sroższych tarapatach - odparł beznamiętnie Zolar.

- Jakież niebezpieczeństwo dla profesjonalnych morderców Amaru może stworzyć kilku miejscowych Indian?

- Spodziewałem się go już dawno.

- Przestań się przejmować. Cyrusa prawdopodobnie zobaczymy w Meksyku z dziewczyną pod każdym ramieniem.

Stali przy końcu wąskiego asfaltowego pasa startowego, wyłobionego pomiędzy nielicznymi wydmiami pustyni Altar po to, aby meksykańscy piloci bojowi mogli odbywać ćwiczenia w warunkach polowych. Za nimi, z ogonem sterczącym nad samym końcem osypywanego piaskiem pasa, stał gotów do startu transportowy boeing 747-400, wymalowany w barwy jednej z największych w kraju linii lotniczych.

Meksykańscy żołnierze kończyli załadunek obiektów, zinwentaryzowanych wcześniej przez Henry'ego i Micki Moore'ów. Zolar wszedł w cień rzucany przez prawe skrzydło, skinieniem głowy pokazał bratu złoty posąg małpy, unoszony przez duży widłak do odległego o siedem metrów od ziemi luku transportowego.

- To ostatnia sztuka.

- Nie mogłeś wybrać na przeładunek skarbu większego bezludzia. - Oxley rozejrzał się po otaczającym pas jałowym krajobrazie pustyni.

- Za ten pomysł winniśmy wdzięczność nieodżałowanemu pułkownikowi Camposowi.

- Były jakieś problemy z ludźmi Camposa po jego przedwczesnym zgonie? - zapytał Oxley cynicznie.

Zolar parsknął śmiechem.

- Najmniejszych, odkąd obdarzyłem każdego z nich stuuncjową sztabką złota.

- Okazałeś niezwykłą hojność.

- Trudno jej nie okazać, kiedy stawką jest takie bogactwo.

- Szkoda, że Matos nie będzie miał okazji, aby nacieszyć się swoją działką - stwierdził Oxley.

- Tak, lkałem całą drogę z Cerro el Capirote.

Pojawił się pilot i nonszalancko zasalutował Zolarom.

- Jesteśmy z załogą w każdej chwili do waszej dyspozycji, panowie.

Chcielibyśmy wystartować jeszcze przed zmierzchem.

- Czy ładunek został solidnie umocowany? - zapytał Zolar.

Pilot kiwnął głową.

- Nie jest to może najlepsza robota, jaką widziałem, skoro nie użyliśmy kontenerów, powinien jednak dotrzeć do Meksyku w dobrym stanie, o ile nie natrafimy na silne turbulencje.

- Należy się ich spodziewać?

- Nie, proszę pana. Prognozy zapowiadają czyste niebo na całej trasie.

- Doskonale. Będziemy zatem mieli przyjemny lot - odrzekł z zadowoleniem Zolar. - Proszę tylko pamiętać: pod żadnym pozorem nie wolno panu wejść w obszar powietrzny Stanów Zjednoczonych.

- Wyznaczyłem kurs, który przed wejściem nad Atlantyk przeprowadzi nas bezpiecznie na południe od Laredo i Brownsville nad Zatokę Meksykańską.

- Kiedy wylądujemy w Maroku? - zapytał Oxley.

- W normalnych okolicznościach powinno to nastąpić za dziesięć godzin i czterdzieści pięć minut. Biorąc pod uwagę nadmierne obciążenie samolotu ładunkiem i paliwem plus omijanie Florydy i Teksasu, dorzuciłem do planowanego czasu przelotu godzinę z małym okładem, może jednak sprzyjające wiatry pozwolą ją wyeliminować.

Zolar spojrzął na ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Tak więc uwzględniając zmianę czasu, powinniśmy być w Nadorze jutro wczesnym popołudniem.

Pilot przytaknął.

- Wystartujemy, kiedy tylko panowie zajmą miejsca na pokładzie.

Odwrócił się i po trapie przystawionym w dziobowej części samolotu wszedł do kabiny pilotów.

Zolar gestem pokazał trap.

- Nie widzę powodów do zwłoki, o ile, oczywiście, nie rozkochałeś się w tej piaskownicy.

Oxley wykonał przesadny ukłon.

- Pan pierwszy. - Kiedy przechodził przez drzwi, raz jeszcze odwrócił głowę i spojrzął na południowy zachód. - A jednak głupio mi, że nie czekamy.

- Gdyby Cyrus był na naszym miejscu, nie zawahałby się odlecieć. Stawka jest zbyt wielka, aby pozwalać sobie jeszcze na oczekiwanie. Nasz brat to mistrz w sztuce

przeżycia. Przestańże się wreszcie przejmować.

Pomachali do meksykańskich saperów, którzy odstąpiwszy od samolotu wiwatowali na cześć swych dobroczyńców. Potem inżynier pokładowy zamknął i zabezpieczył drzwi. Kilka minut później zawyły turbiny, wielki boeing wzniósł się nad morze wydm, przechylił na prawe skrzydło i przyjął kurs wschodni z lekkim odchyłem na południe. Zolar i Oxley siedzieli w małym przedziale pasażerskim na górnym pokładzie, tuż za kabiną pilotów.

- Ciekawe, co się stało z Moore'ami - powiedział z zadumą Oxley, wyglądając przez okienko na ginącą w oddali Zatokę Kalifornijską. - Ostatnio widziałem ich w grocie, gdyśmy ładowali skarb na sanie.

- Stawiam na to, że Cyrus rozstrzygnął problem, jaki dla nas stwarzali, jednocześnie z kłopotliwą kwestią deputowanej Smith i dyrektora Gunna - odparł Zolar, rozluźniony po raz pierwszy od kilku dni. Podniósł głowę i obdarzył ciepłym uśmiechem swoją osobistą pokojówkę, która przyniosła na tacy dwa kieliszki wina.

- Wiem, że brzmi to głupio, ale nie mogę się oprzeć nieprzyjemnemu wrażeniu, iż nie są ludźmi, których łatwo wyeliminować.

- Otóż muszę ci powiedzieć, że podobna myśl przyszła do głowy Cyrusowi. W istocie sądził, że stanowią parę zabójców.

Oxley popatrzył na brata.

- Ona też? - żartował.

- Nie, jestem przekonany, że mówił serio. - Zolar upił łyżeczek wina, pokiwał z aprobatą i powiedział: - Wyborne. Kalifornijski cabernet z Chateau Montelana. Musisz spróbować.

Oxley ujął kieliszek i zapatrzył się w jego zawartość.

- Nie mam ochoty na świętowanie, dopóki nie wylądujemy w Maroku i nie dowiemy się, że Cyrus podąża za nami.

Kiedy tylko boeing osiągnął wysokość przelotu, Zolarowie rozpięli pasy i zeszli do ładowni, gdzie oddali się bez reszty studiom nad niewiarygodną kolekcją antyków. Po niespełna godzinie Zolar nagle zeszywniał i posłał bratu zdziwione spojrzenie.

- Czy nie odnosisz wrażenia, że obniżamy lot?

- Niczego nie czuję - odparł krótko Oxley, który podziwiał złotego motyla, spijającego nektar ze złotego kwiatu.

Zolara nie zadowoliła ta odpowiedź. Pochylił się, wyjrzał przez okienko i dostrzegł ziemię, oddaloną najwyżej o tysiąc metrów.

- Lecimy za nisko - rzucił ochryple. - Coś tu nie gra.

Oxley zmrużył oczy i wyjrzał przez sąsiednie okno.

- Masz rację. Klapy są opuszczone. Wygląda na to, że schodzimy do lądowania. Musiała zaistnieć jakaś sytuacja awaryjna.

- Dlaczego pilot nas nie powiadomił?

W tym momencie wysunęło się podwozie, a ziemia zaczęła przybliżać się znacznie szybciej. Mknęli nad domami, torami kolejowymi i oto samolot naleciał nad pas, koła łupnęły w nawierzchnię, a silniki zawyły na ciąg odwróconym. Pilot przydepnął hamulce, aby po chwili lekko zwiększyć obroty, wprowadzając wielką maszynę na drogę kołowania. Napis na budynku portowym, do którego się zbliżali, brzmiał: WITAJCIE W EL PASO.

Oxley zdębiał, a Zolar prychnął przez zaciśnięte zęby.

- Dobry Boże, wylądowaliśmy w Stanach.

Rzucił się ku drzwiom kabiny pilotów i gorączkowo zaczął w nie walić pięściami. Nie doczekał się odpowiedzi, aż do chwili gdy samolot zatrzymał się w głębi lotniska, przed hangarem Narodowej Gwardii Powietrznej. Wtedy drzwi z wolna się uchyliły.

- Co robicie, do cholery? Natychmiast startujcie, to jest rozkaz... - słowa ugrzęzły Zolarowi w gardle, kiedy ujrzał że dokładnie pomiędzy oczy mierzy mu lufa pistoletu.

Wszyscy członkowie załogi - pilot, drugi pilot i mechanik pokładowy - wciąż siedzieli w swoich fotelach, szachowani miniaturowym pistolecikiem automatycznym kalibru .25 przez Micki Moore, która rozmawiała przez radio. Henry Moore stał w drzwiach, mierząc do Zolara z dziewięciomilimetrowej broni wykonanej według własnego projektu.

- Wybaczcie nie zaplanowany postój, moi niedawni przyjaciele - powiedział tak bezdyskusyjnym tonem, jakiego ani Zolar, ani Oxley nigdy dotąd nie słyszeli z jego ust - ale dokonaliśmy w programie niewielkiej korekty.

Zolar zerknął na lufę pistoletu, w jego twarzy szok ustąpił miejsca wściekłości.

- Ty idioto, ty bezmyślny idioto! Czy masz pojęcie, co zrobiłeś?

- Ależ tak - odparł rzeczowo Moore. - Uprowadziliśmy z Micki wasz samolot, wylądowany złotymi artefaktami. Chyba jest pan zaznajomiony ze starą maksymą, że nie masz honoru pomiędzy złodziejami.

- Jeśli ten samolot natychmiast nie wystartuje - błagalnie powiedział Oxley zza

pleców brata - agenci celni spadną na niego jak chmara szarańczy.

- Skoro pan o tym wspominał... Ważyliśmy z Micki myśl, czyby przypadkiem nie przekazać skarbów w ręce władz.

- Chyba pan nie wie, o czym mówi.

- Och, ależ wiem, wiem, Charley, staruszk. Otóż wyszło na jaw, że agenci federalni bardziej interesują się wami niż skarbem Huascara.

- Skądżeście się tu wzięli? - zapytał Zolar.

- Po prostu podrzucił nas jeden ze śmigłowców, przewożących złoto. Saperzy byli przyzwyczajeni do naszej obecności, nie zwrócili zatem najmniejszej uwagi, gdyśmy weszli na pokład. Ukryci w toalecie odczekaliśmy, aż pilot skończy z wami konferować na pasie, a potem sterroryzowaliśmy jego i całą resztę załogi.

- Dlaczego niby agenci federalni mieliby wziąć wasze słowa za dobrą monetę? - zapytał Oxley.

- Ponieważ, aby rzecz tak ująć, również byliśmy w swoim czasie kimś na kształt agentów - odparł lakonicznie Moore. - Gdyśmy opanowali już kabinę pilotów, Micki skontaktowała się drogą radiową z naszymi starymi przyjaciółmi z Waszyngtonu, ci zaś zorganizowali wam komitet powitalny.

Zolar wyglądał tak, jakby nie licząc się z konsekwencjami zamierzał wyszarpnąć Moore'owi płuca z piersi.

- Zawarliście z nimi układ dotyczący podziału skarbu. Czyż nie mam racji? - Przez chwilę czekał na odpowiedź, gdy jednak Moore jej nie udzielił, podjął: - Jaka część wam zaproponowano? Dziesięć, dwadzieścia, a może nawet pięćdziesiąt procent?

- Nie zawarliśmy z rządem żadnego układu - wycedził Moore, - świadomi, że zamierzacie nas wykończyć, nie mając zamiaru dotrzymać warunków ugody, planowaliśmy zagarnąć dla siebie cały skarb, w końcu jednak zmieniliśmy zdanie.

- Są tak obcy z bronią - zauważył Oxley - że bez wątplenia Cyrus miał słuszność. To mordercy.

Moore pokiwał głową.

- Pański brat jest niezwykle przenikliwy. Tylko morderca rozpozna skrytobójcę w kimś innym.

Rozległo się walenie do drzwi na dolnym pokładzie. Moore skinął bronią w tę stronę.

- Zejdźcie i otwórzcie.

Zolar z Oxleyem niechętnie i ponuro wypełnili polecenie.

Kiedy otwarły się hermetyczne drzwi, z trapu, przystawionego do burty samolotu, weszło do środka dwóch mężczyzn. Jeden, potężnie zbudowany Murzyn, wyglądał jak emerytowany zawodowy futbolista. Drugi był białym elegantem. Zolar zorientował się natychmiast, że są agentami federalnymi.

- Josephie Zolar i Charlesie Oxley, nazywam się David Gaskill i jestem agentem służb celnych. Mój kolega to agent Francis Ragsdale z Federalnego Biura Śledczego. Panowie, jesteście aresztowani za przemyt dzieł sztuki na obszar Stanów Zjednoczonych, jak również kradzież niezliczonych obiektów z kolekcji prywatnych i muzeów, tudzież paserstwo i fałszerstwo.

- O czym pan mówi? - wykrztusił Zolar.

Gaskill go zignorował i w uśmiechu wyszczerzył do Ragsdale'a wszystkie zęby.

- Chcesz mieć tę przyjemność?

- Jasne, dzięki - odpowiedział Ragsdale z zapalem dziecka, któremu ojciec proponuje nowy odtwarzacz kompaktowy.

Kiedy Gaskill zakładał kajdanki Zolarowi i Oxleyowi, Ragsdale odczytał im ich prawa.

- Bardzoście się pospieszyli, panowie - rzekł Moore. - Powiedziano nam, że jesteście w Calexico.

- Piętnaście minut po sygnale z centrali FBI w Waszyngtonie lecieliśmy już wojskowym odrzutowcem - wyjaśnił Ragsdale.

Oxley spojrzał na Gaskilla i po raz pierwszy zamiast lęku pojawił się w jego spojrzeniu spryt.

- I za sto lat nie zgromadzicie dowodów, które pozwolą wam uzyskać na nas wyrok skazujący.

Ragsdale skinieniem głowy wskazał ładownię wypełnioną złotem.

- A co pan powie o tym?

- Jesteśmy po prostu pasażerami - powiedział Zolar, odzyskując panowanie nad sobą. - Zostaliśmy zaproszeni przez doktora Moore'a i jego żonę.

- Jasne. A zechcieliby panowie wskazać źródła, z jakich pochodzą wszystkie skradzione obiekty, które znaleźliśmy w Galveston?

Oxley skrzywił się z wyższością.

- Nasz skład w Galveston jest czysty. Już dawniej dokonywaliście w nim rewizji i niczegoście nie znaleźli.



- Jeśli sprawy stoją tak, jak pan mówi - wtrącił przewrotnie Ragsdale, - to jak pan wytłumaczy fakt, że ze Składow Logana ukryty tunel wiedzie wprost do podziemnych magazynów, pełnych skradzionych dzieł sztuki?

Bracia popatrzyli po sobie, nagle szarzejąc na twarzach.

- To czysty wymysł - stwierdził z przestachem Zolar.

- Czyżby? Chce pan może, abym dokładnie go opisał, dorzucając skróconą listę obiektów, które znaleźliśmy na dole?

- Tunel... przecież nie mogliście go odnaleźć...

- Trzydzieści sześć godzin temu i Zolar International, i kryminalny kartel o nazwie Solpemachaco definitywnie przestały istnieć. - Ragsdale z ożywieniem pokiwał głową. - Szkoda tylko, że panów tatuś, Mansfield Zolar, znany jako Fantom, nie dożył tej chwili, bo moglibyśmy zwinąć również jego.

Zolar wyglądał jak człowiek rażony zawałem, Oxley natomiast - paralizem.

- W chwili kiedy wy wszyscy - członkowie rodziny, wspólnicy, współpracownicy i nabywcy - wyjdziecie z kicia, będziecie równie sędziwi jak dzieła sztuki, którymi handlowaliście.

Na pokład samolotu wdarła się armia agentów federalnych. Podczas gdy ludzie ze służby celnej dokonywali wstępnej inwentaryzacji złotych obiektów i odwiązywali mocujące je liny, agenci FBI zajmowali się załogą i osobistą pokojówką Zolara.

- Zawieźcie ich do prokuratury - polecił Ragsdale członkom swojej ekipy.

Kiedy tylko dwaj kompletnie załamani złodzieje dzieł sztuki zajęli miejsca w dwóch różnych samochodach, obaj agenci federalni podeszli do Moore'ów.

- Nawet nie mają państwo pojęcia - powiedział Gaskill - jak jesteśmy zobowiązani za waszą współpracę. Wpadka rodziny Zolarów oznacza wybicie potężnej dziury w rynku obrotu skradzionymi i przemycanymi dziełami sztuki.

- Nie działaliśmy z pobudek czysto ideowych - odparła Micki, ogarnięta poczuciem radosnej ulgi. - Henry odnosi wrażenie, iż władze peruwiańskie nie zapomną o znacznej nagrodzie.

Gaskill przytaknął.

- Chyba mają to państwo jak w banku.

- A poza tym prestiż towarzyszący faktowi, iż jesteśmy pierwszymi, którzy zinwentaryzowali i sfotografowali ten zdumiewający skarb, znacząco poprawi naszą i tak niezłą reputację - dodał Henry Moore.

- Służby celne, jeśli nie będzie to dla państwa kłopotliwe, również byłyby

wdzięczne za szczegółowy wykaz obiektów - powiedział Gaskill.

Moore z zapalem pokiwał głową.

- Będziemy z Micki szczęśliwi, mogąc podjąć z panami współpracę. Dokonałiśmy już wstępnej inwentaryzacji skarbu. Będzie pan miał na biurku nasz raport, zanim złoto zostanie z całym ceremoniałem zwrócone władzom Peru.

- Gdzie więc będzie przechowywane do tej chwili? - zainteresowała się Micki.

- W państwowym magazynie, którego lokalizacji nie mogę jednak państwu podać - odrzekł Gaskill.

- Są jakieś wieści o pani Smith i tym maleńkim faceciku z NUMY?

Gaskill skinął głową.

- Kilka minut przed waszym lądowaniem otrzymałem wiadomość, że zostali uratowani przez szereg tamtejszych Indian i są już w drodze do szpitala.

Micki z westchnieniem opadła na jeden z foteli.

- A więc to już koniec.

Henry przysiadł na oparciu i ujął dłoń żony.

- Przynajmniej dla nas - powiedział z czułością. - Spędzimy resztę swych dni jako wykładowcy wśród pokrytych bluszczem ścian uczelni.

- A czy to taka straszna perspektywa?

- Nie. - Delikatnie pocałował ją w czoło. - Chyba jakoś damy sobie radę.

Powoli wydzwigując się z otchłani nieświadomości, Pitt odnosił wrażenie, że jest Syzyfem, który pcha głaz po oślizgłym zboczu ku szczytowi, gdzie czeka na niego przytomność umysłu, ale nie może owego szczytu osiągnąć i każdorazowo wali się wraz ze swym brzemieniem w dół, ku mrokom i otepieniu. Myślał półprzytomnie, że gdyby otworzył oczy, zdołałby wrócić na dobre do rzeczywistości, i po którejś z kolei, podjętej z nadludzkim wysiłkiem próbie, zdołał tego dokonać. Najpierw dostrzegł wokół siebie grobowy mrok i sądząc, że na powrót pochłonęło go omdlenie, rozpaczliwie potrząsnął głową. Potem wrócił ból niczym pożerający wszystko ogień i Pitt zupełnie się ocknął. Przewrócił się na bok, później - wsparty na zdrowym ramieniu - przyjął pozycję siedzącą, wreszcie zaczął gorączkowo rzucać głową, usiłując otrząsnąć się z mgły, która uporczywie oblepiała jego umysł. Zdwoił wysiłki, kiedy poczuł pulsujący ból w ramieniu, drętą sztywność w klatce piersiowej i jadowite ukłucia w nadgarstku. Delikatnie obmacał szramę na czole.

- No, piękny z ciebie egzemplarz gatunku ludzkiego, bracie - mruknął.

Zdumiało go, że nie czuje się zbyt osłabiony wpływem krwi. Odczepił z przedramienia latarkę, którą po zjeździe z wodospadu dał mu Giordino, i wbił ją w piasek w taki sposób, że oświetlała górną część torsu. Rozsunął suwak bluzy i delikatnie zbadał ranę w ramieniu. Kula przeszła przez miękką tkankę na wylot, nie naruszając ani łopatki, ani obojczyka. Porwana w strzępy, lecz wciąż przylegająca do ciała bluza z neoprenu pomogła zasklepić się ranie i ograniczyła wpływ krwi. Pokrzepiony stwierdzeniem, że nie jest tak bezkrwisty, jak mu się zrazu wydawało, Pitt dokonał całościowej oceny sytuacji. Jego szansę przetrwania były nieco mniej niż zerowe. Miał przed sobą sto kilometrów niezbadanych porohów, wodospadów, długich przewężeń rzeki i w całości zalanych galerii... nie potrzebował chiromanty, aby pojąć, że biegnąca przez jego dłoń linia życia urwie się ładnie parę milimetrów przed punktem oznaczającym zasłużoną emeryturę i sędziwy wiek. Gdyby nawet miał powietrze nad głową przez całą drogę, pozostawało z pewnością zanurzone ujście do zatoki.

Większość ludzi, którzy znaleźliby się w tym podziemnym mrocznym Hadesie, zapewne umarłaby w panice, zdzierając palce do kości w daremnych próbach wygrzebania się na powierzchnię. Pitt się jednak nie bał. Odczuwał osobliwe zadowolenie i spokój duszy.

„Jeśli mam umrzeć - rozważał - mogę przecież umrzeć wygodnie”. Zdrową ręką

wykopał w piasku wgłębienie, odpowiadające konturowi swego ciała, ze zdumieniem zauważył, że światło latarki wyławia z czarnego piasku tysiące roziskrzonych punkcików.

Zaczerpnął garść, przysunął przed oczy i oświetlił.

- To miejsce jest naszpikowane okruczym złotem! - powiedział do siebie.

Omiótł jaskinię światłem latarki, ściany były poprzecinane półkami z białego kwarcu, haftowanego cienką złotą nicią. Pitt wybuchł śmiechem wobec nieprawdopodobieństwa sytuacji.

- Kopalnia złota - poinformował milczącą jaskinię. - Natrafiłem na niebywale bogate złoża i nikt się nigdy o nim nie dowie.

Rozsiadł się wygodnie i rozważając swoje odkrycie, doszedł do wniosku, że jest to sygnał, jaki Ktoś przekazuje mu z Góry. Fakt, że nie obawia się chuderlawej staruchy z kosą, wcale przecież nie oznaczał, iż ma na nią beczynn timer czekać. Zaczęła w nim dojrzewać decyzja. Lepiej wkroczyć w wielką nicosć po śmiałej próbie pozostania przy życiu za wszelką cenę, aniżeli od razu rzucić ręcznik i paść jak neptek. Inni przejęci awanturczym duchem odkrywcy może oddaliby wszystkie swoje ziemskie dobra, aby wdrzeć się do tego mineralogicznego sanktuarium. Pitt jednak marzył wyłącznie o tym, żeby się z niego wydostać. Wstał, nadmuchał kompensator pływalności, wszedł do wody i dał się unieść prądowi.

„Zaliczaj po jednej grocie naraz” - powiedział sobie, śląc w przód światło latarki. Nie mógł polegać na swej nieustannej czujności - był zbyt wyczerpany, aby oddawać się z marszu na pastwę bystrzyn i stawiać czoło sterczącym głazom; mógł tylko ze spokojem pozwalać znosić się nurtowi. Rychło odniósł wrażenie, że jak sięga pamięcią, nie robił nic innego. Sklepienia grot i galerii to podnosiły się, to opadały z nużącą regularnością przez dziesięć następnych kilometrów. Potem usłyszał obrzydły pomruk zbliżających się bystrzyn.

Na szczęście pierwsza z nich była umiarkowanie okrutna i Pitt tylko kilka razy skrył się w kłębach piany, zanim dotarł do spokojniejszej wody. Później zaznał dłuższej chwili relaksu, rzeka bowiem sunęła długą i niewiarygodnie przestronną galerią. Kiedy niemal godzinę później docierał do jej kresu, spostrzegł, że sklepienie stopniowo się obniża i wreszcie wnika w wodę. Nabral jak najwięcej powietrza i zanurkował; schodził wolno, ponieważ nie miał płetw i dysponował tylko jedną zdrową ręką. Przekręcił się na wznak, skierował światło latarki na ukośną poszczerbioną skałę i płynął dalej, chociaż jego płuca coraz namolniej dopominały się

o tlen. Wreszcie światło wyłowilo kieszeń powietrzną - wtedy Pitt wystrzelił w górę, przebił głową powierzchnię i zaczął łapczywie wdychać czyste nieskażone powietrze uwięzione pod skorupą Ziemi miliony lat temu. Kieszeń rozrosła się w grocie, której sklepienie było nieosiągalne dla światła latarki, rzeka zaś, na zewnętrznym łuku obszernego zakola, usypała rafę z wygładzonych otoczków. Pitt z trudem wypełził na skrawek suchego łądu i wyłączył latarkę, żeby przedłużyć żywot baterii.

Po chwili włączył ją ponownie. Zanim światło zgasło, jego wzrok wychwycił w mroku, niespełna pięć metrów od niego, jakąś ciemną sylwetkę, w której konturze zamajaczyła prosta linia, obca temu światu kształtów obłych bądź kanciastych. Pitt znacznie poweselał, kiedy rozpoznał szczątki „Chybotliwej Koggi”. Nie do wiary, że poduszkowiec przeżył piekło katarakty i po czterdziestokilometrowym dryfie został wyrzucony na brzeg właśnie tutaj. „Mała rzecz, a cieszy” - uznał Pitt. Pobrnął po żwirowym brzegu i w świetle latarki zbadał kadłub. Silnik wraz z obudową, wyrwane z obejm, zniknęły bez śladu, ale z ośmiu komór powietrznych tylko dwie zostały przedziurawione i sflaczały. Woda uniosła nieco sprzętu, ocalały jednak cztery butle, apteczka, kulisty pojemnik Duncana z barwnikiem, jedno z wiosł, dwie dodatkowe latarki, a wreszcie hermetyczne pudło admirała Sandeckera z termosem kawy i czterema kanapkami z kielbasą.

- Wygląda na to, że moja sytuacja znacznie, choć nieprzewidzianie się poprawiła - oznajmił radośnie Pitt dookolnej pustce.

Zaczął od apteczki. Obficie skropił przestrelone ramię środkiem dezynfekującym, następnie nałożył na nie prymitywny opatrunek z bandaża, świadom, że nie ma sensu zawracać sobie głowy połamanymi żebrami, zacisnął zęby, nastawił nadgarstek i owinał go kilkoma warstwami plastra. Kawa w termosie zachowała większość dawnego ciepła i pochłonał jej połowę przed podjęciem ataku na kanapki, żaden befszytk z polędwicy, nasączony w koniaku i podpalony, nie smakował Pittowi tak jak ta włoska kielbacha. Uczynił przy okazji solenny ślub, że nigdy w żadnych okolicznościach nie pozwoli sobie na żarciki na temat kanapek z kielbasą. Po krótkim odpoczynku odzyskał dość sił i dobrego samopoczucia, by solidniej umocować sprzęt w okaleczonym poduszkowcu oraz wrzucić do rzeki plastikowy pojemnik Duncana z barwnikiem. Patrząc, jak w świetle latarki wody nabierają świetlistej żółtawej barwy, pomyślał: „To im powinno powiedzieć, że jestem w drodze”. Zepchnął z płycizny ponton, uważając na uszkodzenia swojej osoby, zajął miejsce w środku i wiosłując jedną ręką, niezgrabnie oddalił się od brzegu. Gdy

główny nurt pochwylił wreszcie „Chybotliwą Kogę” i poniósł ją w mrok, Pitt rozsiadł się wygodnie i zaśpiewał:

- Płyn arko moooja, pogoda sprzyyyja, niech nas prowaaadzi, Santa Luczyyyja!

Poinformowany bez zwłoki o rozwoju wydarzeń przez admirała Sandeckera oraz agentów Gaskilla i Ragsdale'a, sekretarz stanu postanowił ominąć protokół dyplomatyczny i zadzwonić osobiście do prezydenta Meksyku. Powiadomił go o rabunkowo-przemyticznej akcji Zolarów, przeprowadzonej na olbrzymią skalę.

- Historia zupełnie niewiarygodna - stwierdził prezydent Meksyku.

- Ale najzupełniej prawdziwa - zapewnił go sekretarz stanu.

- Mogę tylko wyrazić ubolewanie, że taki incydent miał miejsce, i obiecać pełną współpracę rządu w prowadzeniu śledztwa.

- Jeśli zechce pan wybaczyć, panie prezydencie, już w tej chwili dysponuję listą spraw, których owa współpraca mogłaby dotyczyć.

- Słucham z najwyższą uwagą.

W ciągu dwóch godzin granica między Meksykiem a Kalifornią została ponownie otwarta. Urzędnicy państwowi, którzy zapredali się Zolarom za fałszywe obietnice, zostali aresztowani. Feraando Matos i komendant policji Rafael Cortina znajdowali się wśród pierwszych, których dotknęła karząca dłoń sprawiedliwości.

W tym samym czasie jednostki meksykańskiej marynarki wojennej, stacjonującej na Morzu Corteza, otrzymały rozkaz wyjścia z portów.

Porucznik Carlos Hidalgo odprowadził spojrzeniem popiskującą mewę i dopiero potem zwrócił uwagę na prostą linię horyzontu.

- Szukamy czegoś konkretnego czy po prostu szukamy? - zapytał nonszalancko kapitana okrętu.

- Szukamy zwłok - odparł komandor Miguel Maderas. Odjął od oczu lornetkę, odsłaniając sympatyczną okrągłą twarz, zwieńczoną grzywą czarnych włosów. Jego wielkie i bardzo białe zęby niemal zawsze szczyrzyły się w uśmiechu godnym Burta Lancastera. Był niski, masywny i twardy jak skała. Hidalgo stanowił całkowite przeciwieństwo Maderasas: wysoki, chudy, wąskogłowy, przywodził na myśl doskonale opalonego truposza

- Ofiary katastrofy morskiej?

- Nie, nurkowie, którzy utonęli w podziemnej rzece.

Hidalgo sceptycznie zmrużył oczy.

- Chyba nie następna z bajd gringos o rybakach i płetwonurkach, którzy zdryfowali pod pustynią do zatoki?

- Czort wie. - Maderas wzruszył ramionami. - Orientuję się tylko, że rozkazy ze

sztabu w Ensenada poleciły nam patrolować północy kraniec zatoki pomiędzy San Felipe a Puerto Pernasco w poszukiwaniu zwłok.

- Spory obszar jak na jeden okręt.

- Dołączą do nas dwa patrolowce klasy P z Santa Rosalia, a poza tym wszystkie rybackie kutry w rejonie mają meldować o ludzkich szczątkach.

- Jeśli dorwą się do nich rekiny - mruknął pesymistycznie Hidalgo - będą to bardzo szczątkowe szczątki.

Maderas oparł się o reling noku mostka, zapalił papierosa i spojrzał w stronę rufy swojego okrętu patrolowego. Zmodyfikowany amerykański sześćdziesięciosiedmiometrowy trałowiec nie miał innej nazwy prócz wymalowanego wielkimi literami na dziobie symbolu G-21. Załoga jednak używała wobec niego pozbawionego cieplejszych uczuć miana „Rzęch”, ponieważ nawalił kiedyś na morzu i został zholowany do portu przez kuter rybacki. Była to hańba, jakiej marynarze nie potrafili wybaczyć swojej macierzystej jednostce. Jako zastępca dowódcy, pełniący obowiązki nawigatora, Hidalgo miał opracować siatkę poszukiwań. Kiedy skończył wertowanie nautycznych map północnej części zatoki i podał koordynaty sternikowi, rozpoczęła się najbardziej nużąca część rejsu: przeczesywanie w tę i z powrotem równoległych do siebie pasów jednakowej szerokości.

Pierwszy odfajkowano o ósmej rano, o drugiej po południu zaś oko na dziobie wrzasnął:

- Przedmiot w wodzie!

- Gdzie?! - odkrzyknął Hidalgo.

- Sto pięćdziesiąt metrów od lewej burty!

Maderas podniósł do oczu lornetkę, omiół spojrzeniem błękitnozieloną wodę i bez trudu dostrzegł na grzbiecie fali płynące na brzuchu zwłoki.

- Widzę. - Podszedł do drzwi sterówki i skinął do sternika. - Podejź i postaw załogę w stan gotowości do wzięcia na pokład. - Zwrócił się do Hidalgo. - Proszę zatrzymać silniki, kiedy będziemy w odległości pięćdziesięciu metrów.

Gdy patrolowiec podchodził do zwłok unoszących się na falach, głuchy pomruk dwóch silników zmienił się w zduszony szept, ze swego stanowiska na noku mostka Maderas doskonale widział trupa nie tylko rozdętego, lecz również zmiksowanego niemal na miazgę...

Nic dziwnego, że nie miały na niego ochoty nawet rekiny. - pomyślał.

Spojrzał na Hidalgo i skrzywił usta w uśmiechu.



- Koniec końców nie potrzebowaliśmy tygodnia.

- Dopisało nam szczęście - mruknął porucznik.

Bez śladu szacunku należnego zmarłym jeden z marynarzy wraził w trupa bosak i podholował go do zanurzonych w morze noszy z drobnej drucianej siatki, które następnie, wraz z ich odrażającą zawartością w niczym nie przypominającą istoty ludzkiej, wyciągnięto na pokład. Kiedy wsuwano zwłoki w foliowy worek, Maderas usłyszał, że przynajmniej kilku członków jego załogi wymiotuje za burtę.

- No, ale jedno trzeba zapisać mu na plus - stwierdził Hidalgo.

- Cóż takiego? - zapytał Maderas, patrząc przeciągle na swojego zastępcę.

Porucznik uśmiechnął się pogodnie.

- Przebywał w wodzie zbyt krótko, żeby zacząć cuchnąć.

Trzy godziny później patrolowiec przeszedł wzdłuż falochronu San Felipe i zacumował obok „Alhambry”. Jak Pitt prawidłowo odgadł, dotarłszy do brzegu na tratwie Gordo Padilla i członkowie jego załogi pospieszyli do żon i ukochanych, aby w trzydniowych uciechach złożyć hołd cudownemu ocaleniu. Potem, pod czujnym okiem policjantów Cortiny, Padilla i jego ludzie udali się kutrem rybackim na prom, uruchomili silniki i wyczerpali wodę, która dostała się do zęz przez odkręcone przez Amaru kurki. Gdy przyплыw uwolnił kil z mułu, popłynęli „Alhambra” do San Felipe i przycumowali ją przy pirsie. Maderasowi i Hidalgo, spoglądającym z mostka, dziobowy pokład promu przypominał oddział szpitalny podczas ostrego dyżuru. Loren, odziana w wygodne szorty i stanik, eksponowała zarówno sińce, jak i całą kolekcję opatrunków, rozsianych po ramionach, brzuchu i nogach. Giordino zasiadał w wózku inwalidzkim, wyciągając przed siebie dwie gipsowe kolumny swoich nóg. Brakło w tym towarzystwie Rudiego Gunna, który - mając sześć połamanych palców, fatalnie nadwerężony żołądek, tudzież lekkie pęknięcie czaszki przebywał na oddziale intensywnej terapii w Centro Regional Medical i był w stanie krytycznym.

Na pokładzie promu był również admirał Sandecker, doktor Shannon Kelsey, Miles Rodgers, Peter Duncan, kilku miejscowych policjantów, tudzież stanowy koroner z California Norte. Wszyscy przypatrywali się ponuro, kiedy załoga „Rzęcha” opuszczała na pokład „Alhambry” nosze ze swym znaleziskiem.

Zanim koroner z pomocnikiem zdążyli położyć wór ze zwłokami na prowizorycznym stole sekcyjnym, Giordino podjechał do noszy na swym wózku.

- Chciałbym obejrzeć tego umarlaka - powiedział ponuro.

- To nie jest przyjemny widok, senior - ostrzegł go z mostka Hidalgo.

Koroner zawahał się, niepewny, czy prawo pozwala mu okazać zwłoki cudzoziemcowi.

- Zależy panu na identyfikacji czy nie? - Giordino wbił w urzędnika zimne spojrzenie.

Koroner, maleńki człowieczek z wyblakłymi oczyma i ogromną szopą siwych włosów, znał angielski tak słabo, że prawie Giordina nie zrozumiał, niemniej jednak skinął do asystenta, który pociągnął za suwak.

Loren pobladła i odwróciła głowę, ale Sandecker przysunął się do Giordina.

- Czy to...?

Giordino pokręcił głową.

- Nie, to nie jest Dirk. To ten psychopata. Tupac Amaru.

- Dobry Boże, wygląda tak, jakby wyobrażała go pusta betoniarka.

- Mniej więcej - rzekł Duncan, spoglądając z drżeniem na zmasakrowanego trupa. -

Na trasie od Cerro el Capiroto do zatoki nurt musiał walić nim o każdą skałę.

- Szkoda, nie zasługiwał na podobny los, był tak sympatycznym facetem... - mruknął jadowicie Giordino.

- Bez wątplenia gdzieś tam jest piekło - stwierdził Duncan.

- Ani śladu innych zwłok? - zapytał Hidalgo Sandecker.

- Najmniejszego, senior. Znaleźliśmy tylko te, ale mamy rozkaz, aby szukać jeszcze jednych..

Sandecker odwrócił się od trupa Amaru.

- Dirk musi wciąż być pod ziemią, jeśli dotąd rzeka nie wyrzuciła go do zatoki.

- Może został ciśnięty na plażę albo płyciznę? - z nadzieją w głosie zasugerowała Shannon. - Może jeszcze żyje.

- Czy nie mógłby pan wysłać podwodną rzeką ekspedycji ratunkowej? - zapytał Rodgers.

Sandecker powoli pokręcił głową.

- Nie wyślę ludzi na pewną śmierć.

- Pan admirał ma słuszość - potwierdził Giordino. - Może tam być tuzin wodospadów takich samych jak ten, który przebyliśmy z Pittem. Nawet na najlepszym poduszkowcu nikt nie zdoła przebyć bezpiecznie stu kilometrów rzeki najeżonej skałami, bystrzynami i jeden Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze.

- Nie dość tego - wtrącił Duncan. - Przecież odcinek przed ujściem do zatoki

jest w pełni zanurzony. Utonie tam każdy, kto nie będzie dysponować wystarczającym zapasem powietrza.

- Jak daleko, waszym zdaniem, mogło go znieść? - zapytał Sandecker.

- Od grotty skarbów?

- Tak.

Duncan zastanowił się przez chwilę.

- Pitt może mieć szansę, jeżeli woda wyrzuciła go na brzeg lub płyciznę najwyżej pięćset metrów poniżej grotty. Moglibyśmy wówczas posłać w dół człowieka, przywiązanego do liny asekuracyjnej, i przeciągnąć pod prąd ich obu.

- A jeśli na całej długości liny nie będzie śladu Pitta? - zapytał Giordino.

Duncan ponuro wzruszył ramionami..

- Wówczas albo jego zwłoki wypłyną w zatoce, albo nigdy ich nie znajdziemy.

- A więc nie ma dla Dirka żadnej nadziei? - zapytała błagalnym tonem Loren. - Żadnej, ale to żadnej?

Duncan przeniósł spojrzenie z Giordina na Sandeckera i dopiero wtedy udzielił odpowiedzi.

- Nie chcę pani okłamywać - powiedział z zakłopotaniem. - Dirk ma mniej więcej takie szansę dotarcia żywym do zatoki, jak do jeziora Mead pod Las Vegas ma szansę dopłynąć okaleczony facet, którego do rzeki Kolorado ciśnięto gdzieś u wlotu Wielkiego Kanionu.

Loren odebrała słowa Duncana jak bolesny cios, wymierzony w najwrażliwszy punkt ciała. Zaczęła się chwiać i pewnie by upadła, gdyby Giordino jej nie podtrzymał. Miała wrażenie, że serce przestaje bić w jej piersi.

- Dla mnie Dirk Pitt nie umrze nigdy - wyszeptwała.

- Słabo dzisiaj biorą - powiedział Joe Hagen do swojej żony Claire.

Leżała na dachu kabiny w kostiumie z rozpiętym stanikiem, czytała magazyn ilustrowany. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło i parsknęła śmiechem.

- Nie zdołasz złapać ryby, nawet gdyby skoczyła ci na patelnię.

- Tylko poczekaj.

- Tak daleko na północy możesz liczyć tylko na zatokowe krewetki - dodała kpiąco.

Hagenowie byli niewiele po sześćdziesiątce i trzymali się zupełnie dobrze. Jak większość kobiet w jej wieku, Claire miała nieco zbyt szerokie biodra i lekko obwisłą skórę na brzuchu, jej twarz jednak była wolna od zmarszczek, a piersi duże i jędrne.

Joe, rosły, mocno zbudowany mężczyzna, zdecydowanie przegrywał walkę z brzuszkiem, który powoli stawał się brzuszyskiem. Wspólnie handlowali w Anaheim samochodami, specjalizując się w dobrze utrzymanych wozach o niewielkim przebiegu.

Kiedy Joe kupił w Newport Beach piętnastometrowy kecz pełnomorski, zaczęli coraz częściej prowadzenie firmy pozostawiać dwóm synom, sami zaś płynęli wzdłuż wybrzeża, omijając Cabo San Lucas, wchodzili na Zatokę Kalifornijską i spędzali jesienne miesiące na relaksowej żegludze od jednego malowniczego porciku do drugiego. Pierwszy raz zapuścili się tak daleko na północ. Jacht płynął niespiesznie na silniku, przynęty wabiły powściągliwe na razie ryby. Joe kątem oka obserwował echosondę. Pływy w tej części zatoki sięgały siedmiu metrów i nie chciał wladować się na nie odnotowany na mapach jezior piaszkowy.

Rozluźnił się, a zarazem zdumiał, kiedy pisak odnotował, że kil dzieli od dna pięćdziesięciometrowa warstwa wody. Północna część zatoki była jednolicie płytka i głębokość podczas przyływu tylko gdzieś tam przekraczała dziesięć metrów, a dno miało charakter piaszczysto-mulisty. W tym miejscu jednak echosonda odkryła nierówne skalne podłoże.

- Ha, wszyscy geniusze budzili najpierw śmiech maluczkich - powiedział Joe, widząc przygięcie jednego z wędzisk. Zaczął zwijać linkę i stwierdził, że na haku wisi witlinek długości ramienia.

Claire przysłoniła oczy dłonią.

- Jest zbyt ładny, żeby go zjadać. Wyrzuć biedactwo za burtę.

- To dziwne.

- Co jest dziwne?

- Wszystkie witlinki, jakie dotąd złapałem, miały białą łuską z ciemnymi kropkami.

Ten jest żółty jest kanarek.

Claire poprawiła stanik i przeszła na rufę, żeby obejrzeć zdobycz męża.

- No, a to już naprawdę niesamowite - stwierdził Joe, unosząc dłoń zabarwioną na żółto. - Gdybym nie był przytomnym facetem, doszedłbym do wniosku, że ktoś tę rybę pomalował.

- Łśni w słońcu, jakby miał cekiny zamiast łusek - uznała Claire.

Joe przechylił się za burtę.

- Ta woda przypomina sok z cytryny.

- Może to dobre miejsce na ryby.

- Niewykluczone, staruszko. - Joe wyminął żonę i rzucił kotwicę. - Chyba warto powędkować tu kilka godzin. Przeczuwam, że trafi się coś większego.

Nie było odpoczynku dla strudzonego. Pitt przebył cztery następne katarakty - zrządzeniem opatrzości żadna nie charakteryzowała się tak wysokim i ostrym spadkiem jak ów wodospad, który omal nie wykończył jego i Giordina. Najwyższa miała może dwa metry. Częściowo sflaczała „Chybotliwa Kogga” dzielnie dała susa z ostrej krawędzi i skryta w pióropuszcach piany bez strat własnych przebyła tor przeszkód pomiędzy sterczącymi skałami. Prawdziwie brutalne okazały się kipiele bystrzyn i dopiero po ich przybyciu solidnie skatowany Pitt mógł rozluźnić się na krótko, pokonując odcinki spokojniejszej wody, jakie się za nimi rozciągały. Poobijany i posiniaczony, miał wrażenie, że w jego rany wbijają setki miniaturowych wideł całe stada namolnych krasnoludków. Ból jednak okazał się zjawiskiem o tyle pozytywnym, że wyostrzył jego zmysły. Klął rzekę w żywy kamień, przekonany, że najgorsze szykuje mu na deser, planując storpedować w ostatniej chwili jego desperacką próbę ocalenia skóry.

W którymś momencie nurt wyrwał mu z ręki wiosło, ale strata nie była wielka. Utrzymywanie kursu i próby omijania skał w niesprawnym pontonie, obciążonym brzemieniem jego własnych osiemdziesięciu kilku kilogramów plus pięćdziesięcioma kilogramami sprzętu, było, skoro miał do dyspozycji tylko jedną rękę, działaniem zupełnie bezowocnym. Poza tym, zbyt wyczerpany, aby podejmować jakiegokolwiek aktywne wysiłki, mógł tylko kurczowo wczepiać się w uchwyty umocowane wewnątrz kadłuba i pozwalać unosić się prądowi. Kiedy podczas kolizji z ostrymi skałami uległy przebiciu dwie następne komory, kontynuował rejs w czymś, co sprawiało wrażenie sflaczałego i na poły zatopionego w wodzie gumowego pęcherza, z trudem przeciągał swój wehikuł, wcześniej wypuściwszy z niego powietrze, przez całkowicie zanurzone odcinki rzeki. Potem resztki „Koggi” trzeba było pompować na nowo. Jakimś cudem Pitt wciąż trzymał w garści latarkę, do dna osuszył jednak trzy butle, w trzech czwartych zaś - ostatnią. Nigdy nie uskarżał się na klaustrofobię, chociaż w tej bezkresnej czarnej otchłani dopadłaby ona z łatwością prawie każdego. Unikał jak ognia choćby myśli o panice i podczas całego spływu ciemnymi nieprzyjaznymi wodami to śpiewał, to na głos wiódł ze sobą rozmowy. Czasem oświetlał latarką swoje dłonie i stopy. Po długich godzinach zanurzenia były pomarszczone jak suszone śliwki.

- Przynajmniej jedno niebezpieczeństwo mi nie grozi - oznajmił mrocznym, obojętnym skałom - czyli odwodnienie.

Przepływając ponad przezroczystymi szybami bezdennych głębozczków, igrał z myślą o rzece jako atrakcji turystycznej. Szkoda, że zwykli obywatele nie będą mogli odbyć rejsu przez te krystaliczne gotyckie katedry podziemnych grot. A może, skoro fakt istnienia rzeki został już ponad wszelką wątpliwość potwierdzony, dałoby się wyźłobić z powierzchni tunel, aby udostępnić turystom te geologiczne cuda?

Usiłował oszczędzać trzy swoje latarki, stopniowo jednak wyczerpywały się baterie. Szacował, że pozostało mu dwadzieścia minut światła; potem na dobre wróca mroki Hadesu. „Spływanie tratwą przez bystrzyny w jasny słoneczny dzień bywa nazywane flisactwem białej wody” - rozważał w swej wyczerpanej duszy. „Może zatem tu można by mówić o flisactwie czarnej wody?”. Pomysł wydał mu się ogromnie zabawny; Pitt zarechotał i jego śmiech poniósł się po ogromnej pieczarze stukrotnym echem. Gdyby nie był pewien, że źródłem owego niesamowitego efektu dźwiękowego jest on sam, zmartwiałyby z przerażenia.

Zaczynał uznawać za niemożliwe, aby gdziekolwiek istniał świat inny od tego koszmarnego labiryntu grot, poszczepianych ze sobą jak puste w środku korale. Stracił poczucie kierunków - „Namiar” stał się zaledwie hasłem w słowniku. Obfitość rudy żelaza w dookolnych skałach pozbawiła jego kompas wszelkiej użyteczności. Czuł się tak zdezorientowany i odcięty od świata zewnętrznego, że zaczął się zastanawiać, czy koniec końców nie przekroczył owego progu, za którym jest już tylko szaleństwo. Jedyne zdumiewające widoki wyławiane chwilami przez światło lampki nie pozwalały mu naprawdę zwariować.

Wymyślał sobie zajęcia umysłowe, by skoncentrować uwagę na czymkolwiek konkretnym. Usiłował więc zapamiętać szczegóły każdej nowej groty i galerii, każdego zakrętu rzeki, mając tę myśl, że po powrocie do żywych przekaże je innym. Było jednak tego wszystkiego tak wiele, że zaledwie najbardziej wyraziste obrazy osadzały się w jego otępiałym mózgu. Co więcej, zaczynał mieć kłopoty z okazywaniem uwagi życiowo ważnej kwestii utrzymania „Chybotliwej Koggi” na powierzchni wody. Syk uchodzącego powietrza jasno dowodził, że w następnej komorze pojawiła się dziura.

„Jak daleką drogę już przebyłem?” - zastanawiał się w odrętwieniu. „Ile pozostało mi do końca?”.

Był tak rozkojarzony, że jego myśli, skrytych w oparach mgły, nie nawiedzały nawet kuszące wizje grubych steków, soczystych plastrów pieczeni i oszronionych butelek piwa - w związku z czym nie odczuwał głodu. Jego wyczerpane i poobijane ciało dało z siebie znacznie więcej, niż się po nim spodziewał. Przywiedły korpus

poduszki zderzył się ze sklepieniem, opadającym łukowo ku powierzchni wody: wehikuł kilkakrotnie się obrócił, odbijany od skały, aż wreszcie spłynął na pobocze nurtu i osiadł na płyciźnie. Pitt, z nogami na zewnątrz, leżał w wodzie wypełniającej nędzną resztę pontonu i był zbyt wyczerpany, aby wstać, nałożyć ostatnią butlę, wypuścić z komór powietrze i podjąć próbę pokonania następnej zatopionej galerii. Nie mógł sobie pozwolić na utratę przytomności. Zwłaszcza teraz. Zbyt długą odbył drogę. Kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza i napił się wody. Sięgnął po termos, wywikłał go z uchwytu i opróżnił z resztek kawy. Kofeina nieco go ożywiła. Cisnął termos do rzeki i patrzył, jak obija się o skalną ścianę, zbyt wyporny, aby się zanurzyć. Lampa świeciła tak anemicznie, że zamiast wyraźnego snopa dawała słabutką aureolę. Wyłączył ją, aby oszczędzić końcówkę elektrolitu w bateriach, legł na wznak i wbił spojrzenie w przytłaczający, duszący mrok.

Nic go nie bolało. Nerwy skurczyły się i całym ciałem zawiązało odrętwienie. Pitt doszedł do wniosku, że stracił dobry litr krwi. Myśl o fiasku była mu wstrętą. Przez kilka długich minut uporczywie odrzucał od siebie świadomość, że nie zdoła wydostać się na powierzchnię. Wierna „Kogga” zaniósła go daleko, jeśli jednak straci następną komorę, będzie musiał porzucić wehikuł i płynąć o własnych siłach. Zaczął całą swą wyciekającą energię koncentrować na zadaniach, jakie go jeszcze czekają. Coś pałętało mu się po głowie. Wyczuł jakiś zapach. Co to mówią o zapachach? - że potrafią budzić wspomnienia. Długo wciągał powietrze, usiłując zdefiniować naturę tego wątego zapachu. Oblizwał usta i poczuł smak, jakiego nie wyczuł dotąd, choć przecież oblizywał wargi wielokrotnie. Sól. I wtedy zrozumiał. Zapach morza. Dotarł wreszcie do końca podwodnego cieku, znajdującego ujście w Zatoce Kalifornijskiej. Szeroko otworzył oczy i zaczął unosić dłoń, aż nieomal dotknęła czubka nosa. Nie dostrzegł żadnych szczegółów, wyraźnie jednak zobaczył ciemniejszą plamkę, która przecież w tym świecie wiecznych ciemności nie powinna mu mieć wzroku. Popatrzył na wodę i ujrzał, że jej czerń jest przełamana szarością. Gdzieś z zewnątrz wsączały się drobiny światła.

Wykaraskał się ze szczątków pontonu i poddał rozwadze dwa największe problemy, jakim będzie musiał stawić czoło - długość nurkowania i dekompresję. Sprawdził ciśnieniomierz, połączony z zaworem butli: sześćdziesiąt atmosfer. Dość powietrza na przebycie pod wodą trzystu metrów, zakładając, że zachowa spokój, będzie równo oddychać i zbytnio się nie sforsuje. Bo jeśli powietrze nad powierzchnią morza jest sporo dalej, kwestią dekompresji nie musi się przejmować. Utonie



znacznie wcześniej, zanim dopadnie go niesławna choroba kesonowa. Kiedy podczas swego długiego spływu zerkał na tarczę głębokościomierza, konstatował, iż ciśnienie większości grot z kieszeniami powietrza nieznacznie przekraczało ciśnienie na poziomie morza. Mogło to stanowić źródło obawy, lecz w żadnym razie - strachu. Nurkując zaś pod skałami, zwieszającymi się w wodę, rzadko przekraczał trzydzieści metrów głębokości. Gdyby podobna sytuacja czekała go teraz, musiałby po prostu uważać, aby dla uniknięcia choroby kesonowej przestrzegać reżimu wychodzenia w tempie osiemnastu metrów na minutę. A zresztą bez względu na przeszkody nie mógł ani pozostać na miejscu, ani wrócić do punktu wyjścia. Musiał ruszać przed siebie. Inna decyzja nie wchodziła w grę. Teraz te resztki sił, jakie kołatały się jeszcze po jego ciele, zostaną poddane ostatecznej próbie.

Nie był jeszcze martwy i nie będzie, dopóki w butli pozostanie choć centymetr sześcienny powietrza. Nie będzie martwy jeszcze kilka chwil dłużej - zanim eksplodują mu płuca. Sprawdził, czy zawór jest otwarty i czy przewód niskociśnieniowy jest właściwie połączony z kompensatorem pływalności. Potem nałożył butlę, mocując ją na otwierane haczyki. Bez maski będzie widzieć jak przez mgłę, w końcu jednak musiał tylko płynąć w stronę światła. Zaciśnął zęby na ustniku aparatu oddechowego, wziął się w garść i policzył do trzech. Po raz pierwszy od początku przeprawy skoczył do rzeki. Kiedy równo i spokojnie pracował bosymi stopami, byłby gotów zaprzedać duszę diabłu za utraczone płetwy. W dół, w dół i jeszcze bardziej w dół schodził przed nim ukosem nawis skalny. Pitt zszedł na trzydzieści metrów, potem czterdzieści. Na pięćdziesięciu zaczął się niepokoić. Przy nurkowaniu ze sprężonym powietrzem pomiędzy sześćdziesiątym a osiemdziesiątym metrem głębokości pojawia się niewidzialna bariera. Minąwszy ją, płetwonurek zaczyna się czuć jak człowiek pijany i traci władzę umysłową. Butla zgrzytnęła niesamowicie, kiedy otarła się o skałę. Pitt po omal nie zakończonej śmiercią przeprawie przez wodospad rzucił swój pas z ciężarkami, a ponadto miał na sobie neoprenowy skafander, charakteryzowała go zatem pływalność dodatnia. Teraz jeszcze bardziej spionował swoją pozycję, żeby uniknąć następnych kontaktów ze skalnym sklepieniem. Sądził już, że nigdy się nie skończy. Na głębokościomierzu widział siedemdziesiąt pięć metrów, gdy wreszcie, chwycony przez prąd, przepłynął pod najniższym punktem nawisu. Po drugiej stronie skała też była ukośna. Sytuacja daleka od idealnej. Wolalby wznosić się pionowo, co skróciłoby dystans oraz pozwoliło przyoszczędzić powietrza. Jaśniało coraz bardziej i w pewnym momencie dostrzegł cyfry na tarczy zegarka bez pomocy zdychającego

światła lampki. Wskazówki pokazywały dziesięć po piątej. Rano czy po południu? Ile minęło czasu, odkąd zanurkował do rzeki? Dziesięć minut czy pięćdziesiąt? Jego umysł leniwie borykał się z tymi kwestiami. Czysta, przezroczyście szmaragdowa woda rzeki zmętniała i nabrała odcienia błękitnego. Nurt słabł i słabło tempo wychodzenia na górę. Coś nad głową Pitta zaczęło migotać. Powierzchnia morza. Był w Zatoce Kalifornijskiej. Przebył podziemną rzekę i wpływał do Morza Corteza. Gdzieś w oddali dostrzegł cień. Jeszcze jeden rzut oka na wskaźnik ciśnienia powietrza. Wskazówka drżała w okolicach zera. Powietrze było na wyczerpaniu. Zamiast wchłonąć solidny haust, napełnił resztką kompensator pływalności, który wyniesie go na powierzchnię nawet wtedy, gdy straci przytomność z braku tlenu. Ostatni oddech ledwie napełnił jego płuca; Pitt wypuszczał powietrze maleńkimi porcjami, aby kompensować ciśnienie, coraz mniejsze w miarę malenia głębokości. Stróżka bąbelków urwała się zupełnie, kiedy nie było już czego wydychać. Powierzchnia wydawała się tak bliska, iż odnosił wrażenie, że mógłby ją przebić wyciągniętą ręką, żalosna iluzja. W jego płucach szalał pożar, a fale wciąż były odległe o dwadzieścia metrów.

Gdy poczuł ucisk na piersiach, jakby owijał go bandaż elastyczny, włożył nieco więcej energii w pracę nóg. Niebawem głód powietrza stał się jedynym uczuciem, jakiego doznawał, a pole widzenia zaczęło mrocznieć na obrzeżach. Wtedy zaplątał się w coś, co powstrzymało wychodzenie na powierzchnię. Nie widział dość wyraźnie, by zidentyfikować naturę przeszkody, instynktownie zaczął się szarpać, by odzyskać wolność. W głębi jego mózgu rozległ się przeraźliwy ryk. Ogarniała go ciemność, kiedy poczuł, że jest wyciągany na powierzchnię.

- Ale podciąłem rybę, staruszek! - wykrzyknął radośnie Joe Hagen.

- Marlin? - zapytała z podnieceniem Claire, widząc wygięte w łuk wędzisko męża.

- Jak na marlina, słabo walczy - wysapał Joe, gorączkowo kręcąc korbką multiplikatora. - Sprawia wrażenie martwego ciężaru.

- Może zamęczyłeś go na śmierć.

- Leć po hak. Jest prawie na powierzchni.

Claire porwała z uchwytów gaf na długim trzonku i wystawiła go za burtę.

- Widzę! - wykrzyknęła. - Jest długi i czarny.

A potem wrzasnęła przeraźliwie.

Pitta dzieliły milimetry od utraty przytomności, kiedy jego głowa przebiła

powierzchnię w koleinie pomiędzy grzbietami fal. Wypluł ustnik i głęboko zaczerpnął powietrza. Refleksy słońca na wodzie kompletnie go oślepiły - od dwóch dni nie widział naturalnego światła. Zacisnął gwałtownie powieki w akcie obrony przed nagłym kalejdoskopem barw. Ulga, radość, że żyje, poczucie dumy z tego, czego dokonał... te wszystkie doznania zlały się w jedność. Prześwidrował mu bębenki kobiecy krzyk; podniósł głowę, dojrzał niebieską burzę jachtu i dwie wychylające się przez reling śmiertelnie pobladłe ludzkie twarze. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest zaplątany w żyłkę wędkarską. Coś plaskało się o jego nogę. Chwycił żyłkę i wyciągnął z wody maleńkiego bonita długości dłoni. Z pyszczka nieszczęśnika sterczał ogromny hak. Pitt delikatnie ścisnął rybkę pod pachą i zdrową ręką uwolnił z haczyka. Potem z uczuciem spojrzął w koraliki jej oczu.

- No i widzisz, mały góralu - powiedział radośnie. - A jednak wróciliśmy do hal.

Komandor Maderas z załogą wyszli akurat z San Felipe, żeby podjąć poszukiwania, kiedy odezwali się Hagenowie.

- Panie komandorze - powiedział radio. - Dostałem właśnie pilną depeszę z jachtu „Pierwszy Numerek”.

- Jakiej treści?

- Szyper, Amerykanin o nazwisku Joseph Hagen, melduje, że podczas wędkowania wyłowił człowieka.

Maderas zmarszczył czoło.

- Musiał w czasie trollingu zahaczyć jakiegoś topielca.

- Nie, panie komandorze, wyraził się zupełnie jasno. Wyłowiony człowiek jest żywy.

- To chyba nie może być ten, którego szukamy - stwierdził stropiony Maderas. - Po tym, jak wyglądał ten pierwszy, to po prostu nie wchodzi w grę. Czy któraś z jednostek przebywających w rejonie meldowała o człowieku na burcie?

Radio pokręcił głową.

- Nie słyszałem.

- Jaka jest pozycja „Pierwszego Numerka”?

- Dwadzieścia mil na północny zachód od nas.

Maderas przeszedł do sterówki i kiwnął głową w stronę Hidalga.

- Proszę wziąć kurs na północny zachód i wypatrywać amerykańskiego jachtu. - Potem odwrócił się do radiooficera. - Niech pan poprosi tego Hageny o szczegóły dotyczące wyłowionego i poleci, aby pozostał na miejscu. Podejdziemy do niego za mniej więcej trzydzieści minut.

Hidalgo posłał mu pytające spojrzenie zza stolika z mapami.

- No i co o tym myślisz?

Maderas z lekka się uśmiechnął.

- Jako katolik muszę wierzyć w to, co księżulki prawią na temat cudów. Ten jednak chciałbym obejrzeć na własne oczy.

Transmisja Hageny została przechwycona przez stację nadawczo-odbiorczą meksykańskiej marynarki wojennej w La Paz. Pełniący służbę radiooperator poprosił o potwierdzenie. Hagen jednak, zajęty paplaniną z innymi jachtami, omieszkał go udzielić. Sądząc, że ma do czynienia z żarciem rozbalowanych żeglarzy, radiooperator odnotował wprawdzie w swoim dzienniku fakt odbioru depeszy

Hagena, ale przeszedł nad nim do porządku i zajął się sprawami marynarki wojennej.

Dwadzieścia wszakże minut później, schodząc ze służby, mimochodem wspomniał o tej historii dowódcy stacji.

- Wyglądało mi to na majaczenie wariata - wyjaśnił. - Meldunek był po angielsku. Przypuszczalnie gringo podpisał sobie i bełkotał przez radio.

- Lepiej wysłać patrolowca, żeby to zbadał - odrzekł oficer. - Poinformuję Sztab Floty Północnego Regionu i spytam, kogo mają pod ręką.

Sztabu floty nie trzeba było informować: Maderas przekazał już wiadomość, że idzie pełną parą w kierunku „Pierwszego Numerka”. Sztab otrzymał również niespodziewaną wiadomość od naczelnego dowódcy marynarki wojennej, aby przyspieszyć poszukiwania i zrobić wszystko co w ludzkiej mocy, by zakończyły się powodzeniem.

Admirał Ricardo Alvarez spożywał wraz z żoną lunch w klubie oficerskim, kiedy adiutant pospiesznie zbliżył się do stołu z obiema depeszami.

- Człowiek złowiony przez wędkarza? - parsknął Alvarez. - A cóż to znowu za bzdury?

- Wiadomość tej treści otrzymaliśmy właśnie od komandora Maderas z G-21 - odparł adiutant.

- Kiedy Maderas podejdzie do jachtu?

- Powinno to nastąpić lada chwila.

- Ciekawe, dlaczego Sztab Operacji Morskich przejął się tak bardzo zwykłym turystą, który wypadł za burtę.

- Krążą pogłoski, że akcją poszukiwawczą osobiście interesuje się pan prezydent - odrzekł adiutant.

Admirał Alvarez kwaśno spojrział na żonę.

- Wiedziałem od początku, że ten cholerny północnoamerykański traktat o wolnym handlu jest zasadniczym błędem. Teraz będziemy musieli włożyć jankesom w dupę, ilekroć któryś z nich wpadnie do zatoki.

Było zatem więcej pytań niż odpowiedzi, kiedy do burty „Pierwszego Numerka” podchodził meksykański okręt patrolowy. Pitt stał na pokładzie jachtu wsparty o ramię Joego Hagena. Ubrany był w golf i szorty z garderoby szypra. Claire zmieniła mu opatrunek na ramieniu i na nowo obandażowała paskudną szramę na czole.

Pitt mocno uścisnął dłoń Hagena.

- Jestem ci do zgonnie wdzięczny. Chyba nie złowiłeś w życiu większej sztuki.

Joe Hagen wybuchł śmiechem.

- No, z pewnością będzie o czym opowiadać wnukom.

Następnie Pitt ucałował Claire w oba policzki.

- Nie zapomnij wysłać mi przepisu na swoją zupę rybną. W życiu nie jadłem nic tak dobrego.

- Takie odniosłam wrażenie. Pochłonąłeś przynajmniej galon.

- Do śmierci pozostanę waszym dłużnikiem, ocaliliście mi życie. Dzięki.

Pitt odwrócił się i z pomocą marynarza wsiadł do niewielkiej szalupy, która przewiozła go na patrolowiec. Ledwie stanął na pokładzie, powitany przez Maderasa i Hidalga, a sanitariusz zaczął go zaganiać do izby chorych. Przed wejściem Pitt raz jeszcze odwrócił głowę i pomachał dłonią do Hagenów.

Joe i Claire objęci stali na pokładzie jachtu. Joe z góry spojrział na żonę.

- Na mojej liście sukcesów wędkarskich nie ma nawet pięciu ryb, a jakby twoje gotowanie wetknąć kozie pod ogon, toby jej rogi wyprostowało. Co to był za numer z tą wyśmienitą rybną zupą?

- Biedaczysko - westchnęła Claire. - Był tak wykończony i głodny... nie miałam mu serca powiedzieć, że wrąbał garnek zupy z puszek, którą przyprawiłam półlitrowką brandy.

Curtis Starger otrzymał przez komórkowy telefon wiadomość o znalezieniu Pitta, kiedy przeszukiwał hacjendę, wykorzystywaną przez Zolarów jako baza operacyjna. Dając wyraz niezwykłej jak na siebie ochocie do współpracy, meksykańskie agencje śledcze zezwoliły Stargerowi i jego celnikom na przenicowanie budynków i gruntów w poszukiwaniu dodatkowych dowodów, które pozwoliłyby jeszcze bardziej pogрузić złodziejską rodzinę. Na hacjendzie jednak panowała pustka. W budynkach nie było żywej duszy i nawet pilot odrzutowca Zolara uznał, iż przyszedł czas, aby podać się do dymisji. Bez słowa zatem przekroczył bramę, dojechał autobusem do miasta i złapał najbliższy samolot do rodzinnego Houston w stanie Teksas.

Jako się więc rzekło, ludzie Stagera nie natrafili w pomieszczeniach domu na żadne obciążające dowody, jedyne zaś znaleziska dokonali w samolocie. Były nim cztery prymitywnie wyrzeźbione drewniane posążki o polichromowanych, dzieciennych obliczach.

- Co o nich sądzisz? - zapytał Starger jednego ze swych agentów, który specjalizował się w sztuce Południowego Zachodu.

- Sprawiają wrażenie indiańskich bożków.

- Czy zostały wykonane z drewna topoli?

Agent zsunął na czoło okulary i z odległości kilku centymetrów przyjrzał się figuynkom.

- Tak, chyba można stwierdzić bez wątplenia, że zostały wykonane z topoli.

Starger delikatnie musnął dłonią jeden z drewnianych posążków.

- Podejrzewam, że właśnie ich poszukiwał Pitt.

Rudi Gunn usłyszał dobre wieści leżąc w szpitalnym łóżku. Do salki w ślad za pielęgniarką wszedł jeden z agentów Stargera.

- Panie Gunn, jestem agent Di Maggio ze Służby Celnej. Uznałem, że chciałby pan wiedzieć, iż godzinę temu wyłowiono z wód Zatoki Kalifornijskiej żywego Dirka Pitta.

Gunn zamknął oczy i wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi.

- Wiedziałem, że mu się uda.

- Dał dowód wielkiej odwagi i wytrwałości, skoro, jak słyszałem, przepłynął podwodną rzeką ponad sto kilometrów.

- Nikt inny nie zdołałby tego dokonać.

- Mam nadzieję, że dobre wieści uczynią pana bardziej skłonny do współpracy - powiedziała słodko pielęgniarka, zbliżając się do Gunna z wystawionym na kształt sztyletu termometrem odbytowym.

- Pan Gunn nie jest więc pacjentem idealnym? - zapytał Di Maggio.

- Miewałam do czynienia z lepszymi.

- Miałbym cholerną ochotę - stwierdził jadowicie Gunn - dostać uczciwą pizamę zamiast tej po pedalsku przezroczystej, kusej i w dodatku zawiązywanej z tyłu koszulki nocnej.

- Szpitalne koszulki zostały tak zaprojektowane celowo - odparła pielęgniarka, nie dając się zbić z tropu.

- Wiele bym dał, żeby wiedzieć, o jaki cel tutaj chodzi.

- Chyba nie powinienem pana dłużej niepokoić - powiedział Di Maggio, gotując się do rejterady. - Życzę rychłego powrotu do zdrowia.

- Dzięki za wiadomość o Dirku - powiedział Gunn z powagą.

- To zupełny drobiazg.

- Teraz proszę odpocząć - powiedziała pielęgniarka do Gunna. - Za godzinę przyniosę panu lekarstwa.

Kiedy jednak pojawiła się zgodnie z przyrzeczeniem, znalazła puste łóżko. Gunn dał nogę, odziany jeno w kusą koszulkę i szpitalny koc.

Osobliwe, lecz jako ostatni dowiedzieli się ci, którzy przebywali na pokładzie „Alhambry”. Loren i Sandecker rozmawiali na pokładzie samochodowym z przedstawicielami wydziału wewnętrznego policji meksykańskiej, kiedy przyniósł im wieści właściciel luksusowego ścigacza, tankującego w pobliskiej stacji paliw.

- Ahoj na promie! - wrzasnął przez pas wody, oddzielający od siebie dwie jednostki.

Miles Rodgers, który zajęty rozmową z Shannon i Duncanem stał na pokładzie obok sterówki, przechylił się przez reling.

- O co chodzi?! - odkrzyknął.

- Znaleźli waszą zgubę.

Jego słowa doniosły się na pokład samochodowy i Sandecker wybiegł do relingu.

- Niech pan powtórzy - wydarł się na całe gardło.

- Właściciele żaglowego kecza wyłowili z wody jakiegoś faceta - odpowiedział szyper motorowego jachtu. - Zdaniem meksykańskiej marynarki wojennej, jest to człowiek, którego poszukujecie. Na pokładzie „Alhambry” byli już wszyscy, ale nikt nie ośmielił się zadać pytania, które każdego dręczyło.

Giordino z chyżością gokarta wyjechał wózkiem inwalidzkim na rampę załadunkową.

- Żyje?! - zawołał z niepokojem w stronę ścigacza.

- Meksykanie mówili, że był w lichym stanie, ale trochę doszedł do siebie, kiedy żona właściciela jachtu podpała go zupą.

- Pitt żyje! - krzyknęła bez tchu Shannon.

Duncan z bezgranicznym zaufaniem pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że dotarł do zatoki.

- A ja mogę! - Loren zakryła twarz dłońmi i wybuchła płaczem. Zapodziała gdzieś swoją wyniosłość i opanowanie. Pochyliła się i mocno wzięła Giordina w objęcia. - Wiedziałam, że nie mógł zginąć.

Nagle zapomniano o meksykańskich detektywach; wszyscy pokrzykiwali i padali sobie w ramiona. Sandecker, zwykle marsowy i pełen rezerwy, huknął nagle na cały głos i pognał do sterówki, by przez telefon komórkowy zażądać od sztabu meksykańskiej marynarki wojennej bardziej szczegółowych informacji.



Duncan zaczął gorączkowo wertować swoje mapy hydrograficzne; roznosiła go niecierpliwość, aby poznać informacje, zgromadzone przez Pitta podczas jego niewiarygodnego spływu. Shannon i Miles odkorkowali butelkę taniego szampana, znalezionej w głębi kambuzowej lodówki. Miles był szczerze uradowany wiadomościami, w oczach Shannon jednak tała się osobliwa zaduma. Doktor Kelsey spoglądała na Loren z zazdrością, której dotąd w sobie nie podejrzewała, powoli dochodząc do wniosku, że może popełniła błąd w swoich stosunkach z Pittem. Chyba nie powinna była traktować go tak powściągliwie.

- Ten sukinkot jest jak fałszywy szeląg, który zawsze wraca - stwierdził Giordino, usiłując opanować wzruszenie.

Loren posłała mu przeciągłe spojrzenie.

- Czy Dirk ci mówił, że poprosił mnie o rękę?

- Nie, ale nie jestem zaskoczony. Bardzo cię ceni.

- Ale nie sądzisz, że to dobry pomysł, prawda?

Giordino powoli pokręcił głową.

- Wybacz mi brutalną prawdę, nie sądzę jednak, byście byli dla siebie stworzeni.

- Jesteśmy oboje zbyt uparci i niezależni. Czy to chciałeś powiedzieć?

- Trafiłaś w dziesiątkę. Przypominacie ekspresy, które mkną po równoległych torach, czasem zatrzymują się obok siebie na stacjach, ale w gruncie rzeczy zmierzają w rozmaite miejsca.

- Dzięki za tę szczerą. - Ścisnęła jego dłoń.

- Cóż jednak mogę wiedzieć o sprawach damsko-męskich? - powiedział ze śmiechem.

- Mój najdłuższy związek z kobietą trwał dwa tygodnie.

Loren przenikliwie spojrzała mu w oczy.

- Jest coś, o czym mi nie mówisz.

Giordino wbił wzrok w deski pokładu.

- Cholera, chyba kobiety mają w tych sprawach siódmy zmysł.

- Kim była?

- Nazywała się Summer - odrzekł bez ogródek. - Zginęła piętnaście lat temu na morzu opodal Hawajów.

- Sprawa Wiru Pacyficznego... przypominam sobie, Dirk mi o tym mówił.

- Stawał na głowie, żeby ją ocalić... Bez efektu.

- I wciąż hołubi w duszy jej wspomnienie.

Giordino skinął głową.

- Nigdy o niej nie mówi, ale na widok kobiety, która ją przypomina, staje się nieobecny i roztargniony.

- Widziałam go takim nie raz i nie dwa - stwierdziła z melancholią Loren.

- Ale przecież nie może do śmierci tęsknić za duchem - rzekł z przekonaniem Giordino. - Każdy z nas nosi w sercu wizerunek utraconej miłości, który jednak wreszcie trzeba odłożyć do archiwum.

Loren nigdy dotąd nie widziała krotochwilnego zwykle Giordina tak rozpoetyzowanym.

- Ty też masz swojego ducha?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Pewnego dnia, kiedy miałem dziewiętnaście lat, zobaczyłem na wyspie Balboa w południowej Kalifornii dziewczynę, jadącą na rowerze po chodniku. Miała na sobie króciutkie białe szorty i zawiązaną na brzuchu jasnozieloną bluzkę. Włosy koloru miodu, uczesane w koński ogon. Opalona na mahoń. Nie widziałem jej oczu, żywiłem jednak pewność, że są niebieskie. Wywarła na mnie wrażenie osoby niezależnej i obdarzonej ciepłym poczuciem humoru. Nie ma dnia, żebym nie przywoływał w pamięci jej wizerunku.

- Nie pogoniłeś za nią? - zapytała lekko zaskoczona Loren.

- Uwierz albo nie, ale w tamtych czasach byłem piekielnie nieśmiały. Łaziłem tym kawałkiem ulicy przez całe miesiące, mając nadzieję, że jeszcze ją spotkam. Nigdy się jednak nie pokazała. Prawdopodobnie spędzała wakacje u rodziców i wyjechała niedługo po naszym spotkaniu.

- Smutna historia - uznała Loren.

- A bo ja wiem? - Giordino niespodziewanie wybuchł śmiechem. - Może bylibyśmy dziś małżeństwem, mieli czwórkę dzieciaków i nienawidzili się jak sto diabłów.

- Pitt jest dla mnie taką właśnie utraconą miłością. Ułudą, której do końca nie mogę pochwycić w dłonie.

- Zmieni się - stwierdził ze współczuciem Giordino. - Wszyscy faceci miękną z wiekiem. Loren, z wąłym uśmiechem na twarzy, pokręciła głową.

- Ale nie egzemplarze pokroju Dirka Pitta. Gna ich wewnętrzna potrzeba rozwiązywania zagadek i rzucania wyzwania nieznanemu. Marzą o wszystkim z

wyjątkiem starości u boku żony i dzieciaków, a potem śmierci w domu opieki.

W małym porcie San Felipe panowała świąteczna atmosfera, a na pirsie kłębiły się tłumy. Kiedy patrolowiec wszedł pomiędzy falochrony strzegące basenu portowego, podniecenie sięgnęło szczytu.

- Niezły komitet powitalny. - Maderas spojrział na Pitta, który zmrużył oczy w jaskrawym słońcu.

- Macie tu jakieś lokalne święto?

- Tych ludzi przyciągnęły wieści o pańskim niezwykłym rejsie pod ziemią.

- Chyba pan żartuje - odparł szczerze zdumiony Pitt.

- Nie, senior. Dzięki pańskiemu odkryciu rzeki płynącej pod pustynią stał się pan bohaterem dla każdego rolnika i ranczera stąd do Arizony, usiłującego związać koniec z końcem na tej jałowej ziemi. - Maderas ruchem głowy pokazał dwie furgonetki, z których wyładowywano sprzęt telewizyjny. - Oto dlaczego jest pan sensacją dnia.

- Dobry Boże - westchnął Pitt - a marzyłem tylko o miękkim wyrku, w którym mógłbym przespać przynajmniej trzy dni.

Fizyczny i psychiczny stan Pitta znacznie się poprawił od chwili, kiedy nadeszła depesza od admirała Sandeckera z informacją, że Loren, Rudi i Al są żywi, chociaż niezupełnie zdrowi. Sandecker donosił również o śmierci Cyrusa Sarasona z rąk Billy'ego Yumy, a także o tym, że Ragsdale i Gaskill z pomocą Moore'ów dostali w ręce Oxleya, Zolara i skarb Huascara.

„Jest zatem nadzieja dla maluczkich” - uznał filozoficznie Pitt.

Chociaż w istocie trwało zaledwie kilka minut, drugie tego dnia cumowanie „Rzęcha” przy „Alhambrze” wydawało się ciągnąć godzinami. Na górnym pokładzie pasażerskim rozwinięto transparent, którego litery wciąż roniły krople świeżej farby. Napis brzmiał:

WITAMY ZMARTWYCHWSTAŃCA.

Uszeregowana na pokładzie samochodowym meksykańska kapela uliczna grała i śpiewała piosenkę, która wydawała się Pittowi znajoma. Wychylił się przez reling, nastawił ucha... i odrzucił głowę do tyłu, wybuchając śmiechem. Potem nagle zwinął się w dół, gdy jego udręczona klatka piersiowa eksplodowała żywym ogniem. Giordino wykręcił numer stulecia.

- Czy zna pan tę piosenkę? - zapytał Maderas, lekko zaskoczony tą manifestacją uciechy i cierpienia.

- Rozpoznaję melodię, ale nie rozumiem słów - wysapał Pitt. - Śpiewają po hiszpańsku.

Miralos andando

Vealos andando

Lleva a tu novia favorita, tu compaiiero real

Bajate a la represa, dije la represa

Juntate con ese gentio andando, oiga la musica y la cancion

Es simplemente magnifico camarada, esperando en la represa

Esperando por el Roberta E. Lee.

- Miralos andando - powtórzył stropiony Maderas. - Co to znaczy: „idźcie na zaporę”?

- Groblę - domyślił się Pitt. - Pierwsze słowa piosenki brzmią: „Pójdźcie na groblę”.

Kiedy trąbiły trąbki, brzdąkały gitary, a siedem gardzieli wyrzaskiwało latynoską wersję „Czekając na Roberta E. Lee”, Loren Smith, stojąc wśród tłumu, który zgromadził się na pokładzie promu, gorączkowo wymachiwała ramionami. Dostrzegła, że Pitt poszukuje jej spojrzeniem - kiedy ją znalazł, również zaczął wymachiwać zdrową ręką. Miał opatrunek na czole, zagipsowane lewe przedramię na temblaku i w swych pożyczonych szortach, tudzież golfie nie pasował do otaczających go umundurowanych meksykańskich marynarzy. Na pierwszy rzut oka, jak na człowieka, który przebył czyściec i piekło mrocznych otchłani, sprawiał wrażenie faceta w zdumiewająco dobrej formie, Loren jednak wiedziała, że Pitt jest mistrzem w ukrywaniu swego wyczerpania, które bez trudu dostrzegła w jego twarzy.

Pitt wypatrzył admirała Sandeckera, stojącego za inwalidzkim wózkiem Giordino, Gordo Padille, otaczającego ramieniem swoją żonę Rosę, Jesusa, Gato i marynarza, którego imienia nie zdołał zapamiętać; trzej ostami wymachiwali w powietrzu butelkami.

Spuszczono trap i Pitt uścisnął dłonie Maderasowi i jego zastępcy.

- Dziękuję, panowie, i proszę o przekazanie w moim imieniu wyrazów wdzięczności waszemu sanitariuszowi. Doskonale mnie połatał.

- To my jesteśmy pańskimi dłużnikami, senior Pitt - powiedział Hidalgo. - Moi rodzice mają niedaleko stąd małe ranczo i to właśnie oni skorzystają najbardziej, kiedy zostaną przewiercone studnie do podziemnej rzeki.

- Proszę jednak o pewną przysługę - rzekł Pitt.

- Jeśli tylko leży w naszej mocy - odparł Maderas.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie pozwólcie, panowie, aby tę rzekę ochrzczono moim nazwiskiem.

Odwrócił się, wszedł po trapie na prom i utonął w morzu ludzi. Loren przywarła całym ciałem do udreżonej cielesności Pitta i obdarzyła go przeciągłym pocałunkiem drżących warg. Po chwili odstąpiła o krok.

- Witaj w domu, żeglarzu - powiedziała, śmiejąc się przez łzy.

Ułamek sekundy później dziennikarze i reporterzy telewizyjni z obu stron granicy opadli Pitta jak szarańcza, nie bacząc na to, że witał się właśnie z Giordinem i Sandeckerem.

- Byłem pewien, że tym razem nieodwołalnie uderzyłeś w kalendarz - stwierdził Giordino, promieniejąc jak neon szulerni w Las Vegas.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie znalazł „Chybotliwej Koggi”.

- Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę - wtrącił Sandecker, zmuszając oblicze do udawanej powagi - że sędziwy wiek nie pozwala ci już na obijanie się po podwodnych grotach.

Pitt uniósł zdrową rękę gestem człowieka składającego solenną przysięgę.

- Jeśli nawet kiedykolwiek spojrzę na taką grootę, panie admirale, może mi pan odstrzelić nogę, tak mi dopomóż Bóg.

W tym momencie, wprawiając Loren we wściekłość, do Pitta przypadła Shannon i złożyła na jego ustach długi pocałunek.

- Tęskniłam za tobą - oznajmiła, wypuszczając go z objęć.

Zanim zdołał udzielić odpowiedzi, jego zdrową ręką zaczęli na wypródki potrząsać Miles Rodgers i Peter Duncan.

- Cholerny z ciebie twardziel - stwierdził Rodgers.

- Rozwaliłem twój komputer i posiałem wszystkie dane - powiedział Pitt do Duncana.

- Naprawdę cholernie mi przykro.

- Drobiazg - odparł Duncan z szerokim uśmiechem. - Teraz, skoro wiemy z pewnością, iż rzeka płynie ze Studni Szatana pod Cerro el Capirote i uchodzi do zatoki, możemy dokładnie prześledzić jej bieg za pomocą elektronicznej aparatury geologicznej.

W tym momencie, nie dostrzeżona przez tłum, zajęchała na pirs sfatygowana meksykańska taksówka. Wypadł z niej i pognał po trapie na pokład promu owinięty w

koc męczyzna nikiemnej postury. Z trudem docisnął się do Pitta.

- Rudi! - ryknął Pitt, obejmując go zdrowym ramieniem. - Skąd cię tu przyniosło?!

Jak gdyby było to zaplanowanym chwytem aktorskim, Gunn upuścił koc na deski pokłada i ukazał się światu w kusej szpitalnej koszuli nocnej.

- Wyrwałem się z łap wiedźmy udającej pielęgniarkę - rzekł bez najmniejszych oznak zażenowania. - No i przybywam, żeby cię powitać.

- Rekonwalescencja przebiega więc pomyślnie?

- Wróć na stanowisko w NUMIE wcześniej niż ty.

Pitt odwrócił głowę do Rodgersa.

- Miles, masz pod rękę jakiś aparat?

- Dobry fotograf nigdy nie rozstaje się z aparatem - odparł Rodgers, przekrzykując zgiełk czyniony przez tłum.

- No to pstryknij fotkę trzech srodze doświadczonych przez los weteranów z Cerro el Capirote.

- I jednej srodze doświadczonej przez los weteranki z Cerro el Capirote - dodała Loren, wciskając się pomiędzy mężczyzn.

Rodgers zdołał zrobić trzy zdjęcia, zanim został wyparty ze swego uprzywilejowanego stanowiska przez kamerzystów telewizyjnych i reporterów prasowych.

- Panie Pitt! - wykrzyknął jeden z dziennikarzy, podtykając Pittowi mikrofon pod nos.

- Co mógłby nam pan powiedzieć o podziemnej rzece?

- Tylko tyle - odrzekł bez zająknięcia Pitt - że istnieje i jest cholernie mokra.

- Jak określiliby pan jej długość?

Pitt chwilę namysłu poświęcił na to, żeby objąć ramieniem talię Loren i lubieżnie szczypnąć ją w udo.

- Powiedzmy, dwie trzecie długości Rio Grande.

- Aż tak wielka?

- Z palcem w nosie.

- Jak się pan czuje po przybyciu stu kilometrów szlakiem podziemnych jaskiń?

Pitta zawsze doprowadzały do irytacji pytania reporterów o uczucia rodziców, których dom spłonął razem z tuzinem dzieci, albo o wrażenia osób, obserwujących przed chwilą upadek skoczka, któremu nie otworzył się spadochron.

- Jak się czuję? - powtórzył z zadumą. - Jak facet, któremu eksploduje pęcherz, jeśli natychmiast nie pójdzie do kibla.



## EPILOG POWRÓT DO DOMU

4 listopada 1998  
San Felipe, Baja California

62

Dwa dni później, kiedy już wszyscy złożyli zeznania przed meksykańskimi władzami śledczymi, mogli się rozjechać w swoje strony. Pierwszy, z samego ranka, wymknął się hydrolog Peter Duncan, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć jego nieobecność. Miał przed sobą pracowity rok jako dyrektor Programu Nawadniania Sonory. Woda, krew cywilizacji, była darem niebios dla udręczonego suszą Południowego Zachodu - miała stworzyć tysiące miejsc pracy dla ludzi z pustyni, popłynąć rurociągami i akweduktami do miast, zamienić wyschłą nieckę w obrosły hotelami i pensjonatami akwen rozmiaru jeziora Powella.

W następnym etapie wchodziło w grę opracowanie programu eksploatacji bogactw mineralnych, odkrytych przez Pitta podczas jego odysei, i stworzenie pod ziemią centrum turystycznego.

Doktor Shannon Kelsey została zaproszona do Peru, by kontynuować wykopaliska z czaczapojańskich miast, gdzie zaś udawała się ona - podążał Miles Rodgers.

- Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy - oznajmił Rodgers, potrząsając dłonią Pitta.

- Tylko pod warunkiem, że będziesz się trzymał z daleka od świętych studni - odparł Pitt.

- Masz to jak w banku. - Rodgers wybuchł śmiechem.

Pitt zajął w oczy Shannon, gdzie znów mocnym ogniem płonęła stanowczość i śmiałość.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Widziała w nim jedynego mężczyznę, którego nie potrafiłaby zdobyć i podporządkować swojej woli. Czuła w głębi duszy, że właśnie on nieodparcie ją pociąga.

Żeby raz jeszcze zrobić Loren na złość, obdarzyła Pitta długim i mocnym pocałunkiem.

- Na razie. Nie zapomnij o mnie.

Pitt skinął głową i odrzekł po prostu:

- Nie umiałabym, nawet gdybym się bardzo starał.

Minęło zaledwie parę chwil, odkąd wynajętym samochodem Shannon i Miles pojechali na lotnisko w San Diego, gdy na pokładzie „Alhambry” usiadł śmigłowiec NUMY. Pilot, pozostawiwszy silnik pracujący na wolnych obrotach, wyskoczył przez drzwi ładowni, rozejrzał się i podszedł do Sandeckera.

- Dzień dobry, panie admirale. Czy jest pan gotów do odlotu, czy też mam wyłączyć silnik?

- Niech pan nie wyłącza - odparł Sandecker. - Jak wygląda sytuacja z moim odrzutowcem pasażerskim?

- Czeka w Yumie, w bazie lotniczej piechoty morskiej, aby odwieźć do Waszyngtonu pana i wszystkich pozostałych.

- Doskonale, zatem będziemy się ładować. - Sandecker spojrzał na Pitta. - A więc idziesz na zwolnienie lekarskie?

- Zastanawialiśmy się z Loren, czyby nie pojechać z Klubem Aut Klasycznych na rajd po Arizonie.

- Oczekuję cię w firmie za tydzień. - Obdarzył Loren lekkim pocałunkiem w policzek.

- Skoro jest pani deputowaną do Kongresu naszego wspaniałego państwa, niechże pani nie pozwoli Pittowi robić głupot i dostarczy go z powrotem w jednym kawałku, zdolnego stawić czoło wymaganiom przyszłości.

- Proszę się nie obawiać, panie admirale - odparła Loren z uśmiechem. - Moi wyborcy również liczą, że wrócę w stanie umożliwiającym mi podjęcie pracy.

- A co ze mną? - zainteresował się Giordino. - Czy ja nie dostanę paru dni na rekonwalescencję?

- Możesz za biurkiem siedzieć w wózku inwalidzkim. - Sandecker uśmiechnął się demonicznie. - No, ale z Rudim to zupełnie inna historia. Myślę, że na jakiś miesiąc wyprawię go na Bermudy.

- Dobroczyńco! - jęknął Gunn, usiłując zachować powagę.

Była to rytualna gierka. Sandecker traktował Pitta i Giordina jak własnych synów, a ich stosunki charakteryzowała ogromna doza wzajemnego szacunku. Admirał żywił stuprocentową pewność, że ledwie dojdą do siebie, zaczną go przyciskać, aby powierzył im jakąś następną misję. Dwóch sztauerów dźwignęło Giordina na pokład śmigłowca, gdzie trzeba było usunąć jeden z foteli, aby zmieściły

się jego wyciągnięte i zagipsowane nogi. Pitt wsunął przez drzwiczki górną połowę ciała i połaskotał Giordina w sterczący z gipsowego kokonu paluch.

- Spróbuj nie zaprzepaścić tej maszyny tak, jak to zdarzyło się z kilkoma innymi.

- To ma być śmigłowiec? - Szkoda gadać! - odparował Giordino. Dostaję takiego rzęcha jako bonifikatę, ilekroć kupuję dziesięć galonów benzyny.

Gunn położył dłoń na ramieniu Pitta.

- Fajnie było - powiedział beztrąsko. - Musimy kiedyś powtórzyć ten numer.

- A w życiu! - Pitt przyoblekł twarz w wyraz przerażenia.

Sandecker delikatnie Pitta uściskał.

- Wypoczywaj i nie forsuj się - powiedział tak cicho, aby w zgiełku czynionym przez łopaty wirnika nie usłyszał go nikt inny. - Do zobaczenia wtedy, kiedy się zobaczymy.

- Postaram się, żeby to było niebawem.

Gdy stojąc na pokładzie promu, Loren i Pitt odprowadzili spojrzeniem śmigłowiec, który wzięwszy kurs na północny wschód, zamienił się w punkcik zawieszony nad wodami zatoki, Pitt wieloznacznie spojrzał na Loren.

- Nareszcie sami.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Konam z głodu. Może tak machnęlibyśmy się do Mexicali i poszukali dobrej knajpy z miejscowymi specjałami?

- Skoro poruszyłeś ten temat... naszała mnie nagle ochota na huevos rancheros.

- Chyba ja powinnam poprowadzić.

Pitt uniósł zdrowe ramię.

- Ależ w pięćdziesięciu procentach jestem zdatny do użytku.

Nawet nie chciała o tym słyszeć. Kierowana przez Pitta, sprawnie wyprowadziła pierce'a i przyczepę z pokładu samochodowego na nabrzeże. Pitt, posławszy ostatnie tęskne spojrzenie staremu łopatkowcowi, pełen żalu, że nie może przepłynąć nim Kanałem Panamskim, a potem Potomakiem do Waszyngtonu, westchnął z rezygnacją i wsunął się na pasażerski fotel swojego auta. W tym momencie obok pierce'a zatrzymał się inny samochód, z którego wysiadł Curtis Starger.

- Cieszę się, że zdążyłem państwa złapać przed wyjazdem - powiedział celnik. - Dave Gaskill prosił, żeby to na pewno trafiło w wasze ręce.

Podał Pittowi zawiniątko w indiańskim pledzie. Pitt, nie mogąc ująć go

oburącz, bezradnie popatrzył na Loren. Przejęła pakunek z rak agenta, rozwinęła go i oto spoglądali w cztery oblicza, wieńczące prymitywne figuryńki o kształcie maczug.

- Bożkowie Mentolów - wyszeptał Pitt. - Gdzieście je znaleźli?

- W Guaymas, w prywatnym samolocie Josepha Zolara.

- Przypuszczałam, że wpadły w jego brudne łapska.

- Zdołaliśmy je zidentyfikować jako święte posążki Mentolów dzięki załączonym arkuszom informacyjnym - wyjaśnił Starger.

- Moi indiańscy przyjaciele będą uszczęśliwieni.

Starger posłał Pittowi przewrotny uśmiech.

- Chyba możemy zaufać, że dostarczy je pan w ręce prawowitych właścicieli?

Pitt zachichotał i lekkim skinieniem głowy wskazał przyczepą.

- Są prawie tak cenne jak złoto, które tam zadołowałem.

- Ha, ha, ale zabawne. - Starger obdarzył Pitta spojrzeniem, które mówiło: „Niech pannie robi ze mnie idiota”. - Wszystkie złote obiekty zostały dokładnie zinwentaryzowane.

- Obiecuję, że w drodze do granicy podrzucę Mentolom ich bożki.

- Ani Dave Gaskill, ani ja nie mieliśmy w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

- Jak się miewają Zolarowie? - zapytał Pitt.

- Siedzą w kiciu, oskarżeni o wszystko, czego dusza zapragnie: od kradzieży i przemytu po morderstwa. Zapewne sprawi panu satysfakcję wiadomość, iż sędzia, pewien, że natychmiast dadzą dyla za granicę, odmówił wypuszczenia ich na wolność za kaucją.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty.

- Tylko dzięki panu, panie Pitt. Gdyby służby celne mogły się kiedykolwiek panu zrewanżować - wyjąwszy przemyt skradzionych dóbr - proszę bez wahania do nas dzwonić.

- Będę pańską ofertę mieć na uwadze. Dzięki.

Billy Yuma rozsiadł konia po codziennej inspekcji swojej małej trzody. Przerwał na chwilę robotę, aby powieść spojrzeniem po kaktusach, tamaryszkach i drzewach mesquite, porastających z rzadka skalne jęczory - jedynych elementach urozmaicających tutejszy pustynny pejzaż. I wtedy dostrzegł, jak z kłębu mgły wyłania się bardzo stary automobil, ciągnący za sobą równie wiekową przyczepę. Oba wehikuły były pomalowane taką samą granatową, właściwie niemal czarną farbą.

Ciekawość Billy'ego sięgnęła wyżyn, kiedy auto zatrzymało się przed jego

domem. Wyszedł z zagrody na czas, aby ujrzeć, że otwierają się drzwi wozu po stronie pasażerskiej i wychodzi z nich Pitt.

- Niechaj słońce będzie dla ciebie łaskawe, przyjacielu - powiedział na powitanie Billy Yuma.

- Miej zawsze nad sobą jasne niebiosa - odparł Pitt.

Billy z zapalem potrząsnął dłonią gościa.

- Naprawdę jestem rad, że cię widzę. Mówiono mi, że szedłeś w mrokach.

- Niewiele brakowało - odrzekł Pitt, wskazując ruchem głowy swoje ramię na temblaku. - Chcę podziękować za to, że zszedłeś w głąb góry i ocaliłeś moich przyjaciół.

- Złym ludziom pisana była śmierć - odparł Billy filozoficznie. - Cieszę się, że zdążyłem.

- Przyniosłem coś dla ciebie i twego plemienia. - Pitt podał Indianinowi bożki owinięte w koc.

Billy Yuma ostrożnie, jak gdyby rozwijał becik niemowlęcia, odchylił róg pledu, w jego oczach zalśniły łzy.

- Oddałeś duszę naszego ludu, nasze marzenia, naszą wiarę... Teraz młodzi ludzie mogą przejść obrzęd inicjacji, stać się mężczyznami i kobietami.

- Mówiono mi, że ci, którzy je skradli, słyszeli osobliwe odgłosy, jakby dziecięcy płacz.

- Płakały z rozpacz, że nie mogą wrócić do domu.

- Sądziłem, że Indianie nigdy nie płaczą.

Billy Yuma uśmiechnął się, ogarnięty bezmierną radością, że trzyma w dłoniach swoich bogów.

- Nie wierz w te bzdury. Po prostu nie pozwalamy, by ktokolwiek nas widział, kiedy płaczemy.

Pitt przedstawił Loren żonie Billy'ego, Polly, która nalegała, aby zostali na kolację, nie przyjmując odmowy do wiadomości. Loren wygadała się, że Pitt przepada za huevos rancheros. Polly zatem nasmażyła dość jajek, żeby wykarmić pięciu zgłodniałych kowbojów.

W trakcie posiłku pojawiali się i znikali krewni oraz przyjaciele Billy'ego Yumy; patrzyli z szacunkiem na topolowe bożki, mężczyźni potrząsali dłonią Pitta, kobiety zaś wręczały Loren drobne wytwory swoich rąk. Było to bardzo wzruszające i Loren bez żenady pochlipywała. Pitt i Billy Yuma dostrzegli w sobie pokrewne dusze. Ani

jeden, ani drugi nie miał najmniejszych złudzeń wobec tego, co im może przynieść życie. Pitt obdarzył gospodarza przeciągłym uśmiechem.

- To zaszczyt mieć za przyjaciela kogoś takiego jak ty, Billy.

- Jesteś w moim domu zawsze mile widzianym gościem.

- Dopilnuję, aby twoja wioska była pierwszą, jaka skorzysta z dobrodziejstw wody wydobytej na powierzchnię.

Billy zdjął z szyi amulet, zawieszony na rzemyku, i podał go Pittowi.

- Przyjmij, będzie przypominał ci przyjaciela.

Pitt uważnie obejrzał amulet. Był to wyłożony turkusami wizerunek demona z Cerro el Capirote.

- Nie mogę go wziąć. Jest zbyt wartościowy.

Billy Yuma pokręcił głową.

- Przysiągłem, że będę go nosić, dopóki nie wrócą do domu nasi bogowie. Teraz jest twój, na szczęście.

- Serdeczne dzięki.

Przed wyjazdem z kanionu Ometepec Pitt zaprowadził Loren na grób Patty Lou Cutting. Przykłęka i przeczytała inskrypcję na kamiennej płycie.

- Piękne słowa - powiedziała cicho. - Czy wiąże się z nimi jakaś historia?

- Nikt nie wie. Indianie powiadają, że jacyś wędrowcy pogrzebali ją w nocy.

- Miała zaledwie dziesięć lat.

- Dziecko, a spoczywa tak samotnie.

- Po powrocie do Waszyngtonu spróbujemy sprawdzić, czy jest po niej ślad gdzieś w archiwach.

Pustynne kwiaty zdążyły już przekwitnąć. Loren zatem zrobiła wianek z gałązek krzewów creosote i położyła go na grobie. Stali przez chwilę, spoglądając na pustynię, której barwy podkreślało jeszcze zachodzące listopadowe słońce.

Kiedy Loren skierowała wóz ku szosie, odprowadzała ich cała wioska. Wrzucając dwójkę, Loren tęsknie spojrzała na Pitta.

- Możesz to uznać za osobliwą opinię, ale to miejsce wydaje mi się zupełnie idylliczną metą na spędzenie miodowego miesiąca.

- Czy chcesz mi w ten subtelny sposób przypomnieć, że kiedyś poprosiłem cię o rękę? - zapytał Pitt, lekko ściskając dłoń Loren na kierownicy.

- Skłonna jestem złożyć to na karb twojego chwilowego szaleństwa.

- A więc dajesz mi kosza?

- Nie udawaj, że jesteś tym zmiądzony. Musimy zachowywać trzeźwość umysłu. Masz w sobie zbyt wiele uczciwości, żeby się wycofać.

- Mówiłem serio.

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Wiem, że mówiłeś, ale bądźmy realistami. Zasadniczy problem polega na tym, że wspaniali z nas kumple, ale tak w gruncie rzeczy nie jesteśmy sobie potrzebni. Gdybyśmy zamieszkali kiedyś w małym domku skrytym za barykadą ogrodzenia, nasze meble obrastałyby tylko kurzem, bo żadne z nas nie miałyby czasu, żeby go ścierać. Ogień i woda rzadko idą w parze. Twoim życiem jest ocean, moim - Kongres. Nie zdołamy stworzyć związku pełnego zrozumienia i miłości. A może jesteś innego zdania?

- Trudno zaprzeczyć, że mówisz z sensem.

- Głosuję za kontynuacją dotychczasowych układów. Zgłaszasz jakieś zastrzeżenia?

Pitt nie odpowiedział od razu i Loren uznała, że zdumiewająco zręcznie skrywa uczucie ulgi. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w szosę, a wreszcie powiedział:

- Wie pani co, deputowana Smith?

- Nie. Słucham?

- Jak na polityka, jest pani kobitą zdumiewająco szczerą i seksowną.

- A pan, panie Pitt, jak na morskiego technokratę, jest mężczyzną budzącym zdumiewająco ciepłe uczucia.

Pitt przewrotnie się uśmiechnął i zapytał z błyskiem w oku:

- Ile mamy kilometrów do Waszyngtonu?

- Mniej więcej pięć tysięcy. A o co chodzi?

Zerwał temblak, odrzucił go na tylne siedzenie i objął Loren ramieniem.

- Tylko pomyśl, mamy pięć tysięcy kilometrów, żeby dokładnie zmierzyć temperaturę budzonych przeze mnie uczuć.

Postscriptum

Na ścianach poczekalni przed prywatnym gabinetem szefa NUMY wisi dość zdjęć, przedstawiających admirała Sandeckera w kordialnych sytuacjach z osobistościami wpływowymi i dzianymi, aby wypełnić galerię fotograficzną. Za tło ma więc admirał pięciu prezydentów USA, kilkunastu wybitnych wojskowych i szefów państw, a wreszcie mrowie gwiazd filmu i telewizji. Wszyscy rozciągają usta w oczywistych, biorąc pod uwagę sytuację, uśmiechach.

Każde ze zdjęć jest oprawione w proste czarne ramki, z wyjątkiem jednego, które wisi w samym centrum ekspozycji. To bowiem pyszni się ramami obficie złożonymi.

Przedstawia Sandeckera wśród grupy ludzi sprawiających wrażenie ofiar dramatycznego wypadku. Niski kędzierzawy mężczyzna siedzi na wózku inwalidzkim, godząc w stronę kamery sztywnymi, zagipsowanymi nogami. Obok niego stoi miniaturowy facecik w okularach z rogowymi oprawkami; ma opatrunek na głowie i tułowiu, łupki na kilku palcach, a na mizernym korpusie - coś, co przypomina przezroczystą i nie zawiązaną szpitalną koszulę. Poza tym jest na zdjęciu urodziwa niewiasta w szortach i staniku - ta z kolei przywodzi na myśl pensjonariuszkę przytułku dla żon, które bijają mężowie. Obok niej stoi wysoki mężczyzna z bandażem na głowie i lewą ręką na temblaku, śle obiektywowi wyzywające spojrzenie, odchylając głowę i śmiejąc się na całe gardło. Gdybyś, zacny Czytelniku, po wejściu za błogosławieństwem sekretarki do sanktuarium admirała Sandeckera zapytał go o niezwykle postaci na fotografii w złotych ramach, przygotuj się na kilka godzin uważnego słuchania.

Historia jest bowiem długa, admirał Sandecker zaś uwielbia opowiadać, jak Rio Pitt zyskała swoją nazwę...